



STEPHEN  
**KING**  
PO ZACHODZIE SŁOŃCA

**Stephen King**

**Po zachodzie  
słońca**

2009

**trident**

## **Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

Just After Sunset

**Data wydania:**

2008

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2009

**Ilustracja na okładce:**

Jacek Kopalski

**Przełożył:**

Andrzej Szulc

**Wydawca:**

Wydawnictwo Albatros

Andrzej Kuryłowicz

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

ISBN 978-83-7359-832-4

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Dla Heidi Pitlor*

Mogę sobie wyobrazić, co tam widziałeś. Owszem, to makabryczne, ale przecież to nic nowego, to tylko stare misteria... Takich sił nie można nazwać, nie można o nich mówić, nie da się ich sobie wyobrazić, chyba że poza zasłoną i pod symbolem: symbolem, który większości z nas wyda się staroświecką, poetycką fantazją innym może głupią bajdą. Ty i ja jednak, przynajmniej my dwaj, wiemy co nieco o koszmarach, które mieszkają w tajnym sanktuarium żywota, a mogą też objawić się w ludzkim ciele. Wiemy, że to, co bezkształtne, może jednak przybrać kształt. Ach, Austin, jak to możliwe? Jak to jest, że słoneczny blask nie ciemnieje w obliczu tej makabry, że ziemia nie kipi i nie rozstępuje się pod takim brzemieniem?!

Arthur Machen  
*Wielki Bóg Pan*, przekł. Tomasz S. Gałązka

# Wstęp

Pewnego dnia w 1972 roku po powrocie z pracy zastałem żonę siedzącą przy kuchennym stole i wpatrującą się w leżący przed nią sekator. Uśmiechała się, co oznaczało, że nie jestem w zbyt wielkich opałach, zażądała jednak ode mnie portfela. Nie wróżyło to naj lepiej.

Mimo to podałem go jej. Wyjęła z niego moją benzynową kartę kredytową Texaco – takie rzeczy były i nadal są rutynowo wysyłane nowożeńcom – i pocięła ją na trzy duże części. Kiedy zaprotestowałem, mówiąc, że karta była bardzo przydatna i że zawsze spłacaliśmy minimalne (a czasami większe) sumy pod koniec miesiąca, potrząsnęła tylko głową i oświadczyła, że odsetki są czymś, co narazi na szwank nasz kruchy budżet domowy.

– Lepiej odsunąć od siebie pokusę – powiedziała. – Pocięłam już swoją.

Koniec kropka. Przez następne dwa lata żadne z nas nie miało karty kredytowej.

Robiąc to, miała rację i była mądra, ponieważ w tamtym czasie dobiegaliśmy trzydziestki i musieliśmy wychowywać dwójkę dzieci; finansowo z trudem utrzymywaliśmy się na powierzchni. Ja uczyłem angielskiego w szkole średniej i pracowałem latem w pralni przemysłowej, piorąc pościel z moteli i czasami objeżdżając je dostawczą furgonetką. Tabby opiekowała się w dzień dziećmi, pisząc wiersze, gdy zażywały poobiedniej drzemki, i pracując na całą zmianę w Dunkin' Donuts, kiedy wracałem do domu ze szkoły. Nasz łączny dochód starczał na opłacenie czynszu, jedzenie i pieluchy dla synka, ale nie na abonament telefoniczny; zrezygnowaliśmy z niego w taki sam sposób jak z karty Texaco. Zbyt wielka była pokusa, by zadzwonić do kogoś mieszkającego w innym mieście. To, co zostawało, szło na książki – żadne z nas nie mogło bez nich żyć – oraz na moje złe nałogi (piwo i papierosy), ale poza tym starczało na bardzo niewiele. Z całą pewnością nie było pieniędzy na opłaty wynikające z przywileju posiadania tego przydatnego, aczkolwiek skrajnie niebezpiecznego plastikowego prostokąta.

To, co udało nam się dodatkowo zarobić, przeznaczaliśmy na ogół na takie rzeczy jak naprawy samochodu, wizyty u lekarza i to, co ja i Tabby nazywaliśmy „dzieciochłamedem”: zabawki, używany kojec oraz kilka irytujących książek Richarda Scarry'ego. Ten skromny ekstrazarobek przynosiły między innymi opowiadania, które udawało mi się zamieścić w magazynach dla panów, takich jak „Cavalier”, „Dude” i „Adam”. W tamtych czasach nie mówiło się nigdy o pisaniu literatury i każda dyskusja o „nieprzemijających wartościach”

mojej prozy byłaby takim samym luksusem jak karta Texaco. Opowiadania, kiedy się sprzedawały (a nie działo się to zawsze), były po prostu miłym źródłem gotówki. Traktowałem je niczym meksykańskie *pinatas*, wypełnione słodyczami i zawieszzone pod sufitem papierowe kule, które usiłowałem strącić nie kijem, lecz własną wyobraźnią. Czasami pękały i obsypywały nas deszczem kilkuset dolarów. A czasami nie.

Na szczęście dla mnie – i możecie mi wierzyć, że wiodłem wówczas skrajnie szczęśliwe życie, pod wieloma względami szczęśliwsze niż dzisiaj – praca sprawiała mi przyjemność. Pisząc te opowiadania, padałem na twarz i świetnie się bawiłem. Powstawały jedno za drugim, niczym hity z nadającej na długich falach rockowej radiostacji, której zawsze słuchałem w tym połączeniu gabinetu z pralnią, gdzie je pisałem.

Pisałem szybko i ostro, rzadko zaglądając do tekstu po drugiej redakcji, i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zastanawiać się, skąd się biorą dobre opowiadania, czym różni się ich struktura od struktury powieści i jak radzić sobie z problemami rozwoju postaci, tła fabularnego i ram czasowych. Zdawałem się kompletnie na żywioł, wspomagany wyłącznie przez intuicję i dziecinną pewność siebie. Obchodziło mnie tylko to, że powstawały. To było wszystko, co musiało mnie obchodzić. Z pewnością nie zdawałem sobie sprawy, że umiejętność pisania opowiadań jest czymś kruchym, czymś, co można zapomnieć, jeśli nie robi się tego niemal stale. Nie wydawała mi się wówczas krucha. Większość tamtych opowiadań przypominała buldożery.

Wielu amerykańskich autorów bestsellerów nie pisuje opowiadań. Nie wydaje mi się, żeby chodziło o pieniądze; dobrze sytuowani pisarze nie muszą myśleć o takich sprawach. Niewykluczone, że kiedy świat pełnoetatowego powieściopisarza kurczy się do rozmiarów poniżej siedemdziesięciu tysięcy słów, ogarnia go jakiś rodzaj twórczej klaustrofobii. A może chodzi po prostu o to, że gubi się gdzieś po drodze dryg do miniaturyzacji. W życiu jest wiele rzeczy, które przypominają jazdę na rowerze, ale nie należy do nich pisanie opowiadań. Można zapomnieć, jak to się robi.

Pod koniec lat osiemdziesiątych i w latach dziewięćdziesiątych pisałem coraz mniej opowiadań, a te, które pisałem, były coraz dłuższe (kilka dłuższych zamieszczono w tym zbiorze). To było w porządku. Były jednak również opowiadania, których nie napisałem, ponieważ musiałem skończyć tę lub inną powieść, i to nie było w porządku – czułem, że pomysły domagają się zapisania. Niektóre się tego doczekały; inne, przyznaję ze smutkiem, umarły i rozsypały się w pył.

Co najgorsze, zdarzały się opowiadania, których nie umiałem już napisać, i to było niepokojące. Wiedziałem, że potrafiłbym je napisać w tamtej pralni, na należącej do Tabby małej, przenośnej olivetti, jednak teraz, będąc znacznie starszy i dysponując większym doświadczeniem i o wiele droższymi narzędziami pracy – jak choćby ten macintosh, na którym piszę dziś wieczorem – nie mogłem sobie z nimi poradzić. Pamiętam, jak sknociłem

jedno z nich i przyszedł mi na myśl stary płatnerz spoglądający ze smutkiem na wspaniałe tolekańskie ostrze i mówiący sobie: „Kiedyś wiedziałem, jak się robi takie rzeczy”.

A potem pewnego dnia przed trzema albo czterema laty, dostałem list od Katriny Kenison, redaktorki ukazującej się co rok antologii *Best American Short Stories* (później zastąpiła ją Heidi Pitlor, której niniejsza książka została zadedykowana). Pani Kenison zapytała, czy nie byłbym zainteresowany redakcją wydania z 2006 roku. Nie musiałem się nad tym zastanawiać przez całą noc ani nawet w trakcie popołudniowego spaceru. Zgodziłem się natychmiast. Z najprzeróżniejszych powodów, w tym nawet altruistycznych, ale byłbym naprawdę bezczelnym kłamcą, gdybym nie przyznał, że i dla własnej korzyści. Pomyślałem, że jeśli przeczytam dużo krótkiej prozy, zanurzę się w tym, co mają najlepszego do zaoferowania amerykańskie czasopisma, i być może uda mi się odzyskać choć w części tę lekkość pióra, która mi umykała. Nie dlatego, żebym potrzebował zastrzyku gotówki – niewielkiego, lecz witanego z radością, kiedy stawia się dopiero pierwsze kroki – żeby kupić nowy tłumik do używanego auta albo urodzinowy prezent dla żony, lecz dlatego, że utrata zdolności pisania opowiadań nie wydawała się uczciwą ceną za wypchany kartami kredytowymi portfel.

W trakcie rocznej pracy w charakterze redaktora przeczytałem setki opowiadań, ale nie będę się w to zagłębiał, jeśli was to interesuje, kupcie antologię i przeczytajcie wstęp (a przy okazji dwadzieścia świetnych opowiadań, co na pewno wam nie zaszkodzi). Ważne jest to, że znowu poczułem miły dreszczyk i zacząłem pisać opowiadania na starą modłę. Liczyłem na to, że mi się uda, lecz nie śmiałem w to wierzyć. Pierwszym z „nowych” opowiadań jest *Willa*, również pierwsza w tym zbiorze.

Czy są dobre? Mam taką nadzieję. Czy pomogą wam przetrwać nudny lot samolotem (jeśli je czytacie) lub długą podróż samochodem (jeśli słuchacie ich z odtwarzacza)? Naprawdę mam taką nadzieję, ponieważ kiedy do tego dojdzie, będzie to niczym magiczne zaklęcie.

Pisałem je z wielką przyjemnością, wiem o tym. I mam nadzieję, że z przyjemnością będziecie je czytać. Mam nadzieję, że was porwą. I dopóki będę pamiętał, jak to się robi, będę to robił.

Aha, i jeszcze jedno. Wiem, że niektórzy czytelnicy lubią się dowiedzieć, jak i dlaczego powstały pewne historie. Jeżeli do nich należycie, znajdziecie na końcu moje „notatki na marginesie”. Ale jeżeli zajrzycie tam przed przeczytaniem samych opowiadań, wstydzicie się.

A teraz pozwólcie, że zejść wam z drogi. Zanim jednak to zrobię, chciałbym podziękować za wizytę. Czy robiłbym dalej to, co robię, gdybyście mnie nie odwiedzali? Owszem, z pewnością bym to robił. Ponieważ cieszę się, gdy słowa łączą się ze sobą, gdy pojawiają się obrazy i wymyśleni ludzie robią rzeczy, które mnie zachwycają. Ale lepiej mi z tobą, Stały Czytelniku.

Zawsze lepiej mi z tobą.



Sarasota, Floryda  
25 lutego 2008

## Willa

Nie widzisz tego, co masz przed oczyma, powiedziała, ale przecież chwilami to widział. Podejrzewał, że zasłużył sobie w pewnym stopniu na jej irytację, lecz z drugiej strony nie był przecież zupełnie ślepy. I kiedy niebo nad Wind River Range przybrało kolor gorzkiej pomarańczy, David rozejrzał się po stacji i zauważył, że Willa zniknęła. Nie wiem tego na pewno, pomyślał, ale to było zwykłe mędrkowanie – ssanie w dołku nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Poszedł poszukać Landera, który ją trochę lubił. Lander rzekł, że ostra z niej dziewczyna, kiedy Willa oświadczyła, że Amtrak dał dupy, zostawiając ich w ten sposób na lodzie. Wielu innych miało ją w nosie bez względu na to, czy zostali na lodzie czy nie.

– Śmierdzi tu Meksykańcami! – krzyknęła do Davida Helen Palmer, gdy ją mijał. Udało jej się jak zawsze dotrzeć do ławki w rogu. Kobitka Rhineharta, która aktualnie zajmowała się Helen, dając Palmerowi chwilę wytchnienia, uśmiechnęła się do Davida.

– Widziała pani Willę? – zapytał.

Kobitka Rhineharta potrząsnęła głową, nie przestając się uśmiechać.

– Na kolację będzie ryba! – zawołała z wściekłością pani Palmer. W zagłębieniu jej skroni pulsowały niebieskie żyłki. Kilka osób spojrzało na nią. – Najpierw to, a teraz tamto!

– Óóó... – syknęła kobitka Rhineharta. Miała chyba na imię Sally, ale David uznał, że zapamiętałby to imię; ostatnio rzadko się je spotykało. Teraz królowały Amber, Ashley i Tiffany. Willa też była na wymarciu i sama myśl o tym sprawiła, że ścisnęło go w dołku.

– Meksykańcami! – wrzasnęła Helen, plując śliną. – Jakby kiblowali tu brudni starzy Meksykańce!

Henry Lander siedział na ławce pod zegarem. Ręką obejmował żonę. Podniósł wzrok i potrząsnął głową, zanim jeszcze David zdążył go zapytać.

– Nie ma jej tu. Przykro mi. Jeśli masz szczęście, poszła do miasta. Jeśli nie, zmyła się na dobre – dodał, unosząc kciuk w geście łapania okazji.

David nie sądził, by jego narzeczona wybrała się gdzieś autostopem – pomysł był wariacki – ale wierzył, że jej tutaj nie ma. Właściwie wiedział o tym, zanim jeszcze policzył głowy i przypomniał sobie urywek starej książki albo wiersza o zimie: „Krzyk nieobecności, nieobecności w sercu”.

Stacja była wąską drewnianą kiszka. Ludzie włączyli się bez celu wzdłuż całej jej długości albo siadali po prostu na ławkach pod jarzeniówkami. Ramiona siedzących opadały pod tym szczególnym kątem, który widuje się, kiedy ludzie czekają aż coś, co się zepsuło, zostanie naprawione i będzie można podjąć przerwana podróż. Niewiele osób przyjeżdża w konkretnym celu do Crowheart Springs w Wyoming.

– Nie łaż za nią David – powiedziała Ruth Lander. – Robi się ciemno i na dworze są różne zwierzaki. Nie tylko kojoty. Ten kulawy sprzedawca książek powiedział, że po drugiej stronie torów, tam gdzie jest ten magazyn, widział dwa wilki.

– Biggers – wtrącił Henry. – Tak się nazywa ten sprzedawca.

– Dla mnie może się nazywać Kuba Rozpruwacz – odparła Ruth. – Chodzi o to, że nie jesteś już w Kansas, Davidzie.

– Ale jeśli poszła...

– Wyszła, kiedy było jeszcze widno – oświadczył Henry Lander, tak jakby światło dzienne mogło powstrzymać wilka (albo niedźwiedzia) przed zaatakowaniem samotnej kobiety. Z tego, co wiedział David, mogło. Był jednak doradcą inwestycyjnym, a nie ekspertem od dzikiej przyrody. W dodatku młodym doradcą inwestycyjnym.

– Jeśli podstawią teraz zastępczy skład, nie zdąży do niego wsiąść – powiedział.

Ten prosty fakt najwyraźniej do nich nie docierał. Po prostu tego nie kumali, jak mówiono ostatnio w jego banku w Chicago. Henry uniósł brwi.

– Chcesz powiedzieć, że będzie lepiej, jeśli oboje nie zdążycie na ten pociąg?

Jeżeli oboje nie zdążą mogą razem złapać jakiś autobus albo poczekać na następny pociąg. Henry i Ruth Landerowie chyba to rozumieli. A może nie. Przyglądając się im, David widział przede wszystkim – miał to tuż przed oczyma – to szczególne znużenie zarezerwowane dla ludzi, którzy tymczasowo ugrzęźli na jakimś zadupiu. A kogo jeszcze obchodziła Willa? Gdyby zniknęła z pola widzenia na Wielkich Równinach, kto poza Davidem Sandersonem zainteresowałby się tym choć przez chwilę? Budziła nawet pewną antypatię. Ta suka Ursula Davis raz mu powiedziała, że gdyby matka Willi nie dostawiła „a” do jej imienia, „byłoby wprost idealnie”.

– Idę do miasta jej poszukać – powiedział.

– Bardzo głupio robisz, synu. – Henry westchnął.

– Nie weźmiemy ślubu w San Francisco, jeżeli Willa nie zdąży na pociąg w Crowheart Springs – odparł David, chcąc, by zabrzmiało to jak żart.

Obok nich przechodził Dudley. David nie miał pojęcia, czy Dudley to jego imię czy nazwisko, wiedział tylko, że jest kierownikiem w sieci Staples i jechał do Missouli na jakieś regionalne spotkanie. Normalnie był bardzo cichy, więc podobny do oślego porykiwania śmiech, jaki nagle wydobył się z jego gardła, był bardziej niż zaskakujący; wywołał prawdziwy szok.

– Jeżeli podstawią pociąg i nie zdążycie do niego wsiąść – powiedział – możecie odszukać sędziego pokoju i wziąć ślub tutaj. Po powrocie na Wschodnie Wybrzeże opowiecie wszystkim swoim znajomym, że mieliście prawdziwe kowbojskie wesele. Juhuu, partnerze.

– Nie rób tego – upierał się Henry. – Długo tu nie zostaniemy.

– Więc powinienem ją zostawić? To obłąd.

David ruszył dalej, zanim Lander lub jego żona zdążyli odpowiedzieć. Na ławce obok siedziała Georgia Andreeson, obserwując swoją ubraną w czerwoną sukienkę córkę, która skakała po brudnych kafłach podłogi. Pammy Andreeson nigdy nie wydawała się zmęczona. David próbował sobie przypomnieć, czy choć raz się zdrzemnęła, odkąd pociąg wypadł z torów na rozjeździe przy Wind River i wylądowali tutaj niczym jakaś zapomniana paczka w nieopróżnianej skrzynce pocztowej. Może raz, położywszy głowę na kolanach matki. Ale to mogło być urojenie zrodzone z przekonania, że pięciolatki muszą dużo spać.

Pammy skakała rozbawiona z kafla na kafel, grając najwyraźniej w klasy. Czerwona sukienka wirowała wokół jej pulchnych kolan.

– Znałam chłopaka, nazywał się Danny – zawodziła tak monotennie, że Davidowi zrobiło się ciężko na sercu. – Potknął się, wywrócił i wpadł do wanny. Znałam faceta, pana Davida. Potknął się, wywrócił i wpadł na Żyda. – Zachichotała i wskazała palcem Davida.

– Przestań, Pammy – powiedziała Georgia Andreeson, po czym uśmiechnęła się do Davida i odgarnęła włosy z twarzy. Ten gest świadczył według niego o niewysłowionym znużeniu i pomyślał, że Georgia ma przed sobą długą drogę z obdarzoną żywym temperamentem Pammy, zwłaszcza że nic nie świadczyło o istnieniu pana Andreesona.

– Widziała pani Willę? – zapytał.

– Wyszła – oznajmiła, wskazując drzwi, nad którymi wisiał napis AUTOBUS, TAXI, W SPRAWIE WOLNYCH MIEJSC W HOTELU PROSZĘ DZWONIĆ Z BEZPŁATNEGO TELEFONU.

Zbliżał się do niego utykający na jedną nogę Biggers.

– Bez szybkostrzelnego sztucera unikałbym otwartych przestrzeni. Są tam wilki. Widziałem je – oświadczył.

– Znałam dziewczynę, nazywała się Willa. Bolała ją głowa i była tu nowa – zaśpiewała Pammy, po czym padła na podłogę, zanosząc się śmiechem.

Sprzedawca Biggers, nie czekając na odpowiedź, pokuśtykał z powrotem przez całą stację. Jego cień wydłużył się, skurczył w świetle wiszącej pod sufitem jarzeniówki, a potem ponownie wydłużył.

Phil Palmer opierał się o framugę drzwi, nad którymi wisiał napis o autobusie i taksówkach. Był emerytowanym agentem ubezpieczeniowym. Razem z żoną jechali do Portlandu. Mieli zamiar pomieszkać jakiś czas u swojego najstarszego syna i jego żony, ale Palmer zwierzył się Davidowi i Willi, że Helen prawdopodobnie nigdy już nie wróci na wschód. Miała raka, a poza tym alzheimera. Willa nazwała to dwupakiem. Kiedy David

stwierdził, że to trochę okrutne, Willa spojrzała na niego, tak jakby miała ochotę coś odpowiedzieć, ale potem potrząsnęła tylko głową.

– Hej, poeta, masz peta? – zapytał teraz Palmer, tak jak to zawsze robił.

Na co David odparł, tak jak to zawsze robił:

– Nie palę, panie Palmer.

– Tylko cię podpuszczałem, mały – podsumował Palmer.

Kiedy David wyszedł na betonowy peron, na którym wysadzeni pasażerowie czekali na pociąg do Crowheart Springs, Palmer się zafrasował.

– To nie najlepszy pomysł, młody przyjacielu.

Jakieś zwierzę – mógł to być duży pies, ale chyba jednak co innego – zawyło po drugiej stronie stacji, gdzie bylica rosła prawie przy samych torach. Po chwili dołączył do niego harmonijnie drugi głos, a potem oba ucichły.

– Widzisz, o co mi chodzi, skarbie? – rzucił z uśmiechem Palmer, jakby wyczarował to podwójne wycie, żeby udowodnić, że ma rację.

David odwrócił się i ruszył w dół po schodach. Podmuch wiatru zatrzepotał jego lekką marynarką. Szedł szybko, żeby się nie rozmyślić, i tylko pierwszy krok okazał się trudny. Potem myślał już jedynie o Willi.

– Davidzie – odezwał się Palmer, teraz już nie przekomarzając się z nim i nie wygłupiając. – Nie rób tego.

– Dlaczego? Ona się nie bała. Poza tym wilki są tam – odparł David, pokazując kciukiem za siebie. – Jeśli to rzeczywiście wilki.

– Oczywiście, że wilki. I to prawda, że chyba cię nie zaatakują. Wątpię, żeby były szczególnie wygłodniałe o tej porze roku. Ale nie ma potrzeby, byście oboje spędzili Bóg wie ile czasu gdzieś na odludziu tylko dlatego, że odbiła jej szajba.

– Czegoś pan chyba nie rozumie: to moja dziewczyna.

– Powiem ci gorzką prawdę, przyjacielu: gdyby naprawdę uważała się za twoją dziewczynę, nie zrobiłaby tego, co zrobiła. Nie uważasz?

Z początku David nie odpowiedział, bo nie był pewien, co o tym sądzi. Być może dlatego, że często nie widział tego, co miał przed oczyma. Tak powiedziała Willa. W końcu odwrócił się i zadzierając głowę, spojrzał na Phila Palmera, który opierał się o framugę drzwi.

– Uważam, że nie zostawia się narzeczonej gdzieś na odludziu. Tak właśnie uważam.

Palmer westchnął.

– Mam nadzieję, że jeden z tych ludojadów ugryzie cię w ten twój wielkomięski tyłek. Nauczyłoby cię to rozumu. Mała Willa Stuart nie dba o nikogo poza sobą i widzą to wszyscy oprócz ciebie.

– Chce pan, żebym kupił papierosy, gdybym mijał po drodze sklepik Nite Owl albo Seven-Eleven?

– Czemu nie, kurwa? – odparł Palmer. – Davidzie! – zawołał po chwili, kiedy ten miał namalowany na pustej jezdni napis ZAKAZ PARKOWANIA POSTÓJ TAKSÓWEK.

David się odwrócił.

– Podstawiają pociąg dopiero jutro, a do miasteczka są trzy mile. Tak tu napisali, na tylnej ścianie punktu informacyjnego. To daje sześć mil tam i z powrotem, pieszo. Zajmie ci to dwie godziny, nie licząc czasu, który stracisz, żeby ją odnaleźć.

David podniósł rękę na znak, że słyszy, jednak nie zwolnił kroku. Wiatr był zimny, wiał od strony gór, lecz podobało mu się, jak szarpie jego ubranie i mierzwi włosy. Z początku wypatrywał wilków, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie drogi, ale kiedy żadnego nie zobaczył, wrócił myślami do Willi. I rzeczywiście, od drugiej czy trzeciej spędzonej z nią randki rzadko myślał o czym innym.

Odbiła jej szajba: Palmer nie miał co do tego żadnych wątpliwości, lecz David nie wierzył, żeby dbała tylko o siebie. Tak naprawdę miała po prostu dosyć siedzenia z bandą markotnych starych pierników narzekających, że spóźnią się na to czy tamto. Nie spodziewała się pewnie zbyt wiele po tym miasteczku, ale miała nadzieję, że się trochę zabawi, i to pociągało ją bardziej niż myśl, że Amtrak przyśle zastępczy pociąg, kiedy jej nie będzie.

I gdzie mogła się wybrać, żeby się zabawić?

Był pewien, że w Crowheart Springs nie ma czegoś, co można by nazwać nocnym klubem. Stacja kolejowa była tu po prostu długą zieloną szopą z wymalowanym z boku czerwona, białą i niebieską farbą napisem WYOMING – STAN RÓWNOŚCI. Żadnych nocnych klubów ani dyskotek, ale musiały tam być niewątpliwie jakieś bary i doszedł do wniosku, że sprawdzi jeden z nich. Jeśli nie mogła liczyć na clubbing, zostały jej szafy grające.

Nadeszła noc i gwiazdy zapalały się na niebie, tak jakby ktoś rozwijał ze wschodu na zachód obszyty cekinami dywanik. Połówka księżycy wzeszła między dwoma szczytami, rozjaśniając chorym blaskiem drogę i otwarty teren po jej obu stronach. Wiatr świstał pod okapami stacji, lecz tutaj wydawał dziwne buczenie, które nie było do końca wibracją. Przypominało mu nuconą przez Pammy Andreeson melodię.

Idąc, nasłuchiwał za sobą odgłosów zbliżającego się pociągu. Nie słyszał go; kiedy wiatr ucichł, dobiegło go za to ciche, lecz doskonale słyszalne klik-klik-klik. Odwrócił się i zobaczył wilka, który stał mniej więcej dwadzieścia kroków za nim na drodze numer 26, na przerywanej środkowej linii. Był wielkości cielaka i miał sierść zmierzwioną niczym rosyjska czapa. W świetle gwiazd jego futro wydawało się czarne, oczy były koloru uryny. Zobaczył Davida i stanął. Otworzył pysk i zaczął ziajać, wydając dźwięk przypominający sapanie małej lokomotywy.

Nie było czasu się bać. David zrobił krok w jego kierunku i klasnął w dłonie.

– Wynos się stąd! Sio! Już cię nie ma!

Wilk machnął ogonem i uciekł, zostawiając po sobie parujące na drodze numer 26 odchody. David uśmiechnął się, ale udało mu się nie wybuchnąć śmiechem; uznał, że nie powinien kusić licha. Czuł się jednocześnie wystraszony i absurdalnie, totalnie spokojny. Przyszło mu na myśl, żeby zmienić nazwisko z Davida Sandersona na Davida Pogromcę Wilków. Całkiem odpowiednie nazwisko dla doradcy inwestycyjnego.

A potem cicho się roześmiał – naprawdę nie mógł się powstrzymać – i ruszył dalej w stronę Crowheart Springs. Tym razem oglądał się nie tylko na boki, lecz co pewien czas przez ramię, ale wilk nie wrócił. Nabrał za to pewności, że usłyszy zbliżający się zastępczy skład; część ich pociągu, która nadal stała na torach, została pewnie usunięta i czekający na stacji ludzie znajdą się wkrótce z powrotem w drodze – Palmerowie, Landerowie, kulawy Biggers, roztańczona Pammy i cała reszta.

No i co z tego? Amtrak przechowa ich bagaże; mogli chyba liczyć przynajmniej na to. Razem z Willą znajdą miejscowy dworzec autobusowy. Greyhound odkrył już chyba Wyoming.

Zobaczył leżącą na drodze puszkę budweisera i przez pewien czas ją kopał. Za którymś razem poleciała na bok, w zarośla, i kiedy zastanawiał się, czy po nią nie pójść, usłyszał nagle niewyraźną muzykę: linię basu oraz wysoki ton pedałowej gitary, który przypominał mu zawsze chromowane łyzy. Nawet w wesołych piosenkach.

Willa była tam i słuchała muzyki. Nie dlatego, że było to najbliższe miejsce, gdzie coś grali, ale ponieważ było to odpowiednie miejsce. Wiedział o tym. Dlatego zostawił puszkę i ruszył w stronę pedałowej gitary, wzbijając przy każdym kroku obłoczki kurzu, które porywał wiatr. Po chwili pojawił się dźwięk perkusji, a później czerwona neonowa strzałka pod szyldem, na którym widać było po prostu „26”. Cóż, czemu nie? Lokal stał w końcu przy drodze numer 26. Idealna nazwa dla tancbudy.

Były tam dwa parkingi, ten od frontu wyasfaltowany i zastawiony samochodami osobowymi i pick-upami, w większości amerykańskimi i w większości co najmniej pięcioletnimi. Parking z tyłu wysypano żwirem. Pod jaskrawym sinobiałym światłem lamp sodowych stały tam w rzędzie ciężarówki. David słyszał już także gitarę rytmiczną oraz prowadzącą i przeczytał napis nad drzwiami. TYLKO JEDEN WIECZÓR. DERAILERS\*. WSTĘP 5 \$. PRZEPRASZAMY.

Cóż, z pewnością znalazła właściwą kapekę, pomyślał.

Miał w portfelu piątkę, ale hol wejściowy był pusty. Za nim, na dużym drewnianym parkiecie ujrzał pełno tańczących w wolnym rytmie par, trzymających się na ogół za tyłki i ubranych w dzinsy i kowbojskie buty. Zespół grał *Wasted Days and Wasted Nights*. Wykonywali tę piosenkę głośno, ckliwie i – na ile mógł to ocenić David Sanderson – nie fałszując. W nozdrza uderzyły go zapachy piwa, potu, wody kolońskiej Brut i kupionych w Wal-Marcie perfum. Śmiechy i rozmowy – nawet dzikie „juhuu” z drugiego końca parkietu –

---

\* Derailers (ang.) – w wolnym przekładzie: wykolejeńcy.

przypominały odgłosy ze snu, który śni nam się bez końca w pewnych przełomowych momentach życia: snu, w którym nie jesteśmy przygotowani do ważnego egzaminu, w którym jesteśmy nadzy w miejscu publicznym, snu o tym, że spadamy, snu, w którym idziemy szybko w stronę skrzyżowania w jakimś nieznanym mieście, wiedząc, że za rogiem czai się przeznaczenie.

David zastanawiał się, czy nie włożyć piątki z powrotem do portfela, ale potem nachylił się do budki biletowej, rzucił banknot na blat (który był pusty, jeśli nie liczyć paczki lucky strike'ów leżącej na tanim wydaniu powieści Danielle Steel) i wszedł do zatłoczonej sali.

Derailers przerzucili się na coś bardziej skoczego i młodszy tancerze zaczęli podskakiwać w miejscu niczym dzieciaki na punkowym koncercie. Starsze pary po lewej stronie Davida utworzyły dwa korowody. Przyjrawszy się im uważniej, zdał sobie sprawę, że jest tylko jeden korowód. Jedną ze ścian tworzyło wielkie lustro, dzięki któremu parkiet sprawiał wrażenie dwa razy większego niż w rzeczywistości.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Ty płacisz, kolego! – zawołał wokalista. Derailers zagraли kawałek instrumentalny, a tancerze nagrodzili brawami dowcip, który mógł się wydawać całkiem udany, pomyślał David, kiedy komuś szumi w głowie tequila.

Nad barem w kształcie podkowy wisiała neonowa replika Wind River Range w kolorach czerwonym, białym i niebieskim. W Wyoming kochali się najwyraźniej w czerwieni, bieli i błękicie. Neon w podobnych kolorach uprzedzał: JESTEŚ W BOGOBOJNYM KRAJU, KOLEGO. Po jego lewej stronie wisiało logo budweisera, po prawej coors. Czekaający na drinki ludzie stali w czterech rzędach. Trio barmanów w białych koszulkach i czerwonych kamizelkach potrząsało shakerami niczym sześciostrzałowymi rewolwerami.

To była istna stodoła – musiało się tu bawić z pięćset osób – ale David nie bał się, że nie zdoła znaleźć Willi. Działa mój magiczny talizman, pomyślał, omijając z boku parkiet, a chwilami puszczając się w tany, kiedy trzeba było uniknąć zderzenia z pływającymi kowbojami i kowbojkami.

Za barem i parkietem tanecznym znajdowała się mała ciemna sala z wnękami, które przedzielały wysokie przepierzenia. Prawie w każdej siedział kwartet z jednym albo dwoma dzbankami piwa dla pokrzepienia serc. Lustra powiększały każdą grupkę do ośmiu osób. Tylko jedna wnęka nie była zatłoczona. Willa siedziała w niej sama w kwiecistej sukience z wysokim karczkiem, kompletnie odstającej od tych wszystkich lewisów, dzinsowych spódnic i koszul z perłowymi guzikami. Nie kupiła sobie również nic do picia ani do jedzenia – blat stolika był pusty.

Z początku go nie zauważyła. Przyglądała się tańczącym. Miała zaczerwienione policzki i głębokie dołeczki w kącikach ust. Kompletnie nie pasowała do tego miejsca, ale nigdy nie kochała jej bardziej. To była Willa na skraju uśmiechu.



– Cześć, Davidzie – powiedziała, kiedy koło niej usiadł. – Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Byłam pewna, że to zrobisz. Czy to nie wspinała kapela? Grają tak głośno!

Prawie krzyczała, żeby ją usłyszał, ale widział, że to też jej się podoba. Obrzuciwszy go krótkim spojrzeniem, wróciła do obserwowania tancerzy.

– To prawda, są dobrzy – odparł. I rzeczywiście byli. Czuł, że wciąga go ich muzyka, mimo niepokoju, który powrócił. Teraz, kiedy już ją odnalazł, znowu zaczął się martwić o ten cholerny pociąg. – Wokalista ma głos zupełnie jak Buck Owens.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Kto to jest Buck Owens?

– Nieważne. Powinniśmy wracać na stację. Chyba że chcesz tu utknąć na kolejny dzień.

– To nie byłoby najgorsze. Chyba mi się podoba ten lo... och, uważaj!

Nad parkietem poszybowała szklanka, błyskając zielonymi i złotymi refleksami, po czym roztrzaskała się gdzieś poza polem widzenia. Powitano to wiwatami i oklaskami – Willa też klaskała – ale David zobaczył, że kilku mięśniaków z wydrukowanymi na T-shirtach słowami OCHRONA i SŁUŻBA PORZĄDKOWA ruszyło w stronę miejsca, skąd odpalono pocisk.

– W takim miejscu możesz liczyć na cztery bójki na parkingu jeszcze przed jedenastą. I czasami na jedną wielką zadymę w środku tuż przed ostatnią kolejką – powiedział.

Willa roześmiała się i wycelowała w niego z dwóch palców wskazujących.

– To świetnie! Chcę to zobaczyć!

– A ja chcę, żebyśmy wrócili. Jeśli chcesz się wybrać do muzycznej knajpy w San Francisco, zabiorę cię. Obiecuję.

Willa wydeła dolną wargę i potrząsnęła rudawozłotymi włosami.

– To nie będzie to samo. Dobrze o tym wiesz. W San Francisco piją prawdopodobnie... no nie wiem... makrobiotyczne piwo.

To go rozśmieszyło. Podobnie jak doradca inwestycyjny o nazwisku Pogromca Wilków, pomysł makrobiotycznego piwa był po prostu zbyt zakręcony. Ale śmiech skrywał niepokój; czy nie było tak, że śmiał się, bo nie mógł opanować niepokoju?

– Zrobimy teraz krótką przerwę i niedługo wrócimy – oznajmił wokalista, ocierając pot z czoła. – Napijcie się i pamiętajcie: nazywam się Tony Villanueva i grają dla was Derailers.

– To sygnał, żebyśmy włożyli nasze diamentowe buciki i wyszli – rzekł David i wziął Willę za rękę.

Wysunął się z wnęki, lecz ona za nim nie wyszła. Nie puściła jednak jego ręki i usiadł z powrotem, czując, jak ogarnia go panika. Teraz chyba wiedział, co czuje ryba, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie zdoła urwać się z haczyka, że haczyk trzyma ją mocno i solidnie i Pan Pstrąg wylądjuje zaraz na brzegu, i po raz ostatni machnie ogonem. Willa patrzyła na niego swoimi zabójczo błękitnymi oczyma, w kącikach ust miała dołeczki: Willa na skraju uśmiechu, jego przyszła żona, która rano czytała powieści, a wieczorami poezję i uważała, że telewizyjne wiadomości są... jak ona to ujęła? Efemeryczne.

– Popatrz na nas – powiedziała, odwracając od niego głowę.

Spojrzał na lustrzaną ścianę po ich lewej stronie. Zobaczył tam miłą młodą parę ze Wschodniego Wybrzeża, która utknęła w Wyoming. W swojej sukience w kwiatki Willa wyglądała lepiej od niego, ale przypuszczał, że tak będzie zawsze. Unosząc brwi, odwrócił się od lustrzanej Willi do tej prawdziwej.

– Nie, popatrz jeszcze raz. – W kącikach ust nadal miała dołeczki, ale była teraz poważna, jeśli można było w ogóle zachować powagę w tej zabawowej atmosferze. – I pomyśl o tym, co ci mówiłam.

Mówiłaś mi wiele rzeczy i myślę o nich wszystkich, miał na końcu języka, ale to byłaby odpowiedź zakochanego, miła i w zasadzie bez znaczenia. A ponieważ wiedział, o co jej chodzi, bez słowa spojrzał ponownie w lustro. Tym razem naprawdę spojrzał. W lustrze nie było nikogo. Patrzył na jedyną pustą wnękę w całej „26”. Odwrócił się do Willi, osłupiały... a mimo to wcale niezaskoczony.

– Nie zastanawiałaś się, jakim cudem atrakcyjna kobieta może siedzieć tutaj sama, podczas gdy wszyscy dookoła balują aż miło i leje się alkohol? – zapytała.

Potrząsnął głową. Nie zastanawiał się. Było sporo rzeczy, nad którymi się nie zastanawiał, przynajmniej do tej chwili. Na przykład kiedy ostatnio coś zjadł lub wypił. Albo która jest godzina i kiedy ostatnio świeciło słońce. Nie wiedział nawet dokładnie, co im się przytrafiło. Jedynie to, że Northern Flyer wypadł z torów, a teraz jakimś dziwnym zrzędzeniem losu siedzieli tutaj i słuchali countrywesternowej grupy o nazwie...

– Kopnąłem puszkę – powiedział. – W drodze tutaj kopnąłem puszkę.

– Owszem – odparła – i kiedy pierwszy raz spojrzałeś, zobaczyłeś nas w lustrze, prawda? Percepcja to nie wszystko, ale percepcja i oczekiwanie razem wzięte...? – Mrugnęła i pochyliła się w jego stronę. Jej pierś oparła się o jego ramię, kiedy go całowała i wrażenie było miłe: z pewnością poczuł żywe ciało. – Biedny David, przykro mi. Ale byłeś dzielny, że tu przyszedłeś. Tak naprawdę wcale się tego nie spodziewałam.

– Musimy tam wrócić i powiedzieć innym.

Willa zacisnęła wargi.

– Po co?

– Bo...

Dwaj mężczyźni w kowbojskich kapeluszach prowadzili w stronę ich wnęki dwie śmiejące się dziewczyny w dżinsach, kraciastych koszulach i z kucykami na plecach. Kiedy się zbliżyli, na ich twarzach pojawił się identyczny wyraz zmieszania – niekoniecznie lęku – i skrzyżowali w kierunku baru. Czują nas, pomyślał David. Odpycha ich coś w rodzaju zimnego powietrza – tym teraz jesteśmy.

– Bo to właśnie powinniśmy zrobić – dokończył.

Willa roześmiała się. W jej śmiechu zabrzmiało znużenie.

– Przypominasz mi tego starego faceta, który sprzedawał w telewizji płatki owsiane.

– Skarbie, oni myślą że przyjedzie pociąg i ich zabierze!

– Cóż, może i przyjedzie! – Jej niespodziewanie ostry ton prawie go wystraszył. – Ten pociąg, o którym zawsze śpiewają, pociąg dobrej nowiny, pociąg do chwały, pociąg, którym nie jadą hazardziści i typy spod ciemnej gwiazdy.

– Nie sędzę, żeby Amtrak miał połączenie z niebem – mruknął David. Miał nadzieję, że ją rozśmieszy, ale ona przyjrzała się swoim dłoniom z niemal ponurym wyrazem twarzy, i nagle coś go tknęło. – Czy jest coś jeszcze, co wiesz? Coś, co powinniśmy im powiedzieć? Jest coś takiego, prawda?

– Nie wiem, po co mielibyśmy się tym przejmować, skoro możemy tu po prostu posiedzieć – odparła i wydało mu się, że słyszy w jej głosie rozdrażnienie. Tak, wyraźnie je usłyszał. To była Willa, której nie znał. – Może i jesteś trochę krótkowzroczny, Davidzie, ale przynajmniej przyszedłeś. Kocham cię za to – dodała i znów go pocałowała.

– Spotkałem również wilka. Klasnąłem w dłonie i uciekłem. Zastanawiam się, czy nie zmienić nazwiska na David Pogromca Wilków.

Patrzyła na niego przez chwilę z otwartymi ustami i David zdążył pomyśleć: musiałem poczekać, aż umrzemy, żeby naprawdę zaskoczyć kobietę, którą kocham. Willa oparła się o wyściełane przepierzenie wnęki i wybuchła głośnym śmiechem. Przechodząca obok kelnerka upuściła pełną tacę piwa i soczyscie zakłęła.

– Pogromca Wilków! – zawołała Willa. – Chcę cię tak nazywać w łóżku! Och, och, Pogromco Wilków, jaki jesteś wielki! Jaki owłosiony!

Kelnerka wpatrywała się w wielką spienioną plamę na podłodze, klnąc niczym marynarz na przepustce. Przez cały czas trzymała się z daleka od jedynej pustej wnęki.

– Myślisz, że nadal możemy? – zapytał David. – To znaczy kochać się?

Willa otarła łzy, które popłynęły jej z oczu.

– Percepcja i oczekiwanie, pamiętasz? Razem mogą przenosić góry – podsumowała i wzięła go znowu za rękę. – Nadal cię kocham, a ty kochasz mnie. Prawda?

– Czyż nie jestem Pogromcą Wilków? – zapytał. Mógł obrócić to w żart, ponieważ nie do końca wierzył, że nie żyje. Spojrzał w lustro i zobaczył ich oboje. A potem tylko siebie, z ręką trzymającą pustkę. Później oboje zniknęli. A mimo to... oddychał, czuł zapach piwa, whiskey i perfum.

Nie wiadomo skąd pojawił się pomywacz i zaczął pomagać kelnerce w uprzątnięciu bałaganu.

– Miałam wrażenie, że schodzę w dół – usłyszał jej głos David. Czy takie rzeczy słyszy się w zaświatach?

– Chyba z tobą wrócę – powiedziała Willa – ale nie będę sterczała na tej nudnej stacji z tymi nudnymi ludźmi, kiedy obok jest ten lokal.

– W porządku – odparł.

– Kto to jest Buck Owens?

– Wszystko ci o nim opowiem – obiecał. – I o Royu Clarku. Ale najpierw zdradź, co jeszcze wiesz.

– Większość z nich w ogóle mnie nie obchodzi, ale Henry Lander jest miły. Podobnie jak jego żona.

– Phil Palmer też jest do rzeczy.

Willa zmarszczyła nos.

– Phil grzdyl.

– Co jeszcze wiesz, Willo?

– Zobaczysz sam, jeśli naprawdę popatrzysz.

– Czy nie byłoby prościej, gdybyś...

Najwyraźniej nie. Willa wstała, przyciskając uda do krawędzi stołu, i wskazała palcem przed siebie.

– Zobacz! Wraca zespół!

\* \* \*

Kiedy on i Willa wyszli na drogę, trzymając się za ręce, księżyc mieli nad głowami. David nie wiedział, jak to możliwe – wysłuchali tylko dwóch pierwszych piosenek z następnej części koncertu – ale jego tarcza świeciła wysoko na rozgwieżdżonym niebie. To było niepokojące, lecz o wiele bardziej niepokoiło go coś innego.

– Który mamy rok, Willo? – zapytał.

Zaczęła się zastanawiać. Wiatr szarpał jej sukienkę, tak jak szarpałby sukienkę każdej żywej kobiety.

– Nie pamiętam dokładnie – odparła. – Czy to nie dziwne?

– Zważywszy na fakt, że nie pamiętam, kiedy ostatnim razem jadłem jakiś posiłek albo wypłem szklanek wody? Niezbyt dziwne. Gdybyś miała zgadywać, co byś powiedziała? Szybko, bez zastanowienia.

– Tysiąc dziewięćset... osiemdziesiąty ósmy?

David pokiwał głową. Sam obstawiałby 1987.

– Tam w środku widziałem dziewczynę w T-shircie, na którym był napis LICEUM CROWHEART SPRINGS ROCZNIK ZERO TRZY. Skoro miała dość lat, żeby wpuścili ją do tej knajpy...

– W takim razie rok dwa tysiące trzeci musiał być co najmniej trzy lata temu.

– To samo przyszło mi na myśl... – David nagle urwał. – To nie może być rok dwa tysiące szósty... Willa, powiedz? To znaczy dwudziesty pierwszy wiek?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli stukanie pazurów po asfalcie. Tym razem więcej niż jednego zwierzęcia; drogą szły za nimi cztery wilki. Największy z nich, idący z przodu, był tym samym wilkiem, który stanął za Davidem, kiedy ten szedł do Crowheart Springs.

Wszędzie poznałby to zmierzwione czarne futro. Miał teraz bardziej lśniące oczy. W każdym z nich widać było podobną do przygaszonej lampy połówkę księżyca.

– Widzą nas! – zawołała Willa, wpadając w coś w rodzaju ekstazy. – Davidzie, one nas widzą! – Ukłękła na kolano na białej przerywanej linii i wyciągnęła prawą rękę. – No, smyku! Chodź do mnie. – Cmoknęła.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, Willa.

Nie zwracała na niego uwagi, co było całkowicie w jej stylu. Willa miała własne wyobrażenie o różnych sprawach. To ona uparła się jechać z Chicago do San Francisco koleją – ponieważ, jak oznajmiła, chciała zobaczyć, jak uprawia się seks w pociągu. Zwłaszcza takim, który szybko jedzie i trochę się kołysze.

– No, dalej, smyku, chodź do mamusi!

Duży wilk podszedł bliżej, a w ślad za nim jego towarzyszka i ich dwa... mówi się chyba wilczęta? Kiedy zbliżył nozdrza (i wszystkie lśniące zębiska) do smukłej wyciągniętej ręki, przez krótką chwilę księżyc wypełnił w całości jego oczy, zasnuwając je bielmem. I nagle, tuż zanim długi pysk dotknął jej skóry, wilk zaskomlał przeraźliwie i odskoczył do tyłu tak gwałtownie, że przez chwilę stał na tylnych łapach i boksował w powietrzu przednimi, pokazując pluszowy biały brzuch. Inne rozpierzchły się. Duży wilk wykonał zwrot do tyłu i nadal skomląc, uciekł w zarośla z podkulonym ogonem. Reszta pobiegła za nim.

Willa wyprostowała się i popatrzyła na Davida z tak głębokim smutkiem, że nie mogąc znieść jej spojrzenia, wbił wzrok w ziemię.

– I po to wyciągnąłeś mnie na dwór, kiedy słuchałam muzyki? – zapytała. – Żeby pokazać mi, czym teraz jestem? Jakbym tego nie wiedziała!

– Przykro mi, Willo.

– Teraz jeszcze nie, ale będzie ci przykro. – Ponownie potrząsnęła głową. – Chodź, Davidzie.

– Nie jesteś na mnie zła?

– Och, trochę jestem, ale nie mam teraz nic poza tobą i nie pozwolę ci odejść.

Krótko po spotkaniu z wilkami David zauważył leżącą na jezdni puszkę budweisera. Był prawie pewien, że to ta sama, którą kopał przed siebie, aż poleciała w bok, w zarośla. I oto leżała ponownie w tym samym miejscu co na początku... ponieważ ani razu jej oczywiście nie kopnął. Percepcja to nie wszystko, powiedziała Willa, ale percepcja i oczekiwanie razem wzięte? Kiedy się je połączy, można pobić rekord świata.

Kopnął puszkę w zarośla i kiedy minęli to miejsce, obejrzał się i zobaczył ją ponownie na jezdni, tam gdzie jakiś kowboj – jadący być może do „26” – wyrzucił ją przez okno swojego pick-upa. Przypomniał sobie, że w *Hee Haw* – tym starym muzycznym programie z Buckiem Owensem i Royem Clarkiem – nazywali pick-upy kowbojskimi cadillacami.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała go Willa.

– Powiem ci później. Wygląda na to, że mamy sporo czasu.

\* \* \*

Stali w księżycowej poświacie przed stacją kolejową Crowheart Springs, trzymając się za ręce, niczym Jaś i Małgosia przed chatką z czekolady. Długi zielony budynek przybrał w oczach Davida szaropopielaty odcień i chociaż wiedział, że słowa WYOMING i STAN RÓWNOŚCI namalowane są czerwoną białą i niebieską farbą w tym momencie mogły być w dowolnym kolorze. Zauważył zabezpieczoną folią kartkę, przybitą do jednego ze słupków okalających szerokie schodki, które prowadziły do podwójnych drzwi. Phil Palmer nadal opierał się o framugę.

– Hej, poeta, masz peta? – zawołał.

– Przykro mi, panie Palmer – odparł David.

– Chyba miałeś mi przynieść paczkę.

– Po drodze nie było sklepu.

– Nie sprzedawali papierosów tam, gdzie byłaś, laleczko? – zapytał Palmer. Należał do mężczyzn, którzy nazywają laleczkami wszystkie kobiety w pewnym wieku; wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się tego domyślić, i wiadomo było, że kiedy będzie się z nim siedzieć w parne sierpniowe popołudnie, zsunie kapelusz na tył głowy, otrze czoło i powie, że to nie upał, ale wysoka wilgotność.

– Na pewno sprzedawali – odpowiedziała Willa – ale miałabym pewne problemy z ich kupnem.

– Możesz mi powiedzieć dlaczego, skarbie?

– A jak pan myśli?

Lecz Palmer skrzyżował tylko ramiona na wąskiej piersi i nic nie powiedział.

– Na kolację mamy rybę! – zawołała gdzieś z wnętrza stacji jego żona. – Najpierw to, a potem tamto! Nienawidzę zapachu tego miejsca! Meksykańcy!

– Jesteśmy martwi, Phil – poinformował go David. – Dlatego. Duchy nie mogą kupować papierosów.

Palmer przyglądał mu się przez kilka sekund, a potem się roześmiał. David zorientował się, że Palmer nie tylko mu uwierzył, ale wiedział o tym przez cały czas.

– Słyszałem mnóstwo wytłumaczeń, dlaczego ktoś nie przyniósł czegoś, o co go proszono, jednak muszę przyznać, że to bije wszystkie rekordy.

– Phil...

– Ryba na kolację! – dobiegło ze środka. – Niech to jasny szlag!

– Przepraszam, dzieciaki. Obowiązki – powiedział Palmer i odszedł.

David odwrócił się do Willi, czekając, że zapyta go, czego innego się spodziewał, ale ona wpatrywała się w ogłoszenie przy schodach.

– Popatrz na to – mruknęła. – Powiedz mi, co widzisz.

Z początku nie widział nic, bo światło księżyca odbijało się od folii chroniącej kartkę. Stał trochę bliżej i dał krok w lewo, odsuwając Willę.

– Na górze jest napisane Z POLECENIA SZERYFA HRABSTWA SUBLETTE ZABRANIA SIĘ PROWADZENIA DZIAŁALNOŚCI HANDLOWEJ, potem coś drobnym drukiem... bla-bla-bla... a na dole...

Trąciła go łokciem. I nie zrobiła tego zbyt delikatnie.

– Przestań pieprzyć, Davidzie, i spójrz na tą kartkę. Nie chcę tu sterczeć przez całą noc.

*Nie widzisz tego, co masz przed oczyma.*

Odwrócił się plecami do stacji i spojrzał na szyny lśniące w świetle księżyca. Za nimi wznosiła się potężna biała skała z płaskim szczytem – ten tam to ostaniec, kolego, zupełnie jak na starych filmach Johna Forda.

Spojrzał ponownie na przybite do słupka ogłoszenie i nie mieściło mu się w głowie, jak mógł pomylić PROWADZENIE DZIAŁALNOŚCI HANDLOWEJ z PRZEBYWANIEM NA TERENIE, on, wielki zły doradca inwestycyjny, David Pogromca Wilków.

– Tu piszą Z POLECENIA SZERYFA HRABSTWA SUBLETTE ZABRANIA SIĘ PRZEBYWANIA NA TERENIE STACJI – powiedział.

– Bardzo dobrze. A pod tym bla-bla-bla, co napisano?

Z początku w ogóle nie potrafił przeczytać dwóch linijek na dole, stanowiły dla niego po prostu niezrozumiałe symbole, być może dlatego, że jego umysł, który nie chciał w to wszystko wierzyć, nie mógł znaleźć bezbolesnego tłumaczenia. Dlatego zerknął jeszcze raz na tory i nie zdziwił się specjalnie, widząc, że nie lśnią już w świetle księżyca; rdza przeżarła stal, między podkładami rosły chwasty. Kiedy spojrzał ponownie przed siebie, stacja kolejowa była ruiną. Miała okna pozabijane deskami i brakowało większości gontów na dachu. Napis ZAKAZ PARKOWANIA POSTÓJ TAXI zniknął z asfaltu, który był popękany i pełen dziur. Nadal widział z boku budynku napis WYOMING i STAN RÓWNOŚCI, ale litery przypominały teraz zjawy. Tak jak my, pomyślał.

– No, śmiało – powiedziała Willa, która miała swoje podejście do różnych spraw, która widziała to, co miała przed oczyma, i chciała, żeby zobaczyli to inni, nawet jeśli było to okrutne. – To twój ostatni egzamin. Przeczytaj te dwie linijki na dole i będziemy mogli pójść na koncert.

David westchnął.

– Tu napisano: TA NIERUCHOMOŚĆ JEST PRZEZNACZONA DO WYBURZENIA. A niżej: ROZBIÓRKA ZAPLANOWANA NA CZERWIEC DWA TYSIĄCE SIÓDMEGO.

– Masz u mnie piątkę. A teraz zobaczmy, czy ktoś jeszcze chce pójść do miasta i obejrzeć Derailersów. Powiem Palmerowi, żeby spojrzał na to od jaśniejszej strony: nie możemy kupić papierosów, ale ludzie tacy jak my nigdy nie płacą za wstęp.

\* \* \*

Tyle że nikt nie chciał iść do miasta.

– Co to znaczy, że jesteśmy martwi? Dlaczego ona mówi takie okropne rzeczy? – zapytała Ruth Lander i tym, co (by tak rzec) zastrzeliło Davida, nie był jej pełen pretensji ton, lecz spojrzenie, które rzuciła mu, zanim przycisnęła twarz do sztruksowej marynarki Henry’ego. Ponieważ ona też wiedziała.

– Nie mówię tego, żeby cię zdenerwować, Ruth... – odparł.

– Więc przestań! – krzyknęła stłumionym głosem.

Zobaczył, że wszyscy z wyjątkiem Helen Palmer patrzą na niego z gniewem bądź wrogością. Helen kiwała głową i mruczała coś do męża i do kobitki Rhineharta, która miała chyba na imię Sally. Stali pod jarzeniówkami w małych grupkach... tyle że kiedy zamrugał oczyma, jarzeniówki zniknęły. Zagubieni pasażerowie byli po prostu niewyraźnymi postaciami stojącymi w skrawkach księżycowego światła wpadającego przez szpary w zabitych deskami oknach. Landerowie nie siedzieli na ławce, ale na zakurzonej podłodze obok stosu pustych ampułek po cracku – owszem, wyglądało na to, że crack dotarł nawet tutaj, do krainy Johna Forda – a na ścianie obok miejsca, gdzie siedziała w kucki i mruczała Helen Palmer, widniał krąg wyblakłej farby. A potem David zamrugał ponownie i jarzeniówki wróciły. Podobnie jak duży zegar, pod którym był wyblakły krąg.

– Powinieneś chyba sobie pójść, Davidzie – powiedział Henry Lander.

– Posłuchaj mnie przez chwilę, Henry – odezwała się Willa.

Henry spojrział na nią i David zobaczył w jego wzroku wyraźną niechęć. Jeśli Henry darzył kiedyś Willę Stuart sympatią, ten czas należał do przeszłości.

– Nie chcę cię słuchać – oznajmił. – Denerwujesz moją żonę.

– Tak – mruknął tęgi młodzieniec w czapce Seattle Mariners. Nazywał się chyba O’Casey. Jakieś irlandzkie nazwisko z apostrofem w środku. – Przymknij się, dziewczyno!

Willa nachyliła się do Henry’ego, który lekko się od niej odsunął, jakby miała nieświeży oddech.

– Dałam się tu zaciągnąć Davidowi tylko dlatego, że mają zburzyć to miejsce. Wiesz, jak wygląda stalowa kula do wyburzania, Henry? Z pewnością jesteś dość inteligentny, żeby to wiedzieć.

– Każ jej przestać! – zawołała stłumionym głosem Ruth.

Willa pochyliła się jeszcze niżej. Jej oczy lśniły w ładnej, pociągłej twarzy.

– A kiedy zabiorą stąd kulę do wyburzania i ciężarówka wywiozą gruz, który był kiedyś stacją kolejową... tą starą stacją kolejową... gdzie się podziejecie?

– Proszę, zostaw nas w spokoju – powiedział Henry.

– Zaprzeczanie nie jest metodą rozwiązywania problemów, Henry.

Ursula Davis, która nie lubiła Willi od samego początku, dała krok do przodu i wysunęła do przodu podbródek.



– Goń się, ty upierdliwa dziwko.

Willa obróciła się na pięcie.

– Nikt z was jeszcze tego nie załapał? Jesteście martwi, wszyscy jesteśmy martwi, i im dłużej siedzicie w tym miejscu, tym trudniej będzie przenieść się gdzie indziej!

– Ona ma rację – powiedział David.

– Jasne, i kiedy powie, że księżyc jest serem, krzykniecie wszyscy mozzarella – odparła Ursula. Była wysoką, niesamowicie przystojną kobietą około czterdziestki. – Przepraszam za dosadny język, ale zrobiła wam taką wodę z mózgu, że to wcale nie jest zabawne.

Dudley wydał z siebie ponownie ten ośli ryk, a kobitka Rhineharta zaczęła pociągać nosem.

– Wy dwoje denerwujecie pasażerów – oznajmił Rattner, niewysoki konduktor, z przepaszającym uśmiechem na twarzy. Wcześniej prawie się nie odzywał.

David zamrugał, stację znowu spowił półmrok rozjaśniony światłem księżyca, i zobaczył, że Rattner nie ma połowy głowy. To, co zostało z jego twarzy, było spalone na węgiel.

– Zburzą to miejsce i nie będziecie mogli się nigdzie przenieść! – zawołała Willa. – Nigdzie... do kurwy nędzy! – Otarła pięściami płynące jej z oczu łzy gniewu. – Dlaczego nie pójdziecie z nami do miasta? Pokażemy wam drogę. Są tam przynajmniej ludzie... światła... muzyka.

– Chcę posłuchać muzyki, mamó – odezwała się Pammy Andreeson.

– Ćśśś – uciszyła ją matka.

– Gdybyśmy byli martwi, wiedzielibyśmy o tym – powiedział Biggers.

– Tu cię zażył, synu – rzekł Dudley, mrugając porozumiewawczo do Davida. – Co nam się przytrafiło? Jak to się stało, że jesteśmy martwi?

– Nie wiem... – odparł David i spojrział na Willę, która wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

– Widzicie – wtrącił się Rattner. – Pociąg się wykoleił. To się zdarza... chciałem powiedzieć „zawsze”, ale to nieprawda, nawet tutaj, gdzie utrzymanie torów w odpowiednim stanie wymaga sporo pracy. Lecz od czasu do czasu, na tym czy innym rozjeździe...

– Spadaliśmy – powiedziała Pammy Andreeson. David spojrział na nią i przez chwilę widział trupa ze spalonymi włosami, w przegniłych strzępach sukienki. – Spadaliśmy. Coraz niżej i niżej. A potem buch... – W tym momencie z jej gardła wydobył się warkotliwy, grzechoczący dźwięk, po czym złożyła razem małe brudne rączki i szeroko je rozpostarła: gest, który w języku znaków każdego dziecka oznacza eksplozję.

Miała chyba zamiar powiedzieć coś więcej, ale zanim zdołała to zrobić, matka uderzyła ją otwartą dłonią w twarz tak mocno, że na chwilę odsłoniły jej się zęby i z kącika ust trysnęła kropelka śliny. Pammy stała przez moment zszokowana i zaskoczona, a potem zaczęła zawodzić na jedną nutę, jeszcze przenikliwiej, niż robiła to, grając w klasy.

– Co robi ten, kto kłamie, Pamelu? – wrzasnęła Georgia Andreeson, łapiąc dziecko za ramię. Jej palce wbiły się w ciało córki.

– Ona nie kłamie! – powiedziała Willa. – Wypadliśmy z torów i runęliśmy do wąwozu. Teraz to sobie przypomniałam i ty też! Nie pamiętasz? Nie pamiętasz? Widać to na twojej twarzy! Na twojej pieprzonej gębie!

Nie patrząc nawet w jej stronę, Georgia Andreeson pokazała Willi wyciągnięty palec. Drugą ręką potrząsała Pamelą. David widział, jak dziecko leci w jedną stronę, a zwęglone zwłoki w drugą. Co spowodowało pożar? Przypomniał sobie, jak spadali, ale co spowodowało pożar? Nie pamiętał, może dlatego, że nie chciał sobie przypomnieć.

– Co robi ten, kto kłamie?! – krzyczała Georgia Andreeson.

– Popęlnia grzech, mamu! – zachlipało dziecko.

Kobieta zaciągnęła swoją zawodzącą monotonię córkę w mrok. Po ich odejściu nastąpiła chwila ciszy – wszyscy nasłuchiwali, jak matka wlecze Pammy na wygnanie – a potem Willa odwróciła się do Davida.

– Masz już dosyć? – zapytała.

– Tak – odparł. – Chodźmy.

– Nie pchajcie palców między drzwi! – poradził im, nie posiadając się z radości, Biggers, a Dudley głośno zajadłował.

David pozwolił, by Willa poprowadziła go w stronę podwójnych drzwi. O ich framugę nadal opierał się Phil, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. W pewnym momencie David puścił rękę Willi i podszedł do Helen Palmer, która siedziała w kącie, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę. Spojrzała na niego ciemnymi oczyma, które przepelniało zdumienie.

– Na kolację mamy rybę – powiedziała głosem niewiele się różniącym od szeptu.

– Nic o tym nie wiem – odparł – ale miała pani rację co do zapachu. Śmierdzi tutaj starymi Meksykańcami. – Obejrzał się za siebie i zobaczył, że pozostali gapią się na niego i Willę, skąpani w księżycowej poświacie, która jeśli komuś bardzo na tym zależało, mogła zostać uznana za światło jarzeniówek. – Tak chyba śmierdzi w miejscach, które bardzo długo były zamknięte – dodał.

– Lepiej spadaj, mazgaju – rzucił Phil Palmer. – Nikt nie kupi tego, co sprzedajesz.

– Nie musisz mi o tym mówić. – David ruszył w ślad za Willą w mrok.

– Najpierw to, a teraz tamto – usłyszał za sobą podobny do smutnego szumu wiatru głos Helen Palmer.

\* \* \*

Powtórny spacer do „26” zwiększył dystans pokonany przez nich tej nocy do dziewięciu mil, ale David nie był ani trochę zmęczony. Przypuszczał, że duchy się nie męczą, podobnie jak nie czują głodu ani pragnienia. Poza tym noc się zmieniała. Księżyc był teraz w pełni i

świecił wysoko niczym srebrna dolarówka, a parking od frontu był pusty. Na zwirowanym parkingu z drugiej strony stało kilka milczących ciężarówek, a jedna warczała sennie z zapalonymi światłami. Na markizie nad drzwiami widniał napis: W TEN WEEKEND WYSTĄPIĄ NIGHTHAWKS. ZABIERZ SWOJĄ LUBĘ. NIE ŻAŁUJ KASY.

– To miłe – doszła do wniosku Willa. – Zabierzesz mnie, Pogromco Wilków? Czyż nie jestem twoją lubą?

– Jesteś i będziesz. Pytanie, co teraz zrobimy. Bo knajpa jest nieczynna.

– Rzecz jasna wejdziemy do środka.

– Będzie zamknięta.

– Nie będzie, jeśli tego nie zechcemy. Percepcja, pamiętasz? Percepcja i oczekiwanie.

Pamiętał i kiedy nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły. Wewnątrz nadal unosiły się barowe zapachy, teraz zmieszane z przyjemną wonią jakiegoś sosnowego płynu do czyszczenia. Podium było puste, a stołki stały na kontuarze ze sterczącymi w górze nogami, jednak neonowa replika Wind River Range paliła się, ponieważ nie zgasił jej kierownik albo ponieważ chcieli tego on i Willa. To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne. Teraz, kiedy nikt na nim nie tańczył, parkiet wydawał się olbrzymi, zwłaszcza z podwajającą go lustrzaną ścianą. Neonowe pasmo gór odbijało się w wyfroterowanych klepkach. Willa głęboko odetchnęła.

– Czuję zapach piwa i perfum – powiedziała. – Zapach rui. Jest uroczy.

– Ty jesteś urocza – odparł.

– Więc pocałuj mnie, kowboju – poprosiła, odwracając się do Davida.

Pocałował ją na skraju parkietu i sądząc po tym, co czuł, nie można było wykluczyć seksu. Absolutnie nie można było wykluczyć.

Willa pocałowała go w kąciuki ust i dała krok do tyłu.

– Możesz wrzucić monetę do szafy grającej? Chcę zatańczyć.

David podszedł do szafy grającej przy końcu baru, wrzucił do niej ćwierćdolarówkę i wybrał D19 – *Wasted Days and Wasted Nights*, wersję Freddy’ego Fendera. Śpiący na parkingu Chester Dawson, który jechał do Seattle z ładunkiem sprzętu elektronicznego i postanowił kilka godzin odpocząć, uniósł głowę, uznał, że muzyka, którą słyszy, to fragment jego snu, i z powrotem zasnął.

David i Willa sunęli powoli po pustym parkiecie, czasami widząc w lustrze swe odbicia, a czasami ich nie widząc.

– Willa...

– Przez chwilę nic nie mów, Davidzie. Dziecinka chce zatańczyć.

David umilkł. Wtulił twarz w jej włosy i dał się pochłonać muzyce. Pomyślał, że tu zostaną i że od czasu do czasu ludzie będą ich widywać. „26” mogłoby zyskać reputację knajpy nawiedzanej przez duchy, ale niekoniecznie; ludzie raczej nie myślą o duchach, kiedy piją, chyba że piją samotnie. Czasami, po zamknięciu lokalu, barman i ostatnia kelnerka (ta

najważniejsza, odpowiedzialna za podział napiwków) mogliby mieć wrażenie, że są obserwowani. Czasami mogliby słyszeć muzykę, nawet kiedy przestawała grać, albo widzieć, że coś porusza się w lustrze naprzeciwko parkietu lub w sali restauracyjnej. Na ogół tylko kątem oka. David pomyślał, że mogliby trafić w jakieś lepsze miejsce, ale w zasadzie „26” nie była taka zła. Ludzie siedzieli tutaj aż do zamknięcia. I zawsze grała muzyka.

Zastanawiał się, co stanie się z innymi, kiedy stalowa kula rozbije ich złudzenia – bo to przecież nastąpi już wkrótce. Pomyślał o Philu Palmerze, próbującym osłonić swoją przerażoną, wyjąca żonę przed spadającymi szczątkami, które nie mogły jej zranić, ponieważ w gruncie rzeczy nawet jej tam nie było. Pomyślał o Pammy Andreeson, kryjącej się w ramionach wrzeszczącej wniebogłosy matki. O cichym konduktorze Rattnerze, którego apel: „Tylko spokojnie, proszę państwa” zagłusza ryk wielkich żółtych maszyn. Pomyślał o sprzedawcy książek, Biggerze, który kuśtykając, próbuje uciec, chwije się i w końcu pada, kiedy kula uderza w stację, buldożery wgryzają się w ściany i świat wali się w gruzy.

Lubił wyobrazić sobie, że pociąg przyjedzie po nich, zanim do tego dojdzie – że sprawi to ich zbiorowe oczekiwanie – ale nie bardzo chciało mu się w to wierzyć. Przychodziło mu nawet do głowy, że może ich unicestwić sam szok i że po prostu zgasną niczym płomień świecy na silnym wietrze, lecz w to także nie wierzył. Zbyt wyraźnie widział, jak po odjeździe buldożerów, ciężarówek i wywrotek stoją w świetle księżyca przy zardzewiałych torach, a wiatr wieje od gór, owiewając skalisty ostaniec i smagając krzaki żarnowca. Widział, jak kulą się razem pod miliardem świecących nad równiną gwiazd, wciąż czekając na swój pociąg.

– Zimno ci? – zapytała Willa.

– Nie... dlaczego pytasz?

– Zadrzałeś.

– Może gęś przeszła po moim grobie – odparł, po czym zamknął oczy i tańczyli dalej razem na pustym parkiecie. Czasami pojawiali się w lustrze, a kiedy znikali, słychać było tylko piosenkę country rozbrzmiewającą w pustej sali oświetlonej neonowym pasmem gór.

# Piernikowa dziewczyna

## 1

### Sens miało tylko szybkie bieganie

Po śmierci dziecka Emily zaczęła biegać. Z początku dobiegała tylko do końca podjazdu i stawała tam, ściskając dłońmi nogi tuż nad kolanami, potem do końca przecznicy, a wreszcie do sklepiu Kozy'ego u podnóża wzniesienia. Tam kupowała chleb lub margarynę, ewentualnie batoniki Ho Ho albo Ring Ding, jeśli nie przyszło jej na myśl nic innego. Początkowo wracała do domu normalnym krokiem, ale później biegła również w drodze powrotnej. W końcu zrezygnowała z batoników. Okazało się to zaskakująco trudne. Nie wiedziała, że cukier łagodzi smutek. A może batoniki stały się fetyszem. Tak czy inaczej Ho Ho musiały w końcu odejść. I odeszły. Wystarczało samo bieganie. Henry uważał, że to bieganie jest fetyszem, i przypuszczała, że ma rację.

– Co mówi o tym doktor Steiner? – zapytał.

– Doktor Steiner mówi: „biegaj do upadłego, to zwiększy wydzielanie endorfm”. – W rzeczywistości nie wspomniała Susan Steiner o bieganiu, od śmierci Amy nawet u niej nie była. – Mówi, że jeśli chcesz, może to zapisać na recepcie.

Emily zawsze potrafiła zwieść Henry'ego. Nawet po tym, jak zmarła Amy. Możemy mieć następne, powiedziała, siadając obok niego na łóżku, kiedy leżał ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i płynącymi po policzkach łzami.

Jej słowa mu pomogły, i to dobrze, ale nie mogło być mowy o następnym dziecku, skoro towarzyszyło temu ryzyko znalezienia niemowlaka siniego i nieruchomego w kołysce. Nigdy więcej bezowocnego sztucznego oddychania, dzwonienia pod 911 i wysłuchiwanie dyspozytorki powtarzającej: „Niech pani tak nie krzyczy, nie mogę pani zrozumieć”. Ale Henry nie musiał tego wiedzieć, a ona chciała go pocieszyć, przynajmniej na początku. Wierzyła, że to pocieszenie, a nie chleb jest pokarmem życia. Być może kiedyś będzie mogła znaleźć jakieś dla siebie. Na razie wyprodukowała wadliwe dziecko. To było najważniejsze. Nie mogła ryzykować, że coś takiego się powtórzy.

Później zaczęły się bóle głowy. Prawdziwe ataki. Poszła więc do doktora, ale nie do Susan Steiner, lecz do ich lekarza pierwszego kontaktu, doktora Mendeza. Mendez zapisał jej proszek o nazwie zomig. Do gabinetu, gdzie urzędował, pojechała autobusem, a potem

pobiegła do apteki, żeby zrealizować receptę. Następnie potruczała do domu – dwie mile – i gdy tam dotarła, czuła, jakby ktoś wbijał jej w bok stalowe widły, wysoko, między końcem żeber i pachą. Nie pozwoliła, by ją to zaniepokoiło. To był ból, który mija. Poza tym była wyczerpana i miała ochotę się przespać.

Przespała całe popołudnie. Na tym samym łóżku, na którym zmajstrowali Amy i na którym płakał Henry. Kiedy się zbudziła, widziała wirujące w powietrzu upiorne kręgi, wyraźny znak, że zaraz zacznie się to, co nazywała Słynnym Bólem Głowy Em. Łyknęła jedną nową tabletkę i ze zdziwieniem – nawet szokiem – skonstatowała, że ból podkulił ogon i wycofał się. Najpierw w tył głowy, a potem w ogóle. Przyszło jej na myśl, że powinni wynaleźć podobną tabletkę na śmierć dziecka.

Doszła do wniosku, że musi zbadać granice swojej odporności, i podejrzewała, że te badania trochę potrują. Niedaleko domu była szkoła z bieżnią. Zaczęła tam jeździć wczesnym rankiem, zaraz po wyjściu Henry'ego do pracy. Henry nie rozumiał biegania. Jogging, owszem – wiele kobiet uprawiało jogging, żeby zrzucić cztery funty z pośladków, zmniejszyć o dwa cale obwód w biodrach. Ale Em nie miała zbędnych funtów, a poza tym jogging już jej nie wystarczał. Musiała biegać, i to szybko. Sens miało tylko szybkie bieganie.

Parkowała przy bieżni i biegała tak długo, aż nie mogła już przebiec ani jednego jardu, aż jej bezrękawnik uniwersytetu stanowego Florydy był mokry od potu z przodu i z tyłu, aż uginały się pod nią kolana i czasami wymiotowała ze zmęczenia.

Henry się dowiedział. Ktoś zobaczył, jak biegała tam sama o ósmej rano, i mu powiedział. Odbyli na ten temat dyskusję. Dyskusja przerodziła się w kłótnię, która kończy małżeństwo.

– To hobby – oświadczyła.

– Jodi Anderson powiedziała, że biegałaś do upadłego. Bała się, że masz atak serca. To nie jest hobby, Em. To nawet nie fetysz. To obsesja – odparł i spojrzał na nią z wyrzutem. Dopiero trochę później cisnęła w niego książką ale właśnie to ją sprowokowało. To pełne wyrzutu spojrzenie. Nie mogła go dłużej wytrzymać. Henry miał dość pociągłą twarz i pomyślała, że ma w domu owcę. Wysłałam za męża za dorseta rogatego, pomyślała, i teraz przez cały dzień będę słyszała tylko *beeee* i *beeee*.

Spróbowała jednak jeszcze raz przedstawić w rozsądny sposób coś, czego jej zdaniem nie da się rozsądnie wytłumaczyć. Istniało magiczne myślenie; istniało również magiczne postępowanie. Na przykład bieganie.

– Maratończycy biegną do upadłego – powiedziała.

– Planujesz udział w maratonie?

– Może – odparła, ale uciekła w bok wzrokiem. Wyjrzała przez okno, na podjazd. Podjazd ją wzywał. Prowadził do ulicy, a ulica prowadziła w świat.

– Nie – rzekł Henry. – Nie weźmiesz udziału w maratonie. Nie planujesz udziału w maratonie.

Uświadomiła sobie – z poczuciem jaskrawej iluminacji, która towarzyszy odkryciu oczywistości – że to jest istota Henry’ego, jego pierdolona esencja. W ciągu sześciu lat ich małżeństwa zawsze doskonale wiedział, co myślała, czuła i planowała.

Pocieszałam cię, pomyślała – nie z wściekłością, ale czując, jak rodzi się w niej wściekłość. Leżałeś na łóżku i płakałeś, a ja cię pocieszyłam.

– Bieganie jest klasyczną psychologiczną reakcją na odczuwany przez ciebie ból – podjął tym samym poważnym tonem. – To się nazywa techniką uniku, kochanie. Ale jeżeli nie poczujesz bólu, nigdy nie zdołasz...

Wtedy właśnie złapała to, co miała najbliżej pod ręką, czyli broszurowe wydanie *Córki opiekuna wspomnień*. Próbowała przeczytać wcześniej tę książkę i ją odłożyła, ale wziął ją Henry i sądząc po zakładce, był teraz w dwóch trzecich lektury. Ma nawet gust dorseta rogatego, pomyślała i cisnęła w niego książką. Trafiła w ramię. Zszokowany, popatrzył na nią szeroko otwartymi oczyma i wyciągnął rękę. Może tylko po to, żeby ją przytulić, ale kto to może wiedzieć? Kto naprawdę może cokolwiek wiedzieć?

Gdyby wyciągnął rękę chwilę wcześniej, zdołałby chwycić ją za ramię, nadgarstek albo po prostu za T-shirt. Jednak szok spowolnił jego reakcję. Nie złapał jej, a ona puściła się biegiem, zwalniając tylko po to, by złapać swoją saszetkę, która leżała na stoliku przy drzwiach frontowych. Pobiegła podjazdem do ulicy. A potem w dół wzniesienia, tam gdzie chodziła przez krótki okres na spacer z dzieckiem, razem z innymi matkami, które jej teraz unikały. Tym razem nie miała zamiaru się zatrzymać ani nawet zwolnić. Ubrana tylko w szorty, tenisówki i T-shirt z napisem RATUJCIE CHEERLEADERKE, Emily wybiegła w świat. Pędząc w dół, założyła pasek z saszetką i zatrzasnęła klamrę. Co czuła?

Euforię. Wypełniającą ją energię.

Przebiegła przez miasto (dwie mile w dwadzieścia dwie minuty), nie zatrzymując się nawet na czerwonych światłach; kiedy się zapalały, przebierała nogami w miejscu. Dwaj chłopcy w odkrytym mustangu – pogoda zapowiadała się w sam raz na kabriolet – minęli ją na rogu Main i Eastern Street. Jeden z nich gwizdnął. Em pokazała mu wyciągnięty palec. Chłopak roześmiał się, klasnął w dłonie i mustang odjechał Main Street.

Nie miała dużo gotówki, ale w saszetce były dwie karty kredytowe. Lepsza była American Express, bo mogła na nią dostać czeki podróżne.

Zdała sobie sprawę, że nie wróci do domu, przynajmniej na razie. I kiedy ta świadomość zamiast smutku zrodziła w niej poczucie ulgi – być może nawet ekscytację uciekinierki – domyśliła się, że to nie jest chwilowa sprawa.

Weszła do hotelu Morris, żeby skorzystać z telefonu, i nagle pod wpływem impulsu postanowiła wynająć pokój. Czy mają coś na jedną noc? Mieli. Dała recepcjoniście swoją kartę AmEx.

– Chyba nie potrzebuje pani boya – powiedział facet, patrząc na jej szorty i T-shirt.

– Nie miałam czasu się spakować.

– Rozumiem – odparł tonem wskazującym, że nic nie rozumie. Wzięła klucz, który przesunął w jej stronę, i ruszyła przez szeroki hol w stronę wind, powstrzymując się, żeby nie pobiec.

## 2

### Masz taki głos, jakbyś płakała

Chciała kupić sobie trochę ciuchów – kilka spódniczek, kilka bluzek, dwie pary dżinsów, jeszcze jedno szorty – ale przed zakupami musiała zatelefonować – do Henry’ego i do ojca. Jej ojciec mieszkał w Tallahassee. Uznała, że najpierw zadzwoni do niego. Nie mogła sobie przypomnieć jego telefonu służbowego – pracował w kolumnie transportowej – ale pamiętała numer komórki. Odebrał po pierwszym dzwonku. W tle usłyszała silnik na wysokich obrotach.

– Em! Co u ciebie?

To powinno być trudne pytanie, jednak nie było.

– Wszystko w porządku, tato. Ale jestem w hotelu Morris. Chyba opuściłam Henry’ego.

– Na dobre czy tylko na próbę?

Nie wydawał się zaskoczony – łapał wszystko w lot; za to właśnie go kochała – lecz silnik w tle zmniejszył obroty, a potem ucichł. Domyśliła się, że ojciec wchodzi do swojego gabinetu, zamyka za sobą drzwi, być może bierze do ręki jej stojącą na zagrożonym biurku fotografię.

– Nie mogę jeszcze powiedzieć. W tym momencie nie wygląda to najlepiej.

– O co poszło?

– O bieganie.

– Bieganie?

Em westchnęła.

– Niezupełnie. Wiesz, że czasami nie chodzi o to, o czym się mówi, ale o coś innego. O całą masę zupełnie innych rzeczy.

– O dziecko. – Od śmierci łóżeczkowej jej ojciec nie wymawiał imienia Amy. Teraz było to po prostu „dziecko”.

– I o sposób, w jaki sobie z tym radzę. Którego Henry nie potrafi zaakceptować. Uświadomiłam sobie, że chciałabym radzić sobie z różnymi sprawami tak, jak ja tego chcę.

– Henry to dobry człowiek, ale w specyficzny sposób patrzy na różne sprawy. To nie ulega wątpliwości.

Em czekała.

– Co mogę dla ciebie zrobić?



Powiedziała mu. Zgodził się. Wiedziała, że to zrobi, ale dopiero kiedy wszystkiego się od niej dowie. Chodziło głównie o to, że musiał jej wysłuchać, a Rusty Jackson był w tym dobry. Nie awansowałby z funkcji jednego z trzech mechaników w kolumnie transportowej do grona być może czterech najważniejszych osób w kampusie Tallahassee (i nie usłyszała tego od niego: nigdy nie mówił takich rzeczy ani jej, ani nikomu innemu), gdyby nie umiał słuchać.

– Poślę Mariette, żeby wysprzątała dom – powiedział.

– Nie musisz tego robić, tato. Umieję posprzątać.

– Chcę to zrobić – odparł. – Domowi należą się generalne porządki. Cholerna chałupa stoi zamknięta prawie od roku. Nie jeździłem do Vermillion od śmierci twojej matki. Wychodzi na to, że zawsze mam tu coś ważnego do roboty.

Matka Em też nie była już dla niego Debrą. Od pogrzebu (rak jajnika) była po prostu „twoją matką”.

Na pewno nie masz nic przeciwko? – chciała w tym momencie powiedzieć Em, lecz o coś takiego można zapytać obcą osobę, która wyświadcza ci uprzejmość. Albo ojca, który ma nieco inny charakter.

– Jedziesz tam, żeby pobiegać? – Wyczuła w jego tonie uśmiech. – Jest tam kawał plaży. I całkiem długi odcinek drogi. Jak dobrze wiesz. I nie będziesz musiała obijać się o ludzi. Do października w Vermillion jest spokojnie jak nigdy.

– Jadę tam, żeby pomyśleć. I chyba... zakończyć żałobę.

– W takim razie w porządku. Chcesz, żebym zarezerwował ci lot?

– Umieję to zrobić.

– Nie miałem co do tego wątpliwości. Dobrze się czujesz, Emmy?

– Tak.

– Masz taki głos, jakbyś płakała.

– Troszeczkę – odparła, ocierając policzki. – To wszystko wydarzyło się bardzo szybko. – Jak śmierć Amy, mogłaby dodać. Która umarła jak prawdziwa mała dama; bez jednego pisku monitora. Wychodź cicho, nie trzaskaj drzwiami, powtarzała często matka Em, kiedy Em była nastolatką.

– Henry nie przyjdzie do hotelu i nie będzie ci się naprzykrzał?

Usłyszała krótkie, delikatne zawahanie, nim użył słowa „naprzykrzał”, i uśmiechnęła się mimo łez, które płynęły jej z oczu dość rzęsiście.

– Jeżeli pytasz, czy ma zamiar tu przyjść i mnie pobić... to nie w jego stylu.

– Człowiek czasami zmienia styl, kiedy żona opuszcza go... żeby pobiegać.

– Ale nie Henry – odparła. – To nie jest człowiek, który sprawiałby kłopoty.

– Na pewno nie chcesz przyjechać najpierw do Tallahassee?

Zawahała się. Częściowo chciała, ale...

– Potrzebuję trochę czasu dla siebie, zanim zrobię cokolwiek innego. To wszystko wydarzyło się bardzo szybko – powtórzyła, chociaż podejrzewała, że dojrzała już od pewnego czasu. Mogło nawet tkwić w DNA ich małżeństwa.

– W porządku. Kocham cię, Emmy.

– Ja też cię kocham, tato. Dziękuję. – Przełknęła ślinę. – Bardzo ci dziękuję.

\* \* \*

Henry nie sprawiał kłopotów. Nie zapytał nawet, skąd dzwoni.

– Może nie tylko ty potrzebujesz trochę czasu dla siebie – powiedział. – Może tak będzie lepiej.

Powstrzymała pragnienie – które uderzyło ją jako jednocześnie normalne i absurdalne – żeby mu podziękować. Milczenie wydawało się najlepsze. To, co powiedział później, utwierdziło ją w przekonaniu, że dobrze zrobiła.

– Do kogo zadzwoniłaś o pomoc? Do króla kolumny samochodowej?

Tym razem opanowała się, żeby nie zapytać, czy zadzwonił już do swojej matki. Wzajemne docinki nigdy niczego nie rozwiązywały.

– Jadę do Vermillion – powiedziała. Miała nadzieję, że spokojnie. – Tato ma tam domek.

– Tę plażową budkę. – Słyszała niemal, jak jej mąż marszczy nos. Podobnie jak batoniki Ho Ho oraz Twinkies, domy, które miały tylko trzy pokoje i zero garażu, nie mieściły się w systemie wierzeń Henry’ego.

– Zadzwonię do ciebie, kiedy tam dotrę.

Nastąpiło długie milczenie. Wyobraziła sobie, jak Henry walczy z ogarniającym go gniewem, z głową opartą o ścianę kuchni i dłonią ściskającą słuchawkę telefonu tak mocno, aż bieleją mu knykcie. Walczy z nim z powodu szczęściu w większości dobrych lat, które razem spędzili. Miała nadzieję, że mu się uda. Jeśli rzeczywiście to właśnie teraz robił.

Kiedy się ponownie odezwał, wydawał się spokojny, ale wyczerpany.

– Masz swoje karty kredytowe?

– Tak. I nie będę z nich nadmiernie korzystać. Ale chcę moją połowę... – Przerwała i przygryzła wargę. O mało nie nazwała swojej zmarłej córki dzieckiem, a to nie byłoby w porządku. Może było w porządku dla jej ojca, lecz nie dla niej. Zaczęła od nowa. – Chcę moją połowę pieniędzy na studia Amy. Pewnie nie ma ich za dużo, ale...

– Jest więcej, niż myślisz – odparł. W jego głosie znowu zabrzmiało zdenerwowanie. Nie utworzyli tego funduszu po urodzeniu Amy ani nawet po zajściu Em w ciążę, ale zaraz po pierwszych próbach spłodzenia dziecka. Próby trwały cztery lata i zanim Emily w końcu zaszła w ciążę, zaczęli już napomykać o leczeniu bezpłodności. Albo o adopcji. – Te inwestycje nie okazały się po prostu dobre, to był prawdziwy uśmiech fortuny, zwłaszcza

akcje firm software'owych. Mort wykupił je w odpowiednim czasie i w odpowiednim czasie sprzedał. Nie będziesz chciała zarzynać kury znoszącej złote jajka.

Znowu mówił jej, co powinna, a czego nie powinna robić.

– Dam ci adres, jak tylko będę go miała. Rób, co chcesz, ze swoją połową ale moją zamień na gotówkę.

– Nadal w biegu – mruknął i chociaż ten jego profesorski, chłodny ton sprawił, że miała ochotę rzucić w niego kolejną książką – tym razem w twardej oprawie – zachowała milczenie.

W końcu westchnął.

– Słuchaj, Em, mam zamiar wyjść na parę godzin. Wróć i weź ubrania i co tam chcesz. Zostawię ci trochę pieniędzy na toaletce.

Przez moment kusilo ją żeby się zgodzić; a potem przypomniała sobie, że zostawianie pieniędzy na toaletce to coś, co robią mężczyźni, kiedy chodzą na kurwy.

– Nie – powiedziała. – Chcę zacząć wszystko od nowa.

– Em. – W słuchawce zapadła długa cisza. Domyśliła się, że walczy z emocjami, i to sprawiło, że znowu stanęły jej w oczach łzy. – Czy to już koniec z nami?

– Nie wiem. – Starła się, żeby nie załamał jej się głos. – W tej chwili trudno coś powiedzieć.

– Gdybym miał zgadywać – mruknął – powiedziałbym, że tak. To, co się dzisiaj stało, świadczy o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że zdrowa kobieta może przebiec długi dystans.

– Zadzwoń do ciebie – powiedziała.

– A po drugie, że jeśli chodzi o małżeństwo, żywe dzieci są klejem. Martwe są kwasem.

To zraniło ją bardziej niż cokolwiek innego, co mógł powiedzieć, ponieważ zredukowało Amy do brzydkiej metafory. Em nie mogłaby czegoś takiego powiedzieć. Nie sądziła, by była do tego kiedykolwiek zdolna.

– Zadzwoń do ciebie – powtórzyła i rozłączyła się.

### 3

#### **Vermillion Key leżał otumaniony i kompletnie opustoszały**

I tak Emily Owensby pobiegła do końca podjazdu, a potem w dół, do sklepiku Kozy'ego i bieżnią przy szkole Cleveland South. Dobiegła do hotelu Morris. Zrzuciła z siebie małżeństwo, tak jak kobieta zrzuca z nóg sandały, gdy postanawia sobie odpuścić i pobiec szybciej. Następnie pobiegła (z pomocą Southwest Airlines) do Fort Myers na Florydzie, gdzie wynajęła samochód i pojechała na południe do Naples. Vermillion Key leżał otumaniony i kompletnie opustoszały w czerwcowej spiekocie. Droga, która prowadziła wzdłuż plaży od mostu zwodzonego do podjazdu ojca, miała dwie mile długości. Przy końcu podjazdu stała niepomalowana plażowa budka, obskurna rudera z niebieskim dachem i

łuszczącymi się niebieskimi okiennicami z zewnątrz oraz klimatyzacją i komfortowym wyposażeniem w środku.

Kiedy Em zgasiła silnik nissana avisa, słyhać było tylko załamujące się na pustej plaży fale i przerażonego ptaka, który krzyczał gdzieś w pobliżu *Uch-och! Uch-och!*

Em położyła głowę na kierownicy i przez pięć minut płakała, pozwalając, by uszło z niej całe napięcie i stres ostatniego półrocza. W każdym razie próbowała to zrobić. W zasięgu głosu nie było nikogo oprócz krzyżącego *Uch-och! Uch-och!* ptaka. Kiedy przestała w końcu płakać, zdjęła T-shirt i wytarła wszystko: smarki, pot i łzy. Wytarła się do miejsca, gdzie zaczynał się jej prosty szary sportowy biustonosz. A potem podeszła do domu. Pod jej tenisówkami zachrząściły muszle i fragmenty koralu. Kiedy pochyliła się, żeby wyjąć klucz z pudełka po pastylkach na ból gardła, schowanego pod mimo-wszystko-uroczym ogrodowym krasnałem w spłowiałym czerwonym kapturku, uświadomiła sobie nagle, że od ponad tygodnia nie bolała jej głowa. Co ją ucieszyło, ponieważ jej zomig był ponad tysiąc mil stąd.

Piętnaście minut później biegła plażą, ubrana w szorty i jedną ze starych koszul ojca.

\* \* \*

Przez następne trzy tygodnie jej życie toczyło się według prostego wzoru. Na śniadanie wypijała kawę i sok pomarańczowy, na lunch zjadała wielką porcję zielonej sałatki, a na kolację pożerała gotowe dania Stouffera, najczęściej makaron z serem albo siekaną wołowinę na grzance – którą jej ojciec nazywał gównem na desce. Węglowodany bardzo się przydały. Rano, kiedy było chłodno, biegła na bosaka wzdłuż plaży, przy samej wodzie, gdzie piasek był twardy i w zasadzie bez muszelek. Po południu, kiedy panował upał (i często padało), biegła drogą, która przeważnie była zacieniona. Czasami przemakała do suchej nitki. Biegła wówczas w deszczu, często się uśmiechając, niekiedy nawet się śmiejąc, a po powrocie rozbierała się w sieni i wrzucała mokre ubranie do pralki, która stała tylko trzy kroki od prysznicza.

Z początku przebiegała dwie mile plażą i jedną milę drogą. Po trzech tygodniach robiła trzy mile plażą i dwie drogą. Rusty Jackson, którego zainspirowała jakaś stara piosenka, lubił nazywać swoją pustelnię Małą Trzciniową Chatką. Stała na północnym krańcu wyspy i nie przypominała z wyglądu żadnego innego domu na Vermillion; całą resztę zagarnęli bogaci, superbogaci oraz na południowym krańcu, gdzie stały trzy McPałace, absurdalnie bogaci. Kiedy biegła drogą, mijały ją czasem ciężarówki załadowane sprzętem ogrodniczym, ale nigdy samochody osobowe. Mijane przez nią domy były zamknięte, a podjazdy zagrodzone, i miały takie pozostać aż do października, kiedy pojawiali się pierwsi właściciele. Zaczęła je na własny użytek nazywać: ten z kolumnami był Tarą, temu za wysokim żelaznym ogrodzeniem nadała nazwę Club Fed, ten za brzydkim szarym betonowym murem był Bunkrem. Jedyny

mniejszy budynek, zasłonięty w większości przez palmy, został Domkiem Trolli, które – jak sobie wyobrażała – odżywiały się ciasteczkami Troll House.

Na plaży widywała czasami wolontariuszy ze służby ochrony żółwi i wkrótce zaczęła ich pozdrawiać po imieniu. „Hej, Em”, odpowiadali, kiedy koło nich przebiegała. Rzadko spotykała kogoś innego, chociaż raz przeleciał nad nią helikopter. Pasażer – młody mężczyzna – wychylił się i jej pomachał. Em też mu pomachała, z twarzą bezpiecznie schowaną pod daszkiem czapki drużyny Noles.

Robiła zakupy w Publix, pięć mil dalej na północ, przy drodze numer 41. Gdy wracała do domu, zatrzymywała się często przy antykwariacie Bobby’ego Tricketta, który choć znacznie większy od pustelni jej ojca, także sprawiał wrażenie nadmorskiej budki. Kupowała tam stare kryminały Raymonda Chandlera i Eda McBaina z kartkami zbrązowiałymi na brzegach i pożółkłymi w środku, pachnące słodko i nostalgicznie zupełnie jak stary ford kombi z drewnianą karoserią, którego zobaczyła na drodze numer 41 z przywiązanymi do dachu dwoma ogrodowymi fotelami i wystającą z tyłu sponiewieraną do niemożliwości deską surfingową. Nie musiała kupować żadnych książek Johna D. MacDonalda; ojciec miał całą jego kolekcję na półkach zbitych ze skrzynek po pomarańczach.

Pod koniec lipca przebiegała sześć, a czasem siedem mil dziennie – cykli zmieniły się jej w orzeszki, a tylek praktycznie znikł – i zastawiła dwie puste półki taty książkami w rodzaju *Umarłe miasto* i *Sześć niegodziwości*. Telewizor nigdy nie był włączany wieczorem, nawet na prognozę pogody. Stary pecet ojca stał nieużywany. Nigdy nie kupiła gazety.

Ojciec dzwonił co drugi dzień, ale przestał pytać, czy chce, żeby „się wyrwał” i do niej przyjechał, gdy oznajmiła, że kiedy będzie gotowa się spotkać, sama mu o tym powie. Powiedziała, że nie ma nastrojów samobójczych (prawda), nie jest nawet w depresji (nieprawda) i dobrze się odżywia. To wystarczyło Rusty’emu. Zawsze byli wobec siebie szczerzy. Wiedziała, że latem miał zawsze mnóstwo roboty – wszystko, z czym wstrzymywano się, kiedy dzieciaki włóczyły się po całym kampusie (który nazywał stale fabryką), trzeba było zrobić między piętnastym czerwca i piętnastym września, gdy na miejscu byli tylko letni studenci i uczestnicy zorganizowanych przez administrację konferencji.

Poza tym miał przyjaciółkę o imieniu Melody. Em nie lubiła do nich jeździć – dziwnie się czuła w jej obecności – ale wiedziała, że tata jest z nią szczęśliwy, i zawsze pytała, jak się czuje Melody. Świetnie, odpowiadał niezmiennie. Mel jest zdrowa jak ryba.

Raz zadzwoniła do Henry’ego i raz Henry zadzwonił do niej. Tego wieczoru, kiedy to zrobił, Em odniosła wrażenie, że był wstawiony. Zapytał ponownie, czy między nimi wszystko skończone, a ona ponownie odparła, że nie wie, ale to było kłamstwo. Chyba kłamstwo.

W nocy spała, jakby pograżyła się w śpiączce. Na początku miała złe sny – bez przerwy śnił jej się ten ranek, kiedy znaleźli Amy martwą. W niektórych snach jej dziecko robiło się

czarne niczym zgniła truskawka. W innych – te były gorsze – Amy dusiła się i ratowali ją, stosując sztuczne oddychanie. Były gorsze, bo po obudzeniu uświadamiała sobie, że Amy jednak nie żyje. Obudziła się raz z takiego snu w trakcie burzy z piorunami i ześliznęła naga z łóżka na podłogę. Płakała z łokciami opartymi o kolana i wbitymi w policzki dłońmi, które wykrzywiały jej twarz niczym w uśmiechu, podczas gdy błyskawice migotały nad zatoką malując niebieskie wzory na ścianie.

W miarę jak zmuszała się do coraz większego wysiłku – badając owe osławione granice wytrwałości – sny zniknęły albo przestała je zapamiętywać. Budziła się nie tyle odświeżona, ile wewnętrznie odblokowana. I chociaż każdy dzień był w zasadzie podobny do poprzedniego, każdy zaczął się wydawać czymś nowym – czymś niezależnym – a nie przedłużeniem tego, co było wcześniej. Budząc się któregoś ranka, zdała sobie sprawę, że śmierć Amy zaczyna stawać się czymś, co się wydarzyło, a nie czymś, co się dzieje.

Postanowiła poprosić ojca, żeby przyjechał – i jeśli chce, zabrał ze sobą Melody. Poczęstuje ich wykwinnym obiadem. Mogli na jakiś czas zostać (to w końcu jego dom). A potem zacznie się zastanawiać, co zrobić ze swoim prawdziwym życiem, tym, które czekało na nią po drugiej stronie zwodzonego mostu: co chce zatrzymać, a co wyrzucić.

Doszła do wniosku, że niedługo do niego zadzwoni. Za tydzień. Najpóźniej za dwa. Odpowiednia pora jeszcze nie nadeszła, ale była blisko. Bardzo blisko.

## 4

### **Niezbyt miły facet**

Pewnego popołudnia, niedługo po tym, jak skończył się lipiec i zaczął sierpień, Deke Hollis powiedział jej, że ma na wyspie towarzystwo. Nazywał zawsze Vermillion wyspą, nigdy rafą.

Deke był ogorzałym pięćdziesięciolatkiem, a może nawet siedemdziesięciolatkiem. Wysoki i chudy, nosił sfatygowany słomiany kapelusz, który wyglądał jak odwrócony talerz od zupy. Od siódmej rano do siódmej wieczorem obsługiwał most zwodzony między Vermillion i stałym lądem. Robił to od poniedziałku do piątku. W weekendy jego obowiązki przejmował „dzieciak” (mający około trzydziestki). Gdy Em podbiegała czasami do mostu i widziała, że w starym trzcinowym fotelu przed stróżówką siedzi dzieciak zamiast Deke’a i czyta „Maxima” albo „Popularną mechanikę”, a nie „New York Timesa”, uświadamiała sobie z zaskoczeniem, że jest znowu sobota.

Jednak tego popołudnia na posterunku ujrzała Deke’a. Kanał między Vermillion i stałym lądem – określany przez niego mianem gardzieli (domyślała się, że chodzi mu o gardziel), był pusty i ciemny pod ciemnym niebem. Na balustradzie mostu od strony zatoki stała czapla, medytując albo wypatrując ryb.

– Towarzystwo? – zdziwiła się Em. – Nie mam żadnego towarzystwa.

– Nie miałem tego na myśli. Wrócił Pickering. Spod numeru trzysta sześćdziesiątego szóstego. Przywiózł jedną ze swoich „bratanic”. – Deke przewrócił niebieskimi oczami – do tego stopnia wyblakłymi, że wydawały się niemal bezbarwne – żeby podkreślić cudzysłów, którym opatrzył słowo „bratanice”.

– Nikogo nie widziałam – powiedziała Em.

– Jasne – zgodził się Deke. – Przejechał tym swoim wielkim czerwonym mercem mniej więcej godzinę temu, kiedy dopiero wiązałaś sznurowadła. – Pochylił się do przodu i gazeta zachręściła, przyciśnięta jego płaskim brzuchem. Zobaczyła, że rozwiązał już połowę krzyżówki. – Co rok inna bratanica. Zawsze młoda. Czasami dwie bratanice, jedna w sierpniu, druga we wrześniu – dodał po chwili.

– Nie znam go – powiedziała Em. – I nie widziałam żadnego czerwonego mercedesa. – Nie wiedziała także, który dom ma numer 366. Przyglądała się samym budynkom, ale rzadko zwracała uwagę na skrzynki pocztowe. Z wyjątkiem naturalnie tej z numerem 219, która na szczycie miała stojące w rzędzie drewniane ptaki. (Stojący w głębi dom był oczywiście Ptaszarnią).

– Nieważne – odparł Deke. Tym razem zamiast przewrócić oczyma, opuścił kąciki ust, jakby miał w nich coś niesmacznego. – Przywozi je tutaj mercedesem, a potem odwozi do St. Petersburga swoją łodzią. Wielkim białym jachtem. Nazywa się „Playpen”. Przepłynął kanałem dziś rano. – Kąciki jego ust ponownie się wykrzywiły. Gdzieś daleko zagrzmiało. – Bratanice zwiedzają dom, potem wypływają na wycieczkę jachtem i nie widzimy Pickeringa aż do stycznia, kiedy w Chicagolandzie robi się zimno.

Em widziała być może przycumowany przy brzegu biały jacht podczas porannej przebieżki po plaży, ale nie była tego pewna.

– Za dzień albo dwa... może za tydzień... przyśle tu dwóch facetów i jeden z nich odwiezie mercedesa tam, gdzie go trzyma. Pewnie w okolicy prywatnego lotniska w Naples.

– Musi być bardzo bogaty – rzekła Em. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyła z Dekiem, w dodatku dość interesująca, lecz mimo to zaczęła truchtać w miejscu. Częściowo, żeby nie zesztyniały jej mięśnie, ale przede wszystkim dlatego, że ciało wzywało ją do biegu.

– Bogaty jak Scrooge McDuck, ale mam wrażenie, że Pickering nie jest dusigroszem. Wydaje szmal na rzeczy, których wujek Scrooge nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Słyszałem, że zarobił na jakimś komputerowym biznesie. – Zmrużył oczy. – Tak jak oni wszyscy, prawda?

– Chyba tak – odparła, wciąż truchtając w miejscu. Znowu zagrzmiało, tym razem bardziej stanowczo niż poprzednio.

– Wiem, że się pani spieszy, ale nie rozmawiam z panią bez powodu. – Deke złożył gazetę, położył ją obok starego trzcinowego fotela i postawił na niej filizankę, żeby nie

porwał jej wiatr. – Normalnie nie wypowiadam się na temat ludzi mieszkających na wyspie... wielu z nich to bogacze i nie zagrzałbym długo miejsca, gdybym miał jęzorem, jednak lubię cię, Emmy. Trzymasz się na uboczu, ale nie zadzieraszą nosa. Poza tym lubię twojego ojca. Wypiliśmy razem niejedno piwo.

– Dzięki – powiedziała. Była wzruszona. I uśmiechnęła się, ponieważ przysła jej do głowy pewna myśl. – Czy tato poprosił, żeby miał pan na mnie oko? – zapytała.

Deke potrząsnął głową.

– Nigdy by tego nie zrobił. Nigdy by o to nie poprosił. To nie w stylu R.J. Ale powiedziałby pani to samo co ja: Jim Pickering to niezbyt miły facet. Trzymałbym się od niego z daleka. Gdyby zaprosił panią na drinka albo nawet tylko na filiżankę kawy z nim i nową „bratanicą”, odmówiłbym. A gdyby zaprosił panią na przejażdżkę łodzią, zdecydowanie bym odmówił.

– Nie jestem zainteresowana przejażdżkami łodzią – odparła. Interesowało ją zakończenie tego, co miała do zrobienia w Vermillion Key. Czowała, że zostało jej bardzo niewiele. – I lepiej pobiegę już z powrotem, zanim zaczną padać.

– Nie powinno padać przed piątą – ocenił Deke. – Ale nawet jeśli się mylę, nie sądzę, żeby coś się pani stało.

Emily znowu się uśmiechnęła.

– Też tak podejrzewam. Wbrew popularnej opinii kobiety nie rozpuszczają się na deszczu. Powiem tacie, że pana spotkałam.

– Niech pani to zrobi. – Deke pochylił się, żeby podnieść gazetę, a potem znieruchomiał i spojrzał na nią spod swojego śmiesznego kapelusza. – A jak się pani właściwie czuje?

– Lepiej – odparła. – Z każdym dniem coraz lepiej. – Odwróciła się i zaczęła biec z powrotem drogą do Małej Trzciny Chatki. Uniosła rękę na pożegnanie i kiedy to zrobiła, czapła, która siedziała wcześniej na balustradzie mostu zwodzonego, przeleciała obok niej, trzymając rybę w długim dziobie.

\* \* \*

Okazało się, że numer trzysta sześćdziesiąty szósty to Bunkier i po raz pierwszy od jej przyjazdu do Vermillion brama była uchylona. A może była uchylona już wcześniej, kiedy biegła w stronę mostu? Nie pamiętała, lecz od pewnego czasu zaczęła nosić zegarek, nieporęczny gadżet z wielkim cyfrowym wyświetlaczem, żeby móc sobie mierzyć czas. Mijając bramę, pewnie na niego patrzyła.

Nie zamierzała wcale zwalniać – nadciągała burza – ale nie miała w końcu na sobie zamszowej spódniczki od Jill Anderson za tysiąc dolców, tylko zestaw z Athletic Attic: szorty i T-shirt ze znakiem Nike'a. Poza tym co takiego powiedziała Deke'owi? Kobiety nie



rozpuszczają się na deszczu. Dlatego zwolniła, zakręciła i zajrzała do środka. Ze zwykłej ciekawości.

Wydawało jej się, że zaparkowany na dziedzińcu mercedes to 450 SL, ponieważ jej ojciec miał podobnego, ale jego był teraz dość stary, a ten wyglądał na fabrycznie nowy, landrynkowo czerwony, z karoserią lśniącą pod ciemniejącym niebem. Z otwartego bagażnika zwisały długie blond włosy, na których dostrzegła krew.

Czy Deke powiedział, że Pickeringowi towarzyszyła blondynka? To pytanie od razu sobie zadała i była tak zszokowana, tak kurewsko zdumiona, że nie powinno to wcale dziwić. Wydawało się to całkiem rozsądnym pytaniem i odpowiedź brzmiała: nie, Deke nie powiedział. Mówił tylko, że była młoda i że to bratanica, przewracając przy tym oczyma.

Zagrzmiało. Teraz już prawie nad jej głową. Dziedziniec był pusty, jeśli nie liczyć samochodu (i blondynki w bagażniku). Dom też wydawał się opustoszały: zamknięty na głucho i bardziej niż kiedykolwiek podobny do bunkra. Tego wrażenia nie łagodziły nawet kołyszące się wokół niego palmy.

Em wydawało się, że słyszy jęk. W ogóle się nie zastanawiając, pobiegła przez bramę do samochodu. Dziewczyna w bagażniku nie mogła jęknąć. Chociaż jej oczy były otwarte, miała rany od noża co najmniej w kilkudziesięciu miejscach i gardło poderżnięte od ucha do ucha.

Em stała, zaglądając do bagażnika, zbyt zszokowana, by się poruszyć, zbyt zszokowana, by nawet odetchnąć. Nagle przyszło jej do głowy, że to nie jest prawdziwa martwa dziewczyna, to tylko filmowy rekwizyt. Chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał, że to bzdura, ta część jej umysłu, która specjalizowała się w racjonalizacjach, uczepliła się skwapliwie tej wersji. Wymyśliła nawet całą historyjkę, by ją uprawdopodobnić. Deke nie lubił Pickeringa i kobiet, które mu towarzyszyły. No więc wyobraźcie sobie, że Pickering też nie lubił Deke'a! To nic innego jak wymyślny psikus. Pickering przejedzie przez most z umyślnie uchylonym bagażnikiem, spod którego klapy będą wystawały te fałszywe blond włosy i...

Z bagażnika dobywał się jednak smród – kału i krwi. Em wyciągnęła rękę i dotknęła policzka pod wytrzeszczonym okiem. Był zimny, ale to była skóra. O Boże, ludzka skóra.

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Czyjeś kroki. Zaczęła się obracać i coś spadło jej na głowę. Nie poczuła bólu, ujrzała tylko jaskrawą biel, która spowiła cały świat. A potem świat pociemniał.

## 5

### **Wyglądało to tak, jakby próbował się z nią pobawić w koci, koci, łapci**

Kiedy się ocknęła, siedziała przymocowana taśmą do krzesła w dużej kuchni, w której były okropne stalowe urządzenia: zlewozmywak, lodówka, zmywarka oraz piekarnik wyglądający jak coś, co powinno się znaleźć na wyposażeniu restauracji. Tylna część jej

głowy wysyłała długie, powolne fale bólu do przedniej części. Zrób coś z tym, mówiła każda z nich. Zrób coś z tym!

Przy zlewozmywaku stał wysoki szczupły mężczyzna w szortach khaki i starej czerwonej golfowej koszulce. W bezlitosnym świetle kuchennych jarzeniówek zobaczyła pogłębiające się kurze łapki w kąciu jego oka i krótko obcięte włosy, przyprószone siwizną na skroniach. Dawała mu mniej więcej pięćdziesiąt lat. Mył w zlewie kłutą ranę, którą miał na ramieniu tuż pod łokciem.

Nagle obrócił głowę ze zwierzęcą szybkością, która sprawiła, że ścisnęło ją w żołądku. Błękit jego oczu był znacznie wyraźniejszy od błękitu oczu Deke'a Hollisa. Nie ujrzała w nich nic, co świadczyłoby o zdrowiu psychicznym, i jeszcze bardziej upadła na duchu. Na podłodze – która miała ten sam brzydki szary kolor co ściany zewnętrzne, tyle że nie była betonowa, a wyłożona terakotą – widniała ciemna wilgotna smuga szerokości mniej więcej dziewięciu cali. Em pomyślała, że to chyba krew. Łatwo było sobie wyobrazić pozostawiające ją jasne włosy dziewczyny, którą Pickering ciągnął za nogi w jakieś nieznane miejsce.

– Obudziłaś się – powiedział. – To bardzo dobrze. Znakomicie. Myślisz, że chciałem ją zabić? Miała nóż w pieprzonej skarpetce. Uszczypnąłem ją tylko w ramię, nic więcej. – Przez chwilę chyba się nad tym zastanawiał, wycierając jednocześnie zwiniętymi kuchennymi ręcznikami krawędzie ciemnej, wypełnionej krwią rany. – No i lekko w cycek. Ale wszystkie dziewczęta mogą się tego spodziewać. Albo powinny. To się nazywa gra wstępna. Czy, w tym wypadku, gra „wstępna”.

Zaznaczył cudzysłów pierwszym i drugim palcem obu dłoni. Wyglądało to tak, jakby próbował się z nią pobawić w koci, koci, łapci. Poza tym robił wrażenie stukniętego. W gruncie rzeczy nie było wątpliwości co do stanu jego umysłu. Nad ich głowami uderzył piorun, łoskot przypominał przewracanie mebli. Em podskoczyła – o ile można podskoczyć, kiedy jest się przywiązany do kuchennego krzesła – ale stojący przy dwukomorowym zlewie z nierdzewnej stali facet nie uniósł nawet głowy. Zupełnie jakby nic nie usłyszał. Wysunął do przodu dolną wargę.

– Więc jej go odebrałem. A potem straciłem głowę. Przyznaję. Ludzie myślą, że jestem superopanowany i staram się zasłużyć na taką opinię. Naprawdę. Staram się zasłużyć na taką opinię. Ale każdy facet może stracić głowę. Z tego właśnie nie zdają sobie sprawy. Każdy facet. W pewnych szczególnych okolicznościach.

Deszcz lał się strumieniami, jakby Bóg spuścił wodę w swojej osobistej toalecie.

– Kto może podejrzewać, że tu jesteś?

– Mnóstwo ludzi – odparła bez wahania.

Doskoczył do niej w okamgnieniu. Okamgnienie było odpowiednim słowem. Jeszcze przed chwilą stał przy zlewie, a teraz był tuż przy niej i tłukł ją po twarzy tak mocno, że przed oczyma eksplodowały jej białe gwiazdy i wirując dookoła, zostawiały za sobą jasne kometarne warkocze. Głowa przechyliła się jej na bok, włosy opadły na policzek i poczuła

napływającą do ust krew. Miała pękniętą dolną wargę. Zęby skaleczyły ją od środka, i to głęboko. Na dworze lało. Umrę w czasie deszczu, pomyślała Em, ale w to nie wierzyła. Może nikt w to nie wierzy, kiedy naprawdę przychodzi ten moment.

– Kto wie?! – ryknął, nachylając się nad jej twarzą.

– Mnóstwo ludzi – powtórzyła, sepleniąc, ponieważ spuchła jej dolna warga. Poczwała, jak krew spływa jej cienką strużką po podbródku. Ale jej umysł nie spuchł mimo bólu i lęku. Wiedziała, że jedyną szansą jest przekonanie tego faceta, że złapią go, jeśli ją zabije. Oczywiście złapią go również, kiedy ją wypuści, ale tym zajmie się później. Jeden koszmar na raz.

– Mnóstwo ludzi! – powtórzyła jeszcze raz wyzywająco.

Facet pomknął do zlewozmywaka. Kiedy wrócił, miał w ręku nóż. Mały. Niewykłuczone, że ten sam, który zabita dziewczyna wyciągnęła ze skarpetki. Przytknął jego czubek do dolnej powieki Em i pociągnął ją w dół. W tym momencie opróżniła pęcherz, gwałtownie, silną strugą.

Na twarzy Pickeringa pojawił się na moment wyraz najwyższego niesmaku, lecz mimo to wydawał się równocześnie zachwycony. W jakiejś części swojego umysłu Em usiłowała pojąć, jak można ulegać dwóm tak sprzecznym emocjom. Dał pół kroku do tyłu, ale czubek noża nawet nie drgnął. Nadal wbijał się w jej skórę, ściągając w dół dolną powiekę i wpychając gałkę oczną głębiej w oczodół.

– No pięknie – powiedział. – Kolejny bałagan do posprzątania. Ale można się było tego spodziewać. Można. Jak powiedział pewien człowiek, na zewnątrz jest więcej miejsca niż w środku. Tak powiedział pewien człowiek. – Po tych słowach się roześmiał, wydając krótkie parsknięcie, a potem pochylił się do przodu i spojrzał swoimi jasnoblękitnymi oczami w jej piwnie. – Wymień jedną osobę, która wie, że tu jesteś. Nie wahaj się. NIE WAHAJ SIĘ. Jeśli się zawahasz, będę wiedział, że coś kombinujesz. Wydlubię ci oko i wyrzucę je do zlewu. Mogę to zrobić. Więc powiedz mi. Już!

– Deke Hollis. – To był brzydki donos, ale zrobiła to zupełnie instynktownie. Nie chciała stracić oka.

– Kto jeszcze?

Nie przychodziło jej na myśl żadne inne nazwisko – w głowie miała pustkę – i wierzyła mu, kiedy powiedział, że chwila wahania będzie ją kosztowała lewe oko.

– Nikt więcej, jasne?! – zawołała. I chyba wystarczy, że wiedział Deke. Jedna osoba wystarczy, ale jeśli facet był dość szalony, żeby...

Pickering odsunął nóż i choć nie mogła tego widzieć, poczuła, że w miejscu, którego dotykał, zakwitła perelka krwi. Nie przejmowała się tym. Cieszyła się, że w ogóle jeszcze coś widzi.

– No dobrze – mruknął. – W porządku, dobrze, w porządku. – Wrócił do zlewozmywaka i wrzucił do niego mały nóż. Em odczuła ulgę. A potem otworzył jedną z szuflad pod zlewem i

wyjął z niej większy: długi, spiczasty rzeźnicki nóż. – No dobrze – powtórzył. Nie był pobrudzony krwią nie widziała na nim ani jednej kropelki. Jak to możliwe? Jak długo była nieprzytomna? – Przechesał dłonią, w której nie trzymał noża, swoje krótko przycięte, głupio ufryzowane włosy. – Kto to jest Deke Hollis?

– To strażnik mostu zwodzonego – odparła niepewnym, łamiącym się głosem. – Rozmawialiśmy o panu. Dlatego zatrzymałam się, żeby zajrzeć do środka. – Nagle ją olśniło. – On widział dziewczynę! Mówił, że to pańska bratanica!

– Tak, tak, dziewczyny zawsze wracają łodzią, to wszystko, co wie. To wszystko, co musi wiedzieć. Czy ludzie przestaną w końcu wtykać nos w nie swoje sprawy? Gdzie jest twój samochód? Odpowiadaj, bo zafunduję ci nowy zabieg, amputację piersi. Szybko, ale nie bezboleśnie.

– W Trzciniowej Chatce. – Nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Co to takiego?

– Mały plażowy domek przy końcu rafy. Należy do mojego taty! – Ponownie doznała olśnienia. – On wie, że tutaj jestem!

– Tak, jasne. – Najwyraźniej nie zainteresowało to Pickeringa. – Tak, w porządku. Zgadza się, jak najbardziej. Chcesz powiedzieć, że tutaj mieszkasz?

– Tak...

Spojrzał na jej szorty, teraz w ciemniejszym niebieskim kolorze.

– Biegasz, prawda? – Nie odpowiedziała, lecz Pickering wcale się tym nie przejął. – Tak, jesteś biegaczką, to chyba jasne. Wystarczy spojrzeć na te nogi. – To nie do wiary, ale skłonił jej się nagle w pas – jakby witał członka rodziny królewskiej – i z głośnym cmoknięciem pocałował w lewe udo tuż pod nogawką szortów. Kiedy się wyprostował, dostrzegła z przerażeniem, że materiał spodni się naprężył. Niedobrze.

– Biegniesz w jedną stronę, a potem w drugą – rzekł, wymachując ostrzem rzeźnickiego noża niczym dyrygent batutą. Było w tym coś hipnotyzującego. Na dworze nadal lało. Ulewa potrwa ze czterdzieści minut, może godzinę, a potem znowu wyjdzie słońce. Zastanawiała się, czy tego dożyje. Chyba nie. Mimo to trudno jej było w to uwierzyć. Naprawdę nie potrafiła.

– Biegniesz w jedną stronę, a potem w drugą. Tam i z powrotem. Czasami mijasz w ciągu dnia tego staruszka w słomkowym kapeluszu, ale poza nim nikogo. – Em była przerażona, ale nie tak bardzo, żeby nie spostrzec, że nie mówił do niej. – Zgadza się. Nikogo. Bo nikogo innego tu nie ma. Jeśli któryś z tych sadzących drzewka, strzygących trawę Latynosów zobaczy cię w trakcie popołudniowej przebieżki, czy cię zapamięta? Zapamięta cię?

Ostrze noża przechylało się raz w jedną raz w drugą stronę. Pickering wodził za nim oczyma, jakby szukał odpowiedzi.

– Nie – doszedł do wniosku. – Nie, i powiem ci dlaczego. Bo jesteś dla niego kolejną bogatą białaską, która zrzuca sadło. Wszędzie się je widuje. Codziennie. Szurnięte na punkcie zdrowia. Trzeba się między nimi przeciskać. Jeśli nie biegają, to zasuwiają na rowerze. W tych

swoich głupich małych kaskach. Jasne? Jasne. Więc odmów paciorek, Lady Jane, ale się nie guzdraj. Spiesz mi się. Bardzo mi się spieszy.

Pickering podniósł nóż. Zobaczyła, jak zaciska wargi, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu. Dla Em cały świat stał się nagle wyraźny; widziała wszystko z wyjątkową jasnością. Idę do ciebie, Amy, pomyślała. A potem, absurdalnie, coś, co mogła usłyszeć na kanale ESPN: Czekać na mnie, dziecinko.

Lecz on nagle znieruchomiał. Rozejrzał się, jakby ktoś coś powiedział.

– Tak – mruknął. – Tak? – zapytał. – Tak. – Pośrodku kuchni była wyspa z blatem z formiki do przygotowywania posiłków. Zamiast wbić nóż w Emily, rzucił go na blat. – Siedź tutaj – polecił. – Nie zabiję cię. Zmieniłem zdanie. Facet może zmienić zdanie. Nicole nie dała mi nic poza dźgnięciem w rękę.

Na kuchennej wyspie leżała częściowo zużyta rolka taśmy samoprzylepnej. Pickering wziął ją i chwilę później klęczał przed Em. Patrzyła na jego odsłonięty, podatny na zranienie kark i tył głowy. W lepszym, sprawiedliwszym świecie mogłaby spleść razem dłonie i opuścić je na ten odsłonięty kark, ale jej ręce przywiązano w nadgarstkach do ciężkich klonowych poręczy krzesła. Tułów i oparcie obwinęto grubymi zwojami taśmy, w pasie i tuż pod piersiami. Nogi były przywiązane do nóg krzesła na wysokości kolan, w górnej i dolnej części łydek oraz w kostkach. Facet należał do bardzo skrupulatnych.

Nogi krzesła już wcześniej przymocował taśmą do podłogi. Teraz nakładał na nie kolejne warstwy, najpierw przed Em, a potem z tyłu. Kiedy skończył, nie zostało ani trochę taśmy. Wstał i położył pusty tekturowy krążek na wyspie z formiki.

– No – mruknął. – Całkiem niezłe. W porządku. Wszystko gotowe. Zaczekaj tu. – Coś w tym, co powiedział, musiało go rozśmieszyć, ponieważ zadarł głowę i wydał jedno z tych swoich krótkich parsknięć. – Nie znuź się i nie daj nogi, dobrze? Muszę zająć się twoim wścibskim starym kumplem i chcę to zrobić, póki jeszcze pada.

Tym razem śmignął do drzwi, które okazały się drzwiami szafy. Wyciągnął z niej żółtą pelerynę.

– Wiedziałem, że gdzieś tu była. Wszyscy ufają facetowi w płaszczu przeciwdeszczowym. Nie wiem dlaczego. To po prostu jeden z tych niewyjaśnionych faktów. Dobra, kochana, nie ruszaj się z miejsca.

Po raz kolejny parsknął, co zabrzmiało jak szczeknięcie wściekłego pudła, po czym wyszedł.

## 6

### Nadal dziewięta piętnaście

Kiedy trzasnęły drzwi frontowe i domyśliła się, że naprawdę wyszedł, nienormalna jasność, którą odznaczał się świat, zaczęła szarzeć. Em zdała sobie sprawę, że zaraz zemdleje. Nie mogła sobie na to pozwolić. Jeżeli istnieją zaświaty i spotka w nich kiedyś ojca, jak wytłumaczy Rusty'emu Jacksonowi, że zmarnowała ostatnie minuty na ziemi w stanie nieświadomości? Bardzo by go rozczarowała. Nawet gdyby spotkali się w niebie, stojąc po kostki w chmurach i słuchając, jak otaczające ich anioły grają muzykę sfer (zaaranżowaną na harfę), bardzo by go rozczarowała, gdyby dowiedział się, że zmarnowała swoją jedyną szansę, zapadając w wiktoriańskie omdlenie.

Em zaczęła celowo żuć skaleczoną wewnętrzną stronę wargi, a potem ugryzła się i z rany znowu zaczęła płynąć krew. Świat zrobił się ponownie jasny. Szum wiatru i ulewnego deszczu przypominał dziwną muzykę.

Ile miała czasu? Z Bunkra do mostu zwodzonego było ćwierć mili. Ponieważ wzięła pelerynę i nie usłyszała zapalającego silnika mercedesa, doszła do wniosku, że pobiegł. Wiedziała, że odgłos silnika mogły zagłuszyć deszcz i pioruny, ale po prostu nie wierzyła, że pojechał samochodem. Deke Hollis znał czerwonego mercedesa i nie lubił faceta, który go prowadził. Czerwony mercedes mógł sprawić, że Deke będzie miał się na baczności. Emily wierzyła, że Pickering zdaje sobie z tego sprawę. Był szalony (czasami mówił do siebie, chwilami mówił do kogoś, kogo widział, a ona nie, do niewidzialnego współnika zbrodni), lecz nie był głupi. Deke też oczywiście nie był głupi, ale siedział sam w małej stróżówce. Drogą nie będą przejeżdżały żadne samochody, kanałem nie przepłyną żadne statki. Nie w czasie takiej ulewy.

Poza tym był stary.

– Mam może piętnaście minut – powiedziała do pustej kuchni, a może do krwawej plamy na podłodze. Przynajmniej jej nie zakneblował; po cóż miałyby to robić? Nikt nie usłyszałby jej krzyków, nie w tej brzydkiej, pudełkowatej, betonowej forticy. Przyszło jej do głowy, że mogłaby stać tu pośrodku drogi, wrzeszcząc na całe gardło, a i tak nikt by jej nie usłyszał. W tym momencie nawet meksykańscy ogrodnicy siedzieli w kabinach swoich ciężarówek, popijając kawę i paląc papierosy. – Piętnaście minut w najlepszym razie.

Tak. Chyba tak. A potem Pickering wróci i zgwałci ją, tak jak planował zgwałcić Nicole. Następnie zabije ją, tak jak zdążył już zabić Nicole. I ile innych „bratanic”? Tego nie wiedziała, ale nie miała wątpliwości, że nie było to – jak powiedziałby Rusty Jackson – jego pierwsze rodeo.

Piętnaście minut. Może tylko dziesięć.

Spojrzała na swoje stopy. Nie były przymocowane taśmą do podłogi, ale były do niej przymocowane nogi krzesła. Mimo to...

Jesteś biegaczką; to chyba jasne. Wystarczy spojrzeć na te nogi.

To były dobre nogi i nikt, zwłaszcza taki zboczeniec jak Pickering, nie musiał ich całować, żeby zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedziała, czy są dobre, jeśli chodzi o urodę

czy seksowność, ale w sensie użytkowym były świetne. Przeszła na nich długą drogę od owego ranka, kiedy razem z Henrym znaleźli Amy martwą w łóżeczku. Pickering najwyraźniej wierzył w moc taśmy samoprzylepnej, zapewne widział, jak używają jej dziesiątki psychopatycznych zabójców w dziesiątkach filmów i żadna z jego „bratanic” nie dała mu powodu, żeby zwątpił w jej skuteczność. Pewnie nie dał im takiej szansy albo były zbyt przerażone. Niewykluczone jednak... zwłaszcza w deszczowy dzień, w nieprzewietrzanym domu, do tego stopnia wilgotnym, że czuła w powietrzu zapach pleśni...

Em pochyliła się do przodu na tyle, na ile pozwalał krępujący ją gorset, i zaczęła stopniowo napinać mięśnie łydek i ud; te nowe mięśnie biegaczki, które tak podziwiał z boczeniec. Najpierw nieznacznie, potem trochę mocniej. W końcu napięła je z maksymalną siłą i zaczęła już tracić nadzieję, gdy rozległ się odgłos zasysania. Z początku był cichy, nie była pewna, czy go sobie nie wyobraża, lecz robił się coraz głośniejszy. Warstwy taśmy były ponalepiane jedna na drugą, czasami się krzyżowały i trzymały piekielnie mocno. Mimo to odrywały się od podłogi. Ale powoli. Dobry Boże, tak powoli.

Odprężyła się, ciężko oddychając i pocąc się na czole, pod pachami i między piersiami. Chciała od razu ponowić próbę, lecz doświadczenie z bieżni Cleveland South mówiło jej, że musi poczekać i pozwolić, żeby wściekle pompujące krew serce zmyło kwas mlekowy z mięśni. Jeśli tego nie zrobi, następny wysiłek będzie słabszy i mniej udany. Było to jednak trudne. Czekanie było trudne. Nie miała pojęcia, jak długo go już nie ma. Na ścianie wisiał zegar – w kształcie słonecznego kręgu z nierdzewnej stali (jak chyba wszystko w tej strasznej, bezdusznej kuchni z wyjątkiem klonowego krzesła, do którego była przywiązana) – lecz zatrzymał się na godzinie 9.15. Prawdopodobnie był na baterię i ta się wyczerpała.

Miała zamiar poczekać, dopóki nie policzy do trzydziestu (dodając po każdej liczbie słowa „cudowna Maisie”), ale wytrzymała tylko do siedemnastu i znowu z całej siły napięła mięśnie. Tym razem odgłos zasysania był natychmiastowy i głośniejszy. Czuła, że krzesło zaczyna się podnosić. Tylko odrobinę, jednak zdecydowanie się podnosiło.

Em odrzuciła do tyłu głowę i zazgrzytała zębami. Po podbródku popłynęła jej świeża krew ze spuchniętej wargi, na szyi wystąpiły ścięgna. Odgłos zasysania stawał się coraz głośniejszy i po chwili usłyszała cichy trzask rozdieranej taśmy.

Gorący ból przeszył nagle jej prawą łydkę, ściskając ją. Przez chwilę nadal napinała mięśnie – stawka była w końcu wysoka, stawką było jej życie – lecz po chwili rozluźniła je, łapiąc kurczowo powietrze. I licząc.

– Raz, cudowna Maisie. Dwa, cudowna Maisie. Trzy...

Przerwała, ponieważ mimo ostrzegawczego bólu prawdopodobnie mogła oderwać krzesło od podłogi. Była niemal pewna, że jej się uda. Jednak jeśli zrobi to kosztem kurczu (łapał ją tam już wcześniej, kilka razy tak mocno, że prawa łydka stwardniała na kamień), straci więcej czasu, aniżeli zyska. I nadal będzie przywiązana do tego pierdolonego krzesła. Przyklejona do tego pierdolonego krzesła.

Wiedziała, że zegar na ścianie nie chodzi, lecz mimo to na niego zerknęła. Odruchowo. Nadal dziewiąta piętnaście. Czy dotarł już do mostu? Zbudziła się w niej szalona nadzieja: Deke uruchomi syrenę i go przepłoszy. Czy coś takiego mogło się zdarzyć? Jej zdaniem mogło. Jej zdaniem Pickering był niczym hiena, groźny tylko wtedy, gdy żywił przekonanie o własnej przewadze. I podobnie jak hiena nie potrafił sobie wyobrazić, że jej nie ma.

Przez chwilę nasłuchiwała. Nie usłyszała wycia syreny zamontowanej przy budce strażnika mostu, dobiegł do niej wyłącznie pomruk burzy i równy szum ulewy.

Ponownie spróbowała oderwać krzesło od podłogi i mało nie runęła twarzą na piekarnik, kiedy prawie natychmiast się uniosło. Zachwiała się, przechyliła i w ostatniej chwili uratowała przed upadkiem, opierając się o wyłożoną blatem z formiki wyspę pośrodku kuchni. Serce biło jej tak szybko, że nie słyszała pojedynczych uderzeń; w klatce piersiowej, w szyi i wysoko pod stawami szczęki słyszała tylko jednostajny głośny szum. Gdyby upadła, ległaby tam niczym żółw przewrócony na plecy. Za nic w świecie nie dałaby rady wstać.

Nic mi się nie stało, pomyślała. Nie upadłam.

Nie. Lecz mimo to wyobrażała sobie z piekielną wyrazistością jak tam leży. Za jedyne towarzystwo mając smugę krwi zostawioną przez Nicole. Leży, czekając, aż Pickering wróci, żeby się z nią zabawić, a potem odebrać jej życie. A kiedy wróci? Za siedem minut? Za pięć? Tylko trzy?

Spojrzała na zegar. Była 9.15.

Nachyliła się nad kuchenną wyspą łapiąc oddech, kobieta, na której plecach wyrosło krzesło. Na blacie leżał rzeźnicki nóż, lecz nie mogła go dosięgnąć rękoma przywiązanymi do poręczy krzesła. A nawet gdyby go złapała, to co? Stałaby pochylona, trzymając go w rękę. Nie mogłaby niczego dosięgnąć, niczego nim przeciąć.

Spojrzała na kuchenkę. Ciekawe, czy zdołałaby zapalić jeden z palników? Gdyby jej się udało, wtedy może...

Stała jej przed oczyma kolejna piekielna wizja; jak próbuje spalić taśmę i zamiast tego od gazowego palnika zajmuje się na niej ubranie. Nie mogła ryzykować. Gdyby ktoś zaproponował, że da jej tabletki (albo nawet strzeli w głowę), żeby oddalić groźbę gwałtu, tortur i śmierci – najprawdopodobniej powolnej, poprzedzonej nieopisaną kaźnią – mogłaby nie posłuchać oponującego głosu ojca („Nigdy się nie poddawaj, Emmy, za tym czy innym rogiem zawsze czeka cię coś dobrego”) i przystać na takie rozwiązanie. Ale ryzykować oparzenia trzeciego stopnia na całej górnej połowie ciała? I leżeć potem na podłodze, czekając na powrót Pickeringa, modląc się, żeby wrócił i wybawił ją z niedoli?

Nie. Nie zrobi tego. Lecz co jej zostawało? Czowała, jak czas przecieka jej między palcami. Na zegarze była nadal 9.15, wydawało jej się jednak, że deszcz nie leje tak mocno. Poczowała, jak ogarnia ją przerażenie. Zdusiła je w sobie. Jeśli wpadnie w panikę, zginie.

Nóż był nieosiągalny, kuchenka wykluczona. Co jej zostawało?



Odpowiedź była oczywista. Zostawało jej krzesło. W kuchni nie było innych krzeseł, wyłącznie trzy wysokie stołki barowe. Domyśliła się, że musiał je przynieść z jadalni, której miała nadzieję nigdy nie zobaczyć. Czy przywiązywał inne kobiety – inne „bratanice” – do ciężkich, czerwonych klonowych krzeseł, które stały normalnie przy stole w jadalni? Może właśnie do tego? W głębi duszy była pewna, że to robił. I wierzył w jego trwałość, mimo że było wykonane z drewna, nie z metalu. To, co sprawdziło się raz, sprawdzi się ponownie; była pewna, że i w tej kwestii rozumował tak samo jak hiena.

Musiała zniszczyć więzienie, które ją krepowało. To było jedyne rozwiązanie i miała na to tylko kilka minut.

## 7

### **To na pewno będzie bolało**

Siedziała blisko kuchennej wyspy, której blat lekko wystawał, tworząc coś w rodzaju krawędzi, i to wcale jej się nie podobało. Nie chciała się przemieszczać – nie chciała ryzykować, że się przewróci i zmieni w żółwia – ale potrzebowała powierzchni szerszej niż ta wystająca krawędź, żeby o nią walnąć. Dlatego ruszyła w stronę lodówki, która była duża i z nierdzewnej stali. Tyle powierzchni do walenia, ile może zapragnąć dziewczyna.

Podreptała do przodu z przywiązanym do pleców, pośladków i nóg krzesłem. Posuwała się boleśnie wolno. Tak jakby próbowała iść z przymocowaną do grzbietu dziwną dopasowaną do figury trumną. Która mogła rzeczywiście stać się jej trumną jeżeli się przewróci. Albo jeżeli będzie nadal bezskutecznie waliła nią o front lodówki, kiedy pojawi się z powrotem gospodarz domu.

Raz zachwiała się i o mało nie wywróciła – na twarz – ale udało jej się zachować równowagę chyba wyłącznie siłą woli. Powrócił ból w łydce, ponownie grożąc kurczem i unieruchomieniem prawej nogi. To zagrożenie też odsunęła od siebie siłą woli, zamykając oczy, żeby to zrobić. Pot spływał jej po twarzy, zmywając zaschnięte łzy, które nie wiadomo kiedy uroniła.

Ile minęło czasu? Ile? Deszcz był coraz słabszy. Wkrótce usłyszy kapanie zamiast bębnienia. Może Deke podjął walkę. Może miał nawet pistolet w tym swoim rozklekotanym starym biurku i strzelił do Pickeringa, tak jak się strzela do wściekłego psa. Czy usłyszałyby odgłos strzału? Chyba nie; nadal głośno szumiał wiatr. Bardziej prawdopodobne było, że Pickering – o dwadzieścia lat młodszy od Deke’a i wyraźnie w dobrej formie – odbierze mu każdą broń, którą ten zdoła wyjąć, i użyje jej przeciwko niemu.

Próbowała odsunąć od siebie te wszystkie myśli, lecz było to trudne. Dreptała do przodu z zamkniętymi oczyma i pobladłą twarzą – oraz spuchniętą wargą – koncentrując się na swoim zadaniu. Jeden dziecinny kroczek, dwa dziecinne kroczyki. Czy mogę zrobić jeszcze

sześć dziecinnych kroczków? Tak, możesz. Ale przy czwartym jej kolana – zgięte prawie tak, jakby kucała – uderzyły o drzwiczki lodówki.

Em otworzyła oczy, nie mogąc uwierzyć, że udało jej się bezpiecznie zakończyć to mozolne safari – dystans, który osoba nieprzywiązana do krzesła mogła pokonać trzema krokami, lecz dla niej safari. Pierdolony trekking.

Nie było czasu na gratulacje nie tylko dlatego, że w każdej chwili mogła usłyszeć, jak otwierają się drzwi frontowe Bunkra. Miała inne problemy. Jej mięśnie były nadwerężone i dygotały po poruszaniu się w praktycznie siedzącej pozycji; czuła się jak pozbawiona formy amatorka usiłująca wykonać jakieś wyjątkowo trudne ćwiczenie tantrycznej jogi. Jeśli nie zrobi tego od razu, nie zdała zrobić w ogóle. A jeśli krzesło było tak solidne, jak wyglądało...

Odsunęła od siebie tę myśl.

– To na pewno będzie bolało – wysapała. – Wiesz o tym, prawda? – Wiedziała, lecz podejrzewała, że Pickering szykuje dla niej gorsze rzeczy. – Proszę – powiedziała, ustawiając się bokiem do lodówki, ustawiając się do niej profilem. Jeżeli to była modlitwa, wyobrażała sobie, że modli się do swojej martwej córki. – Proszę – powtórzyła i zakołysała biodrami, próbując roztrzaskać o drzwi lodówki pasożyta, którego miała na plecach.

To, co się stało, zaskoczyło ją prawie tak samo jak nagłe oderwanie się nóg krzesła od podłogi, kiedy o mało nie poleciała na kuchenkę. Coś chrupnęło głośno w oparciu krzesła i siedzenie przechyliło się na bok. Tylko nogi pozostały nieuszkodzone.

– Jest spróchniałe! – zawołała do pustej kuchni. – To cholerstwo jest spróchniałe!

Może niezupełnie spróchniałe, ale dzięki panującemu na Florydzie klimatowi nie takie mocne, na jakie wyglądało. Nareszcie uśmiechnęło się do niej szczęście... i gdyby Pickering wszedł właśnie teraz, kiedy coś jej się udało, Emily chyba by zwariowała.

Ile zostało jej czasu? Jak długo go nie było? Nie miała pojęcia. Zawsze miała w głowie dosyć dokładny zegar, lecz teraz stał się równie bezużyteczny jak ten na ścianie. To niesamowite, że można tak kompletnie stracić poczucie czasu. Przypomniała sobie o swoim wielkim, nieporęcznym zegarku, jednak na przegubie został po nim tylko błady ślad. Pickering musiał go zabrać.

Miała zamiar ponownie uderzyć bokiem w lodówkę, ale nagle wpadła na lepszy pomysł. Jej pośladki nie przylegały teraz do siedzenia krzesła i to dawało jej większą możliwość manewru. Napięła mięśnie pleców, podobnie jak to zrobiła wcześniej z mięśniami nóg, gdy starała się oderwać krzesło od podłogi, i tym razem, czując ostrzegawczy ból w dolnej części kręgosłupa, nie rozluźniła ich i nie odczekała kilkunastu sekund, żeby podjąć następną próbę. Nie stać jej było na luksus odpoczynku. Oczyma wyobraźni widziała, jak Pickering wraca w trzepoczącej żółtej pelerynie, biegnąc środkiem pustej drogi, rozchlapując wodę i trzymając w ręku jakieś narzędzie. Być może klucz do opon, który zabrał z zachłapanego krwią bagażnika mercedesa.

Em się wyprężyła. Ból w krzyżu stał się mocniejszy, nabrał szklanej intensywności. Usłyszała jednak ponownie chrzęst taśmy, której fragmenty nie odklejały się od krzesła, lecz od innych fragmentów, nałożonych pod spodem. Taśma odklejała się od taśmy Puszczala. Puszczanie nie było tak dobre jak zrywanie, ale mimo to dobre. Dawało jej większą możliwość manewru.

Zakołysała ponownie biodrami i walnęła krzesłem o lodówkę, krzycząc cicho z wysiłku. W całym ciele poczuła impet uderzenia. Tym razem krzesło się nie poruszyło. Uczępiło się jej niczym rzep. Zakołysała jeszcze raz biodrami, robiąc to mocniej i głośniejszym krzykiem: tantryczna joga w połączeniu z sadomaso disco. Rozległ się kolejny trzask i krzesło przekrzywiło się na prawo.

Walnęła znowu... a potem jeszcze i jeszcze raz, kołysząc coraz bardziej zmęczonymi biodrami i usiłując rozbić krzesło w drobny mak. Straciła rachubę uderzeń. Znowu zaczęła płakać. Rozdarte z tyłu szorty przekrzywiły się i zsunęły z biodra, które krwawiło. Chyba wbiła się w nie drzazga.

Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić rozdygotane serce (małe szanse, żeby jej się to udało), a potem z całych sił rąbnęła swoim drewnianym więzieniem w lodówkę. Tym razem trafiła w końcu w dźwignię automatycznego podajnika lodu i kaskada kostek posypała się na płytki podłogi. Rozległ się ponowny trzask i nagle zorientowała się, że uwolniła lewą rękę. Przyjrzała się jej oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia. Poręcz nadal przywiązana była do jej przedramienia, ale z resztą krzesła łączyły ją tylko długie szare paski taśmy. Wyglądało to tak, jakby wpadła w pajęczynę. I rzeczywiście tak było; pajakiem był obłąkany sukinsyn w szortach i koszulce golfowej. Nadal nie była wolna, lecz mogła użyć noża. Musiała tylko podreptać z powrotem do kuchennej wyspy.

– Nie nadepnij na kostki – powiedziała. Jej schrypnięty głos brzmiał (przynajmniej w jej własnych uszach) jak głos maniakałnego kujona, który uczył się tak długo, aż doznał załamania nerwowego. – To bardzo nieodpowiedni moment na ślizgawkę.

Ominęła kostki lodu, ale kiedy pochyliła się, żeby wziąć nóż, coś zachrobotło w jej wyprężonych plecach. Krzesło, o wiele luźniejsze, lecz nadal przywiązane zwojami taśmy do jej tułowia (a także do nóg), walnęło o bok wyspy. Nie zwracała na to uwagi. Złapała nóż dopiero co oswobodzoną lewą ręką i przecięła taśmę, która krępowała prawą łapiąc kurczowo powietrze i zerkając co chwila na wahadłowe drzwi między kuchnią i znajdującymi się dalej pomieszczeniami – czyli, jak sądziła, jadalnią i holem. Tamtędy wyszedł i tamtędy prawdopodobnie wróci. Uwolniwszy prawą rękę, oderwała fragment krzesła wciąż przymocowany do lewego ramienia i cisnęła go na blat.

– Przystań go wypatrywać – powiedziała sobie w szarej, mrocznej kuchni. – Po prostu rób, co trzeba.

Rada wydawała się słuszna, lecz trudno jej było usłuchać, gdyż wiedziała, że przez te drzwi może wejść śmierć, i to niedługo.

Zacząła przecinać taśmę tuż pod piersiami. Powinna to robić powoli i ostrożnie, ale nie miała czasu i kilka razy zacięła się czubkiem noża. Czują płynącą ze skaleczeń krew.

Nóż był ostry. Co było złe, ponieważ co chwila się kaleczyła. Ale było też i dobre, ponieważ taśma dawała się łatwo przecinać, warstwa po warstwie. W końcu przecięła wszystkie i krzesło jeszcze bardziej odsunęło się od jej pleców. Zabrała się do szerokiej wstęgi kłępującej ją w pasie. Teraz, kiedy mogła się niżej pochylić, działała szybciej i rzadziej się zacinała. Przecięła w końcu całą wstęgę i krzesło odchyliło się do tyłu. Jednak jego nogi nadal przywiązane były do jej nóg i nagle uniosły się z podłogi i wbiły nisko w jej łydki. Ściągną Achilleśa napięły się pod skórą niczym kable. Ból był potworny i jęknęła żałośnie.

Po chwili sięgnęła do tyłu lewą ręką i docisnęła krzesło do pleców, zmniejszając straszliwy nacisk wbijających się w łydki drewnianych nóg. Z wykręconą pod nienaturalnym kątem ręką obróciła się dokoła, ponownie stanęła twarzą do kuchenki i łapiąc kurczowo powietrze i płacząc (nie zdawała sobie sprawy, że po twarzy ciekną jej łzy), zaczęła przecinać taśmy, którymi miała obwiązane nogi w kostkach. Pod wpływem jej wcześniejszych wysiłków te i inne taśmy nieco się obluźowały i w konsekwencji robota szła szybciej i rzadziej się kaleczyła, chociaż zdążyła ciachnąć się głęboko w prawą łydkę – tak jakby chciała ją w furiacki sposób ukarać za to, że złapał ją kurcz, kiedy odrywała krzesło od podłogi.

Przecinając taśmy kłępujące jej kolana – ostatnie, które pozostały – usłyszała, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają.

– Wróciłem, skarbie! – zawołał wesoło Pickering. – Stęskniłaś się?

Em zamarła w bezruchu, zgięta wpół, z włosami opadającymi na twarz. Musiała użyć całej siły woli, żeby zmusić się do dalszego działania. Nie było czasu na finezję; wbiła ostrze rzeźnickiego noża w kłępujący prawe kolano pas szarej taśmy, cudem nie raniąc się przy tym w rzepkę, po czym z całej siły pociągnęła go do góry.

Z holu dobiegł głośny zgrzyt i domyśliła się, że Pickering obraca klucz w zamku – sądząc po odgłosie – dużym zamku. Nie życzył sobie dalszej zwłoki, uznał widać, że dosyć się naczekał jak na jeden dzień. Przeszedł przez hol. Musiał mieć na nogach tenisówki (nie zauważyła tego wcześniej), bo słyszała, jak chlupocze w nich woda.

Gwizdał *O Susanna*.

Taśma kłępująca jej prawe kolano rozerwała się od dołu do góry i krzesło odpadło do tyłu, stukając głośno o blat. Teraz było do niej przywiązane tylko przy lewym kolanie. Kroki za wahadłowymi drzwiami na chwilę ucichły, a potem Pickering puścił się biegiem. Od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo, bardzo szybko.

Pickering wałnął oburącz w drzwi, które otworzyły się z głuchym odgłosem; wbiegając do kuchni, wciąż trzymał przed sobą wyciągnięte ręce. Były puste – ani śladu łyżki do opon, którą sobie wyobrażała. Rękawy żółtej peleryny kończyły się wysoko nad nadgarstkami i Em

miała czas pomyśleć: Jest na ciebie za mała, dupku. Żona by ci powiedziała, ale przecież nie masz żony.

Kaptur miał ściągnięty z głowy. Jego krótko ostrzyżone włosy były nareszcie potargane – leciutko, na więcej nie pozwalała ich długość – i po policzkach ściekała mu woda. W ułamku sekundy zorientował się w sytuacji, najwyraźniej wszystko zrozumiał.

– Och, ty upierdliwa dziwko! – ryknął i obiegł dokoła wyspę, żeby ją złapać.

Ciachnęła go rzeźnickim nożem. Ostrze trafiło go między pierwszy i drugi palec rozczapierzonej prawej ręki i wbiło się głęboko w dłoń. Trysnęła krew. Pickering wrzasnął z bólu i zdumienia – chyba przede wszystkim ze zdumienia. Hieny nie spodziewają się, że ofiary będą się bronić...

Nagle wyciągnął lewą rękę, złapał ją za przegub i wykręcił. Coś chrupnęło. Albo pękło. Tak czy inaczej ból przeszył jej całe ramię, intensywny jak światło. Próbowwała utrzymać w dłoni nóż, lecz nie dała rady. Przeleciał przez kuchnię, a kiedy Pickering ją puścił, prawa dłoń zwiśla jej bezwładnie i Em nie mogła zacisnąć palców.

Pickering rzucił się na nią a ona odepchnęła go oburącz, ignorując nowe ukłucie bólu w nadwierzonym przegubie. Zrobiła to całkiem odruchowo. Zdrowy rozsądek podpowiedziałyby jej, że odpychając tego faceta, raczej się go nie pozbędzie, ale zdrowy rozsądek skrył się gdzieś w zakamarkach umysłu i potrafił tylko powtarzać, że jakoś to będzie.

Pickering był od niej cięższy, jednak ona opierała się plecami o poszczerbioną krawędź blatu. Zatoczył się do tyłu z zaskoczonym wyrazem twarzy, który w innych okolicznościach byłby nawet komiczny, po czym nadepnął na jedną albo więcej kostek lodu. Przez chwilę wyglądał jak bohater kreskówki – może Struś Pędziwiatr – biegnący w miejscu, żeby nie stracić równowagi. A potem nadepnął na kolejne kostki (widziała, jak ślizgają się po podłodze) i upadł ciężko, uderzając tyłem głowy w świeżo poobijaną lodówkę.

Podniósł krwawiącą dłoń i przyjrzał się jej. A potem spojrzał na Em.

– Skaleczyłaś mnie – powiedział. – Ty dziwko, ty głupia dziwko, popatrz tutaj, skaleczyłaś mnie. Dlaczego mnie skaleczyłaś?

Próbował się podnieść, ale poślizgnął się na kolejnych kostkach lodu i ponownie upadł. Obrócił się na kolanie, mając zamiar podnieść się w ten sposób, i przez chwilę był do niej odwrócony plecami. Em złapała z blatu ułamaną poręcz krzesła. Wciąż wisiały z niej porwane strzępy taśmy. Pickering dźwignął się na nogi i odwrócił w jej stronę. Zaczekała, aż to zrobi, i walnęła go w czoło, trzymając poręcz w obu rękach – palce prawej nie chciały się zacisnąć, lecz jakoś jej się udało. Atawistyczny, zorientowany na przetrwanie instynkt kazał jej nawet złapać czerwony klonowy kołek wyżej, bo wiedziała, że zmaksymalizuje w ten sposób siłę uderzenia, a chodziło o to, żeby uderzyć z maksymalną siłą. W końcu trzymała tylko poręcz krzesła, nie kij baseballowy.

Rozległo się głuche łupnięcie. Nie tak głośne jak to, które wydały wahadłowe drzwi, kiedy uderzył w nie, wchodząc, ale mimo to całkiem głośne, może dlatego że nie zagłuszał go

już rzęsisty deszcz. Przez moment nie działo się nic więcej, a potem z krótko ostrzyżonych włosów Pickeringa popłynęła krew. Em wpatrywała się w niego, w jego oczy. Spoglądał na nią mętным wzrokiem.

– Nie – powiedział niewyraźnie i wyciągnął rękę, żeby odebrać jej poręcz krzesła.

– Tak – odparła i zamachnęła się ponownie, tym razem z boku: przypominało to wykonane oburącz ścięcie. Prawa ręka poddała się i puściła w ostatniej chwili kołek, lewa trzymała go mocno. Koniec poręczy – nierówny w miejscu, gdzie została złamana, z wystającymi drzazgami – trafił Pickeringa w prawą skroń. Tym razem krew trysnęła od razu i głowa opadła mu na bok, aż na lewe ramię. Jasne kropelki pociekły po jego policzku i zachlapały płytki podłogi.

– Przestań – powiedział bełkotliwie, machając ręką w powietrzu. Wyglądał jak mężczyzna, który tonie i błaga o pomoc.

– Nie. – Po raz kolejny walnęła go poręczą w głowę.

Pickering wrzasnął, zatoczył się i zaczął się wycofywać, kuląc głowę w ramiona i starając się uciec przed nią za kuchenną wyspę. Nastąpił na kolejne kostki i poślizgnął się, lecz tym razem udało mu się zachować równowagę. Jakimś szczęśliwym trafem, ponieważ jej zdaniem nie powinien w ogóle trzymać się na nogach.

Przez chwilę niemal mu odpuściła, myśląc, że chce uciec przez wahadłowe drzwi. To właśnie sama by zrobiła. A potem usłyszała w głowie głos ojca, bardzo spokojny: „On idzie po nóż, kochanie”.

– Nie – warknęła. – Nie, nie zrobisz tego.

Próbowała obieć wyspę z drugiej strony i zagrozić mu drogę, ale nie mogła biec, bo wlokła za sobą niczym kulę na łańcuchu szczątki połamanego krzesła, które wciąż przymocowane było taśmą do jej lewego kolana. Obijało się o wyspę, tłukło ją w tyłek, próbowało wsunąć się między nogi i ją wyrzucić. Krzesło opowiedziało się najwyraźniej po jego stronie i cieszyła się, że je rozwalila.

Pickering dotarł do noża, który leżał przy wahadłowych drzwiach, i padł na niego niczym futbolista przykrywający własnym ciałem piłkę. Z jego gardła wydobywało się głębokie rżenie. Em dopadła go w tym samym momencie, gdy zaczął się odwracać. Zaczęła walić go raz po raz poręczą krzesła, krzycząc i zdając sobie w jakimś zakamarku umysłu sprawę, że jej broń nie jest wystarczająco ciężka i nie zapewnia nawet w przybliżeniu dość siły, którą chciała wygenerować. Widziała swoją prawą dłoń, która zaczęła już puchnąć, starając się zwrócić jej uwagę na to, jaka jest pokiereszowana, tak jakby spodziewała się przeżyć ten dzień.

Pickering leżał nieruchomo na nożu. Em cofnęła się trochę, łapiąc oddech. Małe, białe komety zaczęły jej znowu wirować przed oczyma.

Słyszała w głowie głosy mężczyzn. Nie było to u niej rzadkie i nie zawsze źle widziane. Czasami, ale nie zawsze.

Henry: „Weź ten cholerny nóż i wpakuj mu między łopatki”.

Rusty: „Nie, skarbie. Nie zbliżaj się do niego. Na to właśnie liczy. Udaje nieprzytomnego”.

Henry: „Albo w kark. To także dobre miejsce. W jego śmierzący kark”.

Rusty: „Sięganie pod niego to jak wtykanie ręki w stóg siana. Masz dwie możliwości, Emmy. Zatłuc go na śmierć...”.

Henry, niechętnie, lecz najwyraźniej przekonany: „...albo uciec”.

Może i tak. A może nie.

Z boku kuchennej wyspy była szuflada. Wyciągnęła ją, mając nadzieję znaleźć kolejny nóż – mnóstwo noży, noży do mięsa, do filetowania, do steków, noży z ząbkowanym ostrzem. Zgodziłaby się nawet na cholerny nóż do smarowania. Zobaczyła jednak wyłącznie komplet wymyślnych czarnych plastikowych narzędzi do gotowania: dwie łopatki, chochlę i jedną z tych wielkich łyżek z dziurkami. Były i inne utensylia, lecz najgroźniejsza wydała jej się obieraczka do ziemniaków.

– Posłuchaj mnie – powiedziała. Miała schrypnięty, gardłowy głos. – Nie chcę cię zabić, ale zrobię to, jeżeli mnie zmusisz. Mam tu widelec do mięsa. Jeśli spróbujesz się odwrócić, wbiję ci go w kark i będę pchała, aż wyjdzie z drugiej strony.

Czy jej uwierzył? Oto pytanie. Była przekonana, że usunął celowo wszystkie noże oprócz tego, który leżał pod nim, jednak czy mógł być pewien, że zabrał wszystkie inne ostre przedmioty? Przeciętny mężczyzna nie ma pojęcia, co jest w szufladach w jego kuchni – nauczyło ją tego życie z Henrym, a wcześniej z ojcem – ale Pickering nie był przeciętnym mężczyzną i to nie była przeciętna kuchnia. Odniosła wrażenie, że bardziej przypomina salę operacyjną. Mimo to, biorąc pod uwagę, że był oszołomiony (czy oby na pewno?) i zdawał sobie sprawę, że przez zapomnienie może stracić życie, blef mógł się jej udać. Tyle że nasuwało się kolejne pytanie: czy ją w ogóle słyszał? A jeśli tak, czy ją zrozumiał? Blef nie może się udać, jeżeli osoba, którą chcemy nabrać, nie rozumie, o co toczy się gra.

Nie miała jednak zamiaru tam stać i medytować. To było najgorsze, co mogła zrobić. Ani na chwilę nie spuszczać go z oczu, pochyliła się i wbiła palec pod ostatni pasek taśmy łączący ją z krzesłem. Palce prawej dłoni odmawiały jej posłuszeństwa, ale zmusiła je do współpracy. I pomógł fakt, że była zlaną potem. Pchnęła palce w dół i taśma zaczęła się odrywać, po raz kolejny wydając gniewny odgłos. Przypuszczała, że powinno ją to boleć, taśma zostawiała czerwony ślad na jej kolanie (z jakiegoś powodu przez myśl przeszło jej słowo Jupiter), była teraz jednak daleka od tego, by odczuwać takie rzeczy. Taśma puściła nagle i zsunęła się po łydce, pomarszczona, powykręcana i lepiąca się do siebie. Ściągnęła ją przez stopę i uwolniona dała krok do tyłu. Serce waliło jej w piersiach z wysiłku albo pod wpływem uderzenia, które zadał jej, kiedy przyglądała się martwej dziewczynie w bagażniku mercedesa.

– Nicole – powiedziała. – Miała na imię Nicole.

Wypowiedzenie imienia niezwywej dziewczyny pomogło jej wziąć się w garść. Pomysł wyciągnięcia rzeźnickiego noża spod Pickeringa wydał jej się teraz szaleństwem. Ta jej częśćka, która przemawiała czasami głosem ojca, miała rację – samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z Pickeringiem było wyzywaniem losu. Co pozostawiało jej tylko jedną możliwość – wyjście.

– Wychodzę – powiedziała. – Słyszysz mnie?

Nie poruszył się.

– Mam widelec do mięsa. Jeśli będziesz mnie ścigał, przebiję cię nim... Wy... wyłupię ci oczy. Masz nie ruszać się z miejsca. Rozumiesz?

Nie poruszył się.

Emily cofnęła się kilka kroków, a potem odwróciła i wyszła przez drzwi po drugiej stronie kuchni. W rękę nadal trzymała zakrwawioną poręcz od krzesła.

## 8

### Na ścianie przy łóżku wisiała fotografia

Po drugiej stronie drzwi znajdowała się jadalnia, a w niej długi stół ze szklanym blatem. Wokół niego stało siedem czerwonych klonowych krzeseł. Miejsce na ósme krzesło było puste. Oczywiście. Przyglądając się szczytowi stołu, przy którym powinno stać „jej” krzesło, przypomniała sobie moment, gdy kropelka krwi wystąpiła jej pod okiem, a Pickering mruknął „W porządku, dobrze, w porządku”. Uwierzył jej, kiedy powiedziała, że tylko Deke może wiedzieć, że jest w Bunkrze, i dlatego rzucił mały nożyk – wtedy myślała, że to mały nożyk należący do Nicole – do zlewu.

A więc istniał nóż, którym mogła go postraszyć. I nadal leżał w zlewie. Ale nie zamierzała tam teraz wracać. Nie ma mowy.

Przeszła przez jadalnię i znalazła się w holu z pięciorgiem drzwi, dwojgiem po każdej stronie i jednymi przy samym końcu. Dwoje drzwi, które minęła w pierwszej kolejności, były otwarte. Te po prawej prowadziły do łazienki, te po lewej do pralni. Pralka była ładowana od góry, jej kłapa otwarta. Obok na półce stało pudełko z proszkiem do prania. Poplamiona krwią koszula wisiała przewieszona przez krawędź pralki, w połowie w środku, w połowie na zewnątrz. Emily podejrzewała, że to koszula Nicole, lecz nie miała stuprocentowej pewności. Jeżeli należała do Nicole, po co Pickering planował ją uprać? Pranie nie usunęłoby dziur. Emily pamiętała, że musiało ich być kilkadziesiąt, choć z pewnością to niemożliwe. Na pewno?

Właściwie chyba było możliwe – Pickering w ataku szału.

Otworzyła drzwi za łazienką i zobaczyła pokój gościnny: ciemne, sterylne pomieszczenie z podwójnym łóżkiem tak gładko i równo zasłanym, że można by chyba odbić monetę od



narzuty. Czy to łóżko posłała pokojówka? Z naszych badań wynika, że nie, pomyślała Em. Z naszych badań wynika, że żadna pokojówka nie postawiła nigdy stopy w tym domu. Wyłącznie „bratanice”.

Drzwi naprzeciwko pokoju gościnnego prowadziły do gabinetu, w każdym calu tak samo sterylnego jak pokój po drugiej stronie holu. W rogu stały tam dwie szafki na akta i wielkie biurko z komputerem Della w plastikowej osłonie. Podłogę wykonano z prostych dębowych desek. Brakowało dywanu czy obrazów na ścianach. Pojedyncze duże okno zasłaniały okiennice, które przepuszczały niewiele światła. Podobnie jak pokój gościnny, gabinet robił wrażenie mrocznego i zapomnianego.

Nigdy tu nie pracował, pomyślała i wiedziała, że to prawda. To były dekoracje. Dekoracją był cały dom, włącznie z pomieszczeniem, z którego uciekła i które wyglądało jak kuchnia, ale w rzeczywistości było salą operacyjną, z łatwymi do umycia blatami i podłogą.

Drzwi w końcu holu nie były uchylone i zbliżając się do nich, zgadywała, że są zamknięte na klucz. Uciekając tutaj od strony kuchni i jadalni, miała wpaść w pułapkę przy końcu tego korytarza. Nie miała stąd dokąd pójść, a ostatnio tylko bieganie dobrze jej wychodziło, jedynie do tego się nadawała.

Podciągnęła szorty – z rozerwanym z tyłu szwem wydawały się zbyt duże – i nacisnęła klamkę. Była tak pewna tego, co podpowiadała jej intuicja, że przez chwilę nie wierzyła własnym oczom, kiedy drzwi się otworzyły. Pchnęła je i weszła do pomieszczenia, które musiało być sypialnią Pickeringa. Było prawie tak samo sterylne jak pokój gościnny, ale nie do końca. Po pierwsze, na łóżku leżały dwie poduszki zamiast jednej, po drugie, ktoś elegancko odwinął róg narzuty (bliźniaczej siostry tej w pokoju gościnnym), aby zapewnić właścicielowi komfort świeżej pościeli po ciężkim dniu pracy. No i leżał tu dywan. Zwykła tania nylonowa wykładzina, ale od ściany do ściany. Henry bez wątpienia uznałby, że została kupiona na podwórkowej wyprzedaży, ale pasowała do ścian i sprawiała, że pokój wydawał się mniej upiorny od innych. Stało również małe biurko – podobne do starej szkolnej ławki – i proste drewniane krzesło. I chociaż wszystko to było bardzo skromne w porównaniu z gabinetem, jego dużym (i niestety zasłoniętym okiennicami) oknem i drogim komputerem, Em miała wrażenie, że to biurko jest używane. Że Pickering ślęczy przy nim, pochylony niczym dziecko w wiejskiej szkółce, gryzmołąc rzeczy, o których nie chciała myśleć.

Okno w tym pokoju też było duże. I w przeciwieństwie do okien w gabinecie i pokoju gościnnym niezasłonięte okiennicami. Zanim Em zdążyła przez nie wyjrzeć i zobaczyć, co jest na zewnątrz, jej uwagę przykuła fotografia na ścianie przy łóżku. Nie miała ramek i była przypięta pineską, nie zawieszona. Na ścianie wokół niej widniały inne małe dziurki, tak jakby w ciągu ostatnich lat przypinano tam coraz to nowe zdjęcia. To było kolorowe, z datą 4-19-07 wydrukowaną w prawym rogu. Sądząc po jakości odbitki, zrobione raczej tradycyjnym niż cyfrowym aparatem, przez kogoś, kto nie miał chyba smykałki do fotografii. Choć z drugiej strony być może fotograf był podniecony. W podobny sposób, przypuszczała, jak

podniecają się hieny, kiedy zachodzi słońce i liczą na udane polowanie. Zdjęcie było zamazane, jakby zrobiono je teleobiektywem i obiekt nie znajdował się w środku kadru. Obiektem była długonoga młoda kobieta w dżinsowych szortach i przyciętym topie, na którym widniał napis BEER O’CLOCK BAR. Na palcach lewej dłoni trzymała tacę niczym kelnerka na starym wesołym obrazie Normana Rockwella. Śmiała się. Miała blond włosy. Em nie mogła przesądzić ze stuprocentową pewnością, czy to Nicole – nie na podstawie tej rozmazanej fotografii oraz kilku chwil, gdy wpatrywała się zszokowana w martwą dziewczynę w bagażniku mercedesa – ale nie miała co do tego wątpliwości. Jej serce nie miało wątpliwości.

Rusty: „To nie ma znaczenia, kochanie. Musisz się stąd wynosić. Musisz znaleźć miejsce, gdzie mogłabyś się puścić biegiem”.

Jakby chcąc to potwierdzić, drzwi między kuchnią i jadalnią otworzyły się z hukiem – tak głośnym, jakby wypadły z zawiasów.

Nie, pomyślała. Straciła nagle czucie w tułowiu. Nie wydawało jej się, żeby się znowu zsikała, ale nawet gdyby do tego doszło, nie potrafiłaby tego stwierdzić. Nie, to niemożliwe.

– Chcesz się ostro zabawić?! – zawołał Pickering trochę bełkotliwie, ale jednocześnie wesoło. – W porządku, mogę grać ostro. Jasne. Żaden problem. Chcesz tego? Proszę bardzo. Tatko ci to zagwarantuje.

Nadchodził. Mijał jadalnię. Usłyszała łupnięcie, a potem trzask, kiedy wpadł na któreś z krzeseł (być może to, które stało u szczytu stołu) i odsunął je na bok. Świat odpłynął od niej, kolory poszarzały, mimo że po burzy w pokoju było względnie jasno.

Przygryzła pękniętą wargę. To spowodowało, że po podbródku pociekła jej świeża strużka krwi, i równocześnie przywróciło światu barwy i realny wymiar. Zatrzasnęła drzwi i poszukała ręką zamka. Nie było zamka. Rozejrzała się i jej wzrok padł na skromne drewniane krzesło stojące przy skromnym drewnianym biurku. Kiedy Pickering, zataczając się, minął biegiem swoją pralnię i gabinet (czy ścisnął w rękę rzeźnicki nóż...? oczywiście, że tak), złapała krzesło, wstawiła je pod klamkę i przechyliła. Sekundę później uderzył obydwoma rękoma w drzwi.

Przyszło jej na myśl, że gdyby na podłodze nie leżała wykładzina, krzesło zapewne nie zablokowałoby drzwi. Być może musiałaby je złapać i go nim odstraszyć: Em, Nieustraszona Pogromczyni Lwów. Mało prawdopodobne. Tak czy owak była wykładzina. Tania i nylonowa, ale gruba, więc przynajmniej do czegoś się przydała. Przechylone nogi krzesła wbiły się w nią i zablokowały, chociaż trochę się pofałdowała.

Pickering ryknął i zaczął walić pięściami w drzwi. Miała nadzieję, że robiąc to, wciąż trzyma w ręku nóż; może niechęćcy poderżnie sobie gardło.

– Otwieraj te drzwi! – krzyczał. – Otwieraj je! Pogarszasz tylko swoją sytuację.

Tak jakbym mogła ją pogorszyć, pomyślała Emily, cofając się w głąb pokoju i rozglądając dokoła. Co teraz? Okno? Co jeszcze? Były tylko jedne drzwi, więc pozostawało okno.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Lady Jane!

Nieprawda, byłeś już szalony wcześniej. Szalony kapelusznik.

Zobaczyła, że okno skonstruowano tak, by można przez nie wyłącznie patrzeć, nie otwierało się. Z powodu klimatyzacji. I co teraz? Wskoczyć przez nie niczym Clint Eastwood w jednym z tych starych spaghetti westernów? To wydawało się możliwe; z pewnością zaimponowałyby jej, kiedy była dzieckiem, obawiała się jednak, że jeśli rzeczywiście to zrobi, potnie się na kawałki. Kiedy trzeba nakręcić scenę wyrzucania delikwenta przez okno saloonu, Clint Eastwood, The Rock i Steven Seagal mają kaskaderów. A kaskaderzy skaczą przez specjalne szkło.

Usłyszała szybkie kroki za drzwiami, kiedy Pickering najpierw cofnął się, a potem do nich podbiegł. Były ciężkie, ale z niego też nie był ułomek i kiedy w nie uderzył, zatrzęsły się w futrynie. Tym razem krzesło przesunęło się o cal albo dwa do tyłu. Co gorsza, wykładzina znowu się pofałdowała i Em usłyszała trzask niewiele różniący się od odgłosu rozdieranej taśmy. Pickeringa cechowała niesłychana żywotność, wzięwszy pod uwagę, że oberwał wielokrotnie po głowie i ramionach solidnym klonowym kołkiem, lecz oczywiście choć szalony, był jednocześnie wystarczająco sprytny, żeby wiedzieć, że jeśli Emily jakoś się z tego wykaraska, jemu z pewnością to się nie uda. Przypuszczała, że silnie go to motywowało.

Powinam mu przywalić całym tym pierdolonym krzesłem, pomyślała.

– Chcesz się zabawić? – wysapał. – Zabawię się z tobą. Jasne. Masz to jak w banku. Ale jesteśmy na moim podwórku, jasne? I już... do ciebie idę! – Walnął ponownie w drzwi, które wygięły się na obluźwanych zawiasach. Krzesło przesunęło się o kolejne dwa albo trzy cale. Em widziała ciemne smugi między jego przechylnymi nogami i drzwiami: fałdy na tanim dywanie.

A zatem okno. Jeśli miała umrzeć, krwawiąc z Bóg wie ilu ran, wołała je sobie zadać sama. Może... jeśli owinie się narzutą...

Jej wzrok padł nagle na biurko.

– Panie Pickering! – zawołała, łapiąc je za boki. – Niech pan zaczeka! Chcę z panem zawrzeć układ!

– Żadnego układania się z dziwkami, jasne? – rzucił gniewnie, lecz na chwilę się zatrzymał, być może, żeby złapać oddech, i to dało jej trochę czasu. Czas był jedyną rzeczą, jakiej potrzebowała, i jedyną rzeczą jaką prawdopodobnie mogła od niego uzyskać; w gruncie rzeczy nie musiał jej mówić, że nie jest facetem, który układa się z dziwkami. – No więc jaki jest ten twój wspólny plan? Powiedz tatce Jimowi.

W tym momencie jej planem było biurko. Podniosła je, niemal pewna, że pięknie jej przy tym krzyż, ale biurko okazało się lekkie i stało się jeszcze lżejsze, gdy spadło z niego kilka obwiązanych gumką plików papierów, które sprawiały wrażenie notatek uniwersyteckich.

– Co tam robisz? – zapytał ostro. – Nie rób tego!

Emily podbiegła do okna, zatrzymała się i cisnęła biurko przed siebie. Brzęk tłuczonego szkła był ogłuszający. Nie patrząc na zewnątrz i w ogóle nie myśląc – myślenie nic by jej w tym momencie nie dało, a patrzeć tylko wystraszyło, gdyby do ziemi było daleko – ściągnęła z łóżka narzutę.

Pickering ponownie walnął w drzwi i chociaż krzesło nie puściło (wiedziała o tym; gdyby puściło, wbiegłby do środka i ją złapał), rozległ się głośny trzask pękającego drewna.

Em owinęła się od stóp do głów narzutą i przez moment wyglądała niczym stawiająca czoło śnieżycy Indianka z obrazu N.C. Wyetha. A potem wyskoczyła przez wybite okno w tym samym momencie, kiedy otworzyły się za nią wyrwane z zawiasów drzwi. Kilka wystających z okiennej ramy szklanych kikutów poraniło narzutę, lecz żaden nawet nie musnął Emily.

– Och, ty pierdolona wstrętna dziwko! – ryknął za nią... tuż za nią... Pickering i chwilę później znalazła się w powietrzu.

## 9

### **Grawitacja to nasza wspólna matka**

W dzieciństwie była urwisem i zamiast siedzieć z Barbie i Kenem na werandzie, wołała bawić się z chłopcami (najfajniejsza zabawa nazywała się po prostu strzelanka) w lesie za domem rodziców na przedmieściach Chicago. Ubierała się w dres i tenisówki, włosy wiązała w kucyk. Emily i jej najlepsza przyjaciółka Becka nie oglądały w telewizji bliźniaczek Olsen, ale stare filmy z Eastwoodem i Schwarzeneggerem, a kiedy oglądały *Scooby-Doo*, utożsamiały się bardziej z psem niż z Velmą czy Daphne. W podstawówce przez dwa lata jadły Scooby Snacks na drugie śniadanie.

I oczywiście łąziły po drzewach. Emily pamiętała jedno lato, które ona i Becka spędziły praktycznie na drzewach, każda na swoim podwórku. Mogły mieć wtedy około dziewięciu lat. Poza lekcją spadania, której udzielił jej ojciec, jedyną rzeczą, którą Em zapamiętała wyraźnie z tego lata spędzonego na drzewach, było to, że co rano matka smarowała jej nos jakimś białym kremem, mówiąc: „Nie ścieraj tego, Emmy” tonem, który sugerował „posłuchaj mnie albo zginiesz”.

Pewnego dnia Becka straciła równowagę i o mało nie spadła na łąkę Jacksonów z wysokości piętnastu stóp (w rzeczywistości może tylko dziesięciu, ale dziewczynkom

wydawało się wtedy, że jest ich dwadzieścia pięć... może nawet pięćdziesiąt). Uratowała się, łapiąc w ostatniej chwili za gałąź, i zawisała nad ziemią, wołając o pomoc.

Rusty kosił łąkę. Podeszedł do niej – tak, podeszedł, miał nawet czas wyłączyć kosiarkę – i wyciągnął ręce. „Spadaj”, powiedział i Becka, która dopiero dwa lata wcześniej przestała wierzyć w Świętego Mikołaja i wciąż była w zasadzie ufna, puściła gałąź. Rusty bez trudu ją złapał, a potem kazał Em zejść z drzewa. Poprosił, żeby pod nim usiadły. Becka trochę płakała, a Em się bała – głównie tego, że łażenie po drzewach zostanie teraz zakazane, podobnie jak chodzenie po siódmej wieczorem do sklepu na rogu.

Rusty nie zabronił im włożenia na drzewa (choć matka Emily mogłaby to zrobić, gdyby wyjrzała przez okno). Zamiast tego nauczył je spadania. A potem ćwiczyli to prawie przez godzinę.

Dzień był wtedy wyjątkowo chłodny.

\* \* \*

Wyskakując przez okno, Emily zorientowała się, że ma cholernie daleko do patia na dole. Wysokość wynosiła może tylko dziesięć stóp, ale lecąc otulona trzepoczącą wokół niej, podartą na strzępy narzutą, miała wrażenie, że jest ich dwadzieścia pięć. Lub pięćdziesiąt.

Ugnijcie kolana, powiedział im szesnaście albo siedemnaście lat wcześniej Rusty w tamto Lato Leśnych Ludzi, znane również jako Lato Białego Nosa. Nie zmuszajcie ich, żeby zamortyzowały cały wstrząs. Zrobią to – w dziewięciu przypadkach na dziesięć, jeżeli odległość nie jest zbyt duża, zrobią to – lecz może się to skończyć złamaniem. Biodra, nogi albo kostki. Najpewniej kostki. Pamiętajcie, że grawitacja to nasza wspólna matka. Nie walczcie z nią. Niech was obejmie. Ugnijcie kolana, a potem schowajcie głowę w ramiona i zróbcie przewrót.

Em wylądowała na ułożonych w hiszpańskim stylu kamiennych płytach, ugięła kolana i w tym samym momencie przechyliła ramię, przenosząc ciężar ciała w lewo. Schowała głowę w ramiona i zrobiła przewrót. Nie poczuła bólu – nie poczuła go natychmiast – lecz potężny wstrząs, który przeszył całe jej ciało, tak jakby była pustym szybem i ktoś wrzucił do niego wielki mebel. Uważała jednak, by nie uderzyć się głową o kamienne płyty. Nie sądziła również, by złamała nogę, ale mogła się o tym przekonać, dopiero wstając.

Turlając się, zderzyła się z metalowym ogrodowym stolikiem tak mocno, że się przewrócił. A potem wstała, do samego końca nie wiedząc, czy jej ciało jest w wystarczającym stopniu nienaruszone, by zdołała to zrobić. Podniosła wzrok i zobaczyła wyglądającego przez rozbite okno Pickeringa. Miał skrzywioną w grymasie twarz i trzymał w ręce nóż.

– Przestań! – wrzasnął. – Przestań uciekać i stój spokojnie!

Akurat, pomyślała. Ostatnie krople popołudniowego deszczu zmieniły się w mgłę, która osiadła na jej zwróconej ku górze twarzy. Poczowała się bosko. Pokazała mu wyciągnięty palec i potrząsnęła nim, żeby wzmocnić wymowę gestu.

– Nie waż się pokazywać mi palca, ty cipo! – ryknął Pickering i cisnął w nią nożem, który nie doleciał nawet w jej pobliże. Uderzył o kamienne płyty i rozpadł się na dwie części, ostrze i rękojeść, które wpadły pod gazowy grill. Kiedy podniosła ponownie wzrok, prześladowca już zniknął.

Głos jej taty uprzedzał, że Pickering się zbliża, ale Em nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Podeszła do skraju patia – stąpając z łatwością, wcale nie utykając, chociaż podejrzewała, że zawdzięcza to zastrzykowi adrenaliny – i spojrzała w dół. Trzy marne stopy dzieliły ją od porośniętego rzadką trawą piasku. To było małe piwo w porównaniu ze skokiem, który dopiero co przeżyła. Tuż obok patia ciągnęła się plaża, którą tylekroć przebiegała z samego rana.

Spojrzała w drugą stronę, w kierunku drogi, ale to nie był dobry pomysł. Szpetny betonowy mur był zbyt wysoki. I zaraz mógł się pojawić Pickering. To oczywiste, że się pojawi.

Oparła się dłonią o niski ozdobny murek i zeskoczyła na piasek. Źdźbła trawy połaskotały ją w uda. Wbiegła na wydmy między Bunkrem i plażą, podciągając zniszczone szorty i co chwila oglądając się przez ramię. Nic... nadal nic... i nagle Pickering wyskoczył przez tylne drzwi i wrzasnął, żeby nie ruszała się z miejsca. Zdążył włożyć żółtą pelerynę i trzymał w ręku jakiś ostry przedmiot. Biegając alejką w stronę patia, wymachiwał nim w powietrzu. Nie wiedziała, co to jest, i nie chciała wiedzieć. Miała nadzieję, że jej prześladowca nie znajdzie się dość blisko, by mogła to zobaczyć.

Potrafiła go przegonić. Zdawała sobie sprawę, że z początku Pickering puści się sprintem, a potem spuchnie, bez względu na to, jak mocno będzie motywował go obłąd i strach przed zdemaskowaniem.

Miała wrażenie, jakby całe to jej bieganie, cały trening służyły do tego, by przygotowała się na tę chwilę.

Mimo to, gdy dobiegała do plaży, o mało nie popełniła kluczowego błędu i nie skręciła na południe. Dobiegłaby wówczas do końca Vermillion Key już po pokonaniu ćwierci mili. Oczywiście po dotarciu tam mogłaby wezwać pomoc (dokładnie rzecz biorąc, wołać o nią, ile miała sił w gardle), ale jeżeli Pickering zrobił coś Deke'owi Hollisowi – a bała się, że tak się stało – wpadłaby w pułapkę. Mogłaby wołać do przepływających łodzi, lecz odnosiła wrażenie, że Pickering pozbył się wszelkich skrupułów; w tym momencie zadźgałby ją prawdopodobnie na scenie Radio City Music Hall na oczach Rockettes.

Dlatego zamiast na południe skręciła na północ, gdzie prawie dwie mile pustej plaży dzieliły ją od Trzcinowej Chatki. Zrzuciła z nóg tenisówki i zaczęła biec.

## Nie spodziewała się, że zobaczy coś pięknego

Nie po raz pierwszy biegła plażą po jednej z tych krótkich, lecz silnych popołudniowych burz, i nie po raz pierwszy czuła, jak na twarzy i ramionach osiadają jej kropelki wilgoci. Znajomy był także potężniejący odgłos łamiących się fal (zaczynał się przypyływ i plaża zmniejszała się do wąskiego pasa) i nasilające się zapachy: soli, wodorostów, kwiatów i nawet mokrego drewna. Spodziewała się, że będzie przestraszona – podobnie jak przestraszeni są żołnierze na froncie, kiedy wykonują jakieś niebezpieczne zadanie, które na ogół (choć nie zawsze) kończy się dobrze. Nie spodziewała się, że zobaczy coś pięknego.

Mgła płynęła znad zatoki. Woda była matowozieloną zjawą sunącą przez biel ku brzegowi. Musiało w niej się kłębić od ryb, ponieważ pelikany urządziły sobie otwarty bufet. Większość widziała w formie cieni składających skrzydła i pikujących w wodę. Inne kołysały się na falach, nieruchome jak wabiki, ale pilnie ją obserwujące. Świecące po jej lewej stronie słońce było matową pomarańczowożółtą monetą.

Bała się, że znów złapie ją kurcz w łydce – gdyby tak się stało, byłoby po niej. Ale łydka już dawno przywykła do biegu i wydawała się raczej rozluźniona, a może nawet nieco zbyt rozgrzana. Bardziej niepokoił ją ból w krzyżu, odzywający się lekko co trzy albo cztery kroki i wysyłający mocniejszy sygnał co kilkadziesiąt kroków. Zaczęła jednak czule do niego przemawiać, obiecywała ciepłe kąpiele i masaże shiatsu, kiedy to wszystko się skończy i ścigająca ją dzika bestia znajdzie się w areszcie hrabstwa Collier. Odniosło to pewien skutek. A może samo bieganie stanowiło rodzaj masażu. Miała powody sądzić, że tak jest w istocie.

Pickering wrzasnął raz czy dwa, żeby się zatrzymała, a potem umilkł, oszczędzając siły na pogoń. Obejrzała się raz i oceniła, że jest jakieś siedemdziesiąt jardów z tyłu. Jediną rzeczą którą dostrzegała wyraźnie w popołudniowej mgle, była jego czerwona koszulka golfowa. Obejrzała się ponownie i zobaczyła go wyraźniej; widziała teraz zachlapane krwią szorty khaki. Pięćdziesiąt jardów z tyłu. Ale dyszał. To dobrze. To, że dyszał, dobrze wróżyło.

Emily przeskoczyła przez płataninę gałęzi i szorty zsunęły jej się z bioder, zakłócając rytm biegu i grożąc tym, że się przewróci. Nie miała czasu, żeby się zatrzymać i je zdjąć; szarpnęła je tylko wściekle w górę, żalując, że nie mają tasiemki, którą mogłaby ściągnąć, może nawet złapać w zęby.

Z tyłu rozległ się krzyk i zdawało jej się, że słyszy w nim furię i strach. Pickering zaczął sobie chyba zdawać sprawę, że to wszystko może nie zakończyć się po jego myśli. Ryzykując, obejrzała się jeszcze raz z nadzieją i nadzieja nie okazała się płonna. Pickering potknął się o gałęzie, które przeskoczyła, i upadł na kolana. Jego nowa broń, przypominająca kształtem literę X, leżała przed nim na piasku. A więc to były nożyce. Kuchenne nożyce. Z tych wielkich, których kucharze używają do przecinania chrząstek i kości. Złapał je i dźwignął się na nogi.

Emily pobiegła dalej, przyspieszając stopniowo kroku. Nie planowała tego, ale też nie sądziła, by kontrolę przejmowało jej ciało. Istniało jakieś połączenie między ciałem i umysłem, jakiś interfejs. Jakaś jej cząstka chciała przejąć teraz dowodzenie i Emily na to pozwoliła. Ta cząstka chciała przyspieszać stopniowo, prawie łagodnie, żeby ścigająca ją bestia nie domyśliła się, że to robi. Ta cząstka chciała, żeby Pickering też przyspieszył kroku, być może nawet zmniejszył nieznacznie dzielący ich dystans. Ta cząstka chciała go wykończyć i pozbawić sił. Chciała usłyszeć, jak łapie kurczowo powietrze i rzezi. Może nawet zanosi się kaszlem, jeśli był palaczem (choćby były to chyba zbyt wygórowane nadzieje). Wtedy Emily włączyłaby dodatkowy bieg, który miała, lecz którego rzadko używała; ten bieg zawsze wydawał się kuszeniem losu, zupełnie jakby w słoneczny dzień przyczepiła sobie do ramion skrzydła z wosku. Ale nie miała teraz wyboru. I jeżeli w ogóle skusiła kiedyś los, stało się to wówczas, gdy zajrzała na wykładany kamiennymi płytami dziedziniec Bunkra.

A jaki miałam wybór, kiedy zobaczyłam jej włosy? Może to los mnie skusił.

Pobiegła dalej, zostawiając ślady stóp na piasku. Obejrzała się ponownie i zobaczyła Pickeringa tylko czterdzieści jardów za sobą. Jednak czterdzieści jardów stanowiło bezpieczny dystans. Biorąc pod uwagę, jak czerwoną i wykrzywioną miał twarz, czterdzieści jardów to odpowiednia odległość.

Na zachodzie i nad jej głową chmury rozsunęły się nagle jak w tropikach i kolor mgły natychmiast zmienił się z ponurej szarości w oślepiającą jasność. Plażę oświetliły punktowe reflektory słońca. Emily wbiegła w jedno z takich miejsc i po dwóch krokach z niego wybiegła, czując, jak temperatura i wilgotność gwałtownie się podnosi i potem spada, gdy ponownie spowiła ją mgła. Odniosła wrażenie, jakby w chłodny dzień przebiegała obok otwartych drzwi samoobsługowej pralni. Zamglony błękit otworzył się przed nią na kształt kociego oka, nad którym pojawiła się podwójna tęcza o wyraźnych, świetlistych kolorach. Jej zachodnie krańce zagłębiały się w nadal gęstej mgle i tonęły w wodzie; te opadające w stronę lądu znikwały pośród palm.

Emily zaczęła prawą stopą o lewą kostkę i potknęła się. Przez moment bała się, że upadnie, ale na szczęście odzyskała równowagę. Jednak teraz Pickering był tylko trzydzieści jardów z tyłu, a trzydzieści jardów to za mało. Koniec podziwiania tęczy. Jeśli nie zajmie się tym, co ważne, ta, którą widziała nad głową, będzie jej ostatnią.

Spojrzała przed siebie i zobaczyła mężczyznę, który przyglądał się im, stojąc po kostki w wodzie. Ubrany tylko w przycięte dzinsowe szorty i mokrą czerwoną chustkę, miał brązową skórę i ciemne włosy oraz oczy. Był niski, ale dobrze zbudowany. Wyszedł z wody i zobaczyła na jego twarzy niepokój. Dzięki Bogu, zobaczyła niepokój.

– Ratunku! – zawołała. – Na pomoc!

Mężczyzna był coraz bardziej zaniepokojony.

– *Señora? Qué ha pasado? Qué es lo que va mal?*



Znała trochę hiszpański – właściwie tylko kilka słów – lecz kiedy się odezwał, wszystkie wypadły jej z głowy. To nie miało znaczenia. Facet był z pewnością ogrodnikiem pracującym w jednej z rezydencji. Wykorzystał deszcz, żeby ochłodzić się w zatoce. Mógł nie mieć zielonej karty, ale nie potrzebował jej, żeby uratować jej życie. Był mężczyzną, sprawiał wrażenie silnego i zarazem przejętego. Rzuciła mu się w ramiona i poczuła przez T-shirt jego moką skórę.

– On jest szalony! – krzyknęła mu prosto w twarz. Mogła to zrobić, ponieważ byli prawie dokładnie tego samego wzrostu. I przypomniała sobie nagle przynajmniej jedno hiszpańskie słowo. Bardzo przydatne w tej sytuacji. – *Loco! Loco, loco!*

Facet obrócił się, obejmując ją mocno ramieniem. Emily popatrzyła tam, gdzie spoglądał, i zobaczyła Pickeringa. Na jego twarzy widniał uśmiech. Sympatyczny i jakby przepaszający. Nawet krew na szortach i spuchnięta twarz nie niwelowały siły przekonywania tego uśmiechu. I zniknęły gdzieś nożyce, co było najgorsze. Jego dłonie – lewa oraz prawa, którą skaleczyła i na której dostrzegła strup między dwoma palcami – były puste.

– *Es mi esposa* – powiedział. Ton jego głosu był przepaszający i tak samo przekonujący jak uśmiech. Nawet fakt, że ciężko sapał, przemawiał na jego korzyść. – *No te preocupes. Ella tiene...* – Jego znajomość hiszpańskiego okazała się niewystarczająca albo tylko udawał. Rozłożył ręce, nadal się uśmiechając. – Problemy? Ma problemy?

W oczach Latynosa zabłysło zrozumienie i ulga.

– *Problemas?*

– *Si* – potwierdził Pickering, po czym jedna z jego rozłożonych rąk powędrowała do ust i wykonała gest przechylania butelki.

– Aha – domyślił się Latynos, kiwając głową. – *Pije!*

– Nie! – zawołała Em, czując, że facet praktycznie popycha ją w ramiona Pickeringa, chce się pozbyć tego nieoczekiwanego problemu, tej nieoczekiwanej *señory*. Dmuchnęła mu prosto w twarz, żeby udowodnić, że nic nie piła. A potem olśniło ją i dotknęła palcem spuchniętej wargi.

– *Loco!* To on zrobił!

– Nie, to ona sama się uderzyła, chłopie – rzekł Pickering. – Okay?

– Okay – powtórzył Latynos i pokiwał głową, ale już nie popychał Emily w ramiona Pickeringa.

Najwyraźniej się wahał. A Emily przypomniała sobie kolejne słowo, coś, co zaczerpnęła z jakiegoś programu edukacyjnego, który oglądała – prawdopodobnie z wierną Becką – kiedy w telewizji nie szedł *Scooby-Doo*.

– *Peligro* – powiedziała, zmuszając się, żeby nie krzyknąć. Po krzykach można było poznać szalone *esposas*. Popatrzyła prosto w oczy latynoskiemu pływakowi. – *Peligro!* On! *Señor Peligro!*

Pickering roześmiał się i wyciągnął rękę w jej stronę. Przerazona tym, jak blisko się znalazł (zupełnie jakby stogowi siana wyrosły nagle ręce), odepchnęła go. Nie spodziewał się tego i wciąż jeszcze brakowało mu tchu. Nie upadł, ale zatoczył się do tyłu, otwierając szerzej oczy. I w tym momencie wypadły mu nożyce, które wsadził z tyłu za pasek szortów. Przez chwilę cała trójka przyglądała się metalowemu iksowi na piasku. Fale monotonicznie uderzały o brzeg. Ptaki nawoływały z wnętrza rozwiewającej się mgły.

## 11

### A potem zerwała się i pobiegła dalej

Na ustach Pickeringa znowu pojawił się miły uśmiech – ten sam, którym oszukał tyle „bratani”.

– Potrafię to wyjaśnić, ale brakuje mi słów. Potrafię to jasno wytłumaczyć, okay? – Poklepał się w klatkę piersiową niczym Tarzan. – *No Señor Loco, no Señor Peligro*, okay? – I w tym momencie mogło mu się udać. Lecz potem, nadal się uśmiechając, wskazał Emily. – *Ella es bobo perra* \*.

Nie miała pojęcia, co znaczy *bobo perra*, ale zobaczyła, jak zmieniła się twarz Pickeringa, gdy wymawiał te dwa słowa.

Przede wszystkim górna warga, która cofnęła się, a potem uniosła, tak jak to się dzieje z górną częścią psiego pyska, kiedy warczy. Latynos pociągnął Emily do tyłu. Nie stanęła dokładnie za jego plecami, lecz znaczenie tego gestu było oczywiste: obroni ją. A potem pochylił się i sięgnął po leżący na piasku metalowy przedmiot.

Gdyby zrobił to, zanim pociągnął Emily do tyłu, może zdążyłby złapać nożyce. Jednak Pickering zdał sobie sprawę, że sytuacja wymyka mu się z rąk, i sam po nie sięgnął. Złapał je pierwszy, po czym padł na kolana i wbił oblepione piaskiem ostrza w lewą stopę Latynosa. Mężczyzna krzyknął i wytrzeszczył oczy.

Chciał złapać Pickeringa, lecz ten najpierw wywrócił się na bok, a potem zerwał na nogi (nadal jest taki szybki, pomyślała Emily) i odsunął się na dwa kroki. Następnie wrócił i objąwszy przyjaznym gestem muskularne ramiona Latynosa, wbił mu nożyce w pierś. Latynos próbował się cofnąć, ale Pickering trzymał go mocno i nie przestawał dźgać. Stał nie wnikając głęboko w ciało – Pickering uderzał za szybko – lecz krew tryskała na wszystkie strony.

– Nie! – krzyknęła Emily. – Przestań!

Pickering obrócił się na chwilę w jej stronę, przeszywając ją niesamowitym spojrzeniem, a potem dźgnął Latynosa w usta. Nożyce weszły tak głęboko, że ich stalowe uchwyty zadzwoniły o jego zęby.

---

\* Hiszp. – To głupia dziwka.

– Okay? – zapytał. – Okay? Teraz okay? Teraz rozumiesz, ty zafajdany brudasie?

Emily rozejrzała się za czymkolwiek, jakimś kawałkiem drzewa wyrzuconym na brzeg, którym mogłaby go uderzyć, ale niczego nie dostrzegła. Kiedy spojrzała z powrotem na Latynosa, nożyce wystawały mu z oka. Osunął się powoli na ziemię i wyglądało to, jakby kłaniał się wpół. Pickering pochylił się razem z nim, próbując wyciągnąć nożyce.

Em skoczyła na niego, krzycząc. Walnęła go barkiem w brzuch, uświadamiając sobie instynktownie, jaki jest miękki – trafiło do niego wiele wykwintnych potraw.

Pickering wywrócił się na plecy, łapiąc kurczowo powietrze i piorunując ją wzrokiem. Kiedy próbowała odskoczyć, złapał ją za lewą nogę i wbił w nią paznokcie. Latynos leżał obok niej na boku, zakrwawiony i wstrząsany drgawkami. Tylko nos dawało się rozpoznać w jego jeszcze przed trzydziestoma sekundami przystojnej twarzy.

– Chodź tutaj, Lady Jane – powiedział Pickering, ciągnąc ją ku sobie. – Dostarczę ci trochę rozrywki. Lubisz rozrywkę, ty głupia dziwko?

Był silny i chociaż wbijała paznokcie w piasek, nie dawała rady. Poczula gorący oddech Pickeringa na stopie i chwilę później jego zęby wbiły się aż po dziąsła w jej piętę.

Nigdy w życiu nie doświadczyła takiego bólu; przed rozszerzonymi oczyma stało jej każde leżące na plaży ziarenko piasku. Krzyknęła i wierzgnęła dziko prawą nogą. Raczej przez przypadek – w tej sytuacji nie było mowy o celowaniu – trafiła go, i to mocno. Pickering zawył (nieco stłumionym głosem) i przeszywający ból w lewej pięcie skończył się tak samo nagle, jak zaczął. Czują w niej tylko dotkliwe ćmienie. Coś chrupnęło w twarzy Pickeringa. Poczula to i usłyszała. Chyba kość policzkowa. Może nos.

Przeturlała się na czworakach, nie wiedząc, czy mocniej boli ją spuchnięty nadgarstek czy może jednak nadgryziona pięta. Przez moment wyglądała – mimo że podarte szorty ponownie zsunęły jej się z bioder – niczym czekająca na strzał startera biegaczka w blokach. A potem zerwała się i pobiegła dalej, lecz tym razem wyraźnie utykała. Skręciła bliżej wody. W głowie miała kompletny mętlik (pomyślała na przykład, że wygląda jak kulejący zastępca szeryfa w tym czy innym telewizyjnym westernie: ta myśl przeleciała jej przez umysł i znikła), jednak ta część jej osobowości, która była zorientowana na przetrwanie, zachowała dość przytomności, by pamiętać, że Emily musi biec po ubitym piasku. Podciągnęła rozpaczliwym ruchem szorty i zobaczyła, że ma ręce pokryte piaskiem i krwią. Łkając, wytarła najpierw jedną, potem drugą o podkoszulek. Wbrew wszelkiej nadziei obejrzała się przez ramię, ale on znowu ją ścigał.

Starła się, jak mogła, biegła tak szybko, jak potrafiła, piasek – chłodny i wilgotny tam, gdzie biegła – koił nieco ból w rozpalonej stopie, lecz nie umiała złapać dawnego rytmu. Obejrzała się i zobaczyła, że się do niej zbliża. Wkładał wszystkie siły w ten ostatni sprint. Tęcze przed nią blakły, dzień nieubłagane robił się coraz jaśniejszy i gorętszy.

Starła się, jak mogła, ale wiedziała, że to nie wystarczy. Mogłaby przegonić starszą panią, starszego mężczyznę, nawet swojego biednego, smutnego męża, ale nie potrafiła

przegonić biegnącego za nią stukniętego sukinsyna. Złapie ją. Rozejrzała się za bronią, którą mogłaby go uderzyć, jednak nic nie dostrzegła. Zobaczyła zwęglone gałęzie po rozpalonym przez kogoś na plaży ognisku, lecz leżały zbyt daleko w głębi lądu, tuż poniżej miejsca, gdzie zaczynały się porośnięte trawą wydmy. Gdyby skręciła w tamtą stronę, gdzie piasek był miękki i zdradliwy, Pickering złapałby ją jeszcze prędzej. Sytuacja była wystarczająco zła tu, przy brzegu. Słyszała, jak się zbliża, dysząc chrapliwie i parszcząc krwią z rozbitego nosa. Słyszała nawet szybki chrzęst tenisówek po mokrym piasku. Tak bardzo chciała zobaczyć na plaży kogoś jeszcze, że przez chwilę zdawało jej się, że widzi wysokiego, siwowłosego faceta z dużym zakrzywionym nosem i ogorzałą ciemną cerą. A potem uświadomiła sobie, że rozgorączkowana wyobraźnia powołała do życia jej ojca, i zjawa zniknęła.

Pickering był już dość blisko, żeby ją złapać. Jego palce musnęły tył jej podkoszulka, o mało nie złapały materiału i zsunęły się. Następnym razem się nie zsuną. Em skręciła do morza, rozchlapując wodę, która najpierw sięgała jej do kostek, a potem do kolan. To była jedyna rzecz, jaka przyszła jej do głowy, jedyna rzecz. Wyobrażała sobie – nie do końca w jasny, świadomy sposób – że albo od niego odpłynie, albo przynajmniej stawi mu czoło w wodzie, gdzie mieli bardziej wyrównane szanse; w najgorszym razie fale spowolniłyby przynajmniej uderzenia tych okropnych nożyc. Jeżeli tylko zdąży dotrzeć dość głęboko.

Zanim mogła położyć się na wznak i zacząć płynąć – nim woda sięgnęła jej do ud – Pickering złapał ją za podkoszulek i pociągnął do tyłu, z powrotem do brzegu.

Zobaczyła nożyce nad swoim lewym ramieniem i chwyciła je. Próbowwała je wykręcić, ale nie miała szans. Pickering stał w głębokiej do kolan wodzie, na szeroko rozstawionych stopach, które tkwiły w piasku wymywanym przez cofające się fale. Jedna z nich popchnęła Em, która wpadła na swojego prześladowcę, i razem się wywrócili.

Reakcja Pickeringa była szybka i charakterystyczna: zaczął wierzgać, odpychać się od dna i konwulsyjnie miotać. Prawda zabłysła w jej głowie niczym fajerwerki na nocnym niebie. Nie umiał pływać. Pickering nie umiał pływać. Miał dom nad Zatoką Meksykańską, ale nie umiał pływać. I to było całkowicie logiczne. Odwiedzał Vermillion Key wyłącznie po to, by uprawiać sporty domowe.

Odsunęła się od niego, a on nie próbował jej złapać. Siedział w głębokiej do piersi wodzie, pośród sunących tam i z powrotem fal, które nie uspokoiły się jeszcze po niedawnej burzy, i wszystkie jego wysiłki skoncentrowane były na tym, żeby się podnieść, zaczerpnąć powietrza i ratować przed żywiołem, z którym nigdy nie nauczył się sobie radzić.

Em odezwałaby się do niego, ale szkoda jej było otwierać usta. Gdybym wiedziała, moglibyśmy to zakończyć od razu, powiedziałyby. I ten biedny facet nadal by żył.

Zamiast tego ruszyła do przodu, wyciągnęła rękę i złapała go.

– Nie! – wrzasnął, bijąc ją rękoma. Nie miał w nich nożyc – wywracając się, musiał je zgubić – i był zbyt wystraszony i wytracony z równowagi, żeby zacisnąć pięści. – Nie, nie rób tego! Puszczaj mnie, ty dziwko!

Em nie puściła. Ciągnęła go coraz głębiej. Mógł się jej z łatwością wyrwać, gdyby zdołał zapanować nad paniką, ale nie zdołał. I zdała sobie sprawę, że to coś więcej niż nieumiejętność pływania; Pickering cierpiał na jakiś rodzaj fobii.

*Co za człowiek, cierpiący na chorobliwy lęk przed wodą, kupuje sobie dom nad zatoką? Musiało mu odbić.*

To ją autentycznie rozśmieszyło, chociaż nie przestawał jej okładać, wymachując wściekle rękoma, i najpierw trafił Emily w prawy policzek, a później mocniej w bok głowy. Zielona woda wpadła jej do ust, ale natychmiast ją wypłuła. Pociągnęła go jeszcze głębiej i widząc zbliżającą się wielką falę – gładką i szklistą, ze spadającą z góry pianą – pchnęła go przodem w jej stronę. Jego wrzaski zmieniły się w zdławiony bulgot, który ucichł, kiedy poszedł pod wodę, miotając się, wierzgając i wijąc w jej uścisku. Wielka fala runęła na nią i Emily wstrzymała oddech. Przez chwilę znaleźli się oboje pod wodą i zobaczyła jego bladą twarz, a właściwie przerażoną maskę, która zatraciła wszelkie cechy ludzkie, zmieniając go w to, czym w był w rzeczywistości. W zielonej toni wirowała galaktyka kamyków. Przepłynęła między nimi mała zagubiona rybka. Pickeringowi oczy wyszły z orbit. Jego ostrzyżone krótko włosy falowały w wodzie i Emily bacznie im się przyglądała. Przyglądała im się, gdy z nosa poszły mu srebrne bańki powietrza. I widząc, jak kosmyki włosów zmieniają kierunek i skręcają w kierunku Teksasu, a nie Florydy, pchnęła go z całej siły i puściła. A potem odbiła się stopami od piaszczystego dna i popłynęła w górę.

Wynurzyła się z wody, łapiąc spazmatycznie powietrze i zaczęła się krok po kroku wycofywać. Nie było to łatwe nawet tak blisko brzegu. Omywająca jej biodra i nogi wsteczna fala była tak silna, że można ją było niemal uznać za prąd przeciwny. Trochę dalej na pewno nim była. A jeszcze dalej prąd przeciwny stawał się prądem odpływowym i nawet silny pływak miał tam niewielkie szanse, chyba że płynął na ukos, starając się mozolnie wrócić do bezpiecznej strefy.

Brnąc przez płyciznę, straciła równowagę i usiadła. Zalała ją kolejna fala. Było jej cudownie. Cudownie i zimno. Po raz pierwszy od śmierci Amy czuła się dobrze. Właściwie lepiej niż dobrze: bolało ją całe ciało i domyślała się, że chyba znowu płacze, ale czuła się bosko.

Podnosząc się z trudem w ociekającym, przyklejonym do tułowia podkoszulku, zobaczyła jakiś odpływający niebieski przedmiot, spojrzała na siebie i uświadomiła sobie, że zgubiła szorty.

– Nie szkodzi, i tak były podarte – powiedziała i zaczęła się śmiać.

Śmiejąc się, pobrnęła dalej w stronę plaży, najpierw po kolana, potem po kostki w wodzie, i w końcu stanęła, pozwalając, by morze omywało jej stopy. Mogła tak stać bardzo długo. Zimna woda łagodziła ból w rozpalonej stopie i była przekonana, że sól jest dobra na ranę; słyszała gdzieś, że ludzkie usta są największym rozsadnikiem zarazków na całym świecie.

– Tak – mruknęła, wciąż się śmiejąc – ale kto, do diabła, jest największym...

W tej samej chwili Pickering wynurzył się z krzykiem na powierzchnię. Był teraz jakieś dwadzieścia pięć stóp od brzegu. Wymachiwał wściekle rękoma.

– Ratunku! – zawołał. – Nie umiem pływać!

– Wiem – odparła Emily. Podniosła rękę i pomachała mu, życząc pomyślnej podróży. – Może nawet natkniesz się na rekina. Deke Hollis powiedział mi w zeszłym tygodniu, że się pojawiły.

– Ratu... – Zalała go fala. Myślała, że już się nie wynurzy, ale się wynurzył. Był teraz trzydzieści stóp od brzegu. Co najmniej trzydzieści. – ...nku! Proszę!

Jego żywotność była absolutnie zdumiewająca, zwłaszcza że to, co robił – wymachiwał głównie rękoma, tak jakby myślał, że odleci niczym mewa – przynosiło skutek odwrotny do zamierzonego. Przez cały czas dryfował coraz dalej, a na plaży nie było nikogo, kto by go wyciągnął. Nikogo oprócz niej.

Naprawdę nie mógł już wrócić na brzeg, była tego pewna, lecz mimo to pokuściła do resztek plażowego ogniska i wybrała największe ze zwęglonych polan. A potem stanęła tam i po prostu patrzyła, rzucając za sobą coraz dłuższy cień.

## 12

### **Chyba wolę tak myśleć**

Trwało to bardzo długo. Nie miała pojęcia, ile dokładnie, bo zabrał jej zegarek. Po pewnym czasie przestał krzyczeć. Później widziała tylko biały krąg nad ciemną czerwoną koszulką i blade ręce, które próbowały pomóc mu odfrunąć. A potem nagle zniknął. Myślała, że zobaczy jeszcze raz rękę wynurzającą się niczym peryskop i machającą na wszystkie strony, ale się nie wynurzyła. Po prostu zniknął. Bul, bul. Właściwie była rozczarowana. Później mogła stać się z powrotem sobą – może nawet swoim lepszym ja – lecz w tym momencie chciała, żeby dalej cierpiał. Chciała, żeby umierał przerażony i żeby trwało to długo. Za Nicole i wszystkie inne „bratanice” sprzed Nicole.

Czy ja też jestem „bratanicą”?

Przypuszczała, że na swój sposób jest. Ostatnią „bratanicą”. Tą która biegła najszybciej, jak potrafiła. Tą która przeżyła. Usiadła przy pozostałości ogniska i odrzuciła na bok zwęglone polano. Pewnie i tak nie okazałoby się dobrą bronią; przypuszczalnie pękłoby niczym węgiel do rysowania już po pierwszym ciosie. Słońce stawało się coraz ciemniejszą pomarańczą, która rozpałała zachodni horyzont. Wkrótce miał się zająć ogniem.

Pomyślała o Henrym. I o Amy. Teraz ich nie było, ale kiedyś istnieli – piękni niczym podwójna tęcza nad plażą – z przyjemnością o tym myślała. A później pomyślała o ojcu. Wkrótce wstanie, potruchta do Trzciniowej Chatki i do niego zadzwoni. Ale jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie. Bo teraz dobrze było siedzieć, wbijając stopy w piasek i obejmując obolałymi ramionami podkurczone kolana.

Fale dobijały do brzegu. Ani śladu po jej podartych szortach czy czerwonej koszulce golfowej Pickeringa. Zatoka zabrała jedno i drugie. Czy Pickering utonął? Przypuszczała, że to najbardziej prawdopodobne, ale dziwiło ją że tak szybko poszedł na dno. Nie pomachał nawet na pożegnanie...

– Myślę, że coś go ucapilo – powiedziała do zapadającego zmierzchu. – Chyba wolę tak myśleć. Bóg wie dlaczego.

– Bo jesteś tylko człowiekiem, kochanie – rzekł jej ojciec. I przypuszczała, że taka była prawda. Po prostu.

W filmowym horrorze Pickering wystąpiłby jeszcze raz w scenie finałowej: wynurzyłby się z rykiem ze spienionych fal albo wyskoczył z szafy w jej sypialni, ociekający wodą lecz jak zawsze żywotny. Ale to nie był horror, tylko jej życie. Jej skromne życie. Przeżyje je, kuśtykając na początek do miejsca, gdzie stał dom i pasujący do niego klucz spoczywał w pudełku po pastylkach na gardło, pod starym, szpetnym krasnoludem w spłowiałym czerwonym kapeluszu. Otworzy nim drzwi, a potem skorzysta z telefonu. Zadzwoi do ojca, potem na policję. A jeszcze później zadzwoni chyba do Henry'ego. Przypuszczała, że Henry w dalszym ciągu ma prawo wiedzieć, że wszystko u niej w porządku, chociaż nie będzie miał go zawsze. Albo nie będzie chciał z niego zawsze korzystać.

Nad zatoką trzy pelikany przeleciały tuż nad wodą a potem poszybowały wyżej, spoglądając w dół. Patrzyła, wstrzymując oddech, jak zastygają w bezruchu w pomarańczowym powietrzu. Jej twarz – na szczęście tego nie wiedziała – była twarzą dziecka, które gdyby przeżyło, wspinałoby się po drzewach.

Trzy ptaki złożyły skrzydła i zapikowały w dół.

Emily klasnęła w dłonie, mimo że zabolął ją od tego spuchnięty prawy nadgarstek.

– Cześć, pelikany! – zawołała.

A potem otarła ręką oczy, odgarnęła do tyłu włosy, wstała i ruszyła z powrotem do domu.

## Sen Harveya

Janet odwraca się od zlewozmywaka i nagle, bum, widzi swojego męża (spędziła z nim niemal trzydzieści lat życia), który siedzi przy kuchennym stole w białym podkoszulku i bokserkach Big Dog i ją obserwuje.

W sobotnie ranki coraz częściej zastawała tego finansowego rekina z Wall Street właśnie w tym miejscu, ubranego w tym swobodnym stylu: ze zgarbionymi ramionami, pozbawionymi wyrazu oczyma, białą szczecinę na policzkach, zwisającymi pod podkoszulkiem męskimi cyckami i włosami sterczącymi z tyłu zupełnie jak u Alfalfa z *Klanu urwisów*, który zestarzał się i zgłupiał. Janet i jej przyjaciółka Hannah straszyły się ostatnio (niczym małe dziewczynki opowiadające sobie przed snem historie o duchach) opowieściami o alzheimrze: który z ich mężów nie poznaje już swojej żony, który nie pamięta imion własnych dzieci.

Tak naprawdę jednak wcale nie wierzy, żeby te sobotnie milczące wizyty w kuchni miały coś wspólnego z wczesnym stadium alzheimera; w dowolny powszedni dzień Harvey Stevens jest zwarty i gotów do wyjścia o szóstej czterdzieści pięć: mężczyzna, który wygląda na pięćdziesiąt lat (no, może na pięćdziesiąt cztery) w każdym ze swoich najlepszych garniturów i który wciąż potrafi nie gorzej od innych zakończyć sprzedaż, kupować akcje finansowane kredytem i grać na spadek.

Nie, myśli Janet, to po prostu wprawianie się w byciu starym, i wcale jej się to nie podoba. Boi się, że kiedy Harvey przejdzie na emeryturę, będzie tak każdego ranka, przynajmniej dopóki nie da mu szklanki soku pomarańczowego i nie zapyta (z coraz większym zniecierpliwieniem, którego nie zdołała opanować), czy chce płatki, czy tylko grzanek. Boi się, że za każdym razem, gdy oderwie się od wykonywanej w kuchni czynności, zobaczy go siedzącego w promieniach zbyt jasnego słońca, Harveya o poranku, Harveya w T-shircie i bokserkach, z rozstawionymi szeroko nogami, by mogła dojrzeć niepozorne wybrzuszenie, jakie tworzyły pod szortami jego jaja (gdyby zechciała na nie spojrzeć) oraz żółte odciski na dużych palcach, które zawsze kojarzyły jej się z Wallace'em Stevenssem i jego „Imperatorem porcji lodów”. Harveya, który siedzi tam w milczeniu i sennym kontemplacyjnym nastroju zamiast rwać się do działania, szykować na wyzwania nowego dnia.



Boże, ma nadzieję, że się myli. Życie okazałoby się wówczas takie płytkie, takie głupie. Nie może nie zadać sobie pytania, czy o to właśnie walczyli, czy po to wychowali i wydali za mąż trzy córki, przewyciężyli jego nieunikniony romans wieku średniego, pracowali i czasami (powiedzmy sobie szczerze) kradli. Jeżeli tu właśnie wychodzi się z ciemnego lasu, myśli Janet, na ten... na ten parking, to po co ktokolwiek to robi?

Ale odpowiedź jest prosta. Bo się tego nie wie. Człowiek demaskuje po drodze większość kłamstw, ale wierzy w to jedno, które mówi, że życie ma znaczenie. Trzyma album ze zdjęciami dziewczynek, album, w którym nadal są młode i nadal rysują się przed nimi ciekawe możliwości: przed Trishą, najstarszą, w cylindrze na głowie, stojącą z różdżką z cynfolii w ręku nad Timem, ich cocker-spanielem; przed Jenny, uwiecznioną, gdy przeskakuje ogrodowy zraszacz i nie ujawniła się jeszcze jej słabość do prochów, kart kredytowych i starszych mężczyzn; i przed najmłodszą Stephanie, na okręgowym konkursie ortografii, gdzie poległa na *kantalupie*. Na większości tych zdjęć widać było (na ogół w tle) Janet i mężczyznę, którego poślubiła, zawsze uśmiechniętych, jakby zabroniony był jakikolwiek inny wyraz twarzy.

A potem pewnego dnia popełnia się błąd, oglądając się przez ramię i odkrywając, że dziewczynki są już dorosłe, a mężczyzna, z którym chciało się za wszelką cenę zachować związek, siedzi z rozchylonymi rybiobiałymi nogami, wpatrując się w słońce i, na Boga, może i wygląda na pięćdziesiąt cztery lata w każdym ze swoich najlepszych garniturów, ale gdy siedzi tu w ten sposób przy kuchennym stole, wygląda na siedemdziesiąt. Na siedemdziesiąt pięć, do diabła. Wygląda jak facet, którego zbiry z *Rodziny Soprano* określają mianem dziadygi.

Janet odwraca się z powrotem do zlewu i delikatnie pociąga nosem, raz, drugi i trzeci.

– Jak się czują dziś rano? – pyta Harvey, mając na myśli jej zatoki, jej alergię. Odpowiedź brzmi „nie najlepiej”, lecz podobnie jak zaskakująco spora liczba złych rzeczy jej letnia alergia ma też swoje plusy. Nie musi już z nim dłużej spać i walczyć o swoją część kołdry w środku nocy; nie musi już słuchać stłumionych pierdnięć, kiedy Harvey zapada głębiej w sen. Latem śpi teraz na ogół od sześciu do siedmiu godzin i to jej w zupełności wystarcza. Kiedy nadejdzie jesień i Harvey sprowadzi się do niej z powrotem z pokoju gościnnego, liczba godzin spadnie do czterech i część z nich będzie bezsenna.

Wie, że któregoś roku Harvey nie przeniesie się z powrotem. I chociaż mu tego nie mówi – zraniłoby to jego uczucia, a ona nadal nie lubi ranić jego uczuć; do tego obecnie sprowadza się ich miłość, przynajmniej ta, którą ona żywi do niego – będzie się z tego cieszyć.

Wzdycha i sięga do stojącego w zlewie garnka z wodą. Maca dookoła niego.

– Nieźle – odpowiada.

– Dobrze, że nie spałaś ze mną tej nocy, Jax – mówi on nagle dziwnie lekkim tonem, kiedy ona zaczyna już myśleć (nie po raz pierwszy), że w życiu nie czekają jej żadne

niespodzianki, żadne małżeńskie komplikacje. – Miałem zły sen. Właściwie obudziłem się z krzykiem.

Janet jest zaskoczona. Ile minęło czasu, odkąd po raz ostatni nazwał ją Jax, a nie Janet lub Jan? Tej ostatniej wersji imienia skrycie nienawidzi. Kojarzy jej się ze słodką jak syrop aktorką z ekranizacji *Lassie*, którą oglądała, kiedy była dzieckiem. Mały chłopczyk (Timmy, nazywał się Timmy) stale wpadał do studni, przygniatała go skała albo gryzł wąż, i cóż to za rodzice, którzy powierzają swoje dziecko pierdolonej suce collie?

Odwraca się do niego ponownie, zapominając o garnku z ostatnim jajkiem zanurzone w wodzie, która tak dawno przestała się gotować, że jest praktycznie letnia. Miał zły sen? Harvey? Próbuje sobie bezskutecznie przypomnieć, kiedy Harvey wspomniał, że cokolwiek mu się śniło. Pamięta tylko niewyraźnie epizod z okresu, gdy ze sobą chodzili i powiedział coś w rodzaju „Miałem z tobą sen”, a ona była dość młoda, by uznać, że jest słodki, a nie nieporadny.

– Co takiego? – pyta.

– Obudziłem się z krzykiem. Nie słyszałaś?

– Nie – odpowiada, nadal na niego patrząc. Zastanawia się, czy jej nie podpuszcza. Czy to nie jest jakiś dziwaczny poranny żart. Ale Harvey nie jest żartownisiem. Kiedy przychodzi mu ochota na żarty, opowiada przy kolacji anegdoty o swojej służbie w wojsku. Słyszała je wszystkie co najmniej sto razy.

– Krzyczałem jakieś słowa, lecz tak naprawdę nie przechodziły mi przez gardło. Zupełnie jakbym... nie wiem... nie mógł zamknąć wokół nich ust. Mój głos brzmiał, jakbym miał udar. I był niższy. W ogóle niepodobny do mojego głosu. – Harvey przerywa. – Usłyszałem go i przestałem krzyczeć. Ale cały się trząsałem i musiałem na chwilę zapalić światło. Próbowałem się wysikać, lecz nie mogłem. Ostatnio zawsze mogę się wysikać... choćby trochę... lecz nie dziś w nocy, o drugiej czterdzieści siedem.

Harvey przerywa, siedząc w smudze słońca. Janet widzi tańczące w niej drobinki kurzu, które tworzą nad jego głową coś w rodzaju aureoli.

– Co ci się śniło? – pyta i to dziwne: po raz pierwszy chyba od pięciu lat, kiedy zasiedzieli się do północy, dyskutując, czy trzymać akcje Motoroli, czy raczej je sprzedać (w końcu je sprzedali), interesuje ją coś, co on ma do powiedzenia.

– Nie wiem, czy chcę ci opowiedzieć – odpowiada Harvey z nietypową dla niego nieśmiałością. Obraca się, bierze młynek do pieprzu i zaczyna go przerzucać z ręki do ręki.

– Mówią, że jeśli opowiesz swój sen, to się nie spełni – mówi Janet i dzieje się kolejna dziwna rzecz: Harvey sprawia na niej nagle wrażenie, jakiego nie sprawiał od wielu lat. Nawet jego cień na ścianie nad tosterem wygląda inaczej. Wygląda, jakby był kimś ważnym, myśli Janet, i dlaczego tak się dzieje? Dlaczego, skoro jeszcze przed chwilą myślała, że życie jest płytkie, miałyby się nagle stać głębokie? Jest letni ranek pod koniec czerwca. Jesteśmy w

Connecticut. W czerwcu zawsze jesteśmy w Connecticut. Wkrótce jedno z nas przyniesie gazetę, która będzie podzielona na trzy części jak Galia.

– Tak mówią?

Harvey zastanawia się nad tym z uniesionymi brwiami (Janet musi je znowu wyskubać, nadają mu dziki wygląd, a on nigdy nie zdaje sobie z tego sprawy), przerzucając młynek z ręki do ręki. Powiedziałyby, żeby przestał to robić, że to ją denerwuje (podobnie jak jego wyraźnie czarny cień na ścianie i jej bijące mocno serce, które bez żadnego powodu nagle przyspieszyło), ale nie chce odwozić go od tego, co dzieje się w tej jego porannosobotniej głowie. Po chwili Harvey sam odkłada młynek, co powinno sprawić jej ulgę, lecz nie sprawia, ponieważ ten rzuca teraz na stół swój własny cień, podobny do cienia przerośniętego szachowego pionka; cienie rzucają nawet leżące na blacie okruszki i Janet nie ma pojęcia, dlaczego miałyby ją to przerażać, ale tak właśnie jest. Przychodzi jej na myśl Kot z Cheshire mówiący Alicji „Tu wszyscy jesteśmy szaleni”<sup>\*</sup>, i nagle nie ma ochoty wysłuchiwać głupiego snu Harveya, tego, z którego obudził się, krzycząc tak, jakby miał udar. Nagle chce, żeby życie było płytkie. Płytkość jest w porządku, płytkość jest dobra, wystarczy spojrzeć na aktorki w filmach, jeśli ktoś ma wątpliwości.

Niczego nie można przepowiedzieć, myśli gorączkowo. Owszem, gorączkowo; zupełnie jakby miała jedno z tych uderzeń gorąca, chociaż mogłaby przysiąc, że cała ta głupota skończyła się dwa albo trzy lata temu. Niczego nie można przepowiedzieć, jest sobotni ranek i niczego nie można przepowiedzieć.

Otwiera usta, żeby powiedzieć mu, że się pomyliła, tak naprawdę mówią że jeśli ktoś opowie swoje sny, to mu się spełnią, lecz jest już za późno, Harvey zaczyna opowiadać i przychodzi jej do głowy, że to kara za to, że nie podobało jej się płytkie życie. Życie jest w rzeczywistości jak piosenka Jethro Tull, grube jak cegła, jak mogła w ogóle inaczej myśleć?

– Śniło mi się, że rankiem zszedłem do kuchni – mówi Harvey. – Był sobotni ranek tak jak teraz, tyle że jeszcze nie wstałaś.

– W sobotę rano zawsze wstaję przed tobą.

– Wiem, ale to był sen – odpowiada cierpliwie i Janet widzi białe włosy po wewnętrznej stronie jego ud, tam gdzie mięśnie są praktycznie w zaniku. Kiedyś grał w tenisa, jednak te czasy już minęły. Dostaniesz ataku serca, biały człowieku, myśli Janet ze złośliwością która jest do niej zupełnie niepodobna, i to cię wykończy. W „Timesie” będą być może zastanawiali się, czy nie dać ci nekrologu, lecz jeśli tego samego dnia umrze aktorka grająca w filmach klasy B w latach pięćdziesiątych albo na pół zapomniana primabalerina z lat czterdziestych, nie załapiesz się nawet i na to.

– Ale było tak jak teraz – mówi Harvey. – To znaczy świeciło słońce. – Podnosi rękę i porusza drobinki kurzu, które zaczynają tańczyć wokół jego głowy, a ona ma ochotę krzyknąć, żeby tego nie robił. – Widziałem swój cień na podłodze i nigdy nie wydawał się

---

\* Przeł. Maciej Słomczyński.

taki jaskrawy i taki gruby. – Przerzywa na chwilę, uśmiecha się, a ona widzi, jakie ma spękane wargi. – „Jaskrawy” to dziwne słowo w odniesieniu do cienia, prawda? Podobnie jak „gruby”.

– Harvey...

– Podeszedłem do okna i zobaczyłem, że volvo Friedmanów ma z boku wgniecenie. Domyśliłem się, że Frank pił i że to się stało, kiedy wracał do domu.

Janet czuje nagle, że zaraz zemdleje. Widziała to wgniecenie z boku samochodu Franka Friedmana, kiedy podeszła do drzwi, żeby sprawdzić, czy już przywieźli gazetę (nie przywieźli), i pomyślała dokładnie to samo: Frank był w knajpie i zahaczył o coś na parkingu. Ciekawe, jak wygląda ten drugi facet, przeleciało jej przez głowę.

Przychodzi jej na myśl, że Harvey też to widział, że z jakiegoś dziwnego powodu ją podpuszcza. Na pewno jest to możliwe: z gościnnego pokoju, w którym sypia w letnie noce, widać ulicę. Tyle że Harvey Stevens nie jest tego rodzaju mężczyzną. Wygłupy nie są w jego stylu.

Czuje pot na policzkach, czole i karku i serce bije jej szybciej niż kiedykolwiek. Naprawdę czuje, że wydarzy się coś złego, ale dlaczego miałoby się to stać właśnie teraz? Teraz, kiedy świat jest spokojny i przyszłość zapowiada się dobrze. Jeśli sama się o to prosiłam, to przepraszam, myśli... a właściwie się modli. Cofnijcie to, proszę, cofnijcie.

– Podeszedłem do lodówki – ciągnie Harvey – zajrzałem do środka i zobaczyłem przykryty folią półmisek z faszerowanymi jajami. Byłem zachwycony: miałem apetyt na lunch o siódmej rano!

Harvey śmieje się. Janet – to znaczy Jax – zagląda do stojącego w zlewie garnka. Patrzy na ostatnie pozostawione w nim jajko na twardo. Inne obrała ze skorupki, przekroiła na pół i wydlubiła z nich żółtka. Leżą w misce przy suszarce. Obok stoi słoik z majonezem. Miała zamiar podać faszerowane jajka na lunch, z zieloną sałatką.

– Nie chcę, żebyś mi dalej opowiadał – mówi, ale prawie nie słyszy własnego głosu. Kiedyś była w kółku dramatycznym, a teraz nie jest w stanie odezwać się dość głośno, by usłyszano ją w kuchni. Mięśnie w jej klatce piersiowej są kompletnie luźne, tak jak luźne byłyby mięśnie nóg Harveya, gdyby próbował grać w tenisa.

– Miałem ochotę zjeść jedno, a potem pomyślałem: Nie, jeśli to zrobię, będzie na mnie krzyczała. I nagle zadzwonił telefon. Skoczyłem do niego, bo nie chciałem, żeby cię obudził, i tu zaczyna się straszna część. Chcesz usłyszeć straszną część?

Nie, myśli Janet, stojąc przy zlewie. Nie chcę usłyszeć strasznej części. Ale jednocześnie chce ją usłyszeć, wszyscy chcą ją usłyszeć, tu wszyscy jesteśmy szaleni, a jej matka naprawdę mówiła, że jeśli opowiemy swoje sny, na pewno się nie spełnią, co oznaczało, że powinniśmy opowiadać koszmary i zachować dla siebie te dobre sny, chować je niczym zęby pod poduszką. Mają trzy córki. Jedna mieszka tuż obok, rozwiedziona lesbijka Jenna, o tym samym imieniu co jedna z bliźniaczek Bushów, i wcale jej się to nie podoba, ostatnio nalega, żeby mówić na nią Jen. Trzy córki, co oznacza wiele zębów pod wieloma poduszkami, wiele

zamartwiania się o nieznajomych oferujących podwiezienie i słodczyce, oznacza wiele ostrożności, i Janet ma nadzieję, że jej matka miała rację, opowiedzenie złego snu jest niczym wbicie kołka w wampirze serce.

– Podniosłem słuchawkę – kontynuuje Harvey – i to była Trisha. – Trisha jest ich najstarszą córką, która przed odkryciem chłopców miała słabość do Houdiniego i Blackstone’a. – Powiedziała z początku tylko „tato”, ale poznałem, że to Trisha. Wiesz, że zawsze poznaje się takie rzeczy.

Tak. Janet wie, że zawsze poznaje się takie rzeczy. Zawsze poznaje się swoje dzieci, już po pierwszym słowie, przynajmniej dopóki nie podrosną i nie staną się kimś innym.

– „Cześć, Trish”, powiedziałem. „Dlaczego dzwonisz tak wcześnie, skarbie? Twoja mama jest jeszcze w łóżku”. Początkowo nie było żadnej odpowiedzi i pomyślałem, że nas rozłączyło, lecz potem usłyszałem ni to szept, ni to pojękiwanie. Nie słowa, ale fragmenty słów. Jakby próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła tego wykrztusić, nie miała siły zaczerpnąć oddechu. I wtedy zacząłem się bać.

Cóż, specjalnie się z tym nie spieszył, prawda? Ponieważ Janet – która była Jax w college’u Sarah Lawrence, Jax w kółku dramatycznym, Jax naprawdę znakomicie całującą się po francusku, Jax palącą gitanes’y i udającą, że lubi tequilę – boi się już od pewnego czasu. Bała się, zanim jeszcze Harvey wspomniał o wgnieceniu z boku samochodu Franka Friedmana. I myśląc o tym, przypomina sobie rozmowę telefoniczną, którą odbyła przed niecałym tygodniem ze swoją przyjaciółką Hannah, tę samą rozmowę, w trakcie której opowiadały sobie później o alzheimerze. Hannah była w mieście, a Janet siedziała zwinięta w kłębek w fotelu przy oknie w salonie i patrzyła na ich jednoakrową działkę w Westport i wszystkie te piękne rośliny, od których pociągała nosem i łzały jej oczy, i zanim rozmowa zesłała na alzheimera, mówiły o Lucy Friedman, a potem o Franku, i która z nich to powiedziała? Która z nich powiedziała „Jeśli nie przestanie jeździć po pijaku, w końcu kogoś zabije”?

– I w końcu Trish powiedziała coś, co brzmiało jak „lica” albo „licja”, ale we śnie wiedziałem, że... opuściła... jak to się mówi? Że opuściła pierwszą sylabę i tak naprawdę mówi o policji. Zapytałem, co z tą policją, co próbuje mi powiedzieć o policji, i usiadłem. Tutaj. – Harvey wskazuje krzesło we wnęce, którą nazywają telefonicznym zakątkiem. – Przez chwilę milczała, a potem usłyszałem, jak znowu szepcze te swoje urywane słowa. Doprowadzała mnie tym do obłądu. Cholerna aktorka, pomyślałem, zawsze taka była. I nagle powiedziała „numeru”, jasno i wyraźnie. I domyśliłem się... tak samo jak wcześniej wiedziałem, że próbuje wymówić słowo „policja”... że chce mi powiedzieć, że policja zadzwoniła do niej, bo nie mieli naszego numeru.

Janet kiwa w odrętwieniu głową. Postanowili zastrzec numer przed dwoma laty, ponieważ reporterzy bez przerwy dzwonili do Harveya w sprawie afery Enrona. Na ogół w porze kolacji. Nie żeby Harvey miał coś wspólnego z samym Enronem, ale ponieważ

specjalizował się w dużych firmach energetycznych. Kilka lat wcześniej, kiedy Clinton był wielkim szamanem, a świat wydawał się (przynajmniej jej skromnym zdaniem) trochę lepszy i bezpieczniejszy, Harvey wchodził nawet w skład prezydenckiej komisji. I chociaż w Harveyu było wiele rzeczy, które przestały jej się podobać, wiedziała doskonale, że ma więcej uczciwości w małym palcu niż wszyscy ci podlece z Enrona razem wzięci. Uczciwość mogła ją czasami nudzić, lecz wiedziała, co to takiego.

Ale czy policja nie ma sposobów, żeby zdobyć zastrzeżony numer? Może i nie, jeżeli spieszą się, żeby kogoś odnaleźć i coś mu zakomunikować. Poza tym sny nie muszą być logiczne, prawda? Sny to poematy podświadomości.

I teraz Janet nie może już ustać w miejscu. Podchodzi do kuchennych drzwi i wygląda na zewnątrz, patrzy na jasny czerwcowy dzień na Sewing Lane, która, jak przypuszcza, jest ich małą wersją spełnionego amerykańskiego marzenia. Jak bardzo spokojny jest ten poranek z bilionami kropli rosy skrzącymi się w trawie. A mimo to serce wali jej w piersiach, pot spływa po twarzy i chce powiedzieć Harveyowi, że musi przestać, że nie wolno mu opowiadać tego snu, tego straszego snu. Musi mu przypomnieć, że tuż obok mieszka Jenna – to znaczy Jen, Jen, która pracuje w wypożyczalni wideo w miasteczku i za często popija wieczorami w knajpie z facetami pokroju Franka Friedmana, który mógłby być jej ojcem. Co z pewnością jest jednym z powodów, dla których ją pociąga.

– Jąkała się i szeptała... – kontynuuje Harvey – i w żaden sposób nie potrafiła się wysłowić. A potem usłyszałem „nie żyje” i domyśliłem się, że zginęła jedna z naszych córek. Po prostu to wiedziałem. Nie Trisha, bo z nią rozmawiałem, ale Jenna albo Stephanie. I byłem strasznie przerażony. Właściwie siedziałem tam, zastanawiając się, którą z nich wolałbym widzieć martwą. Jak w pierdolonym *Wyborze Zofii*. „Powiedz mi która!”, zacząłem na nią krzyczeć. „Powiedz mi która! Na litość boską, Trish, powiedz mi która”. I dopiero wtedy przez sen zaczął przezierać prawdziwy świat... oczywiście zakładając, że coś takiego istnieje...

Harvey wydaje z siebie krótkie parsknięcie i w jasnym świetle poranka Janet widzi, że pośrodku wgniecenia na błotniku volva Franka Friedmana jest czerwona plama, a pośrodku czerwonej plamy ciemna smuga, która może być brudem, a nawet włosami. Wyobraża sobie, jak Frank podjeżdża o drugiej w nocy do domu i staje bokiem do krawężnika, zbyt pijany, by skrócić na podjazd, nie mówiąc już o wjeździe do garażu – wąska jest brama do... i tak dalej. Wyobraża sobie, jak idzie ze spuszczoną głową do domu, zataczając się i oddychając z trudem przez nos. Niech żyje woda.

– Wiedziałem już wtedy, że leżę w łóżku, ale słyszałem ten niski głos, który nie był w ogóle podobny do mojego, brzmiał jak głos jakiegoś nieznajomego, który ma trudności ze spółgłoskami. „Oowiee-miiii-tóóóraaaa”, krzyczał. „Oowiee-miiiiitóóóraaaa, Ish!”.

Powiedz mi która. Powiedz mi która, Trish.

Harvey milknie i zaczyna się zastanawiać. Drobinę kurzu tańczą wokół jego twarzy. W promieniach słońca jego podkoszulek jest zbyt lśniący, żeby na niego patrzeć, wygląda jak podkoszulek z reklamy proszku do prania.

– Leżałem tam, czekając, aż przybiegniesz i zapytasz, co się stało – mówi w końcu. – Leżałem tam, rozdygotany i pokryty gęsią skórą, powtarzając sobie, że to tylko sen, tak jak ty to robisz, ale jednocześnie dziwiąc się, jakie to było realne. W potworny sposób realne.

Harvey znowu przerywa, zastanawiając się, jak powiedzieć, co było dalej, nie zdając sobie sprawy, że jego żona już go nie słucha. Niedysiejsza Jax wysiła teraz umysł, angażuje całą swoją niemałą przecież inteligencję, żeby uwierzyć, że to, co widzi, to nie krew, ale po prostu podkład w miejscu, w którym zdrapany został lakier. „Podkład” jest słowem, które skwapliwie podsuwa jej podświadomość.

– To zdumiewające, prawda, jak głęboko sięga wyobraźnia? – kontynuuje Harvey. – Taki sen przypomina to, jak poeta... jeden z tych naprawdę wielkich... musi widzieć swój wiersz. Ze wszystkimi szczegółami, jasno i wyraźnie.

Harvey milknie i kuchnię przejmuje we władanie słońce i tańczące drobinę kurzu; świat na zewnątrz wstrzymuje oddech. Janet patrzy na stojące po drugiej stronie ulicy volvo, które wydaje się pulsować jej w oczach, grube jak cegła. Kiedy dzwoni telefon, krzyknęłyby, gdyby mogła zaczerpnąć powietrza, zakryłyby uszy dłońmi, gdyby mogła je podnieść na tę wysokość. Słyszy, jak Harvey wstaje i idzie do wewnątrz. Telefon dzwoni po raz drugi i trzeci.

To pomyłka, myśli Janet. To musi być pomyłka, bo jeśli opowiesz swój sen, ten nigdy się nie spełni.

– Halo? – mówi Harvey.

## Miejsce obsługi podróżnych

Przypuszczał, że w którymś miejscu między Jacksonville i Sarasotą wykonał literacką wersję starego numeru Clarka Kenta w budce telefonicznej, ale nie był pewien gdzie ani jak. Co wskazywało, że nie było to zbyt dramatyczne. Więc czy w ogóle miało znaczenie?

Czasami mówił sobie, że odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”, że cała ta historia z Rickiem Hardinem i Johnem Dykstrą jest wyłącznie sztuczną konstrukcją, czystą zagrywką na użytek prasy, nieróżniącą się od numerów Archibalda Bloggerta (czy jak tam się naprawdę nazywał) występującego jako Cary Grant, czy Evana Huntera (którego prawdziwe nazwisko brzmiało Salvatore Coś Tam) piszącego jako Ed McBain. I że ci faceci byli dla niego inspiracją... a także Donald E. Westlake, który pisał cyniczne kryminały jako Richard Stark, oraz K.C. Constantine, który był naprawdę... no, właściwie nikt tego nie wie, prawda? Podobnie jak to ma miejsce z tajemniczym panem B. Travenem, który napisał *Skarb Sierra Madre*. Tak naprawdę nikt tego nie wie i o to w dużej części chodzi.

Nazwisko, nazwisko, czym jest nazwisko?

Kim na przykład był on sam w trakcie odbywanej co dwa tygodnie podróży do Sarasoty? Gdy wyjeżdżał z Pot o'Gold w Jacksonville, bez wątpienia był Hardinem. I był oczywiście Dykstrą, gdy wchodził do swojego położonego nad kanałem domu przy Macintosh Road. Ale kim był na drodze międzystanowej numer 75, kiedy przemieszczał się z jednego do drugiego miasta pod jaskrawymi światłami autostrady? Hardinem? Dykstrą? W ogóle nikim? Czy istniał jakiś magiczny moment, kiedy zarabiający gruby szmal literacki wilkołak zmieniał się z powrotem w nieszkodliwego profesora anglistyki, którego specjalnością byli dwudziestowieczni amerykańscy poeci i powieściopisarze? I czy miało to znaczenie, dopóki był w porządku wobec Boga, urzędu skarbowego i trafiających się od czasu do czasu futbolistów, którzy uczęszczali na jego dwa uniwersyteckie kursy?

Nic z tego nie miało znaczenia na południe od Ocali. Miało znaczenie to, że chciało mu się potwornie sikać, bez względu na to, kim był. Wypił w Pot o'Gold dwa piwa (no, może trzy) ponad swój normalny limit i nastawił tempomat w jaguarze na sześćdziesiąt pięć mil, nie chcąc tego wieczoru ujrzeć w lusterku wstecznym żadnych migających czerwonych świateł. Mógł kupić sobie jaguara za książki napisane pod nazwiskiem Hardin, lecz przez większość życia był Johnem Andrew Dykstrą i właśnie to nazwisko oświetliłby snop światła z latarki,



gdyby poproszono go o prawo jazdy. I chociaż piwo w Pot o'Gold mógł wypić Hardin, kiedy gliniarz z drogówki wyjmie budzące lęk plastikowe pudełeczko z alkomatem, w wyszkolonych trzewiach tego gadżetu wylądają skażone alkoholem molekuły Dykstry. A bez względu na to, kim był, w czwartkową czerwcową noc stanowił łatwy łup, ponieważ wszystkie zimowe ptaszki odfrunęły do Michigan i miał międzystanówkę prawie wyłącznie dla siebie.

Tak czy inaczej fundamentalny problem z piwem (rozumieją go nawet studenci pierwszego roku) polega na tym, że nie można go kupić, wyłącznie wynająć, tak szybko przelatuje przez człowieka. Na szczęście siedem mil na południe od Ocali było miejsce obsługi podróżnych i tam powinien sobie ulżyć.

Tymczasem zaś, kim naprawdę był?

Z pewnością przybył przed szesnastu laty do Sarasoty jako John Dykstra i pod tym nazwiskiem uczył od 1990 roku języka angielskiego w tamtejszej filii Uniwersytetu Florydy. A potem, w 1994 roku, postanowił odwołać letnie kursy i spróbował napisać kryminał. To nie był jego pomysł. Miał agenta w Nowym Jorku, nie jednego z tych superogierów, lecz dość uczciwego faceta z rozsądnym dorobkiem, któremu udało się sprzedać cztery (napisane pod nazwiskiem Dykstra) opowiadania nowego klienta różnym literackim czasopismom, płacącym za nie od dwustu do pięciuset dolarów. Agent nazywał się Jack Golden i chociaż wychwalał opowiadania pod niebiosa, otrzymane za nie pieniądze uważał za grosze. To Jack wskazał, że wszystkie opublikowane opowiadania Johna Dykstry mają „silną linię narracyjną” (co w żargonie agentów oznaczało chyba, jak domyślał się Johnny, fabułę), i twierdził, że jego nowy klient mógłby dostawać od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy dolarów za powieści o objętości stu tysięcy słów. Od sztuki.

„Mógłbyś to zrobić latem, jeśli będziesz miał gdzie zawiesić kapelusz i szybko się nie zniechęcisz”, napisał Dykstrze w liście. (W tym momencie nie dojrzeli jeszcze do tego, żeby załatwić sprawę przez faks i telefon). „I zarobisz dwa razy więcej niż za letnie kursy na tym swoim namorzynowym uniwersytecie. Jeśli chcesz tego spróbować, przyjacielu, teraz jest odpowiednia pora – zanim zorientujesz się, że masz żonę i dwoje przecinek pięć dziesiątych dziecka”.

Na horyzoncie nie było wówczas żadnej żony (podobnie jak i teraz), ale Dykstra zgodził się z Jackiem: rzut kością nie staje się łatwiejszy, kiedy człowiek się starzeje. A żona z dziećmi to nie jedyna odpowiedzialność, jaką bierze się na siebie z biegiem czasu. Istnieje na przykład zawsze pokusa kart kredytowych. Karty kredytowe to małże, które przyklejają ci się do kadłuba i zmniejszają twoją szybkość. Karty kredytowe są rzecznikami normy i przemawiają na korzyść tego, co pewne.

Kiedy w styczniu 1994 przesłano mu do podpisania umowy na letnie kursy, zwrócił je dziekanowi niepodpisane z krótkim wyjaśnieniem: „Pomyślałem, że latem spróbuję napisać powieść”.

Odpowiedź Eddiego Wassermana była krótka, lecz stanowcza: „W porządku, Johnny, ale nie mogę zagwarantować ci tej fuchy w przyszłym roku. Pierwszeństwo ma zawsze aktualnie prowadzący kursy”.

Dykstra długo się nie zastanawiał: w tym momencie miał już pomysł. Co więcej, miał postać: wkrótce miał się narodzić Dog, literacki ojciec jaguarów oraz domów przy Macintosh Road, i Bogu niech będą dzięki za jego serce zabójcy.

\* \* \*

W reflektorach zobaczył przed sobą migającą na niebieskim tle białą strzałkę, oznaczającą zjazd w lewo, i jasne sodowe lampy oświetlające jezdnię tak mocno, że zjazd wyglądał jak filmowa dekoracja. Wrzucił migacz, zwolnił do czterdziestu mil i zjechał z autostrady.

W połowie drogi zjazd się rozgałęział: ciężarówki i samochody kempingowe w prawo, ludzie w jaguarach prosto. Pięćdziesiąt jardów dalej było miejsce obsługi, niski beżowy budynek z pustaków, który skąpany w świetle lamp także wyglądał jak fragment dekoracji. Czym byłby w filmie? Może centrum dowodzenia pociskami międzykontynentalnymi? Jasne, czemu nie. Zbudowanym gdzieś na zadupiu centrum dowodzenia, którego dowódca cierpi na skrętnie ukrywaną (lecz rozwijającą się) chorobę psychiczną. Wszędzie widzi Rosjan, Rosjan wychodzących spod choleryjnej ziemi... albo zrobimy z nich terrorystów Al-Kaidy, to chyba bardziej *au courant*. Rosjanie przestali ostatnio występować w roli potencjalnych drani, chyba że handlują narkotykami lub zmuszają do prostytucji nastoletnie dziewczyny. Kto jest draniem, nie ma tu zresztą większego znaczenia, to wszystko fantazja, faceta swędzi palec, żeby nacisnąć czerwony guzik i...

I chce mu się sikać, więc proszę, powściągnijmy na chwilę wyobraźnię, dziękuję bardzo. Poza tym w tego rodzaju historii nie było miejsca dla Doga. Dog jest bardziej miejskim wojownikiem, jak oświadczył wcześniej w Pot o'Gold tego samego wieczoru. (Też fajne określenie). Mimo to postać szalonego komendanta silosu atomowego ma pewien potencjał, prawda? Przystojny facet... mężczyźni go kochają... na zewnątrz wydaje się absolutnie normalny...

O tej porze na rozległym parkingu stał tylko jeden inny samochód, jeden z tych chryslerów cruiserów, które zawsze go rozśmieszały, bo wyglądały jak miniatutki gangsterskich samochodów z lat trzydziestych.

Zaparkował cztery albo pięć miejsc od chryslera, wyłączył silnik, a potem zlustrował szybko parking. Nie po raz pierwszy zatrzymał się w tym konkretnym miejscu w drodze powrotnej z Pot i pamiętał, jak ujrzał kiedyś z rozbawieniem, ale i przerażeniem aligatora, który maszerował po pustym parkingu w stronę pola trzciny cukrowej, wyglądając trochę jak leciwy, tęgi biznesmen w drodze na spotkanie. Dziś w nocy nie było aligatora. Tej nocy był tu

tylko on i pan Cruiser. Wsiadł, skierował kluczyk w stronę samochodu i nacisnął przycisk z kłódeczką. Jaguar posłusznie miauknął i kiedy mignęły krótko jego światła, zobaczył przez chwilę swój cień. Tylko czyj to był cień? Dykstry czy Hardina?

Uznał, że Johna Dykstry. Hardina już nie było, rozstał się z nim trzydzieści, czterdzieści mil wcześniej. Jednak to on, Hardin, wygłosił po kolacji krótką (i raczej dowcipną) mowę dla pozostałych Florida Thieves i chyba dobrze się spisał, obiecując na koniec nasłać Doga na każdego, kto nie sypnie hojnie groszem na tegoroczny zbożny cel, którym była organizacja non profit Sunshine Readers, dostarczająca taśmy audio i artykuły niewidomym naukowcom.

Idąc z parkingu do budynku, stukał obcasami swoich kowbojskich butów. John Dykstra nigdy nie włożyłby spłowiałych dżinsów i kowbojskich butów na publiczną imprezę, zwłaszcza na taką, w trakcie której miał zabrać głos, lecz Hardin był ulepiony z innej gliny. W przeciwieństwie do Dykstry (który był pedantem) Hardina mało obchodziło, co ludzie sądzą o jego wyglądzie.

Budynek podzielono na trzy części: damska toaleta po lewej, męska po prawej i duży, podobny do ganku centralny portyk, gdzie leżały broszury na temat różnych atrakcji środkowej i południowej Florydy. Znajdowały się w nim również automaty z przekąskami, dwa automaty z napojami i automat wydający mapy, do którego należało wrzucić zabójczą liczbę ćwierćdolarówek. Ściany po obu stronach wejścia były oklejone plakatami o zaginionych dzieciach, których widok zawsze przyprawiał Dykstrę o dreszcze. Zastanawiał się, ile dzieciaków z tych fotografii spoczywało w wilgotnej piaszczystej ziemi albo zostało pożartych przez aligatory w Glades? Ile z nich dorastało w przekonaniu, że włóczędzy, którzy ich porwali (i od czasu do czasu seksualnie molestowali lub użyczyli innym), są ich matkami i ojcami? Dykstra nie lubił patrzeć na ich szczerze niewinne twarze ani myśleć o rozpacz kryjącej się pod absurdalnymi wysokościami nagród – 10 000\$, 20 000\$, 50 000\$ i w jednym wypadku 100 000\$ (ta ostatnia kwota za uśmiechniętą jasną blondynkę z Fort Myers, która zaginęła w 1980 roku i teraz, jeżeli w ogóle jeszcze żyła, co jego zdaniem było raczej wykluczone, byłaby kobietą w średnim wieku). Wisiała także tabliczka informująca podróżnych, że grzebanie w śmieciach jest zabronione, i kolejna, zabraniająca zatrzymywania się tutaj dłużej niż godzinę – MIEJSCE POD NADZOREM POLICJI.

Kto chciałby się tutaj zatrzymywać? – pomyślał Dykstra, słuchając szumiących na wietrze palm. Tylko ktoś niespełna rozumu. Ktoś, kogo coraz bardziej nęci czerwony przycisk, w miarę jak miesiące i lata mijają z rykiem śmigającego obok o pierwszej nad ranem szesnastokółowca.

Skreślił w stronę męskiej toalety i zastygł w pół kroku, słysząc dobiegający z tyłu kobiecy głos, lekko zniekształcony przez echo, ale niepokojąco bliski.

– Nie, Lee. Nie, skarbie, nie rób tego.

Rozległo się głośnie klaśnięcie i zaraz potem łupnięcie, stłumione miękkie łupnięcie. Dykstra zdał sobie sprawę, że słyszy zwyczajne odgłosy bicia. Właściwie mógł sobie

wyobrazić czerwony ślad dłoni mężczyzny na policzku kobiety i jej głowę, tylko w małej części osłoniętą przez włosy (blond? ciemne?), odbijającą się od wykładanej beżowymi kafelkami ściany. Kobieta zaczęła płakać. Lampy sodowe dawały tak jasne światło, że dostrzegł, iż na jego przedramionach pojawia się gęsia skórka. Przygryzł dolną wargę.

– Jebana dziewczka.

Lee mówił beznamiętnie. Słysząc było, że jest pijany, chociaż wymawiał wyraźnie każde słowo. Ale to było oczywiste, w ten sposób mężczyźni nieraz mówili na stadionach, w wesołych miasteczkach czy w pokojach motelowych (dźwięk dobiegał wówczas przez cienką ścianę albo z góry przez sufit) późno w nocy, kiedy zachodził księżyc i zamykano bary. Kobieta uczestnicząca w rozmowie – jeśli można to nazwać rozmową – też mogła być pijana, lecz przede wszystkim była przerażona.

Dykstra stał w małej wnęce przy wejściu, obrócony twarzą do męskiej toalety i plecami do w damskiej. Był w cieniu, otoczony z obu stron przez obrazki zaginionych dzieci, które szeleściły cicho niczym palmowe liście w podmuchach nocnego wiatru. Stał tam, czekając i mając nadzieję, że na tym się skończy. Ale oczywiście się nie skończyło. Przyszły mu do głowy słowa jakiejś piosenki country, nonsensowne i złowrogie: „Gdy odkryłem, że jestem do niczego, byłem zbyt bogaty, żeby odejść”.

Rozległo się kolejne mocne klaśnięcie i kolejny krzyk kobiety. Przez chwilę panowała cisza, a potem mężczyzna odezwał się ponownie i stało się jasne, że jest nie tylko pijany, ale i niewykształcony: dało się to poznać po sposobie, w jaki mówił „dziewka”, mając na myśli „dziwkę”. Właściwie wiadomo o nim prawie wszystko: że siedział z tyłu klasy na lekcjach angielskiego w szkole średniej, że po powrocie do domu pił mleko prosto z kartonu, że wyleciał ze studiów na pierwszym albo drugim roku i że wykonywał pracę, do której musiał nosić na dłoniach rękawice i nóż X-Acto w tylnej kieszeni spodni. Nie powinno się w ten sposób uogólniać – równie dobrze można by powiedzieć, że wszyscy Afroamerykanie mają wrodzone poczucie rytmu i wszyscy Włosi płaczą na operze – ale tutaj w ciemności, o jedenastej w nocy, w otoczeniu plakatów z zaginionymi dziećmi, z jakiegoś powodu wydrukowanych na różowym papierze, jakby był to kolor zaginionych, było wiadomo, że to prawda.

– Jebana mała dziewczka.

Facet ma piegi, pomyślał Dykstra. I łatwo się opala. Opalenizna sprawia, że wygląda, jakby był stale zagniewany, i na ogół jest zagniewany. Pije kahlúa, kiedy jest, jak to się mówi, przy forsie, ale najczęściej pije...

– Lee, nie rób tego – odezwała się kobieta. Płakała teraz i błagała. Niech pani tego nie robi, pomyślał Dykstra. Nie wie pani, że to tylko pogarsza sytuację? Nie wie pani, że kiedy on widzi zwisający z pani nosa śluz, to go jeszcze bardziej rozjusza?

– Nie bij mnie już, jestem...

Chlast!

Po którym nastąpiło kolejne łupnięcie i ostry krzyk bólu przypominający niemal psi skowyt. Stary pan Cruiser po raz kolejny uderzył ją dość mocno, by głowa Ellen odbiła się od wykładanej kafelkami ściany łazienki i jak brzmiał ten stary żart? Dlaczego co roku dochodzi w Ameryce do trzystu tysięcy przypadków przemocy małżeńskiej? *Bo... kurwa... nie słuchają.*

– Jebana dziewczka.

Tak brzmiała dzisiaj ewangelia Lee, prosto z drugiego listu do pijaczyn, i tym, co najbardziej przerażało Dykstrę w głosie mężczyzny, był brak emocji. Wściekłość byłaby lepsza. Wściekłość byłaby bezpieczniejsza dla kobiety. Wściekłość jest niczym łatwopalne opary – może ją zapalić byle iskra, ale wypala się w szybkim wybuchu. Natomiast ten facet był... zaangażowany. Nie zamierzał jej bić, a potem przeproszać, być może nawet przy tym płacząc. Może robił tak kiedy indziej, lecz nie tej nocy. Tej nocy lont miał się palić długo. Zdrowaś Mario, łaski Pełna, módl się za nami grzesznymi.

*Więc co mam zrobić? Jaka jest w tym moja rola? Czy mam w ogóle jakąś rolę do odegrania?*

Z pewnością nie mógł wejść do męskiej toalety i spokojnie, niespiesznie się wysikać, co planował i czego jeszcze przed chwilą nie mógł się doczekać; jego jądra skurczyły się do rozmiarów małych twardych kamyczków, a ucisk w nerkach rozszedł się po plecach i nogach. Serce waliło mu wściekle w piersi, biegnąc szybkim truchtem, który miał się prawdopodobnie zmienić w sprint na odgłos kolejnego uderzenia. Minie godzina albo więcej, nim zdoła się wysikać bez względu na to, jak strasznie mu się wcześniej chciało, a i tak mocz będzie tryskał krótkimi niesatysfakcjonującymi strugami. I Boże, jak bardzo pragnął, żeby ta godzina minęła, żeby być już sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt mil stąd!

*Co zrobisz, jeżeli znowu ją uderzy?*

Do głowy przyszło mu inne pytanie: co zrobi, jeżeli kobieta rzuci się do ucieczki, a pan Cruiser popędzi za nią? Z damskiej toalety było tylko jedno wyjście i John Dykstra stał w samym jego środku. John Dykstra w kowbojskich butach, które Rick Hardin włożył przed wyjazdem do Jacksonville, gdzie co dwa tygodnie grupa autorów kryminałów – wśród których było kilka pulchnych pań w pastelowych kostiumach – spotykała się, żeby podyskutować o agentach, pisarskich technikach i wskaźnikach sprzedaży i wymienić się plotkami.

– Lee-Lee, nie rób mi krzywdy, dobrze? Proszę, nie rób mi krzywdy. Proszę, nie rób krzywdy dziecku.

Lee-Lee. Jezus zapłakał.

Och, i jeszcze coś; jeszcze jeden punkt. *Dziecko. Proszę, nie rób krzywdy dziecku.* Witajcie w pieprzonym Reality Channel.

Bijące szybko serce Dykstry osunęło się jakby o cal niżej w jego klatce piersiowej. Miał wrażenie, że stoi w tej wnęce między męską i damską toaletą co najmniej od dwudziestu minut, ale kiedy spojrzął na zegarek, nie zdziwił się, widząc, że od pierwszego uderzenia nie

minęło nawet czterdzieści sekund. Wynikało to z subiektywnej natury czasu i niesamowitej prędkości myśli, kiedy umysł poddawany jest nagłej presji. Wielokrotnie pisał o jednym i o drugim. Przypuszczał, że pisała o tym większość cytowanych autorów kryminałów. To było coś oczywistego. Kiedy następnym razem nadejdzie jego kolej, żeby wygłosić mowę na zebraniu Florida Thieves, być może poruszy ten temat i opowie na wstępie o tym incydencie. O tym, jak miał czas pomyśleć „drugi list do pijaczyn”. Choć z drugiej strony ta historia była chyba zbyt ciężka na ich codwutygodniowe spotkania, zbyt...

Idealna seria uderzeń przerwała tok jego myśli. Lee-Lee wybuchł. Dykstra słuchał konkretnego brzmienia tych uderzeń z przerażeniem człowieka, który rozumie, że nigdy nie zapomni tych dźwięków: nie wzmocnionych w studiu efektów specjalnych, ale odgłosu, z jakim pięść wali w puchową poduszkę, zaskakująco cichego, właściwie prawie delikatnego. Kobieta krzyknęła raz ze zdumienia i raz z bólu. Później jej reakcja była zredukowana do cichych jęków i sapnięć. W ciemności na dworze Dykstra myślał o wszystkich nakręconych za publiczne pieniądze spotach o zapobieganiu przemocy domowej. Nie mówili w nich o tym, jak można jednym uchem słyszeć szum palmowych liści (i szelest plakatów z fotografiami zaginionych dzieci, nie zapominajmy o nich), a drugim te ciche stęknięcia pełne bólu i przerażenia.

Usłyszał szuranie stóp po podłodze i domyślił się, że Lee (kobieta nazywała go Lee-Lee, jakby pieszczotliwe zdrobnienie mogło złagodzić jego gniew) podchodzi do niej bliżej. Podobnie jak Rick Hardin Lee nosił kowbojskie buty. Faceci o imieniu Lee-Lee to na ogół Giganci z Georgii. Urodzeni kowboje. Kobieta była w butach sportowych z białymi cholewkami. Wiedział o tym.

– Suko, ty pierdolona suko, widziałem, jak z nim rozmawiałaś, podtykałaś mu cycki pod nos, ty jebana dziewczko...

– Nie, Lee-Lee, ja nigdy...

Odgłos kolejnego uderzenia, a potem dziwny charkot, który nie był ani męski, ani kobiecy. Torsje. Osoba, która będzie sprzątała jutro toalety, znajdzie te wymiociny schnące na podłodze i jednej ze ścian damskiej łazienki, ale Lee i jego żony lub dziewczyny dawno już tu nie będzie, i dla sprzątaczkę będzie to po prostu kolejny syf, który trzeba uprzątnąć, a historia, jak do tego doszło, niejasna i nieciekawa. I cóż miał robić Dykstra? Jezu, czy miał odwagę tam wejść? Jeśli tego nie zrobi, Lee może przestać ją bić i uznać, że sprawa jest zakończona, ale jeśli wtrąci się nieznanomy...

*Może zabić nas oboje.*

Ale...

*Dziecko. Proszę, nie rób krzywdy dziecku.*

Dykstra zacisnął pięści. Pierdolony Reality Channel, pomyślał.

Kobieta nadal wymiotowała.

– Skończ z tym, Ellen.

– Nie mogę!

– Nie? W porządku, dobrze. Ja z tym skończę. Jebana... dziewczko.

Słowu „dziewko” towarzyszyło kolejne chłasknięcie. Serce Dykstry osunęło się jeszcze niżej. Nie sądził, że to możliwe. Wkrótce będzie biło w jego brzuchu. Gdyby tylko udało mu się zaprząć do działania Doga! W opowiadaniu to by przeszło – zastanawiał się nawet nad kwestią tożsamości, zanim popełnił wielki błąd i skręcił na ten parking, i jeśli to nie było tym, co w podręcznikach pisania nazywają zapowiedzią przyszłych wypadków, to ciekawe, co nią jest?

Tak, przedzierzgnie się w swojego bohatera, wejdzie do damskiej toalety, stłucze na kwaśne jabłko Lee i pójdzie swoją drogą. Jak Shane w tym starym filmie z Alanem Laddem.

Kobieta znowu zwymiotowała z dźwiękiem podobnym do tego, który wydaje maszyna mieląca skały na kruszywo i Dykstra wiedział już, że nie zaprzęgnie do działania Doga. Dog był zmyślony. A to była rzeczywistość, która pokazywała mu język niczym stary moczomorda.

– Zrób to jeszcze raz, to zobaczysz, jak cię urządzę – powiedział Lee i w jego głosie zabrzmiał morderczy ton. Szykował się, żeby pójść na całość. Dykstra nie miał co do tego wątpliwości.

*Będę zeznawał w sądzie. I kiedy zapytają, co zrobiłem, żeby temu zapobiec, odpowiem, że nic. Powiem, że słuchałem. Że zapamiętywałem. Że byłem świadkiem. Wyjaśnię, że tym właśnie zajmują się pisarze, kiedy akurat nie piszą.*

Dykstra zastanawiał się, czy nie pobiec z powrotem do jaguara – cicho! – i nie zadzwonić z komórki na policję. Trzeba było tylko nacisnąć \*99. Informujące o tym znaki stały mniej więcej co dziesięć mil. W RAZIE WYPADKU DZWOŃ Z KOMÓRKI NA NUMER \*99. Tyle że nigdy nie można doczekać się gliniarza, kiedy jest potrzebny. Okaże się, że najbliższy jest w Bradenton albo Ybor City i kiedy tu dotrze, to małe czerwone rodeo dobiegnie końca.

Z damskiej toalety dobiegała teraz intensywna czkawka i stłumione odgłosy krztuszenia. Walnęły drzwi jednej z kabin. Kobieta wiedziała równie dobrze jak Dykstra, że Lee mówi serio. Kolejne wymioty doprowadzą go do szału i dokończą to, co zaczął. A jeśli go złapią? Zabójstwo drugiego stopnia. W afekcie. Może wyjść po piętnastu miesiącach i zacząć się umawiać z jej młodszą siostrą.

*Wracaj do samochodu, John. Wracaj do samochodu, usiądź za kierownicą i odjedź stąd. Zaczynaj się przekonywać, że to nigdy się nie wydarzyło. I pamiętaj, żeby przez kilka następnych dni nie czytać gazet ani nie oglądać telewizji. To pomoże. Zrób to. Zrób to natychmiast. Jesteś pisarzem, nie bokserem. Masz pięć stóp dziewięć cali wzrostu, ważysz sto sześćdziesiąt dwa funty, boli cię bark i możesz jedynie pogorszyć sytuację. Więc wracaj do samochodu i zmów krótką modlitwę do tego z bogów, który zajmuje się kobietami takimi jak Ellen.*

I właściwie odwracał się już, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Dog nie był prawdziwy, ale prawdziwy był Rick Hardin.

\* \* \*

Ellen Whitlow z Nokomis wpadła do jednej z kabin i wylądowała na kiblu z rozłożonymi nogami i zadartą spódnicą zupełnie jak zdzira, którą była, a Lee ruszył za nią, mając zamiar złapać ją za uszy i wałnąć jej głupim łbem o ścianę. Miał tego dosyć. Chciał jej dać nauczkę, której nigdy nie zapomni.

Te myśli nie przechodziły mu zresztą przez głowę w jakiś uporządkowany sposób. W umyśle miał przede wszystkim czerwień. Pod nią, nad nią i przez nią sączył się śpiewny głos podobny do głosu Stevena Tylera z Aerosmith: *Nie jesteś moją dziewczyną, nie jesteś moja, nie jesteś moja, nie zwalisz tego na mnie, jebana dziewczko.*

Dał trzy kroki do przodu i wtedy właśnie gdzieś w pobliżu zaczął rytmicznie trąbić klakson, zakłócając jego własny rytm, zakłócając jego koncentrację, rozprasząc go, każąc rozejrzeć się dookoła. Biiiiip! Biiiiip! Biiiiip! Biiiiip!

Alarm samochodowy, pomyślał. Spojrzał najpierw na wyjście z damskiej toalety, potem na kobietę siedzącą w kabinie. Na drzwi i na zdzirę. Jego pięści zacisnęły się w geście niezdecydowania. W końcu podniósł prawą dłoń z długimi, brudnymi paznokciami i pogroził jej palcem wskazującym.

– Rusz się, to zginiesz, suko – powiedział i pomaszerował do drzwi.

W sraczu było jasno jak w dzień i prawie tak samo jasno na parkingu, ale we wnęce między dwoma skrzydłami panował półmrok. Przez moment nic nie widział i nagle coś uderzyło go wysoko w plecy i poleciał do przodu, a potem, zaledwie po dwóch krokach potknął się o coś – o nogę – i rozłożył jak długi na betonie.

Napastnik nie czekał ani chwili. Kopnął go twardym butem w udo, paraliżując mięsień, a potem w tyłek w niebieskich dzinsach, prawie na wysokości krzyża. Lee zaczął się podnosić...

– Nie odwracaj się, Lee – odezwał się głos. – Mam w ręku łyżkę do opon. Leż dalej na brzuchu albo rozwałę ci łeb.

Lee został tam, gdzie leżał, z wyciągniętymi do przodu, prawie złączonymi rękoma.

– Wyjdź stamtąd, Ellen – rzekł mężczyzna, który go uderzył. – Nie mamy czasu na głupoty. Natychmiast stamtąd wyjdź.

Przez chwilę trwała cisza.

– Zrobił mu pan krzywdę? – spytała w końcu drżącym głosem zdzira. – Niech pan nie robi mu krzywdy!

– Nic mu nie jest, ale jeśli zaraz nie wyjdiesz, zrobię mu paskudną krzywdę. Będę musiał. – I po chwili: – To będzie twoja wina.

Przez cały czas monotonicznie zawodził alarm. Biiiiip! Biiiiip! Biiiiip! Biiiiip!



Lee zaczął powoli odwracać głowę. Zabolalo. Czym rąbnął go ten kutas? Powiedział, że łyżką do opon? Nie pamiętał.

But wbił mu się ponownie w tyłek. Lee wrzasnął i położył z powrotem głowę na asfalcie.

– Pani wyjdzie, bo rozwalę mu łeb! Nie mam wyboru!

Kiedy się ponownie odezwała, była bliżej. Miała niepewny głos, lecz rozbrzmiewał w nim coraz wyraźniejszy gniew.

– Dlaczego pan to zrobił? Nie musiał pan tego wcale robić!

– Wezwałem policję przez komórkę – powiedział stojący nad nim mężczyzna. – Patrol jest na sto czterdziestej mili. Więc mamy dziesięć minut, może trochę mniej. Kto ma kluczyki, panie Lee-Lee? Pan czy ona?

Lee musiał się nad tym zastanowić.

– Ona – odparł w końcu. – Powiedziała, że za dużo wypilem, żeby prowadzić.

– W porządku. Ellen, masz podejść do cruisera, wsiąść do niego i odjechać. Nie zatrzymuj się, aż dotrzesz do Lake City. A jeśli masz trochę oleju w głowie, tam też się nie zatrzymuj.

– Nie zostawię go z panem. – Ellen była teraz bardzo zagniewana. – Nie, kiedy trzyma pan to w ręku.

– Owszem, zostawisz. Odjedziesz stąd natychmiast albo zrobię z niego krwawą miazgę.

– Ty bydlaku!

Mężczyzna roześmiał się i ten śmiech przeraził Lee o wiele bardziej niż słowa.

– Liczę do trzydziestu. Jeśli do tego czasu nie wyjedziesz z tego parkingu na południe, odrąbię mu głowę od tułowia. I poślę ją do dołka jak piłkę golfową.

– Nie może pan tego...

– Zrób to, Ellie. Zrób to, skarbie.

– Słyszałaś go – rzekł mężczyzna. – Twój wielki stary pluszowy miś chce, żebyś odjechała. Jeśli jutro wieczorem pozwolisz, żeby dokończył to, co zaczął, i stłukł na miazgę ciebie i dziecko, nie mam nic przeciwko. Jutro mnie przy was nie będzie. Ale teraz mam dosyć pieprzenia się z wami. Dlatego zabieraj stąd swój głupi tyłek.

To był rozkaz, który rozumiała, wydany w języku, który znała, i Lee zobaczył mijające go gołe nogi w sandałach. Mężczyzna, który go powalił, zaczął głośno liczyć.

– Raz, dwa, trzy, cztery...

– Pospiesz się, do diabła! – zawołał Lee i but ponownie wbił mu się w tyłek, jednak teraz łagodniej, bardziej kołysząc nim, niż go przygważdżając. Ale i tak zabolalo. Przez cały czas słyszał monotonne biiiip! biiiip! biiiip! – Bierz dupę w troki!

Na to hasło sandały puściły się biegiem. Jej cień biegł obok. Kiedy mężczyzna doliczył do dwudziestu, zaterkotał podobny do maszyny do szycia silnik cruisera. Kiedy doliczył do trzydziestu, Lee zobaczył cofające się tylne światła samochodu. Czekał, że facet zacznie go okładać, i odetchnął z ulgą, kiedy do tego nie doszło.

A potem cruiser wjechał na drogę wyjazdową i odgłos silnika się oddalił.

– No i co mam z tobą teraz zrobić? – zapytał stojący nad nim mężczyzna i w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju zakłopotania.

– Niech pan nie robi mi krzywdy – powiedział Lee. – Proszę, niech pan nie robi mi krzywdy.

\* \* \*

Kiedy tylne światła cruisera zniknęły z pola widzenia, Hardin przełożył łyżkę do opon z jednej ręki do drugiej. Miał spocone dłonie i o mało jej nie upuścił. To byłoby fatalne. Gdyby tak się stało, łyżka zadzwoniłaby głośno o beton i Lee zerwałby się w okamgnieniu na nogi. Nie był tak duży, jak wyobrażał sobie Dykstra, ale niebezpieczny. Dał już tego dowody.

Jasne, niebezpieczny wobec ciężarnych kobiet.

Nie powinien o nim w ten sposób myśleć. Jeśli pozwoli staremu Lee-Lee wstać, gra zacznie się od nowa. Czuł, że Dykstra próbuje wrócić, chce przedyskutować ten problem i prawdopodobnie kilka innych. Hardin przegonił go. To nie był odpowiedni czas ani miejsce dla wykładowcy języka angielskiego.

– No i co mam z tobą teraz zrobić? – zapytał z autentycznym zakłopotaniem.

– Niech pan nie robi mi krzywdy – powiedział leżący na ziemi facet. Miał na nosie okulary. To była spora niespodzianka. Ani Dykstra, ani Hardin nie sądzili, że będzie nosił okulary. – Proszę, niech pan nie robi mi krzywdy.

– Już wiem. – Dykstra powiedziałaby pewnie: „Mam pomysł”. – Zdejmij okulary i połóż je obok siebie.

– Dlaczego...

– Nie gadaj, po prostu to zrób.

Lee, który miał na sobie spłowiałe lewisy i kowbojską koszulę (teraz wystającą ze spodni i zakrywającą mu tyłek) zaczął zdejmować prawą ręką okulary w drucianych oprawkach.

– Nie, zrób to drugą ręką.

– Dlaczego?

– Nie zadawaj pytań. Po prostu to zrób. Zdejmij je lewą ręką.

Lee zdjął dziwnie delikatne okulary i położył je na betonie. Hardin natychmiast przydeptał je obcasem. Rozległ się cichy trzask oprawek i jeszcze cichszy chrzęst szkła.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wrzasnął Lee.

– A jak myślisz? Masz pistolet albo coś w tym rodzaju?

– Nie! Jezu, nie!

Hardin uwierzył mu. Jeśli miał broń, to była to strzelba na aligatory w bagażniku cruisera. Jednak nawet to było mało prawdopodobne. Stojąc przy drzwiach damskiej toalety, Dykstra

wyobrażał sobie jakiegoś zwałistego budowlańca. Tymczasem facet wyglądał jak księgowy, który ćwiczy trzy razy w tygodniu w klubie fitness.

– Pójdę teraz chyba do mojego samochodu – powiedział Hardin. – Wyłączę alarm i odjadę.

– No. Jasne, może byś tak to...

Hardin postawił ostrzegawczo stopę na tyłku faceta, tym razem kołysząc nim trochę bardziej brutalnie.

– Może byś się tak przymknął? Swoją drogą, co tam w środku wyprawiałeś?

– Dałem jej, kurwa, naucz...

Hardin kopnął go mocno w biodro, w ostatniej sekundzie zmniejszając trochę siłę uderzenia. Ale tylko trochę. Lee krzyknął z bólu i ze strachu. Hardina zaniepokoiło to, co zrobił i jak to zrobił: zupełnie i bez zastanowienia. Jeszcze bardziej zaniepokoiło go, że chciał to powtórzyć, tyle że mocniej. Spodobał mu się ten okrzyk bólu i strachu i chętnie znów by go usłyszał.

Czym zatem różnił się od Zafajdanego Lee, leżącego tam w smudze cienia, która przesuwiała się ukośnie po jego plecach? Różnica nie była zbyt wielka. I co z tego? To było denerwujące pytanie, pytanie za tysiąc punktów. Do głowy przyszło mu o wiele ciekawsze. Jak mocno mógłby kopnąć Lee w lewe ucho, tak żeby siła uderzenia nie osłabiła celności? Prosto w ucho, bang! Zastanawiał się także, jaki usłyszałby przy tym odgłos. Zgadywał, że satysfakcjonujący. Oczywiście robiąc to, mógł go zabić, ale czy świat dużo by na tym stracił? I kto by o tym wiedział? Ellen? Miał ją w dupie.

– Lepiej się zamknij, przyjacielu – powiedział Hardin. – W tym momencie to najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić. Po prostu się zamknij. A kiedy zjawi się tu gliniarz z drogówki, możesz mu powiedzieć, co tylko, kurwa, chcesz.

– Dlaczego sobie nie pójdziesz? Po prostu odejdz i zostaw mnie w spokoju. Potłukłeś mi okulary, to ci nie wystarcza?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Hardin. – Wiesz co? – dodał po krótkim namyśle.

Lee nie odpowiedział.

– Będę szedł powoli do samochodu. Jeśli chcesz, możesz wstać i mnie dogonić. Załatwimy to jak mężczyźni.

– Jasne, oczywiście! – Lee roześmiał się przez łzy. – Gównu widzę bez okularów!

Hardin nasunął własne na nos. Nie chciało mu się już w ogóle sikać. Dziwna historia!

– Popatrz na siebie – powiedział. – Tylko na siebie popatrz.

Lee musiał coś usłyszeć w jego głosie, bo Hardin zobaczył w srebrnej poświacie księżyca, że zaczyna się trząść. Nic jednak nie powiedział, co w tych okolicznościach było chyba mądrym posunięciem. I stojący nad nim mężczyzna, który nigdy w życiu nie wziął udziału w żadnej bójce, nawet w szkole średniej, nawet w podstawówce, zrozumiał, że jest

już po wszystkim. Gdyby Lee miał pistolet, mógłby próbować strzelić mu w plecy, kiedy będzie szedł do samochodu. Ale w innym wypadku nie. Lee był... jak brzmiało to słowo?

Sponiewierany.

Stary Lee-Lee był sponiewierany.

Hardinowi przyszedł do głowy kolejny pomysł.

– Mam twój numer rejestracyjny – powiedział. – I znam twoje nazwisko. Twoje i jej. Będę śledził gazety, dupku.

Żadnej reakcji ze strony Lee. Leżał po prostu na brzuchu, jego stłuczone okulary połyskiwały w świetle księżyca.

– Dobranoc, dupku – powiedział Hardin, po czym przeszedł przez parking i odjechał. Shane w jaguarze.

\* \* \*

Czuł się dobrze przez dziesięć, może piętnaście minut. Dość długo, żeby włączyć radio, a później zdecydować się jednak na płytę Lucindy Williams. Nagle, zupełnie niespodziewanie żołądek podszedł mu do gardła i poczuł w ustach kurczaka i ziemniaki, które zjadł w Pot o'Gold.

Zjechał na pas awaryjny i chciał wysiąść, ale zorientował się, że jest już na to za późno. Nadal przypięty pasami wychylił się przez okno i zwymiotował na jezdnię przy drzwiach kierowcy. Cały się trząsał. Szczękały mu zęby.

Naprzeciwko pojawiły się światła i skrzyły w jego stronę. Zwolniły. W pierwszej chwili Dykstra pomyślał, że to policja, nareszcie policjant z drogówki. Zawsze pojawiają się, kiedy nie są potrzebni, kiedy nikt ich nie chce. Po chwili doszedł do wniosku – nie miał co do tego wątpliwości – że to cruiser, z Ellen za kierownicą i Lee-Lee na miejscu pasażera, teraz z własną łyżką do opon na kolanach.

Ale to był tylko stary dodge załadowany dziećmi. Jeden z nich – głupkowaty chłopak najprawdopodobniej z rudą czupryną – wystawił głowę przez okno i wrzasnął: „Rzygaj na nogi!”. Zaraz potem rozległa się salwa śmiechu, dodge dodał gazu i odjechał.

Dykstra zatrzasnął drzwiczki, odchylił do tyłu głowę, zamknął oczy i poczekał, aż przejdą mu dreszcze. Po pewnym czasie ustąpiły i żołądek wrócił do normy. Uświadomił sobie, że znowu chce mu się sikać, i wziął to za dobry znak.

Przypomniawszy sobie, jak chciał kopnąć Lee-Lee w ucho – jak mocno? z jakim odgłosem? – i na myśl o tym ponownie zrobiło mu się niedobrze. Próbował przestać o tym myśleć.

Zamiast tego jego umysł (na ogół posłuszny umysł) zajął się tym komendantem silosu atomowego stacjonującym gdzieś w Lonesome Crow w Dakocie Północnej (a może w Dead Wolf w Montanie). Tym, który powoli odchodził od zmysłów. Widział terrorystów za

każdym krzakiem. Gromadził w szafce nieporadnie napisane broszury, ślęczał nocami przed ekranem komputera, penetrując paranoiczne zaułki Internetu.

Może Dog ruszy do Kalifornii, żeby wykonać jakieś zlecenie... będzie jechał samochodem, zamiast lecieć, ponieważ ma kilka specjalnych karabinów w bagażniku swojego plymoutha road runnera... i może nawali mu auto...

Jasne. Jasne, to było dobre. Albo mogło być, jeśli się nad tym jeszcze chwilę zastanowi. Czyżby sądził, że dla Doga nie ma miejsca w wielkim pustym amerykańskim interiorze? Chyba zawężał mu pole działania. Ponieważ w zależności od okoliczności każdy mógł wylądować wszędzie i robić wszystko.

Dreszcze ustąpiły. Dykstra uruchomił jaguara i ruszył z miejsca. Na wysokości Lake City znalazł czynną przez całą noc stację benzynową ze sklepem i zatrzymał się tam, żeby opróżnić pęcherz i napełnić bak (sprawdziwszy wcześniej, czy na parkingu i przy czterech dystrybutorach nie ma chryslera cruisera). Następnie dojechał do domu, zaprzątnięty myślami Ricka Hardina, i wszedł do swojego domu Johna Dykstry przy kanale. Przed wyjazdem zawsze nastawiał alarm przeciwwłamaniowy – nakazywał to rozsądek – i teraz wyłączył go, a następnie uaktywnił z powrotem na pozostałą część nocy.

# Rower stacjonarny

## I. Metaboliczni robotnicy

Tydzień po badaniach okresowych, które odkładał od roku (właściwie od trzech lat, na co zwróciłaby mu uwagę żona, gdyby jeszcze żyła), Richard Sifkitz został wezwany do doktora Brady'ego, który chciał omówić z nim wyniki. Nie słysząc żadnych jawnie złowrogich tonów w głosie lekarza, pacjent udał się dość chętnie na to spotkanie.

Wyniki zebrano w formie wartości liczbowych na arkuszu z nagłówkiem SZPITAL METROPOLITAN, NOWY JORK. Z wyjątkiem jednej linijki wszystkie nazwy badań i liczby wydrukowane były na czarno. Jedną wydrukowano na czerwono i Sifkitz zbytnio się nie zdziwił, widząc tam słowo CHOLESTEROL. Liczba, która wyróżniała się czerwonym kolorem (co było z pewnością zamierzone), wynosiła 226.

Sifkitz miał ochotę zapytać, czy to zły wynik, ale zaczął się zastanawiać, czy chce rozpocząć rozmowę od głupiego pytania. Nie wydrukowałiby go na czerwono, pomyślał, gdyby był dobry. Cała reszta była niewątpliwie dobra albo do zaakceptowania, i dlatego wydrukowali je na czarno. Nie przyszedł tu jednak, żeby o nich dyskutować. Lekarze mają dużo pracy i nie lubią marnować czasu na głaskanie po główce. Dlatego zamiast zadać głupie pytanie, zapytał, czy 226 to bardzo zły wynik. Doktor Brady odchylił się do tyłu w fotelu i splótł ręce na swojej chudej klatce piersiowej.

– Szczerze mówiąc – powiedział – to w ogóle nie jest zły wynik. Biorąc pod uwagę, co pan je – dodał, podnosząc palec.

– Wiem, że za dużo ważę – przyznał z pokorą Sifkitz. – Mam zamiar coś z tym zrobić. – W rzeczywistości wcale nie miał.

– Jeszcze szczerzej mówiąc – podjął doktor Brady – pańska masa ciała też nie jest najgorsza. Ponownie biorąc pod uwagę to, co pan je. A teraz chcę, żeby pan mnie uważnie wysłuchał, bo to jest rozmowa, którą odbywam z moimi pacjentami tylko raz. To znaczy z pacjentami płci męskiej; w kwestii masy ciała pacjentki zagadałyby mnie na śmierć, gdybym im pozwolił. Jest pan gotów?

– Tak – odparł Sifkitz, starając się spleść ręce na klatce piersiowej i odkrywając, że nie może tego zrobić. Odkrył mianowicie – albo ściśle biorąc, odkrył na nowo – że ma całkiem pokaźne piersi. Które, z tego, co wiedział, nie należały do standardowego wyposażenia

mężczyzn dobiegających czterdziestki. Dał sobie spokój ze splataniem rąk i zamiast tego położył je na kolanach. Im szybciej zacznie się ten wykład, tym szybciej się skończy.

– Ma pan trzydzieści osiem lat i sześć stóp wzrostu – powiedział doktor Brady. – Powinien pan ważyć około stu dziewięćdziesięciu funtów i mieć podobny poziom cholesterolu. Dawno, dawno temu, w latach siedemdziesiątych nikt by się nie przejął, gdyby miał pan poziom dwieście czterdzieści, ale w latach siedemdziesiątych naturalnie nikt nie zabraniał panu palić w szpitalnej poczekalni. – Doktor potrząsnął głową. – Zależność między wysokim cholesterolem i chorobami serca okazała się jednak zbyt oczywista. Dlatego liczba dwieście czterdzieści została obniżona. Należy pan do ludzi, których los obdarzył dobrym metabolizmem. Nie wspaniałym, niech pan pamięta, ale dobrym. Ile razy w tygodniu stołuje się pan w McDonalddie albo Wendy's? Dwa razy?

– Raz – odparł Sifkitz. W rzeczywistości odwiedzał fast foody od czterech do sześciu razy w tygodniu, nie licząc zdarzających się czasem w weekend wypadów do Arby's.

Doktor Brady podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć „jak sobie życzysz”... co, jak uświadomił sobie w tym momencie Sifkitz, było hasłem Burger Kinga.

– Cóż, z pewnością gdzieś pan się stołuje, mówi nam o tym pańska masa ciała. W dniu, kiedy robiono panu badania, ważył pan dwieście dwadzieścia trzy funty, która to wartość nieprzypadkowo niewiele się różni od poziomu pańskiego cholesterolu.

Doktor uśmiechnął się lekko, widząc grymas na twarzy Sifkitza, lecz nie był to przynajmniej uśmiech pozbawiony sympatii.

– Oto, co działo się do tej pory w pańskim dorosłym życiu – powiedział. – Odżywia się pan tak samo, jak odżywił się jako nastolatek, i na razie pański organizm... dzięki temu dobremu, może nawet niezwykłemu metabolizmowi... nieźle sobie z tym radził. W tym punkcie pomoże nam porównanie procesów metabolicznych do pracy zespołowej. Wykonywanej przez facetów w drelichach i martensach.

Niewykluczone, że pomoże tobie, pomyślał Sifkitz, ale na pewno nie mnie. Jego wzrok cały czas wracał do wydrukowanej na czerwono liczby, do owych dwustu dwudziestu sześciu.

– Ich zadaniem jest przejęcie i pozbycie się tego, co zrzuca im pan po pochylni. Część wysyłają do różnych wydziałów produkcyjnych. Resztę palą. Jeżeli pošle im pan więcej, niż zdołają przerobić, przybiera pan na wadze. Z czym właśnie mamy do czynienia, tyle że dzieje się to stosunkowo powoli. Wkrótce jednak, jeżeli nie dokona pan jakichś zmian, tempo przybierania na wadze się powiększy. Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że pański aparat produkcyjny potrzebuje mniej paliwa niż kiedyś. Po drugie dlatego, że pańska ekipa metaboliczna – ci faceci w drelichach, z tatuażami na ramionach – nie robi się coraz młodsza. Nie są tak wydajni jak kiedyś. Pracują wolniej, kiedy trzeba segregować rzeczy i część odsyłać dalej, a część palić. I czasami narzekają.

– Narzekają? – zdziwił się Sifkitz.

Doktor Brady, z palcami rąk wciąż splecionymi na wąskiej klatce piersiowej (klatce piersiowej suchotnika, uznał Sifkitz; na pewno nie urosły mu na niej piersi), pokiwał swoją równie wąską głową. Sifkitzowi kojarzyła się z kształtnym pyskiem łasicy o przenikliwych oczach.

– W rzeczy samej. Mówią na przykład: „Czy on nigdy nie przystopuje?”, „Za kogo on nas uważa, za cyrkowych supermanów?” i „Jezu, czy ten facet nam kiedyś odpuści?”. A jeden z nich, malkontent... w każdej ekipie zdarza się ktoś taki... mówi pewnie: „A swoją drogą, co my go, kurwa, obchodzimy? Facet jest na górze, tak czy nie?”. I wcześniej czy później, zrobią to, co robi każda ekipa robotników, których zmusza się do zbyt długiej i zbyt ciężkiej pracy bez jednego parszywego wolnego weekendu, nie mówiąc już o płatnym urlopie: zaczną się objąć. Zaczną się lenić i zaniedbywać swoje obowiązki. Któregoś dnia jeden z nich w ogóle nie przyjdzie do roboty, a potem nadejdzie dzień... jeżeli go pan dożyje... kiedy jeden z nich się nie pojawi, bo umrze w domu na zawał albo na udar.

– To miłe – rzekł Sifkitz. – Może powinien pan występować na forum publicznym. Wygłaszać odczyty w całym kraju. Nawet u Oprah.

Doktor Brady rozplótł palce, pochylił się nad biurkiem i spojrzał na Richarda Sifkitza. Na jego twarzy nie było uśmiechu.

– Musi pan dokonać wyboru, a ja mam obowiązek to panu uświadomić, to wszystko. Albo zmieni pan swoje nawyki, albo za dziesięć lat odwiedzi pan mój gabinet z poważnymi problemami: masą ciała przekraczającą trzysta funtów, być może cukrzycą drugiego typu, żylakami, wrzodem żołądka i poziomem cholesterolu równym wadze mierzonej w funtach. W tym momencie może pan jeszcze temu zapobiec bez radykalnej diety, odsysania tłuszczu i ataku serca, który zwróciłby pana uwagę na cały problem. Później to będzie trudniejsze. Kiedy przekroczy pan czterdziestkę, będzie to trudniejsze z każdym rokiem. Po czterdziestce, Richardzie, sadło przyklei się panu do tyłka tak jak kupka niemowlęcia przykleja się do ściany sypialni.

– Eleganckie – mruknął Sifkitz i wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

Brady nie roześmiał się, ale przynajmniej się uśmiechnął i odchylił do tyłu w fotelu.

– Nie ma nic eleganckiego w tym, dokąd pan zmierza. Lekarze na ogół o tym nie rozprawiają podobnie jak policjanci nie opowiadają o obciętej głowie, którą znaleźli w rowie niedaleko miejsca wypadku, albo o zwęglonym dziecku, które odkryli w szafie dzień po tym, jak od świeczek na choince zajął się cały dom, jednak wiemy dość dużo o wspaniałym świecie otyłości, o kobietach, które wyhodowały pleśń między niemytymi od lat fałdami tłuszczu, o mężczyznach paradujących wszędzie w chmurze smrodu, ponieważ od dziesięciu lat nie mogą porządnie się podetrzeć.

Sifkitz skrzywił się i machnął ręką na znak, że ma dosyć.



– Nie mówię, że doprowadzi się pan do takiego stanu, Richardzie... Większość ludzi się do niego nie doprowadza, mają pewnie wbudowane hamulce, ale jest chyba ziarno prawdy w tym starym powiedzeniu, że ktoś tam wykopał sobie grób łyżką i widelcem. Pamiętaj o tym.

– Będę pamiętał.

– To dobrze. Mowa skończona. Albo kazanie. Cokolwiek to było. Nie powiem: „Idź i nie grzesz więcej”. Powiem tylko: „To zależy od ciebie”.

Chociaż w rubryce ZAWÓD swojej deklaracji podatkowej Sifkitz od dwunastu lat wpisywał ARTYSTA PRACUJĄCY NA WŁASNY RACHUNEK, nie uważał się za człowieka obdarzonego szczególnie bujną wyobraźnią i od ukończenia Uniwersytetu DePaul nie namalował z potrzeby serca żadnego obrazu (ani nawet rysunku, naprawdę). Miał w swoim dorobku okładki książek, kilka plakatów filmowych, dużo ilustracji w czasopismach i czasami okładki broszur na wystawy przemysłowe. Zrobił jedną okładkę płyty (grupy Slobberbone, którą szczególnie podziwiał), ale doszedł do wniosku, że nigdy nie wykona następnej, ponieważ w gotowym produkcie nie sposób zobaczyć szczegółów bez szkła powiększającego. Do tego w gruncie rzeczy sprowadzał się jego „artystyczny temperament”.

Gdyby ktoś go zapytał o jego ulubione dzieło, najprawdopodobniej nie umiałby odpowiedzieć. Przyciśnięty do muru, mógłby wskazać obraz młodej biegnącej po trawie blondynki, który zrobił dla firmy Downy produkującej płyn do zmiękczenia tkanin, ale nawet to byłoby kłamstwem, czymś, co mówi się wyłącznie na odczepnego. Prawdę mówiąc, nie był artystą który miałby (albo musiał mieć) swoje ulubione prace. Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni złapał za pędzel, żeby namalować coś innego niż to, co ktoś zamówił, żeby namalował, na ogół na podstawie szczegółowego opisu agencji reklamowej lub fotografii (tak było z biegnącą po trawie kobietą, najwyraźniej zachwyconą tym, że poradziła sobie w końcu z elektrycznością statyczną).

Ale natchnienie, pod którego wpływem tworzą najlepsi z nas – van Goghowie, Picassowie, Salvadorowie Dali – spływa także na maluczkich, nawet jeżeli zdarza im się to tylko kilka razy w życiu. Sifkitz wsiadł do autobusu, żeby wrócić do domu (nie miał samochodu od studenckich czasów), i siedząc w nim i wyglądając przez okno (wyniki badań z jedną wydrukowaną na czerwono pozycją tkwiły złożone w jego tylnej kieszeni), zorientował się, że bez przerwy zatrzymuje wzrok na różnych robotnikach i ekipach budowlanych, które mijał autobus: przemierzających plac budowy facetach w kaskach, czasem z wiadrami, a niekiedy z naręczami desek na ramionach; facetach z przedsiębiorstwa wodociągowego tkwiących do połowy w studzienkach włazowych, otoczonych żółtą taśmą z napisem ROBOTY KANALIZACYJNE; trzech facetach, którzy ustawiali rusztowanie przed witryną domu towarowego, podczas gdy czwarty rozmawiał przez komórkę.

Stopniowo zaczynał zdawać sobie sprawę, że w jego umyśle formuje się obraz domagający się swojego miejsca w realnym świecie. Po powrocie do domu (mieszkał w Soho, w lofcie służącym mu równocześnie za mieszkanie i pracownię) ruszył do zagraconej wnęki

pod świetlikiem, nie podnosząc nawet listów z podłogi. Ściśle rzecz biorąc, rzucił na nie marynarke.

Zatrzymał się tylko po to, żeby spojrzeć na kilka opartych o ścianę, naciągniętych na blejtram płócien i stwierdzić, że się nie nadają. Zamiast tego wziął zwykły biały karton i zaczął na nim rysować węglem. W ciągu następnej godziny dwukrotnie zadzwonił telefon. Pozwolił, żeby za każdym razem odebrała go automatyczna sekretarka.

Pracował nad tym obrazem z krótkimi lub dłuższymi przerwami – raczej jednak krótkimi, zwłaszcza gdy z upływem czasu zdał sobie sprawę, jaki jest dobry – przez następne dziesięć dni, zmieniając, kiedy wydawało się to naturalne, karton na płótno, które miało cztery stopy długości i trzy stopy szerokości. Była to największa powierzchnia, na której pracował od ponad dziesięciu lat.

Obraz przedstawiał czterech mężczyzn – robotników w dżinsach, popelinowych kurtkach i wielkich starych roboczych butach – stojących na poboczu wiejskiej drogi, która tuż za nimi wyląniała się z głębokiego lasu (namalował go ciemnozieloną i szarą farbą szybkimi, zamaszystymi pociągnięciami pędzla). Dwaj pierwsi trzymali łopaty, trzeci dźwigał dwa wiadra, a czwarty był właśnie w trakcie zsuwania czapki z czoła, i ten gest idealnie wyrażał jego zmęczenie pod koniec dnia i świadomość, że robota nigdy się nie skończy; że w gruncie rzeczy więcej jest roboty pod koniec każdego dnia, niż było na początku. Ten czwarty facet w sfatygowanej starej płóciennej czapce z wydrukowanym nad daszkiem słowem LIPIDY, był brygadzystą. Rozmawiał przez komórkę z żoną. Już wracam, kochanie, nie, nie chcę nigdzie wychodzić, nie dzisiaj, za bardzo jestem skonany, chcę zacząć jutro z samego rana. Chłopcy trochę psioczyli, ale ich przekonałem. Sifkitz nie miał pojęcia, skąd to wszystko wie, lecz wiedział. Podobnie jak to, że facet z wiadrami to Freddy i że jest właścicielem ciężarówki, którą przyjechali. Stała tuż za obrazem, po prawej stronie; widać było kawałek jej cienia. Jeden z facetów z łopatami, Carlos, miał chory kręgosłup i chodził do kręgarza.

Na obrazie nie umieścił żadnej wskazówki, jaki rodzaj pracy wykonywali mężczyźni, to działo się poza obrazem, po lewej stronie, ale widać było, jacy są skonani. Sifkitz miał zawsze zamiłowanie do szczegółów (ta zielonoszara plama lasu była zupełnie nie w jego stylu) i zmęczenie wyryło się na ich twarzach. Dawało się to poznać po plamach potu na kołnierzykach koszul.

Niebo nad nimi miało dziwaczny, organiczny czerwony kolor.

Sifkitz oczywiście wiedział, co przedstawia obraz i dlaczego niebo jest czerwone. To była ekipa robotników, o której mówił lekarz, pod koniec dnia ciężkiej pracy. W prawdziwym świecie poza tym organicznym czerwonym niebem Richard Sifkitz, ich pracodawca, posilił się właśnie przed snem (zjadając być może resztki tortu albo odłożony na czarną godzinę pączek Krispy Kreme) i ułożył głowę na poduszce. Co oznaczało, że mogli nareszcie wrócić do domu. Czy oni sami coś zjedzą? Owszem, lecz nie tyle co on. Byli zbyt zmęczeni, żeby się objadać, malowało się to na ich twarzach. Ci faceci pracujący dla firmy LIPIDY SPÓŁKA Z

O.O., zamiast zjeść porządny posiłek, uwalą się na kanapach i pooglądają przez chwilę telewizję. Może zasną przed telewizorem i obudzą się parę godzin później, kiedy skończą się normalne programy i Ron Popeil będzie pokazywał swoje najnowsze wynalazki zakochanej w nim publiczności w studio. Wyłączą wtedy telewizor pilotem i podrepczą do łóżka, rozbierając się po drodze i nie oglądając za siebie.

Wszystko to było na obrazie, chociaż żadna z tych rzeczy nie została namalowana. Sifkitz nie dostał na jego punkcie obsesji, obraz nie stał się jego życiem, ale rozumiał, że w jego życiu pojawiło się coś nowego, coś dobrego. Nie miał pojęcia, co z tym czymś zrobi, kiedy już skończy, lecz mało go to obchodziło. Na razie lubił po prostu wstawać rano i przyglądać się jednym okiem swojemu dziełu, wyciągając bokserki Big Dog spomiędzy pośladków. Przypuszczał, że kiedy obraz będzie gotów, będzie go musiał jakoś nazwać. Do tej pory rozważył i odrzucił tytuły „Na dzisiaj fajrant”, „Chłopaki robią fajrant” i „Berkowitz kończy robotę”. Berkowitz to oczywiście szef, brygadzysta, ten z komórką Motoroli i czapką z napisem LIPIDY na głowie. Żaden z tytułów nie był do końca dobry, ale to mu nie przeszkadzało. Kiedy wymyśli odpowiedni, zda sobie z tego sprawę. Usłyszy w głowie kliknięcie i zda sobie sprawę. Tymczasem nie było pośpiechu. Nie miał nawet pewności, czy chodzi o obraz. Malując go, stracił piętnaście funtów. Może o to chodziło. A może nie.

## II. Rower stacjonarny

Sifkitz przeczytał gdzieś – być może na tekturce saszetki z herbatą Salada – że dla osoby pragnącej zrzucić wagę najbardziej efektywnym ćwiczeniem jest wstawanie od stołu. Nie miał wątpliwości, że to prawda, lecz z biegiem czasu dochodził coraz bardziej do przekonania, że to nie zrzucenie wagi jest jego celem. Jego celem nie było także nabranie mięśni, chociaż obie te rzeczy mogły stanowić efekt uboczny. Stale myślał o metabolicznych robotnikach doktora Brady’ego, prostych facetach, którzy naprawdę próbowali wykonać dobrze swoją robotę, ale nie mogli się od niego doczekać pomocy. Trudno, żeby o nich nie myślał, skoro codziennie przez godzinę lub dwie malował ich oraz ich codzienny świat.

Dużo o nich fantazjował. O Berkowitzu, brygadziście, który chciał pewnego dnia założyć własną firmę budowlaną. O Freddym, do którego należała ciężarówka (dodge ram) i który uważał się za mistrza stolarki. O Carlosie, facecie z chorym kręgosłupem. I Whelanie, który był właściwie obibokiem. To byli ludzie, którzy mieli za zadanie uchronić go przed zawałem serca albo udarem. Musieli uprzętać spadające z dziwnego czerwonego nieba gówno, nim zablokuje drogę do lasu.

Tydzień po tym, jak zaczął malować (i na tydzień przedtem, zanim uznał, że jest gotów), Sifkitz udał się do sklepu Fitness Boys przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i przyjrząwszy się

dobrze bieżni i urządzeniu StairMaster (atrakcyjnemu, lecz drogiemu), kupił rower stacjonarny. Zapłacił dodatkowo czterdzieści dolarów za dostawę i montaż.

– Jeśli będzie pan na nim codziennie jeździł przez sześć miesięcy, pański cholesterol spadnie o trzydzieści punktów – powiedział sprzedawca, krzepki młodzieniec w T-shircie z nadrukiem Fitness Boys. – Mogę to panu praktycznie zagwarantować.

Piwnica budynku, w którym mieszkał Sifkitz, była mrocznym, rozległym labiryntem; rozbrzmiewało tu dudnienie pieca i piętrzyły się poustawiane w ponumerowanych boksach rzeczy lokatorów. Na samym końcu znajdowała się jednak wnęka, która cudownym zrządzeniem losu okazała się pusta. Tak jakby cały czas na niego czekała. Sifkitz kazał tragarzom postawić swoje nowe urządzenie do ćwiczeń na betonowej podłodze naprzeciwko gołej beżowej ściany.

– Zniesie pan na dół telewizor? – zapytał jeden z nich.

– Jeszcze się nie zdecydowałem – odparł Sifkitz, chociaż podjął już decyzję.

Przed ukończeniem obrazu jeździł codziennie na stacjonarnym rowerze mniej więcej przez piętnaście minut, wiedząc, że te piętnaście minut to prawdopodobnie za mało (choć z pewnością było to lepsze niż nic), lecz wiedząc również, że w tym momencie nie stać go na więcej. Nie dlatego, żeby nie dawał rady; piętnaście minut było za krótkim okresem, żeby się zmęczyć. W piwnicy po prostu się nudził. Świst kół i monotonne dudnienie pieca zaczęły mu szybko działać na nerwy. Zbyt wyraźnie zdawał sobie sprawę z tego, co w istocie robi, pedałując donikąd w piwnicy pod dwiema gołymi żarówkami, które rzucały podwójny cień na stojącą przed nim ścianę. Wiedział również, że sytuacja zmieni się na lepsze, kiedy ukończy obraz na górze i zacznie ten na dole.

Był to ten sam obraz, ale namalował go o wiele szybciej. Mógł to zrobić, ponieważ nie musiał na nim umieszczać Berkowitza, Carlosa, Freddy’ego i obiboka Whelana. Na tym obrazie nie było ich w ciągu dnia i namalował na beżowej ścianie samą wiejską drogę, stosując wymuszoną perspektywę, dzięki czemu gdy siedział na stacjonarnym rowerze, miał wrażenie, że droga wiję się przed nim i znika w ciemnozielono-szarym lesie. Jazda na rowerze przestała być taka nudna, lecz po dwóch albo trzech sesjach doszedł do wniosku, że to nie koniec: to, co robił, nadal było tylko ćwiczeniem. Musiał na przykład dodać czerwone niebo, ale to żaden problem, trzeba tylko trochę pomachać pędzlem. Chciał domalować parę szczegółów na poboczach „z przodu”, a także trochę śmieci, ale to również było łatwe (i nawet zabawne). Prawdziwy problem nie miał nic wspólnego z obrazem. Z żadnym z dwóch obrazów. Polegał na tym, że Sifkitz nie miał przed sobą celu, i to zawsze drażniło go w tego rodzaju ćwiczeniach wykonywanych wyłącznie dla nich samych. Człowiek mógł dzięki nim odzyskać formę i lepiej się poczuć, ale same w sobie były bezsensowne. Egzystencjalnie bezsensowne. Chodziło w nich wyłącznie o to, co będzie potem, na przykład o ładną panienkę z działu graficznego jakiegoś czasopisma, podchodzącą do ciebie na przyjęciu i pytającą, czy schudłeś. To nawet w minimalnym stopniu nie mogło stanowić autentycznej motywacji.

Sifkitz nie był wystarczająco próżny (lub wystarczająco jurny), żeby taka możliwość rajcowała go na dłuższą metę. W końcu go to nudziło i wracał do Krispy Kreme i starych nawyków. Nie, musiał po prostu zdecydować, gdzie leży ta droga i dokąd prowadzi. Wówczas będzie mógł udawać, że tam jedzie. Ten pomysł go podekscytował. Może był głupi – a nawet nienormalny – ale odczuwane przez niego podniecenie, choć niezbyt duże, wydawało się Sifkitzowi czymś prawdziwym. Poza tym nie musiał nikomu mówić, co kombinuje. W żadnym wypadku. Mógł nawet kupić atlas drogowy Randa-McNally’ego i codziennie zaznaczać na jednej z map przejechany dystans.

Z natury nie był introwertykiem, ale wracając z księgarni Barnes & Noble z nowym atlasem drogowym pod pachą, zaczął się zastanawiać, co go dokładnie tak pobudziło. Umiarkowanie wysoki poziom cholesterolu? Raczej wątpił. Solenne oświadczenie doktora Brady’ego, że ta walka będzie dla niego o wiele trudniejsza po czterdziestce? To mogło mieć z tym coś wspólnego, ale chyba nie aż tak wiele. A może dojrzał po prostu do zmiany? Coraz cieplej.

Trudy zmarła na wyjątkowo wredną białaczkę i Sifkitz towarzyszył jej w szpitalnej sali, kiedy odeszła. Pamiętał, jak głęboki był jej ostatni oddech, jak jej smutne i wyniszczone piersi uniosły się, kiedy go zaczerpnęła. Tak jakby wiedziała, że to koniec, że musi jej starczyć na wieki. Pamiętał, jak wypuściła z płuc powietrze, wydając przy tym dźwięk – szaaaaa! I jak potem jej piersi po prostu przestały się poruszać. W pewnym sensie przez cztery ostatnie lata żył na tym wstrzymanym oddechu. Tyle że teraz znowu zerwał się wiatr i Sifkitz złapał go w żagle.

Było jednak coś jeszcze, coś bardziej związanego z tą sprawą: robotnicy, których wezwał Brady i którym Sifkitz nadał nazwiska. Był Berkowitz, Whelan, Carlos i Freddy. Nie obchodzili doktora Brady’ego; metaboliczni robotnicy stanowili dla niego zwykłą metaforę. Chciał skłonić Sifkitza, żeby zaczął się trochę bardziej interesować tym, co dzieje się w jego wnętrzu, nic więcej, ta metafora nie różniła się wiele od opowieści mamy, która mówi swojemu brzdącowi, że „małe ludziki” naprawiają skórę na jego podrapanym kolanie.

Natomiast Sifkitz koncentrował się...

Wcale nie na sobie, pomyślał, potrząsając kluczami do klatki schodowej. Nigdy nie koncentrował się na sobie. Chodziło mu o tych facetów, którzy muszą wykonywać niekończące się prace porządkowe. I o drogę. Dlaczego muszą tak ciężko harować, żeby utrzymać na niej porządek? Dokąd ona prowadzi?

Uznał, że prowadzi do Herkimeru, małego miasteczka przy granicy z Kanadą. Na mapie północnej części stanu Nowy Jork znalazł cienką nieoznakowaną niebieską linię, biegnącą tam aż z Poughkeepsie, miejscowości leżącej na południe od stolicy stanu. Droga miała dwieście, może trzysta mil. Nabył bardziej szczegółowy atlas i przypiął pineskami do ściany mapę terenu, gdzie się zaczynała, tuż obok swojej namalowanej w pośpiechu... jak by tu ją nazwać? Mural nie był odpowiednim słowem. Zdecydował się na „projekcję”.

I wsiadając tego dnia na stacjonarny rower, wyobrażał sobie, że ma za sobą Poughkeepsie; nie stary telewizor w boksie 2-G, nie stos kufrów w 3-F i nie przykryty brezentem terenowy motocykl w 4-A, ale Po'-town. Przed nim wiała się wiejska droga, zwykły niebieski zygzak dla monsieur Randa-McNally'ego, który jednak na szczegółowej mapie topograficznej nosił nazwę Old Rhinebeck Road. Wyzerował licznik przejechanych mil, utkwiał wzrok w miejscu, gdzie betonowa podłoga stykała się ze ścianą, i pomyślał: To jest naprawdę droga do zdrowia. Jeśli wbijesz to sobie do głowy, nie będziesz musiał się martwić, że po śmierci Trudy odbiła ci trochę szajba.

Ale jego serce uderzało odrobinę za szybko (jakby już zaczął pedałowac) i czuł się tak, jak przypuszczał, czuje się większość ludzi przed podróżą do nowego miejsca, gdzie mogą poznać nowych ludzi i doświadczyć nowych przygód. Nad prostym panelem kontrolnym roweru stacjonarnego był uchwyt na puszkę i wsadził tam red bulla, który uchodził za napój energetyczny. Ubrany był w szorty gimnastyczne i starą zapinaną koszulę, ponieważ miała kieszeń. Wsadził do niej dwa owsiane ciasteczka z rodzynkami. Zarówno owies, jak i rodzynki obniżały podobno poziom lipidów.

A skoro już o nich mowa, chłopcy z Lipidów, spółki z o.o., mieli wolny dzień. Dyżurowali oczywiście na obrazie na górze – nienadającym się do niczego, niemającym wartości rynkowej obrazie, który był zupełnie nie w jego stylu – ale tu na dole wsiedli do dodge'a Freddy'ego i pojechali do... do...

– Z powrotem do Poughkeepsie – powiedział. – Słuchają Kateem w lokalnym radiu i popijają piwo z butelek schowanych w papierowych torebkach. Dzisiaj... co dzisiaj robiliście, chłopcy?

Przeczyściliśmy kilka przepustów, szepnął głos. Wiosenne roztopy o mało nie zalały drogi koło Priceville. A potem zrobiliśmy wcześniej fajrant.

Dobrze. To była dobra wiadomość. Nie będzie musiał zsiadać z roweru i omijać rozlewisk.

Richard Sifkitz utkwiał wzrok w ścianie i zaczął pedałowac.

### **III. Na drodze do Herkimeru**

To było jesienią 2002, rok po tym jak bliźniacze wieże runęły na ulice dzielnicy finansowej, i życie w Nowym Jorku wracało do lekko paranoicznej wersji normalności... tyle że w Nowym Jorku to właśnie lekka paranoja jest normą.

Richard Sifkitz nigdy nie czuł się zdrowszy i szczęśliwszy. Każdy jego dzień dzielił się harmonijnie na cztery części. Rano pracował nad płatnymi zamówieniami i wyglądało na to, że ma ich więcej niż kiedykolwiek. Sytuacja gospodarcza wyglądała fatalnie, pisały o tym

wszystkie gazety, ale sytuacja gospodarcza pracującego na własny rachunek Richarda Sifkitza była znakomita.

Nadal jadał lunch u Dugana przy sąsiedniej przecznicy, ale zamiast tłustego podwójnego cheeseburgera zamawiał teraz na ogół sałatkę, a po południu pracował nad nowym obrazem dla siebie: na początek nad dokładniejszą wersją „projekcji” na ścianie piwnicy. Obraz Berkowitza i jego ekipy stał odsunięty na bok i przykryły starym prześcieradłem. Już do niego nie wracał. Teraz chciał mieć lepszą wersję tego, co służyło mu dobrze na dole, czyli drogę do Herkimeru, na której nie pracowali już robotnicy. Po cóż mieliby tam dalej pracować? Ostatnio chyba sam dbał o tę drogę? Dbał o nią i robił to cholernie dobrze. Pod koniec października odwiedził ponownie Brady’ego, żeby sprawdzić poziom cholesterolu, i tym razem wynik był wydrukowany na czarno, nie na czerwono: 179. Brady spojrzął na niego nie tylko z podziwem, lecz z zazdrością.

– To wynik lepszy od mojego – powiedział. – Naprawdę wziął pan to sobie do serca, prawda?

– Chyba tak – przyznał Sifkitz.

– I nie ma pan już prawie tego piwnego brzucha. Ćwicz pan?

– Kiedy tylko mogę – odparł Sifkitz i nie dodał nic więcej. W tym czasie jego ćwiczenia nabrały dziwnego charakteru. Niektórzy ludzie mogli je w każdym razie uznać za dziwne.

– No cóż – mruknął Brady. – Jeżeli pan to robi, nie ma się czego wstydzić. Taka jest moja rada.

Sifkitz uśmiechnął się, ale tej rady nie wziął sobie do serca.

Wieczory – czwartą część Zwyczajnego Dnia Sifkitza – spędzał, oglądając telewizję albo czytając książkę i popijając przy tym na ogół sok pomidorowy albo V-8 zamiast piwa, zmęczony, lecz zadowolony. Chodził również godzinę wcześniej spać i dodatkowa godzina snu dobrze mu służyła.

Ukoronowaniem jego dnia była część trzecia, od czwartej do szóstej. Te dwie godziny spędzał na swoim stacjonarnym rowerze, jadąc niebieskim zygzakiem między Poughkeepsie i Herkimerem. Na mapach topograficznych zygzak zmieniał nazwę z Old Rhinebeck Road na Cascade Falls Road i Woods Road; przez pewien czas był nawet Dump Road. Sifkitz pamiętał, że na początku nawet piętnaście minut na stacjonarnym rowerze wydawało mu się wiecznością. Obecnie zmuszał się, żeby zakończyć jazdę po dwóch godzinach. Ostatecznie kupił sobie budzik i zaczął go nastawiać na szóstą po południu. Agresywny terkot urządzenia był dość głośny, żeby go... no cóż...

\* \* \*

Był dość głośny, żeby go obudzić.

Sifkitzowi trudno było uwierzyć, że zasypia w piwnicy, jadąc na stacjonarnym rowerze ze stałą szybkością piętnastu mil na godzinę, ale było to lepsze niż przyznanie, że dostaje lekkiego świra na drodze do Herkimeru. Albo w swojej piwnicy w Soho, jeśli brzmiało to lepiej. Innymi słowy, że ma urojenia.

Przeskakując pewnego wieczoru z kanału na kanał, trafił na program o hipnozie. Facet, z którym rozmawiano, hipnotyzer, który wymyślił sobie pseudonim Joe Saturn, twierdził, że wszyscy codziennie uprawiamy autohipnozę. Stosujemy ją, chcąc wprowadzić się rano w nastrój do pracy; stosujemy ją żeby „wprowadzić się w akcję”, kiedy czytamy powieści albo oglądamy filmy; stosujemy ją, żeby zasnąć w nocy. To ostatnie było ulubionym przykładem Joego Saturna i rozprawił długo o czynnościach wykonywanych przez „ludzi, którym udaje się łatwo zasnąć”: sprawdzaniu zamków w drzwiach i oknach, wypijaniu szklanki wody, odmawianiu krótkiej modlitwy albo oddawaniu się medytacjom. Porównywał je do chwytów, które hipnotyzer stosuje wobec swoich pacjentów, i do tego, co sam mówił w czasie seansu – licząc na przykład od dziesięciu do zera albo zapewniając pacjenta, że „bardzo chce mu się spać”. Sifkitz chętnie się z nim zgodził i od razu uznał, że pedałuje przez dwie godziny na stacjonarnym rowerze w stanie lekkiej lub umiarkowanej hipnozy.

Ponieważ pod koniec trzeciego tygodnia, wpatrując się w „projekcję” na ścianie, nie spędzał już tych dwóch godzin we wnętrzu w piwnicy. Pod koniec trzeciego tygodnia rzeczywiście spędzał je na drodze do Herkimeru.

Pedałował z satysfakcją drogą gruntową, wijącą się przez las, wdychając zapach żywicy, słuchając krakania wron lub chrzęstu liści, gdy od czasu do czasu przejeżdżał przez ich sterty. Stacjonarny rower stał się trzybiegowym raleighem, którego miał w wieku dwunastu lat na przedmieściach Manchesteru w stanie New Hampshire. Nie był to jedyny rower, który należał do niego, zanim zrobił w wieku siedemnastu lat prawo jazdy, lecz bezsprzecznie najlepszy. Plastikowy uchwyt na puszkę stał się toporną, ale praktyczną, ręcznie spawaną obręczą z metalu, wystającą nad koszykiem, i zamiast red bulla tkwiła w niej puszka mrożonej herbaty Liptona. Niesłodzonej.

Na drodze do Herkimeru był zawsze późny październik, godzina przed zachodem słońca. Chociaż jechał równo dwie godziny (za każdym razem, kiedy kończył, potwierdzały to zarówno rowerowy licznik, jak i budzik), słońce nigdy nie zmieniało pozycji; zawsze rzucało takie same długie cienie na polną drogę i migotało między drzewami w tym samym miejscu nieba, kiedy raźnie pedałował, czując, jak wiatr zwiewa mu włosy z czoła.

Czasami mijał znaki przybite do drzew w miejscach, gdzie z jego drogą krzyżowały się inne. „Cascade Road” głosił jeden, „Herkimer 120 mil” inny. Znaki były zawsze zgodne z informacjami zawartymi na mapie topograficznej, którą przypiął do ściany. Sifkitz zdecydował już, że dojechawszy do Herkimeru, zapuści się w kanadyjski interior, nie zatrzymując się nawet, żeby kupić pamiątki. Droga tam się kończyła, ale nie stanowiło to problemu; kupił już atlas topograficzny wschodniej Kanady. Miał zamiar narysować w nim



swoją trasę cienką niebieską kredką dodając przy tym mnóstwo zygzaków. Zygzaki powiększały liczbę przejechanych mil.

Gdyby zechciał, mógł dojechać do koła podbiegunowego.

Któregoś wieczoru, kiedy dzwonek budzika wyrwał go z transu, podszedł do „projekcji” i przyglądał jej się przez kilka dłuższych chwil z przekrzywioną na bok głową. Ktoś inny zobaczyłby niewiele: z tak małej odległości nie działała sztuczka wymuszonej perspektywy i dla niewprawnego oka leśna scena rozpadała się na pojedyncze plamy koloru – jasnobrązowej nawierzchni drogi; ciemniejszego brązu sterty liści; przetykanej błękitem i srebrem zieleni jodeł; a także jaskrawej żółtawej bieli zachodzącego słońca daleko po lewej stronie, niebezpiecznie blisko drzwi do kotłowni. Ale Sifkitz doskonale widział cały obraz. Był wyryty w jego pamięci i nigdy się nie zmieniał. Pod warunkiem oczywiście, że nie jechał rowerem, choć nawet wówczas był świadom jego zasadniczej niezmienności. I to było dobre. Podstawowa niezmienność stanowiła rodzaj probierza, pozwalała mu pozostawać w przekonaniu, że to wszystko jest tylko rozbudowaną umysłową grą, czymś podłączonym do jego podświadomości, co może w każdej chwili wyłączyć.

Zniósł już wcześniej na dół pudełko farb, żeby dokonać ewentualnych retuszy, i teraz, prawie się nie zastanawiając, umieścił na drodze kilka brązowych plam, dodając trochę czerni, żeby odróżniały się od leżących w stertach liści. Cofnął się o krok, przyjrzał nowym elementom i pokiwał głową. Zmiana była niewielka, lecz na swój sposób doskonała.

Pedałując nazajutrz swoim trzybiegowym raleighem przez las (zostało mu niespełna sześćdziesiąt mil do Herkimeru i tylko osiemdziesiąt do granicy kanadyjskiej), zobaczył za jednym z zakrętów pokaźnej wielkości jelenia, stojącego pośrodku drogi i patrzącego na niego wystraszonymi aksamitnymi oczyma. Zwierzę podniosło białą flagę ogona, zostawiło po sobie parujące odchody i uciekło z powrotem do lasu. Sifkitzowi mignął jeszcze raz jego ogon i jeleni zniknął. Jadąc dalej, ominął odchody szerokim łukiem, nie chcąc, żeby jelenie łajno przykleiło się do opon.

Tego wieczoru wyłączył budzik i podszedł do obrazu, ścierając pot z czoła bandaną, którą wyjął z kieszeni dzinsów. Przyjrzał się krytycznie „projekcji”, opierając dłonie na biodrach, a potem, szybkimi, zdecydowanymi pociągnięciami pędzla – robił w końcu tego rodzaju rzeczy prawie od dwudziestu lat – zamalował odchody, umieszczając na ich miejscu kilka zardzewiałych puszek po piwie, które zostawił niewątpliwie jakiś polujący na bażanty i dzikie indyki myśliwy z północnej części stanu.

– Przegapiłeś je, Berkowitz – powiedział tego wieczoru, siedząc i popijając piwo zamiast soku V-8. – Jutro sam je uprzątnę, ale żeby mi się to nie powtórzyło.

Tyle że kiedy zszedł nazajutrz na dół, nie musiał zamalowywać puszek na obrazie; już ich nie było. Przez moment poczuł prawdziwy skurcz strachu, jakby ktoś uderzył go w brzuch tępym narzędziem – co on wyprawiał, czyżby zszedł tutaj we śnie w środku nocy ze swoją wierną puszką terpentyny i pędzlem? – a potem przestał o tym w ogóle myśleć. Wsiadł na

stacjonarny rower i wkrótce jechał swoim starym raleighem, wdychając czysty zapach lasu i czując, jak wiatr zwiewa mu włosy z czoła. A jednak czy to właśnie nie tego dnia sytuacja zaczęła się zmieniać? Czy to nie wówczas poczuł, że nie jest sam na drodze do Herkimeru? Jedno nie ulegało wątpliwości: dzień po zniknięciu puszek po piwie przyśnił mu się naprawdę okropny sen, po którym namalował garaż Carlosa.

#### **IV. Mężczyzna ze strzelbą**

Był to najbardziej sugestywny sen, jaki miał od czternastego roku życia, kiedy to trzy albo cztery erotyczne wizje, w trakcie których spuścił się w łóżku, uczyniły go w sensie fizycznym mężczyzną. I był najokropniejszy ze wszystkich, bez dwóch zdań, nic nie mogło się z nim nawet w przybliżeniu równać. Jego okropność wynikała z poczucia zbliżającej się katastrofy, które przenikało go niczym czerwona nitka. Przenikało go, mimo że sen był w dziwny sposób płytki: Sifkitz wiedział, że śni, lecz nie mógł się obudzić. Zupełnie jakby owinięto go jakąś straszną gazą. Wiedział, że gdzieś blisko jest jego łóżko i że w nim leży – gorączkowo się szamocząc – ale nie mógł przebić się do Richarda Sifkitza, który leżał tam rozdygotany i spocony w swoich szortach Big Dog.

Widział poduszkę i beżowy telefon z pękniętą obudową. A potem przedpokój obwieszony zdjęciami, które, o czym wiedział, przedstawiały jego żonę i trzy córki. I kuchnię z mikrofalówką na której migotały cyfry 4.16. Paterę z bananami (patrzył na nie ze smutkiem i przerażeniem) na stole z formiki. I wiatę przed garażem. Leżał pod nią pies Pepe z opartym o łapy pyskiem. Kiedy go mijał, Pepe nie podniósł łba, lecz obrócił w górę oczy, odsłaniając białe półksiężycy przekrwionych białek. I wtedy właśnie Sifkitz zaczął łkać we śnie, uświadamiając sobie, że wszystko jest stracone.

Teraz znajdował się w garażu. Czuł zapach oleju i starej słodkiej trawy. Kosiarka LawnBoy stała w rogu niczym podmiejski bożek. Zobaczył przykręcone do roboczego stołu imadło, stare, ciemne i obsypane drewnianymi drzazgami. Potem szafę. Na dole leżały w niej łyżwy dziewczynek z białymi jak lody waniliowe sznurowadłami. Na kołkach wisiały porządnie posegregowane narzędzia, w większości ogrodowe; Carlos (jestem Carlos) uwielbiał pracować w ogrodzie.

Na górnej półce poza zasięgiem rąk dziewczynek leżała strzelba kalibru .410, nieużywana od lat, prawie zapomniana, oraz pudełko z nabojami, tak ciemne, że prawie nie można było przeczytać z boku napisu „Winchester”, tyle że on go przeczytał bez większego trudu i właśnie wtedy zrozumiał, że wcielił się w postać potencjalnego samobójcy. Starał się za wszelką cenę powstrzymać Carlosa albo przestać nim być, ale nie potrafił dokonać ani jednego, ani drugiego, choć czuł, że jego łóżko jest tak blisko, po drugiej stronie spowijającej go od stóp do głów gazy.

Teraz stał ponownie przy imadle. Strzelba tkwiła w nim, obok na blacie stołu leżało pudełko z nabojami i była tam również piła, ucinął lufę strzelby, ponieważ z uciętą lufą łatwiej było zrobić to, co musiał zrobić, a kiedy otworzył pudełko z nabojami, były ich dwa tuziny, grubych zielonych sukinsynów z mosiężnymi spodami, i dźwięk, jaki wydawała strzelba, gdy Carlos zatrzasnął zamek, nie brzmiał kling!, lecz KLAK!, i w ustach czuł smak oleju i kurzu, oleju na języku i kurzu od wewnętrznej strony policzków i na zębach, i bolały go plecy, bolały go JSS, tak właśnie nazywali opuszczone budynki (a czasami i takie, które nie były wcale opuszczone), kiedy miał kilkanaście lat i biegał z Deaconami po Po'-town, to był skrót od JAK SKURWYSYN, i tak właśnie bolały go plecy, ale teraz, kiedy nie pracował, nie przysługiwały mu świadczenia, Jimmy Berkowitz nie miał kasy na speed, a Carlos Martinez nie miał kasy na leki, które złagodziłyby choć trochę ból, nie stać go było na kręgarza, który uśmierzał ból, i na raty za dom, aj karamba, jak mówią żartem, lecz on wcale teraz nie żartował, aj karamba, wyglądało na to, że stracą dom, niespełna pięć lat przed końcem spłat, chyba go stracą *si-si, señor*, i wszystko to była wina tego chuja Sifkitza, który nagle zabrał się do konserwacji drogi, i zakrzywiony spust pod jego palcem miał kształt półksiężyca, zupełnie jak białka zerkających na niego psych oczu.

Wtedy właśnie Sifkitz obudził się, płacząc i dygocząc, z nogami nadal na łóżku i wiszącą nad podłogą głową. Wyczołgał się z sypialni i popelzł przez duży pokój do sztalugi pod świetlikiem. W połowie drogi udało mu się wstać.

Na sztaludze nadal stał obraz przedstawiający pustą drogę, lepsza i bardziej kompletna wersja tego z dołu, namalowanego na ścianie wnęki. Ściągnął go, w ogóle mu się nie przyglądając, i zastąpił kartonem o rozmiarach dwie na dwie stopy. Złapał najbliższe narzędzie, które zostawiało ślad (tak się złożyło, że był to długopis UniBall Vision Elite), i zaczął rysować. Robił to przez kilka godzin. W którymś momencie (pamiętał to bardzo mgliście) zachciało mu się sikać i poczuł ciekącą po nodze gorącą strugę. Łzy płynęły mu z oczu, póki nie skończył obrazu. Wówczas, nareszcie przestawszy płakać, cofnął się o krok i przyjrzał swemu dziełu.

To był garaż Carlosa w październikowe popołudnie. Pies, Pepe, stał przed nim, strzygąc uszami. Zwabił go odgłos strzału. Na obrazie nie było śladu Carlosa, ale Sifkitz wiedział dokładnie, gdzie leży ciało, po lewej stronie, pod roboczym stołem z imadłem przymocowanym do krawędzi. Jeśli jego żona była w domu, powinna usłyszeć strzał. Jeśli gdzieś wyszła – po zakupy albo, co bardziej prawdopodobne, do pracy – mogło minąć parę godzin, zanim wróci do domu i go znajdzie.

Pod obrazem nagryzmoili słowa MEŻCZYŻNA ZE STRZELBĄ. Nie pamiętał, kiedy to zrobił, lecz to było jego pismo i właściwa nazwa dla obrazu. Nie widział na nim mężczyzny ani strzelby, ale to był właściwy tytuł.

Sifkitz usiadł na kanapie i schował głowę w dłoniach. W prawej czuł dotkliwy ból od ściskania nieporęcznego, zbyt małego narzędzia do rysowania. Próbował tłumaczyć sobie, że

miał po prostu zły sen i obraz jest wynikiem tego snu. Że nigdy nie było żadnego Carlosa ani firmy Lipidy Spółka z o.o., że wszystko to jest produktem jego wyobraźni pobudzonej nieostrożną metaforą doktora Brady'ego.

Ale sny zacierają się w pamięci, a te obrazy – telefon z pękniętą beżową obudową, mikrofalówka, miska z bananami, psie oko – były cały czas wyraźne. Coraz wyraźniejsze.

Jedno jest pewne, powiedział sobie. Skończył z cholernym rowerem stacjonarnym. To za bardzo zbliżało się do obłądu. Jeśli pójdzie dalej tą drogą wkrótce obetnie sobie ucho i wyśle je pocztą nie do swojej dziewczyny (nie miał takowej), lecz do doktora Brady'ego, który z pewnością ponosił za to odpowiedzialność.

– Koniec z rowerem – powiedział, nadal chowając głowę w ramionach. – Może zapiszę się do Fitness Boys, zrobię coś w tym rodzaju, ale skończyłem już z tym pieprzonym stacjonarnym rowerem.

Tyle że nie zapisał się do Fitness Boys i po tygodniu spędzonym bez porządných ćwiczeń (spacerował, lecz to nie było to samo – po chodnikach spacerowało za dużo ludzi i tęsknił za spokojną Herkimer Road) nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Zalegał z oddaniem najnowszego projektu, którym była ilustracja w stylu Normana Rockwella dla Fritos Corn Chips, i dostał ponaglące telefony od swojego agenta i faceta zajmującego się kontaktami z Fritos w agencji reklamowej. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

Co gorsza, miał kłopoty z zaśnięciem.

Sen nie wydawał mu się już tak wyrazisty i uznał, że to tylko spozierający z rogu pokoju obraz, przedstawiający garaż Carlosa, odświeża jego wspomnienie w podobny sposób, w jaki mgielka wody ze zraszacza może odświeżyć więdnącą roślinę. Nie mógł się zmusić, żeby go zniszczyć (był cholernie dobry), ale odwrócił go o sto osiemdziesiąt stopni, tak że stał teraz przodem do ściany.

Po południu zjechał windą do piwnicy i wsiadł na stacjonarny rower, który zmienił się w starego trzybiegowego raleigha, kiedy tylko popatrzył na „projekcję” na ścianie. Jadąc dalej na północ, przekonywał sam siebie, że wrażenie, iż ktoś za nim jedzie, jest złudzeniem, które zrodziło się we śnie i podczas gorączkowych godzin przy sztaludze. Przez krótki okres nawet w to wierzył, choć w gruncie rzeczy wiedział, że to nieprawda. Miał powody, żeby w to wierzyć. Najważniejsze, że znowu przespał całą noc i skończył pracę nad bieżącym zamówieniem.

Namalował obraz przedstawiający chłopców zajadających chipsy Fritos z torebki na idyllicznym podmiejskim boisku baseballowym, wysłał go przez posłańca, i nazajutrz dostał czek na dziesięć tysięcy dwieście dolarów wraz z liścikiem od Barry'ego Casselmana, jego agenta. „Trochę mnie wystraszyłeś, skarbie”, napisał Barry. Nie tylko ciebie, skarbie, pomyślał Sifkitz.

W następnym tygodniu często przychodziło mu do głowy, że powinien opowiedzieć komuś o swoich przygodach pod czerwonym niebem, jednak za każdym razem odsuwał od

siebie tę myśl. Mógłby opowiedzieć o tym Trudy, ale oczywiście gdyby Trudy z nim była, w ogóle by do tego wszystkiego nie doszło, Pomysł, żeby powiedzieć Barry'emu, był śmieszny; pomysł, żeby powiedzieć doktorowi Brady'emu, właściwie lekko przerażający. Doktor Brady poleciłby dobrego psychiatrę, zanim zdołałby wymówić słowa „wielofazowy inwentarz osobowości z Minnesoty”.

Wieczorem tego dnia, kiedy dostał czek z Fritos, Sifkitz dostrzegł zmianę na muralu w piwnicy. Przerwał nastawianie budzika i podszedł do „projekcji” (z puszką dietetycznej coli w jednej ręce, solidnym, małym biurkowym zegarem Brookstone w drugiej oraz rodzynekowo-owsianymi ciasteczkami schowanymi bezpiecznie w kieszeni starej koszuli). Coś tam było na górze, rzeczywiście, coś się zmieniło, ale początkowo za cholerę nie potrafił powiedzieć co. Zamknął oczy, policzył do pięciu (oczyszczając w tym czasie umysł, stara sztuczka), a potem ponownie je otworzył, tak szeroko, że wyglądał jak karykatura człowieka udającego przerażenie. Tym razem od razu dostrzegł zmianę. Zniknęła namalowana nad drzwiami do kotłowni jasnożółta plama, a także puszki po piwie. I niebo nad drzewami miało teraz ciemniejszy czerwony kolor. Słońce albo zachodziło, albo już całkiem zaszło. Na drodze do Herkimeru zapadała noc.

Musisz z tym skończyć, powiedział sobie Sifkitz, a potem pomyślał: jutro. Może jutro.

Z tą myślą wsiadł na rower i zaczął pedałowac. W lesie dokoła słyszał odgłosy układających się do snu ptaków.

## **V. Na początek wystarczy śrubokręt**

W ciągu następnych pięciu lub sześciu dni czas, który Sifkitz spędzał na swoim stacjonarnym rowerze (i dziecinnym trzybiegowcu), był wspaniały i zarazem straszny. Wspaniały, ponieważ nigdy nie czuł się lepiej; jego organizm osiągał absolutne szczyty możliwości jak na mężczyznę w tym wieku i Sifkitz o tym wiedział. Przypuszczał, że zdarzają się zawodowi sportowcy w lepszej formie od niego, ale w wieku trzydziestu ośmiu lat będą zbliżali się do końca swojej kariery i radość, jaką dawało im znakomicie funkcjonujące ciało, musiała być skażona przez tę wiedzę. Z drugiej strony Sifkitz mógł tworzyć komercyjną sztukę przez kolejne czterdzieści lat, jeśli tylko będzie miał ochotę. Do diabła, nawet przez pięćdziesiąt. Pięć pokoleń futbolistów oraz cztery pokolenia baseballistów pojawią się i odejdą, podczas gdy on będzie stał spokojnie przy swoich sztalugach, malując okładki książek, katalogi motoryzacyjne i pięć nowych znaków firmowych Pepsi-Coli.

Tyle że...

Tyle że nie było to chyba zakończenie, jakiego oczekują ludzie znający tego rodzaju opowieści, prawda? I nie było to zakończenie, jakiego sam się spodziewał.

Wrażenie, że ktoś za nim jedzie, stawało się coraz silniejsze przy każdej przejeździe, zwłaszcza kiedy odczepił od ściany ostatnią z map topograficznych stanu Nowy Jork i umieścił na jej miejscu pierwszą kanadyjską. Niebieskim długopisem (tym samym, którym stworzył MEŹCZYZNĘ ZE STRZELBĄ) namalował przedłużenie Herkimer Road na pozbawionym wcześniej dróg terenie, dodając przy tym dużo zawijasów. Pedałował teraz szybciej, często oglądając się przez ramię, i kończył przejażdżki zły i zmęczony, przez dłuższą chwilę zbyt zdyszany, żeby zsiąść z roweru i wyłączyć brzęczący budzik.

Ta historia z oglądaniem się przez ramię... to było ciekawe. Robiąc to, widział z początku fragment wnęki i drzwi prowadzące do większych pomieszczeń w zwariowanym labiryncie lokatorskich komórek. Przy drzwiach widział skrzynkę po Pomarańczach Pomona i stojący na niej biurkowy zegar Brookstone, odmierzający czas od czwartej do szóstej. A potem wszystko zasnuwała jakby niebieska mgła, a po jej ustąpieniu ostrzegał za sobą jasne jesienne drzewa po obu stronach drogi (choć właściwie już nie tak jasne w gęstniejącym mroku) i ciemniejące czerwone niebo nad głową. Później, gdy się oglądał, nie widział już w ogóle piwnicy, nawet przez krótkie mgnienie, tylko drogę prowadzącą z powrotem do Herkimeru i dalej do Poughkeepsie.

Wiedział dobrze, czego za sobą wypatruje: reflektorów samochodu.

Reflektorów należącego do Freddy'ego dodge'a, jeśli chcecie dokładnie wiedzieć. Ponieważ w sercach Berkowitza i jego ekipy rozżalenie i dezorientacja ustąpiły miejsca gniewowi. Samobójstwo Carlosa sprawiło, że coś w nich pękło. Uważali, że to jego wina, i ścigali go. A kiedy go dopadną...

To co? Co wtedy zrobią?

Zabiją mnie, myślał, pedałując ponuro w mrok. Nie było sensu się oszukiwać. Złapią mnie i zabiją. Jestem teraz na prawdziwym pustkowiu, na całej tej mapie nie ma ani jednego cholernego miasteczka, ani jednej wioski. Choćbym darł się na całe gardło, nie usłyszy mnie nikt oprócz Barry'ego Niedźwiedzia, Debby'ego Jelenia i Rudy'ego Szopa Pracza. Więc jeśli zobaczę te światła (albo usłyszę odgłos silnika, bo Freddy mógł je zgasić), muszę postarać się jak najszybciej przenieść do Soho bez względu na to, czy zadzwoni budzik. To szaleństwo, że w ogóle tu się zapuściłem.

Ale miał teraz problemy z przeniesieniem się z powrotem. Kiedy odzywał się budzik, raleigh nadal mniej więcej przez trzydzieści sekund pozostawał raleighem, droga pozostawała drogą zamiast zmienić się w plamy farby na cemencie, a sam dzwonek brzmiał cicho i dziwnie melodyjnie. Przyszło mu do głowy, że za jakiś czas usłyszy go jako brzęczenie sunącego wysoko nad głową odrzutowca, być może boeinga 767 American Airlines, który wystartował z lotniska Kennedy'ego i leci nad biegunem północnym na drugą półkulę.

Sifkitz zatrzymywał się, zaciskał mocno oczy i szeroko je otwierał. To dawało pożądaną efekt, lecz obawiał się, że wkrótce może nie wystarczyć. I co wtedy? Spędzona w lesie na

głodniaka noc, z wiszącym nad głową księżycem w pełni, który wyglądał jak przekrwione oko?

Nie, doszedł do wniosku, że prędzej go złapią. Pytanie brzmiało, czy zamierzał do tego dopuścić. To niewiarygodne, ale w pewnym stopniu chciał tego. W pewnym stopniu był na nich wściekły. Chciał stawić czoło Berkowitzowi i reszcie jego ekipy i zapytać: czego się po mnie właściwie spodziewaliście? Że będę postępował tak jak dawniej, obżerał się pączkami Krispy Kreme i nie dbał o pozatykane i przelewające się przepusty? Tego chcieliście?

Jednak z drugiej strony wiedział, że taka konfrontacja to szaleństwo. Znajdował się w szczytowej formie, zgoda, ale był jeden, a ich trzech i kto mógł zaręczyć, że żona Carlosa nie pożyczyła chłopakom strzelby swojego męża, nie powiedziała im, dobra, dorwicie tego sukinsyna i nie zapomnijcie mu przekazać, że pierwsza kulka jest ode mnie i dziewczynek.

Sifkitz miał kiedyś znajomego, który poradził sobie z kokainowym nałogiem w latach osiemdziesiątych. Pamiętał, jak facet powtarzał, że przede wszystkim trzeba się tego pozbyć z domu. Można zawsze kupić więcej, jasne, to świństwo było teraz wszędzie, na każdym rogu, ale nic nie usprawiedliwiała trzymania tego w domu, skoro można to zdobyć w każdym momencie, kiedy tylko osłabnie w tobie determinacja. Wysypał wszystko do toalety i spuścił wodę. A potem wyrzucił do śmieci zestaw. To nie był koniec jego problemów, powiedział, ale jednak początek końca.

Któregoś wieczoru Sifkitz zszedł do piwnicy ze śrubokrętem. Miał szczerzy zamiar rozmontować rower i nie zmieniał tego faktu, że tak jak zawsze nastawił zegar na szóstą. Zrobił to wyłącznie z przyzwyczajenia. Przypuszczał, że budzik (podobnie jak rodzynkowo-owsiane ciasteczka) należy do jego zestawu, wykonywanych przez niego hipnotycznych trików, maszynierii jego marzenia. I kiedy zredukuje rower do niefunkcjonalnych elementów, wyrzuci budzik razem z resztą śmieci, tak jak to zrobił jego znajomy ze swoją szklaną fišką do cracku. Będzie mu oczywiście żal – kanciasty mały brookstone nie miał nic wspólnego z idiotyczną sytuacją, w którą się wpędził – ale zrobi to. Weź się w garść, powtarzali sobie jako dzieci; przestań się mazać i weź się w garść.

Zorientował się, że rower składa się z czterech podstawowych części i że będzie potrzebował klucza francuskiego, żeby go całkowicie rozmontować. Ale to mu nie przeszkadzało; na początek wystarczy śrubokręt. Mógł go użyć, żeby odkręcić pedały. Kiedy to zrobi, weźmie klucz ze skrzynki dozorca.

Przyklęknął na kolano, wsunął końcówkę pożyczonego narzędzia w nacięcie pierwszej śruby i zawahał się. Ciekawe, czy jego znajomy wciągnął ostatnią działkę koki, zanim wyrzucił resztę do kibla, jedną jedyną działkę na pamiątkę dawnych czasów. Mógł się założyć, że to zrobił. Lekko nacpanemu łatwiej chyba zdusić w sobie żal i wszystko wywalić. A gdyby tak po raz ostatni się przejechał, a potem wciąż nabuzowany endorfinami ukląkł tutaj i odkręcił pedały? Czy nie byłby z tego powodu mniej zdołowany? Nieco mniej skłonny wyobrazić sobie Berkowitza, Freddy'ego i Whelana zajeżdżających do pierwszego z brzegu

przydrożnego baru i kupujących najpierw jeden, a potem drugi dzbanek piwa Rolling Rock, żeby wypić za swoje zdrowie i za pamięć Carlosa i pogratulować sobie, że spuścili bańki temu sukinsynowi?

– Jesteś stuknięty – mruknął, wsuwając ponownie końcówkę śrubokręta w nacięcie śruby.  
– Zrób to i skończ z tym raz na zawsze.

Wykonał jeden pełny obrót śrubokrętem (i było to łatwe; ten, kto zmontował rower na zapleczu Fitness Boys, zbytnio się do tego nie przyłożył), ale kiedy to zrobił, rodzyńkowo-owsiane ciasteczko poruszyło się w jego kieszeni i przypomniał sobie, jak wspaniale zawsze smakowało, kiedy jechał rowerem. Puszczął po prostu prawą ręką kierownicę, wyjmował ciastko z kieszeni, odgryzał kilka kęsów, a potem popijał je mrożoną herbatą. To było idealne połączenie. Wspaniale było po prostu tak pędzić, urządzać sobie po drodze mały piknik. A te sukinsyny chciały mu to odebrać.

Kilkanaście obrotów śruby, może nawet mniej, i pedał spadnie na betonową podłogę – KLUNK. Wtedy będzie mógł zająć się drugim, a później swoim życiem.

To nie jest w porządku, pomyślał.

Jedna jedyna przejażdżka, na pamiątkę dawnych czasów.

I podnosząc nogę, żeby umieścić tyłek (o wiele twardszy i jędrniejszy niż w czasach, gdy jego poziom cholesterolu wydrukowany był na czerwono) na siodełku, pomyślał: W ten właśnie sposób zawsze kończą się takie opowieści. Że biedny palant mówi: „To ostatni raz, już nigdy więcej tego nie zrobię”.

Święta prawda, pomyślał, ale założę się, że w prawdziwym życiu ludziom uchodzi to na sucho. Założę się, że stale uchodzi im na sucho.

Jakiś głos mruczał, że prawdziwe życie nigdy takie nie było, że to, co robił (i czego doświadczał), nie przypomina pod żadnym względem prawdziwego życia, tak jak je pojmował. Odsunął od siebie jednak ten głos i przestał go słuchać.

To był piękny wieczór na przejażdżkę po lesie.

## **VI. Zakończenie niezupełnie takie, jakiego się wszyscy spodziewają**

Mimo to dostał od losu jeszcze jedną szansę.

To było tej nocy, kiedy po raz pierwszy usłyszał za sobą wyraźny warkot silnika. Tuż przed tym, jak zadzwonił budzik, raleigh, którym jechał, zaczął nagle rzucać wydłużony cień na drogę – rodzaj cienia, który mogą tylko tworzyć reflektory samochodu.

A potem zaterkotał budzik, ale to nie był jazgot, tylko dobiegający gdzieś z oddali, niemal melodyjny pomruk.

Zbliżała się ciężarówka. Nie musiał się oglądać, żeby ją zobaczyć (właściwie człowiek nigdy nie chce się oglądać, żeby zobaczyć depczącego mu po piętach straszliwego wroga,



doszedł do wniosku później tej nocy, gdy leżał w swoim łóżku i nie mógł się pozbyć przyprowadzającego o zimne i gorące dreszcze przekonania, że tylko sekundy lub całe dzieliły go od katastrofy). Widział cień, który robił się coraz dłuższy i ciemniejszy.

Proszę się pospieszyć, panowie, zamykamy, pomyślał i zacisnął mocno powieki. Nadal słyszał budzik, którego terkot nie różnił się jednak od cichego mruczenia, z całą pewnością nie był od niego głośniejszy, znacznie głośniejszy natomiast był warkot silnika, tego pod maską ciężarówki Freddy'ego, ciężarówka siedziała mu niemal na kole i przypuśćmy, że nie zamierzali tracić nawet minuty na rozmowę. Przypuśćmy, że ten z nich, który siedział za kierownicą, po prostu wciśnie gaz do dechy i go przejedzie. Zrobi z niego krwawą miazgę.

Sifkitz nie miał zamiaru otwierać oczu, nie tracił czasu, żeby przekonać się, czy jest nadal na pustej drodze, czy we wnęce w piwnicy. Zamiast tego zacisnął jeszcze mocniej powieki, skupił całą uwagę na terkocie budzika i zmienił uprzejmy głos barmana w niecierpliwy ryk:

**PROSZĘ SIĘ POSPIESZYĆ, PANOWIE, ZAMYKAMY!**

I nagle, dzięki Bogu, to warkot silnika zaczął cichnąć, a terkot budzika narastać, upodabiając się do znajomego ostrego jazgotu. I tym razem, kiedy otworzył oczy, zobaczył obraz drogi, a nie samą drogę.

Lecz teraz niebo przybrało czarną barwę, jego organiczna czerwień skryła się w mroku nocy. Droga była jaskrawo oświetlona, a cień roweru – raleigha – czarny jak smoła na usłanej liśćmi twardej ziemi. Mógł tłumaczyć sobie, że zsiadł ze stacjonarnego roweru i przemałował obraz, pozostając w stanie transu, ale wiedział, że to nieprawda, nie tylko dlatego, że nie miał rąk pochłapanych farbą.

To moja ostatnia szansa, pomyślał. Ostatnia szansa, żeby uniknąć zakończenia, którego wszyscy spodziewają się w takich opowieściach.

Ale był po prostu zbyt zmęczony, zbyt roztrzęsiony, żeby zająć się teraz stacjonarnym rowerem. Zajmie się nim jutro. To znaczy jutro z samego rana. W tym momencie chciał tylko uciec z tego okropnego miejsca, gdzie rzeczywistość okazała się taka krucha. Pamiętając o tym, Sifkitz podszedł do stojącej przy drzwiach skrzynki po pomarańczach Pomona (na chwiejnych nogach i cały pokryty cienką warstwą potu – tego cuchnącego, który bierze się ze strachu, nie ze zmęczenia) i wyłączył budzik. A potem wrócił na górę i położył się do łóżka. Minęło wiele czasu, nim zmorzył go sen.

Nazajutrz rano zszedł do piwnicy po schodach, gardząc windą. Stąpił pewnym krokiem, z podniesioną głową i zaciśniętymi ustami, jak Człowiek, Który Ma Do Wykonania Misję. Ignorując stojący na skrzyni budzik, podszedł od razu do stacjonarnego roweru, przykleknął na kolano i wsunął ponownie końcówkę śrubokręta w nacięcie śruby, jednej z czterech, które mocowały lewy pedał.

...i zanim się zorientował, pędził znów z zawrotną szybkością drogą, oświetloną z tyłu światłami ciężarówki, aż poczuł się w końcu niczym człowiek na ciemnej scenie rozjaśnionej tylko pojedynczym reflektorem. Silnik ciężarówki pracował głośno (coś było nie w porządku

z tłumikiem albo rurą wydechową) i nieregularnie. Wątpił, by stary Freddy zawracał sobie głowę przeglądem technicznym. Raczej nie, skoro trzeba było zapłacić raty za dom, kupić coś do jedzenia, dzieciaki potrzebowały aparatów na zęby i nie dostał od dawna żadnej tygodniówki.

Miałem swoją szansę, pomyślał. Miałem szansę wczoraj wieczorem i nie wykorzystałem jej.

Dlaczego to zrobiłem? – pomyślał. Dlaczego, skoro dobrze wiedziałem, czym to się skończy?

Bo w jakiś sposób mnie zmusili. Zmusili mnie.

A teraz przejadą mnie i zginę w tym lesie.

Ale ciężarówka go nie przejechała. Zamiast tego wyprzedziła go, o mało nie wpadając lewymi kołami do zasypanego liśćmi rowu, a potem skręciła i zajęła mu drogę.

Spanikowany Sifkitz zapomniał o najważniejszej rzeczy, którą powtarzał mu ojciec, kiedy przyniósł do domu raleigha: kiedy chcesz się zatrzymać, Richie, wciśnij do tyłu pedał. Zatrzymaj tylne koło roweru i jednocześnie zaciągnij ręczny hamulec, który blokuje przednie. Inaczej...

Inaczej stanie się to, co się teraz stało. Przerażony, zacisnął obie dłonie w pięści, zaciągając ręczny hamulec po lewej stronie kierownicy i blokując przednie koło. Rower wysadził go z siodła i Sifkitz poleciał na ciężarówkę z namalowanym na drzwiczkach kierowcy napisem LIPIDY Spółka z o.o. Wyciągnął przed siebie ręce i uderzył nimi w skrzynię ciężarówki tak mocno, że stracił w nich czucie. A potem runął na ziemię, zastanawiając się, ile połamał kości.

Otworzyły się nad nim drzwiczki i usłyszał chrzęst deptanych przez robocze buciorzy liści. Nie podniósł wzroku. Czekał, aż go złapią i podniosą z ziemi, lecz nikt tego nie zrobił. Liście pachniały starym suchym cynamonem. Kroki ominęły go z obu stron i chrzęst nagle ucichł.

Sifkitz usiadł i przyjrzał się swoim dłoniom. Wewnętrzna część prawej krwawiła, a nadgarstek lewej zaczynał już puchnąć, ale chyba nie był złamany. Rozejrzał się i w czerwonym blasku tylnych świateł dodge'a zobaczył swojego raleigha. Był naprawdę piękny, kiedy tato przyniósł go ze sklepu z rowerami, lecz teraz to się zmieniło. Przednie koło zostało mocno scentrowane, a tylna opona spadła częściowo z obręczy. Po raz pierwszy Sifkitz poczuł coś innego niż strach. Tym nowym uczuciem był gniew.

Drżąc, wstał. Za rowerem, tam skąd przyjechał, była dziura w rzeczywistości. Wydawała się dziwnie organiczna niczym końcówka jakiegoś przewodu w jego ciele. Jej krawędzie falowały, wydymały się i wyginały. Trzej mężczyźni stali za nią wokół stacjonarnego roweru we wnęce w piwnicy, stali w pozach, które oglądał u wszystkich ekip roboczych, jakie widział. To byli faceci, którzy mieli robotę do wykonania. Zastanawiali się, jak się do tego zabrać.

I nagle domyślił się, dlaczego nazwał ich tak, jak ich nazwał. To było naprawdę idiotycznie proste. Ten w czapce z napisem LIPIDY, Berkowitz, był mordercą Davidem Berkowitzem, tak zwanym Synem Sama i głównym negatywnym bohaterem „New York Post”, kiedy Sifkitz zamieszkał na Manhattanie. Freddy był Freddy Albemarle, chłopakiem, którego poznał w liceum – grali razem w zespole muzycznym i zaprzyjaźnili się z raczej prostego powodu – obaj nienawidzili szkoły. A Whelan? Artysta, którego poznał na jakiejś konferencji. Michael Whelan? Mitchell Whelan? Sifkitz nie mógł sobie tego dokładnie przypomnieć, ale wiedział, że facet specjalizuje się w ilustracjach fantasy, smokach i tego rodzaju rzeczach. Spędzili razem wieczór w hotelowym barze, opowiadając sobie historyjki o komiczno-makabrycznym świecie sztuki plakatu filmowego.

No i był jeszcze Carlos, który popełnił samobójstwo w swoim garażu. On z kolei był skrojony z Carlosa Delgado, znanego również jako Big Cat. Sifkitz od lat interesował się drużyną Blue Jays z Toronto, ponieważ nie chciał po prostu naśladować wszystkich nowojorskich fanów baseballu i kibicować Jankesom. Cat był jednym z nielicznych gwiazdorów w drużynie z Toronto.

– Ja was wszystkich stworzyłem – wychrypiał z trudem. – Stworzyłem was ze wspomnień i części zapasowych.

Oczywiście, że to zrobił. I to nie po raz pierwszy. Tak samo stworzył chłopców na idyllicznym boisku baseballowym w utrzymanej w stylu Normana Rockwella reklamie dla Fritos – agencja dostarczyła na jego żądanie fotografie czterech chłopców w odpowiednim wieku i Sifkitz po prostu ich namalował. Ich matki podpisały konieczne dokumenty; wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Jeżeli nawet go usłyszeli, Berkowitz, Freddy i Whelan nie dali tego po sobie poznać. Zamienili między sobą kilka słów, które Sifkitz usłyszał, ale których nie zrozumiał; miał wrażenie, że dochodzą do niego z bardzo daleka. Kimkolwiek byli, wysłali dokądś Whelana, a Berkowitz ukląkł przy stacjonarnym rowerze, tak jak to wcześniej zrobił sam Sifkitz. Wziął do ręki śrubokręt i po krótkiej chwili lewy pedał upadł na beton – klank. Sifkitz, nadal stojąc na pustej drodze, patrzył przez organiczny otwór, jak Berkowitz podaje śrubokręt Freddy’emu Albemarle – który grał z Richardem Sifkitzem na kiepskiej trąbce w równie kiepskim zespole szkolnym. Wychodziło im o niebo lepiej, kiedy brali crack. Gdzieś w kanadyjskim lesie zahukała sowa i jej głos wydał się niewymownie samotny Freddy zaczął odkręcać drugi pedał. Tymczasem wrócił Whelan z kluczem francuskim w rękę. Widząc go, Sifkitz poczuł ukłucie bólu.

Jeśli chcesz, żeby coś zostało porządnie zrobione, wezwij profesjonalistów, przeszło mu przez myśl, kiedy ich obserwował. Berkowitz i jego chłopcy z pewnością nie marnowali czasu. W niecałe cztery minuty ze stacjonarnego roweru zostały tylko dwa koła i trzy osobne fragmenty ramy leżące na betonie w tak idealnym porządku, że wyglądały jak jeden z tych diagramów, które nazywają „schematami pogładowymi”.

Berkowitz wrzucił śruby i sworznie do przedniej kieszeni swoich brezentowych spodni, która wyglądała teraz, jakby trzymał w niej garść drobniaków. Robiąc to, spojrzał znacząco na Sifkitza, którego ponownie ogarnął gniew. Kiedy robotnicy przeszli z powrotem przez dziwny, podobny do przewodu otwór (schylając przy tym głowy, jak robią to ludzie przechodzący przez niskie drzwi), Sifkitz ponownie zaciskał pięści, choć przegub lewej ręki bolał go przy tym jak jasna cholera.

– Wiesz co? – zwrócił się do Berkowitza. – Nie sądzę, żebyście mogli mi zrobić krzywdę. Nie sądzę, żebyście mogli mi zrobić krzywdę, bo co się wtedy z wami stanie? Jesteście co najwyżej... podwykonawcami!

Berkowitz posłał mu obojętne spojrzenie spod nasuniętego na oczy daszka czapki z napisem LIPIDY.

– Wymyśliłem was! – powiedział Sifkitz i policzył ich, wskazując każdego palcem prawej ręki, tak jakby celował do nich z pistoletu. – Ty jesteś Synem Sama! Ty jesteś tylko dorosłą wersją chłopaka, z którym grałem na trąbce w liceum Sióstr Miłosierdzia! Nie zagrałbyś nuty es, choćby zależało od tego twoje życie. A ty jesteś malarzem specjalizującym się w smokach i zaczarowanych księżniczkach!

Na pozostałych pracownikach firmy Lipidy Spółka z o.o. również nie zrobiło to większego wrażenia.

– W takim razie kim sam jesteś? – zapytał Berkowitz. – Myślałeś o tym kiedyś? Chcesz mi powiedzieć, że gdzieś tam nie może być większego świata? Nie można wykluczyć, że jesteś w najlepszym razie przypadkową myślą, która przyszła do głowy jakiemuś bezrobotnemu dyplomowanemu księgowemu, kiedy siedział na kiblu, czytając gazetę i waląc poranną kupę.

Sifkitz otworzył usta, żeby powiedzieć, że to śmieszne, ale coś w oczach Berkowitza sprawiło, że je z powrotem zamknął. Śmiało, mówiły te oczy. Zadaj mi pytanie. Powiem ci więcej, niż kiedykolwiek chciałeś wiedzieć.

– Kim jesteście, żeby mówić mi, że nie mogę dbać o formę? – zapytał zamiast tego Sifkitz. – Chcecie, żebym umarł w wieku pięćdziesięciu lat? Jezu Chryste, co z wami jest nie tak?

– Nie jestem filozofem, Mac – powiedział Freddy. – Wiem tylko, że moja ciężarówka wymaga remontu, na który mnie nie stać.

– A ja mam jedno dziecko, które potrzebuje butów ortopedycznych, i drugie, które muszę zapisać do logopedy – dodał Whelan.

– Faceci, którzy kopali tunel w Bostonie, mieli takie powiedzonko – odezwał się Berkowitz. – Nie zabijaj roboty, daj jej samej umrzeć. To wszystko, o co prosimy, Sifkitz. Pozwól nam się odkuć. Pozwól nam zarabiać na życie.

– To jakiś obłąd – mruknął Sifkitz. – Totalny...

– Gównu mnie obchodzi, jak się z tym czujesz, skurwielu! – wrzasnął Freddy i Sifkitz zdał sobie sprawę, że facet zaraz się rozplacze. Ta konfrontacja była równie stresująca dla nich jak dla niego. Uświadomienie sobie tego było w jakiś sposób najgorsze. – Gównu mnie obchodzisz, jesteś dla mnie zerem, nie pracujesz, tylko się obijasz i robisz te swoje bohomazy, ale nie odbieraj chleba od ust naszym dzieciom, słyszysz? Nie waż się tego robić!

Freddy ruszył do przodu, zacisnął dłonie w pięści i zaczął nimi wymachiwać przed jego twarzą w absurdalnej bokserskiej pozie Johna L. Sullivana. Berkowitz położył mu rękę na ramieniu i odciągnął od Sifkitza.

– Nie bądź dupkiem, człowieku – powiedział Whelan. – Żyj i pozwól żyć innym, dobra?

– Daj nam umoczyć dziób – powtórzył Berkowitz i Sifkitz rozpoznał oczywiście ten zwrot: czytał *Ojca chrzestnego* i oglądał wszystkie trzy części filmu. Czy któryś z tych facetów potrafiłby użyć zwrotu lub frazy, które nie należały do jego języka? Wątpił w to. – Pozwól nam zachować godność, człowieku. Myślisz, że będziemy malować obrazy tak jak ty? – Roześmiał się. – Jasne, czemu nie. Gdybym namalował kota, musiałbym napisać pod spodem KOT, żeby ludzie wiedzieli, co to jest.

– Zabieś Carlosa – powiedział Whelan i Sifkitz pomyślał, że gdyby usłyszał w jego głosie oskarżycielski ton, mógłby ponownie wpaść w gniew. Słyszał jednak wyłącznie smutek. – Trzymaj się, człowieku, zobaczysz, sytuacja się poprawi, mówiliśmy mu, ale nie był silny. Nigdy nie potrafił, no wiesz, wybiegać myślą w przyszłość. Stracił całą nadzieję. – Whelan przerwał i spojrzał na ciemne niebo. Gdzieś niedaleko zahuczał ostro silnik dodge'a. – Od początku klepał biedę. Niektórzy ludzie tak mają, wiesz.

Sifkitz odwrócił się do Berkowitza.

– Postawmy sprawę jasno. Chcecie ode mnie...

– Nie zabijaj po prostu roboty – odparł Berkowitz. – To wszystko, czego chcemy. Niech umrze sama.

Sifkitz zdał sobie nagle sprawę, że może zrobić to, o co prosił go ten facet. I że nie musi to być wcale trudne. Pewni ludzie, jeśli zjedzą jeden pączek Krispy Kreme, nie spoczną, dopóki nie skończą całego opakowania. Gdyby był tego typu człowiekiem, mieliby poważny problem... ale przecież taki nie był.

– W porządku. Możemy spróbować – odparł i przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Myślisz, że mógłbym dostać firmową czapkę? – zapytał, wskazując tę, którą miał na głowie Berkowitz.

Ten uśmiechnął się. Uśmiech był krótki, lecz bardziej szczerzy od śmiechu, którym wybuchł, mówiąc, że gdyby namalował kota, musiałby go podpisać.

– To się da załatwić – powiedział.

Sifkitz spodziewał się, że w tym momencie Berkowitz poda mu rękę, ale tamten tego nie zrobił. Zmierzył go po prostu po raz ostatni wzrokiem spod daszka czapki, a potem ruszył w stronę ciężarówki. Pozostali dwaj poszli za nim.

– Czy po jakimś czasie uznam, że nic z tego się nie wydarzyło? – zapytał Sifkitz. – Że sam rozmontowałem stacjonarny rower, bo po prostu... nie wiem... po prostu miałem go dosyć.

Berkowitz zatrzymał się z ręką na klamce i obejrzał.

– Po jakim czasie byś chciał? – zapytał.

– Nie wiem – odparł Sifkitz. – Hej, czy tu nie jest pięknie?

– Zawsze było – rzekł Berkowitz. – Zawsze o to dbaliśmy.

W jego głosie zabrzmiał obronny ton, który Sifkitz wolał zignorować. Pomyślał, że nawet produkt czyjejs wyobraźni może mieć swoją dumę.

Przez kilka chwil stali tam na drodze, której Sifkitz nadał ostatnio w myślach nazwę Wielkiej Transkanadyjskiej Zagubionej Autostrady, nieco pompatyczną jak na bezimienną polną drogę wiodącą przez las, lecz mimo to całkiem ładną. Żaden z nich się nie odzywał. Gdzieś w pobliżu znowu zahukała sowa.

– W domu czy na dworze, nam wszystko jedno – dodał Berkowitz. A potem otworzył drzwiczki i siadł za kierownicą

– Dbaj o siebie – powiedział Freddy.

– Ale bez przesady – dodał Whelan.

Sifkitz stał w miejscu, kiedy ciężarówka zawróciła zgrabnie na trzy i ruszyła z powrotem tam, skąd przyjechała. Podobny do przewodu otwór zniknął, jednak Sifkitz specjalnie się tym nie przejął. Nie sądził, by miał problem z powrotem do piwnicy, kiedy nadejdzie pora. Berkowitz nie próbował wcale ominąć raleigha, ale przejechał po nim, kończąc dzieło, które już było skończone. Rozległ się głośny zgrzyt i brzęk metalu, kiedy połamały się szprychy w kołach. Tylne światła przygasły, a potem zniknęły za zakrętem. Sifkitz słyszał jeszcze przez jakiś czas warkot silnika, lecz potem i on ucichł.

Usiadł na drodze, a później położył się na plecach, przyciskając do piersi pulsujący lewy nadgarstek. Na niebie nie było gwiazd. Czuł się bardzo zmęczony. Lepiej nie zasypiaj, mówił sobie, z lasu może coś wyjść – na przykład niedźwiedź – i cię zjeść. A potem i tak zasnął.

Kiedy się obudził, leżał na cementowej podłodze w piwnicy. Wszędzie dookoła leżały rozmontowane części stacjonarnego roweru, ale nigdzie nie było ani jednej śruby czy sworznia. Na stojącym na skrzynce budziku była 20.43. Któryś z nich najwyraźniej wyłączył alarm.

Sam rozłożyłem rower na części, pomyślał. Taka jest moja wersja i jeśli będę się jej trzymał, wkrótce w nią uwierzę.

Wszedł schodami na parter i uznał, że jest głodny. Przyszło mu na myśl, żeby pójść do cukierni Dugana i kupić sobie kawałek szarlotki. Szarlotka nie jest w końcu najbardziej niezdrowym deserem pod słońcem, prawda? A kiedy tam dotarł, zdecydował, że zamówi ją ze wszystkimi dodatkami.

– Co tam, do diabła – powiedział do kelnerki. – Żyje się tylko raz, prawda?

– No cóż – odparła – Hindusi są innego zdania, ale jak Pan sobie życzy.

Dwa miesiące później Sifkitz dostał paczkę.

Czekała na niego w holu wejściowym jego budynku, kiedy wrócił z obiadu ze swoim agentem (zamówił rybę i jarzyny gotowane na parze, ale na deser wziął crème brûlée). Nie było na niej żadnych stempli, znaków Federal Express, Airborne Express czy UPS i żadnych znaczków. Wyłącznie jego nazwisko, które ktoś zapisał koślawymi drukowanymi literami: RICHARD SIFKITZ. Facet musi chyba pisać KOT pod obrazkiem, na którym go narysował, pomyślał i nie miał pojęcia, dlaczego coś takiego przyszło mu do głowy. Zabrał paczkę na górę i wziął z roboczego stołu nóż X-Acto, żeby ją otworzyć. W środku pod grubą warstwą bibułki była fabrycznie nowa czapka z daszkiem i plastikowym, regulowanym paskiem z tyłu. Na metce widniał napis Made in Bangladesh. Nad daszkiem wydrukowane było ciemnoczerwonym kolorem, który kojarzył mu się z tętniczą krwią, jedno słowo: LIPIDY.

– Co to takiego? – zapytał swoją pustą pracownię, obracając czapkę w dłoniach. – Jakiś cholerny rekwizyt?

Przymierzył czapkę. Z początku była za mała, ale kiedy zmienił ustawienia paska, pasowała idealnie. Przyjrzał jej się w lustrze w sypialni i nadal niezbyt mu się podobała. Zdjął ją wygiął w dół daszek i ponownie przymierzył. Teraz było prawie dobrze. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby zdjął wyjściowe ubranie i włożył pochłapane farbą džinsy. Wyglądałby w niej jak prawdziwy człowiek pracy... którym wbrew temu, co niektórzy myśleli, naprawdę był.

Wkładanie czapki z napisem LIPIDY weszło mu w końcu w krew, podobnie jak branie dokładek w te dni tygodnia, które zaczynały się na P, i zamawianie u Dugana szarlotki ze wszystkimi dodatkami w czwartkowe wieczory. Bez względu na to, co głosiła hinduska filozofia, Richard Sifkitz uważał, że człowiek żyje tylko raz. A skoro tak, być może powinien spróbować po trosze wszystkiego.

## Rzeczy, które po sobie zostawili

Rzeczy, o których chcę wam opowiedzieć – te, które po sobie zostawili – pojawiły się w moim mieszkaniu w sierpniu 2002 roku. Jestem tego pewien, bo znalazłem większość niedługo po tym, jak pomogłem Pauli Robeson z jej klimatyzatorem. Pamięć zawsze potrzebuje jakiejś zakładki, a ja mam właśnie taką. Paula była atrakcyjną (superatrakcyjną!) ilustratorką książek dla dzieci, z mężem w branży eksportowo-importowej. Mężczyzna dobrze zapamiętuje chwile, kiedy może pomóc atrakcyjnej damie w opresji (nawet takiej, która zapewnia go stale, że „traktuje swoje małżeństwo bardzo poważnie”); takie chwile nie zdarzają się zbyt często. W dzisiejszych czasach udawanie błędnego rycerza zwykle pogarsza tylko sytuację.

Kiedy wychodziłem na popołudniowy spacer, stała w holu wejściowym ze sfrustrowaną miną. Powiedziałem: „Dzień dobry, witam panią” tonem, jakim zwracamy się do ludzi mieszkających w tym samym budynku, a ona zapytała mnie poirytowanym, niemal płaczliwym głosem, dlaczego dozorca musi być na wakacjach akurat teraz. Odparłem, że nawet kowbojki mogą marzyć i nawet dozorca biorą czasem urlop; co więcej sierpień jest wyjątkowo dobrym miesiącem, żeby się udać na wakacje. Sierpień w Nowym Jorku (oraz w Paryżu, *mon ami*) to czas, kiedy bardzo trudno zastać w mieście psychoanalityków, modnych artystów oraz dozorców budynków. Nie uśmiechnęła się. Nie wiem nawet, czy zrozumiała aluzję do Toma Robbinsa\* (ezopowy język jest przekleństwem ludzi czytających książki). Odparła, że może rzeczywiście sierpień to dobry miesiąc, żeby wziąć sobie wolne i pojechać na Cape albo Fire Island, ale w jej cholernym mieszkaniu można się upiec żywcem, a cholerny klimatyzator tylko czka. Zapytałem, czy chce, żebym go zobaczył, i pamiętam spojrzenie, jakie mi rzuciła – te chłodne, oceniające mnie szare oczy. Pamiętam, jak pomyślałem, że takie oczy chyba dużo widziały. I pamiętam, że uśmiechnąłem się, kiedy zapytała: „Czy jest pan bezpieczny?”. Przypomniało mi to ten film, nie *Lolite* (myśli o *Lolice*, czasami o drugiej w nocy, miały pojawić się później), ale ten, w którym Laurence Olivier wykonuje ad hoc kilka zabiegów stomatologicznych na zębach Dustina Hoffmana, pytając go co chwila: „Czy to bezpieczne?”.

---

\* Autor powieści *I kowbojki mogą marzyć*



– Jestem bezpieczny – odparłem. – Nie zaatakowałem kobiety od przeszło roku. Kiedyś atakowałem dwie albo trzy na tydzień, ale pomaga mi terapia grupowa.

Była to frywolna odzywka, lecz byłem w dość frywolnym nastroju. Letnim nastroju. Posłała mi kolejne spojrzenie, a potem się uśmiechnęła. Podała mi rękę.

– Paula Robeson – powiedziała. Ściśle rzecz biorąc, podała mi lewą rękę, co nie było normalne, ale na niej właśnie miała prostą złotą obrączkę. Zrobiła to chyba celowo, nie sądzicie? Jednak dopiero później poinformowała mnie o mężu z branży eksportowo-importowej. W dniu, kiedy to ja poprosiłem ją o pomoc.

W windzie powiedziałem jej, żeby nie spodziewała się zbyt wiele. To znaczy, jeśli potrzebny był jej ktoś, kto potrafi podać prawdziwe przyczyny nowojorskich zamieszek po ogłoszeniu poboru w 1863 roku, względnie sypnąć kilkoma zabawnymi anegdotami związanymi z odkryciem szczepionki na ospę wietrzną, a nawet odkopać cytaty na temat socjologicznych konsekwencji stosowania telewizyjnego pilota (moim skromnym zdaniem największego wynalazku w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat), byłem jak najbardziej odpowiednią osobą.

– Jest pan researcherem, panie Staley? – zapytała, kiedy jechaliśmy wolną rozklekotaną windą.

Odparłem, że tak jest w istocie, ale nie dodałem, że to dla mnie nowa branża. Nie poprosiłem również, żeby mówiła mi Scott – mogłoby ją to ponownie wystraszyć. I oczywiście nie powiedziałem, że staram się zapomnieć wszystko, co wiedziałem niegdyś o wiejskich ubezpieczeniach. Że w gruncie rzeczy staram się zapomnieć wiele rzeczy, w tym także mniej więcej dwa tuziny twarzy.

Może i staram się zapomnieć, ale nadal całkiem sporo pamiętam. Chyba wszyscy pamiętamy, jeśli tylko wyteżymy umysł (a czasami, i to jest przykre, kiedy tego nie robimy). Pamiętam nawet coś, co powiedział jeden z tych południowoamerykańskich pisarzy – wiecie, tych, których uważa się za przedstawicieli realizmu magicznego. Nie pamiętam jego nazwiska, jest nieistotne, utkwiał mi tylko w głowie sam cytat. „Jako małe dzieci odnosimy nasze pierwsze zwycięstwo, chwytając jakiś kawałek świata, na ogół palce matki. Później odkrywamy, że to świat i rzeczy, które go wypełniają, chwytają nas i że tak było zawsze”. Borges? Tak, to mógł być Borges. Albo Marquez. Tego nie pamiętam. Wiem tylko, że udało mi się uruchomić klimatyzator i chłodne powietrze płynące z konwektora rozświetliło całą jej twarz. Wiem również, że to prawda; w pewnym momencie zmienia się nasza percepcja i zdajemy sobie sprawę, że rzeczy, które naszym zdaniem trzymaliśmy, w rzeczywistości nas trzymają. Biorą nas być może w niewolę – na pewno tak uważał Thoreau – ale poza tym trzymają w miejscu. Coś za coś. I bez względu na to, co mógł uważać Thoreau, wierzę, że ta wymiana jest na ogół uczciwa. W każdym razie wtedy w to wierzyłem; teraz nie jestem już taki pewien. I wiem, że to zdarzyło się w sierpniu 2002 roku, niecały rok po tym, jak w dół runął kawałek nieba i wszystko się dla nas zmieniło.

\* \* \*

Mniej więcej tydzień po tym, jak sir Scott Staley przywdział zbroję dobrego samarytanina i skrzyżował kopie z siejącym grozę klimatyzatorem, wybrałem się po południu do sklepu papierniczego, żeby kupić pudełko dyskietek i ryzę papieru. Byłem winien facetowi czterdzieści stron na temat historii fotografii polaroidowej (która jest ciekawsza, niż może się wam wydawać). Kiedy wróciłem do siebie, na małym stoliku w holu, gdzie trzymam rachunki, które trzeba zapłacić, różne kwity, ponaglenia i podobne rzeczy, leżały okulary przeciwsłoneczne z czerwonymi oprawkami i bardzo charakterystycznymi soczewkami. Od razu je rozpoznałem i ugięły się pode mną kolana. Nie upadłem, ale oparłem się o framugę drzwi, próbując złapać oddech i gapiąc się na te okulary. Gdybym nie miał się o co oprzeć, przypuszczam, że omdlałbym niczym panienka w wiktoriańskiej powieści – jednej z tych, w których z wybiciem północy pojawia się lubieżny wampir.

Ogarnęły mnie dwa związane ze sobą lecz wyraźnie się różniące uczucia. Pierwsze można porównać do przerażającego wstydu odczuwanego przez człowieka wiedzącego, że zostanie przyłapany na uczynku, którego nigdy nie zdoła wyjaśnić. W tym kontekście przypomina mi się historia, która przytrafiła mi się – bądź też niemal przytrafiła – kiedy miałem szesnaście lat.

Moja matka i siostra pojechały na zakupy do Portlandu i byłem przekonany, że do wieczora mam dom tylko dla siebie. Uwalilem się nagi na łóżku z majtkami mojej siostry związanymi na ptaku. Obok leżały fotografie wycięte przeze mnie z egzemplarzy „Penthouse’a” i „Gallery”, które znalazłem w garażu, gdzie zamelinował je najprawdopodobniej poprzedni właściciel. Nagle usłyszałem chrzęst opon na podjeździe. Odgłos silnika nie pozostawiał żadnych wątpliwości: to były moja matka i siostra. Peg dostała jakiejś grypy żołądkowej i zaczęła rzygać przez okno. Dojechały tylko do Poland Springs i zawróciły.

Spojrzałem na porozrzucane na łóżku fotografie, moje walające się na podłodze ubranie i różowy sztuczny jedwab w lewej ręce. Pamiętam, jak nagle opuściły mnie wszystkie siły i ich miejsce zajęła dziwna ospałość. Matka wołała mnie: „Scott, Scott, zejdź na dół i pomóż mi z twoją siostrą jest chora!”, i pamiętam, jak pomyślałem: Jaki to ma sens? Wpadłem. Powinienem przyjąć do wiadomości, że wpadłem i do końca życia pierwszą myślą, jaka przyjdzie im do głowy na mój widok, będzie: Scott, mistrz trzepania konia.

Jednak w takich chwilach częściej bierze górę instynkt samozachowawczy. I tak to wyglądało w moim przypadku. Zejdę na dół, zdecydowałem, ale nie zrobię tego, nie podejmując przynajmniej próby ocalenia swojej godności. Wrzuciłem zdjęcia i majtki pod łóżko i wskoczyłem w swoje ciuchy, zapinając się zdrętwiałymi, lecz szybkimi palcami, i

przez cały czas myśląc o tym starym zwariowanym teleturnieju, który kiedyś oglądałem i który miał tytuł *Oszukać czas*.

Pamiętam, że kiedy zbiegłem na dół, matka dotknęła mojego zaczerwienionego policzka i spojrzała na mnie z troską.

– Może ty też się rozchorowałeś – powiedziała.

– Może – odparłem z przewrotną satysfakcją. Dopiero po półgodzinie zorientowałem się, że mam rozpięty rozporek. Na szczęście nie zauważyły tego ani Peg, ani moja matka, chociaż przy innej okazji jedna z nich albo obie zapytałyby zaraz, czy mam licencję na sprzedaż hot dogów (coś takiego uchodziło w moim domu za dowcip, kiedy dorastałem). Tamtego dnia jedna z nich była zbyt chora, a druga zbyt zaniepokojona, żeby sypać dowcipami.

Na moje szczęście.

\* \* \*

To, co nastąpiło po pierwszej fali emocji, która ogarnęła mnie tego sierpniowego dnia w moim mieszkaniu, było o wiele prostsze: pomyślałem, że odchodzę od zmysłów. Ponieważ tych okularów nie powinno tam być. Absolutnie. W żadnym wypadku.

A potem podniosłem wzrok i zobaczyłem coś jeszcze, czego z pewnością nie było w moim mieszkaniu, kiedy pół godziny wcześniej wyszedłem do papierniczego (zamykając za sobą drzwi, jak to zawsze robiłem). O ścianę między aneksem kuchennym i salonem opierał się kij baseballowy. Firmy Hillerich & Bradsby, co poświadczała nalepka. I chociaż nie widziałem jego drugiej strony, wiedziałem dobrze, jaki widniał tam napis: LIKWIDATOR SZKÓD, wypalony rozżarzonym żelazem i pomalowany na niebiesko.

Ogarnęły mnie kolejne emocje: trzecia fala. Ta należała do gatunku surrealistycznej konsternacji. Nie wierzę w duchy, ale w tamtym momencie wyglądałem z pewnością, jakbym któregoś zobaczył.

I tak samo się czułem. Dokładnie. Ponieważ okulary przeciwsłoneczne nie miały prawa istnieć. Odeszły już dawno temu, jak śpiewają Dixie Chicks. Podobnie jak LIKWIDATOR SZKÓD Cleve'a Farrella. („Bejzbol być dla mnie barrrdzo barrrdzo dobry”, mówił czasami Cleve, siedząc za biurkiem i kręcąc nad głową tym kijem. „Ubezpieczenia być barrrdzo barrrdzo złe”).

Zrobiłem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy, to znaczy złapałem okulary Sonji D'Amico i pobiegłem z nimi do windy, trzymając je przed sobą tak, jak można trzymać coś paskudnego, co odkryło się w mieszkaniu po tygodniowej nieobecności – nadgniłe jedzenie albo zwłoki otrutej myszy. Robiąc to, przypomniałem sobie nagle rozmowę, jaką odbyłem na temat Sonji z niejakim Warrenem Andersonem. Musiała wyglądać, jakby myślała, że wróci tam na górę i poprosi kogoś o coca-cole, pomyślałem, kiedy powiedział mi, co widział. To

było przy drinkach w pubie Blarneya Stone'a na Trzeciej Alei, mniej więcej sześć tygodni po tym, jak runęło w dół niebo. Kiedy piliśmy obaj za to, że żyjemy.

Takie rzeczy nie chcą się od człowieka odzepić bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie. Jak muzyczna fraza albo nonsensowny refren piosenki, którego nie można po prostu zapomnieć. Budzi się o trzeciej w nocy, żeby się odlać, i stojąc przed sedesem z ptakiem w ręku i rozbudzonym najwyżej w dziesięciu procentach umysłem, nagle sobie przypomina: *Musiła wyglądać, jakby myślała, że wróci tam na górę. Wróci i poprosi kogoś o coca-cole.* W którymś momencie tej rozmowy Warren zapytał, czy pamiętam te jej śmieszne okulary, i odparłem, że pamiętam. Oczywiście, że pamiętam.

\* \* \*

Cztery piętra niżej portier Pedro stał w cieniu markizy i rozmawiał z Rafe'em z FedExu. Pedro był nieubłagany w kwestii, jak długo posłańcy mają stać przed budynkiem – miał zasadę siedmiu minut, którą wprowadzał w życie za pomocą kieszonkowego zegarka, i wszyscy stójkowi byli jego kumplami – ale zaprzyjaźnił się z Rafe'em i nieraz spędzał z nim przed wejściem ponad dwadzieścia minut na nowojorskich pogaduchach. Polityka? Baseball? Ewangelia według Henry'ego Davida Thoreau? Nie wiedziałem i tego dnia obchodziło mnie to mniej niż kiedykolwiek. Stali tam, kiedy wszedłem na górę z moimi artykułami piśmienniczymi, i nadal rozmawiali, gdy o wiele mniej beztroski Scott Staley zbiegł z powrotem na dół. Scott Staley, który odkrył małą lecz wyraźną dziurę w osnowie rzeczywistości. Wystarczał mi fakt, że stali tam obaj. Podeszedłem do nich i wyciągnąłem prawą rękę, tę z okularami, do Pedra.

– Jak byś je nazwał? – zapytałem bez zbędnych ceregieli, przerywając im rozmowę.

Pedro zmierzył mnie surowym wzrokiem, który mówił: „Nie spodziewałem się po panu takiego obcesowego zachowania, panie Staley, naprawdę”, i spojrzał na moją rękę. Przez chwilę się nie odzywał i przez głowę przeszła mi straszliwa myśl: nic nie mówił, ponieważ nic nie zobaczył. Nic z wyjątkiem mojej wyciągniętej dłoni, tak jakby to był Wtorek, Kiedy Zamieniamy Się Rolami, i to on miał mi dać napiwek. Moja ręka była pusta. Jasne, że była pusta, musiała być pusta, ponieważ okulary Sonji nie istniały. Zabawne okulary Sonji od dawna już nie istniały.

– Nazwałbym je okularami przeciwsłonecznymi, panie Staley – rzekł w końcu Pedro. – A jak inaczej miałbym je nazwać? Czy to jakieś podchwytliwe pytanie?

Rafe z FedExu, którego najwyraźniej bardziej to zainteresowało, wziął je ode mnie. Ulga, której doznałem, widząc, jak trzyma te okulary, przygląda się im, niemal je bada, była podobna do tego, co czuje się, kiedy ktoś podrapie cię dokładnie w swędzące miejsce między łopatkami. Rafe wyszedł spod markizy, podniósł je i w obu szklach w kształcie serc zabłyśły gwiazdki słońca.

– Podobne nosiła ta mała dziewczynka w pornosie z Jeremym Ironsem – powiedział w końcu.

Mimo desperacji nie mogłem opanować uśmiechu. W Nowym Jorku nawet posłańcy są krytykami filmowymi. To jedna z rzeczy, za które można pokochać to miasto.

– Zgadza się, w *Lolice* – odparłem, odbierając okulary. – Tyle że okulary w kształcie serc były w wersji, którą reżyserował Stanley Kubrick. W czasach gdy Jeremy Irons turlał się co najwyżej po ziemi.

Ostatnie zdanie nie było zbyt sensowne (nawet dla mnie), ale gównu mnie to obchodziło. Ponownie byłem we frywolnym nastroju... lecz nie w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Nie tym razem.

– Kto grał zboka w tamtym filmie? – zapytał Rafe.

– Niech mnie diabli, jeśli sobie teraz przypomnę – mruknąłem, potrząsając głową.

– Jest pan jakiś blady, panie Staley, jeśli wolno zauważyć – powiedział Pedro. – Nie jest pan przypadkiem chory? Może na gripę?

Nie, na gripę zachorowała moja siostra, miałem ochotę powiedzieć. Tego dnia, kiedy tylko dwudziestu sekund brakowało, żeby złapali mnie na tym, jak spuszczałem się w jej majtki, gapiąc się na Miss Kwietnia. Ale uszło mi to na sucho. Wtedy i jedenastego września. Znowu oszukałem zegar. Nie mogę wypowiadać się za Warrena Andersona, który powiedział mi w pubie Blarneya Stone'a, że tego ranka zatrzymał się na trzecim piętrze, żeby pogadać o Jankesach ze znajomym, lecz wychodzenie cało z opresji stało się jakby moją specjalnością.

– Czuję się dobrze – poinformowałem Pedra i chociaż nie była to prawda, fakt, że nie tylko ja widziałem zabawne okulary Sonji jako coś, co istniało w realnym świecie, polepszył mi trochę samopoczucie. Jeśli okulary przeciwsłoneczne były realne, to samo można prawdopodobnie powiedzieć o kijku baseballowym Cleve'a Farrella.

– To są te okulary? – zapytał nagle Rafe tonem, w którym pobrzmiwał szacunek, a nawet gotowość do autentycznego zachwyty. – Te z pierwszej *Lolity*?

– Nie – odparłem, składając zauszuki okularów za soczewkami w kształcie serc, i w trakcie tej czynności przypomniałem sobie nagle nazwisko dziewczyny z nakręconej przez Kubricka wersji filmu: Sue Lyon. W dalszym ciągu nie mogłem sobie jednak przypomnieć, kto grał zboka. – To tylko podróbka.

– Jest w nich coś szczególnego? – zapytał Rafe. – Dlatego pan tu tak przypędził?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ktoś zostawił je w moim mieszkaniu.

Wróciłem na górę, zanim zdążyli mi zadać kolejne pytania, i rozejrzałem się z nadzieją że nie odkryję nic więcej. Ale odkryłem. Poza okularami przeciwsłonecznymi i kijem baseballowym z wypalonym z boku napisem LIKWIDATOR SZKÓD, znalazłem poduszkę pierdziawkę, ozdobną muszlę, stalową monetę zatopioną w akrylowej kostce i ceramicznego grzybka (czerwonego w białe kropki) z siedzącą na kapeluszu ceramiczną Alicją. Poduszka pierdziawka należała do Jimmy'ego Eagletona i sporo z nią było zabawy podczas każdego

gwiazdkowego przyjęcia. Ceramiczna Alicja stała na biurku Maureen Hannon, która powiedziała mi kiedyś, że to prezent od wnuczki. Maureen miała przepiękne białe włosy, które nosiła rozpuszczone aż do pasa. Rzadko widuje się coś takiego w biurze, ale pracowała w firmie prawie od czterdziestu lat i była przekonana, że może je nosić, jak chce. Pamiętam zarówno muszlę, jak i stalową monetę, ale nie mam pojęcia, w czym stały boksie (albo gabinecie). Może to sobie przypomnę, może nie. W towarzystwie ubezpieczeniowym Light and Bell mieliśmy dużo boksów (i gabinetów).

Muszla, grzybek i akrylowa kostka były elegancko ustawione na stoliku do kawy w moim salonie. Poduszka pierdziawka leżała – przypuszczam, że całkiem stosownie – na spluczce w toalecie obok bieżącego numeru biuletynu „Spencck’s Rural Insurance”. Wiejskie ubezpieczenia były, jak już chyba wspomniałem, moją specjalnością. Znałem prawdopodobieństwo wszelkiego rodzaju wydarzeń.

Jakie było prawdopodobieństwo tego?

\* \* \*

Myślę, że kiedy coś dzieje się nie tak w twoim życiu i chcesz o tym pogadać, większość ludzi telefonuje pod wpływem pierwszego impulsu do członka rodziny. W moim przypadku to było raczej wykluczone. Mój stary kopnął w kalendarz, kiedy miałem dwa lata, a moja siostra cztery. Zamiast żałamywać ręce, matka zakasała od razu rękawy i wychowała nas oboje, zmieniając nasz dom w coś w rodzaju magazynu firmy wysyłkowej. Mam wrażenie, że to właśnie ona stworzyła od podstaw tę branżę, i zarabiała na tym całkiem nieźle (tylko pierwszy rok był naprawdę straszny, powiedziała mi później). Niestety paliła jak smok i zmarła na raka płuc w wieku czterdziestu ośmiu lat, na sześć lub osiem lat przed rozkwitem Internetu, który mógł ją uczynić milionerką.

Moja siostra Peg mieszka obecnie w Clevelandzie, gdzie zakochała się w kosmetykach Mary Kay, Indianach oraz chrześcijańskim fundamentalizmie, niekoniecznie w tej kolejności. Gdybym zadzwonił do Peg i powiedział jej o rzeczach, które znalazłem w swoim mieszkaniu, zaproponowałaby, żebym padł na kolana i przyjął do swojego serca Jezusa. Słusznie czy niesłusznie, nie sądziłem, żeby Jezus mógł rozwiązać mój bieżący problem.

Miałem standardową liczbę ciotek, wujów i kuzynów, ale większość mieszkała na zachód od Missisipi i od lat z żadnym z nich się nie spotkałem. Killianowie (krewni mojej matki) nigdy nie utrzymywali ze sobą zbyt bliskich kontaktów. Jedna kartka na urodziny i jedna na Boże Narodzenie stanowiły według nich właściwe spełnienie rodzinnych obowiązków. Kartkę na Wielkanoc lub walentynki można było uważać za bonus. Na Boże Narodzenie dzwoniłem do siostry albo ona do mnie, wypowiadaliśmy standardowe formułki o tym, że „się wkrótce spotkamy”, następnie zaś, jak sobie wyobrażam, z wzajemną ulgą odkładaliśmy słuchawki.

Następną możliwością w razie kłopotów jest prawdopodobnie zaproszenie na drinka dobrego kumpla, przedstawienie mu sytuacji i prośba o radę. Ale ja byłem nieśmiałym chłopcem, który wyrósł na nieśmiałego mężczyznę, moją obecną pracę researchera wykonuję sam (z wyboru) i z tego względu nie mam kolegów, którzy mogliby się stać przyjaciółmi. W poprzedniej pracy zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami – mógłbym tu wymienić Cleve’a Farrella i Sonję – ale oni oczywiście nie żyją.

\* \* \*

Tłumaczyłem sobie, że skoro nie mam przyjaciela, z którym mógłbym pogadać, powinienem go wynająć. Z pewnością stać mnie było na krótką terapię i wydawało mi się, że w trakcie kilku sesji na kozetce jakiegoś psychiatry (cztery mogłyby wystarczyć) zdołam wyjaśnić, co się stało, i opowiedzieć, jakie to wywołało u mnie uczucia. Ile mogłyby mnie kosztować cztery sesje? Sześćset dolarów? Może osiemset. Wydawało się to uczciwą ceną za małą pomoc. I pomyślałem, że mogę uzyskać coś więcej. Ktoś z zewnątrz mógł znaleźć jakieś proste i rozsądne wytłumaczenie, które mi umykało. Zamknięte drzwi między moim mieszkaniem i światem zewnętrznym sprawiały, że mój umysł wykluczał prawie każde z nich; ale był to w końcu mój umysł; czy nie o to właśnie chodziło? I czy nie na tym polegał problem?

Wszystko to sobie opracowałem. Podczas pierwszej sesji opowiem, co się wydarzyło. Na drugą przyniosę przedmioty, o których mowa – okulary przeciwsłoneczne, akrylową kostkę, muszlę, kij baseballowy, ceramicznego grzybka, wiecznie popularną poduszkę pierdziawkę. Urządzimy mały pokaz, zupełnie jak w szkole. W trakcie dwóch ostatnich ja i mój wynajęty kumpel zdołamy wykryć przyczynę tego denerwującego przegięcia w moim życiu i wszystko wyprostujemy.

Jedno popołudnie spędzone na przerzucaniu żółtych stron i wybieraniu numerów przekonało mnie, że pomysł z psychiatrą jest praktycznie niewykonalny, bez względu na to, jak zachęcający mógł się wydawać w teorii. Najbliżej załatwienia wizyty byłem, gdy rozmawiałem z pewną recepcjonistką która oznajmiła, że doktor Jauss mógłby mnie przyjąć w styczniu przyszłego roku. Przyznała, że nawet to będzie wymagało przesunięcia kilku terminów w jego kalendarzu. Inni nie dawali żadnej nadziei. Zadzwońnię do kilkunastu terapeutów w Newark i czterech w White Plains, nawet do hipnotyzera w Queens, z takim samym rezultatem. Muhammad Atta ze swoim Samobójczym Patrolem mógł być barrrdzo-barrrdzo zły dla Nowego Jorku (nie mówiąc już o branży ubezpieczeniowej), lecz dla profesji psychiatrów okazał się gwiazdką z nieba, bez względu na to, co sądzili sami psychiatrzy. Jeżeli latem 2002 roku chciałeś położyć się na profesjonalnej kozetce, musiałeś wziąć numerkę i czekać w kolejce.

\* \* \*

Mogłem spać z tymi rzeczami w mieszkaniu, ale nie było to łatwe. Szeptały do mnie. Leżałem, nie mogąc zasnąć, czasami aż do drugiej, myśląc o Maureen Hannon, która uważała, że jest już dość stara (a także do tego stopnia niezastąpiona), by nosić swoje zadziwiająco długie włosy tak, jak jej się żywnie podobało. Albo przypominałem sobie różnych ludzi, którzy biegali podczas gwiazdkowego przyjęcia, wymachując słynną poduszką pierdziawką Jimmy'ego Eagletona. Poduszka była, jak chyba już wspomniałem, ulubioną zabawką, kiedy ludzie wypili dwa lub trzy drinki za dużo. Przypomniałem sobie, że Bruce Mason zapytał mnie kiedyś, czy nie wygląda jak lewatywa dla elfów, i w wyniku procesu skojarzeniowego uświadomiłem sobie, że to do niego należała ozdobna muszla. Oczywiście. Bruce Mason, Władca Much. Zstępując na niższy stopień skojarzeniowego łańcucha pokarmowego, przypominałem sobie także nazwisko i twarz Jamesa Masona, który grał Humberta Humberta w czasach, kiedy Jeremy Irons turlał się po ziemi. Umysł to szczwana małpa: czasami bierze banana, a czasami go nie chce. Dlatego właśnie zniosłem na dół okulary przeciwsłoneczne, mimo że w tamtym momencie nie byłem świadom procesu dedukcyjnego. Chciałem wyłącznie potwierdzenia. Jest taki wiersz Jorgosa Seferisa, w którym pada pytanie: *Czy to głosy naszych umarłych przyjaciół, czy tylko dźwięk gramofonu?* Czasami warto je zadać komuś innemu. Albo... posłuchajcie tego.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy zbliżał się do końca mój gorzki dwuletni romans z alkoholem, obudziłem się w moim gabinecie po tym, jak zasnąłem przy biurku w środku nocy. Poszedłem na chwiejnych nogach do sypialni i sięgając do kontaktu, zobaczyłem nagle, że ktoś w niej jest. Wyobraziłem sobie (z niemal całkowitą pewnością) naćpanego włamywacza, trzymającego w drżącej ręce tanią kupioną w lombardzie trzydziestkędwójkę, i serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Jedną ręką zapaliłem światło, a drugą zacząłem szukać na komódce czegoś ciężkiego – czegokolwiek, dobra była nawet srebrna ramka ze zdjęciem mojej matki. I nagle zobaczyłem, że intruz to ja. Wpatrując się wybałuszonymi oczyma w swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju – z wyciągniętą ze spodni koszulą i stojącymi na głowie włosami – poczułem do siebie niesmak, ale również ulgę.

Chciałem, żeby to było coś podobnego. Chciałem, żeby to było lustro, gramofon, nawet ktoś, kto spletał mi głupiego figla (może ktoś, kto wiedział, dlaczego nie było mnie w biurze tamtego dnia we wrześniu). Wiedziałem jednak, że to nie jest żadna z tych rzeczy. Naprawdę miałem w mieszkaniu poduszkę pierdziawkę. Mogłem przejechać palcem po klamerkach na ceramicznych butach Alicji i po przedziałku w jej ceramicznych włosach. Mogłem odczytać datę na zatopionej w akrylowej kostce monecie.

Bruce Mason, zwany także Człowiekiem Konchą i Władcą Much, zabrał kiedyś w lipcu swoją różową muszlę na firmowy piknik na Jones Beach i zadął w nią, wzywając ludzi na lunch składający się z hot dogów i hamburgerów. A potem próbował pokazać Freddy'emu



Loundsowi, jak się to robi. Ale Freddy'emu udało się wydobyć z muszli tylko słabe popiskiwanie podobne do... tak, podobne do dźwięków, które wydawała poduszka pierdziawka Jimmy'ego Eagletona. I tak to się kręci w kółko. Z każdego łańcucha skojarzeniowego można w końcu zrobić naszyjnik.

\* \* \*

Pod koniec września miałem olśnienie, jeden z tych pomysłów tak prostych, że człowiek nie może uwierzyć, że nie wpadł na niego wcześniej. Dlaczego w ogóle trzymam w domu ten niechciany chłam? Dlaczego się go nie pozbędę? Nikt przecież nie powierzył mi tych rzeczy; ludzie, do których należały, nie wrócą za parę lat i nie poproszą, żebym je oddał. Ostatni raz widziałem twarz Cleve'a Farrella na jednym z plakatów, a ostatnie z nich zostały zdarte w listopadzie 2001 roku. Ogólne (choć głośno nieartykułowane) przekonanie było takie, że te prowizoryczne wyrazy hołdu odstraszą turystów, którzy zaczęli z powrotem napływać do Miasta Uciech. To, co się zdarzyło, było straszne, ale Ameryka nie upadła, a Matthew Broderick nie będzie wiecznie występował w *Producentach*.

Kupiłem sobie tego wieczoru chińszczyznę w knajpcie, którą lubię, dwie przecznice od domu. Miałem zamiar ją zjeść tak, jak zwykle zjadam wieczorny posiłek, oglądając Chucka Scarborough<sup>\*</sup>, który objaśnia mi świat. Włączając telewizor, doznałem iluminacji. One nie zostały mi powierzone, te niechciane pamiątki ostatniego bezpiecznego dnia nie były też dowodami rzeczowymi. Owszem, doszło do zbrodni – wszyscy się co do tego zgadzali – ale sprawcy zginęli, a ci, którzy wysłali ich w tę szaleńczą misję, byli ścigani. W przyszłości mogły się odbyć jakieś procesy, jednak Scott Staley nigdy nie zostanie wezwany za barierkę dla świadków, a poduszka pierdziawka Jimmy'ego Eagletona nigdy nie zostanie uznana za dowód rzeczowy numer 1.

Nie zdejmując pokrywki z aluminiowego talerza, zostawiłem mojego kurczaka generała Tso na kuchennym blacie, wziąłem worek na pranie z półki nad rzadko używaną pralką, włożyłem do niego te rzeczy (wrzucając je tam, nie mogłem uwierzyć, jakie są lekkie i jak długo czekałem, żeby zrobić coś tak prostego), po czym zjechałem windą, trzymając worek między nogami. Poszedłem na róg Park Avenue i Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje (Bóg jeden wie, dlaczego tak się czaiłem), i wyrzuciłem śmieci do kosza. Odchodząc, jeszcze raz obejrzałem się przez ramię. Rękojeść kija wystawała zachęcająco z pojemnika. Nie miałem wątpliwości, że ktoś zaraz przyjdzie i go zabierze. Prawdopodobnie zanim jeszcze na miejscu Chucka Scarborough zasiądzie John Seigenthaler czy kto tam zastępował tego wieczoru Toma Brokawa.

Wracając do domu, zaszedłem do baru Fun Choy, żeby jeszcze raz zamówić generała Tso.

---

\* Amerykański komentator telewizyjny.

– Poprzedni niedobry? – zapytała Rose Ming przy kasie. W jej głosie zabrzmiała autentyczna troska. – Ty mów dlaczego.

– Nie, poprzedni był w porządku – odparłem. – Dziś mam po prostu ochotę na dwa.

Roześmiała się, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszała, i ja też się roześmiałem. Mocno. Tym rodzajem śmiechu, który wykracza poza frywolność. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio tak się śmiałem, tak głośno i tak naturalnie. Na pewno nie od czasu, kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe Light and Bell spadło na West Street.

Wjechałem windą na swoje piętro i przeszedłem dwanaście kroków do 4-B. Czułem się tak, jak muszą się czuć poważnie chorzy ludzie, kiedy budzą się pewnego dnia, przyglądając sobie w zdrowym świetle poranka i stwierdzają, że gorączka ustąpiła. Wcisnąłem danie na wynos pod lewą pachę (niezbyt zręczny manewr, ale na krótką metę wykonalny) i otworzyłem kluczem drzwi. Zapaliłem światło. Na stoliku, na którym trzymam rachunki, które trzeba zapłacić, różne kwity i ponaglenia, leżały okulary z czerwonymi oprawkami i soczewkami w kształcie serc a la Lolita. Okulary przeciwsłoneczne Sonji D'Amico, która według Warrena Andersona (będącego z tego, co wiem, jedynym poza mną żyjącym pracownikiem głównego oddziału Light and Bell) wyskoczyła ze sto dziesiątego piętra ugodzonego budynku.

Twierdził, że widział zdjęcie, które zrobiono jej, kiedy spadała; Sonji z dłońmi przytrzymującymi skromnie spódniczkę, żeby nie uniosła się i nie odsłoniła ud, z włosami widocznymi wyraźnie na tle dymu i błękitnego tego dnia nieba, i skierowanymi w dół czubkami butów. Ten opis nasunął mi na myśl poemat *Falling* Jamesa Dickeya opisujący stewardesę, która stara się wycelować swoim spadającym jak kamień ciałem w wodę, tak jakby mogła się wynurzyć, strząsnąć z włosów kropelki wody i poprosić o coca-cole.

– Zwymiotowałem – powiedział mi Warren tamtego dnia w pubie Blarneya Stone'a. – Nigdy w życiu nie chcę oglądać podobnego zdjęcia, Scott, ale wiem, że go nie zapomnę. Widać było jej twarz i chyba wierzyła, że jakimś cudem... tak, że jakimś cudem nic jej się nie stanie.

\* \* \*

Nigdy nie krzychałem jako dorosły, lecz o mało tego nie zrobiłem, spoglądając na okulary Sonji, a potem na LIKWIDATORA SZKÓD Cleve'a Farrella, który znowu stał oparty o ścianę przy wejściu do salonu. Musiałem chyba zdawać sobie sprawę, że drzwi na korytarz są otwarte i obaj moi sąsiedzi z czwartego piętra usłyszą mnie, jeśli narobię wrzasku; i że potem, jak powiadają będę musiał się gęsto tłumaczyć.

Zakryłem dłonią usta, żeby powstrzymać krzyk. Torba z kurczakiem generała Tso upadła na klepki podłogi i otworzyła się. Nie miałem odwagi spojrzeć na powstały bałagan. Te ciemne kawałki gotowanego mięsa mogły być czymkolwiek.

Opadłem na krzesło, które trzymam w przedpokoju, i schowałem twarz w dłoń. Nie narobiłem wrzasku, nie popłakałem się i po jakimś czasie nawet zdołałem posprzątać bałagan. Mój umysł dryfował ku rzeczom, które wyprzedziły mnie w drodze powrotnej do domu, ale za każdym razem, gdy skręcał w tamtą stronę, szarpałem go za smycz i ciągnąłem gdzie indziej.

Tej nocy, leżąc w łóżku, przysłuchiwałem się rozmowom. Najpierw odzywały się rzeczy (półgłosem), a potem odpowiadali (nieco głośniej) ich właściciele. Czasami mówili o pikniku na Jones Beach – o kokosowym zapachu olejku do opalania i o Lou Bedze, którego przebój *Mambo No. 5* puszczał bez przerwy ze swojego radiomagnetofonu Misha Bryzinski. Mówili też o szybujących w powietrzu frisbee i o ganiających za nimi psach. O dzieciach taplających się w mokrym piasku ze zwisającymi im z siedzeń majtkami. O ubranych w kostiumy kąpielowe z katalogu Land's End matkach, które przechadzały się między nimi z nosami posmarowanymi białym kremem. Ile dzieci straciło tego dnia pilnującą ich matkę albo rzucającego frisbee ojca? Człowieku, to było zadanie arytmetyczne, którego nie chciałem rozwiązywać. Ale głosy, które słyszałem w moim mieszkaniu, chciały to robić. Rozwiązywały je bez końca.

Pamiętałem, jak Bruce Mason zadał w swoją muszlę i ogłosił się Władcą Much. Pamiętałem, jak Maureen Hannon powiedziała mi kiedyś (nie na Jones Beach, nie w trakcie tej rozmowy), że *Alicja w krainie czarów* jest pierwszą powieścią psychodeliczną. I jak Jimmy Eagleton zwierzył mi się pewnego popołudnia, że jego syn oprócz tego, że się jąka, cierpi na zaburzenia zdolności uczenia się „dwa w cenie jednego”, i że dzieciak będzie potrzebował korepetycji z matematyki i z francuskiego, jeżeli chce skończyć szkołę średnią w dającej się przewidzieć przyszłości. „Zanim dostanie emerycką zniżkę na podręczniki”, tak dokładnie ujął to Jimmy. W długim popołudniowym świetle jego policzki wydawały się blade i pokryte niewielką szczeciną jakby tego ranka golił się tępą maszynką.

Zapadałem powoli w sen, lecz ta ostatnia historia całkiem mnie rozbudziła, ponieważ zdałem sobie sprawę, że rozmawialiśmy krótko przed jedenastym września. Może zaledwie kilka dni wcześniej. Może nawet w piątek przed atakiem, co oznaczałoby, że to był ostatni dzień, kiedy widziałem Jimmy'ego żywego. A mały jąkała z zaburzeniami zdolności uczenia się: czy miał na imię Jeremy, jak Jeremy Irons? Z pewnością nie, to mój umysł (czasami bierze banana) uprawiał swoje małe gierki, ale brzmiało to jakoś podobnie, na Boga. Może Jason. Albo Justin. W godzinach przed świtem wszystko się potęguje i pamiętam, jak pomyślałem, że jeśli dzieciak rzeczywiście ma na imię Jeremy, chyba zwariuję. To będzie słomka, która złamie grzbiet wielbłąda.

Koło trzeciej nad ranem przypomniałem sobie, do kogo należała akrylowa kostka z zatopioną stalową monetą: do Rolanda Abelsona z działu odpowiedzialności cywilnej. To Roland miał zwyczaj mówić: „Lucy, będziesz musiała się gęsto tłumaczyć”. Któregoś wieczoru jesienią 2001 roku widziałem wdowę po nim w wiadomościach o szóstej.

Rozmawiałem z nią na jednym z firmowych pikników (bardzo możliwe, że na Jones Beach) i pomyślałem wtedy, że jest ładna, ale wdowieństwo to zmieniło, wdowieństwo nadało jej urodzie surowe piękno. W telewizji powtórzyła kilka razy, że jej mąż jest „zaginiony”. Nie chciała powiedzieć, że „nie żyje”. I jeśli rzeczywiście żył – jeśli kiedykolwiek się pojawi – będzie musiał się gęsto tłumaczyć. To jasne. Ale to odnosiło się również do niej. Ładna kobieta, która w wyniku masowego mordu stała się piękna, z całą pewnością powinna się gęsto tłumaczyć.

Leżąc tam i myśląc o tym wszystkim – wspominając odgłos łamiących się fal na Jones Beach i fruujące w powietrzu frisbee – poczułem, jak ogarnia mnie straszliwy smutek, który ostatecznie znalazł ujście w łzach. Muszę jednak przyznać, że było to pouczające doświadczenie. Tej właśnie nocy zrozumiałem, że rzeczy – nawet tak małe jak moneta w akrylowej kostce – z upływem czasu mogą robić się cięższe. Ponieważ jednak chodzi o wagę, którą nadaje im umysł, nie ma na to matematycznej formuły podobnej do tych, które stosuje się w towarzystwach ubezpieczeniowych, gdzie stawka ubezpieczenia na życie zwiększa się o współczynnik  $x$ , jeżeli palisz, a ubezpieczenie zbiorów trzeba przemnożyć przez współczynnik  $y$ , jeżeli twoje uprawy znajdują się w strefie nawiedzanej przez trąby powietrzne. Rozumiecie, co mam na myśli? Chodzi o wagę, którą nadaje umysł.

\* \* \*

Nazajutrz rano zebrałem ponownie wszystkie przedmioty i znalazłem siódmy, pod kanapą. Facet w boksie, który sąsiadował z moim, Misha Bryzinski, trzymał na biurku laleczki Pucha i Judy. Ta, którą wyśledziłem pod kanapą moimi małymi oczkami, to był Punch. Judy nigdzie nie było, lecz Punch w zupełności mi wystarczał. Te czarne oczy spoglądające na mnie spomiędzy kotów kurzu, przyprawiły mnie o dreszcz trwogi. Wyłowiłem laleczkę spod kanapy, patrząc z niechęcią na ślad, jaki zostawiła na zakurzonej podłodze. Rzecz, która zostawia ślad, jest czymś prawdziwym, czymś, co ma swoją wagę. Nie ma co do tego wątpliwości.

Wsadziłem Pucha i inne rzeczy do małej szafki na przybory sanitarne tuż przy aneksie kuchennym i tam pozostały. Z początku nie byłem pewien, czy to zrobią, ale pozostały.

\* \* \*

Matka powiedziała mi kiedyś, że jeśli mężczyzna podetrze się i zobaczy krew na papierze toaletowym, przez następne trzydzieści dni będzie srał po ciemku, łudząc się, że wszystko dobrze się skończy. Zilustrowała w ten sposób swoje przekonanie, iż kamieniem węgielnym męskiej filozofii jest, jeśli to zignorujesz, może zniknie”.

Zignorowałem rzeczy, które znalazłem w swoim mieszkaniu, z nadzieją, że wszystko dobrze się skończy, i rzeczywiście sytuacja trochę się poprawiła. Rzadko słyszałem dobiegające z szafki na przybory szept (z wyjątkiem późnej nocy), lecz i tak coraz chętniej wykonywałem moją pracę researchera poza domem. W połowie listopada spędzałem prawie całe dni w nowojorskiej bibliotece publicznej. Marmurowe lwy z pewnością przywykły do tego, że mijam je ze swoim powerbookiem.

A potem, tuż przed Świętem Dziękczynienia, gdy wychodziłem któregoś dnia z domu, spotkałem wchodzącą do środka Paulę Robeson, cud-dziewicę, którą uratowałem jakiś czas wcześniej, wciskając przycisk RESETUJ na jej klimatyzatorze.

W ogóle się nad tym nie zastanawiając – gdybym miał na to czas, jestem pewien, że nie wykrztusiłbym z siebie ani słowa – zapytałem, czy mogę ją zaprosić na lunch i o czymś z nią porozmawiać.

– Chodzi o to – powiedziałem – że mam pewien problem. Może uda się pani go zresetować.

Staliśmy w holu wejściowym. Portier Pedro siedział w kącie, czytając „New York Post” (i słysząc każde słowo, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; dla Pedra jego lokatorzy są najbardziej interesującym codziennym serialem pod słońcem). Uśmiech, który posłała mi Paula, był jednocześnie sympatyczny i nerwowy.

– Chyba jestem panu to winna, ale wie pan, że mam męża?

– Tak – odparłem, nie dodając, że podała mi wówczas nie tę co trzeba rękę, żebym na pewno zobaczył obrączkę ślubną.

– Jasne, musiał nas pan razem widzieć przynajmniej kilka razy – rzekła, kiwając głową – ale mąż był w Europie, kiedy miałam te kłopoty z klimatyzacją, i teraz też jest w Europie. Ma na imię Edward. W ciągu ostatnich dwóch lat spędził w Europie więcej czasu niż tutaj, i choć wcale mi się to nie podoba, traktuję swoje małżeństwo bardzo poważnie. Edward pracuje w branży eksportowo-importowej – dodała po namyśle.

Pracowałem kiedyś w branży ubezpieczeniowej, ale pewnego dnia moja firma eksplodowała, miałem ochotę powiedzieć, ostatecznie jednak zdecydowałem się na coś bardziej normalnego.

– Nie chcę się z panią umawiać na randkę, pani Robeson – oznajmiłem. Nie chciałem także przechodzić z nią na ty. Czyżbym dostrzegł w jej oczach błysk rozczarowania? Na Boga, chyba tak. Lecz to ją przynajmniej przekonało. Nadal byłem bezpieczny.

Podparła się pod boki i spojrzała na mnie z udawanym zniecierpliwieniem. A może nie tak bardzo udawanym.

– Więc czego pan chce? – zapytała.

– Chcę po prostu z kimś porozmawiać. Próbowałem umówić się z paroma psychiatrami, ale są... zajęci.

– Wszyscy?

– Na to wygląda.

– Jeśli ma pan problemy ze swoim życiem seksualnym albo chce pan biegać po mieście i zabijać ludzi w turbanach, nie chcę o tym słyszeć.

– To nic w tym rodzaju. Obiecuję, że nie przyprawię pani o rumieńce. – Nie było to zupełnie to samo co zapewnienie, że jej nie zaszokuję albo że nie uzna mnie za wariata. – Proszę tylko o wspólny lunch i radę, nic więcej. Co pani na to?

Zadziwiła mnie – a nawet mile polectała – własna siła przekonywania. Gdybym zaplanował wcześniej tę rozmowę, na pewno wszystko bym zepsuł. Przypuszczam, że Paula była zaciekawiona, i z pewnością usłyszała szczerą w moim głosie. Mogła również dojść do wniosku, że jeśli jestem człowiekiem, który lubi dobierać się do kobiet, wykorzystałbym tamten moment w sierpniu, kiedy znalazłem się z nią sam na sam w mieszkaniu, a nieuchwytny Edward przebywał we Francji lub w Niemczech. Zastanawiałem się, jak wielką desperację ujrzała na mojej twarzy.

Tak czy inaczej zgodziła się spotkać ze mną podczas lunchu w Donald's Grill przy naszej ulicy. Donald's jest chyba najmniej romantyczną restauracją na całym Manhattanie – dobre jedzenie, jarzeniówki pod sufitem i kelnerzy, którzy dają jasno do zrozumienia, że powinieneś się pospieszyć. Zrobiła to z uśmiechem kobiety płacącej przeterminowany dług, o którym już prawie zapomniała. Nie było to dla mnie zbyt pochlebne, ale się nie przejąłem. Odpowiada jej godzina dwunasta, powiedziała. Jeśli zaczekam na nią w holu wejściowym, możemy pójść tam razem. Odparłem, że mnie też to odpowiada.

Ta noc była dla mnie dobra. Prawie natychmiast zasnęłem i nie przyśniła mi się Sonja D'Amico, spadająca wzdłuż budynku z rękoma przy udach, niczym wypatrująca wody stewardesa.

\* \* \*

Idąc nazajutrz z Paulą Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą zapytałem, gdzie była, kiedy to się stało.

– W San Francisco – odparła. – Spałam jak suseł w apartamencie w hotelu Wradling razem z Edwardem, który na pewno jak zwykle chrapał. Miałam tu wrócić dwunastego września, a Edward wybierał się na spotkanie do Los Angeles. Dyrekcja hotelu włączyła alarm przeciwpożarowy.

– Musieli ci napędzić stracha.

– Owszem, jednak z początku pomyślałam, że to nie pożar, a trzęsienie ziemi. A potem bezosobowy głos poinformował przez głośniki, że hotel się nie pali, ale doszło do cholernie dużego pożaru w Nowym Jorku.

– Jezu...

– Słuchanie tego w łóżku, w obcym pokoju... ten głos dobiegający z sufitu był niczym głos Boga. – Paula potrząsnęła głową i zacisnęła usta tak mocno, że prawie nie widziałem szminki. – Coś przerażającego. Rozumiem chyba konieczność przekazania tego rodzaju wiadomości, ale nadal nie wybaczyłam do końca dyrekcji hotelu, że zrobili to w ten sposób. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś się tam zatrzymała.

– Twój mąż pojechał na to spotkanie?

– Odwołali je. Tego dnia odwołano chyba wiele spotkań. Włączyliśmy telewizor i siedzieliśmy w łóżku aż do wschodu słońca, próbując to jakoś zrozumieć. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Zastanawialiśmy się, czy mógł tam być ktoś, kogo znaliśmy. Przypuszczam, że nie my jedni to robiliśmy.

– Był ktoś taki?

– Makler z Shearson Leman i zastępca kierownika księgarni Borders w centrum handlowym – odparła. – Jeden z nich ocalał. A drugi... no wiesz, drugi nie. Jak to wyglądało u ciebie?

A zatem nie musiałem wcale kluczyć. Temat wypłynął, zanim jeszcze znaleźliśmy się w restauracji.

– Miałem tam być – powiedziałem. – Powinienem tam być. To było moje miejsce pracy. Towarzystwo ubezpieczeniowe na sto dziesiątym piętrze.

Paula stanęła jak wryta na chodniku, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Przypuszczam, że ludzie, którzy musieli nas omijać, brali nas za kochanków.

– Scott, nie!

– Scott, tak – odparłem.

I w końcu opowiedziałem komuś, jak obudziłem się jedenastego września przekonany, że będę robił te wszystkie rzeczy, które robiłem normalnie w dzień powszedni, poczynając od filiżanki czarnej kawy popijanej podczas golenia, aż po filiżankę kakao, które popijałem o północy, oglądając skrót wiadomości na kanale trzynastym. Dzień jak każdy inny, to dokładnie miałem na myśli. Przypuszczam, że to coś, do czego większość Amerykanów uważa, że ma prawo. I nagle co? Leci samolot! Trafia w bok wieżowca! Ha, ha, dupku, dałeś się nabrać, śmieje się z ciebie cały świat!

Opowiedziałem jej, jak wyjrzałem przez okno i zobaczyłem niebo, na którym o siódmej rano nie było żadnej chmurki – tak niebieskie, że ktoś mógłby pomyśleć, iż zdoła ujrzeć świecące po drugiej stronie gwiazdy. A potem opowiedziałem jej o głosie. Przypuszczam, że każdy słyszy w swojej głowie różne głosy i przyzwyczajają się do nich. Kiedy miałem szesnaście lat, jeden z nich zasugerował mi, że fajnie byłoby spuścić się w majtki mojej siostry. Ma ich chyba z tysiąc, na pewno nie zauważy, że zginęły, przekonywał mnie głos. (Nie opowiedziałem Pauli Robeson o tej konkretnej przygodzie z mojego okresu

dojrzewania). Nazwałbym go głosem skrajnej nieodpowiedzialności, a bardziej poufale Panem Hej, Odpuść Sobie.

– Panem Hej, Odpuść Sobie? – zdziwiła się Paula.

– Na cześć Jamesa Browna, Króla Soulu.

– Jak sobie życzysz.

Pan Hej, Odpuść Sobie miał mi coraz mniej do powiedzenia, zwłaszcza po tym, jak przestałem pić na umór, i tego dnia ocknął się z drzemki na krótką chwilę, by wypowiedzieć zaledwie tuzin słów. Te słowa zmieniły jednak moje życie. Ocaliły mi życie.

Pierwszych pięć słów (siedziałem w tym momencie na skraju łóżka) brzmiało: *Hej, zadzwoń, że jesteś chory!* Następnym siedem (człapałem w tym momencie pod prysznic, drapiąc się w lewy pośladek): *Hej, spędź cały dzień w Central Parku!* Nie było mowy o żadnych złych przecuciach. Był to zdecydowanie głos Pana Hej, Odpuść Sobie, nie Pana Boga. Innymi słowy, wersja mojego głosu (podobnie jak wszystkie inne), namawiającego mnie, żebym poszedł na wagary. *Zrób coś dla siebie, na Boga Ojca!* Kiedy ostatnim razem słyszałem tę wersję mojego głosu, chodziło o wzięcie udziału w konkursie karaoke w barze przy Amsterdam Avenue. *Hej, zaśpiewaj razem z Neilem Diamondem, głupku – wejdź na scenę i pokaż, na co cię stać!*

– Chyba wiem, o czym mówisz – rzekła Paula, lekko się uśmiechając.

– Naprawdę?

– Tak... ściągnęłam kiedyś bluzkę w barze w Key West i wygrałam dziesięć dolców, tańcząc do *Honky Tonk Woman*. Edward nic o tym nie wie – dodała po chwili – i jeśli kiedykolwiek mu powiesz, będę zmuszona wbić ci w oko jedną z jego szpilek do krawata.

– Hej, odpuść sobie, dziewczyno – powiedziałem i jej uśmiech stał się nieco smutny. To ją trochę odmłodziło. Pomyślałem, że może coś z tego wyjdzie.

Weszliśmy do Donald's Grill. Na drzwiach był tekturowy indyk, a na zielonych kafelkach nad podgrzewaną ladą tekturowi Ojcowie Pielgrzymi.

– Posłuchałem Pana Hej, Odpuść Sobie i jestem tutaj – powiedziałem. – Ale razem ze mną jest również kilka innych rzeczy i on nie może na to nic poradzić. To rzeczy, których nie mogę się pozbyć. O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

– Muszę jeszcze raz powtórzyć, że nie jestem psychiatrą – odparła i w jej głosie usłyszałem dość wyraźne skrępowanie. Uśmiech zniknął. – Skończyłam germanistykę, a poza tym studiowałam historię Europy.

Macie ze swoim mężem mnóstwo wspólnych tematów, pomyślałem. Głośno odpowiedziałem, że to nie musi być koniecznie ona, po prostu ktokolwiek.

– Dobrze. Ale postaraj się o tym nie zapominać.

Zamówiliśmy u kelnera kawę, ona bezkofeinową, ja zwykłą. Kiedy się oddalił, zapytała, o jakich rzeczach mówię.



– To jedna z nich – odparłem, wyjmując z kieszeni akrylową kostkę z zatopioną w środku monetą i stawiając ją na stole.

A potem opowiedziałem jej o innych rzeczach i osobach, do których należały. O Clevie „Bejzbol być dla mnie brrrdzo brrrdzo dobry” Farrellu. O Maureen Hannon, która nosiła długie do pasa włosy, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest w firmie niezastąpiona. O Jimmym Eagletonie, który miał niesamowitego nosa do oszukańczych roszczeń, syna z zaburzeniami uczenia się oraz poduszkę pierdziawkę, którą chował bezpiecznie w swoim biurku i wyjmował dopiero na gwiazdkowe przyjęcie. O Sonji D’Amico, najlepszej księgowej w Light and Bell, która dostała okulary przeciwsłoneczne a la Lolita w rozwodowym prezencie od pierwszego męża. O Brusie „Władcy Much” Masonie, który w mojej pamięci zawsze będzie dął w swoją muszlę, stojąc nagi do pasa na Jones Beach, z bosymi stopami omywanymi przez fale. I o Mishy Bryzinskim, z którym byłem co najmniej na kilkunastu meczach Metsów. Opowiedziałem, jak wyrzuciłem wszystkie te rzeczy (z wyjątkiem należącej do Mishy laleczki Puncta) do kosza na śmieci na rogu Park Avenue i Siedemdziesiątej Piątej i jak wyprzedziły mnie w drodze powrotnej do mieszkania, być może dlatego, że zatrzymałem się, żeby zamówić po raz drugi kurczaka generała Tso. W trakcie tej opowieści akrylowa kostka z monetą stała na stoliku między nami. Mimo to udało nam się zjeść przynajmniej część posiłku.

Skończywszy mówić, poczułem się lepiej, niż ośmielałem się marzyć. Po drugiej stronie stolika zapadło jednak milczenie, które straszliwie mi ciążyło.

– Więc co o tym myślisz? – zapytałem, żeby je przerwać.

Przez chwilę się zastanawiała i wcale się temu nie dziwię.

– Nie jesteśmy już chyba dla siebie obcymi ludźmi – powiedziała – a zawarcie nowej znajomości nigdy nie jest czymś złym. Chyba cieszę się, że wiem o twoim Panu Hej, Odpuść Sobie, i cieszę się, że opowiedziałam ci o tym, co zrobiłam.

– Ja też się cieszę – odparłem zgodnie z prawdą.

– Czy mogę ci teraz zadać dwa pytania?

– Oczywiście.

– Jak silne jest w tobie to, co nazywają „poczuciem winy ocalonego”?

– Mówiłaś zdaje się, że nie jesteś psychiatrą?

– Nie jestem, ale czytam czasopisma i znana jestem nawet z tego, że oglądam Oprah. O tym mój mąż akurat wie, chociaż wolałabym go w to nie mieszać. A więc... jak silne jest to poczucie, Scott?

Zastanowiłem się nad jej pytaniem. Było trafne – i oczywiście sam je sobie wielokrotnie zadawałem podczas bezsennych nocy.

– Dość silne – odparłem. – Ale czuję także wielką ulgę, nie będę cię okłamywał. Gdyby Pan Hej, Odpuść Sobie był prawdziwą osobą, nigdy nie musiałby już płacić rachunku w restauracji. Przynajmniej w moim towarzystwie. Czy to cię szokuje? – zapytałem po chwili.

Wyciągnęła rękę i musnęła lekko moją dłoń.

– Ani trochę.

Te słowa sprawiły, że poczułem się lepiej, niż mogłem sobie wyobrazić. Ucisnąłem jej dłoń i zaraz potem puściłem.

– Jak brzmi twoje drugie pytanie?

– Jakie ma dla ciebie znaczenie to, czy uwierzę w opowieść o tych powracających przedmiotach?

Pomyślałem, że to genialne pytanie, mimo że akrylowa kostka stała tuż przy nas, przy cukiernicy. Tego rodzaju przedmioty nie są w końcu rzadkie. I pomyślałem, że gdyby skończyła psychologię, a nie germanistykę, prawdopodobnie świetnie by sobie radziła.

– Nie tak duże, jak wydawało mi się godzinę temu – odparłem. – Pomógł mi sam fakt, że ci opowiedziałem.

Paula pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– A teraz powiem ci, co o tym sędzę: prawdopodobnie ktoś się z tobą bawi. W niezbyt miły sposób.

– Robi sobie ze mnie jaja.

Starałem się tego nie okazywać, jednak dawno już nie doznałem tak dużego zawodu. Być może w pewnych okolicznościach niewiara jest swego rodzaju zbroją która chroni ludzi. A może – to chyba bardziej prawdopodobne – nie zdołałem jej przekazać mojego wrażenia, że to... naprawdę się zdarzyło. Że to się nadal dzieje. Tak jak zdarzają się lawiny.

– Robi sobie z ciebie jaja – zgodziła się. – Ale ty w to nie wierzysz – dodała po chwili.

Kolejne punkty za spostrzegawczość. Pokiwałem głową.

– Wychodząc, zamknąłem drzwi na klucz i były zamknięte na klucz, kiedy wróciłem z piapierniczego. Usłyszałem stuknięcie zapadek w zamku, kiedy się obróciły. Są głośne. Nie można ich nie usłyszeć.

– Mimo to... poczucie winy ocalonego jest dziwne. I bardzo silne, przynajmniej tak piszą w czasopismach.

– To nie... – To nie jest poczucie winy ocalonego, chciałem powiedzieć, lecz wtedy postąpiłbym niewłaściwie. Miałem oto okazję zyskać przyjaciela, co w każdych okolicznościach byłoby korzystne. W związku z czym skorygowałem swoją wypowiedź. – Nie sędzę, żebyśmy mieli do czynienia z poczuciem winy ocalonego. – Wskazałem akrylową kostkę. – Jest tutaj, prawda? Tak samo istnieją okulary przeciwsłoneczne Sonji. Widzisz ją. Ja też ją widzę. Mogłem ją sam kupić, ale... – Wzruszyłem ramionami, starając się wyrazić to, co oboje wiedzieliśmy: wszystko jest możliwe.

– Nie sędzę, żebyś to zrobił. Jednak nie mogę też przyjąć do wiadomości faktu, że otworzyły się drzwiczki między rzeczywistością i strefą mroku i te rzeczy stamtąd wypadły.

Tak, na tym polegał problem. Dla Pauli myśl, że akrylowa kostka i inne rzeczy, które pojawiły się w moim mieszkaniu, mają jakieś nadprzyrodzone pochodzenie, była

automatycznie nie do przyjęcia bez względu na to, jak mocno przemawiałyby za tym fakty. Musiałem rozstrzygnąć, czy udowodnienie własnej racji jest dla mnie ważniejsze od zyskania przyjaciela.

Uznałem, że nie jest.

– No dobrze – mruknąłem, po czym nawiązałem kontakt wzrokowy z kelnerem i wykonałem w powietrzu gest pisania. – Przyjmuję do wiadomości twoją niemożność przyjęcia do wiadomości.

– Naprawdę? – zapytała, bacznie mi się przyglądając.

– Tak. – I chyba była to prawda. – Jeżeli będziemy mogli napić się od czasu do czasu razem kawy. Albo po prostu pozdrowić się w holu.

– Pewnie – odparła, lecz wydawała się trochę nieobecna duchem. Przyglądała się akrylowej kostce z zatopionym w środku stalowym pensum. A potem spojrzała na mnie. Widziałem niemal zapalającą się nad jej głową – niczym w komiksie – żarówkę. Wyciągnęła rękę i złapała kostkę. Nigdy nie zdołałem wyrazić grozy, która mnie ogarnęła, kiedy to zrobiła, ale co mogłem powiedzieć? Byliśmy nowojorczykami w czystym, jasno oświetlonym miejscu. Jeśli o nią chodzi, ustaliła już podstawowe zasady, które zdecydowanie wykluczały istnienie sił nadprzyrodzonych. Siły nadprzyrodzone nie wchodziły w grę. Każdy strzał w tamtą stronę trzeba było powtórzyć.

A w oczach Pauli zapaliło się światełko. Takie, które sugerowało, że do domu wróciła Pani Hej, Odpuść Sobie, a wiem z własnego doświadczenia, że to ktoś, komu trudno się oprzeć.

– Daj mi to – poprosiła, uśmiechając się do mnie. Kiedy to zrobiła, spostrzegłem – naprawdę po raz pierwszy – że jest nie tylko ładna, ale i ponętna.

– Po co? – Tak jakbym tego nie wiedział.

– Nazwijmy to zapłatą za wysłuchanie twojej opowieści.

– Nie wiem, czy to taki dobry...

– Bardzo dobry – odparła. Wyraźnie zapalała się do własnego pomysłu, a kiedy ludzie to robią, rzadko przyjmują do wiadomości odmowę. – Wspaniały. Postaram się, żeby przynajmniej ten kawałek wspomnień nie wrócił do ciebie, merdając ogonem. Mamy sejf w mieszkaniu. – Mówiąc to, wykonała krótką czarującą pantomimę przedstawiającą zamykanie drzwi sejfu, ustawienie kombinacji cyfrowej, a potem wyrzucenie kluczyka przez ramię

– No dobrze. To mój podarek dla ciebie – zgodziłem się i poczułem coś w rodzaju wrednego zadowolenia. Nazwijcie to głosem Pana Hej, Sama Się Przekonasz. Nie chodziło tylko o pozbycie się tego przedmiotu. Paula mi nie uwierzyła, a jakaś moja część chciała, by mi wierzono, i miała o to do niej pretensję. Ta część wiedziała, że oddawanie jej akrylowej kostki to absolutnie fatalny pomysł, ale mimo to cieszyła się, widząc, jak chowa ją do torebki.

– Świetnie – rzekła z werwą. – Mamusia mówi „do widzenia” i wszystko znika. Kiedy to nie wróci do ciebie w ciągu tygodnia albo dwóch... wszystko zależy od tego, jak uparta chce

być twoja podświadomość... będziesz mógł zacząć oddawać pozostałe rzeczy – dodała i te słowa były dla mnie prawdziwym darem, choć wówczas tego nie wiedziałem.

– Może – odparłem i uśmiechnąłem się. Szeroki uśmiech dla nowej przyjaciółki. Szeroki uśmiech dla ślicznej mamusi. Przez cały czas myślałem jednak: sama się przekonasz.

Hej.

\* \* \*

Przekonała się.

Trzy dni później, kiedy oglądałem Chucka Scarborough wyjaśniającego w wiadomościach o szóstej, skąd biorą się problemy komunikacyjne w mieście, zadzwonił dzwonek do drzwi. Ponieważ nikogo się nie spodziewałem, doszedłem do wniosku, że to jakaś paczka, być może nawet Rafe z czymś z FedExu. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem stojącą za nimi Paulę Robeson.

To nie była kobieta, z którą jadłem lunch. Możecie nazwać tę jej wersję Panią Hej, Czy Ta Chemioterapia Nie Jest Paskudna. Umalowała sobie lekko usta, ale poza tym nie nałożyła makijażu i jej twarz miała chory żółtawobiały odcień, z brązowofioletowymi workami pod oczyma. Nawet jeśli przeczesła szczotką włosy przed zejściem z piątego piętra, niewiele im to pomogło. Wyglądały jak wiecheć słomy i sterczały po obu stronach głowy w sposób, który w innych okolicznościach uznałbym nawet za komiczny. W dłoni, na wysokości piersi, trzymała akrylową kostkę, dzięki czemu dostrzegłem, że jej wypielęgnowane paznokcie zniknęły. Ogryzła je do żywego mięsa. I moją pierwszą myślą, niech Bóg się nade mną zlituje, było: no tak, przekonała się.

– Zabierz ją z powrotem – powiedziała, podając mi kostkę.

Zrobiłem to bez słowa.

– Nazywał się Roland Abelson? Prawda? – zapytała.

– Tak.

– Miał rude włosy.

– Tak.

– Nie był żonaty, ale płacił alimenty pewnej kobiecie w Rahway.

O tym nie wiedziałem – nie sądziłem, by wiedział o tym ktokolwiek w Light and Bell – lecz ponownie pokiwałem głową i zrobiłem to nie tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę. Byłem pewien, że się nie myli.

– Jak ona się nazywa, Paulo? – zapytałem, nie mając pojęcia, dlaczego o to pytam, jeszcze nie, wiedząc tylko, że muszę to wiedzieć.

– Tonya Gregson.

Wyglądała, jakby była w transie. Coś płonęło w jej oczach, coś tak strasznego, że bałem się w nie spojrzeć. Mimo to zapamiętałem nazwisko. *Tonya Gregson, Rahway*. A potem,

niczym facet robiący inwentaryzację, dodałem nazwę przedmiotu: *jedna akrylowa kostka z zatopioną w środku monetą*.

– Próbował wpełznąć pod biurko, wiedziałeś o tym? Nie, widzę, że nie. Płoneły mu włosy i płakał. Ponieważ w tym momencie zrozumiał, że nigdy nie będzie już miał własnego katamaranu i nigdy nawet nie skosi swojego trawnika. – Wyciągnęła dłoń i dotknęła nią mojego policzka w geście tak intymnym, że byłby szokujący, gdyby nie to, że miała taką zimną rękę. – Na samym końcu oddałby każdego centa, którego miał, każdą opcję na akcje, byleby tylko skosić jeszcze raz swój trawnik. Potrafisz w to uwierzyć?

– Tak.

– Wszędzie słyhać było krzyki, czuć było paliwo do samolotów, a on zrozumiał, że to jego godzina śmierci. Rozumiesz to? Rozumiesz potworność czegoś takiego?

Pokiwałem głową. Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Mogła mi przystawić pistolet do głowy, a i tak bym się nie odezwał.

– Politycy mówią o pomnikach, odwadze i wojnach, które położą kres terroryzmowi, ale płonące włosy są apolityczne. – Paula wyszczerzyła zęby w niesamowitym uśmiechu, który chwilę później zniknął. – Próbował wczołgać się pod biurko z płonącymi włosami. Pod biurkiem była taka plastikowa rzecz, jak to się nazywa?

– Mata...

– Tak, mata, plastikowa mata. Opierał się o nią rękoma i czuł pod nimi rysy na plastiku, i czuł swąd swoich płonących włosów. Rozumiesz to?

Pokiwałem głową i zacząłem płakać. Mówiliśmy o Rolandzie Abelsonie, facecie, z którym kiedyś pracowałem. Był w dziale odpowiedzialności cywilnej i nie znałem go zbyt dobrze. Mówiliśmy sobie „cześć” i to wszystko; skąd miałem wiedzieć, że ma dzieciaka w Rahway? I gdybym nie poszedł na wagary tamtego dnia, moje włosy prawdopodobnie też zajęłyby się ogniem. Tak naprawdę nigdy tego wcześniej nie rozumiałem.

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedziała i jeszcze raz wyszczerzyła zęby w uśmiechu, ale sama też zaczęła płakać. – Mam w nosie twoje problemy. Mam w nosie ten chłam, który znalazłeś. Skończyliśmy z sobą. Od tej chwili masz mnie zostawić w spokoju. – Odwróciła się, żeby odejść, lecz później ponownie na mnie spojrzała. – Zrobili to w imię Boga – powiedziała – ale nie ma żadnego Boga. Gdyby istniał jakiś Bóg, panie Staley, poraziłby ich wszystkich, kiedy siedzieli na lotniskach z kartami pokładowymi w ręku. Ale żaden Bóg tego nie zrobił. Kazano pasażerom wejść na pokład i te chuje po prostu wsiadły.

Patrzyłem, jak odchodzi do windy. Trzymała się bardzo prosto. Włosy sterczały jej po obu stronach głowy niczym u dziewczyny z gazetowego komiksu. Nie chciała się już ze mną spotykać i nie mogłem jej winić. Zamknąłem drzwi i spojrzałem na stalowego Abe Lincolna w akrylowej kostce. Wpatrywałem się w niego bardzo długo. Zastanawiałem się, jaką woń wydzielalaby jego broda, gdyby U.S. Grant wsadził w nią jedno ze swoich nigdy niegasnących cygar. Ten nieprzyjemny swąd. W telewizji ktoś wspomniał o bombowej

wyprzedaży materaców w sklepach Sleepy. A potem pojawił się Len Berman i zaczął mówić o Jetsach.

\* \* \*

Tej nocy obudziłem się o drugiej i słuchałem szepczących głosów. Nie śnili mi się wcześniej ludzie, do których należały rzeczy, nie widziałem nikogo, komu włosy zajęłyby się ogniem albo kto skakałby z okna, żeby uciec przed płonącym paliwem lotniczym, lecz dlaczego miałbym ich widzieć? Wiedziałem, kim byli, i rzeczy, które po sobie zostawili, przeznaczone były dla mnie. Pozwalając Pauli Robeson zabrać akrylową kostkę, popełniłem błąd, ale tylko dlatego, że była niewłaściwą osobą.

A skoro mowa o Pauli, jeden z głosów należał do niej. „Będziesz mógł zacząć oddawać pozostałe rzeczy – mówił. – Wszystko zależy od tego, jak uparta chce być twoja podświadomość”.

Położyłem się z powrotem i wkrótce zdołałem zasnąć. Śniło mi się, że jestem w Central Parku, karmię kaczki i nagle słyszę głośny huk podobny do tego, który powstaje przy przekroczeniu bariery dźwięku, i widzę, jak niebo wypełnia dym. W moim śnie dym miał zapach płonących włosów.

\* \* \*

Przez jakiś czas myślałem o Toni Gregson w Rahway – Toni z dzieckiem, które mogło mieć oczy Rolanda Abelsona, ale mogło też ich nie mieć – uznałem jednak, że muszę się do spotkania z nią przygotować. Postanowiłem, że zacznę od wdowy po Brusie Masonie.

Pojechałem pociągiem do Debbs Ferry i wziąłem taksówkę ze stacji. Taksjarsz zatrzymał się przy domu w stylu Cape Cod w dzielnicy willowej. Dałem mu trochę pieniędzy, kazałem zaczekać – to nie potrwa długo – i zadzwoniłem do drzwi. Pod pachą trzymałem pudełko. Mogło się wydawać, że w środku jest tort.

Zadzwoniłem tylko raz, ponieważ wcześniej zatelefonowałem i Janice Mason czekała na mnie. Przygotowałem starannie moją historyjkę i opowiedziałem ją dość śmiało, wiedząc, że stojąca na podjeździe taksówka z bijącym taksometrem uchroni mnie przed dociekliwymi pytaniami.

Siódmego września, powiedziałem... w piątek przed... próbowałem zadać w muszlę, którą Bruce trzymał na swoim biurku, dokładnie tak, jak on to robił podczas pikniku na Jones Beach. (Janice, żona Władcy Much, pokiwała głową; oczywiście tam była). Streszczając się, dodałem, że poprosiłem Bruce’a, żeby pożyczył mi muszlę na weekend, bo chcę poćwiczyć. A potem, we wtorek rano obudziłem się z zapaleniem zatok i na dodatek potwornym bólem głowy. (Była to historyjka, którą opowiedziałem już paru osobom). Pijąc herbatę, usłyszałem

huk i zobaczyłem chmurę dymu. Nie myślałem o muszli aż do zeszłego tygodnia, kiedy zabrałem się do sprzątnięcia szafki z przyborami sanitarnymi i nagle, kurczę, znalazłem ją. I pomyślałem... no cóż, nie jest to jakaś szczególna pamiątka, ale pomyślałem, że może... no wie pani...

W jej oczach stanęły łzy, podobnie jak w moich, gdy Paula odniosła mi „fundusz emerytalny” Rolanda Abelsona, lecz nie towarzyszyło im przerażenie, które – jestem tego pewien – pojawiło się na mojej twarzy, kiedy Paula stała tam na korytarzu z włosami sterczącymi po obu stronach głowy. Janice oznajmiła, że chętnie zachowa wszelkie pamiątki po Brusie.

– Nie mogę przeboleć tego, jak się pożegnaliśmy-powiedziała, trzymając w dłoniach pudełko. – Zawsze wychodził bardzo wcześnie, bo jechał pociągiem. Pocałował mnie w policzek, a ja otworzyłam jedno oko i powiedziałam, żeby kupił mleko i śmietanę. Odparł, że kupi. To były ostatnie słowa, które do mnie powiedział. Kiedy poprosił mnie o rękę, czułam się jak Helena trojańska... to głupota, ale tak właśnie było... i wołałabym powiedzieć coś lepszego, niż „kup mleko i śmietanę”. Ale byliśmy małżeństwem od dość dawna, wydawało się, że to dzień jak co dzień i... przecież nigdy nie znamy dnia ani godziny, prawda?

– Nie.

– Właśnie. Każde pożegnanie może być ostatnie. Nie wiemy tego. Dziękuję, panie Staley. Za to, że pan przyjechał, i za to, że mi pan to oddał. To bardzo miło z pana strony. – W tym momencie lekko się uśmiechnęła. – Pamięta pan, jak stał na plaży bez koszuli i dał w tę muszlę?

– Tak – odparłem i popatrzyłem, jak trzymała to pudełko. Później usiądzie, wyjmie z niego muszlę, położy ją sobie na kolanach i będzie płakać. Wiedziałem, że przynajmniej ta koncha nigdy nie wróci do mojego mieszkania. Była w domu.

\* \* \*

Pojechałem z powrotem na stację i wsiadłem do pociągu do Nowego Jorku. O tej porze dnia, wczesnym popołudniem, wagony były niemal puste. Usiadłem przy brudnym, mokrym od deszczu oknie i patrzyłem na rzekę i zbliżający się kontur Manhattanu. W pochmurne i deszczowe dni człowiek odtwarza ten kontur niemal z wyobraźni, kawałek po kawałku.

Jutro pojedę do Rahway z monetą zatopioną w akrylowej kostce. Być może dziecko weźmie ją w pulchną rączkę i przyjrzy się jej z ciekawością. Tak czy inaczej kostka zniknie z mojego życia. Myślę, że jedyną rzeczą, której trudno mi się będzie pozbyć, będzie poduszka pierdziawka Jimmy’ego Eagletona – nie mogę chyba oznajmić pani Eagleton, że wziąłem ją na weekend do domu, żeby poćwiczyć siadanie na niej? Ale potrzeba jest matką wynalazków i jestem pewien, że wymyślę w końcu jakąś przekonującą historię.

Przyszło mi do głowy, że z czasem mogą się pojawić inne przedmioty. I skłamałbym, mówiąc, że taka ewentualność wydaje mi się niemiła. Kiedy zwraca się rzeczy, które ludzie uważają za bezpowrotnie stracone, rzeczy, które mają swoją wagę, samo to jest nagrodą. Nawet jeżeli są to drobne rzeczy w rodzaju okularów przeciwsłonecznych albo stalowej monety zatopionej w akrylowej kostce... naprawdę. Muszę powiedzieć, że samo to jest nagrodą.



## Dzień rozdania świadectw

Janice nigdy nie znalazła właściwego słowa na określenie miejsca, w którym mieszka Buddy. Jest za duże, żeby nazwać je domem, i za małe, żeby uznać za posiadłość, a nazwa na słupku przy podjeździe, Harborlights, nie przechodzi jej przez gardło. Brzmi jak nazwa restauracji w New London, takiej, gdzie jako danie dnia zawsze podają coś z ryb. Na ogół kończy się to tym, że mówi „do ciebie”: na przykład „pojedźmy do ciebie i zagrajmy w tenisa” albo „pojedźmy do ciebie i popływajmy”.

To samo dotyczy też chyba Buddy’ego, myśli, patrząc, jak jej chłopak biegnie truchtem tam, skąd dobiegają krzyki: z drugiej strony domu, gdzie jest basen. Trudno jest mówić do własnego chłopaka Buddy, ale kiedy jego prawdziwe imię brzmi Bruce, człowiek jakby traci grunt pod nogami.

Podobnie jest z wyrażaniem uczuć. Janice wie, że Bruce chciałby usłyszeć od niej, że go kocha, zwłaszcza w dniu rozdania świadectw – byłby to z pewnością lepszy prezent od srebrnego medalika, który mu dała, choć kosztował ją tyle, że wszystko w niej się gotowało – ale nie mogła tego zrobić. Jedyne, na co było ją stać (choć również budziło wewnętrzny bunt) to: „Strasznie cię lubię, Buddy”. I nawet to brzmiało jak kwestia z brytyjskiej komedii muzycznej.

– Nie gniewasz się o to, co powiedziała? – To była ostatnia rzecz, o którą ją zapytał, zanim potruchał po trawie, żeby przebrać się w spodenki kąpielowe. – Chyba nie dlatego tu zostajesz?

– Nie, chcę po prostu jeszcze trochę poserwować. I pooglądać widoki.

To miejsce rzeczywiście jest jedyne w swoim rodzaju i nigdy jej się nie znudziło. Ponieważ z tej strony domu widać całą panoramę Nowego Jorku, budynki zredukowane do niebieskich klocków, od których najwyższych okien odbija się słońce. Janice powtarzała sobie, że w Nowym Jorku można doznać tego poczucia cudownego bezruchu wyłącznie z oddali. Było to kłamstwo, które uwielbiała.

– Taka już jest moja babcia – dodał. – Zdążyłaś ją chyba poznać. Mówi, co myśli.

– Wiem – odparła Janice. I lubiła babcie Buddy’ego, która wcale nie starała się ukrywać swojego snobizmu. Obnosiła się z nim, celebrowała i dawała do powąchania. Nazywali się Hope i przyплыnęli do Connecticut razem z całą resztą Niebiańskich Zastępów, dzięki

bardzo. Ona za to nazywa się Janice Gandolewski i kończy swoją szkołę (liceum Fairhaven) za dwa tygodnie – kiedy Buddy wyruszy ze swoimi trzema najlepszymi kumplami w Appalachy.

Podchodzi do kosza z piłkami, szczupła, wysoka dziewczyna w dżinsowych szortach, tenisówkach i bluzie z długim rękawem. Mięśnie jej nóg napinają się, kiedy staje na palcach przy każdym serwie. Jest ładna i wie o tym. Jest niegłupia i o tym też wie. Niewielu dziewczętom z Fairhaven udaje się nawiązać znajomość z chłopcami z Academy – to znaczy poza normalnymi szybkimi, obleśnymi numerkami w weekendy zimowego karnawału i wiosennych szaleństw, z pełną świadomością gdzie-twoje-a-gdzie-moje-miejsce. I udało jej się to mimo owego „ski”, które wlecze się za nią, dokądkolwiek pójdzie, niczym puszka przywiązana do zderzaka rodzinnego samochodu. Udało jej się towarzyskie salto mortale z Bruce'em Hope'em, znanym również jako Buddy.

Wychodząc z sali klubowej na dole, gdzie grali w gry wideo – reszta nadal tam była, nadal w zsuniętych na tył głowy biletach – usłyszeli jego babcie, siedzącą w salonie razem z innymi dorosłymi (ponieważ tak naprawdę to było ich przyjęcie, dzieciaki będą miały swoje wieczorem, najpierw w knajpie Holy Now! przy drodze numer 219, która została wynajęta specjalnie na tę okazję przez tatę i mamę Jimmy'ego Fredericka, a później na plaży, w księżycowej poświacie, na miłości fregacie, starych nie ma na chacie).

– To była Janice Nie-Do-Wymówienia – mówiła babcia swoim dziwnie piskliwym, dziwnie bezbarwnym głosem przygłuchej starszej pani. – Jest bardzo ładna, nieprawdaż? Dziewczyna z miasta. Aktualna przyjaciółka Bruce'a.

Nie nazwała Janice początkującą modelką ale słyhać to było oczywiście w jej tonie.

Janice wzrusza ramionami i serwuje jeszcze kilka razy, prężąc nogi i podnosząc wysoko raketę. Piłki przelatują zdecydowanie i mocno nad siatką i wpadają do pudła po drugiej stronie.

Właściwie wiele się wzajemnie od siebie nauczyli i podejrzewa, że o to chodzi w takich związkach. Po to istnieją. A Buddy, prawdę mówiąc, był dość pojętny. Szanował ją od pierwszego razu... może nawet za bardzo. Musiała go tego oduczyć – tego stawiania na piedestale. I jej zdaniem nie był wcale takim złym kochankiem, biorąc pod uwagę, że dzieciakom odmawia się luksusu czasu i zakwaterowania, gdy dają swoim ciałom strawę, której pragną.

– Robiliśmy, co mogliśmy – mówi i postanawia, że pójdzie popływać razem z innymi, pozwoli mu po raz ostatni popisać się nią przed kolegami. Buddy myśli, że mają dla siebie całe lato, zanim on pójdzie do Princeton, a ona na uniwersytet stanowy, lecz Janice raczej w to wątpi; jej zdaniem zbliżająca się wyprawa w Appalachy przynajmniej częściowo ma na celu rozdzielenie ich tak bezboleśnie, ale i tak całkowicie, jak to możliwe. Nie wyczuwa w tym ręki czerstwego i pogodnego, widzącego w każdym przyjazną duszę ojca ani zadzierającej w ujmujący sposób nosa babki – *dziewczyna z miasta, aktualna przyjaciółka*

*Bruce'a* – lecz uśmiechniętej i subtelnie praktycznej matki, której jedyną obawą (równie dobrze mogłaby to wyryć na swoim pozbawionym zmarszczek, ładnym czole) jest to, że ta miastowa dziewczyna z przyczepioną do nazwiska blaszaną puszką zajdzie w ciążę i złapie jej syna w sidła mezaliansu.

– Tak, to byłoby niewłaściwe – mruczy Janice, wtaczając wózek z piłkami do szopy i zatrzaszkując drzwiczki. Jej przyjaciółka Mary stale pyta, co ona w nim w ogóle widzi – w tym całym Buddym? – stale się z nich nabija i kręci nosem. Co wy robicie przez cały weekend? Chodźcie na garden party? Na mecze polo?

Właściwie byli na kilku meczach polo, ponieważ Tom Hope nadal jeździ konno – chociaż, jak zwierzył jej się Buddy, może to być jego ostatni rok, jeśli nie przestanie przybierać na wadze. Ale poza tym uprawiali miłość, kilka razy dość intensywnie, złani potem. Czasami również ją rozśmieszał. Ostatnio rzadziej – Janice ma wrażenie, że jego zdolność zaskakiwania i zabawiania jest dość ograniczona – lecz nadal mu się to udaje. Jest szczupłym chłopcem o wąskiej głowie, który w interesujący i czasami bardzo nieoczekiwany sposób odbiega od stereotypu bogatego młodego palanta. I nie widzi świata poza nią, co nie jest takie złe dla autowizerunku dziewczyny.

Mimo to Janice nie sądzi, żeby wiecznie walczył ze swoją naturą. W wieku trzydziestu pięciu lat nie będzie się już odnosił z takim entuzjazmem do lizania cipki i zainteresuje się kolekcjonowaniem monet. Albo odnawianiem kolonialnych bujaków, czym zajmuje się obecnie jego ojciec w... hm... powozowni.

Idzie powoli po długim pasie zielonej trawy, spoglądając ku drzemiącym w oddali niebieskim klockom miasta. Bliżej słychać krzyki i pluski z basenu. Wewnątrz domu matka, ojciec i babka *Bruce'a* oraz ich najbliżsi znajomi świętują ukończenie szkoły przez jednego z młodych na swój własny sposób, podczas oficjalnego podwieczorku. Wieczorem dzieciaki zabawią się w bardziej godny sposób. Popłynie alkohol, którym popijać się będzie niejedną tabletkę ecstazy. Z wielkich głośników będzie dochodziło dudnienie klubowej muzyki. Nikt nie puści muzyki country, przy której dorastała, ale to jej nie przeszkadzało; nadal wiedziała, gdzie jej może posłuchać.

Kiedy ona skończy szkołę, wyprawione zostanie o wiele skromniejsze przyjęcie, najpewniej w restauracji Aunt Kay's. I oczywiście czekają ją studia w znacznie mniej dostojnych i owianych tradycją murach, lecz ona ma zamiar dotrzeć znacznie dalej, niż jej zdaniem nawet w najśmielszych marzeniach spodziewa się dotrzeć Buddy. Zostanie dziennikarką. Zacznie od studenckiej gazetki i zobaczy, dokąd ją to doprowadzi. Szczebel po szczebłu, tak to sobie wyobraża. Drabina ma ich wiele. Potrafi wykorzystać swoją urodę i dyskretną pewność siebie. Nie wie, w jak dużym stopniu, ale wkrótce się przekona. No i istnieje jeszcze szczęście. Jest dość mądra, by na nie nie liczyć, ale wie również, że szczęście lubi sprzyjać młodym.

Dociera na wyłożone kamieniami patio i spogląda w dół na trawnik, za którym leży podwójny kort tenisowy. Wszystko to robi wrażenie bardzo dostojnego, bardzo zamożnego i bardzo wyjątkowego, lecz Janice jest dość mądra, żeby pamiętać, że ma tylko osiemnaście lat. Nadejdzie może czas, kiedy to wszystko wyda jej się całkiem zwyczajne, nawet we wspomnieniu. Całkiem małe. Właśnie to poczucie perspektywy sprawia, że nie przeszkadza jej to, że jest Janice Nie-Do-Wymówienia, dziewczyną z miasta i aktualną przyjaciółką Bruce'a – Buddy'ego o ograniczonej zdolności rozśmieszania jej w nieoczekiwanych momentach. Nigdy nie traktował jej z góry, prawdopodobnie wie, że po czymś takim od razu by go rzuciła.

Może dojść do basenu i szatni bezpośrednio przez dom, ale najpierw odwraca się lekko w lewą stronę, żeby jeszcze raz spojrzeć na leżącą wiele mil dalej w niebieskiej popołudniowej mgiełce metropolię. To może być kiedyś moje miasto, mogę je kiedyś nazwać moim domem, myśli i nagle zapala się tam olbrzymia iskra, jakby jakiś Bóg, głęboko w maszynerii, pstryknął zapalniczką.

Janice mruży oczy przed blaskiem, który z początku wygląda jak gruba pojedyncza błyskawica. A potem cały nieboskłon na południu staje w bezgłośnej czerwonej łunie. Bezkształtne krwawe światło pochłania budynki. Na chwilę pojawiają się ponownie, choć wydają się dziwnie upiorne, jakby widziane przez obiektyw. Sekundę albo jedną dziesiątą sekundy później znikają na zawsze i czerwień zaczyna przybierać kształt widziany na tysiącach kronik filmowych, czerwień rośnie i kipi.

Jest cicho, cicho.

Matka Bruce'a wychodzi na patio i staje obok niej, osłaniając oczy. Ma na sobie nową niebieską sukienkę. Popołudniową sukienkę. Jej ramię dotyka ramienia Janice i patrzą razem na południe, na szkarłatny grzyb, który wspina się, pochłania błękit. Na jego skrajach pojawia się dym – ciemnofioletowy w słonecznym blasku – a potem coś z powrotem zasysa go do środka. Czerwień ognistej kuli jest zbyt intensywna, żeby na nią patrzeć, może ją oślepić, ale Janice nie może odwrócić wzroku. Łzy spływają jej po policzkach szerokimi ciepłymi strugami, lecz nie może odwrócić wzroku.

– Co to jest? – pyta matka Bruce'a. – Jeżeli to jakiś rodzaj reklamy, to w bardzo kiepskim guście!

– To bomba – mówi Janice. Jej głos zdaje się dobiegać z innego miejsca. Jakby transmitowali ją na żywo z Hartford. Z czerwonego grzyba wyrastają czarne bąble, nadając mu makabryczne kształty, które zmieniają się i przesuwiają – raz podobne do kota, raz do psa, raz do Demonicznego Klauna Bobo – wykrzywiając się na przestrzeni całych mil nad tym, co było Nowym Jorkiem, a teraz jest wnętrzem pieca hutniczego. – Atomówka. I to cholernie wielka. Nie taka, którą można przywieźć w walizce albo...

Prask! Ciepło rozchodzi się w górę i dół jej policzka, łzy płyną z oczu i głowa odskakuje w bok. Matka Bruce'a właśnie ją spoliczkowała. I to mocno.

– Nie waż się nigdy robić z tego żartów – rozkazuje. – Nie ma w tym nic śmiesznego.

Na patiu dołączają do nich inni, ale niewiele różnią się od cieni; wzrok Janice musiała osłabić ognista kula, a może chmura zasłoniła słońce. Może jedno i drugie.

– To jest w bardzo... kiepskim... guście! – Każde słowo jest głośniejsze od poprzedniego. „Guście!” to już krzyk.

– To muszą być jakieś efekty specjalne – mówi ktoś. – Na pewno, w przeciwnym razie usłyszelibyśmy...

Ale wtedy dobiega ich dźwięk. Tak jakby wielki głaz spadał niekończącą się kamienną rynną. Dźwięk tłucze szyby w oknach od południowej strony domu i płoszy ptaki, które zrywają się z drzew i krążą dookoła. Wypełnia cały świat. I nie milknie. Przypomina nieustający grzmot przy przekraczaniu bariery dźwięku. Janice widzi babcię Bruce’a, która zasłaniając sobie uszy, idzie powoli ścieżką prowadzącą do wielostanowiskowego garażu. Drepcze ze spuszczoną głową, zgarbionymi plecami i sterczącym tyłkiem niczym idąca na wygnanie wydziedziczona megiera. Coś zwisa z tyłu jej sukni, majtając się tam i z powrotem, i Janice bez zdziwienia spostrzega (coraz bardziej pogarszającym się wzrokiem), że to aparacik słuchowy.

– Chcę się obudzić – mówi mężczyzna stojący za jej plecami. Ma płaczliwy, działający na nerwy głos. – Chcę się obudzić. Co za dużo, to niezdrowo.

Czerwona chmura wzniosła się już na całą wysokość i stoi triumfalnie w miejscu, gdzie jeszcze dziewięćdziesiąt sekund wcześniej był Nowy Jork – czerwono-fioletowy muchomor, który wypalił dziurę w tym popołudniu i wszystkich popołudniach, które nadejdą.

Zrywa się wiatr. Jest gorący. Rozwiewa jej włosy, odsłaniając uszy, które jeszcze wyraźniej słyszą ten niekończący się łoskot. Janice stoi, patrzy i wyobraża sobie piłki tenisowe, uderzane jedna po drugiej i wszystkie lądujące tak blisko siebie, że zmieściłyby się na jednej patelni. Tak właśnie pisze. Na tym polega jej talent. Albo polegał.

Myśli o wędrownicy, na którą Bruce i jego znajomi już się nie wybiorą. Myśli o przyjęciu w Holy Now!, w którym nie wezmą dziś wieczorem udziału. Myśli o płytach Jay-Z, Beyoncé i The Fray, których nie wysłuchają – to akurat niewielka strata. I myśli o muzyce country, której słucha w swoim pick-upie jej tato, jadąc do pracy. To już coś lepszego. Będzie myślała o Patsy Cline albo Skeeterze Davisie i może już niedługo zdoła oduczyć patrzenia to, co zostało z jej oczu.

N.

## 1. List

28 maja 2008

Drogi Charlie,

zwracanie się do Ciebie w ten sposób wydaje mi się dziwne i zarazem całkiem naturalne, mimo że ostatni raz widziałam Cię, gdy byłam prawie dwa razy młodsza niż teraz. Miałam wtedy szesnaście lat i strasznie się w Tobie zabijałam. (Wiedziałeś o tym? Oczywiście, że tak). Jestem teraz szczęśliwą mężatką z małym synkiem i oglądam Cię przez cały czas na CNN, jak rozprawiasz o Medycznych Sprawach. Jesteś tak samo przystojny jak w tamtych dawnych czasach, gdy chodziliśmy w trójkę na ryby albo do kina Railroad we Freeport.

Te letnie miesiące wydają się tak odległe w czasie – Ty i Johnny nierozłączni, ja łącząca za wami, kiedy tylko mi na to pozwalaliście. Czyli prawdopodobnie częściej, niż na to zasłużyłam! Mimo to Twój list z kondolencjami sprawił, że wszystko to stanęło mi przed oczyma i strasznie płakałam. Nie tylko za Johnnym, ale za całą naszą trójką. I chyba za tym, jak proste i nieskomplikowane wydawało się życie. Jakie to były złote czasy!

Widziałeś oczywiście jego nekrolog. „Śmierć w wypadku” może oznaczać mnóstwo grzechów, prawda? W wiadomościach powiedzieli, że Johnny zginął wskutek upadku i rzeczywiście spadł – w dobrze nam wszystkim znanym miejscu, o które zapytał mnie w ostatnie Boże Narodzenie – ale to nie był wypadek. W jego krwi była cała masa środków uspokajających. Nie aż tyle, żeby go zabić, lecz dosyć, według koronera, żeby zakreśliło mu się w głowie, zwłaszcza jeśli wychylał się przez balustradę. Stąd ta „śmierć w wypadku”.

Lecz ja wiem, że to samobójstwo.

Nie było żadnego listu pożegnalnego w domu ani przy zwłokach, ale mogło to wynikać z faktu, że nie chciał nikomu robić przykrości. Jako doktor wiesz, że psychiatrzy mają wyjątkowo wysoki wskaźnik samobójstw. Tak jakby nieszczęścia pacjentów były rodzajem kwasu, który zżera mechanizmy obronne ich terapeutów. Na ogół te mechanizmy są dość mocne, by nie udało się ich nadważyć. A u Johnny’ego? Chyba nie... przez jednego niezwyklego pacjenta. Przez ostatnie dwa lub trzy miesiące życia prawie nie spał; miał takie straszne sińce pod oczyma! Poza tym odwoływał wszystkie wizyty. Wybierał się na długie przejażdżki. Nie mówił dokąd, ale chyba to wiem.

W ten sposób przechodzę do załącznika, do którego, mam nadzieję, zajrzysz, kiedy przeczytasz ten list. Wiem, że jesteś zajęty, jednak – jeśli to coś da – pomyśl o mnie jako o wiecznie za tobą łąącym, zakochanym dziewczęciu, którym byłam, z włosami ściągniętymi w stale rozwiązującego się kucyka.

Chociaż Johnny miał własny gabinet, w ciągu ostatnich czterech lat współpracował luźno z dwoma innymi psychiatrami. Po jego śmierci akta pacjentów (niezbyt liczne z powodu ograniczenia praktyki) trafiły do jednego z nich. Te akta były u niego w przychodni. Jednak sprząając jego gabinet w domu, natknęłam się na ten niewielki manuskrypt, który załączam. Są to akta pacjenta, którego nazwał „N.”. Zdarzyło mi się jednak kilkakrotnie oglądać prowadzone przez niego normalne akta (nie żebym myszkowała, ale leżały otwarte na jego biurku) i wiem, że te są zupełnie inne. Przede wszystkim nie były prowadzone w jego przychodni, bo nie mają nagłówka jak inne akta, które widziałam, i czerwonej pieczętki POUFNE na dole. Poza tym można zauważyć na kartkach niewyraźną pionową linię. Robi ją jego domowa drukarka.

Lecz jest coś jeszcze, co zobaczysz, kiedy odpakujesz pudełko. Na okładce wydrukował grubą czarną czcionką dwa słowa: SPALIĆ TO. O mało tego nie zrobiłam, nie zaglądając do środka. Myślałam, Boże zlituj się, że to jakieś jego prywatne leki albo wydruki dziwnych pornograficznych stron z Internetu. Ostatecznie jednak, będąc córką Pandory, nie mogłam opanować ciekawości. Żałuję, że tak się stało.

Mam wrażenie, Charlie, że mój brat nosił się z zamiarem napisania książki, czegoś popularnego, w stylu Olivera Sacksa. Sądząc po tym manuskrypcie, początkowo koncentrował się na zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych, zważywszy zaś na fakt, że popełnił samobójstwo (jeżeli to było samobójstwo!), zastanawiam się, czy jego zainteresowania nie wynikały z tego starego porzekadła *Medice, cura te ipsum*.

Tak czy inaczej akta N. i coraz bardziej chaotyczne notatki brata nie dawały mi spokoju. Jak bardzo? W wystarczającym stopniu, abym przesłała cały manuskrypt – swoją drogą nie skserowałam go, to jedyny egzemplarz – do przyjaciela, którego on nie widział od dziesięciu lat, a ja od czternastu. Może da się to opublikować, myślałam początkowo. Jako swego rodzaju żywy pomnik mojego brata.

Już tak jednak nie myślę. Chodzi o to, że manuskrypt żyje własnym życiem, i to nie jest dobre. Znam, widzisz, miejsca, o których jest tam mowa (założę się, że ty też je znasz – pole, o którym opowiada N., musi być niedaleko drogi, którą chodziliśmy do szkoły jako dzieci), i po przeczytaniu tych kartek odczuwam silne pragnienie, żeby je odnaleźć. Nie pomimo złowróżbnej tonacji manuskryptu, lecz właśnie z jej powodu – i jeśli to nie jest obsesja, to co nią jest!?

Nie wydaje mi się, żeby ich odnalezienie było dobrym pomysłem.

Ale śmierć Johnny’ego nie daje mi spokoju i dzieje się tak nie tylko dlatego, że był moim bratem. Nie daje mi spokoju także manuskrypt, który tu załączam. Czy go przeczytasz?

Przeczytaj i powiedz mi, co myślisz. Dziękuję, Charlie. Mam nadzieję, że za bardzo Ci się nie narzucam. A jeśli... jeśli postanowisz uhonorować życzenie Johnny'ego i spalisz to, nie usłyszysz ode mnie słowa protestu.

Z wyrazami sympatii od „siostrzyczki” Johnny'ego Bonsainta

Sheila Bonsaint LeClaire  
964 Lisbon Street  
Lewiston, Maine 04240

PS Oj, ale się w Tobie zabujałam!

## 2. Akta pacjenta

1 czerwca 2007

N. ma 48 lat, jest współnikiem w dużej firmie rachunkowej w Portlandzie, rozwiedziony, ojciec dwóch córek. Jedna pracuje na uczelni w Kalifornii, druga jest na drugim roku studiów tu w Maine. Swoje obecne stosunki z żoną określa jako „niezbyt bliskie, lecz przyjazne”.

– Wiem, że wyglądam na więcej niż czterdzieści osiem lat – mówi. – To dlatego, że nie śpię. Brałem ambien i te drugie tabletki, te z zieloną ćmą, ale kręci mi się tylko po nich w głowie.

Kiedy pytam, jak długo cierpi na bezsenność, nie potrzebuje czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Od dziesięciu miesięcy.

Pytam, czy to bezsenność go do mnie sprowadziła. Uśmiecha się, patrząc w sufit. Większość pacjentów wybiera fotel, przynajmniej podczas pierwszej wizyty – pewna kobieta powiedziała mi, że leżąc na kozetce, czuje się jak neurotyczny klaun z komiksu w „New Yorkerze” – ale N. kładzie się od razu na kozetce. Leży na niej z rękoma splecionymi mocno na piersi.

– Chyba obaj wiemy, jaka jest odpowiedź na to pytanie, doktorze Bonsaint.

Pytam, co ma na myśli.

– Gdybym chciał się pozbyć worków pod oczyma, zwróciłbym się do chirurga plastycznego albo do lekarza rodzinnego... który swoją drogą pana zarekomendował, twierdzi, że jest pan bardzo dobry... i poprosił o coś mocniejszego od ambienu i zielonych tabletek z ćmą. Na pewno są jakieś mocniejsze środki, prawda?

Nic na to nie odpowiadam.

– Z tego, co wiem, bezsenność jest zawsze objawem czegoś innego – dodaje.



Mówię mu, że nie zawsze, lecz na ogół. I dodaję, że jeśli mamy do czynienia z innym problemem, bezsenność rzadko jest jedynym objawem.

– Och, mam i inne. Masę problemów. Niech pan na przykład spojrzy na moje buty.

Patrzę na jego sznurowane buty z cholewkami. Na lewym sznurowadła zawiązane są na górze, ale na prawym na dole. Mówię, że to bardzo interesujące.

– Owszem – potwierdza. – Kiedy byłem w szkole średniej, dziewczęta zawiązywały na dole sznurowadła w tenisówkach, kiedy z kimś chodziły. Albo kiedy był jakiś chłopak, który im się podobał i z którym chciały chodzić.

Pytam, czy z kimś chodzi, mając nadzieję, że to złagodzi napięcie, które w nim wyczuwam – knykcie jego splecionych dłoni są białe, jakby obawiał się, że odfruną, jeśli nie będzie ich zaciskał z odpowiednią siłą.

Lecz on się nie śmieje. Nawet się nie uśmiecha.

– Mam już trochę za sobą etap chodzenia z kimś, jednak jest coś, czego chcę. – Przez chwilę się zastanawia. – Próbowałem zawiązywać na dole sznurowadła butów. To nie pomogło. Ale jedno na górze, a drugie na dole... mam wrażenie, że taki wariant coś daje. – Uwalnia prawą dłoń ze śmiertelnego uścisku, w którym trzyma ją lewa, i zbliża do siebie opuszki kciuka i palca wskazującego. – Mniej więcej tyle – stwierdza.

Pytam, czego chce.

– Żeby mój umysł wrócił do normy. Ale próba uleczenia umysłu poprzez wiązanie sznurowadeł zgodnie z jakimś kodem komunikacji ze szkoły średniej... lekko dostosowanym do obecnej sytuacji... to chyba jakiś obłąd, nie sądzi pan? A obłąkani powinni szukać pomocy. Wiedzą o tym, jeśli kołacze się w nich resztką zdrowego rozsądku... a pochlebiam sobie, że we mnie się kołacze. Więc dlatego tu jestem.

Splata ponownie dłonie i spogląda na mnie wyzywająco, ale i z lękiem. A także, jak mi się wydaje, z ulgą. Leżał bezsennie w domu, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy opowie psychiatrze, czego się boi, a kiedy to w końcu zrobił, nie wybiegłem z krzykiem z pokoju ani nie wezwałem mężczyzn w białych fartuchach. Niektórzy pacjenci wyobrażają sobie, że mam w sąsiednim pomieszczeniu ekipę facetów wyposażonych w siatki na motyle i kaftany bezpieczeństwa.

Proszę, żeby wymienił kilka przykładów swoich umysłowych zaburzeń, na co wzrusza ramionami.

– Normalne obsesyjno-kompulsywne badziewie. Słyszał to pan już setki razy. Przyszedłem do pana, żeby zmierzyć się z tym, co się za nim kryje. Z tym, co wydarzyło się w sierpniu zeszłego roku. Myślałem, że może mnie pan zahipnotyzuje i każe o tym zapomnieć. – Spogląda na mnie z nadzieją.

Odpowiadam, że chociaż nic nie jest niemożliwe, hipnoza sprawdza się lepiej, kiedy trzeba otworzyć pamięć, a nie zamknąć ją na cztery spusty.

– O – mówi. – Nie wiedziałem o tym. Cholera. – Ponownie wbija wzrok w sufit. Mięśnie z boku jego twarzy wyraźnie pracują i wydaje mi się, że ma coś więcej do powiedzenia. – To może być niebezpieczne, wie pan. – Przerywa, ale tylko na chwilę; mięśnie szczęki nadal napinają się i rozkurczają. – Te moje zaburzenia mogą być bardzo niebezpieczne. – Kolejna pauza. – Dla mnie. – Kolejna pauza. – Niewykluczone, że i dla innych.

Każda sesja terapeutyczna to seria wyborów; rozgałęziające się drogi bez żadnych drogowskazów. W tym momencie mógłbym zapytać, co to jest – to, co może okazać się niebezpieczne – lecz postanawiam tego nie robić. Zamiast tego pytam, o jakim obsesyjno-kompulsywnym badziewiu mówi. Poza zawiązywaniem sznurowadeł na górze i na dole, co jest akurat cholernie dobrym przykładem. (Tego mu nie mówię).

– Zna pan to na pamięć. – Posyła mi chytre spojrzenie, od którego robi mi się trochę nieswojo. Nie okazuję tego; nie jest pierwszym pacjentem, w którego obecności czuję się nieswojo. Psychiatrzy są niczym grotolazi, a każdy grotolaz powie wam, że w jaskiniach jest pełno nietoperzy i robaków. Niezbyt miłych, ale na ogół nieszkodliwych.

Proszę, żeby zaspokoił jednak moją ciekawość. I pamiętał, że dopiero zaczynamy się poznawać.

– Jeszcze ze sobą nie chodzimy, prawda?

– Nie – odpowiadam – chyba jeszcze nie.

– No to lepiej zacznijmy – mówi – bo mamy tu do czynienia z Pomarańczowym Alarmem. Przechodzającym w Czerwony.

Pytam go, czy liczy rzeczy.

– Oczywiście, że liczę. Liczę hasła w krzyżówce w „New York Timesie”... w niedzielę robię to dwa razy, ponieważ wtedy krzyżówki są większe i ich dwukrotne policzenie wydaje się właściwe. W gruncie rzeczy konieczne. Liczę własne kroki. To, ile razy dzwoni telefon, kiedy do kogoś dzwonię. W dni powszednie jem na ogół lunch w Colonial Diner, to trzy przecznice od mojego biura, i idąc tam, liczę czarne buty. W drodze powrotnej liczę brązowe. Próbowalem kiedyś liczyć czerwone, ale to było śmieszne. Tylko kobiety noszą czerwone buty, a i to niezbyt często. Nie w ciągu dnia. Naliczyłem tylko trzy pary, w związku z czym wróciłem do Colonial i zacząłem od nowa, tyle że tym razem liczyłem brązowe buty.

Pytam, czy musi zobaczyć określoną liczbę butów, żeby to go satysfakcjonowało.

– Trzydzieści to niezły wynik. Piętnaście par. Na ogół nie ma z tym problemu.

A dlaczego konieczne jest, żeby zobaczyć określoną liczbę?

Zastanawia się i spogląda na mnie.

– Jeżeli odpowiem, że pan wie, czy poprosi mnie pan, żebym wyjaśnił, co takiego powinien pan wiedzieć? Chodzi o to, że miał pan już wcześniej do czynienia z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi i że zapoznałem się z nimi... wyczerpująco... zarówno badając własny umysł, jak i czytając o nich w Internecie. A zatem czy moglibyśmy przejść od razu do rzeczy?

Mówię, że większość liczących uważa, że osiągnięcie pewnej liczby, znanej jako „liczba docelowa”, jest niezbędne dla zachowania porządku. Żeby, mówiąc obrazowo, świat dalej kręcił się wokół własnej osi.

Kiwa zadowolony głową i nagle pękają w nim tamy.

– Pewnego dnia, kiedy liczyłem buty w drodze powrotnej do biura, minąłem mężczyznę z nogą uciętą na wysokości kolana. Szedł o kulach i na kikucie miał skarpetkę. Gdyby miał na drugiej nodze czarny but, nic by się nie stało. Ponieważ byłem w drodze powrotnej, rozumie pan. Ale but był brązowy. To wytrąciło mnie z równowagi na cały dzień i tej nocy w ogóle nie mogłem zasnąć. Ponieważ liczby nieparzyste są złe. Przynajmniej tutaj – dodaje, klepiąc się po głowie. – Istnieje racjonalna część mojego umysłu, która wie, że to wszystko brednie, ale jest i inna, która uważa, że absolutnie nie, i ta część rządzi. Można by pomyśleć, że kiedy nie dzieje się nic złego... a tamtego dnia zdarzyło się właściwie coś dobrego, kontrola urzędu skarbowego, której się obawialiśmy, została odwołana bez podania żadnego powodu... więc kiedy nie dzieje się nic złego, zakłęcie pryśnie, jednak tak się nie stało. Naliczyłem trzydzieści siedem brązowych butów zamiast trzydziestu ośmiu i kiedy nie doszło do końca świata, irracjonalna część mojego umysłu oświadczyła, że to dzięki temu, że było ich nie tylko ponad trzydzieści, ale grubo ponad trzydzieści. Ładując zmywarę, liczę talerze. Jeżeli ich liczba jest parzysta i przekracza dziesięć, to dobrze. Jeśli nie, dodaję odpowiednią liczbę czystych, żeby była odpowiednia. To samo dotyczy widelców i łyżek. Musi ich być co najmniej dwanaście w małym plastikowym koszyku z przodu zmywarki. A ponieważ mieszkam sam, oznacza to, że na ogół muszę dodawać czyste.

– A co z nożami? – pytam i natychmiast potrząsa głową.

– Nigdy noże. Nie w zmywarce.

Kiedy pytam dlaczego, odpowiada, że nie wie. A potem spogląda na mnie po chwili z ukosa z poczuciem winy.

– Zawsze myję noże sam, w zlewozmywaku.

Sugeruję, że noże w koszyku na sztuce naruszyłyby porządek świata.

– Nie! – woła. – Coś pan rozumie, doktorze Bonsaint, ale nie rozumie pan wszystkiego.

– W takim razie niech pan mnie oświeci – mówię.

– Porządek świata już jest naruszony. Naruszyłem go latem zeszłego roku, kiedy poszedłem na Pole Ackermana. Tyle że wtedy tego nie rozumiałem.

– Ale teraz już pan rozumie? – pytam.

– Tak. Nie wszystko, ale dosyć.

Pytam, czy próbuje naprawić sytuację, czy tylko sprawić, żeby się nie pogarszała.

Na jego twarzy pojawia się wyraz niewysłowionej ulgi, rozluźniają się w niej wszystkie mięśnie. Coś, co domagało się wyartykułowania, zostało w końcu powiedziane. Dla takich chwil żyję. To nie jest lekarstwo, do tego jeszcze daleko, lecz na razie N. doznał pewnej ulgi. Wątpię, by się tego spodziewał. Większość pacjentów na to nie liczy.

– Nie mogę tego naprawić – szepcze. – Mogę tylko sprawić, że sytuacja się nie pogarsza. Tak. To znaczy mogłem.

Ponownie dochodzimy do jednego z rozgałęzień. Mógłbym zapytać go, co zdarzyło się latem zeszłego roku – zakładam, że w sierpniu – na Polu Ackermana, jednak jest na to chyba za wcześnie. Najpierw powinno się trochę bardziej obłuzować korzenie zainfekowanego zęba. I naprawdę wątpię, żeby źródło tej infekcji było tak świeże. Najprawdopodobniej to, co przytrafiło mu się latem zeszłego roku, było tylko rodzajem detonatora.

Proszę, żeby opowiedział mi o innych objawach.

Śmieje się.

– To zajęłoby nam cały dzień, a zostały nam tylko... – zerka na zegarek – ...dwadzieścia dwie minuty. Swoją drogą, dwadzieścia dwa to dobra liczba.

– Bo jest parzysta? – pytam.

Daje mi kiwnięciem głowy do zrozumienia, że marnuję czas na rzeczy oczywiste.

– Moje... moje objawy, jak pan je nazywa, pojawiają się grupami. – Teraz wpatruje się w sufit. – Są ich trzy grupy. Wyłązą ze mnie... wyłązą z mojej zdrowej części... niczym kamienie... kamienie, no wie pan... o Boże, dobry Boże... jak te pierdolone kamienie na tym pierdolonym polu.

Łzy płyną mu po policzkach. Z początku chyba tego nie zauważa, leży tylko na kozetce ze splecionymi palcami, wpatrując się w sufit. Potem jednak wyciąga rękę w stronę stolika przy kozetce, na którym stoi to, co moja recepcjonistka, Sandy, nazywa Dyżurnym Pudełkiem Kleeneksów. Bierze dwie chusteczki, wyciera policzki i zwija je w kulkę, która znika między jego splecionymi palcami.

– Są trzy grupy objawów – mówi głosem, który nadal jest trochę drżący. – Liczenie należy do pierwszej. Jest ważne, ale nie tak ważne jak dotykanie. Są pewne rzeczy, których muszę dotykać. Na przykład palniki gazowe. Przed wyjściem rano z domu albo przed pójściem wieczorem spać. Mógłbym tylko spojrzeć, czy są wyłączone... wszystkie gałki skierowane w górę, wszystkie palniki ciemne... ale ja muszę ich dotknąć, żeby mieć absolutną pewność. I oczywiście drzwiczki piekarnika. Potem zacząłem dotykać kontaktów przed wyjściem do biura. Szybkie podwójne klepięcie. Zanim wsiądę do samochodu, muszę klepnąć cztery razy w dach. I sześć razy, kiedy docieram tam, dokąd jechałem. Czwórka to dobra liczba i szóstka jest okay, ale dziesiątka... dziesiątka jest jak... – Widzę pojedynczy ślad po łzie, której nie wytarł, biegnący zygzakiem od kącika prawego oka do płatka ucha.

– Jak chodzenie z dziewczyną z pańskich snów – sugeruję.

Uśmiecha się. Ma uroczy, znużony uśmiech – uśmiech, który coraz niechętniej wstaje rano z łóżka.

– Zgadza się – mówi. – Z dziewczyną, która wiąże sznurowadła tenisówek na dole, żeby wszyscy wiedzieli.

– Czy dotyka pan innych rzeczy? – pytam, znając odpowiedź na to pytanie. W ciągu pięciu lat mojej praktyki widziałem wielu pacjentów podobnych do N. Czasami wyobrażam sobie tych nieszczęśników jako ludzi zadziobanych na śmierć przez drapieżne ptaki. Ptaki są niewidzialne – przynajmniej dopóki psychiatra, który ma talent lub szczęście (albo jedno i drugie), nie spryska ich swoją odmianą luminolu i nie podświetli odpowiednią żarówką – lecz mimo to bardzo realne. Cudem jest to, że tak wiele osób cierpiących na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne prowadzi całkiem produktywne życie. Pracują, jedzą (co prawda często zbyt mało lub zbyt dużo), chodzą do kina, kochają się ze swoimi dziewczynami i chłopakami, mężami i żonami... i przez cały ten czas niewidzialne ptaki trzymają ich w szponach i wydziobują małe kawałki ciała.

– Dotykam wielu rzeczy – mówi i ponownie zaszczyca sufit znużonym miłym uśmiechem. – Dotykam wszystkiego, co panu przyjdzie do głowy.

– Czyli liczenie jest ważne – mówię – ale dotykanie jeszcze ważniejsze. Co jest ważniejsze od dotykania?

– Przekładanie – odpowiada i zaczyna się raptem cały trząść niczym pies, którego zostawiono na zimnym deszczu. – O Boże...

Nagle siada na kozetce i stawia stopy na podłodze. Oprócz Dyżurnego Pudełka Kleeneksów na stoliku stoi wazon z kwiatami. Bardzo szybkimi ruchami przestawia pudełko i wazon, tak żeby stały ukośnie wobec siebie. Następnie wyjmuję dwa tulipany z wazonu i kładzie je, przytykając łodygę do łodygi, tak że jeden kwiat dotyka pudełka, a drugi wazonu.

– Tak jest bezpiecznie – mówi. Przez moment się waha, a potem kiwa głową, jakby potwierdził w myślach słusność tego, co ustalił. – To ratuje świat – dodaje. – Na tę chwilę.

Patrzę na zegarek. Czas się skończył i zrobiliśmy całkiem dużo jak na jedną sesję.

– Widzimy się za tydzień – mówię. – O tej samej porze, w tym samym miejscu.

Czasami stawiam na końcu tego zdania pytajnik, ale nie z N. On musi tu wrócić i wie o tym.

– Więc nie będzie magicznego leku? – pyta i tym razem uśmiech na jego twarzy jest tak smutny, że mam ochotę odwrócić wzrok.

Mówię mu, że może poczuć się lepiej. (Ten rodzaj pozytywnej sugestii nigdy nie zaszkodzi i wiedzą o tym wszyscy psychiatrzy). Następnie każę mu wyrzucić ambien i zielone tabletki z ćmą – jak przypuszczam, lunestę. Jeżeli nie działają w nocy, mogą mu tylko przysporzyć kłopotów w ciągu dnia. Nagła drzemka na drodze numer 295 nie rozwiąże żadnego z jego problemów.

– Nie – odpowiada. – Chyba nie, doktorze. Nie doszliśmy jeszcze do podstawowej przyczyny. Wiem, na czym ona polega...

– Za tydzień może się tym zajmiemy – mówię. Tymczasem chcę, żeby wypełnił tabelkę podzieloną na trzy części: liczenie, dotykanie i przekładanie. Czy zrobi to?

– Tak.

Pytam go, niemal mimochodem, czy ma myśli samobójcze.

– Zastanawiałem się nad tym, ale mam bardzo dużo do zrobienia.

To interesująca i raczej niepokojąca odpowiedź.

Daję mu swoją wizytówkę i proszę, żeby zadzwonił – o każdej porze dnia i nocy – gdyby pomysł samobójstwa wydał mu się bardziej pociągający. Odpowiada, że to zrobi. Jednak prawie wszyscy to obiecują.

– A tymczasem – mówię przy drzwiach, kładąc mu rękę na ramieniu – niech pan spróbuje zaprzyjaźnić się z życiem.

Spogląda na mnie, blady i już nie uśmiechnięty, człowiek, którego dziobią niewidzialne ptaki.

– Czytał pan kiedyś *Wielkiego Boga Pana* Arthura Machena? – pyta.

Potrząsam głową.

– To najbardziej przerażające opowiadanie, jakie kiedykolwiek napisano – oznajmia. – Jedna z postaci mówi w nim, że „żądza zawsze bierze górę”. Ale tak naprawdę wcale nie ma na myśli żądzy. Ma na myśli wewnętrzny przymus.

Paxil? Chyba prozac. Ale dopiero kiedy uda mi się lepiej rozgryźć tego interesującego pacjenta.

7 czerwca 2007

14 czerwca 2007

28 czerwca 2007

Zgodnie z moimi oczekiwaniami N. przynosi na następną sesję odrobioną „pracę domową”. Na tym świecie jest wiele rzeczy, na których nie można polegać, ale osoby cierpiące na ZOK prawie zawsze wykonują powierzone im zadania, chyba że są umierający.

Z pewnego punktu widzenia jego tabelki są komiczne; z innego smutne; z jeszcze innego po prostu przerażające. Jest w końcu księgowym i przypuszczam, że sporządzając dokument, który wręcza mi, zanim jeszcze położył się na kozetce, użył jednego ze swoich komputerowych arkuszy kalkulacyjnych. Tyle że zamiast inwestycji i dochodów diagramy te przedstawiają skomplikowane terytorium jego obsesji. Na pierwszych dwóch arkuszach widnieje nagłówek **LICZENIE**, na następnych dwóch **DOTYKANIE**, na ostatnich sześciu **PRZEKŁADANIE**. Przerzucając je, nie bardzo rozumiem, jak znajduje czas na inne zajęcia. A jednak cierpiący na ZOK zawsze znajdują jakiś sposób. Wraca do mnie obraz niewidzialnych ptaków; wyobrażam sobie, jak otaczają N., wrywając krwawe strzępy z jego ciała.

Kiedy podnoszę wzrok, leży na kozetce, znowu ze splecionymi mocno na piersi dłońmi. I zdążył już przestawić wazon i pudełko z chusteczkami, tak że ponownie są ukośnie połączone. W wazonie były dzisiaj białe lilie. Gdy widzę je leżące na stole, przychodzi mi na myśl pogrzeb.

– Niech pan mnie nie prosi, żebym włożył je z powrotem – mówi przepraszającym, lecz stanowczym tonem. – Prędzej wyjdę, niż to zrobię.

Odpowiadam, że nie mam zamiaru go o to prosić. Pokazuję mu arkusze kalkulacyjne i chwalebę je za profesjonalny wygląd. N. wzrusza ramionami. Następnie pytam go, czy obejmują całość, czy tylko ostatni tydzień.

– Tylko ostatni tydzień – odpowiada. Jakby ta sprawa w ogóle go nie interesowała. Przypuszczam, że tak właśnie jest. Człowiek, którego rozdziobują ptaki, nie interesuje się zbyt ranami i obrażeniami odniesionymi w ciągu ostatniego roku ani nawet tygodnia; absorbuje go dzień dzisiejszy. I przyszłość.

– Musi tu być ze trzy tysiące wpisów.

– Nazwijmy je epizodami. Tak je określam. Są sześćset cztery epizody liczenia, osiemset siedemdziesiąt osiem epizodów dotykania i dwa tysiące dwieście czterdzieści sześć epizodów przekładania. Wszystkie te liczby, jak pan zauważył, są parzyste. Razem daje to trzy tysiące siedemset dwadzieścia osiem epizodów, również liczbę parzystą. Jeśli doda pan do siebie tworzące ją cyfry... trzy, siedem, dwa i osiem... otrzyma pan dwadzieścia, również liczbę parzystą. – N. kiwa głową jakby się upewniając. – Dzieląc trzy tysiące siedemset dwadzieścia osiem przez dwa otrzymuje pan tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery. Suma tworzących tę liczbę cyfr daje dziewiętnaście, silną liczbę nieparzystą. Silną i złą. – W tym momencie autentycznie wstrząsa nim dreszcz.

– Musi pan być bardzo zmęczony – mówię.

Nie odpowiada na to ani nie kiwa głową, lecz mimo to udziela odpowiedzi. Łzy płyną po jego policzkach ku uszom. Nie chcę zwiększać jego udręki, ale zdaję sobie sprawę z jednego: jeżeli nie zabierzemy się szybko do roboty, jeżeli będziemy „dreptać w miejscu”, jak określiłaby to siostra Sheila, wkrótce nie da rady ze mną współpracować. Widzę negatywne zmiany w jego powierzchowności (pognieciona koszula, niestarannie ogolony zarost, włosy pilnie wymagające przystrzyżenia) i gdybym poprosił jego kolegów o opinię, z pewnością zobaczyłbym wymieniane między sobą szybkie spojrzenia, które są nader wymowne. Tabelki są na swój sposób imponujące, lecz N. najwyraźniej traci siłę. Wydaje mi się, że nie mam innego wyboru: muszę od razu przystąpić do sedna sprawy, i dopóki tego nie dokonamy, nie może być mowy o paxilu, prozacu ani czymkolwiek innym.

Pytam, czy jest gotów opowiedzieć mi, co zdarzyło się w sierpniu zeszłego roku.

– Tak – mówi. – Po to tu przyszedłem. – Wyjmuje kilka chusteczek z Dyżurnego Pudełka i wyciera policzki. Znużonym gestem. – Ale... czy na pewno pan tego chce, doktorze?

Nigdy wcześniej pacjent nie zadawał mi takiego pytania ani nie przemawiał do mnie tonem niechętnego współczucia. Odpowiadam, że owszem, na pewno. Moim zadaniem jest mu pomóc, lecz żebym mógł to zrobić, on sam też musi chcieć sobie pomóc.

– Nawet jeżeli narazi to pana na to samo, z czym muszę się sam zmagać? Ponieważ to może się zdarzyć. Jestem zdezorientowany, lecz sądzę... mam nadzieję... że nie znalazłem się

jeszcze w sytuacji tonącego, do tego stopnia ogarniętego paniką, że wciągnie pod wodę każdego, kto chce go uratować.

Odpowiadam, że nie do końca rozumiem.

– Jestem tutaj, ponieważ to wszystko może być wytworem mojego umysłu – mówi i uderza się knykциями w skroń, jakby chciał się upewnić, że wiem, gdzie znajduje się jego głowa. – Ale może tak nie jest. Naprawdę trudno mi powiedzieć. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że jestem zdezorientowany. I jeżeli to nie jest wytwór umysłu... jeżeli to, co zobaczyłem i wyczułem na Polu Ackermana, jest prawdziwe... w takim razie przenoszę jak gdyby zarazki.

Pole Ackermana, notuję, mimo że wszystko i tak będę miał na taśmie. Kiedy byliśmy dziećmi, moja siostra i ja chodziliśmy do szkoły Ackermana w małym miasteczku Harlow, przy brzegu rzeki Androscoggin. To niedaleko stąd, najwyżej trzydzieści mil.

Mówię mu, że zaryzykuję i że w ostatecznym rozrachunku – kolejne pozytywne wsparcie – na pewno obu nam nic się nie stanie.

N. śmieje się bez przekonania.

– Byłoby wspaniale – mówi.

– Proszę mi opowiedzieć o Polu Ackermana.

N. wzdycha.

– Leży w Motton – mówi. – Na wschodnim brzegu Androscoggin.

Motton. Następna miejscowość za Chester's Mill. Nasza matka kupowała mleko i jajka na farmie Boy Hill w Motton. N. mówi o miejscu, które leży niecałe siedem mil od farmy, gdzie dorastałem. Znam to miejsce! – mam ochotę powiedzieć.

Nie robię tego, lecz N. spogląda na mnie w skupieniu, jakby czytał w moich myślach. Może naprawdę w nich czyta. Nie wierzę w percepcję pozazmysłową, ale też całkowicie jej nie wykluczam.

– Niech pan tam nigdy nie chodzi, doktorze. Nie próbuje go szukać. Proszę mi to obiecać.

Obiecuję. Prawdę mówiąc, nie byłem w tej zabitej deskami części Maine od ponad piętnastu lat. Blisko do niej w milach, daleko w pragnieniach. Thomas Wolfe złożył szczególnie radykalne oświadczenie, tytułując swoje *magnum opus* *Nie ma powrotu*; nie jest to prawdą dla wszystkich (siostra Sheila często wraca do domu; nadal przyjaźni się z kolegami z dzieciństwa), jednak jest prawdą dla mnie. Chociaż podejrzewam, że własnej książki nie zatytułowałbym *Nie ma powrotu*. Z dzieciństwa pamiętam dominujących na podwórku łobuzów z zajęczą wargą, puste domy z powybijanymi szybami, wybebeszone samochody, niebo, które zawsze wydawało się białe, zimne i upstrzone wronami.

– No dobrze – mówi N. i przez chwilę szczyrzy zęby do sufitu. Nie w agresywny sposób; jestem pewien, że to wyraz twarzy człowieka, który szykuje się do dźwignięcia czegoś bardzo ciężkiego i wie, że będą go potem bolały plecy. – Nie wiem, czy potrafię to dobrze opisać, ale zrobię, co w mojej mocy. I proszę nie zapominać, że do tego dnia w sierpniu jedynym



przejawem zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, jakie u mnie występowały, było zagładanie przed wyjściem do pracy do łazienki, żeby sprawdzić, czy nie wystają mi włosy z nosa.

Może to prawda; choć raczej wątpię. Nie drażę tego tematu. Zamiast tego proszę, żeby mi opowiedział, co zdarzyło się tamtego dnia. I N. to robi.

Robi to przez następne trzy sesje. Na drugą z nich – piętnastego czerwca – przynosi mi kalendarz. To, jak powiadają, dowód rzeczowy numer jeden.

### 3. Opowieść N.

Jestem księgowym z zawodu i fotografem z zamiłowania. Po tym, jak wziąłem rozwód – i dorosły moje dzieci, co też jest rodzajem rozwodu, prawie tak samo bolesnym – spędzam weekendy, włócząc się po okolicy i fotografując krajobraz moim nikonem. To aparat na kliszę, nie cyfrowy. Pod koniec każdego roku wybieram dwanaście najlepszych zdjęć i robię z nich kalendarz. Drukuję go w małej drukarni we Freeport, nazywa się Windhover Press. Nie są tani, jednak robią rzeczy wysokiej jakości. Na Boże Narodzenie rozdaję te kalendarze przyjaciołom i współpracownikom w interesach. Czasami również klientom, lecz rzadko – klienci, którzy wystawiają pięciocyfrowe albo sześciocyfrowe rachunki, wolą na ogół coś posrebrzanego. Ja zawsze wolę dobre zdjęcie krajobrazowe. Nie mam żadnych zdjęć Pola Ackermana. Zrobiłem parę, ale nigdy nie wychodziły. Później pożyczyłem aparat cyfrowy. Nie tylko nie zrobił zdjęć, lecz wysiadła w nim cała elektronika. Musiałem kupić nowy facetowi, od którego go pożyczyłem. Niewielka szkoda. Do tego czasu i tak zniszczyłbym chyba wszystkie zrobione przeze mnie zdjęcia tego miejsca. Gdyby, rzecz jasna, to mi pozwoliło.

*[Pytam go, czym jest „to”. N. ignoruje moje pytanie, jakby go w ogóle nie usłyszał].*

Obfotografowałem całe Maine i New Hampshire, jednak trzymam się głównie najbliższej okolicy. Mieszkam w Castle Rock, dokładnie rzecz biorąc w View, ale dorastałem w Harlow tak jak pan. Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny, doktorze. Kiedy zaproponował pana mój lekarz rodzinny, sprawdziłem pana w Google’u – w dzisiejszych czasach wszyscy googlują wszystkich, prawda?

Tak czy inaczej w tej części środkowego Maine zrobiłem moje najlepsze zdjęcia – w Harlow, Motton, Chester’s Mill, St. Ives, Castle – St.-Ives, Canton, Lisbon Falls. Innymi słowy wszędzie, gdzie toczy swoje wody potężna Androscoggin. Te zdjęcia wydają się jakby bardziej... realne. Dobrym przykładem jest kalendarz na dwa tysiące piąty rok. Przyniosę panu jeden egzemplarz i sam pan oceni. Fotografie od stycznia do kwietnia i od września do grudnia były robione blisko domu. Te od maja do sierpnia przedstawiały... spójrzmy... plażę Old Orchard... Pemaquid Point, oczywiście latarnię... Harrison State Park... i Thunder Hole w Bar Harbor. Myślałem, że udało mi się zrobić naprawdę dobre zdjęcie Thunder Hole,

byłem podekscytowany, lecz widok odbitek sprowadził mnie na ziemię. Kolejna turystyczna fotka. Dobra kompozycja, ale co z tego, prawda? Dobrą kompozycję można zobaczyć w każdym sprzedawanym na straganie turystycznym kalendarzu.

Chce pan poznać moją opinię, zwykłego amatora? Moim zdaniem fotografia jest bardziej artystyczną dyscypliną, niż się powszechnie uważa. Ktoś może pomyśleć, że jeśli ma się dobre oko do kompozycji plus kilka technicznych umiejętności, których można się nauczyć na każdym kursie fotografii... jedno ładne miejsce powinno wychodzić tak samo dobrze jak każde inne, zwłaszcza jeśli specjalizujemy się w pejzażach. Nieważne, czy to jest Harlow w Maine czy Sarasota na Florydzie, grunt to wybrać dobry filtr, wycelować i strzelać. Tyle że wcale tak nie jest. W fotografii miejsce ma podobne znaczenie jak w malarstwie, pisaniu opowiadań czy poezji. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale...

[*Zapada długa cisza*].

Właściwie wiem. Ponieważ artysta, nawet taki amator jak ja, wkłada duszę w to, co tworzy. U niektórych ludzi... tych, którzy mają w sobie coś z wagabundy... dusza jest przenośna. Jednak moja nigdy nie podróżuje dalej niż do Bar Harbor. Zdjęcia, które zrobiłem wzdłuż Androscoggin... one do mnie przemawiają. I przemawiają do innych. Facet z Windhover Press powiedział, że mógłbym pewnie podpisać umowę na album w Nowym Jorku i brać forszę za te moje kalendarze, zamiast za nie płacić, ale to mnie nigdy nie interesowało. Wydaje się trochę zbyt... nie wiem... zbyt publiczne? Zbyt pretensjonalne? Nie wiem, coś w tym rodzaju. Te kalendarze to drobiazg, coś, co daje się przyjaciółom. Poza tym mam swoją pracę. Sprawia mi satysfakcję przetwarzanie liczb. Ale moje życie z pewnością byłoby smutniejsze bez tego hobby. Cieszyło mnie, że kilku przyjaciół wiesza moje kalendarze w kuchni albo salonie. Nawet w cholernej sieni. Paradoks polega na tym, że od dnia, kiedy sfotografowałem Pole Ackermana, nie zrobiłem zbyt wielu zdjęć. Ta część mojego życia już się chyba skończyła i to pozostawia w człowieku pustkę. Taką, która gwizdze w środku nocy, zupełnie jakby gdzieś tam głęboko w środku zerwał się wiatr i starał się zastąpić to, czego już nie ma. Czasami myślę, że życie jest smutne i złe, doktorze. Naprawdę tak myślę.

W trakcie jednej z moich wędrówek w sierpniu zeszłego roku trafiłem w Motton na polną drogę, której zupełnie nie pamiętałem z przeszłości. Jechałem po prostu, słuchając muzyki z radia, i straciłem z oczu rzekę, ale wiedziałem, że jest gdzieś niedaleko, bo czułem jej zapach. Zapach jednocześnie wilgotny i świeży. Na pewno wie pan, o czym mówię. To stary zapach. Tak czy inaczej skręciłem w tę drogę.

Była wyboista, w kilku miejscach prawie rozmyta. Poza tym robiło się późno. Musiało już być koło siódmej wieczorem i nie zatrzymałem się nigdzie na kolację. Byłem głodny. Mało brakowało, a byłbym zawrócił, jednak potem wyboje się skończyły i droga zaczęła prowadzić pod górę, nie w dół. Zapach stał się silniejszy. Wyłączyłem radio i teraz nie tylko czułem zapach rzeki, lecz ją słyszałem – niezbyt głośno, niezbyt blisko, ale słyszałem.

A potem zobaczyłem leżące na drodze drzewo i uznałem, że powiniennem wracać. Mogłem to zrobić, mimo że nie było gdzie zawrócić. Miałem zaledwie milę do drogi numer 117 i cofnąłbym się do niej w pięć minut. Myślę teraz, że coś, jakaś siła funkcjonująca po jasnej stronie rzeczy, dawała mi tę sposobność. Myślę, że ostatni rok byłby zupełnie inny, gdybym wrzucił wtedy wsteczny bieg. Jednak nie zrobiłem tego. Bo ten zapach... ten zapach zawsze przypominał mi dzieciństwo. Poza tym na szczycie wzniesienia zobaczyłem większy skrawek nieba. Drzewa... trochę sosen, ale w większości brzozy... przerzedzały się i pomyślałem, że jest tam odkryte pole. A jeżeli tak, prawdopodobnie widać z niego rzekę. Przyszło mi również do głowy, że mogę tam znaleźć odpowiednie miejsce, żeby zawrócić, lecz to nie było tak ważne jak myśl, że mógłbym sfotografować Androscoggin o zachodzie słońca. Nie wiem, czy pan pamięta, że mieliśmy w sierpniu zeszłego roku kilka wspaniałych zachodów słońca.

Wysiadłem więc i przesunąłem drzewo. To była jedna z tych młodych brzoź, tak spróchniała, że rozsypała mi się w dłoniach. Ale kiedy wsiadłem z powrotem do samochodu, znowu o mały włos nie zawróciłem. Naprawdę istnieje siła po jasnej stronie rzeczy; wierzę w to. Wydawało mi się jednak, że po usunięciu drzewa z drogi szum rzeki stał się głośniejszy... wiem, że to głupota, jednak naprawdę miałem takie wrażenie – wrzuciłem więc niski bieg i pojechałem dalej moją toyotą 4Runner.

Minąłem przybitą do drzewa małą tabliczkę z napisem POLE ACKERMANA, ZAKAZ POLOWAŃ, WSTĘP WZBRONIONY. A potem drzewa się skończyły, najpierw po lewej, potem po prawej stronie, i byłem na miejscu. Zaparło mi dech. Nie pamiętam prawie, jak zgasilem silnik i wysiadłem, i w ogóle nie pamiętam, że zabrałem aparat, ale musiałem to zrobić, bo miałem go w ręku, kiedy dotarłem do skraju pola. Torba na obiektywy objęła mi się o nogę. Byłem przejęty do głębi, przejęty na wskroś, kompletnie wytracony ze swojej powszedniej egzystencji.

Rzeczywistość jest zagadką, doktorze Bonsaint, a codzienna faktura rzeczy stanowi tkaninę, którą na nią naciągamy, aby zamaskować jej blask i mrok. Myślę, że z tego samego powodu zakrywamy twarze zmarłych. Traktujemy twarze zmarłych jako swego rodzaju wrota. Są przed nami zamknięte... lecz wiemy, że nie będą zamknięte zawsze. Któregoś dnia otworzą się przed każdym z nas i każdy z nas przez nie przejdzie.

Ale są miejsca, gdzie ta tkanina się drze, i rzeczywistość staje się cienka. Widać przezierającą przez nią twarz... lecz nie jest to twarz nieboszczyka. Lepiej chyba, gdyby nią była. Pole Ackermana jest jednym z takich miejsc i nic dziwnego, że ten, do kogo należało, przybił tabliczkę z napisem WSTĘP WZBRONIONY.

Zmierzchało. Słońce było kulą czerwonego gazu, spłaszczoną na górze i dole i płonąca na horyzoncie. Rzeka była długim węzłem, połyskującym krwawo w jego blasku, widocznym na odcinku ośmiu lub dziesięciu mil. Słyszałem jej szum w nieruchomym wieczornym powietrzu. Na stokach wznoszących się za nią gór rosła niebieskoszara puszcza. Nie

widziałem ani jednego domu czy drogi. Nie słychać było ani jednego ptaka. Miałem wrażenie, jakbym cofnął się w czasie o sto lat. Albo o cztery miliony. Z trawy – wyrosła wysoko – unosiły się pierwsze białe nitki mgły. Nie było nikogo, kto by ją skosił, chociaż pole było duże i można by z niego uzyskać masę siana. Mgła unosiła się z ciemniejszej zieleni niczym oddech. Jakby ziemia była żywą istotą.

Chyba się lekko zachwiałem. Nie z powodu piękna, choć widok był piękny, lecz ponieważ wszystko, co przed sobą widziałem, wydawało się takie cienkie, na granicy halucynacji. A potem zobaczyłem te cholerne głązy wystające z nieskoszonej trawy.

Było ich siedem, albo tak mi się tylko wydawało – najwyższe dwa miały po pięć stóp, najniższy trzy stopy, reszta pomiędzy. Pamiętam, że ruszyłem do najbliższego z nich, ale to jak przypominanie sobie snu, który zaczyna się rozwiewać w porannym świetle... wie pan, jak to jest, prawda? Oczywiście, że pan wie, na tym polega w dużej części pańska praca. Tyle że to nie był sen. Słyszałem szelest trawy ocierającej się o moje spodnie, czułem, jak robią się wilgotne od rosy i przywierają do skóry pod kolanami. Torba z obiektami zaczęła się co kilka chwil o zarośla – tu i tam rosły kępy sumaka – a potem waliła mnie mocniej niż zwykle w udo.

Podszedłem do najbliższego głązu i zatrzymałem się. To był jeden z tych wysokich. Z początku myślałem, że wyryte są na nim twarze – nie twarze ludzi, ale pyski bestii i potworów – lecz potem zmieniłem trochę pozycję i zorientowałem się, że to tylko gra światła i gęstniejących o zmierzchu cieni, które upodobały się do... no właśnie, nie wiadomo do czego. Stojąc w nowej pozycji, zobaczyłem po kilku chwilach nowe twarze. Niektóre z nich wydawały się ludzkie, jednak nie były mniej straszne. Tak naprawdę były jeszcze straszniejsze, bo to, co ludzkie, jest zawsze straszniejsze, nie sądzi pan? Ponieważ znamy to co ludzkie, rozumiemy to. Albo wydaje nam się, że rozumiemy. A te wydawały się wykrzywione w krzyku lub w śmiechu. Może i w jednym, i w drugim.

Pomyślałem, że to ta cisza robi mi wodę z mózgu, cisza, poczucie izolacji i wielkość tego wszystkiego – to, jak wielki widziałem przed sobą kawałek świata. I to, jak czas wydawał się wstrzymywać oddech. Jakby wszystko miało pozostać na zawsze takie, jakie było: płonące nad horyzontem słońce, któremu zostało mniej niż czterdzieści minut do zachodu, i to wyprane z kolorów przejrzyste powietrze. Pomyślałem, że to te rzeczy sprawiają, że widzę twarze w miejscach, gdzie nic nie ma. Teraz myślę inaczej, lecz jest już za późno.

Pstryknąłem kilka zdjęć. Chyba pięć. Zła liczba, ale wtedy tego nie wiedziałem. A potem cofnąłem się, chcąc mieć wszystkie siedem głązów na jednej fotografii, i kiedy kadrowałem ujęcie, zobaczyłem, że w rzeczywistości jest ich osiem i stoją w czymś w rodzaju kręgu. Można było spostrzec – kiedy człowiek dobrze im się przyjrzał – że są fragmentami jakiejś formacji geologicznej, która albo wypiętrzyła się przed milionami lat, albo została odsłonięta przez powódź (pole opadało dość wyraźnie, więc uznałem to za możliwe). Jednocześnie jednak wyglądały na ustawione przez kogoś, niczym głązy w kręgu druidów. Ale nic nie było

na nich wyryte. Z wyjątkiem tego, co stanowiło dzieło żywiołów. Wiem, bo pojechałem tam jeszcze raz w środku dnia, żeby to sprawdzić. Nierówności i odpryski kamienia. Nic więcej.

Zrobiłem jeszcze cztery zdjęcia – co daje razem dziewięć, kolejną złą liczbę, lecz trochę lepszą od piątki – i kiedy opuściłem aparat i spojrzałem ponownie na głązy gołym okiem, zobaczyłem twarze, które szczyły, szczyły zęby i chrząkały. Niektóre ludzkie, inne zwierzęce. I naliczyłem siedem głązów.

Jednak kiedy spojrzałem ponownie w wizjer, było ich osiem.

Zakręciło mi się w głowie i ogarnął mnie lęk. Chciałem się stamtąd wynieść, zanim zrobi się całkiem ciemno – chciałem opuścić to pole, znaleźć się ponownie na drodze numer 117 i słuchać w radiu głośnego rock and rolla. Nie mogłem jednak tak po prostu odejść. Coś tkwiącego głęboko we mnie – tak głęboko jak instynkt, który każe nam wdychać i wydychać powietrze – zakazywało mi tego. Czuję, że jeśli stamtąd odejdę, stanie się coś strasznego i dotknie to nie tylko mnie. Znowu miałem to wrażenie kruchości, jakby w tym konkretnym miejscu świat pękał i wystarczyła jedna osoba, żeby spowodować niewyobrazalny kataklizm. Jeśli nie będzie bardzo, bardzo ostrożna.

Wtedy właśnie zaczęło się to całe moje obsesyjno-kompulsywne gówno. Chodząc od głązu do głązu, dotykałem ich, liczyłem i zaznaczałem, w którym stoją miejscu. Chciałem odejść – desperacko chciałem odejść – ale zrobiłem wszystko, co trzeba, i nie odważyłem tego byle jak. Ponieważ musiałem. Wiedziałem to, tak jak wiem, że muszę oddychać, jeśli chcę pozostać żywy. Kiedy wróciłem do miejsca, od którego zacząłem, cały się trząsałem i byłem mokry od potu, rosy i mgły. Ponieważ dotykanie tych głązów... nie było miłe. Przywoływało pewne myśli. I pewne obrazy. Brzydkie obrazy. Na przykład, jak uderzam moją byłą żonę siekierą i śmieję się, kiedy ona krzyczy i podnosi zakrwawioną rękę, żeby zasłonić się przed kolejnymi ciosami.

Ale było ich osiem. Osiem głązów na Polu Ackermana. Dobra liczba. Bezpieczna. Wiedziałem to. I nie miało już znaczenia, czy patrzę na nie przez wizjer, czy gołym okiem. Po tym, jak ich dotknąłem, były ustawione. Robiło się coraz ciemniej, słońce schowało się w połowie za horyzontem (obejście tego kręgu, który miał może czterdzieści jardów średnicy, zajęło mi chyba dwadzieścia minut), lecz widziałem wszystko dość dobrze – powietrze było dziwnie przejrzyste. Nadal się bałem – działo się tam coś złego, wszystko o tym świadczyło, nawet milczenie ptaków – lecz odczuwałem jednocześnie ulgę. Zło zostało przynajmniej częściowo naprawione poprzez dotykanie głązów... i ponowne przyglądanie się im. Zapamiętywanie miejsc, które zajmują na polu. Było to tak samo ważne jak dotykanie.

[*Chwila namysłu*].

Nie, ważniejsze. Bo to, jak widzimy świat, trzyma na uwierzy czającą się za nim ciemność. Powstrzymuje ją przed wylaniem się i zatopieniem nas. Chyba wszyscy o tym wiemy gdzieś w głębi duszy. Odwróciłem się więc i pokonałem większą część drogi do samochodu...

niewykluczone, że dotykałem już klamki drzwiczek... gdy coś kazało mi się znowu odwrócić. I wtedy to zobaczyłem.

*[N. bardzo długo milczy. Widzę, że drży i jest cały zlany potem. Kropelki lśnią na jego czole niczym rosa].*

Coś było pośrodku głazów. Pośrodku kręgu, które tworzyły przypadkowo bądź celowo. Było czarne jak niebo na wschodzie i zielone jak trawa. Obracało się bardzo powoli i nawet na chwilę nie spuszczało ze mnie oczu. Bo miało oczy. Chore, różowe oczy. Wiedziałem... wiedział o tym mój racjonalny umysł... że widzę tylko światło na niebie, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że to coś więcej. Że coś korzysta z tego światła. Coś korzysta z zachodu słońca, żeby widzieć, i tym, co widzi, jestem ja.

*[N. ponownie płacze. Nie proponuję mu kleeneków, bo nie chcę złamać zaklęcia. Choć nie wiem, czy zdołałbym mu je w ogóle zaproponować, bo on też rzucił na mnie zaklęcie. To, o czym opowiada, to urojenie, i w jakimś stopniu on sam o tym wie – „cienie, które wyglądały jak twarze” itp. – ale to urojenie jest bardzo silne, a silne urojenia przenoszą się niczym zarazki podczas kichnięcia].*

Musiałem się chyba dalej cofać. Nie pamiętam, czy to robiłem; pamiętam tylko, że myślałem, że patrzę na głowę jakiegoś potwora z mroku, który jest po drugiej stronie. A także że skoro jest jeden, może być ich więcej. Osiem głazów trzymało je w ryzach – ale kiedy głazów było tylko siedem, mogły wypłynąć z mroku po drugiej stronie rzeczywistości i opanować świat. Z tego, co wiedziałem, patrzyłem na najmniejszego i najmarniejszego z nich. Z tego, co wiedziałem, ta spłaszczona głowa węża z różowymi oczyma i czymś, co wyrastało z jego pyska i wyglądało jak wielkie długie kolce, była co najwyżej głową oseska.

Zobaczyła, że patrzę.

Ta pierdolona rzecz uśmiechnęła się do mnie i jej zęby były głowami. Żywymi ludzkimi głowami.

A potem nastąpiłem na zeszlą gałąź, która pękła z odgłosem podobnym do fajerwerków, i paraliż ustąpił. Całkiem możliwe, że ta rzecz unosząca się pośrodku kamiennego kręgu hipnotyzowała mnie, tak jak to robi wąż z ptakiem.

Odwróciłem się i uciekłem. Torba z obiektywami waliła mnie po nodze i każde jej uderzenie zdawało się mówić: Zbudź się! Zbudź się! Uciekaj! Uciekaj! Otworzyłem drzwiczki mojej toyoty i usłyszałem cichy dzwonek, który sygnalizował, że zostawiłem kluczyk w stacyjce. Przypomniałem sobie jakiś stary film, w którym William Powell i Myrna Loy stoją w recepcji luksusowego hotelu i Powell dzwoni na obsługę. Zabawne, co człowiekowi przychodzi do głowy w takich momentach, prawda? Myślę, że w naszych umysłach jest coś w rodzaju wrót. Takich, które nie pozwalają, żeby tkwiące w nas wszystkich szaleństwo zalało nasz intelekt. Ale w krytycznych momentach wrota się otwierają i wylewa się przez nie całe to pokrecone gównno.

Zapaliłem silnik. Włączyłem radio, włączyłem je głośno i z głośników ryknęła rockowa muzyka. Pamiętam, że to był zespół The Who. I pamiętam, że zapaliłem długie światła. Kiedy to zrobiłem, miałem wrażenie, że głązy skaczą na mnie. O mało nie wrzasnąłem. Lecz było ich osiem, policzyłem, a ósemka jest bezpieczna.

[*W tym momencie N. po raz kolejny milknie. Nie odzywa się przez całą minutę.*]

Następne, co pamiętam, to droga numer 117. Nie wiem, jak tam się znalazłem, czy wykręciłem, czy się cofałem. Nie wiem, ile mi to zajęło czasu, jednak piosenka The Who się skończyła i słuchałem Doorsów. Niech Bóg się nade mną zlituje, ale to było *Break On Through to the Other Side*. Wyłączyłem radio.

Nie sądzę, że bym zdołał panu powiedzieć coś więcej, doktorze. Nie dzisiaj. Jestem wykończony.

[*I rzeczywiście na takiego wygląda.*]

[Następna sesja]

Myślałem, że efekt, jaki wywarło na mnie to miejsce, osłabnie w czasie jazdy do domu – że to tylko zła chwila na odludziu i że kiedy znajdę się z powrotem w swoim salonie, z zapalonymi światłami i włączonym telewizorem, poczuję się z pewnością lepiej. Niestety, nie poczułem się lepiej. Jeżeli już, to poczucie rozchwiania – zetknięcia się z innym wszechświatem, który jest wrogi naszemu – stało się silniejsze. Nadal byłem przekonany, że widziałem w tym kamiennym kręgu twarz – gorzej, zarys jakiegoś wielkiego gadziego ciała. Czuję się... zarażony. Zarażony przez myśli kłębiące się w mojej głowie. Czuję poza tym, że sam stanowią zagrożenie – że mogę sprowadzić tę rzecz, po prostu zbyt wiele o niej myśląc. I że nie pojawi się sama. Ten inny kosmos mógł wypaść na tę stronę niczym wymioty przez dno mokrej papierowej torby.

Obszedłem dom i pozamykałem wszystkie drzwi. A potem uznałem, że zapomniałem o killkorcu, i obszedłem dom jeszcze raz, żeby to sprawdzić. Tym razem je policzyłem: drzwi frontowe, kuchenne, do spiżarni, do piwnicy, bramę garażu i tylne drzwi garażu. Razem sześć i przyszło mi do głowy, że to dobra liczba. Podobnie jak ósemka. To przyjazne liczby. Ciepłe, nie zimne jak piątka albo... no wie pan, siódemka. Trochę się odprężyłem, lecz mimo to obszedłem dom po raz ostatni. Nadal sześć. „Sześć da się znieść”, pamiętam, jak powiedziałem. Myślałem, że teraz zdołam zasnąć, ale nie mogłem. Nawet po zażyciu ambieniu. Przez cały czas widziałem zachodzące nad Androscoggin słońce, zmieniające rzekę w czerwonego węża. Języki mgły wylaniające się z trawy. I tę rzecz między głazami. To przede wszystkim.

Wstałem i policzyłem wszystkie książki w mojej biblioteczce w sypialni. Było ich dziewięćdziesiąt trzy. To zła liczba i nie tylko dlatego, że jest nieparzysta. Dzieląc dziewięćdziesiąt trzy przez trzy, otrzymuje się trzydzieści jeden; trzynaście wspaniale. Wziąłem więc jedną książkę z małej półki w przedpokoju. Ale liczba dziewięćdziesiąt cztery jest tylko

trochę lepsza, ponieważ dziewięć i cztery daje trzynastkę. Trzynastki są na tym świecie wszędzie, doktorze. Nie wie pan? Tak czy inaczej dostawiłem jeszcze sześć książek do biblioteczki w sypialni. Ciężko było je wcisnąć, ale udało się. Sto jest w porządku. Właściwie to bardzo dobra liczba.

Kładąc się z powrotem do łóżka, zacząłem się nagle martwić o książki w przedpokoju. Rozumie pan: czy nie okradłem Petera, żeby spłacić Paula. Policzyłem je więc i wszystko było w porządku: pięćdziesiąt sześć. Dodane cyfry dają jedenaście, co jest liczbą nieparzystą, lecz nie najgorszą z nieparzystych. Poza tym pięćdziesiąt sześć podzielone na dwa daje dwadzieścia osiem – dobrą liczbę. Uświadomiwszy to sobie, mogłem zasnąć. Miałem chyba złe sny, ale ich nie pamiętam.

Mijały dni, a ja wciąż myślałem o Polu Ackermana. Było niczym cień, który padł na moje życie. Liczyłem już wówczas wiele rzeczy i dotykałem ich – żeby upewnić się, że rozumiem, jakie zajmują miejsce w świecie, realnym świecie, moim świecie. Zacząłem również je ustawiać. Zawsze parzyste liczby rzeczy i zawsze w kręgach albo na ukos. Ponieważ kręgi i ukośne linie utrzymują rzeczy w ryzach.

To znaczy na ogół. I nigdy na zawsze. Jeden mały wypadek i czternastka staje się trzynastką, ósemka siódemką.

Na początku września odwiedziła mnie moja młodsza córka i stwierdziła, że sprawiam wrażenie przemęczonego. Chciała wiedzieć, czy się nie przepracowuję. Zauważyła także, że wszystkie bibeloty w salonie – rzeczy, których nie zabrała po rozwodzie jej matka – poukładane są w „kręgi zbożowe”. „Czy ty trochę nie dziwaczysz na starość, tato?” – zapytała. I wtedy właśnie postanowiłem wrócić na Pole Ackermana, tym razem w pełnym świetle dnia. Myślałem, że jeśli zobaczę je w dziennym świetle, zobaczę kilka pozbawionych znaczenia głazów stojących w kręgu na nieskoszonym polu, zdam sobie sprawę, jak bzdurna jest ta cała historia, i moje obsesje rozwieją się niczym nasiane dmuchawce na silnym wietrze. Chciałem tego. Ponieważ liczenie, dotykanie i układanie – te rzeczy są bardzo pracołłonne. I nakładają na człowieka wielką odpowiedzialność.

Po drodze podjechałem do punktu, gdzie oddałem wcześniej zdjęcia do wywołania, i zobaczyłem, że te, które zrobiłem wtedy wieczorem na Polu Ackermana, nie wyszły. Były całe szare, jakby coś je silnie napromieniowało. To mnie zastanowiło, ale nie powstrzymało. Pożyczyłem od jednego z ekspedientów aparat cyfrowy – ten, który spaliłem – i ruszyłem ponownie do Motton, szybko. Chce pan usłyszeć coś głupiego? Czułem się jak facet, którego poparzył sumak jadowity, jadący do apteki po maść cynkową. Ponieważ tak to odczuwałem – jak swędzenie. Liczenie, dotykanie i układanie można porównać do drapania, jednak drapanie przynosi w najlepszym razie wyłącznie chwilową ulgę. Częściej poszerza tylko swędzący obszar. Chciałem znaleźć jakieś lekarstwo. Wracając na Pole Ackermana, nie znalazłem go, ale przecież tego nie wiedziałem. Jak powiedział ktoś: uczymy się, działając. A jeszcze lepiej uczymy się, działając i popełniając błędy.



Dzień był piękny, bez jednej chmurki. Liście nadal były zielone, ale powietrze miało w sobie tę przejrzystość, którą obserwuje się tylko przy zmianie pór roku. Moja była żona mawiała, że takie dni wczesnej jesieni to nasza nagroda za to, że musimy się męczyć przez trzy miesiące z turystami i letnikami, stercząc w kolejce, podczas gdy oni kupują piwo na kartę kredytową. Czułem się dobrze, pamiętam to. Byłem pewien, że uda mi się skończyć z tym wariactwem. Słuchałem składanki największych przebojów Queen i myślałem, jak wspaniale brzmi głos Freddiego Mercury'ego, jak czysto. Śpiewałem razem z nim. Podjechałem do Androscoggin w Harlow – rzeka po drugiej stronie starego mostu Bale Road była tak jasna, że raziła oczy – i zobaczyłem wyskakującą z wody rybę. Roześmiałem się głośno. Nie śmiałem się tak od czasu tego wieczoru na Polu Ackermana i zabrzmiało to tak dobrze, że zaśmiałem się ponownie.

A potem w górę na Boy Hill – założę się, że pan wie, gdzie to jest – i obok cmentarza Serenity Ridge. Zrobiłem tam wcześniej parę dobrych zdjęć, chociaż nigdy nie zamieściłem żadnego w kalendarzu. W pięć minut dojechałem do polnej drogi. Zacząłem w nią skręcać, a potem wdepnąłem z całej siły hamulec. W ostatniej chwili. Gdybym się zawahał, rozwalilibym chłodnicę. Droga zagrodzona była łańcuchem, na którym wisiała nowa tabliczka z napisem WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Mogłem sobie oczywiście tłumaczyć, że to zbieg okoliczności, że osoba, do której należały te lasy i to pole – niekoniecznie facet o nazwisku Ackerman, ale niewykluczone – zakłada ten łańcuch i ten znak każdej jesieni, żeby zniechęcić myśliwych. Lecz sezon polowań na jelenie zaczyna się dopiero pierwszego listopada, a sezon polowań na ptaki dopiero w październiku. Myślę, że ktoś obserwuje to pole. Może przez lornetkę, a może innymi, mniej normalnymi metodami. Ten ktoś wiedział, że tam byłem i że mogę wrócić.

Skoro tak, dajmy temu spokój, pomyślałem sobie. Chyba że chcesz, żeby aresztowali cię za wkroczenie na cudzy teren, a może nawet zamieścili twoje zdjęcie w kronice kryminalnej miejscowej gazetki. To chyba nie będzie dobre dla twoich interesów?

Ale nie było mowy, żebym się zatrzymał, skoro miałem szansę pojechać na to pole, zobaczyć, że nic tam nie ma, i poczuć się lepiej. Tłumaczyłem sobie, że jeśli ktoś nie chce, bym wchodził na jego teren, to powinienem respektować jego życzenie. Ale liczyłem też litery na tej tabliczce i wyszło mi, że jest ich dwadzieścia jeden, co jest fatalną liczbą, o wiele gorszą od trzynastu. Wiedziałem, że szaleństwem jest myślenie w ten sposób, ale myślałem w ten sposób, i jakaś moja cząstka wiedziała, że to wcale nie jest takie szalone.

Zostawiłem toyotę na parkingu przy Serenity Ridge, a potem ruszyłem z powrotem polną drogą z przewieszonym przez ramię pożyczonym aparatem, schowanym w futerał zapinany na zamek błyskawiczny. Obszedłem łańcuch – nie było to trudne – i poszedłem dalej drogą prowadzącą na pole. Okazało się, że i tak musiałbym iść pieszo, ponieważ tym razem leżało na niej sześć albo siedem przewróconych drzew i nie były to wcale rachityczne brzoźki. Drogę przegradzało pięć okazałych rozmiarów sosen i jeden dojrzały dąb. Nie zwały się na

nią przypadkiem; ktoś ściął je piłą łańcuchową. W ogóle mnie to nie powstrzymało. Przeskoczyłem przez sosny i obszedłem dąb. A potem znalazłem się na wzniesieniu prowadzącym w stronę pola. Prawie nie spojrzałem na drugą tabliczkę: POLE ACKERMANA, ZAKAZ POLOWAŃ, WSTĘP WZBRONIONY. Widziałem przerzedzające się na szczycie wzniesienia drzewa, przeświecające przez nie promienie słońca, w których tańczyły drobiny kurzu, i widziałem nad nimi szeroką połąć nieba, sprawiającą wesołe, optymistyczne wrażenie. Było południe. W oddali nie dostrzegłem wielkiego krwawiącego węża, lecz rzekę Androscoggin, przy której dorastałem i którą zawsze kochałem – niebieska i piękna, tak jak piękne mogą być w swoich najlepszych chwilach zwyczajne rzeczy. Puściłem się biegiem. Szalony optymizm nie opuszczał mnie przez całą drogę pod górę, ale w chwili, gdy zobaczyłem głazy sterczące tam niczym kły, natychmiast się rozwiął. Zastąpiły go przerażenie i strach.

Głazów było znowu siedem. Tylko siedem. A pośrodku kręgu – nie wiem, jak to wytłumaczyć, żeby pan zrozumiał – ujrzałem wyblakłe miejsce. Właściwie nie cień, lecz coś bardziej podobnego do... wie pan, jak płowieją z czasem niebieskie dzinsy? Zwłaszcza w miejscach, gdzie się bardziej ścierają, na przykład na kolanach? To było coś takiego. Trawa przybrała brudny żółtozielony kolor, a niebo nad kamiennym kręgiem nie było błękitne, ale szarawe. Czuję, że jeśli tam zejdę – a jakaś moja częśćka bardzo tego chciała – wybije jednym ciosem otwór w tkaninie rzeczywistości. I że jeśli to zrobię, coś mnie złapie. Coś z drugiej strony. Byłem tego pewien.

Mimo to jakaś częśćka mnie chciała tego. Chciała... no nie wiem... skończyć tę grę wstępną i przejść od razu do rzeczy.

Widziałem – albo wydawało mi się, że widzę, nadal nie jestem pewien – miejsce, w którym powinien stać ósmy głaz, i widziałem tę... tę wyblakłość... wybrzuszącą się, próbującą przedostać się w punkcie, gdzie osłona głazów była słaba. Ogarnęło mnie przerażenie! Ponieważ gdyby to się udało, wszystkie nienazwane rzeczy z drugiej strony narodziłyby się w naszym świecie. Niebo poczerniałoby i pojawiłoby się na nim mnóstwo nowych gwiazd i chorych konstelacji.

Ściągnąłem z ramienia aparat, ale kiedy starałem się go wyjąć z futerału, wyslizgnął mi się z dłoni. Ręce mi drżały, jakbym dostał jakiegoś ataku. Podniosłem aparat i otworzyłem futerał, a kiedy spojrzałem ponownie na głazy, zobaczyłem, że miejsce pośrodku nie jest już spłowiałe. Robiło się czarne. I znowu widziałem oczy. Łypiące z ciemności. Tym razem były żółte, z wąskimi czarnymi źrenicami. Jak oczy kota. Albo oczy węża.

Próbowałem podnieść aparat do oka, lecz znowu go upuściłem. A kiedy po niego sięgałem, trawa zamknęła się nad nim i musiałem go wyciągać. Nie, musiałem go wrywać. Ukłąłem na ziemi i szarpałem oburącz pasek. Z miejsca, w którym powinien stać ósmy głaz, zerwał się wiatr. Zwiewał mi włosy z czoła. I śmierdział. Cuchnął padliną. Podniosłem aparat do oka, jednak z początku nic nie widziałem. To oślepiło aparat, pomyślałem, to w jakiś

sposób oślepiło aparat, ale potem przypomniałem sobie, że to cyfrowy nikon i trzeba go włączyć. Zrobiłem to – usłyszałem piknięcie – lecz nadal nic nie widziałem.

W tym momencie wiało już całkiem mocno. Trawa na całym polu unosila się i opadała wielkimi ciemnymi falami. Smród przybrał na sile. Na niebie nie było ani jednej chmurki, miało czysty błękitny kolor, ale mimo to robiło się coraz ciemniej. Jakby jakaś wielka niewidzialna planeta zasłaniała słońce.

Coś się odezwało. Nie po angielsku. To brzmiało jak „Cthun, cthun, deeyanna, deyanna”. A potem... Chryste... to coś wymówiło moje nazwisko. „Cthun, N., deeyanna, N.”, powiedziało. Chyba wrzasnąłem, lecz nie jestem pewien, ponieważ w tym momencie wiatr zmienił się w wichurę, która zahuczała mi w uszach. Powinienem wrzasnąć. Miałem wszelkie prawo wrzeszczeć wniebogłosy. Ponieważ to coś znało moje nazwisko! Ta groteskowa, niedająca się nazwać rzecz znała moje nazwisko. A później... aparat... wie pan, co sobie uświadomiłem?

*[Pytam, czy nie zdjął pokrywki z obiektywu, i N. wydaje przenikliwy chichot, który gra mi na nerwach i przywodzi na myśl skaczące po rozbitym szkłe szczury].*

Tak! Zgadza się! Pokrywka obiektywu! Pierdolona pokrywka obiektywu! Ściągnąłem ją i podniosłem aparat do oka – to cud, że znowu go nie upuściłem, tak bardzo trzęsły mi się ręce, a trawa nigdy by mi go nie oddała, nie, nigdy, bo za drugim razem była już na to gotowa. Jednak nie upuściłem go i widziałem obraz w wizjerze, i stało tam osiem głązów. Osiem. Ósemka utrzymuje porządek. Pośrodku nadal wirowała ciemność, ale ustępowała. A wiejący wokół mnie wiatr słabł.

Opuściłem aparat i głązów było siedem. Coś wylaniało się z mroku, coś, czego nie potrafię panu opisać. Widzę to... widzę to w moich snach, lecz nie ma słów na tego rodzaju potworności. Pulsujący skórzany kask – to chyba najbliższej oddaje tę rzecz. Kask z żółtymi goglami po obu stronach. Tyle że te gogle... Myślę, że to były oczy, i wiem, że się we mnie wpatrywały.

Podniosłem ponownie aparat do oka i zobaczyłem osiem głązów. Pstryknąłem sześć albo osiem zdjęć, jakbym chciał na zawsze zafiksować je w tym miejscu, ale to oczywiście nic nie dało, spaliłem tylko aparat. Obiektyw widzi te głązy, doktorze – jestem pewien, że można je również zobaczyć w lustrze albo przez zwykłą tafłę szkła – jednak nie potrafi ich zarejestrować. Jediną rzeczą, która potrafi je zarejestrować, jest ludzki umysł, ludzka pamięć. I nawet to, jak się przekonałem, nie jest wcale pewne. Liczenie, dotykanie i ustawianie odnosi przez jakiś czas skutek – jest paradoksem, że zachowania, które uważamy za neurotyczne, w rzeczywistości utrzymują świat w miejscu – ale wcześniej czy później ochrona, jaką zapewniają, słabnie. A wszystko to wymaga tyle pracy.

Tyle cholernej pracy.

Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy już dzisiaj skończyć. Wiem, że jest wcześnie, ale jestem bardzo zmęczony.

*[Mówię, że jeśli chce, przepiszę mu środek uspokajający – łagodny, ale skuteczniejszy od ambieny lub lunesty. Zadziała, jeżeli go nie przedawkuje. N. uśmiecha się do mnie].*

Będę panu wdzięczny, bardzo wdzięczny. Ale czy mogę prosić o uprzejmość?

*[Oczywiście, odpowiadam].*

Niech pan przepisze dwadzieścia, czterdzieści albo sześćdziesiąt tabletek. To wszystko dobre liczby.

[Następna sesja]

*[Mówię mu, że wygląda lepiej, chociaż to nieprawda. Wygląda jak człowiek, który trafi wkrótce do zakładu zamkniętego, jeśli nie uda mu się odnaleźć sposobu, żeby wrócić na swoją osobistą drogę numer 117. Nieważne, czy wykręci, czy będzie jechał tyłem, jednak musi uciec z tego pola. Podobnie jak ja. Pole N. śniło mi się i jestem pewien, że zdołałbym je znaleźć, gdybym tego chciał. Nie mówię, że chciałbym tego – podzielałbym w ten sposób urojenia mojego pacjenta – lecz jestem pewien, że zdołałbym je znaleźć. Pewnej nocy podczas ostatniego weekendu (kiedy sam miałem kłopoty z zaśnięciem) przyszło mi do głowy, że musiałem mijać je nie raz, ale setki razy. Ponieważ setki razy przejeżdżałem przez most Bale Road i tysiące razy obok cmentarza Serenity Ridge; tą trasą jechał autobus do podstawówki Jamesa Lowella, do której chodziliśmy ja i Sheila. Więc to oczywiste, mogę je znaleźć. Jeśli będę tego chciał. Jeśli istnieje].*

*[Pytam, czy lekarstwo pomogło i czy lepiej śpi. Czarne kręgi pod jego oczyma przeczą temu, ale jestem ciekaw, jak zareaguje].*

O wiele lepiej. Dziękuję. I ustąpiły trochę zaburzenia.

*[Kiedy to mówi, jego ręce – bardziej prawdopodobne niż on sam – przesuwają ukradkiem wazon i pudełko z kleeneksami na przeciwległe rogi stolika przy kozetce. Sandy wstawiła dziś róże. N. układa je tak, żeby połączyły pudełko i wazon. Pytam go, co wydarzyło się po tym, jak pojechał na Pole Ackermana z pożyczonym aparatem. Wzrusza ramionami].*

Nic. Tyle że musiałem oczywiście zapłacić za nikona, który pożyczyłem od tego faceta ze sklepu. Wkrótce zaczął się naprawdę sezon polowań i te lasy zrobiły się niebezpieczne nawet dla kogoś, kto ubiera się od stóp do głów na pomarańczowo. Chociaż właściwie wątpię, żeby w okolicy żyły jakieś jelenie. Trzymają się chyba z dala od tego miejsca.

Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne trochę zelżały i zacząłem ponownie spać w nocy. To znaczy... czasami. No i miałem oczywiście sny. Stałem w nich zawsze na polu, próbując wyciągnąć aparat z trawy, ale go nie puszczała. Czerń wylewała się z kręgu niczym ropa i kiedy podnosiłem wzrok, widziałem, jak niebo pęka od wschodu do zachodu i wylewa się z niego straszliwe czarne światło... światło, które żyje. I jest głodne. Wtedy właśnie się budziłem, zlany potem. Czasami z krzykiem.

A potem, na początku grudnia, do mojego biura przyszedł list. Na kopercie był napis DO RAJK WŁASNYCH, w środku jakiś mały przedmiot. Rozdarłem ją i na biurko wypadł mały

kluczyk z przywieszką. Na przywieszce były dwie litery RA. Wiedziałem, co to było i co znaczyło. Gdyby do kluczyka dołączony był list, jego treść byłaby następująca: „Próbowałem zakazać Ci wstępu. To nie jest moja wina i być może nawet nie Twoja, ale tak czy inaczej ten klucz i wszystko, co otwiera, należy teraz do Ciebie. Dobrze się nim zaopiekuj”.

W tamten weekend pojechałem ponownie do Motton, lecz nie zaparkowałem przy Serenity Ridge. Nie musiałem już tego robić, rozumie pan. Portland i inne małe miejscowości, przez które przejeżdżałem, były świątecznie udekorowane. Panował przejmujący chłód, ale nie spadł jeszcze śnieg. Wie pan, jak przed pierwszym śniegiem zawsze robi się zimniej? Tak właśnie było tamtego dnia. Lecz niebo było zachmurzone i śnieg w końcu spadł, w nocy przysła śnieżycą. Potężna. Pamięta pan?

*[Odpowiadam, że pamiętam. Mam powody ją pamiętać (choć mu ich nie wyjawiam). Sheilę i mnie zasypało w naszym rodzinnym domu, do którego pojechaliśmy sprawdzić wykonane prace remontowe. Wstawiliśmy się trochę i tańczyliśmy przy starych kawałkach Beatlesów i Rolling Stonesów. Było przyjemnie].*

Drogę nadal zagrażał łańcuch, lecz klucz z napisem PA. pasował do kłódki. A zwalone na drogę drzewa ściągnięto na bok. Zgodnie z tym, czego się spodziewałem. Nie miało sensu dalsze blokowanie drogi, ponieważ to pole było teraz moim polem, te głazy były teraz moimi głazami, i to ja stałem się odpowiedzialny za to, czego strzegły.

*[Pytam go, czy się bał, przekonany, że odpowie twierdząco. Ale N. mnie zaskakuje].*

Nie bardzo, nie. Ponieważ to miejsce wyglądało inaczej. Zdałem sobie sprawę z tego w chwili, gdy zjechałem z drogi numer 117. Czułem to. I otwierając kłódkę moim nowym kluczem, słyszałem krakanie wron. Normalnie uznałbym to za brzydki dźwięk, jednak tego dnia wydał mi się słodki. Wiem, że może to zabrzmieć pretensjonalnie, ale kojarzył mi się z odkupieniem.

Wiedziałem, że na Polu Ackermana będzie osiem głazów, i nie myliłem się. Wiedziałem, że nie będą sprawiać wrażenia stojących w kręgu, i co do tego też się nie myliłem; wyglądały ponownie jak przypadkowe formacje, fragment skalnego podłoża, które wypiętrzyło się w rezultacie ruchów tektonicznych i które odsłonił cofający się przed osiemdziesięcioma tysiącami lat lodowiec albo o wiele późniejsza powódź.

Rozumiałem także inne rzeczy. Jedną z nich było to, że aktywowałem to miejsce, po prostu na nie patrząc. Ludzkie oczy usuwają ósmy głaz. Obiektyw aparatu przywraca go, jednak nie na stałe. Musiałem go chronić, wykonując akty symboliczne.

*[N. przerywa, żeby się zastanowić, i kiedy odzywa się ponownie, zmienia temat].*

Wie pan, że Stonehenge może być połączeniem zegara i kalendarza?

*[Mówię, że gdzieś o tym czytałem].*

Ludzie, którzy zbudowali ten i inne podobne do niego obiekty, musieli wiedzieć, że potrafią określić czas co najwyżej za pomocą zegara słonecznego. Co się tyczy kalendarza, wiemy, że prehistoryczne ludy w Europie i Azji odróżniały dni, robiąc po prostu znaki na

osłoniętych skalnych ścianach. A zatem czym jest Stonehenge, jeżeli zbudowano go jako gigantyczny zegar i kalendarz? Jest pomnikiem zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, tak właśnie myślę: gigantyczną neurozą stojącą na polu pod Salisbury.

Chyba że poza odliczaniem godzin i miesięcy Stonehenge ma za zadanie coś chronić. Strzeże chorego wszechświata, który przypadkowo leży tuż obok naszego. Bywają dni – wiele dni, zwłaszcza ostatniej zimy, w trakcie której czułem się właściwie tak samo jak dawniej – kiedy jestem pewien, że to wszystko brednie, że wszystko, co zdawało mi się, że widzę na Polu Ackermana, działo się w mojej własnej głowie. Że całe to obsesyjno-kompulsywne gówno to po prostu psychiczna czkawka.

Ale bywają i inne dni – zaczęły się ponownie wiosną tego roku – kiedy uważam, że to wszystko prawda: rzeczywiście coś aktywowałem. I robiąc to, stałem się ostatnim uczestnikiem bardzo długiej sztafety, która trwa być może od prehistorycznych czasów. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak wariactwo – w przeciwnym razie po co opowiadałbym o tym psychiatrze? – i czasem przez długie dni jestem pewien, że to wariactwo. Nawet kiedy liczę różne rzeczy, chodzę nocą po domu, dotykając kontaktów i palników kuchenki, jestem pewien, że to wszystko wynika po prostu... no wie pan... z niewłaściwych reakcji chemicznych w mojej głowie i że można temu zaradzić, łykając kilka tabletek.

Byłem tego pewien zwłaszcza zimą, kiedy wszystko dobrze się układało. W każdym razie lepiej. Ale w kwietniu tego roku sytuacja zaczęła się znowu pogarszać. Coraz częściej liczyłem, coraz częściej dotykałem i układałem prawie wszystko, co nie było ustawione w kręgach albo ukośnie względem siebie. Moją córkę – tę, która chodzi do szkoły niedaleko stąd – ponownie zaczęło niepokoić to, jak wyglądam i jaki jestem roztrzęsiony. Zapytała, czy to ma związek z rozwodem, a kiedy odpowiedziałem, że nie, zrobiła taką minę, jakby mi nie uwierzyła. Zapytała, czy nie myślałem, żeby „się do kogoś wybrać”, no i jestem tu, na Boga.

Znowu zaczęły mnie dręczyć koszmary. Pewnej nocy na początku maja obudziłem się z krzykiem na podłodze sypialni. We śnie widziałem wielkie szaroczarne monstrum, skrzydlatą potworną istotę ze skórzaną głową podobną do hełmu. Miała co najmniej milę wysokości i stała nad zgliszczami Portlandu – widziałem strzępy chmur opływające jej pokryte zbroją ramiona. W zaciśniętych pazurach trzymała wrywających się, krzyczących ludzi. I wiedziałem – nie miałem cienia wątpliwości – że ta istota wydostała się z głazów stojących na Polu Ackermana i że jest zaledwie pierwszą i najmniejszą z plag, które grożą nam ze strony tego innego świata. I że to moja wina. Ponieważ nie dopełniłem swoich obowiązków.

Przebiegłem na chwiejnych nogach przez dom, układając przedmioty w kręgach, a potem licząc je, żeby upewnić się, że ich liczba w każdym kręgu jest parzysta, i nagle uświadomiłem sobie, że nie jest jeszcze za późno, że to dopiero się budzi.

[*Pytam go, co takiego się budzi.*]

Moc! Pamięta pan *Gwiezdne wojny*? „Użyj mocy, Luke”?

[*Śmieje się dziko.*]

Tyle że tym razem chodzi o to, żeby nie użyć mocy! Powstrzymać moc! Uwięzić moc! Uwięzić chaotyczne coś, które usiłuje się przedostać w tym cienkim miejscu – i jak sądzę, we wszystkich innych cienkich miejscach na świecie. Czasami wydaje mi się, że na przestrzeni wieków ta moc zostawiła po sobie... niczym potworne odciski stóp... wiele zniszczonych wszechświatów...

*[Mówi coś tak cicho, że tego nie słyszę. Proszę go, żeby powtórzył, lecz on potrząsa głową].*

Niech pan mi poda swój blok, doktorze. Napiszę to. Jeżeli to, co mówię, jest prawdą a nie tylko wynikiem tego, że mam porąbane w głowie, niebezpiecznie jest wymawiać głośno to imię.

*[Pisze dużymi drukowanymi literami słowo CTHUN. Pokazuje mi kartkę, a kiedy kiwam głową, drze ją na kawałki, liczy je – żeby, jak sądzę, upewnić się, że jest ich parzysta liczba – i wyrzuca do kosza przy kozetce].*

Klucz, ten, który dostałem pocztą spoczywał w moim domowym sejfie. Wziąłem go i pojechałem ponownie do Motton – przez most, obok cmentarza i w górę tą cholerną polną drogą. Nie myślałem o tym, ponieważ nie był to rodzaj decyzji, którą trzeba przemyśleć. To tak jakby ktoś zastanawiał się, czy zerwać zasłony w salonie, kiedy wrócił do domu i zobaczył, że się palą. Nie – po prostu tam pojechałem.

Ale zabrałem aparat. Niech pan mi lepiej wierzy.

Obudziłem się z koszmaru mniej więcej o piątej rano, więc kiedy dotarłem na Pole Ackermana, było jeszcze wczesnie. Rzeka Androscoggin była piękna – nie wyglądała jak wąż, lecz jak długie srebrne lustro, z delikatnymi nitkami mgły, które unosiły się nad powierzchnią i rozpościerały nad nią wskutek, nie wiem, inwersji temperatury, czy jak to się nazywa. Ta rozpościerająca się nad rzeką chmura dokładnie odwzorowywała jej zakręty i zakola – wyglądała niczym jej szybująca w powietrzu dusza.

Na polu znowu rosła trawa i zazieleniła się większość krzaków sumaka, ale zauważyłem coś dziwnego. I niezależnie, ile tych innych rzeczy jest wytworem mojej wyobraźni (a bardzo chciałbym przyznać, że tak właśnie jest), to była prawda. Mam zdjęcia, które to potwierdzają. Są zamazane, jednak na kilku widać, że krzaki sumaka zmutowały. Liście na nich nie są zielone, lecz czarne, a gałązki powykręcane... w kształty podobne do liter, które tworzą... no wie pan... jego imię.

*[N. wskazuje kosz na śmieci, do którego wyrzucił wcześniej strzępy papieru].*

Wewnątrz kręgu ponownie pojawiła się ciemność – głazów było oczywiście siedem, dlatego mnie tam ciągnęło – lecz nie zobaczyłem oczu. Dzięki Bogu, zdążyłem na czas. Była tam tylko ciemność, która obracała się i obracała, szydząc jakby z piękna tego cichego wiosennego poranka, naigrawając się z kruchości naszego świata. Widziałem za nią Androscoggin, ale ciemność – niemal biblijna ciemność przypominająca kolumnę dymu – zmieniała rzekę w brudną szarą plamę.

Podniosłem aparat do oka – pasek miałem założony na szyję, więc nawet gdybym go upuścił, nie wpadłby między źdźbła trawy – i spojrzałem przez wizjer. Osiem głązów. Opuściłem go i znowu było siedem. Spojrzałem przez wizjer i zobaczyłem osiem. Kiedy opuściłem aparat po raz drugi, ósemka pozostała. Wiedziałem jednak, że to za mało. Wiedziałem, co muszę zrobić.

Podejście do tego kamiennego kręgu było najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu. Szelest trawy ocierającej się o mankiety moich spodni brzmiał niczym chrapliwy, niski krzyk protestu, ostrzegający mnie, żebym trzymał się z daleka. W powietrzu rozchodził się zapach choroby. Zapach raka i rzeczy, które mogą być jeszcze gorsze, zarazków nieistniejących w naszym świecie. Skóra zaczęła mi chrzęścić i miałem wrażenie – prawdę mówiąc, nie pozbyłem się go aż do dzisiaj – że jeżeli przejdę między dwoma głązami do środka kręgu, moje ciało rozpuści się i spłynie z kości. Słyszałem wiatr, który czasami stamtąd wieje, wiatr, który zamieniał się w cyklon. I wiedziałem, że to nadchodzi. Ta rzecz z głową podobną do hełmu.

*[N. ponownie wskazuje strzępy papieru w koszu na śmieci].*

To nadchodziło i gdybym zobaczył je z tak niewielkiej odległości, z pewnością bym oszalał. Zakończyłbym życie w tym kręgu, robiąc zdjęcia, na których widać by było tylko szare chmury. Ale coś gnało mnie do przodu. I kiedy tam wszedłem...

*[N. wstaje i obchodzi dookoła kozetkę. Kroki, które stawia – poważne i zarazem skoczne niczym kroki dziecka bawiącego się w kółko graniaste – przejmują nie wiedzieć czemu dreszczem. Zataczając krąg, dotyka kolejno głązów, których nie widzę. Raz... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem... osiem. Bo ósemka utrzymuje porządek. Następnie zatrzymuje się i patrzy na mnie. Miałem pacjentów, którzy przechodzili poważny kryzys – wielu pacjentów – ale u żadnego nie widziałem takiego udręczonego spojrzenia. Widzę w nim przerażenie, lecz nie obłąd; raczej jasność umysłu niż dezorientację. To muszą być oczywiście urojenia, jednak nie ulega wątpliwości, że N. doskonale to rozumie].*

*[„Wszedł pan do środka i dotknął ich”, mówię].*

Tak, dotknąłem ich, jednego po drugim. I nie mogę powiedzieć, żebym poczuł, że świat staje się bezpieczniejszy – bardziej solidny, bardziej zakotwiczony – po dotknięciu każdego z nich, bo skłamałbym. Działo się tak dopiero po każdych dwóch głązach. Liczby parzyste, rozumie pan? Obracający się, ciemny tuman ustępował po dotknięciu każdej pary głązów i kiedy dotarłem do ósmego, całkiem zniknął. Trawa wewnątrz kręgu była pożółkła i zwiędła, ale ciemność zniknęła. I gdzieś daleko usłyszałem śpiew ptaków.

Dałem krok do tyłu. Słońce wspięło się już całkiem wysoko i unosząca się nad rzeką dusza zniknęła. Głazy ponownie wyglądały jak głązy. Osiem granitowych formacji stojących na polu, nawet nie w kręgu, chyba że ktoś bardzo wysili wyobraźnię. I poczułem się rozdarty. Jedna część mojego umysłu wiedziała, że to wszystko jest tylko wytworem wyobraźni i że ta



wyobraźnia cierpi na jakąś chorobę. Druga część wiedziała, że to wszystko prawda. Ta część rozumiała nawet, dlaczego sytuacja na chwilę się poprawiła.

Chodzi o letnie przesilenie, rozumie pan? Podobne rzeczy widuje się na całym świecie – nie tylko w Stonehenge, ale w Ameryce Południowej, Afryce, nawet Arktyce! Widuje się je na amerykańskim Środkowym Zachodzie – widziała to nawet moja córka, chociaż nie ma o tym pojęcia! Kręgi zbożowe, powiedziała. Te kalendarze – w Stonehenge i gdzie indziej – odmierzają nie tylko dni i miesiące, ale momenty większego i mniejszego zagrożenia.

To pęknięcie w moim umyśle rozdzierało mnie na dwie części. Dalej mnie rozdziera. Od tamtego dnia byłem tam co najmniej kilkanaście razy, również dwudziestego pierwszego – musiałem wtedy odwołać u pana wizytę, pamięta pan?

*[Mówię, że pamiętam, oczywiście, że pamiętam].*

Cały tamten dzień spędziłem na Polu Ackermana, obserwując i licząc. Ponieważ dwudziestego pierwszego przypada letnie przesilenie. Dzień największego zagrożenia. W czasie zimowego przesilenia w grudniu z kolei zagrożenie jest najmniejsze. Tak było w zeszłym roku, w tym i tak jest od początku czasu. I w nadchodzących miesiącach – przynajmniej do jesieni – mam pełne ręce roboty. Dwudziestego pierwszego... nie potrafię panu powiedzieć, jakie to było straszne. To, jak ósmy gładz pojawiał się i znikał. To, ile trudu kosztowało powołanie go z powrotem do istnienia. To, jak ciemność gęstniała i ustępowała... gęstniała i ustępowała... niczym przypływ i odpływ. W pewnym momencie przysnąłem i gdy się ocknąłem, zobaczyłem nieludzkie oko – potworne oko o trzech powiekach – które mi się przyglądało. Wrzasnąłem, lecz nie uciekłem. Ponieważ ode mnie zależał los świata. Który nic o tym nie wiedział. Zamiast uciec, podniosłem aparat i spojrzałem przez wizjer. Osiem gładzów. Żadnego oka. Ale później starałem się już nie zasypiać.

Krąg w końcu się ustabilizował i wiedziałem, że mogę odejść. Przynajmniej tego dnia. Słońce zaczęło już wtedy zachodzić, podobnie jak pierwszego dnia: ognista kula nad horyzontem, zmieniająca Androscoggin w krwawiącego węża.

I doktorze... niezależnie od tego, czy to prawda, czy urojenie, zadanie jest równie trudne. I odpowiedzialność! Jestem taki zmęczony. Niech pan to sobie wyobrazi: na moich barkach spoczywa los całego świata.

*[N. kładzie się ponownie na kozetce. Jest postawnym mężczyzną, lecz teraz robi wrażenie małego i skurczonego. Uśmiecha się].*

Będę miał lżej przynajmniej w zimie. Jeśli dożyję. I wie pan co? Wydaje mi się, że nasze spotkania dobiegły końca. „Na tym kończymy dzisiejszy program”, jak mówią w radiu. Chociaż... kto wie. Może jeszcze pan mnie spotka. Albo przynajmniej dostanie ode mnie wiadomość.

*[Mówię mu, że wcale tak nie jest, że czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. Mówię, że dźwiga brzemię: niewidzialnego goryla, który siedzi mu na plecach, i że razem możemy kazać mu zejść. Mówię, że może nam się udać, ale to wymaga czasu. Mówię to wszystko i wypisuję mu*

*dwie recepty, lecz w głębi serca wiem, że mówi serio: skończył z tym. Bierze ode mnie recepty, ale to koniec. Być może kończy ze mną; być może ze swoim życiem].*

Dziękuję, doktorze. Za wszystko. Za to, że mnie pan wysłuchał. A jeśli chodzi o to...

*[Wskazuje stolik za kozetką i ułożone przez niego przedmioty].*

Na pana miejscu nic bym tu nie przestawiał.

*[Daję mu kartę z datą następnego spotkania, a on chowa ją starannie do kieszeni. I kiedy dotyka jej, aby upewnić się, że tam tkwi, myślę, że może się mylę, może rzeczywiście zobaczę go piątego lipca. Myliłem się już wcześniej. Polubiłem N. i nie chcę, żeby wkroczył na dobre w ten kamienny krąg. Istnieje tylko w jego umyśle, jednak to wcale nie znaczy, że nie jest prawdziwy].*

[Koniec ostatniej sesji]

#### **4. Manuskrypt doktora Bonsainta (fragmenty)**

5 lipca 2007

Zadzwoiłem do niego do domu, kiedy przeczytałem nekrolog. Odebrała C., córka, która chodzi tu do szkoły w Maine. Była wyjątkowo opanowana i stwierdziła, że w głębi duszy jej to nie zaskoczyło. Powiedziała, że pierwsza dotarła do domu N. w Portlandzie (w lecie pracuje w pobliskim Camden), ale słyszałem, że w domu są razem z nią inne osoby. To dobrze. Rodzina ma wiele funkcji, lecz najbardziej podstawowa z nich polega chyba na tym, by zbierać się, gdy umiera jeden z jej członków. I jest to szczególnie ważne, kiedy ktoś ginie nagle i niespodziewanie – jak to się dzieje, gdy mamy do czynienia z morderstwem lub samobójstwem.

Wiedziała, kim jestem. Nie owijała niczego w bawełnę. Tak, to było samobójstwo. Popelnione w samochodzie. W garażu. Uszczelnił drzwiczki ręcznikami i jestem pewien, że ich liczba była parzysta. Dziesięć albo dwadzieścia; według N. obie liczby były dobre. Trzydziestka nie jest już taka dobra, lecz czy ludzie – zwłaszcza mieszkający samotnie mężczyźni – mają w domu aż trzydzieści ręczników? Jestem pewien, że nie. Ja tyle nie mam.

Będzie dochodzenie, powiedziała. Znajdą w jego organizmie leki – niewątpliwie te przepisane przeze mnie – ale zapewne nie w śmiertelnej dawce. Nie ma to zresztą większego znaczenia; N. jest martwy bez względu na przyczynę śmierci.

Zapytała, czy przyjdę na pogrzeb. Byłem wzruszony. Właściwie aż do łez. Powiedziałem, że owszem, jeśli rodzina nie ma nic przeciwko. Oczywiście, że nie ma, odparła nieco zaskoczona... dlaczego mieliby mieć coś przeciwko?

– Ponieważ nie zdołałem mu w końcu pomóc – odparłem.

– Próbował pan. I to się liczy. – Ponownie poczułem, jak pieką mnie oczy. Ta jej uprzejmość...

Przed końcem rozmowy zapytałem, czy zostawił jakiś list. Odparła, że tak. Trzy słowa. *Jestem taki zmęczony*. Powinien dodać swoje imię. To dałoby cztery słowa.

7 lipca 2007

Zarówno w kościele, jak i na cmentarzu rodzina N. – zwłaszcza C. – zaakceptowała mnie i traktowała jak swojego. Cud rodziny, która może otworzyć swój krąg nawet w tak krytycznych chwilach. Nawet żeby przyjąć obcego. Było prawie sto osób, w tym wielu znajomych z pracy. Płakałem przy grobie. Wcale mnie to nie zaskoczyło ani nie zawstydziło: czasami terapeuta bardzo mocno identyfikuje się z pacjentem. C. wzięła mnie za rękę, uściskała i podziękowała za to, że próbowałem pomóc ojcu. Odparłem, że jest mi bardzo miło, ale czułem się jak uzurpator, nieudacznik.

Piękny letni dzień. Cóż za kpina.

Dzisiaj puściłem sobie nagrania naszych sesji. Chyba je spiszę. Historia N. to materiał przynajmniej na jeden artykuł – niewielki przyczynek do literatury na temat zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych – a może na coś większego. Na książkę. Mimo to się waham. Tym, co mnie powstrzymuje, jest świadomość, że musiałbym odwiedzić to pole i porównać fantazje N. z rzeczywistością. Jego świat z moim. Jestem przekonany, że to pole istnieje. A głązy? Tak, prawdopodobnie są i głązy. Pozbawione znaczenia poza tym, które przydała im jego obsesja.

Dziś wieczorem mamy piękny zachód słońca.

17 lipca 2007

Wziąłem dzień wolnego i pojechałem do Motton. Nie dawało mi to spokoju i w końcu uznałem, że nie ma powodu, żebym tam się nie wybrał. Nasza matka powiedziałaaby, że marudzę. Jeżeli mam zamiar opisać przypadek N., takie marudzenie musi się skończyć. Raz na zawsze. Pamiętając z dzieciństwa punkty orientacyjne, o których wspominał N. – most Bale Road (ja i Sheila nazywaliśmy go mostem Sto Procent, ale nie pamiętam już z jakiego powodu), Boy Hill, a zwłaszcza cmentarz Serenity Ridge – miałem nadzieję, że znajdą drogę bez większych problemów. I tak też się stało. Nie musiałem się długo zastanawiać, ponieważ była to jedyna polna droga z zawieszonym w poprzek łańcuchem i tabliczką WSTĘP WZBRONIONY.

Zostawiłem samochód na parkingu przy cmentarzu, tak jak to wcześniej zrobił N. Chociaż był jasny gorący letni dzień, słyszałem tylko kilka ptaków; ich śpiew dobiegał z bardzo daleka. Szosą numer 117 nie jechały żadne pojazdy poza przeładowaną ciężarówką do przewozu miazgi drzewnej, która minęła mnie, gnając siedemdziesiąt mil na godzinę. Podmuch gorącego powietrza i spalin zwał mi włosy z czoła i później byłem już tylko ja sam. Przypomniałem sobie, jak spacerowałem w dzieciństwie do mostu Sto Procent, trzymając na

ramieniu małą wędkę Zebco niczym żołnierski karabin. Nie bałem się wówczas niczego i powiedziałem sobie, że nie boję się i teraz.

Ale bałem się. I wcale nie uważałem tego lęku za całkowicie irracjonalny. Cofanie się do źródeł choroby psychicznej pacjenta nigdy nie jest przyjemne.

Stałem przy łańcuchu, pytając się, czy naprawdę chcę tam wejść – nie tylko na działkę, która do mnie nie należy, lecz na teren obsesyjno-kompulsywnych fantazji, które zabiły najprawdopodobniej swojego autora. (Bądź też ujmując to bardziej precyzyjnie: człowieka, którego umysłem ośwładnęły). Wybór nie był już taki oczywisty jak rankiem, kiedy wkładałem dzinsy i stare turystyczne buty. Rankiem wydawało się to proste: „Jedź tam i porównaj rzeczywistość z fantazjami N. albo nie myśl dłużej o artykule (lub książce)”. Jednak czym jest rzeczywistość? I kim jestem ja, by uważać, że świat odbierany przez zmysły doktora B. jest bardziej „realny” od tego odbieranego przez nieżyjącego już księgowego N.?

Odpowiedź na to pytanie wydawała się dość jasna: doktor B. jest człowiekiem, który nie popełnił samobójstwa, człowiekiem, który nie liczy, nie dotyka i nie ustawia, człowiekiem, który uważa, że liczby, parzyste czy nieparzyste, są tylko liczbami. Doktor B. jest człowiekiem, który potrafi stawić czoło światu. Podczas gdy księgowy N. tego nie umiał. Z tego względu postrzeganie rzeczywistości przez doktora B. jest bardziej wiarygodne od postrzegania rzeczywistości przez księgowego N.

Ale kiedy się tam znalazłem i odczułem emanującą z tego miejsca cichą moc (nawet u wylotu drogi, gdy stałem po drugiej stronie łańcucha), przyszło mi do głowy, że w gruncie rzeczy wybór jest o wiele prostszy: mogłem albo pójść pustą drogą na Pole Ackermana, albo zawrócić do samochodu i odjechać. Zapomnieć o ewentualnej książce, zapomnieć o bardziej prawdopodobnym artykule. Zapomnieć o N. i zająć się własnym życiem.

Tyle że... Tyle że...

Odjazd stamtąd mógł (powtarzam: mógł) oznaczać, że na pewnym poziomie, gdzieś głęboko w mojej podświadomości, gdzie nadal funkcjonują w najlepsze wszystkie stare przesady (współdziałając ze wszystkimi starymi krwawymi żądzami), uwierzyłem podobnie jak N., że na Polu Ackermana znajduje się cienkie miejsce chronione przez magiczne, stojące w kręgu głązy, i że idąc tam, reaktywuję jakiś straszny proces, jakieś straszliwe zmagania, którym zdaniem N. mogło zapobiec (przynajmniej na jakiś czas) jego samobójstwo. Oznaczałoby to, że uwierzyłem (na tym samym głębokim poziomie, na którym jesteśmy do siebie podobni niczym mrówki mżolące się w podziemnym mrowisku), że mam być następnym strażnikiem. Że zostałem powołany. A jeśli dopuszczę do siebie taką myśl...

– Moje życie nigdy już nie będzie takie samo – powiedziałem na głos. – Nigdy już nie będę mógł spojrzeć w ten sam sposób na otaczający świat.

Nagle sprawa zrobiła się bardzo poważna. Czasami przecież schodzimy z kursu, prawda? Trafiamy do miejsc, gdzie nie jest łatwo podjąć właściwą decyzję, a konsekwencje złego wyboru okazują się fatalne. Grożą utratą życia albo zdrowia.

A może... tak naprawdę nie mamy żadnego wyboru? Może to tylko złudzenie?

Odsunąłem od siebie tę myśl i precyzyjnie się obok jednego ze słupków, na których wisiał łańcuch. Bywałem nazywany znachorem zarówno przez pacjentów, jak i moich kolegów (mam nadzieję, że przynajmniej ci ostatni żartowali), lecz nie chciałem o sobie myśleć w ten sposób; nie chciałem spoglądać w lustro podczas golenia i myśleć: Oto człowiek, dla którego w krytycznym momencie drogowskazem nie był jego własny intelekt, lecz urojenia zmarłego pacjenta.

Drogi nie tarasowały żadne drzewa, ale zobaczyłem kilka brzoź i sosen leżących w rowie po wyższej stronie zbocza. Mogły przewrócić się i zostać ściągnięte na bok w tym, a może zeszłym roku. Lub jeszcze wcześniej. Nie potrafiłem tego rozstrzygnąć. Nie znam się na drzewach.

Ruszyłem pod górę i zobaczyłem, że las przerzedza się po obu stronach drogi, odsłaniając szeroką połąć letniego nieba. To było tak, jakbym wchodził w umysł N. Zatrzymałem się w połowie wzniesienia nie dlatego, że zabrakło mi tchu, ale żeby po raz ostatni zapytać się, czy tego naprawdę chcę. A potem poszedłem dalej.

Żałuję, że to zrobiłem.

Było tam pole i widok na zachód słońca był istotnie taki wspaniały, jak sugerował to N. – naprawdę zapierał dech. Mimo że słońce było żółte, nie czerwone, i wisiało wysoko, a nie nad samym horyzontem. Leżały tam również głazy, mniej więcej czterdzieści jardów w dół wzniesienia. I owszem, tworzą coś w rodzaju kręgu, chociaż w żadnym wypadku nie tak regularnego jak ten w Stonehenge. Policzyłem je. Było ich osiem, tak jak mówił N.

(Z wyjątkiem tych chwil, gdy mówił, że widział ich siedem).

Trawa wewnątrz tego nieregularnego kręgu rzeczywiście wydawała się trochę przerzedzona i żółta w porównaniu z zieloną, sięgającą prawie do pasa gęstwiną na pozostałej części pola (które ciągnie się aż do mieszanego, dębowego, jodłowego i brzoźowego lasu na dole), ale z pewnością nie była zwiędła. Moją uwagę przyciągnęła niewielka kępa krzaków sumaka. One też nie zwiędły – takie przynajmniej odniosłem wrażenie – lecz ich liście były czarne, a nie zielone z czerwonymi żyłkami, i nie miały normalnego kształtu. Było w nich coś chorego i z jakiegoś powodu z trudem na nie patrzyłem. Naruszały porządek, którego oczekiwałem wzrok. Nie mogę tego lepiej ująć.

Mniej więcej dziesięć jardów od miejsca, w którym stałem, zobaczyłem coś białego we wnętrzu jednego z tych krzaków. Podeszedłem bliżej i rozpoznawszy kopertę, domyśliłem się, że zostawił ją dla mnie N. Jeżeli nie w dniu swojego samobójstwa, to niewiele wcześniej. Poczulem straszliwy ucisk w żołądku. Zdałem sobie jasno sprawę, że przychodząc tutaj (jeżeli to była w ogóle moja decyzja), dokonałem złego wyboru. I że musiałem go dokonać, ponieważ nauczono mnie, że bym ufał swojemu intelektowi, a nie instynktom.

Brednie. Wiem, że nie powinienem myśleć w ten sposób.

Oczywiście (i w tym tkwi problem!) N. również o tym wiedział, a mimo to dalej w ten sposób rozumował. Licząc ręczniki nawet w momencie, gdy szykował się do własnego...

Żeby dopilnować, że ich liczba jest parzysta.

Cholera. Umysł płata czasem dziwne figle, prawda? Cienie zmieniają się w twarze.

Kopertę włożono do przezroczystej plastikowej torebki, żeby nie zamokła. Wydrukowane na niej nazwisko było wyraźne i doskonale widoczne. **DR JOHN BONSAINT.**

Wyjąłem ją z torebki i spojrzałem ponownie na głązy. Nadal było ich osiem. Oczywiście, że osiem. Ale nie śpiewał ani jeden ptak, nie cykał ani jeden świerszcz. Dzień wstrzymał oddech. Każdy cień miał wyraźną obwódkę. Zrozumiałem teraz, co miał na myśli N., mówiąc o wrażeniu cofnięcia się w czasie.

Coś było w kopercie. Czułem, jak przesuwa się w jej wnętrzu, i moje palce zgadły, co to jest, zanim jeszcze rozdarłem ją z brzegu, i ta rzecz wypadła na moją rozłożoną dłoń. Klucz.

Znalazłem tam również liścik. Tylko dwa słowa. *Przepraszam, doktorze.* I oczywiście jego podpis. Tylko imię. To dawało razem trzy słowa. Niezbyt dobra liczba. Przynajmniej według N.

Wsadziłem klucz do kieszeni i stanąłem przy krzaku sumaka, który wcale nie wyglądał jak krzak sumaka – czarne liście, gałązki powykręcane tak dziwnie, że wyglądały niemal jak runy, albo litery...

Nie CTHUN!

...i postanowiłem, że pora odejść. Dosyć tego. Jeśli coś spowodowało mutację krzaków, jakieś czynniki środowiskowe, które zatruiły grunt, trudno. Krzaki nie są istotną częścią tego krajobrazu; są nią głązy. Jest ich osiem. Sprawdziłeś świat i okazało się, że jest taki, jaki miałeś nadzieję, że jest, taki, jaki wiedziałeś, że będzie, taki, jaki zawsze był. Jeśli to pole wydaje ci się zbyt ciche – jeśli uważasz, że kryje jakąś groźbę – dzieje się tak niewątpliwie pod wpływem opowieści N. Nie mówiąc już o jego samobójstwie. A teraz zajmij się własnym życiem. Nie przejmuj się ciszą ani poczuciem – mrocznym niczym burzowa chmura – że coś czai się w tej ciszy. Zajmij się swoim życiem, doktorze B.

Wycofaj się, póki jeszcze możesz.

Wróciłem do końca drogi. Szelest ocierającej się o moje dzinsy wysokiej trawy brzmiał jak niski, zachłystujący się krzyk. Słońce grzało mi kark i ramiona.

Poczułem pragnienie, żeby się obejrzeć. Silne pragnienie. Przez chwilę z nim walczyłem i przegrałem.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem siedem głązów. Nie osiem, lecz siedem. Policzyłem je dwa razy, żeby się upewnić. I krąg między nimi wydawał się ciemniejszy, jakby chmura zasłoniła słońce. Tak mała, że jej cień padał na to jedno miejsce. Tyle że to wcale nie wyglądało jak cień. To była osobliwa ciemność poruszająca się nad zmierzwioną żółtą trawą, zwijająca się w sobie, a potem ponownie sięgająca ku miejscu, gdzie, byłem tego pewien (prawie pewien; to było najgorsze) stał ósmy głąz, kiedy tu przyszedłem.

Nie mam aparatu, żeby spojrzeć przez wizjer i go przywrócić, pomyślałem.

Muszę to powstrzymać, póki mogę sobie powiedzieć, że nic się nie stało, pomyślałem. Słusznie czy niesłusznie, mniej przejmowałem się w tym momencie losami świata, a bardziej tym, że tracę zdolności percepcyjne, tracę moje pojmowanie świata. Ani przez chwilę nie wierzyłem w urojenia N., ale ta ciemność...

Nie chciałem, żeby znalazła jakiś punkt oparcia, rozumiecie? Nawet najmniejszy punkt oparcia.

Wsadziłem już wcześniej klucz do rozdartej koperty, a kopertę do kieszeni spodni, lecz nadal trzymałem w ręku plastikową torebkę. Nie zastanawiając się tak naprawdę, co robię, uniosłem ją do oczu i spojrzałem przez nią na głązy. Wydawały się lekko zniekształcone, lekko rozmazane, nawet kiedy rozciągnąłem mocno plastik, ale i tak widziałem je dość wyraźnie. I ponownie było ich osiem, tyle co trzeba, a ta postrzegana przeze mnie ciemność...

Ten lej

Albo tunel

...zniknął. (Rzecz jasna nigdy go nie było). Opuściłem torebkę – przyznaję, że nie bez pewnego drżenia – i spojrzałem prosto na głązy. Osiem. Solidne jak fundamenty Tadź Mahal. Osiem.

Ruszyłem z powrotem drogą, opanowując pragnienie, by jeszcze raz się obejrzeć. Po co się oglądać? Osiem to osiem. Choćbym był trupozem. (Taki mój żarcik).

Uznałem, że nie napiszę artykułu. Lepiej zapomnieć o tej całej sprawie z N. Ważne jest to, że rzeczywiście tam pojechałem i stawiałem czoło – jestem całkowicie pewien, że to prawda – temu obłądowi, który tkwi w każdym z nas, zarówno w świecie doktora B., jak i w świecie N. Jak mówiono podczas pierwszej wojny światowej, pojechałem zobaczyć słonia, ale to wcale nie znaczy, że muszę go narysować. Albo, jak w moim przypadku, opisać go słowami.

A jeśli wydawało mi się, że widzę coś więcej? Jeśli przez kilka sekund...

No tak. Ale zaczekaj. To tylko świadczy o sile urojeń, które zawładnęły biednym N. Wyjaśnia jego samobójstwo lepiej niż jakikolwiek list pożegnalny. Mimo to pewne sprawy powinno się zostawić w spokoju. I ta chyba do takich należy. Ta ciemność...

Ten lejowaty tunel, ta postrzegana...

Tak czy inaczej skończyłem z N. Żadnej książki, żadnego artykułu. „Ta sprawa jest zamknięta”. Klucz na pewno otwiera kłódkę spinającą łańcuch przy końcu drogi, lecz nigdy go nie użyję. Wyrzuciłem go.

„A zatem do łóżka”, jak zwykł mawiać wielki Sammy Pepys.

Dziś wieczorem zaświeci nad tym polem czerwone słońce, marzenie żeglarza. Z traw będzie unosiła się mgła. Niewykluczone. Z zielonych traw. Nie żółtych.

Androscoggin będzie dziś wieczorem czerwony: długi krwawiący wąż w martwym kanale rodzym. (Zabawne!). Chciałbym to zobaczyć. Nie wiem po co, ale chciałbym. Przyznaję.

To tylko zmęczenie. Jutro rano minie. Jutro rano być może zastanowię się ponownie nad artykułem. Albo książką. Lecz nie dzisiaj.

Zatem do łóżka.

18 lipca 2007

Dziś rano wyjąłem klucz z kosza na śmieci i schowałem go do szuflady biurka. Wyrzucanie go zbyt wyraźnie świadczyłoby, że coś jednak jest na rzeczy. Wiadomo co.

No cóż. A zresztą to tylko klucz.

27 lipca 2007

No dobrze, zgoda, przyznaję się. Policzyłem kilka rzeczy i upewniłem się, że otaczają mnie liczby parzyste. Spinacze do papieru. Ołówki w kubku. Tego rodzaju drobiazgi. Robienie tego jest dziwnie kojące. Najwyraźniej zaraziłem się od N. (Taki mój żarcik, tyle że to wcale nie żart).

Moim superwizorem jest doktor J. z Augusty, obecnie kierownik kliniki w Serenity Hill. Zadzwoniłem do niego i odbyliśmy ogólną rozmowę – zakwalifikowałem ją jako konsultację do artykułu, który przedstawię być może zimą na zjeździe w Chicago (oczywiście to kłamstwo, lecz czasami, wiadomo, łatwiej kłamać) – na temat możliwości przeniesienia się symptomów ZOK z pacjenta na psychoterapeutę. J. potwierdził moje obserwacje. Zjawisko nie jest powszechne, ale nie jest też zupełną rzadkością.

– Nie interesujesz się przypadkiem tą sprawą z powodów osobistych, Johnny? – zapytał.

Przenikliwy. Spostrzegawczy. Zawsze taki był. I dużo wie o waszym uniżonym słudze!

– Nie – odparłem. – Po prostu zaintrygował mnie ten temat. Właściwie mam na jego punkcie obsesję.

Zakończyliśmy rozmowę, śmiejąc się, a potem podszedłem do stolika i policzyłem leżące na nim książki. Sześć. To dobrze. Sześć da się znieść. (Rymowanka N.). Zajrzałem do szuflady, żeby sprawdzić, czy leży w niej klucz, i oczywiście leżał, bo gdzie miał leżeć? Jeden klucz. Czy to, że jeden, to dobrze czy źle? „Jeden księżyc jest na niebie” i tak dalej. Prawdopodobnie to nie ma znaczenia, ale warto o tym pomyśleć!

Chciałem wyjść z pokoju, ale uświadomiłem sobie, że oprócz książek leżą tam również czasopisma, i je także policzyłem. Siedem! Wziąłem „People” z Bradem Pittem na okładce i wyrzuciłem do śmieci.

Naprawdę co w tym złego, skoro poprawia mi samopoczucie? To w końcu tylko Brad Pitt.

Jeśli to się pogorszy, porozmawiam szczerze z J. Przyrzekam to sobie.



Mógłby mi chyba pomóc neurontin. Chociaż w gruncie rzeczy to lek przeciwnapadowy, wiadomo, że pomaga w przypadkach podobnych do mojego. Oczywiście...

3 sierpnia 2007

Kogo ja oszukuję? Nie ma podobnych do mojego przypadków i neurontin nie pomógł. Bezużyteczny chłam.

Ale liczenie pomaga. Jest dziwnie kojące. I coś jeszcze. Klucz był po złej stronie szuflady! Zdałem sobie z tego sprawę intuicyjnie, jednak intuicja nie jest czymś, z czego można się wyśmiewać. Przesunąłem go. Lepiej. A potem położyłem z drugiej strony inny klucz (do sejfu). Najwyraźniej go zrównoważył. Sześć da się znieść, ale dwa to dobra gra (żart). Dobrze spałem zeszłej nocy.

To znaczy nie. Koszmary. Androscoggin o zachodzie słońca. Czerwona rana. Kanał rodny. Martwy.

10 sierpnia 2007

Dzieje się tam coś złego. Ósmy głąz traci moc. Nie ma sensu mówić sobie, że tak nie jest, bo każdy nerw w moim ciele – każda cząsteczka mojej skóry – ogłasza, że to prawda. Liczenie książek (i butów, tak, intuicja N. jest trafna i nie ma się z niej co „naśmiewać”) pomaga, lecz nie rozwiązuje PODSTAWOWEGO PROBLEMU. Nawet układanie na ukos zbytnio nie pomaga, choć z pewnością...

Na przykład okruszki na kuchennym blacie. Można je wyrównać ostrzem noża. Wysypany na stole cukier. HA! Ale kto wie, ile okruszków? Ile kryształków cukru? Za dużo do policzenia!

To się musi skończyć. Jadę tam.

Zabieram aparat.

11 sierpnia 2007

Ta ciemność. Chryste Przenajświętszy. Była prawie całkowita. I coś jeszcze.

Ta ciemność miała oko.

12 sierpnia

Czy coś widziałem? Naprawdę widziałem? Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że tak, ale nie wiem. W tym wpisie są dwadzieścia trzy słowa. Liczba dwadzieścia osiem jest lepsza.

19 sierpnia

Wziąłem do ręki słuchawkę, żeby zadzwonić do J. i powiedzieć mu, co się ze mną dzieje, lecz potem ją odłożyłem. Co bym mu powiedział? Poza tym numer 1-207-555-1863 ma 11 cyfr. Zła liczba.

Valium pomaga bardziej niż neurontin. Chyba. Pod warunkiem że się go nie przedawkuje

16 wrz

Wróciłem z Motown. Zlany potem. Roztrzęsiony. Ale znowu jest osiem. Naprawiłem to! Tak! Naprawiłem! Dzięki Bogu. Ale...

Ale!

Nie mogę tak żyć.

Nie mogę, ale... ZDAŹYŁEM W OSTATNIEJ CHWILI. TO ZARAZ BY SIĘ WYDOSTAŁO. Ochrona działa tylko przez jakiś czas, a potem konieczna jest wizyta domowa! (Mój żarcik).

Zobaczyłem oko z trzema powiekami, o którym mówił N. Nie należy do tego świata ani do tej rzeczywistości.

Próbuje się wydostać.

Tyle że ja tego nie akceptuję. Pozwoliłem obsesji N. wnikać w moją psychikę, wsunąć w nią palec (bawi się ze mną w śmierzący palec, jeśli rozumiecie mój żarcik), a ona poszerza szczelinę, wsuwa drugi i trzeci palec, całą dłoń. Otwiera mnie. Otwiera mój...

Ale!

Widziałem to na własne oczy. Jest świat za tym światem, świat pełen potworów

Bogów

PAŁAJĄCYCH NIENAWIŚCIĄ BOGÓW!

Jedna sprawa. Co będzie, jeśli się zabiję? Jeżeli to wszystko nieprawda, skończy się przynajmniej udręka. Jeżeli prawda, ósmy kamień znowu się umocni. W każdym razie do czasu, gdy ktoś inny – następny STRAŻNIK skreśli nieopatrnie w tą drogę i zobaczy...

Samobójstwo wydaje się niemal dobrym rozwiązaniem!

9 października 2007

Ostatnio jest trochę lepiej. Moje myśli należą w większym stopniu do mnie. A kiedy byłem ostatnim razem na Polu Ackermana (dwa dni temu), moje obawy okazały się płonne. Kamieni było osiem. Przyjrzałem im się – solidne jak domy – i zobaczyłem w powietrzu wronę. Skreśliła, żeby nie przelatywać nad kamieniami, „jak Bożę kocham” (żart), ale jednak tam się pojawiła. I stojąc przy końcu drogi z dyndającym na szyi aparatem (zero pikseli, te kamienie nie dają się fotografować, jeśli o to chodzi, N. miał rację; czyżby to oddziaływanie radu?), zastanawiałem się, jak mogłem kiedykolwiek sądzić, że jest ich tylko siedem. Przyszło mi, że gdy wracałem do samochodu, liczyłem kroki (i chodziłem przez chwilę w kółko, kiedy przy drzwiczkach kierowcy okazało się, że ich liczba jest nieparzysta), ale te rzeczy nie mijają od razu. To rodzaj KURCZÓW MÓZGU! Mimo to...

Czy mam odwagę łudzić się, że wracam do zdrowia?

10 października 2007

Istnieje oczywiście inna możliwość, chociaż wspominam o niej z niechęcią: N. miał rację co do przesileni słonecznych. Oddaliśmy się w czasie od jednego i zbliżamy do następnego. Lato się skończyło; przed nami zima. Jeśli to prawda, oznacza to polepszenie tylko na krótką metę. Jeżeli czekają mnie takie same psychiczne konwulsje tej wiosny... a potem następnej...

Po prostu nie dam rady.

Jak strasznie prześladowuje mnie to oko. Unoszące się w gęstniejącej ciemności.

I inne czające się za nim rzeczy.

CTHUN!

16 października 2007

Osiem. Zawsze było osiem. Jestem teraz pewien. Dzisiaj na polu było cicho, trawa zwiędła, drzewa u podnóża wzniesienia są gołe, a rzeka stalowszara pod żelaznym niebem. Świat czeka na śnieg.

I mój Boże, najpiękniejsze z tego wszystkiego: ptak, który przycupnął na jednym z tych głazów!

PTAK!

Dopiero w drodze powrotnej do Lewiston zdałem sobie sprawę, że idąc do samochodu, nie liczyłem kroków.

Oto prawda. To, co musi być prawdą. Zaraziłem się grypą od jednego z moich pacjentów, ale teraz wracam do zdrowia. Kaszel minął, przestaję pociągać nosem.

Ciągle trzymają się mnie żarciki.

25 grudnia 2007

Zjadłem świąteczną kolację u Sheili i jej rodziny i wręczyliśmy sobie nawzajem prezenty. Kiedy Don zabrał Seta na odbywającą się przy świecach ceremonię w kościele (jestem pewien, że zacni metodyści doznaliby szoku, poznając pogańskie korzenie takich rytuałów), Sheila ścisnęła mnie za rękę.

– Wróciłeś – powiedziała. – To dobrze. Martwiłam się o ciebie.

Wygląda na to, że nie sposób oszukać najbliższych. Doktor J. mógł podejrzewać, że coś jest ze mną nie w porządku, ale Sheila wiedziała. Kochana Sheila.

– Miałem coś w rodzaju kryzysu latem i jesienią – odparłem. – Można to nazwać kryzysem duszy.

Chociaż w większym stopniu był to kryzys psychiki. Kiedy człowiek zaczyna myśleć, że jedynym celem jego zdolności percepcyjnych jest zamaskowanie wiedzy o straszliwych innych światach – to jest kryzys psychiki.

– Najważniejsze, że to nie rak – rzekła zawsze praktyczna Sheila. – Tego się bałam.

Kochana Sheila! Roześmiałem się i uściskałem ją. Później, kiedy robiliśmy porządek w kuchni (i popijaliśmy ajerkoniak), zapytałem, czy pamięta, dlaczego nazywaliśmy most Bale Road mostem Sto Procent.

Sheila zadarła głowę i wybuchała śmiechem.

– Wymyślił to ten twój stary znajomy. Ten, w którym tak się durzyłam – powiedziała.

– Charlie Keen – odparłem. – Nie widziałem go kopę lat. Z wyjątkiem telewizji. Biedak wybrał karierę Sanjaya Gupty.

Sheila trzepnęła mnie po ramieniu.

– Z zazdrością ci nie do twarzy, mój drogi. Tak czy inaczej któregoś dnia łowiliśmy tam z mostu ryby... wiesz tymi małymi wędkami, które wszyscy mieliśmy... i nagle Charlie spojrzął w dół i powiedział; „Wiecie, każdy, kto by stąd spadł, zabiłby się na sto procent”. Bardzo nas to rozbawiło i śmialiśmy się jak wariaci. Nie pamiętasz?

Po chwili sobie przypomniałem. Od tamtego dnia most Bale Road stał się mostem Sto Procent. A stary Charlie miał rację. Strumyk Bale jest w tym miejscu bardzo płytki. Oczywiście potem wpływa do Androscoggin (prawdopodobnie widać to miejsce z Pola Ackermana, chociaż ja nigdy go nie zauważyłem), która jest o wiele głębsza. A Androscoggin wpływa do morza. Jeden świat przechodzi w inny, prawda? Każdy następny jest głębszy od poprzedniego; to prawidłowość, którą widzimy na całej planecie.

Tymczasem wrócili Don i Seth, duży i mały chłopak Sheili, cali przysypani śniegiem. Uściskaliśmy się wszyscy, bardzo w stylu New Age, a potem pojechałem do domu, słuchając kolęd w samochodzie. Po raz pierwszy od tak dawna naprawdę szczęśliwy.

Wierzę, że te notatki... ten pamiętnik... ta kronika szaleństwa, którego uniknąłem (być może o kilka cali; wydaje mi się, że naprawdę o mało nie skoczyłem z tego mostu), może zostać zamknięta.

Dzięki Bogu. I Wesołych Świąt.

1 kwietnia 2008

Jest prima aprilis i ja jestem tym, który dał się nabrać. Znowu śniło mi się Pole Ackermana.

Niebo miało w tym śnie błękitny kolor, podobnie jak płynąca doliną rzeka, śnieg topniał, pierwsze źdźbła trawy przebijały się przez wstążki bieli i głazów było znowu tylko siedem. W kręgu po raz kolejny pojawiła się ciemność. Na razie tylko niewyraźna smuga, lecz wiedziałem, że zgęstnieje, jeśli się tym nie zajmę.

Po obudzeniu policzyłem książki (sześćdziesiąt cztery, dobra liczba, parzysta i podzielna aż do jedności – pomyśl o tym) i kiedy to nie pomogło, wysypałem kawę na kuchenny blat i zrobiłem ukośne linie. To naprawiło sytuację – tymczasem – ale będę musiał tam pojechać i złożyć kolejną „domową wizytę”. Nie mogę z tym marudzić.

Bo znowu się zaczyna.

Śnieg prawie już stopniał, zbliża się letnie przesilenie (nadal jest za horyzontem, lecz się zbliża) i znowu się zaczęło.

Czuję się

Boże, zlituj się, czuję się jak chory na raka, który miał remisję, a potem obudził się któregoś ranka z wielkim guzem pod pachą.

Nie mogę tego zrobić.

Muszę to zrobić.

[Później]

Na drodze nadal leżał śnieg, ale bez trudu dojechałem do „PA”. Zostawiłem samochód na parkingu przy cmentarzu i dalej poszedłem pieszo. Głazów było rzeczywiście siedem jak w moim śnie. Spojrzałem na nie przez wizjer aparatu. Z powrotem osiem. Ósemka utrzymuje świat w ryzach. To dobry układ.

Dla świata!

Niekoniecznie dla doktora Bonsainta. To nie powinno się znowu wydarzyć; mój umysł zwija się na samą myśl, że to się wydarzy. Proszę, Boże, nie pozwól, żeby to się znowu wydarzyło.

6 kwietnia 2008

Zrobienie ośmiu z siedmiu trwało dzisiaj dłużej i wiem, że mam przed sobą mnóstwo „długoterminowej” roboty, to znaczy liczenia rzeczy, kreślenia przekątnych oraz równoważenia. N. mylił się w tej kwestii – tym, co trzeba zrobić, nie jest „ustawianie” lecz „równoważenie”. Traktowane symbolicznie jak chlepek i wino w komunii.

Ale jestem zmęczony. A do przesilenia jeszcze tak daleko.

To wciąż nabiera mocy a do przesilenia jeszcze tak daleko.

Szkoda, że N. nie umarł przed przyjściem do mojego gabinetu. Samolubny skuwiel.

2 maja 2008

Myślałem, że tym razem mnie zabije. Albo złamie mój umysł. Czy mój umysł jest złamany? Boże, skąd mam wiedzieć? Nie ma Boga, nie może być Boga w obliczu tej ciemności i tego OKA, które z niej spoziera. I czegoś jeszcze.

TEJ RZECZY Z GŁOWĄ PODOBNĄ DO HEŁMU. ZRODZONEJ Z ŻYWEJ OBLĄKANIEJ CIEMNOŚCI.

Słysząc było śpiew. Śpiew dobiegający z głębi kręgu, z głębi ciemności. Ale znowu udało mi się zrobić osiem z siedmiu, chociaż trwało to bardzo bardzo bardzo bardzo długo. Dużo patszenia przez wizjer, chodzenia w kółko i liczenia kroków, poszerzenia kręgu do 64 kroków i to w końcu zadziałało, dzięki Bogu. „Coraz szerszy wir” – Takk! A potem podniosłem wzrok. Rozejrzałem się dokoła. I zobaczyłem jego imię wplecione w każdy krzak

sumaka i w każde drzewo u podnóża tego piekielnego pola. Spojrzałem w górę, szukając wytchnienia, i zobaczyłem, że piszą je płynące po błękicie chmury: CTHUN widniało na niebie. Spojrzałem na rzekę i zobaczyłem, że jej zakola tworzą wielką literę C. C jak Cthun.

Dlaczego ponoszę odpowiedzialność za cały świat? Jak to możliwe?

To nieuczziwe!!!!!!

4 maja 2008

Gdybym mógł zamknąć te drzwi, zabijając się

I znaleźć spokój, nawet jeśli to tylko nicość

Jadę tam znowu, ale tym razem nie do końca. Tylko do mostu Sto Procent. Woda jest tam płytka, a koryto strumienia usiane skałami.

Most musi mieć ze 30 stóp wysokości.

Nie najlepsza liczba, ale trudno

Każdy, kto z niego spadnie, może mieć sto procent pewności

Sto procent pewności

Nie mogę przestać myśleć o tym przeraźliwym oku z trzema powiekami

Tej rzeczy z głową podobną do hełmu

Twarzach krzyczących w kamieniu

CTHUN!

[Tu kończy się manuskrypt doktora Bonsainta].

## 5. Drugi list

8 czerwca 2008

Drogi Charlie,

nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości na temat manuskryptu Johnny'ego i to dobrze. Proszę, zignoruj mój poprzedni list, a jeśli nadal masz ten dziennik, spal go. Takie było życzenie Johnny'ego i powinnam je respektować.

Powtarzałam sobie, że jadę tylko do mostu Sto Procent – żeby zobaczyć miejsce, gdzie wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi jako dzieci, miejsce, w którym zakończył życie, kiedy szczęśliwe czasy dobiegły kresu. Powtarzałam sobie, że dokonam w ten sposób pewnego zamknięcia (takiego słowa użyłby pewnie Johnny). Ale oczywiście w podświadomości – tam gdzie, jak z pewnością powiedziałby Johnny, wszyscy jesteśmy do siebie podobni – wiedziałam, że to nieprawda. W przeciwnym razie po co brałabym ze sobą ten klucz?

Bo był tam, w jego gabinecie. Nie w tej samej szufladzie, gdzie trzymał manuskrypt, ale w górnej – tej nad kolanami. Razem z innym kluczem, który go, jak mówił, „równoważył”.

Czy wysłałabym ci klucz razem z manuskrytem, gdybym znalazła go w tym samym miejscu? Nie wiem. Naprawdę. Ale w zasadzie cieszę się, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły. Bo mogłoby cię skusić, żeby tam pojechać. Mogłbyś to zrobić ze zwykłej ciekawości, a może z innego powodu. Silniejszego powodu.

Niewykluczone też, że opowiadam głupoty. Niewykluczone, że wzięłam ten klucz, pojechałam do Motton i znalazłam tę drogę, bo jestem, jak napisałam w pierwszym liście, córką Pandory. Skąd mogę mieć pewność? Nie miał jej N. i nie miał jej mój brat, nawet pod sam koniec, mimo że powtarzał „Jestem zawodowcem, nie próbujcie tego w domu”.

Tak czy inaczej nie przejmuj się mną. Czuję się świetnie. A nawet jeżeli nie, jestem niezła z rachunków. Sheila LeClaire ma 1 męża i 1 dziecko. Charlie Keen – zgodnie z tym, co wyczytałam w Wikipedii – 1 żonę i 3 dzieci. Dlatego masz więcej do stracenia. A poza tym być może nigdy nie przestałam się w tobie durzyć.

Pod żadnym pozorem tu nie wracaj. Rób dalej swoje programy na temat otyłości, nadużyć przy wypisywaniu leków, zawałów serca u mężczyzn poniżej pięćdziesiątki i innych podobnych rzeczy. Normalnych podobnych rzeczy.

A jeżeli nie przeczytałaś manuskryptu (czepiam się tej nadziei, ale bardzo w to wątpię; Pandora miała z pewnością i synów), zignoruj ten list. Złóż to wszystko na karb hysterii kobiety, która nieoczekiwanie straciła brata.

Tam nic nie ma.

Poza kilkoma głazami.

Widziałam to na własne oczy.

Przysięgam, że nic tam nie ma, więc trzymaj się z daleka.

## **6. Artykuł w gazecie**

[„Democrat”, Chester Mill, 12 czerwca 2008]

### **KOBIETA SKOCZYŁA Z MOSTU, NAŚLADUJĄC BRATA**

**Julia Shumway**

MOTTON – Po śmierci znanego psychiatry Johna Bonsainta, który przed ponad miesiącem popełnił samobójstwo, skacząc z mostu Bale River w tym niewielkim miasteczku w centralnej części stanu Maine, przyjaciele twierdzili, że jego siostra, Sheila LeClaire, załamała się i wpadła w depresję. Według męża, Donalda LeClaire, była „kompletnie zdruzgotana”. Nikt, dodał jednak, nie sądził, że ma zamiar się zabić.

Jak się okazało, niesłusznie.

„Chociaż nie zostawiła listu pożegnalnego”, oświadczył koroner hrabstwa Richard Chapman, „wszystko wskazuje na samobójstwo. Jej samochód stał prawidłowo zaparkowany po drugiej stronie mostu. Był zamknięty na klucz, na fotelu pasażera leżała jej torebka, a na niej prawo jazdy”. Chapman dodał, że buty LeClaire znaleziono na samej balustradzie, ustawione porządnie jeden przy drugim, i że dopiero dochodzenie pozwoli ustalić, czy utonęła, czy też zginęła w wyniku upadku.

Oprócz męża Sheila osierociła siedmioletniego syna. Data pogrzebu i nabożeństwa żałobnego nie została jeszcze ustalona.

## 7. E-mail

keen1981  
15.44  
15.06.2008

Chrissy,

proszę, odwołaj wszystkie spotkania w przyszłym tygodniu. Wiem, że to trochę za późno i że będziesz zbierała za mnie cięgi, ale nic na to nie można poradzić. Jest pewna sprawa, którą muszę się zająć w moich rodzinnych stronach w Maine. Dwoje starych przyjaciół, brat i siostra, popełniło samobójstwo w niezwykłych okolicznościach... i w tym samym pie...lonym miejscu! Na podstawie skrajnie osobliwego manuskryptu, który siostra wysłała mi przed pójściem (wszystko na to wskazuje) w ślady brata, uważam, że sprawa zasługuje na zbadanie. Brat, John Bonsaint, był moim najlepszym kumplem, kiedy dorastałem; więcej niż kilka razy ratowaliśmy sobie skórę w trakcie bójek na szkolnym boisku.

Hayden może zrobić program na temat cukru we krwi. Wiem, że uważa, iż nie da sobie rady, lecz to nieprawda. A nawet jeśli nie da sobie rady, muszę jechać. Johnny i Sheila byli dla mnie prawie jak rodzina.

A poza tym: nie chcę, żeby zabrzmiało to małosłownie, ale to chyba dobry materiał na program. O zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych. Nie jest to być może taki hit jak rak, jednak ludzie cierpiący na ZOK powiedzą ci, że to naprawdę cholerny syf.

Dzięki, Chrissy,  
Charlie



## Kot z piekła rodem

Siedzący na wózku inwalidzkim starszy mężczyzna robił na Halstonie wrażenie chorego, przerażonego i przygotowanego na śmierć. Halston potrafił dostrzec takie rzeczy. Specjalizował się w śmierci; w swojej karierze niezależnego płatnego zabójcy zadał ją osiemnastu mężczyznom i sześciu kobietom. Wiedział, jak wygląda.

W domu – właściwie rezydencji – było cicho i chłodno. Dobiegało niezbyt głośne trzaskanie ognia w wielkim kamiennym kominku i niezbyt głośne zawodzenie listopadowego wiatru na zewnątrz.

– Chcę, żeby dokonał pan zabójstwa – powiedział mężczyzna. Miał drżący i piskliwy, poirytowany głos. – Rozumiem, że tym właśnie się pan zajmuje.

– Z kim pan rozmawiał? – zapytał Halston.

– Z niejakim Saulem Loggią. Powiedział, że go pan zna.

Halston pokiwał głową. Jeżeli pośrednikiem był Loggia, to w porządku. A jeśli w pokoju był mikrofon, wszystko, co powiedział starszy mężczyzna – Drogan – stanowiło materiał obciążający.

– Kogo chce pan wyeliminować?

Drogan nacisnął przycisk na wbudowanej w poręcz konsoli i wózek podjechał do przodu. Z bliska Halston poczuł mieszankę zapachów: strachu, podeszłego wieku i moczu. Napełniły go niesmakiem, jednak nie dał tego po sobie poznać. Miał nieruchomą, gładką twarz.

– Pańska ofiara jest dokładnie za panem – powiedział cicho Drogan.

Halston zareagował błyskawicznie. Od szybkości reakcji zależało jego życie i zawsze miał się na baczności. Zerwał się z kanapy, obrócił, przyklęknął na jedno kolano, wsunął dłoń pod połą szytej na miarę sportowej marynarki i zacisnął palce na rękojeści krótkolufowej hybrydy kalibru .45, która wisiała pod jego pachą w sprężynowej kaburze. Ułamek sekundy później broń była na zewnątrz i celował z niej... w kota.

Zabójca i kot przez moment wpatrywali się w siebie. Był to dziwny moment dla Halstona, człowieka pozbawionego bujnej wyobraźni i nieulegającego przesądom. Klęcząc na podłodze z wycelowaną bronią, odniósł wrażenie, że zna tego kota, chociaż gdyby kiedykolwiek zobaczył zwierzę o tak niezwyklej maści, z pewnością by je zapamiętał.

Jego głowa była podzielona równo na dwie części: w połowie czarna, w połowie biała. Linia podziału biegła od szczytu płaskiej czaszki przez nos aż do pyska, prosto jak strzała. W półmroku jego oczy wydawały się wielkie, w prawie idealnie okrągłych czarnych źrenicach odbijało się światło kominka: pośepny ogień nienawiści.

I w umyśle Halstona odbiła się echem myśl: znamy się dobrze, ty i ja.

A potem ta chwila minęła. Schował broń i wyprostował się.

– Powinienem cię za to zabić, stary. Nie lubię, jak ktoś stroi sobie ze mnie żarty.

– Ja wcale nie żartuję – odparł Drogan. – Niech pan siada. I popatrz tutaj – dodał, wyjmując grubą kopertę spod koca okrywającego jego nogi.

Zabójca usiadł. Kot, który przycupnął wcześniej na oparciu kanapy, zeskoczył mu lekko na kolana. Przyglądał się przez chwilę Halstonowi wielkimi ciemnymi oczyma, których źrenice otoczone były zielono-złotymi obręczami, a potem zwinął się w kłębek i zamruczał.

Halston posłał pytające spojrzenie Draganowi.

– Jest bardzo przyjacielski – odparł tamten. – Na początku. Ten miły przyjazny kotek zabił trzy osoby w tym domu. Zostałem tylko ja. Jestem stary, schorowany... ale wolę umrzeć, kiedy nadejdzie moja pora.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Halston. – Wynajął mnie pan, żebym zabił kota?

– Proszę zajrzeć do koperty.

Halston zrobił to. W środku były setki i pięćdziesiątki, wszystkie używane.

– Ile tego jest?

– Sześć tysięcy dolarów. Dostanie pan kolejne sześć po dostarczeniu dowodu, że kot jest martwy. Pan Loggia powiedział, że dwanaście tysięcy to pana normalna stawka.

Halston pokiwał głową, odruchowo gładząc leżącego na jego kolanach kota. Lubił koty. Właściwie były jedynymi zwierzętami, które lubił. Chadzały własnymi drogami. Bóg – jeżeli w ogóle istniał – uczynił z nich idealne, ciche maszyny do zabijania. Koty były zawodowymi zabójcami świata zwierząt i Halston darzył je szacunkiem.

– Nie potrzebuję panu nic wyjaśniać, lecz zrobię to – powiedział Dragan. – Powiadają, że przezorny zawsze ubezpieczony, a nie chcę, żeby potraktował pan lekko to zlecenie. Poza tym muszę się chyba wytłumaczyć. Żeby nie pomyślał pan, że jestem stuknięty.

Halston ponownie pokiwał głową. Zdecydował już, że przyjmie to nietypowe zlecenie, i nie trzeba go było przekonywać. Ale jeżeli Drogan chciał mówić, wysłucha go.

– Przede wszystkim, czy pan wie, kim jestem? Skąd pochodzą pieniądze?

– Drogan Pharmaceuticals.

– Zgadza się. Jedna z największych firm farmaceutycznych na świecie. A podstawą naszego sukcesu finansowego było to. – Drogan wyjął z kieszeni szlafroka małą nieoznakowaną fiolkę tabletek. – Tridormalphenobarbin, typ G. Przepisywany głównie śmiertelnie chorym. Jest skrajnie uzależniający. To połączenie środków przeciwbólowych, środków uspokajających i łagodnych substancji halucynogennych. Znakomicie ułatwia ciężko

chorym pogodzenie się z nadciągającą śmiercią i przystosowanie do sytuacji, w której się znaleźli.

– Bierze pan to? – zapytał Halston.

Drogan zignorował jego pytanie.

– Lek zażywany jest na całym świecie. To syntetyk wynaleziony w latach pięćdziesiątych w laboratoriach w New Jersey. Testy przeprowadzane były wyłącznie na kotach z powodu ich wyjątkowego układu nerwowego.

– Ile wykończyliście?

Drogan się zjeżył.

– Takie stawianie sprawy jest stronnicze i nieuczciwe.

Halston wzruszył ramionami.

– Podczas trwających cztery lata testów, po których Federalny Urząd do spraw Żywności i Leków zatwierdził do sprzedaży tridormal G, padło... hm... około piętnastu tysięcy kotów – odparł Drogan.

Halston zagwizdał. To dawało prawie cztery tysiące kotów rocznie.

– A teraz pan myśli, że jeden z nich do pana wrócił, tak?

– Nie czuję się w najmniejszym stopniu winny – odparł Drogan, lecz w jego głosie znów zabrzmiała irytacja. – Piętnaście tysięcy zwierząt doświadczalnych padło, żeby setki tysięcy ludzi...

– Nieważne – mruknął Halston. Usprawiedliwienia go nudziły.

– Pojawił się tutaj przed siedmioma miesiącami. Nigdy nie lubiłem kotów. Brudne, przenoszące choroby zwierzaki... włóczące się po polach... zakradające do stodół... skrywające Bóg wie jakie zarazki w swoim futrze... stale próbujące przemycić do domu coś z wypadającymi wnętrznościami, żeby ci to pokazać... To moja siostra chciała go wziąć. Przekonała się, czym to pachnie.

Drogan spojrział z zimną nienawiścią na kota, który spał na kolanach jego gościa.

– Mówił pan, że zabił trzy osoby – przypomniał Halston.

Drogan zaczął opowiadać. Kot drzemał i mruczał na kolanach Halstona, gładzony delikatnie długimi, wprawnymi palcami zabójcy. Co jakiś czas w palenisku pękał sęk i ciało kota napinało się niczym okryty skórą i mięśniami zestaw sprężyn. Na dworze wiatr zawodził wokół wielkiego kamiennego domu gdzieś na zapadłej wsi w stanie Connecticut.

Głos starego brzęczał monotonicznie.

Przed siedmiu miesiącami było ich tutaj czworo – Drogan, jego siostra Amanda, siedemdziesięcioletnia, dwa lata od niego starsza, jej dozgonna przyjaciółka Carolyn Broadmoor („z Broadmoorów z Westchester”), która cierpiała na ciężką rozedmę płuc, oraz Dick Gage, facet, który od dwudziestu lat służył u rodziny Droganów. Gage, który sam przekroczył sześćdziesiątkę, jeździł wielkim lincolnem mark IV, gotował i podawał wieczorem sherry. W dzień przychodziła pokojówka. Wszyscy czworo żyli w ten sposób

prawie od dwóch lat, trójka nudnych staruszków i rodzinny lokaj. Jedyłą przyjemnością było dla nich oglądanie *Hollywood Squares* i czekanie, kto przeżyje kogo.

A potem pojawił się kot.

– Gage zobaczył go pierwszy, miauczał i kręcił się wokół domu. Próbował go przepędzić. Rzucał w niego patykami i kamykami i kilka razy nawet trafił. Lecz kot nie chciał odejść. Czuł oczywiście jedzenie. Wyglądał paskudnie: sama skóra i kości. Pod koniec lata ludzie zostawiają je przy drodze, żeby zdechły, wie pan. To naprawdę straszne, nieludzkie.

– Lepiej przypiekać im nerwy – zauważył Halston.

Drogan zignorował przytyk i mówił dalej. Nienawidził kotów. Od zawsze. Kiedy ten nie dał się przepędzić, kazał Gage'owi wystawić trutki. Duże kuszące porcje kociej karmy. Całe nafaszerowane, tak się składa, tridormalem G. Kot nawet nie tknął jedzenia. Wtedy właśnie zauważyła go Amanda Drogan i uparła się, żeby wziąć go do domu. Drogan energicznie protestował, jednak Amanda postawiła na swoim. Zawsze jej się to udawało.

– Ale przekonała się, czym to pachnie – podsumował Drogan. – Wniosła go do domu na rękach. Mruczał, tak jak to robi teraz. Tylko do mnie się nie zbliżał. Nigdy tego nie zrobił... na razie. Nalała mu mleka na spodeczek. „Och, popatrz na to biedactwo, zagłodzili je”, gruchała. Gruchały obie, ona i Carolyn. Obrzydliwe. Oczywiście próbowały się w ten sposób na mnie odegrać. Wiedziały, jaki mam stosunek do kotów od czasów eksperymentów z tridormalem G dwadzieścia lat wcześniej. Bawiło je, kiedy się ze mną drażniły, kiedy mnie prowokowały. – Drogan spojrzał ponuro na Halstona. – Ale doigrały się.

Gdzieś w połowie maja Gage wstał, żeby podać śniadanie, i znalazł Amandę Drogan leżącą u stóp głównych schodów pośród rozbitej porcelany i Little Friskies. Wpatrywała się wybałuszonymi, nieruchomymi oczyma w sufit. Krwawiła obficie z ust i nosa, miała złamany kręgosłup i obie nogi oraz doszczętnie zgruchotany kark.

– Kot spał w jej pokoju – powiedział Drogan. – Traktowała go jak małe dziecko... „Jeścisieś głodny, kotuniu? Musis wyść i żłobić kupkę?”. Nieprzyzwoite, kiedy słyszy się to z ust takiego starego babsztyla jak moja siostra. Sądzę, że obudził ją, miaucząc. Miała jego spodeczek. Powtarzała, że Sam nie lubi swoich Friskies, jeśli nie poleje ich odrobiną mleka. Toteż postanowiła zejść na dół. Kot ocierał jej się o nogi. Była stara, zaspana, niezbyt pewnie stąpała. Doszli do szczytu schodów i kot zabiegł jej drogę... potknęła się o niego i spadła...

Rzeczywiście, to mogło wyglądać w ten sposób, pomyślał Halston. Oczyma wyobraźni zobaczył spadającą ze schodów, zbyt przerażoną żeby krzyknąć, Amandę. Rozsypujące się granulki Friskies, staruszkę walącą głową o kolejne stopnie, rozpryskującą się miseczkę. Kobieta nieruchomieje w końcu na dole z pogruchotanymi starymi kośćmi, wytrzeszczonymi oczyma i krwią płynącą z ust i nosa. A kot zaczyna schodzić w dół, mrucząc i z zadowoleniem chrupiąc Little Friskies.

– Co powiedział koroner? – zapytał Drogana.

– Przypadkowa śmierć, oczywiście. Ale ja wiedziałem.

– Dlaczego nie pozbył się pan kota już wtedy? Po śmierci Amandy?

Ponieważ, jak się okazało, Carolyn Broadmoor zagroziła, że w takim razie ona też odejdzie. Wpadła w histerię, dostała jakiejś obsesji. Była chorą kobietą i miała hyzja na punkcie spirytualizmu. Dowiedziała się od medium z Hartford (za marne dwadzieścia dolarów), że dusza Amandy zamieszkała w kocim ciele Sama. Sam stał się Amandą powiedziała Droganowi, i jeżeli Sam odejdzie, ona też to zrobi.

Halston, który stał się kimś w rodzaju eksperta w czytaniu między wierszami ludzkich losów, przypuszczał, że Drogan i stara Broadmoor byli dawno temu kochankami i dziadek nie chciał, żeby odeszła z powodu kota.

– To byłoby z jej strony samobójstwo – powiedział Drogan. – W swoich wyobrazeniach była nadal zamożną kobietą, którą stać na to, żeby zabrać tego kota i pojechać z nim do Nowego Jorku, Londynu, a nawet Monte Carlo. W rzeczywistości była ostatnią potomkinią wielkiej rodziny, z której majątku w wyniku złych inwestycji w latach sześćdziesiątych zostały nędzne grosze. Mieszkała tutaj na drugim piętrze, w monitorowanym pokoju, zaopatrzonym w specjalne nawilżacze powietrza. Miała siedemdziesiąt lat, panie Halston. Z wyjątkiem dwóch ostatnich lat życia paliła jak lokomotywa i rozedma płuc naprawdę dawała się jej we znaki. Chciałem, żeby została, i skoro oznaczało to dalszą obecność kota...

Halston pokiwał głową i spojrzał znacząco na zegarek.

– Pod koniec czerwca zmarła w nocy. Doktor potraktował to jako coś normalnego... po prostu przyszedł i wypisał akt zgonu. Ale w jej pokoju był kot. Powiedział mi o tym Gage.

– Wszyscy musimy kiedyś odejść, człowieku – rzekł Halston.

– Oczywiście. To samo powiedział doktor. Jednak ja wiedziałem. Pamiętałem. Koty lubią włączyć na dzieci i starsze osoby, kiedy te śpią. Kładą się na nich i kradną im oddech.

– Bajdurzenie starych ciotek.

– Oparte na faktach jak większość bajdurzenia starych ciotek – odparł Drogan. – Koty lubią miętosić łapami miękkie rzeczy. Poduszkę, gęsty dywan... albo koc. Dziecinny kocyk albo koc okrywający starszych ludzi. Już sam dodatkowy ciężar na piersi osoby, która jest słaba...

Drogan zawiesił głos i Halston spróbował sobie wyobrazić Carolyn Broadmoor śpiącą w swojej sypialni, ciche rżenie, z jakim powietrze wchodzi do zniszczonych płuc, i z nich wychodzi, rżenie zagłuszone niemal całkowicie przez szmer specjalnych nawilżaczy i klimatyzatorów. I kota o dziwacznej, czarno-białej maści, który skacze na łóżko starej panny i wpatruje się tymi jasnymi, czarno-zielonymi oczyma w starą, pomarszczoną twarz. Wpełza na jej wąską klatkę piersiową i mrużąc, układa się tam... aż oddech staje się coraz wolniejszy i starą kobietę dławi spoczywający na jej piersi ciężar.

Halston nie miał bujnej wyobraźni, lecz przeszedł go lekki dreszcz.

– Dlaczego nie kazał pan go po prostu uspić? – zapytał, nie przestając głaskać mrużącego kota. – Weterynarz zrobiłby to za dwadzieścia dolarów.

– Pogrzeb odbył się pierwszego lipca – odparł Drogan. – Pochowałem Carolyn w naszym rodzinnym grobowcu obok mojej siostry. Tak jak by tego chciała. Już trzeciego lipca wezwałem Gage’a do tego pokoju i dałem mu wiklinowy kosz... podobny do tych, które zabiera się na pikniki. Wie pan, co mam na myśli?

Halston pokiwał głową.

– Kazałem mu wsadzić tam kota i zawieźć do weterynarza w Milford, żeby go uspił. Gage odparł: „Tak jest, proszę pana” i wyszedł. Cały on. Już nigdy nie zobaczyłem go żywego. Doszło do wypadku na autostradzie. Lincoln wjechał w podporę mostu, pędząc co najmniej sześćdziesiąt mil na godzinę. Dick Gage zginął na miejscu. Kiedy go znaleźli, miał zadrapania na twarzy.

Halston milczał. Obraz tego, jak to mogło wyglądać, zaczął się ponownie formować w jego umyśle. W pokoju słychać było tylko spokojne trzaskanie ognia i spokojny pomruk kota leżącego na jego kolanach. Siedząc razem z kotem przy kominku, stanowił dobrą ilustrację wiersza Edgara Guesta, tego, którego fragment brzmi: „Z kotem na kolanach, w kominku się pali/...Szczęśliwy człowiek, gdybyście pytali”.

Dick Gage, jadący lincolnem do Milford, przekraczający limit nie więcej niż o pięć mil na godzinę. Obok niego wiklinowy koszyk – z tych, które zabiera się na pikniki. Kierowca wbija wzrok w szybę, być może wyprzedza właśnie wielką ciężarówkę i nie widzi czarnego z jednej strony i białego z drugiej osobliwego pyska, który wychyla się z koszyka. Nie widzi go, bo wyprzedza ciężarówkę, i wtedy właśnie kot skacze mu na twarz, prychając i wyciągając pazury, które zahaczają o oko Gage’a, przebijają gałkę, oślepiają go. Lincoln jedzie sześćdziesiąt mil na godzinę, potężny silnik mruczy cicho, a pazury drugiej łapy rozdierają nos starego, zadając straszliwy, nieznośny ból – lincoln zaczyna skręcać w prawo, zajeżdżając drogę ciężarówce, której szofer naciska klakson, lecz Gage go nie słyszy, bo kot drze się wniebogłosy, wisi rozpostarty na jego twarzy niczym wielki kosmaty pająk, z uszami przylegającymi do głowy, zielonymi oczyma płonącymi niczym reflektory z piekła, tylnymi łapami wbijającymi się w miękką skórę na szyi mężczyzny. Samochód skręca ostro w drugą stronę. Widać podporę mostu. Kot zeskakuje z twarzy Gage’a i lincoln, błyszcząca czarna torpeda, wali w beton i wybucha niczym bomba.

Halston przełknął z trudem ślinę i usłyszał suchy odgłos w gardle.

– I kot wrócił?

Drogan pokiwał głową.

– Po tygodniu. Tego samego dnia, kiedy pochowaliśmy Dicka Gage’a. Tak jak w tej starej piosence. Kot wrócił do domu.

– Przeżył zderzenie z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę? Trudno w to uwierzyć.

– Powiadają, że każdy kot żyje dziewięć razy. Kiedy wrócił... zacząłem się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem...

– Demonem? – zasugerował cicho Halston.

– Z braku lepszego słowa, tak. Rodzajem demona zesłanego...

– Żeby pana ukarać.

– Nie wiem. Ale boję się go. Karmię go, a ściśle rzecz biorąc, robi to kobieta, która do mnie przychodzi. Ona też go nie lubi. Mówi, że ten pysk to kara boska. Oczywiście jest miejscowa. – Stary mężczyzna usiłował się bezskutecznie uśmiechnąć. – Chcę, żeby pan go zabił. Przez ostatnie cztery miesiące mieszkalem z nim sam. Czai się gdzieś w ciemności. Patrzy na mnie. Tak jakby... czekał. Zamykam się co wieczór w swoim pokoju, lecz mimo to boję się, że obudzę się któregoś ranka i zobaczę, że leży zwinięty w kłębek na mojej piersi... i mruczy.

Wiatr zagwizdał samotnie na dworze i zaczął dziwnie pohukiwać w kamiennym kominku.

– W końcu skontaktowałem się z Saulem Loggią. Polecił mi pana. Nazwał pana chyba strzelcem.

– Wolnym strzelcem. To znaczy, że pracuję na własną rękę.

– Tak. Powiedział, że nigdy nie został pan złapany, nigdy nawet nie znalazł się w kręgu podejrzeń. Że zawsze łąduje pan na czterech łapach... jak kot.

Halston spojrzał na siedzącego w wózku inwalidzkim mężczyznę i nagle jego muskularne, długie palce zacisnęły się tuż nad szyją kota.

– Jeśli pan chce, zrobię to już teraz. Złamię mu kark. Nawet się nie zorientuje...

– Nie! – krzyknął Drogan i dygocząc cały, wziął głęboki oddech. Na jego ziemistych policzkach pojawiły się rumieńce. – Nie... nie tutaj. Niech pan go stąd zabierze.

Halston uśmiechnął się niewesoło i znowu zaczął bardzo łagodnie gładzić kota po głowie i grzbiecie.

– Dobrze – powiedział. – Przyjmuję kontrakt. Chce pan ciało?

– Nie. Niech pan go zabije. I zakopie. – Drogan przerwał i pochylił się w fotelu niczym zgrzybiały stary sęp. – Niech mi pan przywiezie ogon – dodał. – Żebym mógł go wrzucić do ognia i patrzeć, jak płonie.

\* \* \*

Halston jeździł plymouthem rocznik 1973 ze specjalnym silnikiem Cyclone Spoiler. Samochód miał podniesione zawieszenie, maskę skierowaną w dół pod kątem dwudziestu stopni, skróconą dźwignię biegów Pensy i wspomaganie kierownicy Hearsta. Halston sam przerobił dyferencjał. Na wielkich oponach Wide Ovals Bobby'ego Unsera wyciągał ponad sto sześćdziesiąt mil na godzinę.

Wyjechał z domu Drogana parę minut po wpół do dziesiątej. Zimny sierp księżycy płynął przez postrzępione listopadowe chmury. Halston otworzył wszystkie szyby, bo jego ubranie

przesiało żółtym odorem starości i strachu, którym się brzydził. Zimne powietrze było ostre i zdrętwiało mu od niego palce, ale nie przejmował się tym. Wywiało żółty odór.

Zjechał z autostrady w Placer's Glen i przestrzegając limitu trzydziestu pięciu mil na godzinę, przejechał przez milczące miasto, strzeżone przez jedyne żółte światło migające na skrzyżowaniu. Za miastem, na drodze stanowej numer 35, dodał trochę gazu. Podrasowany silnik zamruczał, podobnie jak wcześniej tego wieczoru zamruczał kot na jego kolanach. Halston uśmiechnął się, dostrzegając analogię. Jechali, nieco przekraczając siedemdziesiątkę, między białymi od szronu polami, na których sterczały kikuty kukurydzy.

Kot był w torbie na zakupy podwójnej grubości, związanej u góry mocnym sznurkiem i leżącej na kubełkowym fotelu pasażera. Był senny i mruczał, kiedy Halston go do niej wkładał, a potem mruczał przez całą drogę. Wyczuwał pewnie, że Halston go lubi, i było mu z tym dobrze. Ponownie jak on był wolnym strzelcem.

Dziwne zlecenie, pomyślał Halston, i zaskoczyło go, że serio traktuje to, co miał zrobić. Być może najdziwniejsze było w nim to, że rzeczywiście polubił tego kota, poczuł, że łączy ich pewna więź. Tylko pogratulować, jeśli udało mu się załatwić trójkę tych zgredów, zwłaszcza Gage'a, wiozącego go do Milford na ostatnią randkę z krótko przystrzyżonym weterynarzem, który z radością wsadziłby go do wykładanej ceramicznymi płytkami komory gazowej wielkości mikrofalówki. Halston czuł, że łączy ich więź, ale nie zamierzał się wycofywać z umowy. Wyświadczy mu grzeczność, zabijając go szybko i bezboleśnie. Zaparkuje na poboczu przy jednym z tych oszronionych listopadowych pól, wyjmie go z torby, pogładzi, a potem złamie mu kark i utnie ogon scyzorykiem. A później zakopie go porządnie w ziemi, chroniąc przed padlinożercami. Nie mógł go ocalić przed robalami, lecz mógł przed podlecami.

Rozmyślał o tym wszystkim, gdy samochód sunął przez noc niczym granatowy duch i wtedy właśnie kot przemaszerował przed jego oczyma po tablicy rozdzielczej, z podniesionym arogancko ogonem i zwróconym ku niemu czarno-białym pyskiem wykrzywionym w czymś w rodzaju drwiącego uśmiechu.

– Pssssss... – zasyczał Halston.

Zerknął w prawo i dostrzegł podwójnie grubą torbę na zakupy z wygryzioną – lub rozdartą pazurami – dziurą z boku. Kiedy spojrział ponownie przed siebie, kot podniósł łapę i pacnął go żartobliwie w czoło. Halston cofnął się gwałtownie i wielkie opony plymoutha zapisały, kiedy samochód zaczął jechać wężykiem po wąskiej asfaltowej drodze.

Halston walnął pięścią siedzącego na tablicy rozdzielczej kota, który parsknął, wyprężył grzbiet, ale się nie poruszył. Halston zamierzył się ponownie, lecz zwierzę zamiast uciec, skoczyło na niego.

Gage, pomyślał. Zupełnie jak Gage...

Wdepnął hamulec. Kot siedział na jego głowie, zasłaniał pole widzenia futrzanym brzuchem, drapiąc go pazurami i kalecząc skórę. Halston zaciskał mocno ręce na kierownicy.



Uderzył kota raz, drugi i trzeci. I nagle droga się skończyła, i plymouth wjechał do rowu, podskakując na łupiących głośno amortyzatorach. Ułamek sekundy później nastąpiło uderzenie. Halston poleciał do przodu i zatrzymały go pasy. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, był nieludzki wrzask kota przypominający głos kobiety cierpiącej niewysłowiony ból albo przeżywającej orgazm.

Walnął go zaciśniętą pięścią i poczuł tylko sprężyste, ustępujące pod knykциями mięśnie. A potem nastąpiło drugie uderzenie. I ciemność.

\* \* \*

Księżyc wisiał nisko na niebie. Do świtu została może godzina.

Plymouth leżał w rowie, w którym osiadła mgła. W kratę chłodnicy wplątał się kawałek drutu kolczastego. Maską samochodu otworzyła się i smużki pary z dziurawej chłodnicy wypływały na zewnątrz i mieszały się z mgłą.

Nie miał czucia w nogach.

Spojrzał w dół i zobaczył, że przegroda między komorą silnika i wnętrzem plymoutha wygięła się od uderzenia. Tylne części wielkiego silnika Cyclone Spoiler zmiądzły mu nogi, przygważdżając je do podłogi.

Na zewnątrz słychać było krzyk sowy polującej na jakiegoś małego gryzonia.

Wewnątrz, blisko, niecichnące mruczenie kota.

Chyba się uśmiechał jak kot z Cheshire z *Alicji w krainie czarów*.

Na oczach obserwującego go Halstona wstał, wygiął grzbiet w łuk i przeciągnął się, a potem nagłym płynnym ruchem skoczył mu na ramię. Halston próbował podnieść ręce, żeby go zepchnąć.

Ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Uraz kręgosłupa, pomyślał. Jestem sparaliżowany. Może tymczasowo. Prawdopodobnie trwale.

Pomruk kota, który nachylił się do jego ucha, był głośny jak grzmot.

– Złaź ze mnie – krzyknął Halston.

Miał ochryply, skrzeczący głos. Kot zamarł na chwilę, a potem nachylił się z powrotem. Jego łapa uderzyła nagle Halstona w policzek i tym razem pazury nie były schowane. Ku szyi popłynęły gorące fale bólu. I ciepła strużka krwi.

Ból.

Czucie.

Halston rozkazał głowie obrócić się na prawo i posłuchała go. Przez chwilę jego twarz schowana była w gładkim suchym futrze. Halston warknął na kota, który najwyraźniej zaskoczony, wydał gniewny gardłowy dźwięk – jouk! – i zeskoczył na fotel. Przez chwilę patrzył na niego gniewnie, kładąc uszy po sobie.

– Tego się nie spodziewałeś, co? – wychrypiał Halston.

Kot otworzył pysk i zasyczał. Patrząc na ten dziwny, schizofreniczny pysk, Halston zrozumiał, dlaczego Drogan mógł go wziąć za demona.

Przestał się nad tym zastanawiać, czując nagle tępe, niewyraźne mrowienie w obu dłoniach i przedramionach.

Czucie. Wraca. Mrowienie i igielki.

W tym samym momencie kot skoczył mu na twarz, prychając i wyciągając pazury.

Halston zamknął oczy i otworzył usta. Próbował ugryźć go w brzuch, ale poczuł w zębach tylko futro. Przednie łapy kota zacisnęły się na jego uszach, pazury wbijały w skórę. Ból był niesamowity, oślepiający. Halston próbował podnieść ręce. Poruszyły się, lecz nie chciały zsunąć z kolan.

Pochylił do przodu głowę i zaczął nią kiwać niczym człowiek próbujący strząsnąć mydło z oczu. Kot nie puszczał go, drąc się i parszcząc. Halston czuł, że krew spływa mu po policzkach. Z ledwością łapał oddech. Koci brzuch przywierał do jego nosa. Mógł zaczerpnąć trochę powietrza ustami, jednak nie było go zbyt wiele, tamowało je futro. Miał wrażenie, że ktoś oblał mu uszy benzyną do zapalniczki i podpałił.

Szarpnął nagle głową do tyłu i wrzasnął z bólu – wpadając do rowu, musiał uszkodzić sobie kręgosłup szyjny. Ale kot nie spodziewał się tego manewru i puścił go. Halston usłyszał, jak spada z łomotem na tylne siedzenie.

Strużka krwi załała mu oko. Próbował ponownie poruszyć rękoma, podnieść jedną z nich i wytrzeć krew.

Drżały na jego kolanach, lecz nadal nie dawał rady ich podnieść. Pomyślał o swojej czterdziestcepiątce tkwiącej w kaburze pod lewą pachą.

Jeśli zdołam wyjąć gnata, kiciuniu, za jednym zamachem uśmiercę cię dziewięć razy.

Mrowienie stało się wyraźniejsze. Czuł też tępe pulsowanie bólu w stopach, zasłoniętych i prawdopodobnie połamanych przez blok silnika, ukłucia i łaskotanie w nogach – takie same jak w kończynie, na której się spało i która zaczyna budzić się do życia. W tym momencie nie przejmował się swoimi stopami. Wystarczało, iż wiedział, że rdzeń kręgowy nie został przerwany i nie będzie do końca życia nieruchomym kawałem mięsa doczepionym do gadającej głowy.

Może zostało mi jeszcze parę żywotów.

Zajmij się kotem. To najważniejsze. Potem wydostań się z wraku – może ktoś będzie tędy jechał, to rozwiązałoby od razu dwa problemy. Mało prawdopodobne o wpół do piątej rano, na takiej jak ta bocznej drodze, ale kto wie? I...

I co robił tam z tyłu kot?

Niedobrze było mieć go na twarzy, lecz tak samo niedobrze, gdy znajdował się za plecami, poza polem widzenia. Halston zerknął w lusterko wsteczne, ale to nic nie dało.

Podczas wypadku przekreśliło się i widział w nim tylko porośnięty trawą rów, do którego wpadł.

Usłyszał za sobą cichy dźwięk podobny do tego, jaki wydaje rozdierany materiał.

Mruczenie.

Taki z niego demon... Zasnął tam.

A nawet jeśli nie zasnął, nawet jeśli jakimś cudem planuje morderstwo, co może mu zrobić? Chudy, mały zwierzak ważący nie więcej niż cztery funty. A on wkrótce... wkrótce będzie mógł poruszać rękoma w wystarczającym stopniu, żeby wyciągnąć broń. Na pewno.

Halston siedział i czekał. Czucie w rękach i nogach przez cały czas wracało seriami mrowień i ukłuc. Zupełnie bez sensu (a może dlatego, że tak blisko otarł się o śmierć) mniej więcej przez minutę doznawał erekcji. W obecnej sytuacji trochę trudno będzie walić konia, pomyślał.

Na wschodzie zaczęło świtać. Gdzieś niedaleko zaśpiewał ptak.

Halston ponownie sprawdził ręce i udało mu się je podnieść o jedną ósmą cala, zanim opadły.

Jeszcze nie. Ale już niedługo.

Halston usłyszał ciche stuknięcie w oparcie fotela za plecami. Obrócił głowę i spojrzał prosto w czarno-białą pysk i płonące oczy z wielkimi źrenicami.

Przemówił do nich.

– Nigdy nie zawałem zlecenia, kiedy już je przyjąłem, kiciu. To może być pierwsze. Odzyskuję czucie w rękach. Jeszcze tylko pięć minut, najwyżej dziesięć. Poradzić ci coś? Zmykaj przez okno. Są wszystkie otwarte. Zmykaj stąd i zabieraj ze sobą ogon.

Kot nie spuszczał z niego wzroku.

Halston ponownie sprawdził ręce. Podniosły się, wściekle dygocząc. Pół cala. Cal. Pozwolił, by opadły. Ześlizgnęły się z jego kolan na siedzenie plymoutha i leżały tam, połyskując blade niczym wielkie tropikalne pająki.

Kot uśmiechał się do niego.

Czyżbym popełnił błąd, pomyślał zmieszany. Był człowiekiem, który polegał na instynkcie, i przeświadczenie, że popełnił błąd, stało się nagle bardzo silne. A potem kot wyprężył się i jeszcze zanim skoczył, Halston domyślił się, co ma zamiar zrobić, i otworzył usta do krzyku.

Kot wylądował na jego kroczu, wbijając w nie wysunięte pazury.

W tym momencie Halston żałował, że nie jest sparalizowany. Ból był gigantyczny, potworny. Nigdy nie podejrzewał, że coś może tak boleć. Rozrywający mu jądra kot był prychającym sprężystym kłębkim furii.

Halston w końcu krzyknął, rozdziawiając szeroko usta i wtedy właśnie kot zmienił kierunek i skoczył mu na twarz. W tym momencie mężczyzna zdał sobie sprawę, że ma przed sobą coś więcej niż kota. To było coś opętanego złośliwą morderczą manią.

Zobaczył po raz ostatni czarno-biały pysk, położone na płask uszy i wielkie oczy, w których płonęła chora nienawiść. Kot wykończył troje staruszków, a teraz miał zamiar wykończyć Johna Halstona.

Wbił się w jego usta niczym kosmaty pocisk. Halston dławił się nim. Przednie łapy rozrywały jego język niczym kawałek wątróbki. Żołądek podszedł mu do gardła i zwymiotował, ale wymioty wpadły mu do tchawicy, zatykając ją, i zaczął się dusić.

W tej ekstremalnej sytuacji jego instynkt samozachowawczy przewyciężył chwilowy paraliż i Halston podniósł powoli obie ręce, żeby złapać kota. O mój Boże, pomyślał.

Kot wpychał się w jego usta, rozplaszczając się, wijąc, wpełzając coraz głębiej i głębiej. Halston czuł chrupanie w szczękach, które otwierały się, żeby go przyjąć.

Sięgnął, żeby go złapać, wyciągnąć, zniszczyć... i jego palce zacisnęły się tylko na ogonie.

W jakiś sposób kotu udało się wpełznąć całym ciałem do jego ust. Dziwny, czarno-biały pysk musiał teraz wciskać się w jego krtań.

Straszliwe rżenie wydobyło się z gardła Halstona, które spuchło niczym giętki ogrodowy szlauch.

Jego ciało zadygotało. Ręce opadły z powrotem na kolana, palce zabębniły machinalnie o uda. Oczy załśniły, a później zasnuły się mgłą i patrzyły niewidzącym wzrokiem przez przednią szybę plymoutha na nadchodzący świt.

Z jego otwartych ust wystawały dwa cale kosmatego ogona... w połowie czarnego, w połowie białego, kołyszącego się leniwie tam i z powrotem.

Po chwili ogon zniknął.

Gdzieś blisko znowu zaśpiewał ptak. A potem zapadła cisza i nad oszronionymi polami Connecticut wstał bezgłośny świt.

\* \* \*

Farmer nazywał się Will Reuss.

Zmierzał do Placer's Glen, żeby przedłużyć dowód rejestracyjny swojej rolniczej ciężarówce, i zobaczył, jak promienie porannego słońca odbijają się od czegoś w przydrożnym rowie. Podjechał bliżej i zobaczył leżącego na ukos w rowie plymoutha z wplątany w kratę chłodnicy drutem kolczastym, który przypominał kawałek stalowej włóczki.

Zszedł na dół i nagle zaczerpnął gwałtownie powietrza.

– Niech mnie kule – szepnął, zwracając się do jasnego listopadowego dnia. Za kierownicą siedział sztywno wyprostowany facet z otwartymi oczyma, które spoglądały pustym wzrokiem w wieczność. Ankieterzy z centrum Ropera już nigdy nie mieli go zapytać, na kogo

zagłosuje w następnych wyborach prezydenckich. Miał zakrwawioną twarz i nadal zapięte pasy bezpieczeństwa.

Drzwi od strony kierowcy zablokowały się, ale Reuss zdołał je otworzyć, szarpiąc obręcz. Pochylił się i rozpiął pasy, mając zamiar poszukać jakiegoś dowodu tożsamości. Sięgając pod marynarkę, zauważył, że koszula nieboszczyka lekko się wybrzusza tuż za klamrą paska. Wybrzusza się i... napina. Zakwitające na niej plamy krwi przypominały złowrogie róże.

– Co na Boga Ojca...?

Will Reuss złapał koszulę nieboszczyka i podciągnął ją do góry.

Spojrzał... i wrzasnął.

Nad pępkiem mężczyzny ziała wydrapana pazurami dziura. Wynurzał się z niej zachlapany krwią czarno-biały koci pysk z płonącymi wielkimi oczyma.

Reuss zatoczył się do tyłu, krzycząc i zasłaniając twarz rękoma. Kilka wron zerwało się do lotu z pobliskiego pola.

Kot wypełził na zewnątrz i przeciągnął się z lubieżnym rozleniwieniem.

A potem wyskoczył przez otwarte okno. Mignął raz w gąszczu wysokiej, zwiędłej trawy i zniknął.

Wyglądał, jakby się gdzieś spieszył, powiedział później Reuss reporterowi miejscowej gazety.

Jakby miał sprawę do załatwienia.

## „New York Times” w cenie promocyjnej

Wychodzi właśnie spod prysznic, kiedy zaczyna dzwonić telefon, lecz choć w domu jest pełno krewnych – słyszy ich na dole, ma wrażenie, że nigdy sobie nie pójdą, że nigdy nie miała tak wielu – nikt go nie odbiera. Nie włącza się również automatyczna sekretarka, tak jak zaprogramował ją James, po piątym dzwonku.

Owinięta w ręcznik Anne idzie do stojącego na nocnej szafce aparatu, mokre włosy kleją się jej nieprzyjemnie do karku i gołych ramion. Podnosi słuchawkę, mówi „halo”, a on zwraca się do niej po imieniu. To James. Spędzili ze sobą trzydzieści lat i wystarczy to jedno słowo. Mówi „Annie” jak nikt inny, zawsze tak było.

Przez moment nie jest w stanie się odezwać, nawet odetchnąć. Złapał ją na wydechu i Annie ma wrażenie, że jej płuca są płaskie niczym arkusz papieru. A potem, gdy ponownie mówi jej imię (robi to w nietypowy dla siebie niepewny, zażenowany sposób), nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Uginają się pod nią i Anne siada na łóżku. Ręcznik spada jej z bioder i pośladki zostawiają mokre ślady na prześcieradle. Gdyby nie było tam łóżka, siadłaby na podłodze.

Szczękają jej zęby i zaczyna znowu oddychać.

– James? Gdzie jesteś? Co się stało?

Gdyby mówiła to normalnym tonem, zabrzmiałaby w nim może nawet zgryźliwość – zniecierpliwienie matki strofującej jedenastoletniego syna, że znów spóźnił się na kolację – lecz ona zadaje te pytania przerażonym szeptem. Rozgadani krewni na dole planują bądź co bądź jego pogrzeb.

James parska śmiechem. Słysząc w nim zakłopotanie.

– Wiesz, co ci powiem? Nie wiem dokładnie, gdzie jestem – mówi.

W pierwszej chwili Annie wpada do głowy dziwny pomysł, że pewnie nie zdążył na samolot w Londynie, nie zdążył, mimo że zadzwonił do niej z Heathrow krótko przed startem. Potem przychodzi jej na myśl bardziej logiczne wyjaśnienie: chociaż zarówno w „Timesie”, jak i w telewizyjnych wiadomościach twierdzą, że wszyscy zginęli, uratowała się co najmniej jedna osoba. Jej mąż wyczołgał się z płonącego wraku samolotu (i płonącego budynku mieszkalnego, nie zapominaj o tym, kolejne dwadzieścia cztery osoby zginęły na ziemi i ich

liczba może wzrosnąć, zanim świat zainteresuje się następną tragedią) i w stanie szoku błąkał się od tamtego momentu po Brooklynie.

– Jimmy, dobrze się czujesz? Nie jesteś... nie jesteś poparzony? – Świadomość, co to może oznaczać, spada na nią niczym książka upuszczona na bosą stopę i Annie zaczyna płakać. – Jesteś w szpitalu?

– Spokojnie – mówi i na dźwięk jego łagodnego głosu... i tego starego słowa, które należało do słownika ich małżeństwa, Annie płacze jeszcze bardziej. – Spokojnie, kochanie.

– Ale ja nie rozumiem!

– Czuję się dobrze – mówi on. – Większość z nas czuje się dobrze.

– Większość...? Są i inni?

– Z wyjątkiem pilota. Z nim nie jest najlepiej. A może to drugi pilot. Bez przerwy krzyczy. „Spadamy, tracimy moc, o mój Boże”. Albo: „To nie moja wina, nie pozwólcie, żeby to na mnie zwalili”. To też powtarza.

Annie czuje, jak ogarnia ją chłód.

– Kto mówi? Kim pan naprawdę jest? Dlaczego jest pan taki okropny? Straciłam właśnie męża, dupku!

– Kochanie...

– Nie waż się tak do mnie mówić! – Z nosa zwisa jej przezroczyista nitka śluzu. Ociera ją wierzchem dłoni i strząsa na podłogę, czego nie robiła od dzieciństwa. – Niech pan posłucha, panie... zaraz sprawdzę, z jakiego numeru pan dzwoni, i policja przyjdzie i skopie panu tyłek, ty głupi, bezduszny dupku...

Nie jest jednak w stanie kontynuować tej tyrady. To jego głos. Nie może temu zaprzeczyć. A to, jak doszło do połączenia – nikt nie odebrał na dole, nie włączyła się automatyczna sekretarka – sugeruje, że telefon był tylko do niej. I to „spokojnie, kochanie”. Jak w starej piosence Carla Perkinsa.

James milczy, jakby chciał, żeby to do niej dotarło. Lecz zanim Annie zdoła ponownie się odezwać, w słuchawce słychać bipnięcie.

– James? Jimmy? Jesteś tam jeszcze?

– Tak, ale nie mogę długo mówić. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, kiedy spadaliśmy, i chyba tylko dlatego udało mi się w ogóle połączyć. Wielu innych próbuje to zrobić, mamy mnóstwo komórek, lecz bez rezultatu. – Znowu ten sygnał dźwiękowy. – Tyle że moja komórka jest już prawie całkiem rozładowana.

– Jimmy, czy ty wiedziałeś?

Ta myśl jest dla niej czymś najtrudniejszym i najstraszniejszym: że mógł wiedzieć, nawet jeśli trwało to tylko przez kilka długich jak nieskończoność minut. Inni mogą sobie wyobrazić płonące ciała i pucinanane głowy z wyszczerzonymi zębami, a nawet zjawiających się na miejscu katastrofy ludzi o lepkich palcach, kradnących obrączki i brylantowe kolczyki, ale tym, co nie daje spokoju Annie Driscoll, był obraz Jimmy’ego patrzącego przez okno na

zbliżające się ulice, samochody i brązowe budynki Brooklynu. Bezużyteczne maski tlenowe wypadające z pojemników niczym małe żółte zwierzęta. Otwierające się schowki nad głowami, latające w powietrzu torby, czyjaś maszynka do golenia staczająca się w dół przejściem.

– Czy wiedziałeś, że spadacie?

– Niezupełnie. Wszystko było w porządku prawie do samego końca... aż do ostatnich trzydziestu sekund. Chociaż zawsze wydaje mi się, że trudno jest śledzić upływ czasu w takich sytuacjach jak ta.

*W takich sytuacjach jak ta. I jeszcze bardziej znaczące: zawsze wydaje mi się.* Tak jakby był na pokładzie kilkunastu rozbitych boeingów 767, a nie tylko w tym jednym.

– Tak czy inaczej – ciągnie – właśnie do ciebie dzwoniłem. Chciałem ci powiedzieć, że będziemy wcześniej, żebyś miała czas wyrzucić z łóżka faceta z FedExu, zanim się zjawię.

Jej absurdałna słabość do faceta z FedExu od lat stanowiła temat ich żartów. Annie zaczyna znowu płakać. Jego komórka po raz kolejny wydaje bipnięcie, jakby ją za to strofowała.

– Myślę, że zginałem sekundę albo dwie po pierwszym dzwonku. Chyba dlatego zdołałem się teraz z tobą połączyć. Ale to dziadostwo prędko wyzionie ducha.

Jimmy śmieje się, jakby to było śmieszne. Annie przypuszcza, że na swój sposób jest. Niewykluczone, że ona też dostrzeże w tym kiedyś coś zabawnego. Mniej więcej za dziesięć lat, myśli.

– Dlaczego nie podłączyłem wczoraj wieczorem tego chłamu do ładowarki? – mówi Jimmy tym dobrze jej znanym tonem, który ma oznaczać „tak tylko głośno myślę”. – Po prostu zapomniałem, to wszystko. Po prostu zapomniałem.

– James... kochanie... samolot rozbił się dwa dni temu.

Pauza. Na szczęście nie słychać kolejnego bipnięcia.

– Naprawdę? – odzywa się po chwili Jimmy. – Pani Corey mówi, że czas wyprawia tutaj dziwne figle. Część z nas się zgodziła, część nie. Ja należałem do tych ostatnich, ale wygląda na to, że miała rację.

– Kierki? – pyta Annie. Ma wrażenie, że opuściła swoje ciało i unosi się nad tą pulchną, mokrą kobietą w średnim wieku, lecz nie zapomniała starych zwyczajów Jimmy’ego. Podczas długich lotów zawsze lubił zagrać w karty. Może być kanasta albo cribbage, jednak najbardziej pokochał kierki.

– Kierki – odpowiada Jimmy. Telefon ponownie wydaje sygnał dźwiękowy, jakby to potwierdzał.

– Jimmy. – Annie waha się przez chwilę, pytając sama siebie, czy naprawdę zależy jej na tej informacji, a potem powtarza pytanie, na które nie uzyskała odpowiedzi. – Gdzie dokładnie jesteś?



– To wygląda jak dworzec Grand Central – mówi Jimmy. – Tylko że jest większe. I bardziej wyludnione. Jakby w rzeczywistości to nie był Grand Central... ale dekoracje filmowe, które mają udawać Grand Central. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak... chyba tak...

– Na pewno nie ma tu żadnych pociągów... i nie słyszymy, żeby gdzieś w pobliżu jechały... jednak wszędzie są drzwi, które prowadzą w różne strony. Aha... i są schody ruchome, ale zepsute. Całe zakurzone i niektóre stopnie są połamane. – Jimmy przerywa i kiedy odzywa się ponownie, mówi o wiele ciszej, jakby obawiał się, że go ktoś podsłucha. – Ludzie odchodzą. Niektórzy idą gdzieś po ruchomych schodach... jednak większość przechodzi przez drzwi. Myślę, że ja też będę musiał odejść. Po pierwsze, nie ma tu nic do jedzenia. Jest automat z batonikami, lecz też nie działa.

– Czy jesteś... kochanie, czy jesteś głodny?

– Trochę. Ale najbardziej chce mi się pić. Oddałbym wszystko za butelkę zimnej mineralnej.

Annie patrzy z poczuciem winy na własne nogi, na których wciąż widać kropelki wody. Wyobraża sobie, jak Jimmy je zlizuje, i z przerażeniem stwierdza, że ją to podnieca.

– Poza tym czuję się dobrze – dodaje szybko Jimmy. – Przynajmniej na razie. Tyle że nie ma sensu tu siedzieć. Ale...

– Co? Co, Jimmy?

– Nie wiem, które wybrać drzwi.

Kolejne bipnięcie.

– Szkoda, że nie wiem, które wybrała pani Corey. Ma moje cholerne karty.

– Czy ty... – Annie wyciera twarz ręcznikiem, w który zawinęła się, wychodząc spod prysznic; wtedy była czysta i świeża, teraz jest cała zapłakana i zasmarkana. – Czy ty się boisz?

– Czy się boję? – powtarza w zamyśleniu Jimmy. – Nie. Trochę się niepokoję, to wszystko. Głównie tym, które wybrać drzwi.

Znajdź drogę do domu, ma ochotę powiedzieć mu Annie. Wybierz właściwe drzwi i znajdź drogę do domu. Ale czy będzie chciała go widzieć, jeżeli to zrobi? Duch może być w porządku, lecz co będzie, jeśli otworzy drzwi i zobaczy dymiące, zwęglone szczątki z czerwonymi oczyma, w spalonych dżinsach (zawsze podróżował w dżinsach) wtopionych w nogi? I co, jeśli będzie mu towarzyszyła pani Corey ze spaloną talią kart w powykręcanej ręce?

Bip.

– Nie potrzebuję ci mówić, że nie musisz się już kryć z tym facetem z FedExu – mówi Jimmy. – Jeżeli naprawdę ci na nim zależy, bierz go sobie.

Annie zaskakuje samą siebie, wybuchając śmiechem.

– Ale chciałem ci powiedzieć, że cię kocham...

– Och, kochanie, ja też cię ko...

– I nie pozwól młodemu McCormackowi naprawiać rynien jesienią. Jest pracowity, ale to ryzykant, w zeszłym roku o mało nie skręcił sobie pieprzonego karku. I nie chodź już w niedzielę do tej piekarni. Coś się tam stanie i wiem, że to będzie w niedzielę, tyle że nie mam pojęcia w którą. Czas naprawdę wyczynia tutaj dziwne sztuczki.

Młody McCormack, o którym mówi, to musi być syn faceta, który był ich dozorcą w Vermoncie... tyle że sprzedali to mieszkanie przed dziesięciu laty i chłopak musi mieć już dwadzieścia parę lat. A piekarnia? Przypuszcza, że Jimmy mówi o piekarni Zoltana, ale skąd, u licha...

Bip.

– Niektórzy z ludzi tutaj byli chyba na dole. To cholernie przykre, bo nie mają pojęcia, jak się tu dostali. A pilot nie przestaje krzyczeć. A może to jest drugi pilot. Myślę, że chyba tu przez jakiś czas zostanie. Po prostu kręci się w kółko. Jest bardzo przybity.

Bipnięcia stają się coraz częstsze.

– Muszę już kończyć, Annie. Nie mogę tutaj zostać, a telefon i tak zaraz się zesra. Tak łatwo byłoby po prostu... – mówi ponownie tym swoim tonem, który oznacza „mogę mieć pretensję tylko do siebie” (nie sposób uwierzyć, że po dzisiejszym dniu już nigdy go nie usłyszysz; nie sposób w to nie uwierzyć). – Zresztą nieważne. Kocham cię, skarbie.

– Zaczekaj! Nie odchodź!

– Nie mo...

– Ja też cię kocham! Nie odchodź!

Lecz on już skończył. W słuchawce słychać tylko czarną ciszę.

Annie siedzi ze słuchawką przy uchu przez całą minutę, a może dłużej, i w końcu przerywa połączenie. Nieistniejące połączenie. A potem włącza ponownie telefon i słysząc całkowicie normalny sygnał centrali, wciska jednak gwiazdkę i cyfry 69. Według automatu, który informuje ją o ostatnim połączeniu, doszło do niego o dziewiątej rano. Wie, kto to był: jej siostra Nell, dzwoniąca z Nowego Meksyku. Nell zatelefonowała, żeby poinformować Annie, że jej lot jest opóźniony i przyleci najwcześniej wieczorem. Powiedziała jej, żeby była silna.

Wszyscy mieszkający daleko krewni – zarówno Jamesa, jak i Annie – przylecieli samolotami. Najwyraźniej uważają, że przynajmniej chwilowo James wyczerpał całą pulę rodzinnego pecha.

Nie ma żadnego śladu po połączeniu przychodzącym – Annie zerka na stojący na nocnej szafce zegar i widzi, że jest piętnasta siedemnaście – do którego doszło mniej więcej dziesięć po trzeciej w trzecim dniu jej wdowieństwa.

Ktoś puka krótko w drzwi.

– Annie?! Annie?! – woła jej brat.

– Ubieram się – odpowiada. Jej głos brzmi tak, jakby płakała, niestety jednak nikt w tym domu nie uzna tego za dziwne. – Trochę prywatności, proszę.

– Dobrze się czujesz? – woła przez drzwi. – Słyszeliśmy chyba, jak z kimś rozmawiasz. A Ellie mówiła, że kogoś wołałaś.

– Nic mi nie jest! – odpowiada i ponownie wyciera twarz ręcznikiem. – Zaraz zejść na dół!

– Okay. Nie ma pośpiechu. Jesteśmy tu dla ciebie – dodaje po chwili i odchodzi.

– Bip – szepcze Annie i zakrywa usta, żeby powstrzymać śmiech, w którym szukają ujścia pewne emocje jeszcze bardziej skomplikowane od rozpacz. – Bip, bip. Bip, bip, bip. – Śmiejąc się, kładzie się na łóżku i jej zasłonięte dłońmi oczy są szeroko otwarte i zalane łzami, które płyną po policzkach aż do uszu. – Bip-pierdolony-zabipiony-bip.

Śmieje się dość długo, a potem ubiera się i schodzi na dół, żeby pobyć ze swoimi bliskimi, którzy przyjechali, by połączyć się z nią w smutku. Tyle że Annie nie czuje się z nimi połączona, bo nie zadzwonił do żadnego z nich. Zadzwonił do niej. Nieważne, czy to dobrze, czy źle, ale zadzwonił do niej.

\* \* \*

Jesienią tego roku, kiedy poczerniałe zgliszczą bloku mieszkalnego, na który spadł samolot, nadal odgradza od reszty świata żółta policyjna taśma (choć grafficiarze zdołali już wejść do środka i jeden z nich zostawił namalowaną sprayem wiadomość BYLI TUTAJ CRISPY CRITTERS), Annie dostaje e-mail z rodzaju tych, które komputerowi maniacy lubią rozsyłać szerokiemu kręgowi znajomych. Ten pochodzi od Gert Fisher, miejskiej bibliotekarki z Tilton w stanie Vermont. Kiedy razem z Jamesem spędzali wakacje, Annie pracowała społecznie w bibliotece i chociaż dwie panie zbytnio się nie polubiły, Gert wpisała ją na listę osób otrzymujących cokwartalne biuletyny. Ich treść nie jest na ogół interesująca, ale między informacjami o ślubach, pogrzebach i zwycięstwach Konkursu Młodych Farmerów Annie trafia na wiadomość, która zapiera jej dech. Jason McCormack, syn starego Hugh McCormacka zginął w wypadku w Święto Pracy. Czyszcząc rynny, spadł z dachu letniego domku i skręcił sobie kark.

„Robił to wyłącznie na prośbę swojego taty, który, jak może pamiętasz, miał w zeszłym roku wylew”, skomentowała Gert, po czym przeszła do organizowanego pod koniec lata kiermaszu książek, w trakcie którego padał deszcz, co bardzo wszystkich rozczarowało. Gert nie wyjaśniła tego w swoim trzystronicowym kompendium pasjonujących wieści, lecz Annie jest całkiem pewna, że Jason spadł z dachu ich dawnego domku. Właściwie nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

\* \* \*

Pięć lat po śmierci swojego męża (i niewiele późniejszej śmierci Jasona McCormacka) Annie wychodzi ponownie za mąż. I chociaż przeprowadza się do Boca Raton, dość często wraca na stare śmieci. Craig, jej nowy mąż, nie przeszedł do końca na emeryturę i co trzy lub cztery miesiące przyjeżdża w interesach do Nowego Jorku. Annie prawie zawsze mu towarzyszy, ponieważ nadal ma rodzinę w Brooklynie i na Long Island. Czasami wydaje jej się, że ma jej więcej, niż może obsłużyć. Ale kocha ich tą desperacką miłością, którą potrafią jej zdaniem kochać tylko ludzie po pięćdziesiątce i po sześćdziesiątce. Nigdy nie zapomni, jak zjechali do niej po śmierci Jamesa i postarali się zamortyzować uderzenie. Żeby ona też się nie rozbiła.

Do Nowego Jorku lecą samolotem. Nie ma w tej kwestii żadnych obaw, ale podczas pobytów w Nowym Jorku nie chodzi już w niedzielę do rodzinnej piekarni Zoltana, mimo że ich bajgle z rodzynkami serwowane są chyba w poczekalni do nieba. Zamiast tego chodzi do piekarni Frogera. I właśnie tam jest, kupując pączki (są całkiem znośne), kiedy słyszy wybuch. Słyszy go wyraźnie, mimo że piekarnia Zoltana jest jedenaście przecznic dalej. Eksplozja gazu z butli. Cztery osoby zabite, w tym kobieta, która podawała zawsze Annie bajgle w zwiniętej na górze torbie, mówiąc: „Niech je pani trzyma w ten sposób, idąc do domu, inaczej stracą świeżość”.

Ludzie stoją na chodnikach i osłaniając oczy dłońmi, patrzą na wschód, w stronę gdzie nastąpił wybuch i wznosi się chmura dymu. Annie mija ich, nie patrząc. Nie chce oglądać unoszącego się po eksplozji słupa dymu; wystarczająco często myśli o Jamesie, zwłaszcza w te noce, kiedy nie może zasnąć. Gdy podchodzi do domu, słyszy dzwoniący telefon. Albo wszyscy poszli do pobliskiej szkoły, przed którą organizowany jest kiermasz dzieł sztuki, albo nikt nie słyszy dzwonka. To znaczy, nikt oprócz niej. Jednak kiedy obraca klucz w zamku, dzwonek milknie.

Okazuje się, że w domu jest Sarah, jedyna z jej siostr, która nigdy nie wyszła za mąż, ale nie warto nawet pytać, dlaczego nie odebrała telefonu; Sarah Bernicke, niegdysiejsza królowa dyskotek, tańczy w kuchni, słuchając Village People, trzymając w ręku mopa i wyglądając zupełnie jak dziewczyna z telewizyjnej reklamy. Nie usłyszała również eksplozji, chociaż ich dom leży bliżej Zoltana niż piekarnia Frogera.

Annie sprawdza automatyczną sekretarkę, ale w okienku OTRZYMANE WIADOMOŚCI widnieje wielkie czerwone zero. To nie musi nic znaczyć, wielu ludzi rozłącza się, nie zostawiając wiadomości, lecz...

Po wybraniu \*69 dowiaduje się, że ostatni telefon był o dwudziestej czterdzieści poprzedniego dnia. Annie i tak go wybiera, łudząc się nadzieją, że gdzieś poza tą wielką salą która wygląda jak odtworzony na planie filmowym dworzec Grand Central, udało mu się jakoś naładować komórkę. Może mu się wydawać, że rozmawiał z nią zaledwie wczoraj. Albo przed kilkoma minutami. Czas płata tutaj dziwne figle, powiedział. Śniła o tej rozmowie

telefonicznej tyle razy, że cała wydaje jej się teraz snem, lecz nigdy nikomu o niej nie opowiedziała. Nawet Craigowi, nawet swojej matce, która dobiega teraz dziewięćdziesiątki, ale jest sprawna umysłowo i mocno wierzy w życie pozagrobowe.

Grający w kuchni Village People twierdzą, że nie ma powodu się smucić. Rzeczywiście nie ma i Annie wcale się nie smuci. Mimo to kiedy pod wybranym przez nią numerem odzywa się pierwszy, a później drugi dzwonek, ściska bardzo mocno słuchawkę. Stoi w salonie, trzymając telefon przy uchu i dotykając drugą ręką broszki nad lewą piersią, jakby dotykanie broszki mogło uspokoić walące pod nią serce. A potem sygnał dzwonka kończy się i nagrany głos proponuje jej prenumeratę „New York Timesa” po specjalnej promocyjnej cenie, która obowiązuje tylko teraz.

# Niemowa

## 1

Konfesjonały były trzy. Nad drzwiami środkowego paliła się lampka. Nikt nie czekał. Kościół był pusty. Przez witraże wpadało kolorowe światło, malując jasne kwadraty na posadzce nawy głównej. Monette miał ochotę wyjść, ale nie zrobił tego. Zamiast tego zbliżył się do konfesjonału, który był czynny, i wszedł do środka. Kiedy zamknął za sobą drzwi i usiadł, otworzyło się małe okienko po prawej stronie. Przed sobą miał przypiętą niebieską pineską do ściany kartkę z napisem ALBOWIEM WSZYSCY ZGRZESZYLI I BRAK IM CHWAŁY BOŻEJ. Minęło sporo czasu, lecz Monette nie sądził, by coś takiego należało do standardowego wyposażenia. Nie sądził nawet, by była o tym mowa w katechizmie z Baltimore.

– Jak się masz, mój synu? – odezwał się ksiądz z drugiej strony kratki.

To również nie było standardowe powitanie, jednak specjalnie mu to nie przeszkadzało. Mimo to z początku nie mógł się odezwać. Zupełnie go zatkało. Co było trochę dziwne, zważywszy na to, co miał do powiedzenia.

– Synu? Zamurowało cię?

Nadal nic. Słowa były na wyciągnięcie ręki, ale nie potrafił ich z siebie wydobyć. Choć to absurdalne, Monette wyobraził sobie nagle zatkaną toaletę.

Niewyraźny kształt poruszył się za kratką.

– Dawno już się nie spowiadałeś?

– Dawno – przyznał Monette. To już było coś.

– Chcesz, żebym ci podpowiedział?

– Nie, pamiętam. Pobłogosław mnie, ojcze, albowiem zgrzeszyłem.

– No, no, a ile czasu minęło od ostatniej spowiedzi?

– Nie pamiętam. Dużo. Ostatnim razem byłem u spowiedzi jako dziecko.

– Nie przejmuj się, to jak jazda rowerem.

Jednak przez moment Monette nadal nie mógł się odezwać. Spojrzał na przypiętą pineską kartkę i przełknął ślinę. Jego dłonie zaciskały się coraz mocniej, aż powstała z nich wielka podwójna pięść kołysząca się między udami.

– Synu? Czas mija, a ja zaprosiłem kogoś na lunch. Właściwie ta osoba przyniesie lunch ze so...

– Ojczy, popełniłem chyba straszny grzech.

Teraz to ksiądz przez kilka chwil się nie odzywał. Niemowa, pomyślał Monette. To było „białe słowo”, jeśli kiedykolwiek takie istniało. Zapisz je na kartce, to zniknie.

– Jaki popełniłeś grzech, mój synu? – zapytał ksiądz po drugiej stronie kratki, odzyskawszy najwyraźniej rezon. Jego głos był nadal przyjazny, lecz poważniejszy.

– Nie wiem – odparł Monette. – To ksiądz musi mi powiedzieć.

## 2

Zaczynało padać, kiedy Monette podjechał do północnego wjazdu na autostradę. Jego walizka była w bagażniku, a pudła z próbkami – wielkie kanciaste walizy podobne do tych, które dźwigają adwokaci przynoszący do sądu dowody rzeczowe – na tylnym siedzeniu. Jedno było brązowe, drugie czarne. Na obu wytłoczono logo Wolfe & Sons: drewniany wilk z książką w pysku. Monette był komiwojażerem. Obsługiwał całą północną część Nowej Anglii. Był poniedziałkowy ranek. Miał za sobą zły weekend, naprawdę fatalny. Jego żona wyprowadziła się do motelu i prawdopodobnie nie przebywała tam sama. Wkrótce mogła trafić do więzienia. Z całą pewnością wybuchnie skandal, a jej zdrada była w tym najmniej ważna.

W klapie marynarki miał znaczek z napisem ZAPYTAJ O NAJLEPSZĄ JESIENNĄ LISTĘ W HISTORII!

Przy wjeździe stał mężczyzna. Miał na sobie stare ubranie i kiedy Monette zbliżył się i lunęło troszeczkę mocniej, podniósł tekturkę z napisem. Między jego stopami leżał sfatygowany brązowy plecak. Rzep w jednej z brudnych tenisówek odczepił się i sterczał niczym przekrzywiony język. Autostopowicz nie miał czapki, nie mówiąc już o parasolu.

Z początku Monette zobaczył na tekturce tylko prymitywnie narysowane czerwone usta przekreślone ukośną czarną linią. Kiedy podjechał bliżej, ujrzał nad przekreślonymi ustami słowa JESTEM NIEMOWĄ! Pod ustami widniał napis CZY MOŻECIE MNIE PODWIEŻĆ???

Monette włączył kierunkowskaz, żeby skrócić we wjazd. Autostopowicz obrócił tekturkę. Po drugiej stronie było tak samo prymitywnie narysowane przekreślone ucho. Nad uchem: JESTEM GŁUCHY! Pod nim: PROSZĘ, CZY MOGĘ SIĘ ZABRAĆ???

Od ukończenia szesnastego roku życia Monette przejechał miliony mil, w większości w ciągu ostatnich kilkunastu lat, kiedy pracował dla Wolfe & Sons, i w całym tym okresie nie podwiózł nigdy ani jednego autostopowicza. Tego dnia bez wahania podjechał jednak do skraju jezdnii i zatrzymał się. Zawieszony na lusterku wstecznym medalik ze świętym

Krzysztofem wciąż się kołysał, gdy odblokował przyciskiem drzwi. Tego dnia czuł, że nie ma nic do stracenia.

Autostopowicz wślizgnął się do auta i położył swój sfatygowany mały plecak między mokrymi brudnymi tenisówkami. Przyglądając mu się wcześniej, Monette pomyślał, że facet będzie brzydko pachniał, i nie pomylił się.

– Jak daleko jedziesz? – zapytał.

Autostopowicz wzruszył ramionami i wskazał wjazd na autostradę. A potem pochylił się i ostrożnie położył swoją tekturkę na plecaku. Miał skołtunione, cienkie włosy, przetykane nitkami siwizny.

– Wiem którą, ale...

Monette zdał sobie sprawę, że facet go nie słyszy. Czekał, aż się wyprostuje. Jakiś samochód minął ich, trąbiąc, mimo że Monette zostawił mu mnóstwo miejsca. Monette pokazał mu palec. Coś takiego robił już wcześniej, jednak nigdy z powodu takiego drobiazgu.

Autostopowicz zapiął pasy i spojrzał na Monette'a, jakby chciał zapytać, z jakiego powodu ta zwłoka. Miał twarz pooraną zmarszczkami i kilkudniowy zarost. Monette nie potrafił odgadnąć, w jakim jest wieku. Wiedział tylko, że gdzieś między średnim i podeszłym.

– Jak daleko jedziesz? – powtórzył, wymawiając tym razem wyraźnie każde słowo, lecz facet w dalszym ciągu tylko na niego patrzył: średniego wzrostu, chudy, ważący nie więcej niż sto pięćdziesiąt funtów. – Potrafisz czytać z ruchu warg? – zapytał Monette, dotykając własnych.

Autostopowicz potrząsnął głową i wykonał kilka gestów rękoma.

Monette trzymał na konsoli bloczek do pisania. Kiedy pisał na nim „Jak daleko?”, minęło go kolejne auto, wlokąc za sobą tuman deszczu. Jechał aż do Derry, sto sześćdziesiąt mil, i normalnie nienawidził takich warunków jazdy; gorsze od nich były tylko intensywne opady śniegu. Tego dnia uznał jednak, że warunki są całkiem znośne. Tego dnia pogoda i wielkie ciężarówki, które pędząc, wzbijały za sobą wtórne szkwały, skupiały przynajmniej na sobie jego uwagę.

Nie mówiąc już o tym facecie, jego nowym pasażerze – który spojrzał na kartkę, a potem na niego. Monette uprzytomnił sobie, że być może facet nie potrafi również czytać – kiedy jest się głuchoniemym, nauka czytania może być cholernie trudna. Ale zrozumiał chyba znak zapytania. Wskazał przednią szybę i wjazd na autostradę, następnie zaś osiem razy otworzył i zamknął dłonie. A może zrobił to dziesięć razy. Osiemdziesiąt mil. A może sto. Jeżeli w ogóle to wiedział.

– Waterville? – zapytał Monette.

Autostopowicz spojrzał na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– No dobrze – mruknął Monette. – Nieważne. Po prostu klepnij mnie po ramieniu, kiedy dotrzemy tam, gdzie chcesz wysiąść.

Autostopowicz znowu spojrzał na niego w podobny sposób.



– Rozumiem, że to zrobisz – powiedział Monette. – To znaczy, jeżeli w ogóle wybierasz się w jakieś konkretne miejsce. Musisz być kompletnie odcięty od rzeczywistości, co?

Facet nadal na niego patrzył. Wzruszył ramionami i przyłożył ręce do uszu.

– Wiem – odparł Monette, ruszając z miejsca. – Kompletnie odcięty. Zerwane wszystkie linie telefoniczne. Ale dzisiaj prawie żałuję, że ja nie jestem tobą, a ty mną. – Przerwał na chwilę. – Prawie. Nie będzie ci przeszkadzała muzyka? – zapytał.

I kiedy autostopowicz odwrócił po prostu głowę i wyjrzał przez okno, Monette nie mógł nie zaśmiać się z własnej naiwności. Debussy, AC/DC czy Rush Limbaugh – temu facetowi było wszystko jedno.

Kupił wcześniej nową płytę Josha Rittersa dla córki – w przyszłym tygodniu wypadały jej urodziny – lecz jeszcze jej nie wysłał. Ostatnio działo się zbyt wiele. Kiedy wyjechali za Portland, nastawił tempomat, przeciął paznokciem celofan, w który opakowana była płyta, i wsunął ją do odtwarzacza. Przypuszczał, że od tej chwili była to już używana płyta, coś, czego nie daje się w prezencie ukochanej jedynaczce. Nieważne, może jej zawsze kupić następną. Zakładając, że nadal będzie miał na to pieniądze.

Josh Ritter okazał się całkiem dobry. Podobny do wczesnego Dylana, tylko z bardziej pozytywnym nastawieniem. Słuchając go, Monette zaczął zastanawiać się nad finansami. To, że mogło go nie być stać na nową płytę dla Kelsie, stanowiło najmniejszy z jego problemów. Fakt, że tak naprawdę chciała i potrzebowała nowego laptopa, również nie figurował wysoko na ich liście. Jeżeli Barb zrobiła to, co powiedziała – a potwierdzili to w kuratorium – Monette nie wiedział, czy zdoła opłacić ostatni rok studiów małej w Case Western. Nawet zakładając, że sam nie straci roboty. To był prawdziwy problem.

Podkreślił muzykę, żeby zagłuszyć ten problem, i częściowo mu się to udało, kiedy jednak zbliżyli się do Gardiner, skończyła się ostatnia piosenka. Autostopowicz był odwrócony twarzą i ciałem do bocznego okna. Monette widział tylko tył jego poplamionej budrysówki i cienkie włosy opadające strączkami na kołnierz. Z tyłu budrysówki był chyba kiedyś wydrukowany jakiś napis, ale zbyt spłowiła, żeby go teraz odczytać.

Tak właśnie wygląda życie tego biednego szmondaka, pomyślał Monette.

Z początku nie mógł zgadnąć, czy autostopowicz drzemie, czy ogląda krajobraz. A potem zauważył, jak jego głowa pochyla się lekko w dół i szyba zaparowuje od jego oddechu, i uznał, że raczej drzemie. Całkiem zrozumiałe. Jediną rzeczą nudniejszą od autostrady Maine Turnpike na południe od Augusty jest autostrada Maine Turnpike na południe od Augusty w zimnym wiosennym deszczu.

Monette miał inne płyty w centralnej konsoli, lecz zamiast je przejrzeć, wyłączył radio. A kiedy minęli punkt poboru opłat na wysokości Gardiner – nie zatrzymując się, jedynie zwalniając, dzięki cudownej technologii E-ZPass – zaczął opowiadać.

### 3

Monette umilkł i spojrzał na zegarek. Była za kwadrans dwunasta, a ksiądz mówił, że ktoś przyjdzie do niego na lunch. Że dokładnie rzecz biorąc, ten ktoś przyniesie lunch ze sobą.

– Ojczy, przykro mi, że to tak długo trwa. Postarałbym się streścić, gdybym wiedział jak, ale nie wiem.

– Nic nie szkodzi, synu. Zainteresowałeś mnie.

– A ta osoba, którą ksiądz zaprosił...

– Poczekaj, kiedy będę sprawował bożą posługę. Czy ten mężczyzna cię obrabował, synu?

– Nie – odparł Monette. – Odebrał mi tylko spokój ducha. Czy to można uznać za rabunek?

– Z całą pewnością. Więc co takiego zrobił?

– Nic. Wyglądał przez okno. Myślałem, że drzemie, lecz później doszedłem do wniosku, że byłem w błędzie.

– A co ty zrobiłeś?

– Mówiłem o mojej żonie – odparł Monette, po czym przerwał, żeby się nad tym zastanowić. – Nie, to nieprawda. Wściekałem się na swoją żonę. Narzekałem na moją żonę. Przeklinałem moją żonę. Ja... rozumie ksiądz... – Przez chwilę zmagał się z tym, co miał do powiedzenia, zaciskając usta i spoglądając na splecione mocno między udami dłonie. – On był głuchoniemy, rozumie ksiądz! – wybuchnął w końcu. – Mogłem powiedzieć wszystko i nie musiałem wysłuchiwać, jak to analizuje, nie musiałem wysłuchiwać jego opinii ani mądrych rad. Był niemy i głuchy, do cholery, myślałem, że chyba śpi, i mogłem mówić, co mi się, kurwa, żywnie podobało.

Monette skrzywił się w pomieszczeniu z przypiętą do ściany kartką.

– Przepraszam, ojczy.

– Co konkretnie mu o niej powiedziałaś? – zapytał ksiądz.

– Powiedziałem, że ma pięćdziesiąt cztery lata – odparł Monette. – Od tego zacząłem. Ponieważ to właśnie... to właśnie najbardziej mnie ubodło.

### 4

Za punktem poboru opłat w Gardiner autostrada Maine Turnpike staje się ponownie bezpłatna i przez trzysta mil biegnie przez lasy i pola, na których widać czasami przyczepę z anteną satelitarną na dachu i stojącym obok pick-upem na ceglach. Z wyjątkiem lata mało kto nią podróżuje. Każdy samochód staje się osobnym, niewielkim światem. Monette'owi przyszło nawet do głowy (być może pod wpływem zawieszzonego na lusterku wstecznym medalika ze świętym Krzysztofem, prezentu od Barb, który dostał od niej w lepszych,

normalniej szych czasach), że znalazł się w konfesjonale na kółkach. Mimo to na początku mówił wolno, jak wielu, którzy przystępują do spowiedzi.

– Jestem żonaty – powiedział. – Mam pięćdziesiąt pięć lat, żona pięćdziesiąt cztery.

Zastanawiał się chwilę. Wycieraczki chodziły tam i z powrotem.

– Pięćdziesiąt cztery. Barbara ma pięćdziesiąt cztery lata. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu sześciu lat. Jedno dziecko. Córka. Uroczą. Kelsie Ann. Studiuje w Cleveland i nie wiem, czy zdołam dalej płacić jej chesne, ponieważ dwa tygodnie temu, bez żadnego ostrzeżenia, moja żona zmieniła się w wulkan St. Helen. Okazało się, że ma chłopaka. Ma chłopaka prawie od dwóch lat. Jest nauczycielem... to w końcu oczywiste, kim innym miałby być?... ale ona nazywa go Kowbojem Bobem. Okazało się, że wiele z tych wieczorów, które, jak mi się wydawało, spędzała w kółku bibliotecznym albo na zajęciach uniwersytetu trzeciego wieku, upływało jej na popijaniu tequili i tańcach z Pierdolonym Kowbojem Bobem.

To było zabawne. Każdy mógł to przyznać. Typowe sitcomowe badziewie, jeśli istniało coś takiego jak sitcomowe badziewie. Ale choć Monette nie płakał – oczy piekły go tak, jakby przetaił je sumakiem. Zerknął w prawo, lecz autostopowicz nadal odwrócony był do niego tyłem i opierał się czołem o boczną szybę. Na pewno zasnął.

Prawie na pewno.

Monette nikomu jeszcze nie mówił o zdradzie Barbary. Kelsie nadal nic nie wiedziała, choć z pewnością nie da się tego przed nią ukryć. Takie wiadomości szybko się rozchodzą – przed wyjazdem odebrał telefony od trzech różnych reporterów – na razie jednak nie mieli nic, co mogliby opublikować lub puścić w eter. To się wkrótce zmieni, ale Monette będzie odmawiał wszelkich komentarzy tak długo, jak to możliwe, przede wszystkim, aby oszczędzić sobie wstydu. Tymczasem zaś komentował bez żadnych ogródek i sprawiało mu to wielką, gniewną ulgę. Na swój sposób przypominało śpiewanie pod prysznicem. Albo rzyganie pod prysznicem.

– Ma pięćdziesiąt cztery lata – powtórzył. – To mnie najbardziej wkurza. To oznacza, że zaczęła romansować z tym facetem, który naprawdę nazywa się Robert Yandowski... niezłe nazwisko dla kowboja... kiedy miała pięćdziesiąt dwa. Pięćdziesiąt dwa lata! Nie powiedziałbyś, że to odpowiedni wiek, żeby zmądrzeć? Odpowiedni wiek, żeby wyplenić dzikie wino i zasiać na swoim poletku bardziej użyteczne rośliny? Mój Boże, ona nosi dwuogniskowe okulary! Ma wycięty woreczek żółciowy! I daje się posuwać temu gościowi! W motelu Grove, gdzie uwili sobie gniazdko. Dałem jej porządny dom w Buxton, z garażem na dwa samochody, dałem jej audi w leasingu, a ona rzuca to wszystko, żeby upijać się w czwartkowe wieczory w Range Riders, a potem łomotać z tym gościem do białego rana... czy jak długo dadzą radę... i ma pięćdziesiąt cztery lata. Nie mówiąc już o Kowboju Bobie, który ma, kurwa, sześćdziesiąt!

Usłyszał, że krzyczy, i powiedział sobie, że musi przestać. Zobaczył jednak, że autostopowicz w ogóle się nie poruszył (jeżeli już, to wsunął głowę jeszcze głębiej w kołnierz swojej budrysówki), i zdał sobie sprawę, że nie musi się wcale uspokajać. Był w wozie, na autostradzie I-95, gdzieś na wschód od słońca i na zachód od Augusty. Jego pasażerem był głuchoniemy. Mógł się wściekać, ile dusza zapragnie.

I wściekał się dalej.

– Barb wszystko wyśpiewała. Nie była szczególnie agresywna. Ani zawstydzona. Robiła wrażenie... pogodzonej z losem. Być może do gruntu wstrząśniętej. Albo nadal żyjącej w świecie marzeń i snów.

I twierdziła, że częściowo to jego wina.

– Dużo jeżdżę, to prawda. W zeszłym roku byłem w drodze ponad trzysta dni. Siedziała w domu sama... mieliśmy tylko jedno dziecko, w dodatku takie, które skończyło szkołę średnią i wyfrunęło z gniazda. Więc to była moja wina. Kowboj Bob i cała reszta.

Krew pulsowała mu w skroniach i miał prawie zatłkany nos. Wciągnął nim powietrze tak mocno, że czarne gwiazdy pojawiły mu się przed oczyma, lecz nie doznał żadnej ulgi. W każdym razie nie w nosie. Psychicznie poczuł się trochę lepiej. Cieszył się, że zabrał autostopowicza. Mógł wyrzucić z siebie to wszystko w pustym samochodzie, ale...

## 5

– Ale to nie byłoby to samo – powiedział, zwracając się do niewyraźnego kształtu po drugiej stronie kratki. – Rozumie to ksiądz? – zapytał, patrząc prosto przed siebie, na kartkę z napisem ALBOWIEM WSZYSCY ZGRZESZYLI I BRAK IM CHWAŁY BOŻEJ.

– Oczywiście, że rozumiem – odparł ksiądz raczej pogodnym tonem. – Chociaż najwyraźniej oddaliłeś się od naszego Kościoła... mimo kilku zabobonnych gadżetów jak twój medalik ze świętym Krzysztofem... nie powinienes nawet o to pytać. Spowiedź jest dobra dla duszy. Wiemy o tym od dwóch tysięcy lat.

Monette zaczął ostatnio nosić medalik ze świętym Krzysztofem, który wisiał niegdyś na lusterku wstecznym. Może to i był zabobon, ale przejechał miliony mil podczas najpaskudniejszej pogody, mając za towarzysza tylko ten medalik, i nigdy nie otarł nawet zderzaka.

– Co jeszcze zrobiła, synu, ta twoja żona? Poza tym, że zgrzeszyła z Kowbojem Bobem?

Monette zaskoczył sam siebie, wybuchając śmiechem. Ksiądz także się roześmiał po drugiej stronie kratki. Nie był to jednak ten sam śmiech. Ksiądz dostrzegał zabawną stronę sytuacji. Monette przypuszczał, że nadal stara się ustrzec przed szaleństwem.

– Jest jeszcze sprawa bielizny – powiedział.

## 6

– Kupowała bieliznę – rzekł autostopowiczowi, który wciąż siedział zgarbiony i częściowo odwrócony do niego plecami, z czołem opartym o szybę zaparowaną od oddechu. Między jego stopami leżał plecak, a na nim tekturka z napisem JESTEM NIEMOWĄ! na górze. – Pokazała mi. Bielizna była w szafie w pokoju gościnnym. Prawie w całości wypełniała tę cholerną szafę. Gorsety, halki, biustonosze i jedwabne pończochy niewyjęte jeszcze z opakowań, kilkadziesiąt par. Coś, co wyglądało jak tysiąc pasów do pończoch. Przede wszystkim jednak były tam majtki, majtki, majtki. Powiedziała, że Kowboj Bob ma prawdziwego hopla na punkcie majtek. Chyba chętnie powiedziałyby mi dokładnie, na czym to polega, ale ja zorientowałem się i bez tego. Zorientowałem się w większym stopniu, niż tego chciałem. „To oczywiste, że ma hopla na punkcie majtek – skomentowałem. – Przecież w młodości brandzlował się, oglądając »Playboya«, ma, kurwa, sześćdziesiąt lat”.

Mijali właśnie drogowskaz do Fairfield. Zielony i niewyraźny przez zalaną wodą szybę, z siedzącą na górze mokrą wroną.

– Były tam również rzeczy wysokiej jakości – oświadczył Monette. – Dużo bielizny kupionej w Victoria’s Secret w centrum handlowym, ale także artykuły z drogiego butikiku Sweets. Z Bostonu. Nie wiedziałem nawet, że istnieją butiki z bielizną, lecz od tego czasu wiele się nauczyłem. W tej szafie musiało być towaru za kilkadziesiąt tysięcy dolców. No i buty. W większości na wysokich obcasach. No wiesz, szpilki. Dobrze wiedziała, co jest potrzebne gorącej lasce. Chociaż wydaje mi się, że wkładając biustonosz Wonderbra i krótkie szorty, zdejmowała okulary. Ale...

Wyprzedziła ich ciężarówka z naczepą. Monette miał włączone długie światła i machinalnie przełączył na krótkie, kiedy ciężarówka znalazła się przed nimi. Szofer podziękował mu, mrugając tylnymi światłami. Drogowy język znaków.

– ...ale wielu tych rzeczy w ogóle na siebie nie włożyła. To było najgorsze. Leżały tam rzucone na stertę. Zapytałem, dlaczego nakupowała tego tak cholernie dużo, a ona albo nie wiedziała, albo nie potrafiła tego wyjaśnić. „Weszło to nam po prostu w krew – odparła. – To było chyba coś w rodzaju gry wstępnej”. Nie wstydziła się. Nie była agresywna. Tak jakby myślała, że to wszystko jest sen, z którego się wkrótce obudzi. Staliśmy tam oboje, wpatrując się w ten stos halek, majtek, butów i Bóg wie czego jeszcze. A potem zapytałem ją, skąd wzięła pieniądze... to znaczy, oglądam wyciągi z karty kredytowej pod koniec każdego miesiąca i nie było tam niczego ze Sweets w Bostonie... i w tym momencie doszliśmy do prawdziwego problemu. Którym była defraudacja.

## 7

– Defraudacja – powtórzył ksiądz.

Monette zastanawiał się, czy to słowo padło kiedykolwiek w tym konfesjonale. Uznał, że chyba tak. „Kradzież” z całą pewnością.

– Pracuje w dziewiętnastym okręgu oświatowym stanu Maine – powiedział. – To jeden z większych okręgów, na południe od Portlandu. Tak się składa, że jego siedziba mieści się w Dowrie, tej samej miejscowości co Range Riders... ta tancbuda, gdzie popularne są taneczne korowody... oraz historyczny motel Grove. Bardzo wygodnie. Można wycinać hołubce i pier... uprawiać miłość w tym samym rejonie. Mało, nie trzeba nawet siadać za kółkiem, jeśli zaleje się pałkę. Co robili prawie co wieczór. Ona popijając tequilę, on whiskey. Naturalnie jacka danielsa. Powiedziała mi. Wszystko mi powiedziała.

– Jest nauczycielką?

– Och, nie... nauczyciele nie mają dostępu do tego rodzaju kasy. Gdyby była nauczycielką, nigdy nie udałoby jej się zdefraudować ponad stu dwudziestu tysięcy dolarów. Zaprosiliśmy kiedyś kuratora okręgowego z żoną do nas na kolację i oczywiście widywałem go na wszystkich piknikach organizowanych na zakończenie roku szkolnego, na ogół w Dowrie Country Club. Nazywa się Victor McCrea. Absolwent Uniwersytetu Maine. Grał w futbol. Zrobił dyplom z wychowania fizycznego. Krótco przystrzyżony. Prawdopodobnie jechał na samych trójkach, ale miły facet, z tych, co to znają pięćdziesiąt dowcipów o gościu, który wchodzi do baru. Miał pod sobą kilkanaście szkół, od pięciu podstawówek po liceum Muskie High. Dysponował bardzo dużym rocznym budżetem i z trudem potrafił zliczyć do trzech. Barb była od dwunastu lat jego sekretarką. – Monette na chwilę przerwał. – Miała książeczkę czekową.

## 8

Padło coraz mocniej. Za chwilę mogła się zacząć prawdziwa ulewa. Monette, nawet o tym nie myśląc, zwolnił do pięćdziesiątki. Inne samochody wyprzedzały go niefrasobliwie z lewej strony, każdy ciągnął za sobą własny tuman deszczu. Niech pędzą. On sam sprzedawał już od bardzo dawna najlepsze jesienne listy w historii (nie wspominając o najlepszych wiosennych listach w historii i kilku letnich listach niespodzianek, składających się w większości z książek kucharskich, książek dietetycznych i popłuczyn po Harrym Potterze) i miał czyste bezwypadkowe konto. Nie chciał, żeby to się zmieniło.

Siedzący po jego prawej stronie autostopowicz lekko się poruszył.

– Obudziłeś się, stary? – zapytał Monette. Bezsensowne, aczkolwiek naturalne pytanie.

Autostopowicz skomentował je z tej strony swojego ciała, która najwyraźniej nie była niema. Pfffit. Cicho, grzecznie, a co najważniejsze – bezwonnie.

– Biorę to za odpowiedź twierdzącą – rzekł Monette, ponownie skupiając uwagę na prowadzeniu. – Na czym to stanąłem?

Na bieliźnie, oto, na czym stanął. Nadal ją widział. Zwaloną na stertę w szafie niczym w erotycznym śnie nastolatka. A potem przyznanie się do defraudacji: ta ścinająca z nóg suma. Po dłuższej chwili, w trakcie której zastanawiał się, czy przypadkiem Barb nie okłamuje go z jakiegoś pokręconego powodu (choć oczywiście to wszystko było i tak maksymalnie pokręcone), zapytał, ile zostało, a ona odpowiedziała – w ten sam łagodny i senny sposób – że nie zostało ani centa, naprawdę, chociaż spodziewała się, że może zgarnąć więcej. Przynajmniej na krótko.

„Ale niedługo się dowiedzą – dodała. – Gdyby chodziło tylko o biednego durnego Vica, to mogłoby trwać w nieskończoność, jednak w zeszłym tygodniu byli u nas inspektorzy stanow. Zadawali za dużo pytań i zabrali kopie dokumentacji. Teraz to pójdzie piorunem”.

– Zapytałem ją więc, jak udało jej się wydać ponad sto tysięcy dolców na pasy do pończoch i majtki – oznajmił Monette swojemu milczącemu towarzyszowi. – Nie czułem gniewu... w każdym razie nie w tamtym momencie, byłem chyba zbyt zszokowany... ale autentycznie mnie to ciekawiło. A ona odparła... tym samym tonem, wcale nie zawstydzona i wcale nie agresywna, jakby dalej śniła swój sen: „Zainteresowaliśmy się grami losowymi. Uważaliśmy chyba, że uda nam się w ten sposób odzyskać pieniądze”.

Monette przerwał. Obserwował chodzące tam i z powrotem wycieraczki. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skrócić nagle kierownicą w prawo i nie wjechać w jedną z betonowych podpór estakady. Odrzucił ten pomysł. Później powie księdzu, że jednym z powodów był wywodzący się jeszcze z dzieciństwa zakaz samobójstwa, lecz myślał przede wszystkim o tym, że przed śmiercią chciałby przynajmniej jeszcze raz posłuchać albumu Josha Rittera.

Poza tym nie był już sam.

Zamiast popełnić samobójstwo (i uśmiercić jednocześnie swojego pasażera) przejechał pod estakadą ze stałą, umiarkowaną prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę (mniej więcej przez dwie sekundy szyba była czysta, a potem wycieraczki ponownie zaczęły zbierać deszcz) i kontynuował swoją opowieść.

– Musieli kupić więcej losów na loterię niż ktokolwiek w historii – powiedział, po czym przemyślał to i potrząsnął głową. – No... chyba nie. Ale na pewno kupili ich z dziesięć tysięcy. Powiedziała mi, że w listopadzie zeszłego roku... byłem wtedy prawie przez cały miesiąc w New Hampshire i Massachusetts, a potem na konferencji w Delaware... kupili ponad dwa tysiące. Powerball, Megabucks, Paycheck, Pick Trzy, Pick Cztery, Triple Play, próbowali wszystkiego. Z początku wybierali numerki, lecz po pewnym czasie Barb doszła do wniosku, że zabiera im to za dużo czasu, i przerwali się na system EZ Pick.

Monette wskazał białe plastikowe pudełko przyklejone do przedniej szyby tuż pod uchwytem lusterka wstecznego.

– Wszystkie te gadzety sprawiają, że świat kręci się szybciej. Może to i lepiej, choć ja raczej w to wątpię. „Przeszliśmy na EZ Pick – oznajmiła – bo ludzie stojący w kolejce

niecierpliwia się, kiedy za długo wybierasz numerki, zwłaszcza jeśli w puli jest ponad sto milionów”. Powiedziała, że czasami rozdzielali się i chodzili do różnych punktów, czasami do dwudziestu paru jednego wieczoru. I oczywiście losy sprzedawano także tam, gdzie chodzili na tańce. „Kiedy Bob kupił po raz pierwszy los, wygraliśmy pięćset dolarów w Pick Trzy – dodała. – To było takie romantyczne”.

Monette potrząsnął głową.

– Później też było romantycznie, ale skończyły się wygrane. Tak mi powiedziała. Poinformowała mnie, że raz wygrali tysiąc, lecz mieli już wtedy trzydzieści tysięcy w plecy. Tak dokładnie się wyraziła. Któregoś razu... to było w styczniu, kiedy byłem w trasie, próbując odrobić to, co wydałem na kaszmirowy sweter, który kupiłem jej na Boże Narodzenie... pojechali do Derry i spędzili tam kilka dni. Nie wiem, czy organizują tam taneczne korowody, nigdy tego nie sprawdziłem, ale mają miejsce, które nazywa się Hollywood Slots. Wynajęli tam apartament, objadali się frykasami... tak dokładnie powiedziała... i przepuścili siedem i pół tysiąca w wideopokera. Twierdziła jednak, że nie przypadł im zbytnio do gustu. Preferowali głównie loterie, wydawali na nie coraz więcej kasy z kuratorium, próbując odegrać się, zanim pojawią się inspektorzy stanowi i wszystko weźmie w łeb. I co jakiś czas kupowała sobie oczywiście coś z bielizny. Dziewczyna musi czuć się świeża, kiedy kupuje los Powerball w miejscowym Seven-Eleven. Dobrze się czujesz, stary?

Nie było odpowiedzi ze strony pasażera – to chyba oczywiste – w związku z czym Monette wyciągnął rękę i potrząsnął go za ramię. Autostopowicz odsunął głowę od szyby (jego czoło zostawiło na niej tłusty ślad) i rozejrzał się, mrugając zaczerwienionymi oczyma, jakby dopiero co się zbudził. Monette nie sądził, żeby dopiero co się zbudził. Nie wiedział dlaczego, takie po prostu odnosił wrażenie.

Pokazał autostopowiczowi połączony palec wskazujący i kciuk i uniósł brwi.

Tamten wpatrywał się w niego przez chwilę bezmyślnie i Monette zaczął już podejrzewać, że jego pasażer jest nie tylko głuchoniemy, ale głupi jak but. A potem facet uśmiechnął się, pokiwał głową i również pokazał mu połączone dwa palce.

– W porządku – powiedział Monette. – Tylko sprawdzałem.

Mężczyzna ponownie oparł głowę o szybę. Tymczasem minęli w deszczu miasto, do którego podobno się wybierał, Waterville. Monette nie zauważył tego. Nadal błędził myślami w przeszłości.

– Gdyby to była tylko intymna bielizna i gry losowe, w których obstawia się samemu numerki, można by ograniczyć straty – powiedział. – Ponieważ ten sposób gry na loterii wymaga dużo czasu. Daje ci szansę pójść po rozum do głowy, zakładając oczywiście, że go masz. Trzeba odstać swoje w kolejce, odebrać los i schować go do portfela. A potem oglądać telewizję albo sprawdzić w gazecie wyniki losowania. Toteż nadal mogło się to dobrze skończyć. Jeśli oczywiście uznać za dobry fakt, że twoja żona pieprzy się z dumnym nauczycielem historii i wyrzuca w błoto trzydzieści tysięcy dolców należących do kuratorium



oświaty. Ale trzydzieści patoli zdołałbym zwrócić. Mógłbym wziąć drugą hipotekę na dom. Nie dla Barb, nie ma mowy, lecz dla Kelsie Ann. Wchodzący dopiero w życie dzieciak nie potrzebuje dźwigać u szyi takiego kamienia. Nazywa się to restytucją. Zdecydowałbym się na tę restytucję, nawet gdyby to oznaczało przeniesienie się do dwupokojowego mieszkania. Wiesz?

Autostopowicz najwyraźniej tego nie wiedział – nie miał pojęcia o wchodzących dopiero w życie pięknych młodych córkach, drugich hipotekach i restytucji. Było mu ciepło i sucho w jego zamkniętym na dźwięki świece – szczęściarz.

Mimo to Monette brnął dalej.

– Rzecz w tym, że istnieją szybsze sposoby prze hulania fortuny i są tak samo legalne jak... kupowanie bielizny.

## 9

– Przerzucili się na zdraпки, tak? – zapytał ksiądz. – Coś, co komisja do spraw gier hazardowych nazywa natychmiastowymi wygranymi.

– Mówi ksiądz jak ktoś, komu też zdarzało się grywać – zauważył Monette.

– Od czasu do czasu – przyznał ksiądz, i co godne podziwu, zrobił to bez chwili wahania.

– Zawsze powtarzam sobie, że jeśli trafię główną wygraną, oddam wszystkie pieniądze na kościół. Ale nigdy nie ryzykuję więcej niż pięć dolarów tygodniowo. – Tym razem w jego głosie zabrzmiało wahanie. – Czasami dziesięć. – Kolejna pauza. – A raz kupiłem zdraпkę za dwadzieścia dolarów, w czasach gdy dopiero je wprowadzili. Jednak to było chwilowe szaleństwo. Już nigdy nie zrobiłem czegoś takiego.

– Przynajmniej do dzisiaj – powiedział Monette.

Ksiądz zachichotał.

– Słowa człowieka, który autentycznie sparzył sobie palce, synu – rzekł i westchnął. – Fascynuje mnie twoja historia, ale czy nie mógłbyś opowiadać trochę szybciej? Osoba, którą zaprosiłem, poczeka, aż zakończę bożą posługę, lecz nie będzie czekać w nieskończoność. A wydaje mi się, że przyniosła sałatkę z kurczaka z majonezem. Moje ulubione danie.

– Nie ma już dużo do opowiadania – odparł Monette. – Skoro ksiądz grał, wie ksiądz, jak to wygląda. Można kupować zdraпки w tych samych miejscach, gdzie kupuje się losy Powerball i Megabucks, ale można je też kupić w wielu innych miejscach, na przykład w zajazdach przy autostradzie. Nie trzeba nawet zwracać się do sprzedawcy; kupuje się je w automacie. Automaty mają zawsze zielony kolor, kolor pieniędzy. Zanim Barb wszystko wyśpiewała...

– Zanim wyznała swoje grzechy – poprawił go ksiądz i w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju przebiegłości.

– Tak, zanim wyznała swoje grzechy, skupili się w zasadzie na zdrapkach za dwadzieścia dolców. Barb twierdzi, że kiedy była sama, nigdy ich nie kupowała, lecz kiedy była z Kowbojem Bobem, kupowali je na kopy. Mając nadzieję na główną wygraną, wie ksiądz. Powiedziała, że pewnej nocy kupili sto tych cudeniek. Wydali dwa tysiące dolarów. Wygrali osiemdziesiąt. Każde z nich miało własną małą plastikową drapaczkę. Wyglądają jak drapaczki do szyb dla elfów i mają na ręczce napis LOTERIA STANOWA MAINE. Są zielone jak automaty, w których kupuje się zdrapki. Pokazała mi swoją: leżała pod łóżkiem w gościnnym pokoju. Nie było na niej nic widać oprócz TERIA. Zamiast LOTERIA równie dobrze mogłaby być HISTERIA.

– Czy ją uderzyłeś, synu? Dlatego tu jesteś?

– Nie – odparł Monette. – Chciałem ją zabić. Z powodu pieniędzy, nie zdrady, ta historia ze zdradą wydawała się nierealna, nawet kiedy patrzyłem na tę pierdo... na tę całą intymną bieliznę. Ale nie tknąłem jej nawet palcem. Byłem chyba zbyt zmęczony, żeby to zrobić. Wszystkie te informacje po prostu mnie zmęczyły. Miałem ochotę uciąć sobie drzemkę. Długą drzemkę. Taką która trwa parę dni. Czy to dziwne?

– Nie – odparł ksiądz.

– Zapytałem, jak mogła mi coś takiego zrobić? Tak mało ją to obchodziło? A ona zapytała...

## 10

– Zapytała mnie, jak to się stało, że nic nie wiedziałem – rzekł Monette autostopowiczowi. – I zanim zdążyłem się odezwać, udzieliła sobie odpowiedzi, więc domyślam się, że to było... jak to się nazywa?... pytanie retoryczne. „Nie wiedziałeś, bo nic cię to nie obchodziło. Byłeś prawie zawsze w drodze, a jeśli nie byłeś w drodze, chciałeś być w drodze. Dziesięć lat minęło od czasu, kiedy po raz ostatni obchodziło cię, jaką noszę bieliznę... dlaczego miałyby cię to obchodzić, skoro nie obchodziła cię kobieta, która ją nosi? Jednak teraz cię to obchodzi, tak? Teraz cię obchodzi”.

Człowieku, po prostu na nią spojrzalem. Byłem zbyt zmęczony, żeby ją zabić... albo nawet uderzyć... lecz mimo to byłem wściekły. Zszokowany, ale i wściekły. Próbowwała wykazać, że to moja wina. Widzisz to, prawda? Próbowwała zwalić to wszystko na moją pierdoloną robotę, tak jakbym mógł znaleźć sobie inną, w której zarabiałbym chociaż połowę tego co tam. Do czego innego mogę się nadawać w moim wieku? Mógłbym pewnie zatrudnić się jako strażnik przeprowadzający dzieciaki przez ulicę... nigdy nie aresztowano mnie za obrazę moralności... ale na tym chyba koniec.

Monette przerwał. Daleko przed nim, nadal słabo widoczny w strugach padającego deszczu, stał niebieski znak.

– Lecz nie o to w gruncie rzeczy chodziło – powiedział po krótkim zastanowieniu. – Chcesz wiedzieć, o co chodziło? O co jej chodziło? Żebym miał wyrzuty sumienia, ponieważ lubię swoją pracę. Ponieważ nie przewracam bezmyślnie papierów, czekając tylko na kogoś, z kim mógłbym pieprzyć się do upadłego!

Autostopowicz lekko się poruszył, pewnie dlatego że trafili na wybój (albo potracili jakieś małe zwierzę), i w tym momencie Monette zorientował się, że krzyczy. Facet mógł nie być kompletnie głuchy. A nawet jeśli był, mógł czuć wibracje w kościach twarzy w momencie, gdy hałas osiągał pewien poziom decybeli. Kto to mógł, kurwa, wiedzieć?

– Nie zagłębiałem się w to z nią – kontynuował trochę ciszej. – Nie chciałem się w to z nią zagłębiać. Wiedziałem chyba, że jeśli to zrobię, jeśli naprawdę zaczniemy się kłócić, wszystko może się zdarzyć. Chciałem stamtąd wyjść, dopóki jeszcze jestem w szoku... bo tak było dla niej bezpieczniej, rozumiesz?

Autostopowicz nie odezwał się, lecz Monette zrozumiał za nich obu.

– „Co teraz będzie?“, zapytałem, a ona odpowiedziała „Pójdę chyba do więzienia”. I wiesz co? Gdyby zaczęła w tym momencie płakać, pewnie bym ją przytulił. Ponieważ po dwudziestu sześciu latach małżeństwa takie rzeczy robi się odruchowo. Nawet jeśli nie ma już prawie uczucia. Ale ona nie zaczęła płakać, więc wyszedłem. Po prostu odwróciłem się i wyszedłem. A kiedy wróciłem, czekał na mnie liścik, w którym pisała, że „się wyprowadziła”. To było prawie przed dwoma tygodniami i od tego czasu jej nie widziałem. Rozmawiałem z nią tylko kilka razy przez telefon. I z jej adwokatem. Zamroziłem wszystkie nasze konta, lecz to i tak nic nie da, kiedy zaczną się obracać żarna sprawiedliwości. Co stanie się już wkrótce. Gównu zatka całą klimatyzację, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wtedy pewnie znowu ją zobaczę. Na sali sądowej. Ją i Kowboja Boba.

Teraz mógł przeczytać napis na niebieskiej tablicy: MIEJSCE OBSŁUGI PODRÓŻNYCH PITTSFIELD 2 MILE.

– Och, w dupę! – zawołał. – Waterville jest piętnaście mil za nami, partnerze.

Głuchoniemy się nie poruszył (to oczywiste, że tego nie zrobił) i Monette uświadomił sobie, że nie wie, czy facet w ogóle jechał do Waterville. W każdym razie nie wiedział tego na pewno. Tak czy inaczej nadszedł czas, żeby to wyjaśnić. Miejsce obsługi dobrze się do tego nadawało, ale na razie mieli jeszcze pozostać przez kilka minut w tym konfesjonale na kółkach i czuł, że ma coś więcej do powiedzenia.

– To prawda, że od bardzo dawna niewiele do niej czułem – przyznał. – Czasami miłość się po prostu kończy. I to prawda, że nie byłem jej do końca wierny... od czasu do czasu szukałem u kogoś pociechy. Ale czy to ją rozgrzesza? Czy to usprawiedliwia kobietę, która rozwala komuś życie tak jak dzieciak rozwala petardą zepsute jabłko?

Monette wjechał na parking. Przy brązowym budynku z automatami stały może cztery samochody. Robiły na nim wrażenie porzuconych na deszczu, zziębniętych dzieci. Zaparkował. Autostopowicz posłał mu pytające spojrzenie.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Monette, wiedząc, że to beznadziejne.

Głuchoniemy przez chwilę się zastanawiał. Rozejrzał się, zorientował, gdzie stoją, i popatrzył na Monette'a, jakby chciał powiedzieć „nie tu”.

Monette pokazał za siebie, na południe, i uniósł brwi. Głuchoniemy potrząsnął głową i wskazał na północ. Otworzył i zamknął pięści, pokazując palce sześć... osiem... dziesięć razy. W zasadzie tak samo jak wcześniej. Ale tym razem Monette zrozumiał. Pomyślał, że dla tego faceta prościej byłoby, gdyby ktoś nauczył go symbolu przewróconej ósemki, która oznacza nieskończoność.

– Po prostu jedziesz przed siebie, tak? – zapytał.

Głuchoniemy tylko na niego spojrzał.

– Jasne, że tak – mruknął Monette. – Wiesz, co ci powiem? Wysłuchałeś mojej historii... chociaż nie zdawałeś sobie sprawy, że jej słuchasz... więc zawiozę cię aż do Derry. – Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Właściwie zawiozę cię do schroniska w Derry. Dostaniesz coś ciepłego do jedzenia i łóżko, przynajmniej na jedną noc. Teraz muszę się odlać. Nie musisz się odlać?

Głuchoniemy patrzył na niego cierpliwie i z brakiem zrozumienia.

– Odlać się – powtórzył Monette. – Wysikać.

Miał już zamiar pokazać palcem własne krocze, ale uświadomił sobie, gdzie są, i uznał, że włączęga może dojść do wniosku, że ma ochotę na obciążanie fiuta tuż przed automatami sprzedającymi batoniki i napoje. Zamiast tego wskazał na znaki z boku budynku – czarną sylwetkę mężczyzny i czarną sylwetkę kobiety. Mężczyzna miał nogi rozstawione, kobieta złączone. Celny skrót historii ludzkiej rasy.

To dotarło do jego pasażera, który potrząsnął zdecydowanie głową, a potem pokazał połączone w kółko palce. To postawiło przed Monette'em delikatny problem: czy ma zostawić Pana Wagabundę w samochodzie, kiedy będzie załatwiał swoje potrzeby, czy też ma wyprosić go na deszcz, lecz wtedy facet na pewno domyśli się, jaki jest powód takiego traktowania.

Tyle że właściwie nie był to żaden problem. W samochodzie nie było żadnych pieniędzy, a jego osobiste rzeczy leżały zamknięte na klucz w bagażniku. Na tylnym siedzeniu leżały próbki, ale nie chciało mu się jakoś wierzyć, że facet ukradnie dwie ważące po siedemdziesiąt funtów skrzynie i ucieknie z nimi zjazdem na autostradę. Z pewnością nie zdołałby wtedy podnieść tekturki z napisem JESTEM NIEMOWĄ!

– Zaraz wracam – powiedział Monette i kiedy autostopowicz spojrzał na niego zaczerwienionymi oczyma, wskazał na siebie, na symbole toalety i z powrotem na siebie. Tym razem facet pokiwał głową i ponownie połączył razem palce.

Monette poszedł do toalety i miał wrażenie, że sika przez całe dwadzieścia minut. Ulga była niesamowita. Nigdy jeszcze nie czuł się tak dobrze od czasu, kiedy Barb zastrzeliła go swoim wyznaniem. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jakoś przez to przebrnie. I

pomoże przebrnąć Kelsie. Przypomniał sobie jakieś stare niemieckie przysłowie (a może rosyjskie: z całą pewnością odzwierciadlało rosyjskie spojrzenie na życie). Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Pogwizdując, wrócił do samochodu. Przechodząc obok automatu ze zdrapkami, klepnął go przyjaźnie. Z początku myślał, że nie widzi swojego pasażera, bo ten się położył... a wtedy będzie musiał wygonić go ze swojego fotela, żeby sięgnąć za kierownicą. Ale autostopowicz nie ułożył się do snu, tylko zniknął. Zabrał swój plecak i tekturkę i ulotnił się.

Monette sprawdził tylne siedzenie; skrzynie Wolfe & Sons były nienaruszone. Zajrzał do schowka na rękawiczki; nadal leżały w nim dokumenty samochodu, które tam trzymał: dowód rejestracyjny, ubezpieczenie, legitymacja AAA. Jediną rzeczą, jaką zostawił po sobie włóczęga, był unoszący się w samochodzie zapach, wcale nie taki paskudny: słodki i zalatujący żywicą, jakby nocował na świeżym powietrzu.

Monette miał nadzieję, że zobaczy faceta przy wyjeździe, trzymającego swoją tekturkę i obracającego ją z jednej strony na drugą, żeby kolejny dobry samarytanin miał kompletny wgląd w jego defekty. W takiej sytuacji zamierzał się zatrzymać i ponownie go zabrać. Miał wrażenie, że nie zrobił tego, co do niego należało. Zrobiłby to, odwożąc faceta do schroniska w Derry, w ten sposób zakończyłby tę znajomość. To zamknęłoby sprawę i zamknęłoby książkę. Bez względu na to, jakie miał inne wady, lubił kończyć to, co zaczął.

Ale faceta nie było przy wyjeździe. Facet oddalił się bez zezwolenia. I dopiero mijając drogowskaz z napisem DERRY 10 MIL, Monette spojrzął w lusterko wsteczne i zobaczył, że zniknął medalik ze świętym Krzysztofem, który towarzyszył mu przez miliony mil. Skradł go głuchoniemy. Lecz nawet to nie zdołało nadważyć jego optymizmu. Może głuchoniemy potrzebował go bardziej od niego. Miał nadzieję, że przyniesie mu szczęście.

Dwa dni później – kiedy sprzedawał najlepszą jesienną listę w historii na Presque Isle – dostał telefon z policji stanowej Maine. Jego żona i Bob Yandowsky zostali pobici na śmierć w motelu Grove. Zabójca użył rurki zawiniętej w motelowy ręcznik.

## 11

– Wielki... wielki Boże! – szepnął ksiądz.

– Zgadza się – potwierdził Monette. – To samo sobie pomyślałem.

– A pana córka?

– Oczywiście zdruzgotana. Jest u mnie w domu. Przebrniemy przez to, ojcze. Jest twardsza, niż myślałem. I oczywiście nie wie o tej drugiej sprawie. O defraudacji. Przy odrobinie szczęścia nigdy się nie dowie. Wyplata z polisy będzie bardzo wysoka, nazywają to podwójnym odszkodowaniem. Biorąc pod uwagę to, co się wcześniej wydarzyło, mógłbym

mieć pewne problemy z policją, gdyby nie to, że mam żelazne alibi. I gdyby nie zaszły... pewne wypadki. Ale i tak mnie kilka razy przesłuchiwali.

– Nie zapłaciłeś chyba synu komuś, żeby...

– O to też mnie pytali. Odpowiedź brzmi „nie”. Każdy, kto chce, może obejrzeć moje wyciągi bankowe. Mogę się rozliczyć z każdego centa, zarówno jeśli chodzi o moją połowę wspólnego konta, jak i połowę Barb. Finansowo była bardzo odpowiedzialna, przynajmniej dopóki nie zwariowała. Czy może ojciec otworzyć swoje drzwiczki? Chciałbym ojcu coś pokazać.

Kiedy ksiądz wysłuchał prośby, Monette zsunął z szyi medalik ze świętym Krzysztofem i podał mu go. Ich palce zetknęły się na chwilę, kiedy medalik i zwinięty cienki stalowy łańcuszek przechodziły z ręki do ręki.

Ksiądz przez pięć sekund milczał, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Kiedy ci to zwrócono? – zapytał w końcu. – Czy medalik był w pokoju motelowym, gdzie...

– Nie – odparł Monette. – Nie w motelu. Był w naszym domu w Buxton. Na toalecie w naszej sypialni. Ściśle rzecz biorąc, obok zdjęcia ślubnego.

– Wielki Boże – powtórzył ksiądz.

– Mógł wziąć mój adres z dowodu rejestracyjnego, kiedy byłem w kłopotach.

– I oczywiście wspomniałeś nazwę motelu... i miasta.

– Dowiódł – potwierdził Monette.

Ksiądz po raz trzeci wezwał imię swojego Szefa.

– Ten facet nie był wcale głuchoniemy, prawda? – zapytał.

– Jestem prawie na sto procent przekonany, że był niemy – odparł Monette – ale na pewno nie był głuchy. Przy medaliku był liścik na kartce, którą wyrwał z notesu. Musiał tam wejść, kiedy moja córka i ja byliśmy w domu pogrzebowym i wybieraliśmy trumnę. Tylne drzwi były otwarte, lecz nie wyważone. Mógł być dość sprytny, żeby sforsować zamek, ale moim zdaniem zapomniałem po prostu zamknąć drzwi na klucz, kiedy wychodziliśmy.

– Jaka była treść listu?

– „Dziękuję za podwiezienie” – powiedział Monette.

– Niech mnie diabli.

W konfesjonale zapadła cisza, a potem rozległo się ciche pukanie, tuż obok drzwiczek, przy których siedział Monette, kontemplując napis ALBOWIEM WSZYSCY ZGRZESZYLI I BRAK IM CHWAŁY BOŻEJ. Monette odebrał medalik.

– Powiedziałaś policji?

– Tak, oczywiście, całą historię. Wydaje im się, że wiedzą co to za facet. Znają jego tabliczkę. Nazywa się Stanley Doucette. Od lat włóczy się po Nowej Anglii z tą swoją tekturką. Podobnie jak ja, jeśli się nad tym zastanowić.

– Miał wcześniej na koncie jakieś przestępstwa z użyciem przemocy?

– Kilka – odparł Monette. – W większości bójk. Raz pobił dość dotkliwie mężczyznę w barze i kilkakrotnie przebywał w szpitalach psychiatrycznych, w tym w Serenity Hill w Auguście. Nie sądzę, żeby policja mi wszystko powiedziała.

– A chcesz wszystko wiedzieć?

– Nie – odparł po krótkim namyśle Monette.

– Nie złapali tego faceta?

– Twierdzą, że to tylko kwestia czasu. Podobno nie jest zbyt sprytny. Ale był dość sprytny, żeby mnie nabrać.

– Czy na pewno cię nabrał, synu? A może wiedziałeś, że mówisz do kogoś, kto nadstawia ucha? Wydaje mi się to kluczowym pytaniem.

Monette przez dłuższy czas nie odpowiadał. Nie był pewien, czy uczciwie zbadał wcześniej swoje serce, lecz czuł, że bada je teraz, i to bardzo dokładnie. Nie spodobało mu się wszystko, co odkrył, jednak badał dalej. Nie pominął niczego, co zobaczył. W każdym razie nie pominął celowo.

– Nie wiedziałem – odparł.

– A czy cieszysz się, że twoja żona i jej kochanek nie żyją?

W głębi serca Monette natychmiast odpowiedział „tak”.

– Odczuwam ulgę – rzekł na głos. – Przykro mi to mówić, ojcze, ale biorąc pod uwagę bałagan, jaki spowodowała... i to, jak zgrabnie udało się to rozwiązać, bez procesu, poprzez dyskretną restytucję z odszkodowania, które wypłaciło towarzystwo ubezpieczeniowe... odczuwam ulgę. Czy to grzech?

– Tak, mój synu. Przykro mi, lecz to grzech.

– Czy może ksiądz dać mi rozgrzeszenie?

– Dziesięć Ojczy nasz i dziesięć zdrowasiek – odparł szybko ksiądz. – Ojczy nasz za brak miłosierdzia... to poważny grzech, ale nie śmiertelny.

– A zdrowaśki?

– Za wulgarny język w konfesjonale. W którymś momencie trzeba będzie się zająć cudzołóstwem, twoim, nie jej, jednak na razie...

– Zaprosił ksiądz kogoś na lunch. Rozumiem.

– Prawdę mówiąc, straciłem apetyt na lunch, choć powinienem z pewnością cieszyć się z wizyty. Przede wszystkim jednak czuję się trochę zbyt... przytłoczony, żeby, jak to ująłeś, szukać w tym momencie u kogoś pociechy.

– Rozumiem.

– To dobrze. A teraz, synu...

– Tak?

– Nie chcę być namolny, ale czy na pewno nie dałeś temu mężczyźnie wolnej ręki? Albo czy w jakiś sposób go nie zachęciłeś? Ponieważ w takim wypadku nie będziemy mieli do

czynienia z drobnym grzechem, lecz z grzechem śmiertelnym. Muszę zapytać własnego duchowego doradcę, żeby się upewnić, ale...

– Nie, ojcie. Nie sądzi jednak ojciec... czy to możliwe, że sam Bóg zesłał tego faceta do mojego samochodu?

W głębi serca ksiądz natychmiast odpowiedział „tak”.

– To bluźnierstwo, za które odmówisz dziesięć następnych Ojcie nasz. Nie wiem, jak długo byłeś poza Kościołem, ale nawet ty powinienes to wiedzieć. Czy chcesz powiedzieć coś więcej i zasłużyć na kolejne zdrowaśki, czy już skończyliśmy?

– Skończyliśmy, ojcie.

– W takim razie idź i nie grzesz więcej, jak mówimy w naszej branży. I opiekuj się swoją córką, synu. Dzieci mają tylko jedną matkę, bez względu na to, jak się prowadzi.

– Tak, ojcie.

Kształt za kratką poruszył się.

– Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

Monette niechętnie usiadł z powrotem. Chciał już wyjść.

– Tak?

– Powiedziałeś, że policja uważa, że złapie tego mężczyznę.

– Twierdzą, że to tylko kwestia czasu.

– Chciałbym zapytać, czy chcesz, żeby policja go złapała?

– Oczywiście, że tak – odparł Monette, ponieważ naprawdę chciał stamtąd wyjść i odprawić pokutę w bardziej intymnym konfesjonale swojego samochodu.

W drodze powrotnej do domu odmówił dwie dodatkowe zdrowaśki i dwa dodatkowe Ojcie nasz.



## Ayana

Nie sądziłem, że kiedykolwiek opowiem tę historię. Nie pozwalała mi na to żona; twierdziła, że nikt mi nie uwierzy i narobię sobie tylko wstydu. W rzeczywistości nie chciała, żebym to jej narobił wstydu.

– A Ralph i Trudy? – zapytałem. – Byli tam. Oni też to widzieli.

– Trudy każe twojemu bratu trzymać głowę na kłódkę – oznajmiła Ruth – i nie trzeba go będzie długo przekonywać.

W tej kwestii prawdopodobnie się nie myliła. Ralph był wówczas inspektorem okręgu szkolnego numer 49 w New Hampshire, a ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie oświatowy urzędnik z małego stanu, jest wystąpienie w jednej z kablówek w czasie antenowym zarezerwowanym dla relacji o UFO nad Phoenix i kojotach liczących do dziesięciu. Poza tym historia o cudach jest nic niewarta bez cudotwórcy, a Ayana zniknęła.

Lecz dziś moja żona nie żyje – miała atak serca w samolocie, którym leciała do Kolorado, aby pomóc w wychowaniu naszego pierwszego wnuka, i zmarła prawie natychmiast. (Tak przynajmniej mówią przedstawiciele linii lotniczych, jednak w dzisiejszych czasach nie można im nawet powierzać bagażu). Nie żyje również mój brat Ralph – doznał udaru, grając w turnieju golfa seniorów – a Trudy kompletnie zidiociała. Mój ojciec zmarł dawno temu; gdyby nadal żył, miałby ponad setkę. Zostałem tylko ja, więc ja opowiem tę historię. Nie sposób w nią uwierzyć (Ruth miała co do tego rację) i nadawać jej jakies znaczenie – cuda nie zdarzają się nikomu z wyjątkiem tych szczęśliwych czubków, którzy widzą je wszędzie. Ale jest interesująca. I prawdziwa. Wszyscy widzieliśmy, co się stało.

\* \* \*

Mój ojciec umierał na raka trzustki. Można chyba wiele powiedzieć o ludziach, słuchając tego, co mówią w tego rodzaju sytuacjach (fakt, że nazywam nowotwór „tego rodzaju sytuacją”, z pewnością mówi również coś o waszym narratorze, przez całe życie uczącym angielskiego chłopców i dziewczęta, których najpoważniejszymi problemami zdrowotnymi były urazy sportowe i trądzik).

– Jego podróż dobiega kresu – powiedział Ralph.

– To go dorwało – rzekła szwagierka Trudy. W pierwszej chwili pomyślałem, że powiedziała „to w nim dojrzało” i wydało mi się to w irytujący sposób poetyckie. Wiedziałem, że się przesłyszałem, że nie mogła czegoś takiego powiedzieć, ale chciałem, żeby to była prawda.

– Leży na deskach – podsumowała Ruth.

Nie powiedziałem: „I może niech już lepiej nie wstaje”, lecz tak pomyślałem. Ponieważ cierpiał. To było przed dwudziestu pięciu laty – w 1982 roku – i cierpienie było nadal czymś akceptowanym w ostatnim stadium nowotworu. Pamiętam, jak dziesięć albo dwanaście lat później przeczytałem, że większość chorych na raka umiera w milczeniu, ponieważ są zbyt słabi, by krzyknąć. To tak wyraźnie przypomniało mi sypialnię mojego ojca, że poszedłem do łazienki i ukląknę przed miską klozetową pewien, że zaraz zwymiotuję.

Ale ojciec zmarł dopiero cztery lata później, w 1986 roku. Mieszkał wtedy na specjalnym osiedlu mieszkaniowym dla seniorów i wcale nie zabił go rak trzustki. Udławił się kawałkiem steku.

\* \* \*

Don „Doc” Gentry i jego żona Bernadette – moi rodzice – po przejściu na emeryturę wyprowadzili się do podmiejskiego domu w Ford City, niedaleko Pittsburgha. Po śmierci żony Doc zastanawiał się, czy przenieść się na Florydę, ale uznał, że go na to nie stać, i został w Pensylwanii. Kiedy rozpoznano u niego raka, spędził trochę czasu w szpitalu, gdzie wyjaśniał każdemu, że jego ksywka pochodzi z czasów, gdy był weterynarzem. Kiedy wytłumaczył to wszystkim, których to obchodziło, wysłali go do domu, żeby umarł, i cała rodzina, jaką miał – Ralph, Trudy, Ruth i ja – przybyła do Ford City, aby mu przy tym asystować.

Pamiętam bardzo dobrze jego sypialnię. Na ścianie wisiał obrazek Chrystusa, który pozwalał dzieciom przyjść do siebie. Na podłodze leżał postrzępiony dywanik w odcieniach przyprawiającej o mdłości zieleni, zrobiony przez moją matkę i niezaliczający się do jej najlepszych. Przy łóżku był stojak do kroplówki z nalepioną kalkomanią Piratów z Pittsburgha. Każdego dnia wchodziłem do tego pokoju z coraz większym przerażeniem i każdego dnia spędzałem tam coraz więcej czasu. Pamiętałem Doca siedzącego na werandzie domu, gdzie dorastaliśmy, w Derby w Connecticut, z puszką piwa w jednej dłoni i cygarem w drugiej, z rękawami olśniewająco białego podkoszulka zawsze zawiniętymi dwa razy, by odsłonić gładką, zaokrągloną linię bicepsa i wytatuowaną tuż nad lewym łokciem różę. Należał do pokolenia, które nie wstydziło się chodzić w granatowych, niespłowiałych dżinsach i które nadal nazywało je „drelichami”. Cesał się jak Elvis i sprawiał trochę groźne wrażenie: marynarza, który przed zejściem na brzeg wypił dwa drinki i teraz szuka guza. Pamiętam uliczny korowód w Derby, gdzie on i moja matka przerwali całą imprezę, tańcząc

jitterbuga do *Rocket 88* Ike'a Turnera i Kings of Rhythm. Ralph miał wtedy chyba szesnaście lat, ja jedenaste. Gapiliśmy się na naszych rodziców z rozdziawionymi ustami i po raz pierwszy zrozumiałem, że robią to w nocy, na golasa i w ogóle o nas nie myślą.

W wieku osiemdziesięciu lat, po wypisaniu ze szpitala mój obdarzony niebezpiecznym wdziękiem ojciec stał się kolejnym szkieletem w piżamie (miał na niej logo Piratów). Jego oczy tliły się pod krzaczastymi bujnymi brwiami. Pocił się obficie mimo dwóch wiatraczków, jego wilgotna skóra pachniała niczym stara tapeta w opuszczonym domu. W oddechu czuć było czarną woń rozkładu.

Ralph i ja z całą pewnością nie byliśmy zamożni, ale kiedy dołożyliśmy trochę własnych pieniędzy do oszczędności ojca, stać nas było na wynajęcie prywatnej pielęgniarki i gospodyni, która przychodziła pięć razy w tygodniu. Radziły sobie dobrze, przebierając go i utrzymując w czystości, lecz w dniu kiedy moja szwagierka powiedziała, że „to w nim dojrzało” (nadal wolę myśleć, że tak właśnie się wyraziła), Bitwa Zapachów dobiegała kresu. Pokiereszowane stare gówno wygrywało na punkty z nieopierzonym dziecięcym pudrem Johnsona i wydawało mi się, że sędzia już wkrótce przerwie walkę. Doc nie mógł chodzić do toalety (którą niezmiennie nazywał „klopem”), w związku z czym nosił pieluchy i plastikowe majtki. Nadal był w wystarczającym stopniu świadomy, by zdawać sobie z tego sprawę i odczuwać skrępowanie. Czasami z kąciaków jego oczu spływały łzy, a z ust, z których niegdyś padało sakramentalne „Hej, ślicznotko!”, wydobywały się nieartykułowane okrzyki desperackiego, pełnego odrazy rozbawienia. Ból zawładnął nim na dobre, najpierw koncentrując się w tułowiu, a potem promieniując na wszystkie strony. Środki przeciwbólowe przestały działać. Pielęgniarka mogła dać mu więcej, ale niewykluczone, że to by go zabiło, i dlatego nie chciała się zgodzić. Ja chciałem dać mu więcej, nawet gdyby miało go to zabić. I zrobiłbym to z pomocą Ruth, gdyby moja żona była osobą która potrafi udzielić tego rodzaju wsparcia.

– Ona się domyśli – powiedziała, mając na myśli pielęgniarkę – a wtedy napytasz sobie biedy.

– To mój tato!

– To jej nie powstrzyma. – Dla Ruth szklanka była zawsze do połowy pusta. Nie chodziło o to, że tak ją wychowano; taka się po prostu urodziła. – Złóży na ciebie donos. Możesz trafić za kratki.

Dlatego go nie zabiłem. Żadne z nas go nie zabiło. Zamiast tego zabijaliśmy czas. Czytaliśmy mu, nie wiedząc, ile z tego rozumie. Zmienialiśmy mu bieliznę i wypełnialiśmy wiszącą na ścianie kartę leków. Panował niesamowity upał i co jakiś czas przestawialiśmy dwa wiatraczki w nadziei, że powstanie przeciąg. Oglądaliśmy mecze na małym kolorowym telewizorze, na którym trawa była fioletowa, i mówiliśmy mu, że w tym roku Piraci grają fantastycznie. Rozmawialiśmy ze sobą o jego coraz ostrzejszym profilu. Patrzyliśmy, jak cierpi, i czekaliśmy, aż umrze. I któregoś dnia, kiedy spał, wydając z siebie terkotliwe

chrapanie, uniosłem wzrok znad antologii *Najlepszych amerykańskich poetów dwudziestego wieku* i zobaczyłem w drzwiach sypialni wysoką tęgą czarną kobietę i czarną dziewczynkę w ciemnych okularach.

Ta dziewczynka... pamiętam ją, jakby to było dziś rano. Myślę, że mogła mieć siedem lat, choć była wyjątkowo drobna jak na swój wiek. Naprawdę malutka. Miała na sobie różową sukienką sięgającą poobijanych kolan. Na tak samo poobijanej łydce nalepiony był plaster z wydrukowanymi komiksowymi postaciami z wytwórni Warner Brothers; pamiętam Yosemite Sama z długimi rudymi wąsami i pistoletem w każdej dłoni. Ciemne okulary wyglądały jak nagroda pocieszenia na podwórkowej wyprzedaży. Były o wiele na nią za duże i zsunęły się na sam koniec zadartego noska, odsłaniając nieruchome i pokryte bielmem oczy. Włosy miała zaplecione w cienkie warkoczyki. Na ramieniu trzymała pękniętą z boku plastikową dziecinną torebkę. Na stopy włożyła brudne tenisówki. Jej skóra nie była tak naprawdę czarna, lecz koloru szarego mydła. Nie leżała w łóżku, ale poza tym sprawiała wrażenie tak samo chorej jak ojciec.

Kobietę pamiętam gorzej, bo uwagę skupiłem głównie na dziecku. Mogła mieć czterdzieści albo sześćdziesiąt lat. Miała fryzurę afro i łagodny wyraz twarzy. Poza tym nic nie pamiętam – nawet koloru jej sukienki, jeżeli nosiła sukienkę. Chyba sukienkę, jednak równie dobrze mogły to być spodnie.

– Kim jesteście? – zapytałem. Zabrzmiało to głupio, jakbym obudził się ze snu, a nie oderwał się od lektury, chociaż istnieje pewne podobieństwo między jednym i drugim.

Trudy pojawiła się za nimi i zadała to samo pytanie. Nie sprawiała wrażenia sennej.

– Drzwi musiały się otworzyć – odezwała się zza jej pleców Ruth tonem, którym mówi się „och, na litość boską”. – Nie zawsze są zamknięte na zasuwkę. Musiały wejść do środka.

Ralph, który stał obok Trudy, obejrzał się przez ramię.

– Teraz są zamknięte. Musiały je za sobą zamknąć – rzucił, jakby świadczyło to na ich korzyść.

– Nie możecie tu wchodzić – powiedziała Trudy do kobiety. – Jesteśmy zajęci. Mamy tu chorego. Nie wiem, czego chcecie, ale musicie wyjść.

– Nie możecie wchodzić tak po prostu do czyjegoś domu – dodał Ralph.

Cała trójka tłoczyła się w progu sypialni.

Ruth klepnęła kobietę po ramieniu i nie zrobiła tego zbyt delikatnie.

– Musicie wyjść, jeśli nie chcecie, żebyśmy wezwali policję. Chcecie tego?

Kobieta nie zwracała na nią uwagi.

– Prosto – powiedziała do dziewczynki, popychając ją do przodu. – Cztery kroki. Po drodze jest coś w rodzaju stojaka, uważaj, żebyś się nie wywróciła. Chcę słyszeć, jak liczysz.

– Raz... dwa... trzy... cztery – zaczęła liczyć dziewczynka. Na „trzy” nastąpiła na metalową nogę stojaka – z całą pewnością nic nie widziała przez brudne soczewki zbyt dużych okularów z podwórkowej wyprzedaży. Nie widziała nic tymi zasnutymi bielmem

oczyma. Minęła mnie tak blisko, że jej sukienka musnęła moje przedramię niczym myśl. Pachniała brudem, potem i podobnie jak Doc chorobą. Na obu jej rękach dostrzegłem ciemne ślady, nie strupy, ale rany.

– Zatrzymaj ją! – powiedział mój brat, lecz go nie posłuchałem. Wszystko działo się bardzo szybko. Dziewczynka pochyliła się nad zapadniętym, zarośniętym policzkiem mojego ojca i pocałowała go. To był porządny pocałunek, nie jakieś tam cmoknięcie. Soczysty pocałunek.

Kiedy to robiła, jej mała plastikowa torebka stuknęła go lekko w bok głowy i ojciec otworzył oczy. Później zarówno Trudy, jak i Ruth twierdziły, że obudziło go uderzenie w głowę. Ralph nie był tego taki pewien, a ja w ogóle w to nie wierzyłem. Torebka stuknęła go całkowicie bezgłośnie. Nie było w niej nic z wyjątkiem być może chusteczek do nosa.

– Kim jesteś, mała? – zapytał ojciec schrypniętym głosem człowieka stojącego jedną nogą w grobie.

– Ayana – odparło dziecko.

– Ja jestem Doc.

Ojciec spojrzał na nią z mrocznych czeluści, gdzie teraz mieszkał, lecz z większą jasnością umysłu, niż widziałem w ciągu dwóch tygodni, które spędziliśmy z nim w Ford City. Wcześniej znajdował się w stanie, kiedy nawet wybiecie piłki poza boisko w dziewiątej rundzie nie potrafiło wyrwać go z letargu.

Trudy precyzyjnie się obok kobiety i chciała się precyzyjnie obok mnie, i złapać dziecko, które nagle zwróciło na siebie uwagę umierającego Doca. Złapałem ją za nadgarstek i zatrzymałem.

– Zaczekaj.

– Co znaczy „zaczekaj”? To intruzi!

– Jestem chora, muszę iść – powiedziała dziewczynka. A potem pocałowała ojca ponownie i dała krok do tyłu. Tym razem potknęła się o stojak kroplówki i o mało nie wywróciła razem z nim. Trudy złapała stojak, a ja dziecko. Prawie nie miała ciała, wyłącznie skórę rozpiętą na skomplikowanym stelażu kości. Jej okulary spadły mi na kolana i przez chwilę te mleczone oczy spojrzały prosto w moje.

– Nic ci nie będzie – powiedziała Ayana i dotknęła moich ust małą dłonią. Była gorąca niczym tłący się węgiel, ale się nie cofnąłem. – Nic ci nie będzie.

– Chodź, Ayana – odezwała się kobieta. – Musimy zostawić tych ludzi. Dwa kroki. Chcę słyszeć, jak liczysz.

– Raz... dwa – rzekła Ayana, nakładając okulary i popychając je w górę nosa, gdzie nie miały długo zagrzać miejsca.

Kobieta wzięła ją za rękę.

– To dla was szczęśliwy dzień, kochani – powiedziała i spojrzała na mnie. – Żal mi pana, ale sny tego dziecka już się skończyły – dodała.

Trzymając dziewczynkę za rękę, przeszła z powrotem przez salon. Ralph ruszył za nimi niczym pies gończy, pilnując, jak sędzę, żeby niczego nie ukradły. Ruth i Trudy pochyliły się nad ojcem, który nadal miał otwarte oczy.

– Co to było za dziecko? – zapytał.

– Nie wiem, tato – odparła Trudy. – Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Chcę, żeby wróciła. Chcę, żeby mnie jeszcze raz pocałowała.

Ruth odwróciła się do mnie, przygryzając wargi i przybierając wredny wyraz twarzy, który z biegiem lat doprowadziła do perfekcji.

– Igła wysunęła mu się do połowy z żyły... krwawi... a ty po prostu sobie siedziałeś.

– Zaraz ją wsadzę – powiedziałem i miałem wrażenie, że to mówi ktoś inny. Gdzieś w moim wnętrzu był stojący na stronie mężczyzna, milczący i osłupiały. Nadal czułem na ustach ciepły dotyk małej dłoni.

– Och, nie fatyguj się! Już to zrobiłam.

Ralph wrócił do sypialni.

– Poszły sobie – oznajmił. – Idą ulicą na przystanek autobusowy. Naprawdę chcesz, żebym wezwał policję, Ruth? – zapytał moją żonę.

– Nie. Nie będziemy przez cały dzień wypełniali formularzy i odpowiadali na pytania. Niewykluczone, że musielibyśmy nawet zeznawać przed sądem – dodała po chwili.

– Co zeznawać? – zapytał Ralph.

– Nie wiem co, skąd mogę wiedzieć? Czy któryś z was przyniesie taśmę samoprzylepną żebyśmy mogli przytrzymać tę cholerną igłę? Leży chyba na blacie w kuchni.

– Chcę, żeby mnie jeszcze raz pocałowała – powtórzył ojciec.

– Ja przyniosę – mruknąłem, najpierw jednak podszedłem do drzwi frontowych (które Ralph zamknął na klucz) i wyjrzałem na zewnątrz. Mała zielona wiata była zaledwie przecznicę dalej, ale nikt nie stał pod nią ani przy samym przystanku. A chodnik był pusty. Ayana i kobieta – jej matka albo opiekunka – zniknęły. Zostało mi tylko wspomnienie dłoni dziecka na ustach, żywe, lecz powoli blaknące.

\* \* \*

Teraz będzie o cudach. Nie zamierzam ich pominąć – jeśli już opowiadam tę historię, chcę to zrobić należycie – ale nie będę się nad nimi zbytnio rozwodził. Opowieści o cudach są zawsze satysfakcjonujące, lecz rzadko kiedy ciekawe, ponieważ jedna jest podobna do drugiej.

Mieszkaliśmy w jednym z moteli przy głównej drodze do Ford City. Należał do sieci Ramada Inn i miał cienkie ściany. Ralph denerwował moją żonę, nazywając go Rolada Inn. „Jeśli będziesz to robił, w końcu się zapomnisz i powiesz to przy kimś innym – strofowała go. – I najesz się wstydu”.

Ściany były tak cienkie, że słyszeliśmy mieszkających obok Ralpa i Trudy, którzy kłócili się, jak długo jeszcze będą mogli tu zostać. „To mój ojciec”, mówił Ralph, na co Trudy odpowiadała: „Spróbuj to powiedzieć w zakładzie energetycznym, kiedy przyjdą rachunki za prąd. Albo komisji lekarskiej, kiedy skończy ci się zwolnienie”.

Minęła siódma, był gorący sierpniowy wieczór. Ralph miał wkrótce pojechać do domu ojca, bo pielęgniarka pełniła w nim dyżur tylko do ósmej. Znalazłem w telewizji kanał, na którym grali mecz Piraci, i puściłem głośniej, żeby zagłuszyć toczącą się w sąsiednim pokoju przygnębiającą i przewidywalną kłótnię. Ruth składała ubranie i mówiła mi, że kiedy następnym razem kupię tanie bokserki w hipermarkecie, weźmie ze mną rozwód. Albo zastrzeli mnie i weźmie sobie innego. Zadzwoił telefon. To była siostra Chloe. (Sama tak siebie nazywała, mówiąc: „Zjedz jeszcze trochę zupki dla siostry Chloe”).

– Powiniście tu chyba natychmiast przyjść – oznajmiła, nie bawiąc się w uprzejmości. – Nie tylko Ralph na nocną zmianę. Wszyscy.

– Czy on umiera? – zapytałem.

Ruth przestała składać rzeczy, podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu. Spodziewaliśmy się tego – tak naprawdę liczyliśmy na to – ale teraz, kiedy to się działo, wydawało się zbyt absurdalne, by boleć. Doc nauczył mnie gry w skyball, kiedy byłem niewiele większy od dzisiejszej ślepej intruzki. Złapał mnie na paleniu pod winoroślą i powiedział – nie wściekając się, ale życzliwym tonem – że to głupi nałóg i lepiej zrobić, jeśli z nim zerwę. Czy mógł nie żyć, kiedy wyjdą jutrzejsze gazety? Absurd.

– Nie wydaje mi się – odparła siostra Chloe. – Czuje się lepiej. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego – dodała po chwili.

\* \* \*

Czuł się lepiej. Kiedy dotarliśmy tam po piętnastu minutach, siedział na sofie w salonie, oglądając mecz na większym telewizorze – nie jakimś cudzie techniki, ale przynajmniej wiernie oddającym kolory. Popijał przez słomkę koktajl proteinowy. Nabral trochę kolorów. Jego policzki wydawały się bardziej zaokrąglone, zapewne dlatego, że był świeżo ogolony. Odzyskał siły. Tak właśnie wówczas pomyślałem; z biegiem czasu to wrażenie stawało się coraz mocniejsze. I jeszcze jedna rzecz, co do której wszyscy się zgodziliśmy – nawet ta niewierna Tomaszowa, z którą się ożeniłem – ulotnił się gdzieś ten żółty zapach, który wydzielał, odkąd lekarze wysłali go do domu, żeby umarł.

Przywitał się z każdym z nas po imieniu i oznajmił, że Willie Stargell zaliczył właśnie bazę domową dla Piratów. Ralph i ja spojrzeliśmy na siebie, jakbyśmy chcieli się upewnić, czy naprawdę tam jesteśmy. Trudy siadła obok ojca na kanapie, a ściśle rzecz biorąc, osunęła się na nią. Ruth poszła do kuchni i naląła sobie piwa. Co samo w sobie było cudem.

– Mnie też mogłabyś poczęstować, Ruthie-doo – rzekł Doc. – Czuję się lepiej. Bebech prawie mnie już nie rwie – dodał, biorąc prawdopodobnie moją osłupiałą i pełną niedowierzania minę za wyraz dezaprobaty.

– Moim zdaniem piwo jest wykluczone – oświadczyła siostra Chloe. Siedziała w fotelu w drugim końcu pokoju i nie zabrała się jeszcze do pakowania swoich rzeczy, co zaczynała na ogół robić dwadzieścia minut przed końcem dyżuru. Jej irytujący władczy ton w stylu „zrób to dla mamusi” stracił wiele ze swojej mocy.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytałem, nie wiedząc nawet dobrze, co rozumiem przez „to”, ponieważ zmiany na lepsze były takie całościowe. Jeśli miałem na myśli coś konkretnego, to chyba ulotnienie się tego zapachu.

– Czuję się lepiej, już kiedy wychodziliśmy po południu – powiedziała Trudy. – Tyle że w to nie wierzyłam.

– Bolszewia – mruknęła Ruth. To było najmocniejsze przekleństwo, na jakie gotowa była sobie pozwolić.

Trudy ją zignorowała.

– To ta mała dziewczynka – powiedziała.

– Bolszewia! – zawołała Ruth.

– Jaka mała dziewczynka? – zapytał ojciec.

Trwała przerwa między rundami. Łysy facet z wielkimi zębami i szalonym wzrokiem przekonywał nas, że wykładziny dywanowe u Jukera są tak tanie, że praktycznie oddają je za bezcen. I wielki Boże, nie trzeba wpłacać żadnej zaliczki. Zanim ktoś z nas zdążył odpowiedzieć Ruth, ojciec zapytał siostrę Chloe, czy może wypić pół piwa. Nie pozwoliła mu, ale jej władza w tym małym domku dobiegała końca i w ciągu następnych czterech lat – zanim kawałek nieprzeżutego mięsa wpadł mu do tchawicy – mój ojciec wypił wiele piw. I mam nadzieję, że każde z nich mu smakowało. Piwo samo w sobie też jest cudem.

\* \* \*

Tamtej nocy, kiedy nie mogąc zasnąć, leżeliśmy na naszym twardym łóżku w Rolada Inn i słuchaliśmy terkotu klimatyzatora, Ruth powiedziała mi, żebym nie mówił nikomu o ślepej dziewczynce, której nie nazwała Ayana, lecz „małą murzyńską czarodziejką”, używając sarkastycznego tonu, zupełnie nie w jej stylu.

– Poza tym – twierdziła – to nie potrwa długo. Czasami żarówka rozjaśnia się tuż przedtem, zanim przepali się na dobre. Coś takiego dzieje się również z ludźmi.

Niewykluczone, jednak cud, który przytrafił się ojcu, trwał. Pod koniec tygodnia spacerował po podwórku, podtrzymywany przeze mnie i Ralpha. Wkrótce wszyscy wróciliśmy do domu. Pierwszego wieczoru po powrocie zadzwoniła do mnie siostra Chloe.



– Nie jedziemy, żeby nie wiem jak był chory – powiedziała Ruth z nutką hysterii w głosie.  
– Powiedz jej to.

Ale siostra Chloe chciała tylko powiedzieć, że widziała przypadkiem, jak Doc wychodził z kliniki weterynaryjnej w Ford City, dokąd poszedł, żeby skonsultować z jej młodym szefem przypadek konia, który okulał. Trzymał w ręku laskę, powiedziała, lecz jej nie używał. Oświadczyła, że nigdy nie widziała mężczyzny w jego wieku, który by tak dobrze wyglądał. Miesiąc później pokonywał bez laski całą przecznicę, a tej zimy zaczął codziennie chodzić na pływalnię. Wyglądał jak sześćdziesięcioletek. Wszyscy to mówili.

\* \* \*

Po powrocie ojca do zdrowia odbyłem rozmowy ze wszystkimi lekarzami, którzy się nim zajmowali. Zrobiłem to, ponieważ to, co się z nim stało, przypominało mi tak zwane mirakle odgrywane w miastach średniowiecznej Europy. Pomyślałem, że gdybym zmienił nazwisko Doca (albo po prostu nazwał go panem G.), mogłoby to się stać podstawą interesującego artykułu dla jakiegoś czasopisma. Może i miałem rację, lecz nigdy nie napisałem tego artykułu.

To Stan Sloan, lekarz domowy ojca, pierwszy zasygnalizował problem. Wcześniej wysłał Doca do instytutu onkologicznego uniwersytetu w Pittsburghu i teraz mógł obwiniać o błędną diagnozę doktorów Retifa i Zamachowskiego, którzy zajmowali się tam ojcem. Oni z kolei zwalili winę na radiologów, którzy niewłaściwie odczytali zdjęcia. Retif oświadczył, że szef radiologii jest ignorantem, który nie odróżnia trzustki od wątroby. Prosił, żebym tego nie powtarzał, ale przypuszczam, że po dwudziestu pięciu latach prośba o dyskrecję nie jest już aktualna.

Doktor Zamachowski oświadczył, że to prosty przypadek wady rozwojowej narządu.

– Nigdy nie podobała mi się pierwotna diagnoza – zwierzył mi się. Z Retifem rozmawiałem przez telefon, z Zamachowskim osobiście. Miał na sobie biały lekarski fartuch, a pod spodem czerwony T-shirt z napisem WOLAŁBYM GRAĆ W GOLFA. – Zawsze myślałem, że to była choroba von Hippela-Lindaua.

– Ona też by go zabiła? – zapytałem.

Zamachowski posłał mi zagadkowy uśmiech, który lekarze rezerwują dla niedouczonej hydraulików, gospodyń domowych oraz nauczycieli języka angielskiego. Następnie oświadczył, że jest spóźniony na spotkanie.

Kiedy rozmawiałem z szefem radiologii, rozłożył ręce.

– Odpowiadamy tutaj za zdjęcie, nie za jego odczytanie – powiedział. – Za dziesięć lat będziemy dysponowali sprzętem, który całkowicie wykluczy tego rodzaju błędne interpretacje. A tymczasem niech pan będzie zadowolony, że pana staruszek żyje. Niech pan się nim nacieszy.

Jeśli o to chodzi, starałem się, jak mogłem. A w trakcie mojego krótkiego dochodzenia, które oczywiście nazywałem zbieraniem materiałów, dowiedziałem się czegoś ciekawego: Medyczna definicja cudu to mylna diagnoza.

\* \* \*

W 1983 roku wziąłem urlop naukowy. Podpisałem z wydawnictwem uniwersyteckim umowę na książkę zatytułowaną *Uczenie tego, czego nie da się nauczyć. Strategie kreatywnego pisania*, ale podobnie jak mój artykuł na temat średniowiecznych mirakli dzieło to nigdy nie zostało napisane. W lipcu, kiedy planowaliśmy razem z Ruth wyjazd pod namiot, mój mocz nagle przybrał różowy kolor. Ból pojawił się później, najpierw głęboko w lewym pośladku, a potem o wiele silniejszy, w kroczu. Kiedy zacząłem naprawdę sikać krwią – było to chyba cztery dni po pierwszych objawach, cztery dni, w trakcie których uprawiałem tę słynną grę „Może to samo przejdzie” – ból zmienił się z mocnego na potworny.

– Jestem pewna, że to nie rak – rzekła Ruth, co w jej ustach oznaczało, że nie ma co do tego cienia wątpliwości. To, co zobaczyłem w jej spojrzeniu, jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Wyparłaby się tego na łożu śmierci – szczyła się praktycznym podejściem do życia – ale założę się, że przyszło jej wówczas do głowy, iż rak, który opuścił mojego ojca, przeniósł się na mnie.

To nie był rak. To były kamienie w nerce. Mój cud nosił nazwę litotrypsji falą wstrząsową generowaną pozaustrojowo, która – w połączeniu z tabletkami moczopędnymi – rozpuściła je. Powiedziałem doktorowi, że nigdy w życiu nie czułem takiego bólu.

– I chyba nigdy już pan go nie dozna, nawet jeśli dostanie pan zawału – odparł. – Kobiety, które miały kamicę nerkową, porównują ten ból do tego, co czuły podczas porodu. Trudnego porodu.

Nadal bardzo cierpiałem, jednak czekając na następną wizytę u lekarza, mogłem czytać gazetę i uważałem to za wielki postęp.

– Chodź, już czas – powiedział ktoś, siadając koło mnie w poczekalni.

Podniosłem wzrok. To nie była kobieta, która weszła wtedy do sypialni mojego ojca; to był facet w najzwyczajniejszym w świecie brązowym garniturze. Mimo to wiedziałem, dlaczego tam się znalazł. To nigdy nie ulegało kwestii. Byłem również pewien, że jeśli z nim nie pójdę, nie pomoże mi żadna litotrypsja.

Wyszliśmy. Recepcjonistki nie było za biurkiem, więc nie musiałem tłumaczyć, dlaczego tak nagle się ewakuuję. Zresztą nie wiem, co bym jej powiedział. Że nagle przestało mnie boleć w kroczu? Byłoby to równie absurdalne jak nieprawdziwe.

Facet w garniturze sprawiał wrażenie sprawnego fizycznie trzydziestopięciolatka: być może byłego żołnierza piechoty morskiej, który nie miał ochoty rozstać się z fryzurą na zapalną. W ogóle się nie odzywał. Okrążyliśmy centrum medyczne, gdzie miał gabinet mój

doktor, i ruszyliśmy w stronę szpitala Groves of Healing. Ja szedłem lekko zgarbiony z powodu bólu, który nie szarpał mi już wnętrzości, ale nadal lekko się tlił.

Weszliśmy po schodach do środka i ruszyliśmy korytarzem z namalowanymi na ścianach obrazkami z Disneya. Z głośników nad naszymi głowami płynęła melodia *It's a Small World*. Były żołnierz piechoty morskiej szedł różnym krokiem z podniesioną głową, jakby należał do personelu. Ja nie należałem do personelu i zdawałem sobie z tego sprawę. Nigdy jeszcze nie czułem się tak oddalony od domu i życia, które rozumiem. Nie byłbym bardziej zdumiony, gdybym unosił się pod sufitem niczym dziecinny balonik z napisem WRACAJ SZYBKO DO ZDROWIA.

Przy głównym stanowisku pielęgniarek były żołnierz ścisnął mnie za ramię, żebym zaczekał do momentu, kiedy urzędujący tam pielęgniarz i pielęgniarka zajmą się czymś innym. Wówczas ruszyliśmy innym korytarzem. Siedząca tam w fotelu na kółkach łysa dziewczynka spojrzała na nas wygłodniałymi oczyma i wyciągnęła do mnie rękę.

– Nie – powiedział były żołnierz i poprowadził mnie po prostu dalej. Najpierw jednak zdążyłem zajrzeć w jej jasne umierające oczy.

Zabrał mnie do sali, w której mniej więcej trzyletni chłopczyk bawił się klockami w rozpiętym nad łóżkiem przezroczystym plastikowym namiocie. Chłopczyk przyjrzał się nam z żywym zainteresowaniem. Wydawał się o wiele zdrowszy niż dziewczynka w fotelu – miał na głowie rude kręcone włoski – ale jego skóra przybrała ołowiany odcień i kiedy były żołnierz popchnął mnie do przodu, a sam przybrał pozycję „spocznij”, wyczułem, że dzieciak jest naprawdę bardzo chory. Otwierając namiot (i nie zwracając przy tym uwagi na wiszący na ścianie napis TO JEST STERYLNE POMIESZCZENIE), pomyślałem, że zostało mu raczej kilka dni aniżeli kilka tygodni życia.

Wyciągnąłem do niego rękę, wyczuwając zapach choroby mojego ojca. Odór był nieco słabszy, ale w zasadzie taki sam. Dzieciak sam też wyciągnął do mnie rękę i zrobił to bez żadnych zahamowań. Kiedy pocałowałem go w kącik ust, odwzajemnił pocałunek z ochotą, która sugerowała, że nikt od dawna go nie dotykał. Przynajmniej w sposób, który nie sprawiał bólu.

Nikt nie wszedł, żeby zapytać, co tam robimy, ani nie straszyl nas policją, tak jak to czyniła owego dnia Ruth w sypialni ojca. Zapiąłem z powrotem namiot. W progu obejrzałem się i zobaczyłem, że chłopczyk siedzi w swoim przezroczystym plastikowym domku z klockiem w ręku. Upuścił go i pomachał mi, otwierając i zamykając dwa razy palce. Pomachałem mu w ten sam sposób. Już po tak krótkiej chwili wyglądał lepiej.

Przy stanowisku pielęgniarek były żołnierz ponownie ścisnął mnie za ramię, jednak tym razem zostaliśmy zauważeni przez pielęgniarza, mężczyznę z ustami wykrzywionymi w uśmiechu dezaprobaty, który mój dziekan wywindował na wyżyny sztuki. Zapytał, co tutaj robimy.

– Przepraszam, chłopie, pomyliliśmy piętra – powiedział były żołnierz. – Znajdziesz sam drogę z powrotem? – zapytał mnie kilka minut później na schodach szpitala.

– Jasne – odparłem – ale będę chyba musiał umówić się na inny termin z moim lekarzem.

– Tak, chyba tak.

– Czy jeszcze się zobaczymy?

– Owszem – odparł i nie oglądając się, odszedł w kierunku szpitalnego parkingu.

\* \* \*

Pojawił się ponownie w 1987 roku, kiedy Ruth była na targu, a ja strzygłem trawę, łudząc się, że łupanie z tyłu głowy nie oznacza kolejnego ataku migreny, i wiedząc, że zaraz się zacznie. Cierpiałem na te ataki od spotkania z małym chłopcem w szpitalu Groves of Healing. Jednak leżąc w półmroku z wilgotną szmatką na oczach, prawie o nim nie myślałem. Myślałem o małej dziewczynce.

Tym razem odwiedziliśmy kobietę w szpitalu St. Jude's. Kiedy ją pocałowałem, położyła moją rękę na swojej lewej piersi. Miała tylko tę jedną lekarze wycięli jej drugą.

– Kocham pana – rzekła, płacząc. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Były żołnierz stał w progu na rozstawionych nogach, z rękoma na plecach. W pozycji „spocznij”.

Minęło wiele lat, nim znowu przyszedł: w połowie grudnia 1997. To był ostatni raz. Miałem wtedy problemy z artretyzmem i nadal je mam. Jeżyk na głowie byłego żołnierza piechoty morskiej w większości posiwiiał, a w kącikach ust pojawiły się zmarszczki tak głębokie, że wyglądał trochę jak lalka brzuchomówcy. Zabrał mnie na autostradę I-95, na północ od miasta, gdzie doszło do wypadku przy wjeździe. Ciężarówka zderzyła się z fordem escortem. Z escorta niewiele pozostało. Sanitariusze przymocowali do noszy kierowcę, faceta w średnim wieku. Gliniarze rozmawiali z umundurowanym kierowcą ciężarówki, który był wstrząśnięty, ale cały i zdrowy.

– Teraz. Rusz tyłek – powiedział żołnierz, kiedy sanitariusze zatrzasnęli drzwi ambulansu.

Podreptałem do ambulansu, a żołnierz pobiegł do przodu, wskazując coś palcem.

– Kurczę! Czy to nie jest jedna z tych medycznych bransoletek?

Sanitariusze odwrócili się w jego stronę; jeden z nich i jeden z gliniarzy, który rozmawiał z kierowcą ciężarówki, podeszli do wskazanego miejsca. Otworzyłem tylne drzwi ambulansu i wgramoliłem się do środka. W rękę ścisnąłem kieszonkowy zegarek mojego ojca, który nosiłem, odkąd dał mi go w prezencie ślubnym. Jego delikatny złoty łańcuszek przytroczony był do jednej ze szlufek przy pasku. Nie miałem czasu się z nim pieścić: zerwałem go.

Leżący na noszach mężczyzna spojrział na mnie w półmroku. Jeden z kręgow jego złamanego karku sterczał pod skórą niczym obciążnięta lśniąca gałka.

– Nie mogę ruszać palcami nóg, kurwa – jęknął.

Pocałowałem go w kącik ust (było to chyba moje ulubione miejsce) i wycofywałem się już, kiedy przyłapał mnie jeden z sanitariuszy.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – zapytał.

Wskazałem zegarek, który leżał teraz obok noszy.

– Leżał na trawie. Pomyślałem, że będzie chciał go odzyskać. – Zakładałem, że zanim kierowca escorta poinformuje kogoś, że to nie jego zegarek i że inicjały wyryte na kopercie nic mu nie mówią, nas już dawno tam nie będzie. – Znalazł pan jego medyczną bransoletkę?

Sanitariusz spojrzał na mnie z niesmakiem.

– To tylko kawałek chromu. Zjeżdżaj stąd – mruknął. – Dzięki – dodał po chwili bardziej przyjaznym tonem. – Mógł pan zatrzymać ten zegarek.

To prawda. Kochałem go. Ale w tym momencie to było wszystko, co miałem.

\* \* \*

– Masz krew na wierzchu dłoni – oznajmił żołnierz, kiedy jechaliśmy z powrotem do mojego domu. Siedzieliśmy w jego samochodzie, jakimś sedanem marki Chevrolet. Na tylnym siedzeniu leżała psia smycz, na lusterku wstecznym wisiał na srebrnym łańcuszku medalik ze świętym Krzysztofem. – Powinieneś to zaraz zmyć.

Odparłem, że tak zrobię.

– Już się nie zobaczymy – oświadczył.

Przypomniałem sobie, co czarna kobieta powiedziała wtedy o Ayanie. Nie myślałem o tym od wielu lat.

– Czy moje sny już się skończyły? – zapytałem.

Zrobił zdziwioną minę, a potem wzruszył ramionami.

– Skończyła się twoja praca – odparł. – Nic mi nie wiadomo o twoich snach.

Zanim wysadził mnie po raz ostatni przed domem i zniknął na zawsze z mojego życia, zadałem mu jeszcze trzy pytania. Nie spodziewałem się, że odpowie, lecz zrobił to.

– Ci ludzie, których całuję... czy chodzą do innych ludzi? Całują to, co złe, i sprawiają, że to znika?

– Niektórzy chodzą – odparł. – Tak to działa. Inni nie mogą. – Wzruszył ramionami. – Albo po prostu nie chodzą. – Ponownie wzruszył ramionami. – Na jedno wychodzi.

– Znasz małą dziewczynkę o imieniu Ayana? Chociaż przypuszczam, że jest już duża.

– Nie żyje.

Podupadłem na duchu, ale niezbyt mocno. Przypuszczam, że się tego spodziewałem. Pomyślałem ponownie o dziewczynce na wózku.

– Ayana pocałowała mojego ojca. Mnie tylko dotknęła. Więc dlaczego zostałem wybrany?

– Bo zostałeś – odparł, wjeżdżając na mój podjazd. – Jesteśmy na miejscu.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wydał mi się dobry, Bóg jeden wie dlaczego.

– Wpadnij na Boże Narodzenie – powiedziałem. – Na kolację wigilijną. Mamy dużo jedzenia. Powiem Ruth, że jesteś moim kuzynem z Nowego Meksyku. (Nigdy nie mówiłem jej o byłym żołnierzu. Wystarczyło jej to, co wiedziała o moim ojcu. A i tego było aż nadto).

Żołnierz się uśmiechnął. Nie był to chyba jedyny raz, gdy zobaczyłem go uśmiechniętego, jednak tylko ten jeden raz zapamiętałem.

– Chyba sobie odpuszczę, chłopie. Ale dziękuję. Nie świętuję Bożego Narodzenia. Jestem ateistą.

\* \* \*

To już naprawdę wszystko... z wyjątkiem pocałowania Trudy. Mówiłem wam, że zidiociała, pamiętacie? Alzheimer. Dzięki inwestycjom Ralpa była dobrze sytuowana i kiedy nie mogła już dłużej mieszkać sama w domu, dzieciaki dopilnowały, żeby trafiła do miłego miejsca. Ruth i ja odwiedzaliśmy ją co jakiś czas, dopóki Ruth nie zmarła na atak serca, gdy samolot podchodził do lądowania na lotnisku międzynarodowym w Denver. Niedługo potem pojechałem do Trudy, ponieważ byłem samotny i przygnębiony i chciałem przypomnieć sobie dawne czasy. Ale widząc Trudy w takim stanie, patrzącą przez okno zamiast na mnie i żującą dolną wargę, podczas gdy ślina spływała jej z kącika ust, poczułem się jeszcze gorzej. To było tak, jakbym wrócił do rodzinnego miasta i w miejscu domu, w którym dorastałem, zobaczył pustą działkę.

Pocałowałem ją w kącik ust przed wyjściem, lecz oczywiście nic się nie stało. Nie ma cudu bez cudotwórcy, a dni, kiedy sprawiałem cuda, należały do przeszłości. Z wyjątkiem chwil późno w nocy, kiedy nie mogę zasnąć. Schodzę wtedy na dół i oglądam prawie każdy film, na jaki mam ochotę. Nawet pornografię. Mam, widzicie, antenę satelitarną i coś, co nazywa się Global Movies. Mógłbym nawet oglądać mecze Piratów, gdybym zamówił pakiet MLB. Mam jednak ostatnio nieco ograniczone dochody i chociaż niczego mi nie brakuje, muszę pilnować wydatków. Mogę sobie poczytać o Piratach w Internecie. Wszystkie te filmy są dla mnie wystarczającym cudem.

## Bardzo trudne położenie

Curtis Johnson każdego ranka przejeżdżał pięć mil na rowerze. Po śmierci Betsy przez pewien czas tego nie robił, ale przekonał się, że bez tej porannej przejażdżki jest jeszcze bardziej przygnębiony. W związku z czym znowu zaczął jeździć. Z tą różnicą, że nie wkładał już kasku. Przejeżdżał dwie i pół mili Gulf Boulevard, a potem zawracał i pedałowal z powrotem. Zawsze korzystał ze ścieżek rowerowych. Mógł nie dbać o to, czy przeżyje, czy zginie, ale przestrzegał przepisów.

Gulf Boulevard był jedyną ulicą na Turtle Island. Stało przy niej wiele domów należących do milionerów. Curtis nie zwracał na nie uwagi. Po pierwsze dlatego, że sam był milionerem. Zarobił pieniądze w staroświecki sposób, na giełdzie. Po drugie dlatego, że nie miał problemów z żadną z osób mieszkających w domach, które mijał. Jedynym człowiekiem, z którym miał problem, był Tim Grunwald, czyli Skurwysyn, ale Grunwald mieszkał gdzie indziej. Jego dom stał na przedostatniej posesji przed Daylight Channel: nie ostatniej, lecz przedostatniej. To właśnie ostatnia posesja stanowiła problem (jeden z problemów), który ich poróżnił. Była największa, roztaczał się z niej najlepszy widok na zatokę i nie stały na niej żadne zabudowania. Rosła tam wyłącznie trawa, karłowate palmy i kilka australijskich sosen.

Najmilszą rzeczą, naprawdę najmilszą, podczas tych porannych przejażdżek był brak telefonu. Oficjalnie Curtis znajdował się poza zasięgiem. Po powrocie rzadko kiedy wypuszczał z rąk telefon, zwłaszcza w godzinach działania giełdy. Był wysportowany; przechadzał się po domu z bezprzewodową słuchawką, co jakiś czas wracając do gabinetu i zerkając na pojawiające się na ekranie komputera liczby. Czasami wychodził z domu, żeby przejść się ulicą, i wtedy zabierał ze sobą komórkę. Normalnie skręcał w prawo, w stronę ślepego końca Gulf Boulevard. W stronę domu Skurwysyna. Nie zapuszczał się jednak dość daleko, żeby Grunwald mógł go zobaczyć: Curtis nie chciał mu dać tej satysfakcji. Podchodził tylko tyle, żeby sprawdzić, czy Grunwald nie próbuje wyciąć jakiegoś numeru z działką Vintona. Oczywiście nie było mowy, żeby Skurwysyn zdołał przeprowadzić koło niego ciężki sprzęt; odkąd nie spała przy nim Betsy, Curtis miał lekki sen. Mimo to kontrolował go, stając na ogół za ostatnią palmą w liczącym dwadzieścia parę drzew szpalerze. Żeby się upewnić. Ponieważ niszczenie pustych działek, zalewanie ich setkami ton betonu było tym, czym Grunwald zajmował się zawodowo.

I Skurwysyn był podstępny.

Na razie jednak wszystko szło dobrze. Gdyby Grunwald próbował wyciąć jakiś numer, Curtis był gotów do działania (w prawniczym sensie). Tymczasem Grunwald musiał odpowiedzieć za Betsy i to nie ulegało kwestii. Nawet jeżeli Curtis stracił już serce do całej tej batalii (nie chciał się do tego przyznać, ale wiedział, że to prawda), musiał dopilnować, żeby Grunwald za nią odpowiedział. Skurwysyn przekona się, że Curtis Johnson ma szczęki ze stali... szczęki z chromowanej stali... i jak już coś złapie, to nie puści.

Wróciwszy w ten wtorek z porannej przejażdżki, dziesięć minut przed otwarciem Wall Street sprawdził, czy nie ma wiadomości w poczcie głosowej, tak jak to zawsze robił. Tego dnia były dwie. Jedna z Circuit City, najprawdopodobniej od sprzedawcy, który chciał mu coś wcisnąć, pytając, czy jest zadowolony z wiszącego na ścianie płaskiego ekranu kupionego przez Curtisa miesiąc wcześniej. Przeszedłszy do kolejnej wiadomości, przeczytał na wyświetlaczu 383-0910 SKS.

Skurwysyn. Nawet jego nokia wiedziała, kim jest Grunwald, ponieważ Curtis ją tego nauczył. Pytanie brzmiało: czego Skurwysyn chciał od niego w ten wtorkowy czwarty poranek?

Może chciał się pogodzić, na warunkach Curtisa.

Wyśmiał ten pomysł, po czym odsłuchiwał wiadomość. Ku swojemu zdziwieniu zorientował się, że tego właśnie chciał Grunwald – albo udawał, że chce. Curtis przypuszczał, że może tkwić w tym jakiś podstęp, ale nie rozumiał, co Grunwald zamierza w ten sposób osiągnąć. No i był jeszcze ten ton: ciężki, niespieszny, niemal drętwy. Może nie oznaczał, że Grunwald żałuje za grzechy, lecz z pewnością tak brzmiał. Podobnego tonu używał ostatnio bardzo często Curtis, rozmawiając przez telefon, kiedy próbował wrócić do gry.

– Johnsonie... Curtisie... – oznajmił tym powolnym głosem Grunwald. Na chwilę przerwał, jakby zastanawiał się, czy wypada mu używać imienia, które nadano Curtisowi przy urodzeniu, po czym kontynuował tym samym śmiertelnie poważnym tonem. – Nie mogę prowadzić wojny na dwa fronty. Skończmy z tym. Nie mam już do tego serca. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek miałem. Jestem w bardzo trudnym położeniu, sąsiedzie. – Westchnął. – Gotów jestem oddać działkę bez żadnego finansowego odszkodowania. A także wypłacić rekompensatę za twoją... za Betsy. Jeśli jesteś zainteresowany, znajdziesz mnie w Durkin Grove Village. Będę tam prawie przez cały dzień. – Długa pauza. – Często tam teraz jeżdżę. Z jednej strony nadal nie potrafię uwierzyć, że finansowanie diabli wzięli, a z drugiej wcale mnie to nie dziwi. – Kolejna długa pauza. – Może wiesz, co mam na myśli.

Curtis chyba wiedział. Sam też chyba stracił nosa do rynku. A ściśle rzecz biorąc, rynek przestał go obchodzić. Złapał się na tym, że żywi wobec Skurwysyna coś, co było w podejrzanym sposobie zbliżone do współczucia. Ten spokojny ton...

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi – kontynuował Grunwald. – Pamiętasz? Ja tak. Nie sądzę, żebyśmy znowu mogli zostać przyjaciółmi... sprawy zaszły chyba zbyt daleko, ale



moglibyśmy stać się ponownie sąsiadami. Sąsiedzie. – Kolejna długa pauza. – Jeżeli nie doczekam się ciebie w miejscu, które jest pomnikiem mojego szaleństwa, dam po prostu polecenie adwokatowi, żeby zawarł ugodę. Na twoich warunkach. Ale...

Znowu zapadła cisza, którą zakłócał tylko oddech Skurwysyna. Curtis czekał. Siedział teraz przy kuchennym stole. Nie miał pojęcia, co czuje. Za jakiś czas może zdoła to określić, lecz w tym momencie nie potrafił.

– ...ale chciałbym uścisnąć twoją dłoń i powiedzieć, jak mi przykro z powodu twojego cholernego psa.

Rozległ się zdławiony dźwięk, który mógł być – nie do wiary! – szlochem, a potem kliknięcie i głos automatu informujący, że nie ma żadnych dalszych wiadomości.

Curtis siedział jeszcze przez chwilę w jasnej smudze florydzkiego słońca, z którego żarem nawet o tej porze nie mogła sobie do końca poradzić klimatyzacja. A potem przeszedł do swojego gabinetu. Handel zaczął się; liczby rozpoczęły niekończący się marsz po ekranie komputera. Zdał sobie sprawę, że nic dla niego nie znaczą. Nie wyłączył komputera, ale przed wyjściem z domu zostawił krótką wiadomość dla pani Wilson: *Musiąłem gdzieś pojechać.*

W garażu obok jego bmw stał skuter i pod wpływem impulsu postanowił, że nim pojedzie. Po drugiej stronie mostu będzie musiał przejechać przez autostradę, lecz robił to już wcześniej.

Zdejmując z wieszaka kluczyk do skutera, poczuł ukłucie bólu i żalu, słysząc, jak zadzwonił inny przedmiot zawieszony na kółku. Myślał, że z biegiem czasu te uczucia osłabną, jednak teraz prawie na nie czekał. Prawie jak na przyjaciela.

\* \* \*

Problemy między Curtisem i Timem Grunwaldem zaczęły się od Ricky'ego Vintona, który był niegdyś stary i bogaty, a następnie stał się stary i zgrzybiały. Zanim stał się nieboszczykiem, sprzedał Curtisowi Johnsonowi za półtora miliona dolarów niezabudowaną działkę na końcu Turtle Island, biorąc od Curtisa w charakterze zadatku czek na sto pięćdziesiąt tysięcy i pisząc w zamian umowę sprzedaży na odwrocie gazetki reklamowej.

Curtis czuł się trochę jak naciągacz, który wykorzystuje starego dziadka, ale Vintonowi – właścicielowi Vinton Wire and Cable – nie groziła bynajmniej śmierć głodowa. I chociaż cenę półtora miliona za taki kawałek ziemi z widokiem na zatokę można było uznać za śmiesznie niską nie była ona oszukańczo niska, biorąc pod uwagę obecne tendencje na rynku.

No... może zresztą i była, lecz on i stary lubili się, a Curtis należał do tych, którzy uważają, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, a biznes jest rodzajem wojny. Oba podpisy poświadczyła gospodyni Vintona – ta sama pani Wilson, która prowadziła dom Curtisowi. Patrząc wstecz, Curtis zdał sobie sprawę, że powinien był prawdopodobnie zachować większą ostrożność, ale był podekscytowany.

Mniej więcej miesiąc po sprzedaży niezabudowanej działki Curtisowi Johnsonowi Vinton sprzedał ją Timowi Grunwaldowi, czyli Skurwysynowi. Tym razem zrobił to za większą sumę – pięć milionów sześćset tysięcy – i tym razem Vinton – może wcale nie taki głupek, lecz w gruncie rzeczy oszust, nawet jeżeli stał jedną nogą w grobie – wziął zadatek w wysokości pół miliona.

Umowę sprzedaży poświadczył ogrodnik Skurwysyna (który przypadkowo był również ogrodnikiem Vintona). Wyglądało to dość ryzykownie, jednak Curtis przypuszczał, że Grunwald był równie podekscytowany jak on. Tyle że ekscytacja Curtisa wynikała z zamiaru zachowania tego cypla Turtle Island w niezmienionym kształcie, sprawienia, by pozostał oazą ciszy, spokoju i czystości, dokładnie tak, jak lubił.

Natomiast Grunwald planował wznieść w tym miejscu jeden albo nawet dwa apartamentowce (kiedy Curtis myślał o dwóch, nazywał je w myślach Bliźniaczymi Wieżami Skurwysyna). Curtis widział już wcześniej takie osiedla – na Florydzie wyrastały niczym dmuchawce na zaniedbanym trawniku – i wiedział, kogo ściągnie tutaj Skurwysyn: głupców, którzy uważają fundusze emerytalne za klucze do królestwa niebieskiego. Przez cztery lata będzie trwała budowa, a potem w okolicy zaroi się od staruszków na rowerach z przytroczonymi do chudych ud woreczkami na mocz. I od starych bab, które noszą przeciwsłoneczne daszki, palą parlamenty i nie sprzątają po swoich srających na plaży przerasowanych psach. No i oczywiście od umorusanych lodami wnusiów o imionach takich jak Lindsay lub Jayson. Curtis wiedział, że jeśli na to pozwoli, skona, mając w uszach ich niezadowolone wrzaski: „Obiecałeś, że pojedziemy dzisiaj do Disney Worldu!”.

Nie miał zamiaru na to pozwolić. I okazało się to łatwe. Niezbyt przyjemne, bo działka nie należała do niego i mógł jej nigdy nie dostać, jednak nie należała również do Grunwalda. Nie należała nawet do krewnych, którzy pojawili się (niczym karaluchy w kontenerze na śmieci, kiedy skieruje się na nie nagle silne światło), kwestionując podpisy świadków na obu umowach sprzedaży. Należała do adwokatów i sądów.

Co było równoznaczne z tym, że nie należała do nikogo.

Curtisowi to pasowało.

Batalia zaczęła się przed dwoma laty i jego wydatki na prawników wyniosły już prawie ćwierć miliona dolarów. Myślał czasami o tych pieniądzach jako o wpłacie na rzecz jakiejś szczególnie miłej organizacji ekologicznej – Johnsonpeace zamiast Greenpeace – lecz oczywiście nie mógł jej sobie odliczyć od podatku dochodowego. I Grunwald go wkurzał. Grunwald traktował to osobiście, częściowo dlatego, że nienawidził przegrywać (Curtis również wówczas tego nienawidził; obecnie już w mniejszym stopniu), a częściowo ponieważ miał inne osobiste problemy.

Rozwiodła się z nim żona: to był jego Osobisty Problem Numer Jeden. Nie była już panią Skurwysynową. Problemem Numer Dwa było to, że Grunwald musiał poddać się jakiejś operacji. Curtis nie miał pewności, czy to był rak, wiedział tylko, że Skurwysyn wrócił ze

szpitala Sarasota Memorial dwadzieścia albo trzydzieści funtów chudszy i na wózku. Po pewnym czasie odstawił wózek, ale nie mógł przybrać na wadze. Luźna skóra zwisała z jego niedyś byczego karku.

Pojawiły się również problemy z jego wcześniej niesamowicie dochodową firmą. Curtis widział to na własne oczy tam, gdzie Skurwysyn prowadził ostatnio swoją kampanię spalonej ziemi, na placu budowy osiedla Durkin Grove Village, usytuowanego na stałym lądzie, dwadzieścia mil na wschód od Turtle Island. To było zbudowane w połowie wymarłe miasto. Parkując na wzgórkach, z którego rozciągał się widok na wstrzymaną budowę, Curtis czuł się niczym generał wizytujący zgliszczony obozowy wroga. Czuł, że życie ma jednak swoje dobre strony.

Wszystko zmieniła Betsy. Była suką rasy lowchen, niemłodą już, lecz nadal żwawą. Kiedy Curtis wyprowadzał ją na plażę, zawsze niosła w pysku czerwoną gumową kość. Kiedy Curtis potrzebował pilota, wystarczyło, żeby powiedział „Przynies panu dynks dla idiotów, Bets”, a ona brała go ze stolika i przynosiła w zębach. To był jej popisowy numer. Jego też, oczywiście. Od siedemnastu lat była jego najlepszym przyjacielem. Lwie pieski nie żyją na ogół dłużej niż piętnaście.

A potem Grunwald zamontował elektryczne ogrodzenie między ich posiadłościami.

Skurwysyn.

Napięcie nie było szczególnie wysokie, Grunwald oświadczył, że może to udowodnić, i Curtis wierzył mu, ale wystarczyło, żeby załatwić starą sukę z niewielką nadwagą i słabym sercem. I komu było w ogóle potrzebne ogrodzenie pod napięciem? Skurwysyn chrząknął głupoty o zniechęcaniu potencjalnych włamywaczy – zakradających się zapewne z posiadłości Curtisa na tę, na której wznosił się otynkowany na purpurowo La Maison Scurvysinense – jednak Curtis mu nie wierzył. Poważni włamywacze przyplądali łodzią od strony zatoki. Curtis wierzył, że Grunwald, wściekły z powodu działki Vintona, zamontował elektryczne ogrodzenie, ponieważ chciał w ten sposób wyprowadzić go z równowagi. Być może skrzywdzić jego ukochanego psa. A nawet go zabić. Curtis wierzył, że okazało się to nadprogramową premią.

Normalnie nie płakał, ale nie mógł powstrzymać łez, kiedy tuż przed kremacją Betsy zdjął z jej obroży psi identyfikator.

Curtis pozwał Skurwysyna do sądu i wystąpił o odszkodowanie w wysokości tysiąca dwustu dolarów – tyle wynosiła cena psa. Gdyby mógł wystąpić o dziesięć milionów – na tyle oceniał swój ból, kiedy spoglądał na leżącego na stoliku pilota, wolnego na zawsze od psiej śliny – zrobiłby to w okamgnieniu, lecz adwokat powiedział mu, że w procesie cywilnym bólu i cierpienia nie wycenia się tak wysoko. Takie stawki zarezerwowane są dla rozwodów, nie dla psów. Curtis musiał się zgodzić na tysiąc dwieście, ale nie zamierzał odpuścić ani centa.

Adwokaci Skurwysyna odpowiedzieli, że elektryczne ogrodzenie zostało zamontowane w odległości dziesięciu jardów od granicy posiadłości i zaczęła się bitwa – druga bitwa. Toczyła się już od ośmiu miesięcy. Curtis uważał, że zastosowana przez adwokatów Skurwysyna taktyka przewlekania oznaczała, że wiedzą, iż ich klient musi przegrać. Uważał również, że ich niechęć do pójścia na ugodę i niechęć Skurwysyna do zapłacenia tysiąca dwustu dolarów oznacza, że sprawa stała się dla Grunwalda równie osobista jak dla niego. Adwokaci kosztowali ich o wiele więcej. Ale oczywiście nie chodziło już wcale o pieniądze.

Jadąc drogą numer 17 przez teren, na którym rozciągały się kiedyś pastwiska, a który był teraz po prostu zarośniętym ugorem (Grunwald oddałby wszystko, żeby tu coś wybudować, pomyślał), Curtis żałował, że nie cieszy go najnowszy rozwój wypadków. Zwycięstwo powinno podnieść go na duchu, jednak tak się nie stało. Chciał wyłącznie spotkać się z Grunwaldem, usłyszeć, co tamten dokładnie proponuje, i jeśli propozycja nie będzie zbyt śmieszna, zakończyć cały ten syf między nimi. Oczywiście mogło to oznaczać, że działkę Vintona obejmą jego krewni, którzy postawią tam własny apartamentowiec, ale czy miało to kiedykolwiek znaczenie? Chyba nie.

Curtis musiał się uporać z własnymi problemami, chociaż były one raczej mentalnej niż małżeńskiej (Boże broń), finansowej czy zdrowotnej natury. Zaczęły się niedługo po tym, jak znalazł Betsy sztywną i zimną na podwórku. Inni mogliby nazwać te problemy neurozą, lecz Curtis wolał je określać mianem depresji.

Najwyraźniejszym elementem tej depresji, choć w żadnym wypadku nie jedynym, było jego obecne zniechęcenie do giełdy, która fascynowała go nieprzerwanie, odkąd odkrył ją w wieku szesnastu lat. Zaczął mierzyć sobie puls i liczyć ruchy szczoteczki do zębów. Nie mógł już nosić ciemnych koszul, ponieważ po raz pierwszy od gimnazjum zaczął cierpieć na łupież. Białe świństwo pokrywało mu czaszkę i opadało na ramiona. Jeśli drapał głowę grzebieniem, spadało w upiornej zamieci. Nie znosił tego, ale czasami łapał się na tym, że czesze się, siedząc przed komputerem albo rozmawiając przez telefon. Raz czy dwa podrapał się do krwi.

Drapał się i drapał, zdzierając tę białą, martwą skorupę. I czasami spoglądając na leżący na stoliku dynks dla idiotów i myśląc (rzecz jasna), jaka szczęśliwa była Betsy, kiedy mu go przynosiła. W ludzkich oczach rzadko kiedy można ujrzeć takie szczęście, zwłaszcza jeśli ludzie ci muszą robić to, co im się każe.

Kryzys wieku średniego, doszedł do wniosku Sammy (który był jego przychodzącym raz w tygodniu masażystą). Musisz kogoś przelecieć, dodał Sammy, ale nie zaproponował własnych usług.

To określenie wydawało się nawet trafne – tak samo trafne, przypuszczał Curtis, jak każdy przykład nowomowy dwudziestego pierwszego wieku. Nie miał pojęcia, czy to małpi cyrk z działką Vintona spowodował kryzys, czy odwrotnie: kryzys spowodował tę historię. Wiedział tylko, że za każdym razem, gdy czuł przejściowe klucie w piersi, podejrzewał atak serca, a nie niestrawność, że zamartwiał się, iż zaczną mu wypadać zęby (choć nigdy nie

miał z nimi większych kłopotów), i że kiedy przeziębiał się w kwietniu, uznał, że jest na skraju kompletnego załamania się układu odpornościowego.

Plus jeszcze jeden mały problem. Ten przymus, o którym nie powiedział swojemu lekarzowi. Ani nawet Sammy'emu, a jemu mówił wszystko.

Czuł ten przymus właśnie teraz, piętnaście mil w głębi łądu, na rzadko uczęszczanej drodze numer 17, która nigdy nie była szczególnie zatłoczona, a obecnie odchodziła prawie całkiem w zapomnienie za sprawą ekspresówki numer 375. Właśnie tutaj, gdzie po obu stronach drogi rosły zielone zarośla (trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby budować w takim miejscu), świerszcze śpiewały w wysokiej trawie, której co najmniej od dziesięciu lat nie skubała żadna krowa, a słońce waliło go niczym młotek z gumową nasadką po nieosłoniętej kaskiem głowie.

Wiedział, że sama myśl o przymusie powoduje, że musi mu ulec, ale specjalnie mu to nie pomogło. Właściwie w ogóle.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie w lewo odchodził trakt oznaczony tabliczką DURKIN GROVE VILLAGE (wzniesienie zarosło trawą, strzałka wskazywała drogę do katastrofy), i wrzucił jałowy bieg. Następnie, nie gasząc vespy, która mruczała zadowolona między jego nogami, rozczapierzył dwa pierwsze palce prawej dłoni i wsadził je do gardła. W ciągu ostatnich dwóch lub trzech miesięcy jego odruch wymiotny prawie całkowicie zanikł, i musiał wsunąć dłoń aż do bransoletki szczęścia na przegubie, zanim doczekał się jakiegoś efektu.

Nachylił się i wyrzucił z siebie śniadanie. Nie interesowało go pozbywanie się jedzenia; cierpiał na wiele przypadłości, lecz nie należała do nich bulimia. Nie lubił również samej czynności wymiotowania. Tym, co lubił, były torsje: ten silny, wypierający skurcz tułowia, któremu towarzyszyło rozwarcie ust i gardła. Ciało było totalnie zmobilizowane, gotowe pozbyć się intruza.

Zapachy – zielonych krzaków i dzikiego kapryfolium – stały się nagle intensywniejsze. Światło jaśniejsze. Słońce paliło mocniej niż kiedykolwiek; zniknęła gdzieś gumowa nasadka i czuł, jak skwierczy mu skóra na karku. Niewykluczone, że znajdujące się tam komórki ogłaszały właśnie rokosz i ruszały do obozu czerniaka.

Nie obchodziło go to. Czuł, że żyje. Wsadził ponownie dwa palce do gardła, drapiąc je do krwi, i pozbył się reszty śniadania. Za trzecim razem wypłuł wyłącznie długie nitki śliny, zabarwionej lekko krwią z gardła. Dopiero wówczas poczuł się usatysfakcjonowany. Dopiero wówczas mógł ruszyć w stronę Durkin Grove Village, rozbabranego Xanadu Skurwysyna, zagubionego pośród rozbrzmiewających brzęczeniem pszczół dzikich ugorów hrabstwa Charlotte.

Kiedy trzymając się prawej koleiny, niespiesznie jechał zarośniętym traktem, przyszło mu do głowy, że Grunwald nie jest jedyną osobą, która znajduje się ostatnio w bardzo trudnym położeniu.

\* \* \*

Durkin Grove Village było ruiną.

W koleinach nieutwardzonych dróg i dołach wokół nieukończonych (w niektórych wypadkach nawet niezadaszonych) domów stały kałuże. To, co Curtis zobaczył niżej – zbudowane w połowie sklepy, stojące tu i tam nędzne maszyny budowlane, obwisła żółta taśma – było z pewnością świadectwem poważnych kłopotów finansowych, być może nawet bankructwa. Nie wiedział, czy fakt, że Skurwysyn do tego stopnia skoncentrował się na działce Vintona – nie mówiąc już o odejściu żony, chorobie oraz prawniczej batalii związanej z psem Curtisa – był czy też nie przyczyną jego klęski, ale wiedział, że to, co widzi, jest jej obrazem. Wiedział to, zanim jeszcze podszedł do bramy i przeczytał umieszczony tam napis.

TA BUDOWA ZOSTAŁA ZAMKNIĘTA  
PRZEZ WYDZIAŁ ARCHITEKTURY I PLANOWANIA  
HRABSTWA CHARLOTTE, BIURO PODATKOWE  
STANU FLORYDA ORAZ URZĄD SKARBOWY  
STANÓW ZJEDNOCZONYCH. DODATKOWE  
INFORMACJE POD NUMEREM 941-555-1800

Nizej jakiś wylewny mądrała dopisał sprayem: WYKREĆ WEWNĘTRZNY 69 I  
POPROŚ GENERAŁA PIZDOLIZA!

Tuż za trzema budynkami, które sprawiały wrażenie ukończonych (dwoma sklepami po jednej stronie ulicy i modelowym domem po drugiej) asfalt kończył się i zaczynały się wyboje. Modelowy dom był nieudolną imitacją stylu Cape Cod, na której widok Curtisa przeszedł zimny dreszcz. Nie chcąc jeździć vespą po nieutwardzonej drodze, zatrzymał się przy koparce, która wyglądała, jakby zaparkowano ją tam przed stuleciem – trawa wyrastała z ziemi wypełniającej jej częściowo uniesioną łyżkę – po czym postawił skuter na nóżkach i zgasił silnik.

Cisza wypełniła lukę po głębokim pomruku vespy. A potem zakrakąła wrona. Odpowiedziała jej druga. Curtis podniósł wzrok i zobaczył całą trójkę siedzącą na rusztowaniu otaczającym częściowo ukończony ceglany budynek. Niewykluczone, że miał się w nim mieścić bank. Teraz to grobowiec Grunwalda, pomyślał, ale ta myśl wcale nie sprawiła mu satysfakcji. Miał ochotę ponownie pobudzić się do torsji, lecz przy końcu pustej, nieutwardzonej ulicy zobaczył mężczyznę, który stał przy białym samochodzie z namalowaną na drzwiach zieloną palmą. Nad palmą widniał napis GRUNWALD, a niżej PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE. Mężczyzna machał do niego. Grunwald z jakiegoś powodu przyjechał dziś firmowym samochodem, a nie swoim porsche. Curtis nie wykluczał, że facet je sprzedał. Nie można było też wykluczyć, że zarekwirował je urząd skarbowy, który

mógł także zająć posiadłość Grunwalda na Turtle Island. Wtedy działka Vintona będzie najmniejszym z jego zmartwień.

Mam nadzieję, że zostawią mu dosyć, żeby zapłacił mi za psa, pomyślał Curtis. Pomachał do Grunwalda, wyjął kluczyki ze stacyjki vespy, aktywował alarm (zrobił to wyłącznie odruchowo; nie sądził, by ktoś ją tutaj ukradł, ale nauczono go dbać o rzeczy), po czym schował kluczyki i komórkę do kieszeni. Następnie ruszył gruntową drogą – główną ulicą, która nigdy nie powstała i chyba nie miała szansy powstać – żeby spotkać się ze swoim sąsiadem i jeśli to możliwe, raz na zawsze zakopać topór wojenny. Po drodze omijał uważnie kałuże, które zostały po wczorajszym deszczu.

– Cześć, sąsiedzie – przywitał go Grunwald. Ubrany był w spodnie khaki i T-shirt z palmą, która stanowiła logo jego firmy. T-shirt wisiał na nim. Twarz miał bladą z wyjątkiem czerwonych plam gorączki na policzkach i ciemno – prawie czarno – podkrążonych oczu. I chociaż miał wesołą minę, nigdy wcześniej nie wydawał się taki chory. Cokolwiek próbowali mu wyciąć, pomyślał Curtis, nie udało im się. Grunwald trzymał za sobą jedną rękę. Curtis przypuszczał, że wsadził ją do tylnej kieszeni. Trochę później miało się okazać, że nie miał racji.

Nieco dalej przy porytej koleinami, błotnistej drodze stał barak na ceglach. Curtis domyślił się, że to prowizoryczne biuro budowy. Na małej plastikowej przysawce wisiała wsunięta w ochronną koszulkę kartka. Był na niej dość długi tekst, ale jedyną rzeczą, którą udało mu się odczytać (i która powinna go obchodzić) były dwa słowa na samej górze: WSTĘP WZBRONIONY.

Tak, dla Skurwysyna nastały ciężkie czasy. Ciężkie czasy dla Tony'ego, jak mógłby powiedzieć Evelyn Waugh\*.

– Grunwald? – To jedno słowo starczyło za pozdrowienie; biorąc pod uwagę to, co spotkało Betsy, Skurwysyn nie zasługiwał na nic więcej. Curtis zatrzymał się mniej więcej dziesięć stóp od niego, na rozstawionych lekko nogach, żeby nie wpaść do kałuży. Grunwald też rozstawił nogi. Curtisowi przyszło do głowy, że to klasyczna poza: dwaj rewolwerowcy szykujący się do rozprawy na uliczce wymarłego miasta.

– Cześć, sąsiedzie! – powtórzył Grunwald i tym razem autentycznie się roześmiał. Brzmienie jego śmiechu było znajome. Nic dziwnego. Curtis z pewnością słyszał już śmiejącego się Skurwysyna. Nie pamiętał po prostu kiedy, ale z pewnością słyszał.

Za Grunwaldem, naprzeciwko baraku i niedaleko firmowego samochodu, którym tu przyjechał, stały w rzędzie cztery niebieskie przenośne toalety. Dookoła nich rosły chwasty i kwiaty wedelii. Spływająca po czerwcowych burzach woda (takie popołudniowe nawałnice często trafiały się w tej okolicy) podmyła ziemię przed wychodkami i utworzyła rów. Prawie strumyk. W tym momencie od pokrytej warstwą kurzu i kwiatowego pyłku tafli wody prawie nie odbijało się niebo. Cztery budki pochyliły się do przodu niczym przysypane śniegiem

---

\* Tytuł jednego z rozdziałów powieści *Garść prochu* Evelyn Waugh.

stare nagrobki. Pracująca tu niegdyś ekipa musiała być dość liczna, ponieważ toalet było pięć. Ostatnia wywróciła się i leżała w rowie drzwiami w dół, w dobitny sposób świadcząc, że ten poroniony od samego początku projekt zakończył się katastrofą.

Jedna z wron zerwała się z rusztowania przy nieukończonym banku i poszybowała po zasnutym mgłą niebie, kracząc na stojących na dole mężczyzn. Owady brzęczały obojętnie w wysokiej trawie. Curtis zdał sobie sprawę, że czuje smród bijący od toalet; musiały być od dłuższego czasu nieopróżniane.

– Grunwald? – odezwał się ponownie. – W czym mogę ci pomóc? – dodał, ponieważ najwyraźniej trzeba było powiedzieć coś więcej. – Czy mamy coś do omówienia?

– No cóż, sąsiedzie, chodzi o to, jak ja mogę ci pomóc. Wyłącznie o to. – Grunwald znowu wybuchnął śmiechem, a potem zdusił go w sobie. I Curtis zorientował się, dlaczego jego brzmienie wydawało mu się znajome. Usłyszał ten śmiech przez telefon, odsłuchując wiadomość Skurwysyna. To nie był zdławiony szloch. I facet nie sprawiał wrażenia chorego – w każdym razie nie tylko. Sprawiał wrażenie szalonego.

*Nic dziwnego, że oszalał. Wszystko stracił. A ty daleś się tu zwabić. To nie było zbyt mądre, chłopie. Nie zastanowiłeś się nad tym.*

Nie. Od śmierci Betsy nie chciało mu się zastanawiać nad wieloma rzeczami. Nie wydawało się to warte zachodu. Lecz tym razem powinien był to zrobić.

Grunwald się uśmiechał. W każdym razie szczerzył zęby.

– Widzę, że nie nosisz kasku, sąsiedzie – rzekł i potrząsnął głową, nadal mając na ustach ten wesoły uśmiech chorego człowieka. Włosy opadały mu na uszy. Wyglądał, jakby od dawna się nie mył. – Założę się, że żona nie pozwoliłaby ci na taką cholerną nieostrożność, ale faceci twojego pokroju nie mają oczywiście żon. Mają psy. – Mówiąc „psy”, przeciągnął głoski tak, że zabrzmiało to niczym cytatem z *Diuków Hazardu*: psssyyy.

– Mam to w dupie, spadam – odparł Curtis. Serce waliło mu w piersi, lecz nie sądził, by można to było poznać po jego głosie. Miał nadzieję, że nie. Nagle wydało mu się bardzo ważne, żeby Grunwald nie zorientował się, że się boi. Odwrócił się do niego plecami.

– Spodziewałem się, że sprawa działki Vintona może cię tu zwabić – powiedział Grunwald – ale wiedziałem, że jeśli wspomnę o tej twojej szpetnej suce, przyjedziesz na sto procent. Słyszałem, jak skamlala, wiesz? Kiedy wpadła na ogrodzenie. Cholerna złodziejka.

Curtis odwrócił się z powrotem, nie wierząc własnym uszom. Skurwysyn kiwał głową, brudne proste włosy opadały mu na bladą twarz.

– Tak jest – oznajmił. – Podeszedłem i zobaczyłem, że leży na boku. Mała szmaciana kukła. Patrzyłem, jak zdychała.

– Mówiłeś, że cię tam nie było – powiedział Curtis głosem, który w jego własnych uszach zabrzmiał cicho niczym głos dziecka.

– Cóż, sąsiedzie, wychodzi na to, że cię okłamałem. Wróciłem wcześniej od lekarza przygnębiony tym, że musiałem mu odmówić, choć tak gorąco przekonywał mnie, żebym się



zgodził na chemioterapię, i nagle zobaczyłem tę twoją szmacianą sukę dyszącą ciężko, leżącą we własnych rzygowinach i oblepioną muchami. Od razu podniosło mnie to na duchu. Do diabła, pomyślałem, więc jest jednak jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Jest jakaś sprawiedliwość. To było ogrodzenie pod niskim napięciem, zwykły elektryczny pastuch... w tej kwestii byłem absolutnie szczery... ale przecież zadziało, prawda?

Curtis Johnson zrozumiał to wszystko po dłuższej chwili skrajnego, być może umyślnego rozkojarzenia. Zacisnął dłonie w pięści i ruszył do przodu. Nie uderzył nikogo od czasu bójki na podwórku, kiedy był w trzeciej klasie, ale teraz miał zamiar komuś przyłożyć. Miał zamiar przyłożyć Skurwysynowi. Owady nadal brzęczały obojętnie w trawie, słońce przypiekało mu kark – świat był w zasadzie ten sam, zmieniło się tylko jego nastawienie. Zniknęła gdzieś apatyczna ospałość. Obchodziła go przynajmniej jedna sprawa: chciał złoić Grunwaldowi skórę tak, by ten zalał się krwią, pełzał po ziemi i płakał. I był przekonany, że zdoła to zrobić. Grunwald był od niego dwadzieścia lat starszy i chory. A kiedy będzie leżał na ziemi – z rozbitym nosem zanurzonym w jednej z tych paskudnych kałuż – Curtis powie: To za moją szmacianą sukę, sąsiedzie. Grunwald dał na wszelki wypadek krok do tyłu, a potem wysunął rękę zza pleców. Trzymał w niej duży pistolet.

– Stój tam, gdzie stoisz, sąsiedzie, albo zrobię ci dodatkowy otwór w głowie.

Mało brakowało, żeby Curtis się nie zatrzymał. Broń wydawała mu się nierzeczywista. Śmierć z tego czarnego oczodołu? Po prostu niemożliwe. Ale...

– To AMT hardballer, kalibru czterdzieści pięć – powiedział Grunwald – naładowany amunicją z miękkim czubkiem. Kupiłem go, kiedy byłem ostatnio w Las Vegas. Na wystawie broni. To było zaraz po odejściu Ginny. Myślałem, że może ją zastrzelę, ale okazało się, że przestała mnie interesować. W gruncie rzeczy to kolejna anorektyczna cipa z cyckami ze styropianu. Za to ty to zupełnie co innego. Ty jesteś wcieleniem zła, Johnson. Jesteś pierdoloną pedalską wiedźmą.

Curtis się zatrzymał. Uwierzył.

– I teraz, jak to mówią, jesteś w mojej mocy. – Skurwysyn roześmiał się i ponownie zdusił w sobie śmiech, tak że zabrzmiało to dziwnie, niczym zdławiony szloch. – Nie muszę nawet specjalnie celować. To potężna broń, tak mi w każdym razie mówiono. Zabije cię nawet trafienie w rękę, bo z miejsca ci ją oderwie. A w tułów? Twoje flaki przelecają czterdzieści stóp. Więc może chcesz spróbować? Wierzysz w swoje szczęście, gnojku?

Curtis nie chciał próbować. Nie wierzył w swoje szczęście. Prawda dotarła do niego z opóźnieniem, ale była oczywista: dał tu się zwabić przez kompletnego czubka.

– Co chcesz? Zrobię, co chcesz. – Curtis przelknął z głośnym odgłosem ślinę. – Chcesz, żebym wycofał pozew w sprawie Betsy?

– Nie nazywaj jej Betsy – odparł Skurwysyn. Celował ze swojej broni prosto w twarz Curtisa i otwór lufy wydawał się teraz całkiem duży. Curtis zdał sobie sprawę, że umrze, zanim jeszcze usłyszy huk wystrzału, chociaż mógł zobaczyć płomień wylotowy – albo

początek płomienia – wydobywający się z lufy. Zdał sobie sprawę, że jest niebezpiecznie blisko zsikania się w spodnie. – Nazwij ją moją „szmacianą suką z przydupiastą mordą” – polecił Skurwysyn.

– Moja szmaciana suka z przydupiastą mordą – powtórzył natychmiast Curtis, nie czując wcale, by obraził w ten sposób pamięć Betsy.

– A teraz powiedz, że lubiłeś lizać jej śmierdzącą cipkę – nakazał Skurwysyn.

Curtis się nie odezwał. Odkrył z ulgą, że istnieją jednak jakieś granice. Poza tym, gdyby to powiedział, Skurwysyn kazałby mu powtarzać inne rzeczy.

Grunwald nie wydawał się tym specjalnie rozczarowany.

– To tylko taki żart – dodał, wymachując pistoletem.

Curtis milczał. Jedna część jego umysłu była spanikowana i zdezorientowana, ale druga rozumowała jaśniej niż kiedykolwiek od śmierci Betsy. Być może jaśniej, niż to się działo od wielu lat. Ta druga część koncentrowała się na fakcie, że naprawdę może tutaj zginąć.

Czyżbym nie miał już nigdy zjeść kromki chleba, pomyślał i na krótką chwilę obie części jego umysłu – ta zdezorientowana i ta jasna – zjednoczyły się w pragnieniu życia tak silnym, aż obleciał go strach.

– Czego chcesz, Grunwald?

– Żebyś wszedł do jednej z tych przenośnych toalet. Tej z boku – odparł Skurwysyn, ponownie machając pistoletem, tym razem w lewą stronę.

Curtis obejrzał się, czując cień nadziei. Skoro Grunwald miał zamiar go zamknąć... to chyba dobrze? Może teraz, kiedy już wystraszył Curtisa i spuścił trochę pary, zamknie go w klopie i ucieknie. A może pojedzie do domu i się zastrzeli, pomyślał Curtis. Zastosuje stare, dobrze znane, ludowe lekarstwo na raka: hardballer kalibru .45.

– Dobrze. Mogę to zrobić.

– Ale najpierw chcę, żebyś opróżnił kieszenie. Rzuć na ziemię wszystko, co w nich masz.

Curtis wyciągnął portfel, a potem niechętnie swoją komórkę. Spięty spinaczem mały plik banknotów. Upstrzony łupieżem grzebyk.

– To wszystko?

– Tak.

– Wywróć kieszenie, skarbie. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Curtis wywrócił najpierw lewą a potem prawą przednią kieszeń. Kilka monet i kluczyk do skutera wypadły na ziemię i załśniły w promieniach zasnutej lekką mgiełką słońca.

– Dobrze – mruknął Grunwald. – Teraz tylne.

Curtis wywrócił tylne kieszenie. W jednej z nich była stara lista zakupów nagryzmołona na karteluszkę. Nic więcej.

– Kopnij mi swoją komórkę – powiedział Grunwald.

Curtis spróbował to zrobić i kompletnie chybił.

– Ty dupku – mruknął Grunwald i roześmiał się. Jego śmiech zakończył się tym samym ni to szlochem, ni to kaszlem i po raz pierwszy w życiu Curtis zrozumiał, czym jest morderstwo. Rozumująca jasno część jego umysłu uznała je za coś wspaniałego. Morderstwo – poprzednio dla niego niepojęte – okazało się tak proste jak skracanie ułamków.

– Pospiesz się, do kurwy nędzy – polecił Grunwald. – Chcę wrócić do domu i wejść do wanny z gorącą wodą. Zapomnij o środkach przeciwbólowych, gorąca kąpiel to jedyna rzecz, która działa. Gdybym mógł, zamieszkałbym w wannie. – Nie widać było jednak, żeby mu się specjalnie spieszyło. Błyszczwały mu oczy.

Curtis kopnął ponownie komórkę i tym razem udało mu się ją posłać prosto pod nogi Grunwalda.

– Piłka w siatce! – zawołał Skurwysyn. Przyklęknął na jedno kolano, podniósł nokię (ani na chwilę nie przestając celować w Curtisa), po czym wyprostował się z wysiłkiem, o którym świadczyło ciche stęknienie. Wsadził komórkę Curtisa do kieszeni spodni i wskazał lufą pistoletu leżące na drodze drobiazgi.

– Teraz pozbieraj swoje śmieci i schowaj z powrotem do kieszeni. Drobniaki też. Kto wie, może znajdziesz tam w środku automat z cukierkami.

Curtis zrobił to w milczeniu, ponownie czując ukłucie bólu, kiedy spojrzał na przedmiot dołączony do kółka z kluczykiem do vespy. Pewne rzeczy najwyraźniej nie zmieniają się nawet w ekstremalnych okolicznościach.

– Zapomniałeś o swojej liście zakupów, pierdolcu. Nie powinienes o niej zapominać. Wszystko z powrotem do kieszeni. Co się tyczy twojego telefonu, mam zamiar podłączyć go do jego małej ładowarki w twoim małym domciu. Oczywiście po skasowaniu wiadomości, którą ci zostawiłem.

Curtis podniósł leżącą na ziemi kartkę – *sok pomar., filety rybne, bułki*, przeczytał – i wetknął ją z powrotem do tylnej kieszeni.

– Nie uda ci się – rzekł.

Skurwysyn uniósł krzaczaste brwi starca.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał.

– Włączony jest alarm przeciwwłamaniowy. – Curtis nie pamiętał, czy go włączył, czy nie. – Poza tym, kiedy wrócisz na Turtle Island, będzie tam już pani Wilson.

Grunwald posłał mu pobłażliwe spojrzenie. Fakt, że było to pobłażliwe spojrzenie szaleńca, nie tylko irytował, ale i przerażał.

– Jest czwartek, sąsiedzie. W czwartki i piątki twoja gospodyni przychodzi dopiero po południu. Myślisz, że cię nie obserwowałem? Podobnie jak ty obserwowałeś mnie?

– Wcale cię...

– Och, widziałem, jak zerkałeś zza swojej ulubionej palmy przy drodze... myślisz, że nie... ale ty nigdy mnie nie zobaczyłeś, prawda? Bo jesteś leniwy. A leniwi ludzie są ślepi. Leniwi ludzie dostają to, na co zasługują. Wszyscy geje są leniwi; zostało to naukowo

udowodnione – dodał Grunwald, ścisząc dyskretnie głos. – Gejowskie lobby próbuje to ukryć, lecz można znaleźć na ten temat opracowania w Internecie.

Coraz bardziej zaniepokojony Curtis prawie nie zwrócił na to uwagi. Skoro Grunwald obserwował panią Wilson... Chryste, od jak dawna to planował?

Co najmniej od momentu, kiedy Curtis pozwał go za Betsy. A może jeszcze dłużej.

– Co do kodu twojego alarmu... – Skurwysyn ponownie wybuchnął tym swoim szlochośmiecchem. – Zwierzę ci się z małego sekretu: alarm zakładała ci firma Hearn Security, a ja współpracuję z nimi prawie od trzydziestu lat. Gdybym chciał, mógłbym mieć kody wszystkich alarmów zakładanych przez nich na wyspie. Ale tak się składa, że potrzebny był mi tylko twój. – Wciągnął powietrze nosem, splunął, a potem zaniósł się gwałtownym kaszlem, który zadudnił głęboko w jego płucach. Wyglądało na to, że go boli (Curtis miał taką nadzieję), lecz lufa pistoletu nawet nie drgnęła. – Zresztą pewnie zapomniałeś go włączyć. To normalne, kiedy myśli się stale o obciążaniu fiuta i takich rzeczach.

– Grunwald, czy nie możemy...

– Nie. Nie możemy. Zasłużyłeś na to. Zasłużyłeś na to, kupiłeś i będziesz miał za swoje. Włóż do tego pierdolonego sracza.

Curtis ruszył w stronę przenośnych toalet, jednak zamiast tej po lewej wybrał tę po prawej.

– Nie, nie – mruknął Grunwald. Cierpliwie, jakby mówił do dziecka. – Do tej z drugiej strony.

– Tamta za bardzo się przechyla. Jeśli tam wejść, może się przewrócić.

– Nie – odparł Grunwald. – To cudo jest tak samo solidne jak twoja ukochana giełda. Ma wzmocnione boki. Ale jestem pewien, że spodoba ci się zapach. Faceci twojego pokroju rzną się na okrągło w dupała, więc chyba ci się spodoba. Chyba go pokochasz. – Lufa pistoletu wbiła się nagle w pośladki Curtisa, który wydał z siebie stłumiony okrzyk. Grunwald roześmiał się. Kawał Skurwysyna. – Włóż tam, zanim zamienię twój stary kanał ściekowy w fabrycznie nową superautostradę.

Curtis musiał się pochylić nad rowem ze stojącą brudną wodą. Ponieważ toaleta była pochylona, drzwi otworzyły się same i o mało nie rąbnęły go w twarz, kiedy zwolnił zasuwkę. To spowodowało kolejny wybuch śmiechu Grunwalda i Curtisa po raz kolejny nawiedziły myśli o morderstwie. Mimo to zdumiewało go własne zaangażowanie. To, jak nagle zakochał się w zapachach zieleni i zamglonym błękitnym niebie Florydy. Jak wielką miał ochotę na kromkę chleba – nawet kawałek tostowego pieczywa byłby królewską ucztą; zjadłby go z serwetką na kolanach i wybrał odpowiedni rocznik wina ze swojej piwniczki. Widział życie z zupełnie nowej perspektywy. Miał tylko nadzieję, że zdąży się nim nacieszyć. Jeżeli Skurwysyn zamierzał go jedynie zamknąć, może zdąży.

Jeśli się z tego jakoś wykaraskam, pomyślał (ta myśl była tak samo niespodziewana i abstrakcyjna jak ta o kromce chleba), zacznę wpłacać pieniądze na „Save the Children”.

- Właż tam, Johnson.
- Mówię ci, że się przewróci!
- Kto tu się zna na budowaniu? Nie przewróci się, jeśli będziesz ostrożny. Wchodź.
- Nie rozumiem, dlaczego to robisz!

Grunwald roześmiał się z niedowierzaniem.

- Ładuj tam tyłek albo ci go odstrzełę, jak mi Bóg miły.

Curtis dał krok przez rów i wszedł do przenośnej toalety, która przechyliła się niebezpiecznie do przodu pod jego ciężarem. Czując to, krzyknął, pochylił się nad ławką z sedesem i oparł rozczapierzone dłonie o tylną ścianę. I kiedy tam stał niczym czekający na przeszukanie podejrzany, zatrzasnęły się za nim drzwi. Zgasło słoneczne światło. Znalazł się nagle w gorącym półmroku. Kiedy obejrzał się przez ramię, toaleta zakołysała się i omal nie przewróciła.

Usłyszał pukanie i wyobraził sobie pochylonego nad rowem Skurwysyna, który jedną ręką opierał się o niebieski siding, a drugą, zaciśniętą w pięść, pukał w drzwi.

– Wygodnie ci tam? Miło? – Curtis nie odpowiedział. Dzięki temu, że Grunwald oparł się o drzwi toalety, to cholerstwo przynajmniej się wyprostowało. – Jasne, że wygodnie. Miło, jakbyś dostał w ryło.

Rozległo się kolejne stuknięcie i toaleta ponownie przechyliła się do przodu. Grunwald przestał ją podparować. Curtis przybrał poprzednią pozycję, stojąc na palcach i całą siłą woli utrzymując śmierzdzącą kabinę w pionie. Od płynącego po twarzy potu zapiekło go skaleczenie po goleniu z lewej strony szczęki. To sprawiło, że pomyślał z nostalgią i miłością o własnej łazience, którą normalnie traktował jak coś oczywistego. Oddałby każdego dolara ze swojego funduszu emerytalnego, żeby tam być, trzymać w prawej ręce maszynkę do golenia, patrzeć, jak kropla krwi sączy się przez piankę na jego lewym policzku, i słuchać jakiejś głupiej piosenki z radiobudzika przy łóżku. Coś z repertuaru Carpenters albo Don Ho.

Teraz się przewróci, na pewno się przewróci, Skurwysyn planował to od samego początku.

Tym razem jednak kabina się wyprostowała. Mimo to w każdej chwili mogła się wywrócić. Stojąc na palcach, z tułowiem wygiętym w łuk i dłońmi opartymi o ścianę, Curtis uświadomił sobie, jak ohydny smród unosi się w małej rozgrzanej kabinie mimo zamkniętej deski. Odór środka dezynfekcyjnego – to musiał być ten niebieski – mieszał się ze smrodem rozkładających się ludzkich odchodów, w jakiś sposób jeszcze go potęgując.

Kiedy Grunwald ponownie się odezwał, jego głos dobiegł od strony tylnej ściany. Musiał przeskoczyć rów i obejść dookoła kabinę. Curtis był tak zaskoczony, że o mało nie odskoczył do tyłu. W ostatniej chwili zdołał opanować ten odruch, oderwał jednak dłonie od ściany i to wystarczyło, żeby toaleta się zachwiała. Curtis oparł ręce z powrotem o ścianę, pochylił się jak najdalej, i zażegnał niebezpieczeństwo.

- Jak się czujesz, sąsiedzie?

– Śmiertelnie się boję – odparł Curtis. Spoczone włosy opadły mu na czoło, ale bał się je odgarnąć. Nawet tak nieznaczny ruch mógł spowodować wywrócenie się kabiny. – Wypuść mnie. Już się zabawileś.

– Jeśli sądzisz, że to dla mnie zabawa, jesteś w grubym błędzie – rzekł pedantycznym tonem Skurwysyn. – Myślałem o tym od bardzo dawna, sąsiedzie, i uznałem w końcu, że to konieczne... to jedyna droga postępowania. I muszę to zrobić teraz, ponieważ jeśli będę dłużej zwlekał, moje ciało może odmówić mi posłuszeństwa i nie wykona tego, co trzeba.

– Możemy to załatwić jak mężczyźni, Grunwald. Przysięgam, że możemy to zrobić.

– Możesz sobie przysięgać, ile chcesz. Nigdy nie uwierzę komuś takiemu jak ty – ciągnął Skurwysyn tym samym pedantycznym tonem. – Każdy, kto wierzy pedrylowi, zasługuje na to, co go spotyka. UWAŻACIE SIĘ ZA TAKICH CWANIAKÓW! – wrzasnął nagle tak głośno, że jego głos kilka razy się załamał. – JAK CWANY SIĘ TERAZ CZUJESZ?

Curtis milczał. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że zaczyna pojmować szaleństwo Skurwysyna, otwierały się przed nim nowe widoki.

– Pewnie chcesz, żeby ci to wyjaśnić – podjął po chwili spokojniejszym tonem Grunwald. – Myślę, że na to zasługujesz. Chyba tak.

Gdzieś w pobliżu zakrakała wrona. Dla zamkniętego w małym rozgrzanym pudle Curtisa zabrzmiało to jak śmiech.

– Myślisz, że żartowałem, nazywając cię pedalską wiedźmą? Ależ skąd. Czy to znaczy, że zdajesz sobie sprawę, że jesteś... eee... złowrogą nadprzyrodzoną istotą zesłaną po to, by mnie poddać próbie? Nie wiem. Naprawdę. Odkąd moja żona zabrała biżuterię i odeszła, spędziłem wiele bezsennych nocy, zadając sobie między innymi to pytanie. I nadal nie wiem. Prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy.

– Grunwald, zapewniam cię, że nie jestem...

– Zamknij się. Ja teraz mówię. Oczywiście zapewniałbyś mnie o tym tak czy owak. Bez względu na to, czy zdajesz, czy nie zdajesz sobie sprawy, tak właśnie byś mówił. Przyjrzyj się zeznaniom różnych czarownic w Salem. Mówię ci, przyjrzyj się. Ja to zrobiłem. Wszystko jest w Internecie. Przysięgały, że nie są wiedźmami, a kiedy wydawało im się, że unikną w ten sposób śmierci, przysięgały, że nimi są lecz w gruncie rzeczy niewiele z nich wiedziało, jak jest naprawdę. To staje się jasne, kiedy człowiek spojrzy na to swoim oświeconym... no wiesz, tym swoim oświeconym... Umysłem czy czym tam chcesz. Hej, sąsiedzie, jak ci się to podoba?

Skurwysyn – chory, lecz najwyraźniej nadal dość silny – zaczął nagle kołysać toaletą. Curtis o mało nie oparł się o drzwi, co z pewnością skończyłoby się katastrofą.

– Przestań! – ryknął. – Przestań to robić!

Grunwald roześmiał się pobłaźliwie. Kabina przestała się chybotać. Jednak Curtis miał wrażenie, że jest teraz pochylona bardziej niż wcześniej.

– Ale z ciebie mazgaj. Jest solidna jak giełda, mówię ci! – Pauza. – Oczywiście... powiem ci jedno: wszyscy pedryle to kłamcy, lecz nie wszyscy kłamcy są pedrylami. To nie jest równanie równoważne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Jestem szczerzy chłopak, zawsze taki byłem, niech mnie kule biją jeśli jest inaczej, ale skłamałem, żeby cię tu zwabić, przyznaję to, i teraz też mogę kłamać.

Znowu to kaszlnięcie – głębokie, mroczne i prawie na pewno bolesne.

– Wypuść mnie, Grunwald. Błagam cię. Błagam, żebyś mnie wypuścił.

Na chwilę zapadła cisza, jakby Skurwysyn się nad tym zastanawiał. A potem wrócił do wcześniejszego tematu.

– Ostatecznie... kiedy w grę wchodzi czarownice... nie możemy polegać na ich zeznaniach. Nie możemy nawet polegać na zeznaniach innych osób, bo mogą być sfingowane. Kiedy mamy do czynienia z czarownicami, wszystko jest... no wiesz... subiektywne. Możemy polegać tylko na dowodach. Dlatego przeanalizowałem dowody w mojej sprawie. Przyjrzyjmy się faktom. Po pierwsze, wycyckanie mnie przy działce Vintona. To była pierwsza sprawa.

– Grunwald, ja nigdy...

– Zamknij się, sąsiedzie. Chyba że chcesz, żebym przewrócił twój mały rozkoszny domek. Chcesz tego?

– Nie!

– Prawidłowa odpowiedź. Nie wiem, dlaczego mnie wycyckałeś, ale wydaje mi się, że zrobiłeś to, bo bałeś się, że chcę postawić na Turtle Island parę apartamentowców. Tak czy inaczej dowody... to znaczy ta twoja śmieszna umowa sprzedaży... niedwuznacznie świadczą o tym, że była to próba wycyckania. Twierdzisz, że Ricky Vinton chciał ci sprzedać tę działkę za milion pięćset tysięcy. Pytam cię, sąsiedzie. Czy jakkolwiek sędzia i członek ławy przysięgłych jest w stanie w to uwierzyć?

Curtis nie odpowiedział. Bał się teraz nawet odchrząknąć, nie tylko dlatego, że mogłoby to zdenerwować Skurwysyna, ale też dlatego, że robiąc to, mógł wywrócić niebezpiecznie przechylony wychodek. Bał się, że kabina runie, kiedy tylko odsunie mały palec od ściany. Prawdopodobnie była to głupota, lecz nie był tego do końca pewien.

– A potem pojawili się krewni, komplikując sytuację, która i tak była już wystarczająco skomplikowana... przez twoje pedalskie kręctwo! To ty ich tu ściągnąłeś. Ty albo twój adwokat. To oczywiste... typowy przykład sytuacji, no wiesz, gdzie wszystko jest proste jak drut. Ponieważ odpowiada ci ten stan rzeczy.

Curtis w dalszym ciągu milczał, nie zamierzając podważać wersji Skurwysyna.

– Wtedy właśnie rzuciłeś klątwę. To musiało być wtedy. Świadczą o tym dowody. „Nie trzeba widzieć Plutona, żeby wiedzieć, że Pluton istnieje”. Powiedział to jakiś naukowiec. Doszedł do wniosku, że Pluton istnieje, obserwując nieregularny przebieg orbity jakiejś innej planety, wiedziałeś o tym? Tak samo wykrywa się czary, Johnson. Trzeba przyjrzeć się

dowodom i zbadać nieregularny przebieg orbity twojego, no wiesz, twojego co tam chcesz. Twojego życia. Poza tym ciemnieje twoja aura. Ciemnieje. Czuję, że to się dzieje. To jest jak zaćmienie... To...

Grunwald znowu się rozkaszał. Curtis stał w pozie, jakby był gotów do przeszukania, z wypiętym tyłkiem i brzuchem pochylonym nad sedesem, na którym cieśle Skurwysyna siadali nigdyś, by postawić klocek po porannej kawie.

– A potem opuściła mnie Ginny. Obecnie mieszka na Cape Cod. Mówi, że jest sama, to oczywiście, że tak mówi, bo chce alimenty... wszystkie tego chcą... ale ja wiem lepiej. Jeśli ta napalona suka nie znajdzie kutasa, który chędożyłby ją dwa razy dziennie, będzie oglądała *Amerykańskiego idola* i żarła czekoladowe trufle, aż pęknie. No i na dodatek urząd skarbowy. Te sukinsyny pojawiły się zaraz potem ze swoimi laptopami i pytaniami. „Czy zrobił pan to, czy zrobił pan tamto, gdzie ma pan papiery na jeszcze coś innego?”. Czy to nie są czary, Johnson? A może to bardziej, no nie wiem, bardziej banalne kurewstwo? Może złapałeś po prostu słuchawkę i powiedziałeś „Przeświećcie tego faceta, ma więcej ciastek w spiżarni, niż się do tego przyznaje”.

– Grunwald, ja nigdy...

Toaleta się zatrzęsła. Curtis przechylił się do tyłu, przekonany, że tym razem...

Ale ponownie skończyło się tylko na strachu. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Zaczynało mu się kręcić w głowie i chciało mu się rzygać. Nie chodziło tylko o smród; powodem było gorąco. A może jedno i drugie. Czuł, że koszula przykleja mu się do piersi.

– Przedstawiłem dowody – powiedział Grunwald. – Milczałeś, kiedy je przedstawiałem. Cisza na sali.

*Dlaczego tu tak gorąco?* Curtis podniósł wzrok i zobaczył, że pod sufitem nie ma otworów wentylacyjnych. A raczej były, lecz zostały zasłonięte. Przez coś, co wyglądało jak kawałek blachy. Wybito w niej trzy albo cztery dziury, przez które wpadało trochę światła, ale ani odrobiny powietrza. Były większe od ćwierćdolarówek i mniejsze od srebrnych dolarów. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że dwa otwory wentylacyjne w drzwiach również prawie całkowicie zasłonięto.

– Zamrozili moje konta – oświadczył Grunwald niskim, urażonym tonem. – Najpierw przeprowadzili kontrolę, powiedzieli, że to tylko rutynowe czynności, jednak ja wiedziałem, o co im chodzi, wiedziałem, co mnie czeka.

*Oczywiście, że wiedziałeś, bo narobiłeś masę szwindli.*

– Ale jeszcze przed kontrolą zaczął się ten kaszel. To też oczywiście twoja sprawa. Poszedłem do doktora. Rak płuc, sąsiedzie, z przerzutami do wątroby, żołądka i chuj wie, gdzie jeszcze. Wszystkie miękkie narządy. Dokładnie tak, jak to robią wiedźmy. Dziwię się, że odpuściłeś sobie jajka i tyłek, chociaż jestem pewien, że tam też się pojawi. Jeśli na to pozwolę. Lecz ja nie mam takiego zamiaru. Dlatego choć wydaje mi się, że zapiąłem tutaj wszystko na ostatni guzik, rozumiesz, mucha nie siada, nie ma znaczenia, nawet jeżeli czegoś



nie przewidziałem. Już niedługo strzelę sobie w łeb. Dokładnie z tej giwery, sąsiedzie. Siedząc w wannie z gorącą wodą.

Grunwald westchnął tęsknie.

– To jedyne miejsce, w którym jestem szczęśliwy. Moja wanna.

Curtis zdał sobie z czegoś sprawę. Możliwe, że stało się to w momencie, kiedy Skurwysyn powiedział „wydaje mi się, że zapiąłem tutaj wszystko na ostatni guzik”, ale chyba wiedział o tym już wcześniej. Skurwysyn miał zamiar przewrócić przenośną toaletę. Zrobi to, jeśli Curtis będzie płakał i protestował, i zrobi to, jeśli zachowa spokój. To nie miało żadnego znaczenia. Na razie jednak zachowywał spokój bez względu na to, co mogło się stać. Zachowywał spokój, ponieważ chciał jak najdłużej pozostać w pozycji wyprostowanej – to chyba oczywiste – i ponieważ odczuwał coś w rodzaju trwożnej fascynacji. Grunwald nie mówił metaforycznie; Grunwald autentycznie wierzył, że Curtis Johnson jest kimś w rodzaju czarownika. Jego umysł musiał być w stanie takiego samego rozkładu jak reszta ciała.

– RAK PŁUC! – obwieścił Grunwald swojemu pustemu, rozgrzebanemu osiedlu i ponownie zaniósł się kaszlem. Wrony zakrakały na znak protestu. – Rzuciłem palenie trzydzieści lat temu i teraz zachorowałem na raka płuc?

– Jesteś stuknięty – stwierdził Curtis.

– Jasne, zdaniem świata. Taki był plan, tak? Taki był jebany PLAAAN. A potem, na domiar złego, pozwałeś mnie z powodu tej twojej cholерnej suki z przydupiastą mordą. Twoja cholerna suka była na mojej posiadłości! Jaki miałeś w tym cel? Po tym jak odebrałeś mi działkę, żonę, firmę, całe życie, jaki miałeś w tym cel? Chciałeś mnie upokorzyć, to jasne! Nie tylko zniszczyć, ale i znieważyc. I po co to wszystko? Czary! A wiesz, co mówi Biblia? „Nie pozwolisz żyć czarownicy”<sup>\*</sup>.

Wszystko, co mi się przytrafiło, to twoja wina i NIE POZWOLISZ ŻYĆ CZAROWNICY!

Grunwald pchnął przenośną toaletę. Musiał naprawdę mocno podeprzeć ją ramieniem, ponieważ tym razem w ogóle się nie zachybotła, lecz od razu runęła. Curtis, przez ułamek sekundy w stanie nieważkości, poleciał do tyłu. Zasułka powinna otworzyć się pod jego ciężarem, ale tak się nie stało. Skurwysyn musiał jakoś zadbać także i o to.

A potem zadziałała siła ciężenia, kabina upadła drzwiami na ziemię i Curtis wylądował na plecach. Walnął się tyłem głowy o drzwi i zobaczył przed oczyma gwiazdy. Pokrywa sedesu otworzyła się niczym usta i rzygnęła z niego brązowoczarna ciecz, gęsta niczym syrop. Rozkładający się kawałek gówna wylądował na jego kroczu. Curtis wydał okrzyk wstrętu i strząsnął go, a potem wytarł dłoń o koszulę, zostawiając na niej brązową smugę. Ohydna struga wylewała się z otwartego sedesu, ciekąc po desce i zbierając się w kałuży przy jego tenisówkach. Unosiło się na niej opakowanie po czekoladowym batoniku Reese’a. Z otworu

---

\* Biblia Tysiąclecia, Księga Wyjścia (22, 17).

toalety zwisały girlandy papieru toaletowego. Wyglądało to jak sylwestrowy bal w piekle. To absolutnie nie mogło się dziać. Było koszmarem z dzieciństwa.

– Nie dokucz ci teraz smród, sąsiedzie?! – zawołał Skurwysyn, zanosząc się śmiechem i kaszlem. – Zupełnie jak w domciu, prawda? Wyobraź sobie, że to coś w rodzaju dwudziestopierwszowiecznego pławienia czarownic. Brakuje ci tylko tego pedała senatora i sterty bielizny Victoria's Secret, żeby urządzać imprezkę w samej bieliźnie!

Curtis miał mokre plecy. Zdał sobie sprawę, że kabina musiała wylądować w wypełnionym deszczówką rowie. Woda sączyła się przez dziury w drzwiach.

– Te przenośne toalety są w większości z cienkiego, odlewanego z formy plastiku, no wiesz, mówię o tych, które widuje się na postojach dla ciężarówek i przy stacjach benzynowych. Jeśli się zawężmiesz, możesz w niej wybić pięścią dziurę w ścianie albo suficie. Ale na placach budowy obijamy ściany blachą. Nazywa się to panelowaniem. W przeciwnym razie ludzie przychodzą i wybijają w nich dziury. Wandale, po prostu dla jaj, albo pedały takie jak ty. Żeby mieć otwór, przez który można by wylizać kutasa. O tak, znam się na tych sprawach. Mam wszystkie informacje, sąsiedzie. Czasami przychodzą też dzieciaki i rzucają kamieniami w dach tylko po to, żeby usłyszeć odgłos, jaki wtedy słychać. Jest podobny do huku przy pękaniu wielkiej papierowej torby. Więc obijamy blachą i dachy. Oczywiście w kabinie jest wtedy gorąco, ale to sprzyja wydajności. Nikt nie chce czytać przez piętnaście minut gazety w sraczu, w którym jest gorąco jak w tureckim więzieniu.

Curtis odwrócił się na bok. Leżał w słonawej śmierdzącej kałuży. Wokół nadgarstka zawinął mu się kawałek papieru toaletowego. Zerwał go, zobaczył na nim brązową plamę – po jakichś starych odchodach robotnika budowlanego – i zaczął płakać. Leżał w gównie i zwojach papieru toaletowego, woda sączyła się przez otwory w drzwiach i to nie był sen. Gdzieś niedaleko po ekranie jego macintosha sunęły liczby z Wall Street, a on leżał w kałuży sików obok starego zakrzywionego czarnego bobka, mając otwarty sedes tuż nad piętami, i to wcale nie był sen. Oddałby duszę, żeby obudzić się w swoim chłodnym czystym łóżku.

– Wypuść mnie! PROSZĘ, GRUNWALD!

– Nie mogę. Wszystko jest opracowane – odparł Skurwysyn rzeczowym tonem. – Przyjechałeś tutaj, żeby zwiedzić budowę... nacieszyć się jej widokiem. Poczuleś zew natury i zobaczyłeś przenośne toalety. Wlazłeś do tej ostatniej, a ona się przewróciła. Koniec historii. Kiedy cię znajdą... kiedy cię wreszcie znajdą... gliniarze zobaczą, że wszystkie się przechylają, ponieważ podmyły je popołudniowe deszcze. Nie będą wiedzieć, że ta, w której teraz siedzisz, przechylała się trochę bardziej od innych. I że zabrałem ci komórkę. Dojdą do wniosku, że zostawiłeś ją w domu, ty głupia cioto. Sytuacja wyda im się dość oczywista. Dowody, rozumiesz? Rzecz zawsze sprowadza się do dowodów.

Grunwald się roześmiał. Tym razem Curtis nie usłyszał kaszlu, wyłącznie serdeczny śmiech zadowolonego z siebie faceta, który zabezpieczył się przed każdą ewentualnością. Leżał w brudnej wodzie, która miała teraz dwa cale głębokości, czuł, jak przemakają mu

spodnie i koszula, i życzył Skurwysynowi, żeby zmarł na zawał. Pierdolić raka; niech padnie na serce pośrodku swojego głupiego, zrujnowanego osiedla. Najlepiej na plecy, żeby ptaki mogły mu wydziobać oczy.

*Jeśli to się zdarzy, umrę tutaj.*

To prawda, ale taki właśnie los chciał zgotować mu Grunwald od samego początku, więc nie robi to chyba większej różnicy?

– Zobaczą że nikt cię nie okradł. W kieszeni nadal masz pieniądze. I kluczyk do skutera. Swoją drogą te pojazdy są bardzo niebezpieczne; prawie tak samo jak terenówki. I bez kasku! Wstydź się, sąsiedzie. Zauważyłem jednak, że włączyłeś alarm i to się chwali. Bardzo miło z twojej strony. Nie masz nawet długopisu, żeby napisać coś na ścianie. Gdybyś miał, też bym ci zabrał, ale nie miałeś. To będzie wyglądało na tragiczny wypadek.

Grunwald przerwał. Curtis wyobrażał go sobie z piekielną jasnością stojącego tam w swoich za dużych ciuchach, z rękoma tkwiącymi w kieszeniach i opadającymi na uszy niemytymi włosami. Analizującego sytuację. Przemawiającego do Curtisa, lecz również do siebie, sprawdzającego, czy na pewno o niczym nie zapomniał, chociaż planował to przecież przez wiele bezsennych nocy.

– Oczywiście nikt nie może wszystkiego przewidzieć. W talii są zawsze dzikie karty. Dwójki, walety, facet z toporem, siódemki, które biorą wszystko. Tego rodzaju rzeczy. Jakie są szanse, że ktoś tu przyjdzie i cię znajdzie? To znaczy jeszcze żywego? Powiedziałbym, że małe. Bardzo małe. A poza tym co mam do stracenia? – Grunwald ponownie się roześmiał, bardzo z siebie dumny. – Leżysz w gównie, Johnson? Mam nadzieję, że tak.

Curtis spojrzął na ekskrementy, które strącił ze spodni, lecz się nie odezwał. Słyszał ciche bzyczenie. Muchy. Tylko kilka, ale jego zdaniem nawet kilka to było za dużo. Wyleciały z otwartej toalety. Musiały być uwięzione w zbiorniku na odchody, który powinien znajdować się pod nim, a nie leżeć u jego stóp.

– Idę już, sąsiedzie, lecz weź pod uwagę jedno: spotkało cię to, co powinno spotkać, no wiesz, prawdziwą czarownicę. Jak ktoś powiedział: w sraczu nikt nie usłyszy twoich krzyków.

Grunwald zaczął się oddalać. Curtis domyślał się tego, bo jego śmiech i kaszel dobiegały z coraz większej odległości.

– Grunwald! Grunwald, wracaj!

– Teraz to ty jesteś w trudnym położeniu! – zawołał Grunwald. – Naprawdę bardzo trudnym położeniu!

A potem – powinien się tego spodziewać i właściwie się tego spodziewał, lecz mimo to nie mógł w to uwierzyć – Curtis usłyszał zapalony silnik samochodu z palmą na drzwiach.

– Wracaj, ty skurwysynu!

Za chwilę jednak odgłos silnika również zaczął się oddalać. Grunwald najpierw pokonał odcinek nieutwardzonej drogi (Curtis słyszał, jak przejeżdża z pluskiem przez kałuże), a

potem ruszył pod górę, gdzie trochę wcześniej zupełnie inny Curtis Johnson zaparkował swoją vespę. Skurwysyn wcisnął klakson – jego dźwięk był zarazem okrutny i wesoły – a później odgłos silnika samochodu zlał się z odgłosami dnia, na które składało się wyłącznie brzęczenie cykad w trawie, bzyczenie much, które wyleciały ze zbiornika na odchody i daleki warkot samolotu, w którym ludzie w pierwszej klasie mogli akurat zajadać brie na krakersach.

Mucha usiadła Curtisowi na przedramieniu. Kiedy ją odgonił, usiadła na kawałku ekskrementów i zaczęła ucztować. Smród wydobywający się z poruszonego zbiornika na odchody wydał się nagle czymś żywym, brązowoczną ręką, która wpełzała Curtisowi do gardła. Smród starego gnijącego gówna dawał się znieść; o wiele gorszy był zapach środka dezynfekcyjnego. Wiedział, że to ten niebieski.

Usiadł – starczyło mu na to miejsca – i zwymiotował między rozsuniętymi kolanami do kałuży, w której pływały wstęgi papieru toaletowego. Po swoich wcześniejszych przygodach z torsjami wyrzygał wyłącznie żółć. Przez chwilę dyszał, opierając ręce o drzwi, na których teraz siedział, i czując, jak piecze go i rwie skaleczenie po goleniu, a potem wstrząsnął nim ponowny skurcz. Tym razem jego efektem był jedynie charkot podobny do brzęczenia cykad.

Co dziwne, poczuł się lepiej. To były uczciwe, zasłużone wymioty. Nie musiał wsadzać sobie palców do gardła. Może to samo będzie dotyczyło jego łupieżu? Kto wie: może będzie mógł ofiarować światu nowy lek: płukanek z leżakowanej uryny. Po wyjściu stąd będzie musiał sprawdzić skórę głowy. Jeżeli stąd wyjdzie.

Na szczęście mógł swobodnie usiąść. Było potwornie gorąco i strasznie cuchnęło (nie chciał myśleć, co poruszyło się w zbiorniku na odchody, i jednocześnie nie potrafił od siebie odsunąć tych myśli), ale nie musiał przynajmniej schylać głowy.

– Muszę liczyć łaski losu – mruknął. – Muszę je liczyć bardzo uważnie.

Tak, i musiał stawić czoło sytuacji. To też byłoby dobre. Poziom wody, w której siedział, nie podnosił się i to była kolejna łaska losu. Dzięki temu nie utonie. Pod warunkiem oczywiście, że popołudniowy deszcz nie zmieni się w ulewę. Widywał już takie rzeczy I nic nie dawało powtarzanie sobie, że po południu już go tu nie będzie, na pewno go nie będzie, ponieważ uprawiając ten rodzaj magicznego myślenia, robił to, czego oczekiwał od niego Skurwysyn. Nie mógł siedzieć z założonymi rękoma i czekać na ratunek, dziękując Bogu, że nie musi schylać głowy.

Może zajrzy tu ktoś z wydziału architektury i planowania hrabstwa Charlotte. Albo ekipa łowców głów z urzędu skarbowego.

Miła perspektywa, lecz coś mówiło mu, że to się nie zdarzy. Skurwysyn na pewno wziął te możliwości pod uwagę. Oczywiście jakiś urzędnik lub nawet kilku urzędników mogło złożyć tu niezapowiedzianą wizytę, ale liczenie na to było podobną głupotą jak ludzenie się, że Skurwysynowi zmięknie serce. A pani Wilson na pewno uzna, że pojechał na popołudniowy seans do kina w Sarasocie, jak to często czynił.

Postukał w ściany, najpierw po lewej, potem po prawej stronie. I tu, i tam wyczuł twardy metal pod cienkim, giętkim plastikiem. Blacha. Przyklęknął na jedno kolano i tym razem uderzył się w głowę, ale prawie nie zwrócił na to uwagi. To, co zobaczył, nie było krzepiące: płaskie końcówki śrub, które łączyły ścianki. Ich główki były na zewnątrz. To nie był wychodek; to była trumna.

Na myśl o tym ulotniła się gdzieś jego jasność umysłu i jej miejsce zajęła panika. Curtis zaczął walić w ściany toalety, wrzeszcząc, żeby go wypuszczono. Miotał się na wszystkie strony niczym urządzające awanturę dziecko, próbując rozkołysać kabinę tak, żeby się obróciła i drzwi znalazły się z boku, ale pieprzony sracz nawet nie drgnął. Pieprzony sracz był ciężki. Zawdzięczał swój ciężar blasze, którą go obito.

*Ciężki jak trumna!* – wrzeszczał jego umysł. W ataku paniki nie myślał o niczym innym. *Ciężki jak trumna! Jak trumna! Trumna!*

Nie wiedział, jak długo to trwało, lecz w pewnym momencie próbował wstać, jakby był Supermanem i mógł rozbić zwróconą teraz ku niebu ścianę. Uderzył się znowu w głowę, tym razem o wiele mocniej, i upadł na brzuch. Jego dłoń trafiła w jakąś rozmazującą się breję i wytarł ją o siedzenie dzinsów. Zrobił to, nie patrząc. Miał mocno zaciśnięte oczy. Z ich kącików płynęły łzy. W ciemności pod powiekami zbliżały się i eksplodowały gwiazdy. Nie krwawił – przypuszczał, że to dobrze, że to kolejna cholerna łaska losu, którą powinien policzyć – ale o mało nie stracił przytomności.

– Uspokój się – powiedział sobie i znowu uklęknął. Ze zwieszoną głową, opadającymi na czoło włosami i zamkniętymi oczyma wyglądał jak ktoś, kto się modli, i przypuszczał, że właśnie to robi. Mucha musnęła jego kark.

– Ataki szału nic ci nie pomogą. Skurwysyn byłby zachwycony, gdyby słyszał, jak się drzesz i ciskasz, więc uspokój się, nie dawaj mu satysfakcji, po prostu się, kurwa, uspokój i zastanów nad sytuacją.

Nad czym tu było się zastanawiać? Wpadł w pułapkę.

Curtis usiadł na drzwiach i schował twarz w dłonie.

\* \* \*

Czas mijał i świat funkcjonował dalej.

Świat zajmował się swoimi sprawami.

Drogą numer 17 przejechało kilka pojazdów – w większości konie robocze: pick-upy z farm zmierzające na targ w Sarasocie albo do sklepów ze zdrową żywnością w Nokomis, jeden czy dwa traktory, kombi listonosza z żółtym światłem na dachu. Żaden z nich nie skręcił do Durkin Grove Village.

Pani Wilson przyjechała do domu Curtisa, otworzyła drzwi własnym kluczem, przeczytała list, który pan Johnson zostawił jej na kuchennym stole, i zaczęła odkurzać.

Następnie wyprasowała mu ubrania, oglądając popołudniowy serial. Przygotowała i wsadziła do lodówki zapiekankę z makaronem, napisała, jak ją upiec – temperatura 200 stopni, 45 minut – i zostawiła instrukcje na stole, na którym leżał wcześniej list Curtisa. Kiedy nad Zatoką Meksykańską zaczęło grzmieć, wyszła wcześniej. Często to robiła, kiedy padało. Nikt nie potrafił tutaj jeździć podczas deszczu; każdy szkwał traktowali tak, jak w Vermont traktuje się huragan.

W Miami przydzielony do sprawy Grunwalda inspektor urzędu skarbowego zjadł bagietkę z serem, szynką i musztardą. Zamiast garnituru miał na sobie hawajską koszulę z namalowanymi papugami. Siedział pod parasolem w ogródku restauracji. W Miami nie padało. Był na urlopie. Wiedział, że sprawa Grunwalda nie ucieknie; zajmie się nią, kiedy wróci. Żarna fiskusa obracają się powoli, ale nader dokładnie.

Grunwald relaksował się, drzemiąc w wannie na patiu do chwili, gdy zbudziły go odgłosy zbliżającej się burzy. Wówczas wylazł z wanny i wszedł do domu. Kiedy zamykał przesuwane szklane drzwi pomiędzy patiem i salonem, zaczęło padać. Grunwald się uśmiechnął.

– To cię ochłodzi, sąsiedzie – mruknął.

Wrony ponownie zajęły stanowiska na rusztowaniu otaczającym z trzech stron niewykończony bank, ale kiedy piorun zagrzmiał prawie dokładnie nad nimi i zaczął padać deszcz, wzbily się w powietrze i poszukały schronienia w lasach, krakaniem dając wyraz swemu niezadowoleniu.

Siedzącemu w przenośnej toalecie Curtisowi wydawało się, że tkwi tu zamknięty co najmniej od trzech lat. Słuchał deszczu padającego na dach jego więzienia, który był tylną ścianką, zanim Skurwysyn przewrócił kabinę. Deszcz najpierw siąpił, potem bębnił, w końcu zaczął walić. W szczytowym momencie burzy Curtis miał wrażenie, że jest w budce telefonicznej podłączonej do głośników stereo. Nad jego głową eksplodował piorun. Wyobrażał sobie przez chwilę, że trafia go błyskawica i piecze się niczym kapłon w mikrofalówce. Zorientował się, że ta wizja wcale go nie niepokoi. To stałoby się szybko. To, co działo się teraz, było wolne.

Poziom wody znowu zaczął się podnosić, ale niezbyt prędko. Teraz, gdy Curtis przekonał się, że nie utonie jak szczur, który wpadł do miski klozetowej, właściwie się z tego ucieszył. To była przynajmniej woda, a jemu bardzo chciało się pić. Nachylił się do jednego z otworów w stalowym poszyciu i zaczął ją chleptać niczym koń z koryta. Były w niej ziarenka piasku, ale pił, aż napełnił brzuch, stale przypominając sobie, że to woda, naprawdę woda.

– Jest w niej być może jakiś procent sików, ale z pewnością niski – powiedział i zaczął się śmiać. Śmiech przeszedł po chwili w łkanie, a potem ponownie w śmiech.

Deszcz skończył się koło szóstej po południu, jak zwykle o tej porze roku. Niebo rozjaśniło się, żeby zaprezentować florydzki zachód słońca pierwszej klasy. Nieliczni letni mieszkańcy Turtle Island zgromadzili się, jak to zwykle czynili, na plaży, żeby go podziwiać.

Nikt nie skomentował nieobecności Curtisa Johnsona. Czasami tam przychodził, czasami nie. Pojawił się za to Tim Grunwald i kilka oglądających zachód osób zauważyło, że był w wyjątkowo dobrym humorze. Pani Peebles powiedziała mężowi, kiedy trzymając się za rękę, szli plażą, że jej zdaniem pan Grunwald doszedł w końcu do siebie po stracie żony. Pan Peebles odparł, że jest romantyczką. „Tak, kochanie – rzekła, kładąc na chwilę głowę na jego ramieniu – dlatego za ciebie wyszłam”.

Widząc, że światło prześwitujące przez dziury w poszyciu – te nieliczne, które nie były zanurzone w rowie – zmienia kolor z brzoskwiniowego na szary, Curtis zdał sobie sprawę, że naprawdę spędzi noc w tej cuchnącej trumnie z dwoma calami wody na podłodze i na pół otwartą toaletą u swoich stóp. Prawdopodobnie miał tu umrzeć, ale to była kwestia czysto akademicka. Natomiast spędzenie tu nocy – godzin, które będą się kładły na kolejnych godzinach, całej sterty godzin przypominającej stertę wielkich czarnych ksiąg – było realne i nieuniknione.

Znowu ogarnęła go panika. Ponownie zaczął krzyczeć i walić w ściany, tym razem obracając się na kolanach, waląc najpierw prawym barkiem w jedną ścianę, potem lewym w drugą. Niczym ptak uwięziony w kościelnej dzwonnicy, pomyślał, jednak nie potrafił przestać. Wierzgając, rozgniół ekskrementy o deskę klozetową. Rozdarł sobie spodnie. Najpierw posiniaczył, a potem pokaleczył knykcie. W końcu znieruchomiał, płacząc i ssąc palce.

Musisz przestać. Musisz oszczędzać siły.

I nagle pomyślał: po co?

O ósmej zaczęło robić się chłodniej. Około dziesiątej woda, w której leżał, również się wychłodziła – właściwie zrobiła się zimna – i zaczął się trząść.

Nic mi nie będzie, dopóki nie zacznę szczekać zębami, pomyślał. Nie zniósłbym tego dźwięku.

O jedenastej Grunwald położył się do łóżka. Leżał w piżamie pod obracającym się wentylatorem, spoglądając w mrok i uśmiechając się. Od wielu miesięcy nie czuł się tak dobrze. Cieszyło go to, ale wcale nie zaskakiwało. „Dobranoc, sąsiedzie”, powiedział i zamknął oczy. Po raz pierwszy od pół roku przespał noc, ani razu się nie budząc.

O północy niedaleko prowizorycznej celi Curtisa jakieś zwierzę – prawdopodobnie pies, ale jemu zdawało się, że to hiena – zawyło długo i żałośnie. Zaszczękały mu zęby. Ten dźwięk był dokładnie tak okropny, jak się spodziewał.

Po długim, trudnym do wyobrażenia czasie zasnął.

\* \* \*

Kiedy się obudził, cały dygotał. Podskakiwały mu nawet stopy, stepując niczym u ćpuna na odwyku. Jestem chory, muszę iść do pieprzonego doktora, boli mnie całe ciało, pomyślał, a

potem otworzył oczy, zobaczył, gdzie jest, przypomniał sobie, gdzie jest, i wydał z siebie głośny rozpaczliwy okrzyk.

– Ochhhhh... nie! NIE!

Odpowiedzią było jednak: och tak. W toalecie nie panowała przynajmniej zupełna ciemność. Przez okrągłe dziury wpadało światło; różanopalca jutrzeńka. Wkrótce zrobi się jaśniej i cieplej. Zanim się spostrzeże, znowu będzie się gotował na parze.

*Grunwald wróci. Miał całą noc, żeby to przemyśleć; zrozumie, że to czyste szaleństwo, i wróci. Wypuści mnie.*

Curtis nie wierzył w to. Chciał w to wierzyć, ale wiedział, że to się nie zdarzy.

Potwornie chciało mu się sikać, ale niech go diabli wezmą jeśli odleje się do kąta – mimo że po jego wczorajszych podrygach wszędzie leżało gówno i zużyty papier toaletowy. Czuł, że robiąc to – coś tak odrażającego – przyzna jakby, że porzucił wszelką nadzieję.

Bo porzucił wszelką nadzieję.

Nieprawda. Nie do końca. Zmęczony i obolały, przerażony i przygnębiony, żywił jednak nadal niewielką nadzieję. I były przecież pewne plusy tej sytuacji: nie miał już ochoty wsadzać sobie palców do gardła i w ciągu całej nocy – choć wydawała się trwać całą wieczność – nawet przez minutę nie wyczesywał łupieżu z głowy.

Nie musiał zresztą odlewać się do kąta. Podniesie po prostu jedną ręką deskę klozetową, a drugą wyceluje i puści strugę. Oczywiście ze względu na nową konfigurację przenośnej toalety oznaczało to sikanie horyzontalne, a nie skierowane łukiem w dół, lecz parcie w pęcherzu sugerowało, że nie będzie to stanowiło żadnego problemu. Jedna albo dwie strugi mogły naturalnie wylądować na podłodze, ale...

– Tak to już jest na wojnie – powiedział i zaskakując sam siebie, wybuchnął ochryplym śmiechem. – A jeśli idzie o deskę klozetową... nie muszę jej, kurwa, trzymać. Mam lepszy pomysł.

Nie był Herkulesem, ale zarówno uchylona do połowy deska, jak i mocujące ją do ławki zawiasy były z plastiku – deska i kłapa z czarnego, zawiasy z białego. Cała ta cholerna kabina była naprawdę tanim prefabrykowanym wyrobem, nie musiał być wielkim specjalistą budowlanym, żeby to spostrzec, i, w przeciwieństwie do ścian i drzwi, nie było blachy na siedzeniu i jego mocowaniach. Wydawało mu się, że zdoła je bez trudu oderwać, a skoro mógł to zrobić, z pewnością to zrobi – choćby po to, by rozładować w jakiejś części lęk i wściekłość.

Curtis złapał kłapę i unióś ją, mając zamiar szarpnąć w bok znajdujące się pod nią siedzisko. Zamiast tego znieruchomiał, wbijając wzrok w okrągłą dziurę oraz znajdujący się za nią zbiornik, i starając się zrozumieć, co widzi.

A widział coś, co wyglądało jak światło dnia.

Przyglądał mu się ze zdziwieniem, czując, jak powoli budzi się w nim nadzieja. Z początku myślał, że to fluorescencyjna farba lub zwykłe złudzenie optyczne. To drugie



przekonanie wzmocniło się, gdy jasna kreska zaczęła gasnąć. Stawała się coraz mniejsza i niniejsza...

I nagle, kiedy już miała zniknąć, pojawiła się ponownie: linia światła tak jasnego, że widział ją nawet przez zamknięte powieki.

To światło słoneczne. Dno kabiny – to, co było dnem, zanim Grunwald ją przewrócił – wychodziło na wschód, dokładnie tam, gdzie weszło właśnie słońce.

A dlaczego przed chwilą światło zgasło?

– Bo słońce zaszło za chmurę – odpowiedział sam sobie i odgarnął spocone włosy z czoła. – A teraz z powrotem zza niej wyszło.

Sprawdził, czy ta hipoteza nie jest skażona miazmatami myślenia życzeniowego, i żadnych nie odnalazł. Dowód miał przed oczyma: słoneczny blask prześwitujący przez cienką szparę w dnie zbiornika na odchody. A może to było pęknięcie. Gdyby udało mu się tam dostać i poszerzyć to pęknięcie, ten jarzący się otwór na świat...

*Nie licz na to.*

Żeby się tam dostać, musiałyby...

To niemożliwe, pomyślał. Jeśli myślisz o wpełznięciu przez otwór do zbiornika na odchody – niczym jakaś Alicja do unurzanej w gównie krainy czarów – przemysł to ponownie. Może dałbyś radę, gdybyś był chudym dzieciakiem, jakim kiedyś byłeś, ale tego dzieciaka nie ma już od trzydziestu pięciu lat.

To prawda. Był jednak nadal szczupły – chyba głównie dzięki przejazdówkom rowerowym – i wydawało mu się, że zdoła wpełznąć przez otwór do środka. Niewykluczone, że nie będzie to wcale takie trudne.

A czy zdoła się wydostać z powrotem?

Cóż... jeżeli uda mu się jakoś powiększyć tę szparę, być może nie okaże się to wcale konieczne.

– Zakładając, że w ogóle tam wejść – rzekł. Pusty żołądek podszedł mu nagle do gardła i po raz pierwszy, odkąd przybył do malowniczej Durkin Grove Village, zachciało mu się rzygać. Rozumowałby jaśniej, gdyby wsadził sobie do gardła dwa palce i...

– Nie – powiedział krótko i szarpnął lewą ręką klapę i siedzisko. Zawiasy zatrzeszczały, ale nie puściły. Zrobił to samo oburącz. Włosy ponownie opadły mu na czoło i szarpnął niecierpliwie głową, by je stamtąd strząsnąć. Szarpnął ponownie. Deska klozetowa trzymała się jeszcze przez chwilę, a potem się oderwała. Jeden z dwóch plastikowych zawiasów wpadł do zbiornika. Drugi, pęknięty w połowie, potoczył się po drzwiach, na których Curtis kłęczał.

Cisnął deskę klozetową na bok i zajrzał do zbiornika, opierając dłonie na ławce. Pierwszy powiew zatrutej atmosfery kazał mu się cofnąć z grymasem na ustach. Zdawało mu się, że przywykł już do tego smrodu (albo stępały nań jego zmysły), ale wcale tak nie było, przynajmniej nie w momencie, gdy znalazł się tak blisko jego źródła. Ponownie zaczął się zastanawiać, kiedy po raz ostatni opróżniono to cholerstwo.

*Spójrz na to od jaśniejszej strony: minęło również sporo czasu, odkąd ostatnio ktoś z niego korzystał.*

Może i tak, jednak Curtis nie był pewien, czy to w jakimś stopniu ułatwia sytuację. Tam na dole w resztkach płynu dezynfekcyjnego nadal pływało sporo tych rzeczy – nadal pływało sporo gówna. Nawet w przyćmionym świetle nie można było mieć co do tego żadnych wątpliwości. No i była jeszcze kwestia wydostania się z powrotem. Prawdopodobnie powinno mu się to udać – skoro da radę przejść w jedną stronę, prawie na pewno zdoła przejść w drugą – lecz łatwo było sobie wyobrazić, jak będzie potem wyglądał: zrodzone z łajna, cuchnące monstrum, nie człowiek z błota, ale człowiek z gówna.

Pytanie brzmiało, czy miał jakiś inny wybór.

Owszem, miał. Mógł siedzieć tutaj dalej, przekonując sam siebie, że ratunek w końcu jednak nadejdzie. Że nadejdzie kawaleria jak w ostatniej scenie starego westernu. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się jednak, że wróci tutaj Skurwysyn, żeby upewnić się, czy nadal... jak on to powiedział? Czy nadal jest mu wygodnie w jego małym domciu. Coś w tym rodzaju.

To zdecydowało. Spojrzał na dziurę w ławce, ciemny cuchnący otwór z kreską światła, która zbudziła w nim nadzieję. Nadzieję tak samo cienką, jak to światło. Zaczął kalkulować. Najpierw prawą rękę, potem głowę. Lewą rękę musiał przycisnąć do ciała, aż wypełni do pasa. Potem, uwolniwszy lewą rękę...

A co będzie, jeśli nie zdoła jej uwolnić? Wyobraził sobie, jak tkwi z prawą ręką w zbiorniku, lewą przyciśniętą do ciała i tułowiem, który blokuje otwór, a tym samym dopływ powietrza, jak umiera pieską śmiercią dławiąc się, miotając nad bulgoczącym tuż pod nim szlamem i mając przed oczyma zwodniczą kreskę światła, która go skusiła.

Wyobraził sobie, jak ktoś odnajduje jego ciało wciśnięte w otwór toalety, ze sterczącym w górę tyłkiem i nogami, jak ogląda na ścianach brązowe ślady tenisówek, które pozostawił, wierzgając w agonii. Wyobraził sobie, jak ta osoba – być może inspektor skarbowy, *bête noire* Skurwysyna – mówi: „Ja pierdołę, musiał tam upuścić coś naprawdę wartościowego”.

Całkiem śmieszne, ale Curtisowi nie było wcale do śmiechu.

Jak długo tam klęczał, zaglądając do zbiornika? Nie wiedział – jego zegarek leżał w gabinecie obok komputerowej myszki – lecz ból w udach wskazywał, że trochę to trwało. I światło stało się znacznie jaśniejsze. Słońce wzeszło już nad horyzont i wkrótce jego więzienie zmieni się ponownie w łaźnię parową.

– Muszę tam wejść – powiedział i otarł pot z policzków wewnętrzną stroną dłoni. – To jedyne wyjście.

Mimo to nadal się nie ruszał, ponieważ przyszła mu do głowy kolejna myśl.

A jeśli jest tam wąż?

A jeśli Skurwysyn, spodziewając się, że jego wiedźmowaty wróg wpadnie na taki pomysł, wrzucił tam węża? Na przykład mokasy, który w tym momencie mocno śpi pod

warstwą chłodnych ludzkich oddechów? Ugryziony przez mokasyna w rękę (która będzie mu puchnąć w miarę wzrostu temperatury) umrze powolną bolesną śmiercią. Ugryziony przez węża koralowego, umrze szybko, ale cierpiąc jeszcze większy ból; jego serce będzie przyspieszać, stawać, przyspieszać, aż w końcu ostatecznie się zatrzyma.

*Nie ma tam żadnych węży. Może jakieś robale, ale nie węże. Widziałeś go i słyszałeś. Nie zaplanował tak dokładnie wszystkiego. Jest zbyt chory, zbyt obłąkany.*

*Może tak, a może nie. Bardzo trudno rozgryźć wariatów. Są nieobliczalni.*

– Dwójki, walety, facet z toporem, siódemki biorą wszystko – mruknął Curtis. Tao Skurwysyna. W jednej kwestii nie miał wątpliwości: jeżeli nie spróbuje tam wejść, prawie z całą pewnością zginie tutaj, po drugiej stronie. A śmierć od ukąszenia węża może być szybsza i bardziej miłosierna.

– Muszę – powtórzył, jeszcze raz ocierając policzki. – Muszę.

Pod warunkiem że nie utknie w połowie w środku i w połowie na zewnątrz. To byłaby okropna śmierć.

– Nie utkniesz – powiedział. – Zobacz, jaki to wielki otwór. Ten sracz zbudowali dla obżerających się pączkami, przemierzających tysiące mil szoferów ciężarówek.

Mówiąc to, nie mógł powstrzymać chichotu, jednak więcej w nim było hysterii niż wesołości. Otwór toalety nie wydawał mu się duży; wydawał się mały. Prawie mikroskopijny. Wiedział, że to kwestia percepcji, na którą wpływ miało odczuwane przez niego zdenerwowanie – nie tylko zdenerwowanie, ale strach, śmiertelny lęk – lecz to, że o tym wiedział, niewiele mu pomagało.

– Tak czy inaczej muszę to zrobić – mruknął. – Naprawdę nie mam innego wyjścia.

I ostatecznie pewnie to nic nie da... jednak wątpił, by ktoś zawracał sobie głowę i objął blachą zbiornik od spodu. I to zdecydowało.

– Niech Bóg ma mnie w swojej opiece – powiedział. Była to jego pierwsza modlitwa od prawie czterdziestu lat. – Boże, proszę, nie daj mi utknąć.

Wsunął w dziurę prawą rękę, a potem głowę (nabierając najpierw głęboko w płuca lepszego powietrza), następnie przycisnął lewą rękę do boku i wślizgnął się do środka. Lewe ramię na chwilę utknęło w otworze, ale zanim zdążył wpaść w panikę i wycofać się – w jakiejś części rozumiał, że to krytyczny moment, punkt, z którego nie ma powrotu – wprawił w ruch cały korpus, jakby wykonywał taniec Watusi, i ramię przecisnęło się dalej. W tym momencie tkwił aż po pas w śmierdzącym zbiorniku. Teraz, kiedy jego biodra – szczupłe, lecz jednak istniejące – zatkały cały otwór, zrobiło się tam ciemno jak w piekle. Kreska światła wydawała się kołysać urągliwie tuż przed jego oczyma. Niczym miraż.

O Boże, nie pozwól, żeby to był miraż.

Zbiornik miał głębokość jakichś czterech stóp, może odrobinę więcej. Większy niż bak samochodu, lecz nie tak duży – niestety! – jak skrzynia pick-upa. Curtis nie mógł tego stwierdzić na pewno, jednak zdawało mu się, że jego włosy dotykają powierzchni

zdezynfekowanej wody, a czubek głowy dzieli tylko kilka cali od wypełniającego dno gnoju. Lewą rękę miał nadal przygwożdżoną do boku. Teraz na wysokości nadgarstka. Nie mógł jej wyswobodzić. Wiercił się na wszystkie strony, ale ręka nie chciała przesunąć się dalej. Spełniały się jego najgorsze obawy: utknął. Jednak utknął. Utknął głową w dół w cuchnącej ciemności.

Ogarnęła go panika. Wyciągnął przed siebie wolną rękę, w ogóle o tym nie myśląc, po prostu to robiąc. Przez chwilę widział swoje palce obrysowane światłem wpadającym przez dno zbiornika, które teraz zwrócone było ku wschodowi słońca, a nie ku ziemi. Światło było tam, tuż przed nim. Próbował je złapać. Pierwsze trzy palce młócej powietrze dłoni były zbyt duże, by zmieścić się w wąskiej szczelinie, ale udało mu się zaczepić o nią najmniejszym. Podciągnął się, czując, jak ostra krawędź – nie wiedział, metalowa czy plastikowa – najpierw wbija mu się w skórę, a potem ją rozrywa. Nie przejmował się tym. Podciągnął się mocniej.

Jego biodra przycisnęły się przez otwór niczym korek wyskakujący z butelki. Razem z nimi przycisnęła się lewa ręka, lecz stało się to zbyt szybko, by zdążył wyciągnąć ją w dół i uchronić się przed upadkiem. Runął głową w gówno.

Wynurzył się z niego, krztuszając i wymachując rękami. Miał wrażenie, że nos wypełnia mu płynny smród. Kaszłąc i spluwając, uświadomił sobie, że dopiero teraz znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Toaleta wydawała mu się ciasna? Śmieszne. Toaleta to były otwarte przestrzenie. Toaleta była Dzikim Zachodem, australijskim buszem, mgławicą Końskiego Łba. A on porzucił ją, by wczłgać się do ciemnego łona wypełnionego rozkładającym się gównem.

Wytarł twarz i rozpostarł ręce, opierając je o obie ściany. Spod palców ściekała mu ciemna ciecz. Z piekących oczu płynęły łzy. Otarł je najpierw jedną, a potem drugą ręką. Miał zapchane nozdrza. Wsadził w nie małe palce – czuł, jak z tego u prawej ręki płynie krew – i wydmuchał nos najmocniej, jak mógł. Teraz mógł przynajmniej odetchnąć, jednak kiedy to zrobił, smród, który wypełniał zbiornik, skoczył mu do gardła i wbił szpony w żołądek. Z jego gardła wydobył się głęboki charkot.

Weź się w garść. Po prostu weź się w garść, albo wszystko na nic.

Oparł się plecami o oblepioną kałem ścianę zbiornika i zaczął łapać powietrze ustami, lecz to też niewiele pomogło. Tuż nad nim była owalna perła światła. Otwór toalety, przez który ogarnięty szaleństwem, się przeczłgał. Znowu targnęły nim torsje. Przypominały odgłosy, jakie wydaje w upalny dzień zły pies, próbujący szczekać i dławiony przez zbyt ciasną obrożę.

Co będzie, jeśli nie zdołam się opanować? Jeśli nie zdołam powstrzymać torsji? Dostanę ataku.

Był zbyt przerażony i oszołomiony, żeby myśleć, więc ciało pomyślało za niego. Obrócił się na kolanach, co nie okazało się takie łatwe – boczna ściana zbiornika, stanowiąca

wcześniej jego dno, była śliska – lecz jednak możliwe. Przystawił usta do szpary w dnie i zaczął przez nią oddychać. Robiąc to, przypomniał sobie historię, którą usłyszał lub przeczytał w podstawówce, o Indianach, którzy chowali się przed swoimi wrogami, kładąc na dnie płytkiego stawu. Leżeli tam i oddychali przez słomki. Można to zrobić. Można to zrobić, jeśli zachowa się spokój.

Zamknął oczy. Powietrze, którym oddychał przez szparę, było niebiańsko słodkie. Jego walące wściekle serce zaczęło się powoli uspokajać.

*Możesz wrócić. Jeśli udało ci się przecisnąć w jedną stronę, uda ci się i w drugą. A przejście z powrotem będzie łatwiejsze, ponieważ jesteś teraz...*

– Jestem teraz śliski – powiedział i zaśmiał się szpatmatycznie... ale jego odbijający się głuchym echem w ciasnej przestrzeni śmiech ponownie napełnił go przerażeniem.

Kiedy poczuł, że w jakimś stopniu panuje nad sobą, otworzył oczy, które zdążyły przywyknąć do mroku. Zobaczył swoje oblepione ekstremamentami ramiona i zwisającą z prawej ręki wstęgę papieru toaletowego – ściągnął ją. Przypuszczał, że przyzwyczał się do takich rzeczy. Przypuszczał, że ludzie potrafią się przyzwyczać do wszystkiego, jeśli muszą. Nie była to szczególnie krzepiąca myśl.

Przyjrzał się szczelinie. Przyglądał się jej przez dłuższy czas, próbując zrozumieć to, co widzi. Przypominała rozdarcie wzdłuż szwu źle uszytego ubrania. Ponieważ było to coś w rodzaju szwu. Zbiornik był plastikowy, ale nie składał się z jednej części; składał się z dwóch. Łączył je rząd śrub, które połyskiwały w ciemności. Połyskiwały, ponieważ były białe. Curtis próbował sobie przypomnieć, czy widział już kiedyś białe śruby. Nie przypominał sobie. W najniższym punkcie zbiornika kilka z nich odpadło, tworząc tę szczelinę. Odchody i zanieczyszczona woda musiały już od pewnego czasu przedostawać się przez nią do gruntu.

Gdyby wiedziała o tym inspekcja sanitarna, oni też dobraliby się do skóry Skurwysynowi, pomyślał Curtis. Dotknął jednej ze śrub nadal łączących dwie części zbiornika, pierwszej na lewo od szpary. Nie miał całkowitej pewności, ale wydawało mu się, że jest z twardego plastiku, nie z metalu. Prawdopodobnie z tego samego rodzaju plastiku co zawiasy deski klozetowej.

No tak. Wyrób składający się z dwóch części. Zbiorniki składane na jakiejś linii montażowej w Defiance w Missouri, w Magic City w Idaho albo – kto wie? – w What Cheer w Iowa. Zszyte twardymi plastikowymi śrubami łączenie, które biegło przez dno i boczne ściany niczym szeroki uśmiech. Śruby dokręcone jakimś specjalnym fajkowym śrubokrętem, zapewne pneumatycznym, podobnym do gadżetu, którym odkręcają śruby kół w warsztatach wulkanizacyjnych. A dlaczego główki umieszczone były w środku? To akurat było proste. Żeby jakiś żartowniś nie przyszedł ze swoim śrubokrętem i nie otworzył zbiornika od zewnątrz.

Śruby rozmieszczone były mniej więcej co dwa cale, a szpara miała około sześciu cali długości, co oznaczało, że pękły trzy śruby. Wada materiału czy wadliwy projekt? Gównu go to obchodziło.

– Trafnie to ująłeś – mruknął i znowu się roześmiał.

Śruby bezpośrednio po lewej i prawej stronie szpary lekko wystawały, ale nie mógł ich odkręcić ani oderwać tak, jak to zrobił z deską klozetową. Nie miał ich jak chwycić. Ta po prawej stronie była nieco obłuzowana i przypuszczał, że gdyby nad nią popracował, udałoby mu się ją poruszyć i odkręcić. Zajęłoby to długie godziny i pokrwawiłby sobie przy tym pewnie palce, lecz było to chyba możliwe. Co by osiągnął? Kolejne dwa cale szpary do oddychania. Nic więcej.

Śruby położone dalej były solidne i mocno dokręcone.

Curtis nie mógł już dłużej klęczeć; bolały go mięśnie ud. Usiadł, opierając się o zakrzywiony bok zbiornika, z przedramionami na kolanach i zwisającymi brudnymi dłońmi. Spojrzał na coraz jaśniejszy owal otworu toalety. Przypuszczał, że to był teraz świat jego gry, świat, który bardzo się skurczył. Pachniało tam jednak lepiej i przypuszczał, że kiedy odzyska siłę w nogach, przecisnie się z powrotem przez dziurę. Nie zamierzał tu zostać i siedzieć w gównie, jeśli nic przez to nie zyska. A tak to właśnie wyglądało.

Ośmielony bezruchem Curtisa olbrzymi karaluch wspiął się po brudnej nogawce jego spodni. Kiedy machnął ręką, owad zniknął.

– Masz rację – mruknął. – Uciekaj. Dlaczego nie przecisniesz się przez szparę? Chybabyś się zmieścił. – Odgarnął włosy z oczu, wiedząc, że pobrudzi sobie czoło, ale nie dbając o to. – Nie, tobie się tutaj podoba. Myślisz pewnie, że umarłeś i poszedłeś do karaluzego nieba.

Posiedzi tu trochę, pozwoli odpocząć obolałym nogom, a potem opuści Krainę Czarów i wczłoga się z powrotem do świata swojej gry, który miał wielkość budki telefonicznej. Jeszcze tylko trochę; nie będzie tu siedział ani chwili dłużej niż to konieczne.

Curtis zamknął oczy i próbował się skoncentrować.

Zobaczył liczby przebiegające po ekranie komputera. W Nowym Jorku nie otworzyli jeszcze giełdy, więc te liczby musiały pochodzić z zagranicy. Prawdopodobnie z Japonii. Większość była zielona. To dobrze.

– Metale i przemysł – powiedział. – Takeda Pharmaceuticals... to sygnał, żeby kupować. Każdy to widzi...

Zwinięty przy ścianie niemal w pozycji płodowej, z wymizerowaną twarzą pomalowaną na brązowe wojenne barwy, tyłkiem zanurzonym niemal po biodra w łajnie i zwisającymi z podkurczonych kolan, oblepionymi brudem dłońmi, Curtis zasnął. I przyśnił mu się sen.

Betsy żyła i Curtis był z nią w salonie. Leżała w swoim ulubionym miejscu między stolikiem do kawy a telewizorem, pochrapując i mając pod ręką – a raczej pod łapą – swoją najnowszą, mocno nadgryzioną piłeczkę tenisową.

– Bets! – powiedział. – Obudź się i przynieś panu dynks dla idiotów!

Suka dźwignęła się z trudem na nogi – to oczywiste, że z trudem, była przecież stara – i kiedy to robiła, zabręczały identyfikatory przy jej obroży.

Zabręczały identyfikatory.

Identyfikatory.

\* \* \*

Curtis się obudził. Przechylony na lewą stronę, opierał się plecami o śliskie dno zbiornika na odchody i wyciągał rękę, żeby wziąć telewizyjnego pilota albo pogłaskać nieżyjącą sukę.

Położył z powrotem rękę na kolanie. Nie zdziwiło go, że płacze. To zaczęło się pewnie, zanim jeszcze przyśnił mu się sen. Betsy nie żyła, a on siedział w gównie. Jeśli to nie był powód do płaczu, to nie wiedział, co mogłoby nim być.

Spojrzał ponownie na owal światła przed sobą i zobaczył, że jest o wiele jaśniejszy. Nie mógł uwierzyć, że zdołał zasnąć na dłużej niż chwilę, ale chyba tak było. Spał co najmniej godzinę. Bóg wie, jak długo już wdychał zatrute powietrze, lecz...

– Nie przejmuj się, zatrute powietrze na pewno ci nie zaszkodzi – mruknął. – Jesteś w końcu wiedźmą.

I bez względu na to, jak zatrute było powietrze, sen był bardzo słodki. Bardzo wyrazisty. Brzęczenie tych identyfikatorów...

– Kurwa – szepnął i wsunął rękę do kieszeni. Przeraziła go myśl, że zgubił kluczyk do vespy w trakcie przeciskania się przez otwór i będzie musiał teraz przesiewać całe gówno w niewyraźnym świetle padającym przez szparę i otwór toalety. Jednak klucz nadal tkwił w jego kieszeni. Podobnie jak pieniądze, jednak pieniądze nie miały tu dla niego na dole żadnej wartości, podobnie zresztą jak spinacz. Był złoty i drogocenny, ale zbyt gruby, by się do czegoś przydać. Tak samo jak klucz do vespy. Do kółka doczepione było jednak coś jeszcze. Coś, co sprawiało mu jednocześnie ból i satysfakcję, za każdym razem kiedy na to spojrzał albo usłyszał, jak brzęczy. Identyfikator Betsy.

Nosiła dwa, lecz ten właśnie zsunął jej z obroży, nim po raz ostatni uścisnął ją na pożegnanie i oddał ciało weterynarzowi. Tamten drugi, wymagany przez władze, potwierdzał, że miała wszystkie szczepienia. Ten był bardziej osobisty i miał prostokątny kształt niczym identyfikator żołnierza. Wyryto na nim napis:

BETSY  
JEŚLI SIĘ ZGUBI  
PROSZĘ DZWONIĆ 941-555-1954  
CURTIS JOHNSON  
GULF BOULEVARD 19  
TURTLE ISLAND, FLORYDA 34274

Identyfikator to nie śrubokręt, ale był cienki i zrobiony z nierdzewnej stali i Curtis wierzył, że może spełnić swoje zadanie. Zmówił kolejną modlitwę – nie wiedział, czy to prawda, że w okopach nie ma ateistów, lecz najwyraźniej nie było ich w szambie – po czym wsunął identyfikator Betsy w nacięcie śruby po prawej stronie szpary. Tej, która była trochę obluzowana.

Spodziewał się oporu, jednak śruba prawie od razu się obróciła. Zaskoczyło go to tak bardzo, że upuścił całe kółko z kluczykiem i musiał go po omacku szukać. Kiedy je znalazł, wsunął ponownie prostokąt w nacięcie i wykonał dwa obroty. Później mógł już odkręcić ją ręką. Zrobił to z szerokim uśmiechem niedowierzania na ustach.

Zanim zabrał się do śruby po lewej stronie szpary – która była teraz o dwa cale dłuższa – wytarł do czysta metalowy identyfikator połą koszuli (na tyle, na ile to było możliwe; koszula była tak samo brudna jak on i kleiła mu się do skóry) i delikatnie go pocałował.

– Jeśli to się uda, oprawię cię w ramki – powiedział. – Proszę, niech to się uda, dobrze? – dodał po chwili.

Wsunął skraj identyfikatora w nacięcie śruby i przekręcił. Ta była mocniej dokręcona niż pierwsza... ale nie aż tak mocno. I kiedy już zaczęła się obracać, szybko wyszła.

– Jezu – szepnął Curtis. Znowu płakał; zmienił się po prostu w cieknący kran. – Czyżbym miał się jednak stąd wydostać, Bets? Naprawdę?

Wrócił na prawą stronę i zaczął odkręcać następną śrubę. Robił to na przemian, najpierw lewą potem prawą, odpoczywając, kiedy zmęczyła mu się dłoń, zaciskając ją i rozprostowując, aż minął skurcz. Przeżył tutaj dwadzieścia cztery godziny i nie zamierzał się teraz spieszyć. Nie chciał zwłaszcza ponownie upuścić kółka z kluczem. Przypuszczał, że zdoła je znaleźć, obszar był nieduży, lecz mimo to nie chciał ryzykować.

Prawa-lewa, prawa-lewa, prawa-lewa.

I powoli, w miarę jak mijał ranek i zbiornik na odchody się nagrzewał, przez co smród stawał się coraz gęstszy i ohydnie intensywny, wydłużała się szpara w jego dnie. Curtis odkręcał śruby, przybliżając moment, w którym będzie mógł wyjść, ale nie zamierzał się spieszyć. To, żeby się nie spieszyć i nie stawać dęba niczym spłoszony koń, było ważne. Ponieważ mógł coś spieprzyć, to prawda, lecz również dlatego, że ucierpiała jego duma i godność własna – to, co sprawiało, że był tym, kim był.

Niezależnie od kwestii godności własnej diabeł się cieszy, jak się człowiek spieszy.

Prawa-lewa, prawa-lewa, prawa-lewa.

\* \* \*

Krótko przed południem pęknięcie w oblepionym brudem zbiorniku przenośnej toalety otworzyło się, zamknęło, a potem ponownie otworzyło i zamknęło. Przez chwilę nic się nie



działo. Następnie rozwarło się na całej długości czterech stóp i pojawił się w nim czubek głowy Curtisa Johnsona. Głowa cofnęła się i przy akompaniamencie trzasków i stuków Curtis zabrał się z powrotem do pracy, odkręcając kolejne śruby: trzy po lewej i trzy po prawej stronie.

Po pewnym czasie pęknięcie znowu się rozwarło i ukazały się w nim zmierzwione, umazane na brązowo włosy. Głowa zaczęła się powoli przeciskać przez otwór. Jedno ucho otarło się do krwi o krawędź, policzki i usta rozplaszczyły się, jakby ściągane w dół przez jakąś straszliwą siłę grawitacji. Curtis wrzasnął i odepchnął się stopami, bojąc się, że dopiero teraz utknie w połowie na zewnątrz i w połowie wewnątrz zbiornika na odchody. Jednak mimo ogarniającej go paniki nie mógł nie poczuć, jak słodkie jest powietrze: gorące i wilgotne, najlepsze, jakim kiedykolwiek oddychał.

Kiedy wydostał ze środka ramiona, na chwilę przerwał i ciężko dysząc, popatrzył na zgniecioną puszkę po piwie leżącą nie dalej niż dziesięć stóp od jego spoconej, zakrwawionej głowy. Jej widok wydawał mu się cudem. A potem odepchnął się znowu nogami, wykrzywiając usta i napinając ścięgna na szyi. Zadzior na krawędzi rozerwał mu z głośnym trzaskiem koszulę na plecach. Prawie tego nie zauważył. Tuż przed nim rosła mała, niespełna czterostopowa karłowata sosenka. Nachylił się i złapał najpierw jedną, a potem drugą ręką jej cienki, lepki od żywicy pień. Przez chwilę odpoczywał, świadom, że ma podrapane i krwawiące łopatki, a potem po raz ostatni odepchnął się stopami, ciągnąc jednocześnie za pień.

Przez chwilę myślał, że wyrwie sosnę z korzeniami, ale do tego nie doszło. Poczul rozrywający ból w pośladkach, gdy szczelina, przez którą się przeciskał, ściągnęła mu spodnie aż do tenisówek. Żeby wydostać się w całości, musiał się bez przerwy podciągać i wić, i w trakcie tych czynności zgubił buty. A kiedy zbiornik wypuścił w końcu jego lewą stopę, nie chciało mu się wierzyć, że jest naprawdę wolny.

Nagi z wyjątkiem bokserek (przekrzywionych, z zerwaną gumką i podartym siedzeniem, które odsłaniało krwawiące pośladki) i jednej białej skarpetki przewrócił się na plecy i popatrzył szeroko otwartymi oczami w niebo. I zaczął krzyczeć. Dopiero kiedy prawie całkiem ochrypl, zdał sobie sprawę, że powtarza bez przerwy tylko jedno słowo: *Żyję! Żyję! Żyję! Żyję!*

\* \* \*

Dwadzieścia minut później wstał i pokuśtykał do stojącego na betonowych bloczkach nieczynnego biura budowy, w którego cieniu stała kałuża po wczorajszym deszczu. Drzwi były zamknięte, ale przy stopniach z surowych desek leżało trochę więcej bloczków. Jeden z nich pękł na dwie części. Curtis podniósł mniejszy kawałek i walił nim w zamek drzwi tak długo, aż się otworzyły i w nozdrza uderzyło go stęchłe, gorące powietrze.

Przed wejściem do środka odwrócił się i przez chwilę patrzył na toalety po drugiej stronie drogi. Jasny błękit nieba odbijał się w kałużach niczym w okruchach brudnego zwierciadła. Pięć przenośnych toalet, trzy stojące, dwie leżące w rowie. O mało nie zginął w tej po lewej stronie. I chociaż stał tam tylko w podartych bokserkach i jednej skarpetce, umazany gównem i krwawiący chyba w stu miejscach, ta historia już teraz wydawała się czymś nierealnym. Złym snem.

Biuro było częściowo puste – lub częściowo splądrowane, zapewne dzień albo dwa przed ostatecznym zamknięciem budowy. Nie było ścianek działowych; miał przed sobą jedno długie pomieszczenie z biurkiem, dwoma krzesłami i kupioną na wyprzedaży kanapą w przedniej części. W tylnej części był stos kartonów wypełnionych papierami, stojąca na podłodze zakurzona maszyna sumująca, mała niepodłączona do gniazdka lodówka, radio oraz obrotowy fotel z przyklejoną z tyłu kartką z napisem ZACHOWAĆ DLA JIMMY’EGO.

Była tam również szafa z uchylonymi drzwiami, ale zanim do niej zajrzał, otworzył lodówkę. W środku były cztery butelki wody mineralnej Zephyr, w tym jedna otwarta i w trzech czwartych pełna. Curtis złapał jedną z pełnych i wypił ją całą duszkiem. Była ciepła, ale smakowała jak woda, która płynie w rzekach królestwa niebieskiego. Kiedy odsunął butelkę od ust, poczuł skurcz w żołądku. Podbiegł do drzwi, złapał się za framugę i wymiotował wodę na schody.

– Popatrz, mam, nie muszę wsadzać palców! – zawołał. Łzy ciekły mu po brudnej twarzy. Mógł chyba wymiotować na podłogę pustego baraku, lecz nie chciał przebywać w pomieszczeniu, w którym są jego wymioty. Nie po tym, co się wydarzyło.

Właściwie mam zamiar nigdy już się nie wypróżnić, pomyślał. Od tej pory będę to robił metodą religijną: niepokalanej ewakuacji.

Drugą butelkę wody wypił nieco wolniej i udało mu się utrzymać płyn w żołądku. Sącząc ją, zajrzał do szafy. Były w niej dwie pary brudnych spodni i kilka leżących w kącie równie brudnych koszul. Curtis domyślił się, że w miejscu, gdzie były teraz kartony, mogła stać pralka z suszarką. A może był jeszcze jeden barak, który później odholowano. Nie obchodziło go to. Zainteresowały go za to dwa kupione na wyprzedaży kombinezony, jeden wiszący na drucianym wieszaku, drugi na haczyku. Ten ostatni wydawał się zdecydowanie za duży, ale ten na wieszaku mógł na niego pasować. I z grubsza pasował. Musiał zawinąć dwa razy nogawki i przypuszczał, że wygląda w nim bardziej jak farmer John po karmieniu świń aniżeli odnoszący sukcesy inwestor giełdowy, jednak specjalnie mu to nie przeszkadzało.

Mógł zadzwonić na policję, ale przypuszczał, że po tym, co przeszedł, ma prawo do większej satysfakcji. O wiele większej.

– Wiedźmy nie dzwonią na policję – mruknął. – Zwłaszcza my, pedalskie wiedźmy.

Jego skuter nadal stał na dworze, lecz Curtis nie miał jeszcze zamiaru odjeżdżać. Po pierwsze zbyt wiele osób zobaczyłoby umazanego błotem człowieka na czerwonej vespie

granturismo. Nie sądził, by któraś z nich wezwała policję... ale mogli się śmiać. Nie chciał, żeby ktoś go zauważył, i nie chciał, by ktoś się z niego śmiał. Nawet za jego plecami.

Poza tym był zmęczony. Bardziej zmęczony niż kiedykolwiek w życiu.

Położył się na kupionej na wyprzedaży kanapie i podsunął pod głowę jedną z poduszek. Drzwi do baraku zostawił wcześniej otwarte i wpadał przez nie lekki wiaterek, głaszcząc jego brudną skórę delikatnymi palcami. Miał na sobie wyłącznie kombinezon. Przed włożeniem go zdjął brudne bokserki i skarpetkę.

W ogóle nie śmierzę, pomyślał. Czy to nie zdumiewające?

A potem zapadł w głęboki kamienny sen. Przyśniła mu się Betsy przynosząca dynks dla idiotów z podzwaniającymi przy obroży identyfikatorami. Wziął od niej pilota, a kiedy wycelował nim w telewizor, zobaczył zagląającego przez okno Skurwysyna.

\* \* \*

Obudził się po czterech godzinach, spocony i sztywny, z piekącą wszędzie skórą. Na dworze grzmoty zapowiadały zaczynającą się punktualnie burzę. Curtis zszedł bokiem po prowizorycznych schodkach niczym starzec cierpiący na artretyzm. Czuł się jak starzec cierpiący na artretyzm. A potem usiadł i spojrzał na pociemniałe niebo i na przenośną toaletę, z której udało mu się wydostać.

Kiedy zaczęło padać, zdjął z siebie kombinezon, cisnął go do środka, żeby nie zamókł, i stanął nagi w ulewie, ze zwróconą ku niebu uśmiechniętą twarzą. Uśmiech nie zniknął z niej nawet wtedy, kiedy błyskawica trafiła tuż obok Durkin Grove Village, dość blisko, by w powietrzu rozszedł się zapach ozonu. Czuł się całkowicie, cudownie bezpieczny.

Zimny deszcz obmył go prawie do czysta i kiedy zelżał, Curtis wszedł powoli do baraku, wytarł się i włożył z powrotem kombinezon. A kiedy zza chmur wyjrzało popołudniowe słońce, ruszył niespiesznie pod górę tam, gdzie stał jego skuter. W prawej ręce trzymał kluczyk, ściskając między kciukiem i palcem wskazującym porysowany teraz identyfikator Betsy.

Vespa nie przywykła do tego, żeby zostawiano ją na deszczu, ale była pocziwą maszyną i zapaliła już za drugim razem. Chwilę później jej silnik wydawał równy, pogodny pomruk. Curtis wsiadł na nią boso i bez kasku, wolny jak ptak. Kiedy wracał w ten sposób na Turtle Island, wiatr rozwiewał mu brudne włosy i wydymał nogawki kombinezonu. Zobaczył kilka samochodów i bez żadnych problemów przejechał przez autostradę.

Zastanawiał się, czy przed złożeniem wizyty Grunwaldowi nie wziąć dwóch aspiryn, poza tym jednak czuł się lepiej niż kiedykolwiek.

\* \* \*

O siódmej wieczorem po popołudniowym deszczu zostało tylko wspomnienie. Mniej więcej za godzinę miłośnicy zachodów słońca z Turtle Island mieli zgromadzić się na plaży na codziennym przedstawieniu i spodziewano się, że będzie wśród nich Tim Grunwald. W tym momencie Tim leżał jeszcze w wannie na swoim patiu, z zamkniętymi oczyma i szklanką dżinu z tonikiem w zasięgu dłoni. Przed zażyciem kąpieli wziął percocet, wiedząc, że pomoże mu, gdy trzeba będzie odbyć krótką przechadzkę na plażę, jednak nadal znajdował się w stanie sennego ukontentowania, które sprawiało, że prawie nie potrzebował środków przeciwbólowych. To mogło się zmienić, lecz na razie doszedł do wniosku, że od wielu lat nie czuł się tak dobrze. Owszem, groziła mu finansowa katastrofa, ale zgromadził dość gotówki, by nie odmawiać sobie niczego w czasie, który mu pozostał. Co ważniejsze zajął się pedziem, który ściągnął na niego te wszystkie nieszczęścia. Dzyń-dzyń, podła wiedźma była już ma...

– Cześć, Grunwald. Cześć, ty skurwysynu.

Grunwald otworzył oczy. Stojąca między nim i zachodzącym słońcem ciemna postać wyglądała jak wycięta z czarnego papieru. Albo z pogrzebowej krepy. Przypominała z wyglądu Johnsona, lecz było to niemożliwe: Johnson tkwił uwięziony w przewróconej toalecie, Johnson albo zdychał, albo zdechł już w sraczu. Poza tym taki fagasowaty elegancik jak Johnson nigdy nie pokazałby się ubrany niczym statysta z humorystycznego programu dla rolników. To był sen, to musiał być sen. Tyle że...

– Nie śpisz? To dobrze. Nie chcę, żebyś teraz spał.

– Johnson? – Grunwalda stać było tylko na cichy szept. – To nie jesteś ty, prawda?

W tym momencie postać lekko się poruszyła – dokładnie na tyle, żeby zachodzące słońce oświetliło jej podrapaną twarz – i Grunwald zobaczył, że to jednak Johnson. I cóż takiego trzymał w ręku?

Curtis spostrzegł, w co takiego wpatruje się Skurwysyn, i specjalnie się przesunął, żeby słońce oświetliło i ten przedmiot. Grunwald zorientował się, że to suszarka do włosów. To była suszarka do włosów, a on siedział zanurzony po szyję w wannie z gorącą wodą.

Złapał się jej krawędzi, chcąc wstać, lecz Johnson przydeptał mu rękę. Grunwald krzyknął i cofnął ją. Stopa Johnsona była bosa, ale nadeptał go piętą i zrobił to mocno.

– Podobasz mi się tam, gdzie jesteś – rzekł z uśmiechem. – Ty na pewno chciałbyś powiedzieć to samo o mnie, jednak jak widzisz, udało mi się wydostać. I przyniosłem ci nawet prezent. Wpadłem specjalnie do domu, żeby go zabrać. Dlatego nie możesz mi odmówić; jest bardzo mało używany i idąc tutaj, wydmuchałem z niego cały gejowski proszek. Idąc przez tylne podwórko. To miło, że wyłączyłeś tego głupiego elektrycznego pastucha, który zabił mojego psa. Proszę bardzo.

Mówiąc to, Curtis wrzucił suszarkę do wanny z gorącą wodą.

Grunwald wrzasnął i próbował ją złapać, lecz nie zdołał. Suszarka wpadła do wody i obracając się wokół własnej osi, poszła na dno. Po drodze uderzyła o chude nogi Grunwalda, który nadal krzycząc, podkurczył je, przekonany, że porazi go prądem.

– Spokojnie – powiedział Johnson, nadal się uśmiechając, po czym odpiął najpierw jedno, a potem drugie zapięcie kombinezonu. Nogawki opadły mu aż do kostek. Pod spodem był nagi. Skórę pod pachami i po wewnętrznej stronie ud w dalszym ciągu miał zabrudzoną odchodami ze zbiornika. W pępku tkwiła mu brązowa pecyna czegoś ohydneho. – Nie była włączona do gniazdka. Nie wiem nawet, czy ten stary numer z suszarką w wannie nadal jest skuteczny. Chociaż muszę przyznać, że gdybym miał przedłużacz, chętnie przeprowadziłbym eksperyment.

– Zostaw mnie – wychrypiał Grunwald.

– Nie. Chyba cię nie zostawię – odparł Johnson. Uśmiechając się, przez cały czas się uśmiechając. Grunwald zastanawiał się, czy facet nie zwariował. On sam zwariowałby w okolicznościach, w jakich zostawił Johnsona. Jak się stamtąd wydostał? Jak, na Boga Ojca? – Dzisiejszy deszcz zmył większość gówna, ale nadal jestem dość brudny. Jak widzisz.

Johnson spostrzegł obrzydliwą pecynę w swoim pępku, wydłubał ją palcem niczym gil z nosa i wrzucił niedbałym ruchem do wanny.

Maż wylądowała na policzku Grunwalda, brązowa i śmierdząca. I zaczęła ściekać w dół. Wielki Boże, to było gówno. Skurwysyn wrzasnął ponownie, tym razem z obrzydzenia.

– Piłka w siatce – rzucił z uśmiechem Johnson. – Niezbyt to miłe, prawda? I chociaż właściwie już tym nie śmierdzą, nie chcę na to patrzeć. Więc bądź dobrym sąsiadem i daj się wykapać.

– Nie! Nie, nie możesz...

– Dzięki – zawołał Johnson i wskoczył do wanny.

Rozległ się głośny plusk. Grunwald poczuł, jak w nozdrza wpada mu ohydny zapach. Facet cuchnął. Grunwald próbował odsunąć się w drugi kąt wanny, migając chudymi białymi piętami nad powierzchnią spienionej wody. Opalenizna na jego równie chudych goleniach wyglądała jak ciemnoszare nylonowe pończochy. Wystawił rękę za krawędź wanny, ale Johnson złapał go za szyję podrapaną, lecz straszliwie silną ręką i wciągnął z powrotem do wody.

– Nie, nie, nie, nie! – powiedział z uśmiechem, przyciągając Grunwalda do siebie. Małe, brązowoczarne drobinki tańczyły na powierzchni spienionej wody. – My pedały rzadko kąpiemy się sami. Na pewno znalazłeś tę informację w Internecie. A gejowskie wiemy? Nigdy!

– Puszczaj!

– Może i puszczyć – odparł Johnson, obejmując go w przeraźliwie intymny sposób i nadal śmierdząc przenośną toaletą. – Ale najpierw poddamy cię gejowskiemu pławieniu czarownic. To rodzaj chrztu. Zmyje z ciebie grzechy.

Nagle uśmiech zastygł mu na ustach i zmienił się w grymas. Grunwald zdał sobie sprawę, że zaraz umrze. Nie znieczulony lekami w bliżej nieokreślonej przyszłości, lecz tu i teraz. Johnson utopi go w jego własnej wannie i ostatnią rzeczą, którą zobaczy, będzie unoszące się we wcześniej czystej wodzie gównno.

Curtis złapał go za gołe, wychudłe ramiona i wepchnął pod wodę. Grunwald opierał się, wierzgając nogami. Jego rzadkie włosy unosiły się w wodzie, ze starego nochala wylatywały małe srebrne bańki powietrza. Pragnienie, żeby przytrzymać go tam dłużej, było silne... i Curtis mógł to zrobić, bo był silny. Kiedyś, dawno temu Grunwald mógł go załatwić jedną ręką, bez względu na różnicę wieku, lecz te czasy już minęły. Miał przed sobą ciężko schorowanego Skurwysyna. I dlatego go puścił.

Grunwald wynurzył się, kaszłąc i plując.

– Masz rację! – krzyknął Curtis. – To cudo uśmierza każdy ból! Ale mną się nie przejmuj; co z tobą? Chcesz znowu dać nurka? Zanurzenie jest dobre dla duszy, tak mówią wszystkie najlepsze religie.

Grunwald potrząsnął energicznie głową. Kropelki wody poleciały z jego przerzedzających się włosów i znacznie bujniejszych brwi.

– To siedź spokojnie – rozkazał Curtis. – Siedź i słuchaj. I chyba już tego nie potrzebujemy, prawda? – dodał, sięgając pod nogę Grunwalda, który szarpnął się i cicho krzyknął. Curtis wyjął suszarkę do włosów i cisnął ją przez ramię. Wylądowała pod ogrodowym fotelem Grunwalda. – Wkrótce cię opuszczę – oznajmił. – Wróć do siebie. Jeśli chcesz, możesz pójść obejrzeć zachód słońca. Nadal tego chcesz?

Grunwald potrząsnął głową.

– Nie? Też mi się tak wydawało. Myślę, że ostatni dobry zachód słońca masz już za sobą, sąsiedzie. Właściwie myślę, że masz już za sobą swój ostatni dobry dzień, i dlatego pozwalam ci żyć dalej. I wiesz, na czym polega ironia? Gdybyś zostawił mnie w spokoju, uzyskałbyś dokładnie to, czego chciałeś. Ponieważ już wcześniej byłem zamknięty w sraczu, choć wcale o tym nie wiedziałem. Czy to nie zabawne?

Grunwald nie odzywał się, patrzył tylko na niego przerażonymi oczyma. Chorymi, przerażonymi oczyma. Curtisowi mogłoby się nawet zrobić go żal, gdyby pamięć przenośnej toalety nie była taka żywa. Pamięć otwierającej się niczym usta klapy sedesu. Kawalka gówna lądującego na jego kolanach niczym zdechła ryba.

– Odpowiadaj, bo cię znowu ochrzczę przez zanurzenie.

– To zabawne – wychrypiał Grunwald i zaczął kaszleć.

Curtis zaczął czekać, aż przestanie. Już się nie uśmiechał.

– Tak, to zabawne – potwierdził. – Cała ta historia jest zabawna, jeśli spojrzeć na nią z odpowiedniej perspektywy. I chyba tak na nią patrzę.

Wyskoczył z wanny, świadom, że porusza się z gibkością, której Skurwysyn nigdy już nie osiągnie. Pod okapem werandy była szafka, w niej ręczniki. Curtis wziął jeden z nich i zaczął się wycierać.

– Powiem ci jedno. Możesz zadzwonić na policję i powiedzieć im, że próbowałem cię utopić w wannie, ale jeśli to zrobisz, na jaw wyjdzie cała reszta. Oprócz innych oskarżeń, które na tobie ciążyą, przez resztę życia będziesz ciągnany po sądach w sprawie kryminalnej. Jeśli tego nie zrobisz, jesteśmy kwita. Licznik nastawiamy z powrotem na zero. Tyle że... i to jest najważniejsze... będę obserwował, jak gnijesz. Nadejdzie dzień, kiedy będziesz śmierdział tak samo jak wychodek, w którym mnie zamknąłeś. Będziesz tak śmierdział dla innych ludzi i dla siebie samego.

– Prędeż się zabiję – wychrypiał Grunwald.

Curtis włożył z powrotem kombinezon. Uznał, że chyba go polubił. Mógł stanowić idealny przydzwiewek dla kogoś, kto ogląda notowania giełdowe w swoim małym przytulnym gabinecie. Pojedzie chyba do sieci Target i kupi ich sobie pół tuzina. Nowy, wolny od zaburzeń kompulsywnych Curtis Johnson: facet, który lubi kombinezony. Przerwał na chwilę zapinanie drugiej sprzączki na ramieniu.

– Możesz to zrobić. Masz ten pistolet, ten... jak go nazwałeś...? Hardballer. – Zapiął sprzączkę i pochylił się nad Grunwaldem, który nadal marynował się w wannie, wbijając w niego przerażony wzrok. – To byłoby do przyjęcia. Może nawet starczyłoby ci odwagi, choć z drugiej strony, gdyby przyszło co do czego... może nie. Tak czy inaczej będę czekał z dużym zainteresowaniem na odgłos wystrzału.

Po tych słowach opuścił Grunwalda, ale inną drogą, niż do niego trafił. Wyszedł na ulicę. Skręcając w lewo, wróciłby do domu, lecz on skręcił w prawo, w stronę plaży. Po raz pierwszy od śmierci Betsy miał ochotę obejrzeć zachód słońca.

\* \* \*

Dwa dni później, siedząc przy komputerze (szczególnie uważnie śledził notowania General Electric), Curtis usłyszał głośny huk dobiegający z sąsiedztwa. Nie słuchał akurat muzyki i dźwięk zabrzmiał wyjątkowo wyraźnie w wilgotnym, prawie lipcowym powietrzu. Nie wstając z miejsca, przechylił głowę i nasłuchiwał. Nie było jednak drugiego huku.

My, więdźmy, po prostu się na tym znamy, pomyślał.

Do gabinetu wbiegła pani Wilson, trzymając w ręku ściereczkę.

– To brzmiało jak odgłos wystrzału!

– Nie, to tylko gaźnik – odparł z uśmiechem.

Od przygody w Durkin Grove Village często się uśmiechał. Nie był to może ten sam uśmiech, który widniał na jego twarzy w epoce Betsy, ale każdy uśmiech jest lepszy od braku uśmiechu. To chyba prawda?

Pani Wilson popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Może... może i gaźnik – powiedziała i odwróciła się, żeby odejść.

– Pani Wilson?

Odwróciła się z powrotem.

– Czy odeszłaby pani, gdybym sprawił sobie kolejnego psa? Szczeniaka?

– Czy odeszłabym z powodu szczeniaka? Szczeniak to za mało, żeby mnie stąd wykurzyć.

– Mają zwyczaj wszystko żuć, wie pani. I nie zawsze... – Curtis przerwał na chwilę, widząc przed oczyma mroczny, wstrętny pejzaż zbiornika na odchody. Podziemie.

Pani Wilson uważnie mu się przyglądała.

– Nie zawsze korzystają z toalety – dokończył.

– Kiedy się je nauczy, chodzą na ogół tam, gdzie powinny. Zwłaszcza w takim jak tu ciepłym klimacie. A pan potrzebuje jakiegoś towarzystwa, panie Johnson. Prawdę mówiąc, trochę... trochę się o pana martwiłam.

Curtis pokiwał głową.

– Tak, ugrzęzłem jakby trochę w gównie. – Roześmiał się, zobaczył, że pani Wilson dziwnie na niego patrzy, i umilkł. – Wybacz pani.

Machnęła ściereczką, dając mu do zrozumienia, że wybaczają.

– Tym razem nie rasowy. Myślałem o schronisku w Venice. O jakimś małym, porzuconym przez kogoś psia. Nazywają je psami ratownikami.

– Nie mogę się już doczekać – odparła. – Przyjemnie będzie usłyszeć tupot małych łapek.

– To dobrze.

– Naprawdę myśli pan, że to był gaźnik?

Curtis odchylił się do tyłu w fotelu i udał, że się zastanawia.

– Chyba tak... choć wie pani... pan Grunwald, który mieszka obok, jest poważnie chory. Rak – dodał pełnym współczucia szeptem.

– O mój Boże – jęknęła pani Wilson.

Curtis pokiwał głową.

– Nie myśli pan chyba, że...?

Maszerujące po ekranie liczby ustąpiły miejsca wygaszaczowi, który składał się z sekwencji lotniczych zdjęć Turtle Island. Curtis wstał, podszedł do pani Wilson i wziął od niej ściereczkę.

– Nie, raczej nie, ale możemy przecież tam pójść i sprawdzić. Od czego w końcu są sąsiedzi?



## Zapiski po zachodzie słońca

Uwagi takie jak te są według pewnej szkoły myślenia w najlepszym razie niepotrzebne, a w najgorszym podejrzane. Jej zwolennicy argumentują, że opowiadania, które potrzebują wyjaśnień, nie są prawdopodobnie zbyt dobre. Tego rodzaju rozumowanie nie jest mi obce i dlatego między innymi umieściłem ten mały aneks na końcu książki (umieszczenie go tutaj pozwala również uniknąć zarzutów, iż „psuję zabawę”, które najczęściej wysuwają zepsuci ludzie). Powodem, dla którego w ogóle publikuję te zapiski, jest fakt, że wielu czytelników je po prostu lubi. Chcą wiedzieć, co sprawiło, że dane opowiadanie zostało napisane, i co myślał autor, kiedy je pisał. Ten autor niekoniecznie dysponuje tą wiedzą, lecz może zaproponować kilka luźnych myśli, które mogą choć nie muszą być interesujące.

### „Willa”

Nie jest to prawdopodobnie najlepszy utwór w tej książce, ale jestem do niego bardzo przywiązany, ponieważ zapoczątkował u mnie nowy okres twórczości – przynajmniej w dziedzinie opowiadań. Większość tekstów zamieszczonych w *Tuż po zachodzie słońca* zostało napisanych po „Willi”, i to dosyć szybko (w okresie niecałych dwóch lat). Co się tyczy samego opowiadania... w fantazjowaniu wspaniale jest między innymi to, że daje pisarzom możliwość eksploracji tego, co może (lub nie) się zdarzyć, gdy zrzucimy z siebie ziemską powłokę. W *Tuż po zachodzie słońca* są dwa opowiadania tego rodzaju (drugim jest „*New York Times* w cenie promocyjnej”). Dorastałem jako regularny metodysta i chociaż dawno temu odrzuciłem zorganizowaną religię i większość podawanych przez nią niepodważalnych prawd, nadal przemawia do mnie główna idea polegająca na tym, że w ten czy inny sposób możemy przetrwać śmierć. Trudno mi uwierzyć, że takie skomplikowane i chwilami cudowne istoty w końcu się po prostu marnują, są wyrzucane niczym śmieci na pobocze drogi. (Pewnie po prostu nie chcę w to uwierzyć). Lecz jak ma wyglądać to przetrwanie... Muszę po prostu poczekać, to się dowiem. Najbardziej bliska jest mi hipoteza, że będziemy zagubieni i niezbyt skłonni pogodzić się z naszym nowym stanem. Mam nadzieję, że miłość przetrwa nawet śmierć (w porządku, jestem romantykiem, i podajcie mnie za to do pieprzonego sądu). Skoro tak, to może być miłość zdezorientowana... i troszeczkę smutna. Kiedy myślę jednocześnie o miłości i smutku, puszczam muzykę country: wykonawców takich jak George Strait, BR549,

Marty Stuart i... Derailers. To właśnie ci ostatni grają w tym opowiadaniu i myślę, że będą mieli bardzo długi angaż.

### **„Piernikowa dziewczyna”**

Moja żona i ja mieszkamy teraz przez część roku na Florydzie, niedaleko wysp koralowych na Zatoce Meksykańskiej. Jest tutaj dużo bardzo wielkich posiadłości – niektóre są stare i stylowe, niektóre bardzo nowobogackie. Kilka lat temu spacerowałem po jednej z tych wysp z przyjacielem. Idąc, wskazał rząd McPałaców i powiedział: „Większość tych chałup stoi pustych przez sześć albo nawet osiem miesięcy w roku, wyobrażasz sobie?”. Wyobraziłem to sobie i... doszedłem do wniosku, że może z tego powstać wspaniałe opowiadanie. Wyrosło z bardzo prostego założenia: zły facet ściga dziewczynę po pustej plaży. Pomyślałem jednak, że na początku dziewczyna będzie musiała uciekać przed czymś innym. Innymi słowy, jest piernikową dziewczyną\*.

Tyle że wcześniej czy później nawet najszybsi biegacze muszą się zatrzymać i podjąć walkę. Poza tym lubię opowieści z dreszczykiem, w których wszystko zależy od kluczowych drobnych szczegółów. To jedna z nich.

### **„Sen Harveya”**

O tym opowiadaniu mogę opowiedzieć tylko jedno, ponieważ to jedyna rzecz, którą wiem (i prawdopodobnie jedyna rzecz, która ma znaczenie): przyszło do mnie we śnie. Napisałem je za jednym posiedzeniem, rejestrując w gruncie rzeczy to, co już wcześniej zakomunikowała mi moja podświadomość. W tym tomie jest jeszcze jedna opowieść ze snu, ale o tamtej wiem trochę więcej.

### **„Miejsce obsługi podróżnych”**

Pewnej nocy mniej więcej przed sześciu laty wygłosiłem wykład w college’u w St. Petersburgu. Zasiedziałem się tam i w rezultacie wracałem do domu autostradą Florida Turnpike już po północy. Zatrzymałem się na parkingu, żeby skorzystać z toalety. Jeśli przeczytaliście opowiadanie, wiecie, jak wyglądała: niczym blok w więzieniu o średnim stopniu bezpieczeństwa. Tak czy inaczej przystanąłem przed męską toaletą, ponieważ w damskiej klócili się ostro kobieta z mężczyzną. Brzmiało to dosyć groźnie, jakby zaraz miało dojść do rękoczynów. Zastanawiałem się, co u licha zrobię, jeśli to się zdarzy, i pomyślałem: *Będę musiał odwołać się do mojego wewnętrznego Richarda Bachmana, bo jest twardszy ode mnie.* Wyszli, zanim do tego doszło – chociaż kobieta płakała – i dojechałem do domu bez żadnych dalszych incydentów. W następnym tygodniu napisałem to opowiadanie.

---

\* Nawiązanie do angielskiej ludowej bajki, w której Piernikowy Ludzik ucieka najpierw przed gospodynią, która go upiekła, później przed różnymi zwierzętami i w końcu zostaje zjedzony przez lisa.

### **„Rower stacjonarny”**

Jeśli kiedykolwiek pedałowaliście na czymś takim, wiecie, jakie to może być śmiertelnie nudne. I jeśli kiedykolwiek próbowaliście codziennego reżimu ćwiczeń, wiecie, jakie to może być trudne (moja dewiza brzmi: „Jedzenie jest łatwiejsze”, ale owszem, ćwiczę). To opowiadanie wzięło się z mojej nienawiści nie tylko do stacjonarnych rowerów, ale do każdej bieżni, po której biegałem, i do każdego stairmastera, po którym się wspinałem.

### **„Rzeczy, które po sobie zostawili”**

Podobnie jak prawie wszyscy w Ameryce byłem głęboko i do gruntu wstrząśnięty tym, co stało się jedenastego września. I jak bardzo wielu autorów literatury pięknej i popularnej odczuwałem niechęć do wypowiadania się na temat wydarzenia, które stało się kamieniem milowym amerykańskiej historii podobnie jak Pearl Harbor czy zabójstwo Johna Kennedy’ego. Ale pisanie to mój zawód i ta historia przyszła mi do głowy mniej więcej miesiąc po zawaleniu się Bliźniaczych Wież. Mimo to mogłem jej nie napisać, gdybym nie przypomniał sobie rozmowy, którą odbyłem przed ponad dwudziestu pięciu laty z pewnym żydowskim wydawcą. Miał on do mnie pretensje o to, że napisałem opowiadanie pod tytułem „Zdolny uczeń”. Twierdził, że nie powinienem pisać o obozach koncentracyjnych, ponieważ nie jestem Żydem. Odpowiedziałem, że napisanie tego opowiadania jest przez to jeszcze ważniejsze – ponieważ pisanie jest aktem dobrowolnego zrozumienia. Podobnie jak inni Amerykanie, którzy obserwowali płonące tego ranka nad Nowym Jorkiem niebo, chciałem zrozumieć zarówno samo wydarzenie, jak i blizny, które w nieunikniony sposób musi po sobie pozostawić. To opowiadanie jest rezultatem wysiłku, który podjąłem w tym kierunku.

### **„Dzień rozdania świadectw”**

Po wypadku w roku 1999 brałem przez kilka lat antydepresyjny lek o nazwie doxepin – nie dlatego, żebym był w depresji (stwierdził ponuro), lecz ponieważ doxepin miał uśmierzać chroniczny ból. Okazało się to prawdą, ale w listopadzie 2006, kiedy poleciałem do Londynu promować moją powieść *Historia Lisey*, uznałem, że nadeszła pora go odstawić. Nie skonsultowałem się w tej sprawie z lekarzem, który go przepisywał; zrobiłem to po prostu pod wpływem impulsu. Efekty uboczne tego nagłego odstawienia okazały się... interesujące\*.

Mniej więcej przez tydzień, gdy zamykałem oczy, widziałem szeroką panoramę jak w kinie – lasy, pola, góry, ogrodzenia, tory kolejowe, robotnicy z kilofami i łopatami na budowie drogi... a potem cała rzecz zaczynała się od początku, dopóki nie zasnąłem. Temu obrazowi nigdy nie towarzyszyła żadna historia; były wyłącznie te dokładne aż do najdrobniejszych szczegółów panoramiczne ujęcia. Miałem również kilka postdoxepinowskich snów. Jeden z nich – wielki atomowy grzyb wyrastający nad Nowym

---

\* Czy wiem ze stuprocentową pewnością, że był za nie odpowiedzialny doxepin? Jasne, że nie. Może to angielska woda.

Jorkiem – stał się tematem tego opowiadania. Zdawałem sobie sprawę, że posłużono się tym motywem w niezliczonych filmach (nie mówiąc o serialu *Jericho*), lecz mimo to je napisałem, ponieważ sen odznaczał się iście dokumentalną konkretnością; obudziłem się z walącym sercem, myśląc: *To może się zdarzyć. I prędzej czy później na pewno się zdarzy*. Podobnie jak „Sen Harveya” to opowiadanie zostało w większym stopniu podyktowane aniżeli wymyślone.

„N.”

To najnowsze opowiadanie w tym tomie i po raz pierwszy tu publikowane. Silny wpływ wywarł na nie *Wielki Bóg Pan* Arthura Machena, utwór, który (niczym *Dracula* Brama Stokera) mimo swego dość niezgrabnego stylu wdziera się nieubłaganie w sferę czystej grozy. Ile spowodował bezsennych nocy? Bóg jeden wie, ale kilka z nich było moich. Myślę, że „Pan” zbliżył się najbardziej, jak to możliwe, do idealnego wzorca horroru i że każdy pisarz, który traktuje poważnie ten gatunek, musi prędzej czy później zmierzyć się z jego tematem: że rzeczywistość jest cienka i że ta prawdziwa rzeczywistość, która się pod nią ukrywa, jest nieskończoną otchłanią wypełnioną potworami. Mój pomysł polegał na tym, żeby ożenić temat Machena z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi... częściowo dlatego, że moim zdaniem wszyscy w większym lub mniejszym stopniu na nie cierpimy (czyż każdy z nas nie zawrócił choć raz z podróży, żeby sprawdzić, czy wyłączył piekarnik albo kuchenkę?), a częściowo dlatego, że obsesje i kompulsje prawie zawsze są niewymienionymi w akcie oskarżenia sprawcami horroru. Czy potraficie wskazać chociaż jedną udaną opowieść grozy, w której nie ma mowy o powrocie do miejsc, których się boimy i nienawidzimy? Najlepszym i najdobitniejszym tego przykładem może być „Żółta tapeta” Charlotte Perkins Gilman. Jeśli kiedykolwiek czytaliście ją na studiach, uczono was zapewne, że to opowiadanie feministyczne. To prawda, ale jest to także historia umysłu załamującego się pod ciężarem własnych obsesyjnych myśli. Ten element jest obecny również w „N.”.

„Kot z piekła rodem”

Jeżeli w *Po zachodzie słońca* istnieje ekwiwalent bonusowego nagrania na płycie CD, to jest nim chyba to opowiadanie. I muszę za to podziękować mojej długoletniej asystentce Marshy DeFilippo. Kiedy poinformowałem ją, że zamierzam wydać następny zbiór, zapytała, czy zamieszczę tam w końcu „Kota z piekła rodem”, pochodzącego z okresu, gdy pisałem do czasopism dla mężczyzn. Odparłem, że z pewnością wetknąłem to opowiadanie – które zostało sfilmowane w 1990 roku jako część *Opowieści z ciemnej strony* – do jednego z poprzednich czterech zbiorów. Marsha dostarczyła mi spisy treści, z których wynikało, że nie mam racji. Zatem znalazło się tutaj, nareszcie w twardych okładkach, ponad trzydzieści lat po tym, jak ujrzało światło dzienne w czasopiśmie „Cavalier”. Jego geneza jest dość zabawna. Nye Willden, ówczesny redaktor literacki „Cavaliera”, i poza tym miły facet, przysłał mi zrobioną w zbliżeniu fotografię prychającego kota. To, co było w niej niezwykle – poza kocią

furią – to sposób, w jaki jego pysk dzielił się na dwie części – futro po jednej stronie było białe, po drugiej czarne i lśniące. Nye chciał ogłosić konkurs na opowiadanie o kocie. zaproponował, żebym napisał pierwszych pięćset słów; potem mieli poprosić czytelników, żeby je dokończyli, i opublikować najlepsze zakończenie. Zgodziłem się, lecz historia zainteresowała mnie do tego stopnia, że napisałem całość. Nie pamiętam, czy moja wersja została opublikowana w tym samym numerze co zwyczajnie zakończenie, czy później, ale od tego czasu znalazła się w kilku antologiach.

### **„»New York Times« w cenie promocyjnej”**

Latem 2007 roku pojechałem do Australii, wypożyczyłem harleya-davidsona i przejechałem nim z Brisbane do Perth (prawdę mówiąc... przewiozłem motor toyotą land cruiserem przez część australijskiej Wielkiej Pustyni, gdzie drogi w rodzaju Gunbarrel Highway wyglądają tak, jak wyobrażam sobie autostrady w piekle). To była fajna wycieczka; miałem mnóstwo przygód i najadłem się sporo kurzu. Ale dojście do siebie po dwudziestu jeden godzinach spędzonych w powietrzu jest cholernie trudne. A ja nie śpię w samolocie. Po prostu nie mogę. Jeśli przy moim fotelu pojawia się stewardesa z jedną z tych fikuśnych piżamek, robię znak krzyża i każę jej odejść. Kiedy dotarłem do Oz po locie z San Francisco do Brisbane, zasunąłem żaluzje, padłem na łóżko, przespałem dziesięć godzin i obudziłem się świeży i gotów do akcji. Problem polegał na tym, że była druga w nocy lokalnego czasu, nic nie leciało w telewizji i przeczytałem wszystko, co było do przeczytania w samolocie. Na szczęście miałem notes i napisałem to opowiadanie przy małym hotelowym biurku. Kiedy weszło słońce, tekst był gotów, a ja mogłem się jeszcze kilka godzin przespać. Opowiadanie powinno sprawiać przyjemność również autorowi – to moja opinia, czekam na wasze.

### **„Niemowa”**

Przeczytałem w lokalnej gazecie o sekretarce z liceum, która zdefraudowała sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, grając na loterii. Moim pierwszym pytaniem było, jak przyjął to jej mąż, i napisałem to opowiadanie, żeby się dowiedzieć. Przypomina mi to zatrute czekoladki, które zjadałem, oglądając filmy z serii „Alfred Hitchcock przedstawia”.

### **„Ayana”**

Temat „życia po życiu”, jak napisałem wcześniej w tych uwagach, stanowił zawsze interesującą pożywkę dla autorów, którzy dobrze się czują w fantastyce. Bóg – w jakimkolwiek się objawia kształcie – jest kolejnym tematem, dla którego powstają te opowiadania. A skoro pytamy o Boga, jednym z najczęściej zadawanych pytań jest to, dlaczego jedni ludzie żyją, a inni umierają; dlaczego jednym wiedzie się dobrze, a innym źle. Zadawałem je sobie po urazach doznanych w 1999 roku podczas wypadku, w którym mogłem łatwo zginąć, gdybym siedział kilka cali dalej (z drugiej strony, gdybym siedział kilka cali

dalej w drugą stronę, może w ogóle nie doznałbym żadnych obrażeń). Jeżeli komuś udaje się przeżyć, mówimy: „To cud”. Jeśli umiera, mówimy: „Taka była wola Boga”. Nie ma racjonalnego wytłumaczenia cudów i nie sposób zrozumieć woli Boga – który jeśli w ogóle istnieje, może interesować się nami w nie większym stopniu niż ja mikrobami żyjącymi na mojej skórze. Wydaje mi się jednak, że cuda się zdarzają; jest nim każdy kolejny oddech. Rzeczywistość jest cienka, lecz nie zawsze mroczna. Nie chciałem pisać o odpowiedziach, chciałem pisać o pytaniach. I zasugerować, że cuda mogą się okazać nie tylko błogosławieństwem, ale i brzemieniem. A może to wszystko brednie. Mimo to lubię to opowiadanie.

### **„Bardzo trudne położenie”**

Każdy z nas korzystał od czasu do czasu z tych przydrożnych toalet, choćby latem przy autostradzie, kiedy służba drogowa musi ich ustawiać więcej, by uporać się ze zwiększonym napływem podróżnych (piszę te dwa ostatnie słowa z uśmiechem, uświadamiając sobie, jak cudownie kojarzą się z wydalaniem). Do diabła, nie ma to jak wejść do jednej z tych małych, ciemnych kabin w gorące sierpniowe popołudnie. Cudownie nagrzane i zapach jest wprost boski. Prawdę mówiąc, korzystając z nich, zawsze myślałem o *Przedwczesnym pogrzebie* Poego i zastanawiałem się, co by się stało, gdyby wychodek wywrócił się na drzwi. Zwłaszcza gdyby w okolicy nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. W końcu napisałem to opowiadanie z tego samego powodu, dla którego napisałem tyle innych raczej nieprzyjemnych historii, Stały Czytelniku: aby przerzucić na ciebie to, co mnie przeraża. I nie mogę na koniec nie wspomnieć, że miałem przy tym iście dzieciinną frajdę. Zrobiło mi się nawet niedobrze.

Troszeczkę.

\* \* \*

Na tym się z wami żegnam, przynajmniej na razie. Jeżeli cuda nie przestaną się zdarzać, spotkamy się ponownie. Tymczasem zaś dziękuję, że czytacie moje opowiadania. Mam nadzieję, że przynajmniej jedno z nich nie da wam przez chwilę zasnąć, kiedy zgasną światła.

Uważajcie na siebie i przyznajcie: Czy nie zostawiliście przypadkiem włączonego piecyka? I czy nie zapomnieliście zgasić gazu w rożnie na tarasie? A zasuwka w tylnych drzwiach? Pamiętaliście, żeby ją zamknąć? Łatwo o tym zapomnieć i niewykluczone, że ktoś się tam właśnie zakrada. Jakiś szaleniec. Z nożem w rękę. Zatem bez względu na to, czy macie, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne czy nie...

Lepiej to sprawdzić, prawda?

*Stephen King*

8 marca 2008